

**Wilbur Smith**

**Złoty lis**

## ROZDZIAŁ 1

Chmara motyli wzbiła się w powietrze, a letni wietrzyk rozrzucił je po całym niebie. Sto tysięcy młodych twarzy uniosło się ku górze, z zachwytem śledząc powoli odlatujące owady.

Na samym przedzie siedziała dziewczyna, na którą polował od dziesięciu dni niczym myśliwy tropiący swoją ofiarę. Pamiętał już, jak się porusza, jak unosi głowę, kiedy chce się czemuś przysłuchać, a także jak nią potrząsa ze złością lub zniecierpliwieniem. Obecna poza była czymś nowym: odwróciła twarz ku wspaniałej chmurze skrzydlatych owadów. Nawet z takiej odległości zauważył błysk jej zębów i miękkie różowe usta wyrażające zachwyty.

Na wysokiej scenie wznoszącej się tuż przed nią człowiek w białej atłasowej koszuli chwycił następne pudełko i śmiejąc się wytrząsnął z niego jeszcze jedną gromadkę drżących skrzydełek. Żółte, białe, mieniające się kolorami popłynęły ku górze, a tłum ponownie westchnął z podziwu.

Jeden motyl zachwiał się i runął w dół. Wyciągnęły się ku niemu setki rąk, lecz on skręcił i drżąc usiadł na zwróconej ku niemu twarzy dziewczyny. Poprzez pomruk tłum mężczyzna usłyszał jej radosny okrzyk i złapał się na tym, że uśmiechnął się z sympatią.

Wyciągnęła rękę i ostrożnie zdjęła motyla z czoła, po czym delikatnie złożyła go w kielichu utworzonym przez dłonie. Zbliżyła je do twarzy i przez chwilę przyglądała się owadowi swymi niebieskimi oczami, które myśliwy znał tak dobrze. Nagle posmutniała, coś szepnęła do motyla, ale mężczyzna nie mógł usłyszeć słów.

Po chwili dziewczyna znowu się uśmiechała. Nagle poderwała się i stojąc na palcach wyciągnęła obie ręce wysoko w górę. Motyl zawahał się, usiadł na koniuszkach jej palców, a skrzydełka lekko mu pulsowały. Mężczyzna usłyszał słowa:

– Leć! Leć dla mnie!

Ludzie wokół podchwycili okrzyk:

– Leć! Leć w imię pokoju!

Światła reflektorów i wszystkie spojrzenia skupiły się na niej, a nie na krzykliwie ubranej samotnej postaci na środku sceny.

Dziewczyna była wysoka i gibka, jej nagie ręce i nogi były opalone i sprężyste. Nosila modną spódniczkę tak krótką, że gdy stanęła na palcach, rąbek znalazł się powyżej linii, gdzie pod koronkową siateczką jędrne pośladki łączyły się z udami.

Zastygła w takiej pozie, przez chwilę zdawała się uosabiać całe swoje pokolenie, dzikie, wolne i postrzelone; mężczyzna także odniósł takie wrażenie. Nawet człowiek na scenie pochylił się do przodu, by widzieć ją lepiej, a jego grube, jakby spuchnięte od użądleń pszczoł usta rozciągnęły się w uśmiechu i zawołał: „pokój!”. Okrzyk ten zabrzmiał tysiąc razy głośniejszy dzięki wzmacniaczom ustawionym po obu stronach sceny.

Motyl odleciał, a dziewczyna przycisnęła palce do ust i posłała mu pocałunek, gdy dołączał do wirującej chmury owadów. Usiadła na trawie. Ci, którzy znajdowali się w pobliżu, wyciągnęli ręce, by ją objąć.

Na scenie Mick Jagger rozłożył szeroko ramiona prosząc o ciszę. Gdy już nastąpiła, zbliżył się do mikrofonu. Zniekształcone przez wzmacniacze słowa zlewały się, głos się rwał, a akcent był tak niewyraźny, że z ledwością można było zrozumieć, iż jest to niezdarny hold, złożony członkowi zespołu, który kilka dni wcześniej utonął w basenie podczas szalonego przyjęcia.

Płotka mówiła, że gdy wchodził do wody był prawie nieprzytomny, ponieważ zażył dużą ilość narkotyków. To była bohaterska śmierć w czasach, gdy królowały

narkotyki i seks, marihuana i pigułki antykoncepcyjne, wolność, pokój i przedawkowanie.

Jagger skończył swoją krótką przemowę – tak krótką, że nie popsukał beztroskiego nastroju, panującego na koncercie. Rozległ się ogłuszający dźwięk elektrycznych gitar i piosenkarz z dużą ekspresją zaśpiewał „Honky Tonk Women”. W ciągu kilku sekund sto tysięcy ciał podrygiwało w takt melodii, a dwieście tysięcy wyciągniętych rąk chwiało się jak pole pszenicy na silnym wietrze.

Muzyka była brutalna jak ostrzał artyleryjski; bolały od niej uszy, wdzierła się w głąb czaszki i paraliżowała mózg. W mgnieniu oka publiczność stała się bezmyślnym, szalejącym tłumem, różnorodność przekształciła się w pojedynczy organizm, podobny do gigantycznej ameby, pulsującej i falującej w pełnym namiętności akcie prokreacji. Smród potu oraz niezdrowy zapach dymu z konopi indyjskich działały odurzająco.

Obserwator był samotny pośród tłumu, nie poruszały go fale dźwięków. Przyglądał się dziewczynie, czekając na właściwy moment.

Ona zaś poddała się pierwotnemu rytmowi, poruszała się wraz z innymi, lecz robiła to ze szczególnym wdziękiem. Jej włosy, połyskujące w słońcu rubinowe, opadały na ramiona uwydatniając piękną linię szyi i głowy, której osadzenie przypominało kwiat tulipana na wysokiej łodydze.

Niewielki obszar tuż przed sceną został odgradzony niskim płotkiem z palików – była to maleńka enklawa dla uprzywilejowanych. Mariannę Faithful, bosa, ubrana w luźny wschodni kaftan, siedziała tu z innymi żonami i osobami towarzyszącymi muzykom na trasie. Zwraçała uwagę delikatną, eteryczną urodą. Poruszała się powoli, leniwie, a jej senne oczy były pozbawione wyrazu, jak u niewidomej osoby. W pobliżu bawiły się dzieci, a wszystkich ich strzegła grupa Hell’s Angels.

W czarnych stalowych hełmach Wehrmachtu, obwieszeni łańcuchami i hitlerowskimi czarnymi krzyżami, w czarnych, nabitych ćwiekami skórzanych kurtkach odsłaniających owłosione piersi, w butach służących do jazdy na motorze, z wymyślnymi tatuażami na ramionach, stali w groźnych pozach, z pałkami za paskami, a ich palce były ciężkie od ostro zakończonych stalowych pierścieni. Spoglądali na tłum wyzywająco, szukając i mając nadzieję na kłopoty.

Łomot muzyki trwał i trwał; Mineła godzina, a potem druga. Stawało się coraz goręcej. Wokół unosił się odór jak w klatce dla zwierząt, ponieważ niektórzy nie chcąc stracić ani chwili koncertu załatwiali się tam, gdzie siedzieli. Cała ta dekadencja, brak jakichkolwiek hamulców i przyzwoitości budziły odrazę obserwatora. Ci ludzie obrażali wszystko, w co wierzył. Głowa go bolała i pulsowała w rytmie podawanym przez gitary. Nadszedł czas, by się oddalić. Jeszcze jeden dzień oczekiwania na szansę, która się nie pojawiała. Ale on był myśliwym cierpliwym jak drapieżne zwierzę. Będą jeszcze inne dni, nie ma pośpiechu.

Zaczął się wycofywać, z trudem torując sobie drogę przez niski pagórek, na którym stał. Roztrącał zgromadzonych, którzy robili wrażenie, jakby znajdowali się w hipnotycznym transie – nie widzieli ani nie czuli, jak przepycha się pomiędzy nimi.

Spojrzał za siebie i oczy mu się zwięziły, gdy ujrzał, że dziewczyna rozmawia ze stojącym obok chłopakiem, uśmiecha się i potrząsa głową, a następnie wstaje. Teraz ona zaczęła torować sobie drogę przez tłum. Przeszła przez rzędy siedzących ludzi, dla równowagi opierając się na ich ramionach i przepraszając z uśmiechem.

Obserwator zmienił kierunek, ruszył w poprzek łagodnego zbocza, aby przeciąć jej drogę. Instynkt myśliwego mówił mu, że niespodziewanie nadeszła chwila, na którą czekał.

Za sceną znajdowały się szeregi ciężarówek, wysokich jak piętrowe autobusy, zaparkowanych tuż obok siebie.

Dziewczyna wycofała się, okrążając ogrodzenie z palików i próbując wydostać się

z tłumu, ale było tak ciasno, że utknęła w nim i z desperacją rozejrzała się dokoła.

Nagle zwróciła się ku ogrodzeniu, dopchała się do niego, zwinnie przeskoczyła i zniknęła w wąskiej przerwie między dwiema ciężarówkami. Jeden z Hell's Angels zauważył, że przedostała się na zabroniony teren i pobiegł za nią, z trudem wciskając się w ciasne przejście. Po twarzy obserwatora przemknął uśmiech.

Prawie dwie minuty zajęło mu dotarcie do tego miejsca w płocie, w którym przekroczyła go dziewczyna. Ktoś wyciągnął rękę, żeby go zatrzymać, ale on stracił ją, wyminął strażnika i wślizgnął się między wysokie stalowe ściany ciężarówek.

Musiał iść bokiem, gdyż jego ramiona nie mieściły się w wąskiej luce. Gdy doszedł do drzwi kabiny kierowcy, usłyszał tuż przed sobą stłumione krzyki protestu. Przyspieszył i gdy był już przy masce samochodu, zrozumiał, co się tutaj działo.

Jeden z Hell's Angels przycisnął dziewczynę do błotnika i wykręcił jej rękę. Napierał na nią biodrami. Pochylił się chcąc ją pocałować. Wygięła się i gwałtownie kręciła głową, by tego uniknąć. Napastnik zarechotał i spróbował wepchnąć język do jej ust.

Prawą ręką podwinął dziewczynie spódniczkę, a następnie owłosione, ubrudzone smarem paluchy wsunął w jej koronkowe majtki. Dziewczyna usiłowała go bić i drapać swobodną ręką, ale on wcisnął głowę w ramiona, ciosy padały więc na nabita ćwiekami czarną skórę i umięśnione ręce. Śmiech strażnika był gruby, gardłowy. Trzasnęła koronka majtek, gdy ściągnął je w dół jej opalonych ud.

Obserwator podszedł i dotknął ramienia napastnika. Mężczyzna znieruchomiał i po chwili odwrócił głowę. Oczy zaszyły mu mgłą, ale natychmiast stały się jasne; odepchnął dziewczynę na bok tak mocno, że upadła na rozoraną kołami trawę między ciężarówkami. Sięgnął do pasa po pałkę.

Obserwator wyciągnął rękę i dotknął go, tym razem poniżej ucha – tam gdzie kończył się stalowy hełm. Nacisnął dwoma palcami i strażnik zastygł bez ruchu; jego ręce i nogi zeszytywniały, wydał gardłowy dźwięk przypominający krakanie, a całym ciałem wstrząsnęły konwulsje, następnie upadł na ziemię i zaczął się rzucać jak epileptyk. Dziewczyna klęcząc wkładała porwaną bieliznę i przyglądała się mu ze wstrętem. Obserwator przeszedł ponad powalonym strażnikiem i podniósł ją na nogi bez wysiłku.

– Chodźmy – powiedział miękko. – Zanim przyjdą jego koledzy.

Ujął jej rękę i pociągnął za sobą; szła ufna jak dziecko.

Za zaparkowanymi ciężarówkami znajdował się labirynt wąskich ścieżek, wiodących przez krzaki rododendronu. Gdy biegli jedną z nich, zapytała zdyszana:

– Czy zabiłeś go?

– Nie, najwyżej za pięć minut stanie na nogi – odparł.

– Rozłożyłeś go. Jak to zrobiłeś? Przecież tylko dotknąłeś tego drania. Nie odpowiedział, ale na następnym zakręcie zatrzymał się i odwrócił do dziewczyny.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

Skinęła głową nic nie mówiąc.

Przyjrzał się jej, wciąż trzymając za rękę. Wiedział, że miała dwadzieścia cztery lata. Tę młodą kobietę przed chwilą ktoś usiłował zgwałcić, a mimo to w ciemnoniebieskich oczach nie dostrzegł przerażenia. Żadnych łez, hysterii, nawet nie drżały różowe usta, a szczupła dłoń w jego dłoni była pewna i ciepła.

Psychiatryczne świadectwo, które czytał, zostało teraz potwierdzone przynajmniej co do tego, że szybko wraca do formy i jest pewna siebie. Zauważył, że policzki jej zabarwił rumieniec, a oddech był wyraźnie przyspieszony. Przeżywała nowe silne emocje.

– Jak się nazywasz? – zapytała. Wlepiła w mężczyznę wzrok, co nie było dla niego nowością. Przy pierwszym spotkaniu kobiety często tak na niego spoglądały.

– Ramon – odpowiedział.

– Ramon – powtórzyła miękko, napawając się brzmieniem tego imienia. Boże, ależ on był piękny.

– Ramon, a jak dalej?

– Nie uwierzysz, jak ci powiem.

Jego angielski był doskonały, zbyt doskonały. Musiał być obcokrajowcem, ale ten głos pasował do twarzy, pięknej i poważnej.

– Przekonaj się – zachęciła go i usłyszała w swoim głosie zalotną nutkę.

– Ramon de Santiago y Machado.

Zabrzmiało to jak muzyka, było nieprawdopodobnie romantyczne. Najpiękniejsze nazwisko, jakie kiedykolwiek słyszała, doskonałe dla kogoś o takiej twarzy i takim głosie.

– Ruszajmy dalej – rzekł, lecz ona wciąż mu się przyglądała.

– Nie mogę biec – powiedziała. – Nie zmuszaj mnie.

– Jeśli nie będziesz biegła, to możesz skończyć jako maskotka na kierownicy jakiegoś motocykla.

Zaśmiała się, lecz natychmiast przycisnęła dolną wargę, by się powstrzymać.

– Nie rób tego – zaprotestowała. – Nie rozśmieszaj mnie. Muszę iść do toalety. Jestem w krytycznym stanie.

– Ach, więc tam się chciałaś dostać, kiedy piękny książę z bajki zakochał się w tobie.

– Ostrzegam cię, nie rób tego – z wysiłkiem stłumiła chichot, więc zlitował się nad nią.

– Przy wejściu do parku jest toaleta. Wytrzymasz?

– Nie wiem.

– Pozostają ci jeszcze rododendrony.

– Nie, dziękuję. Wystarczy na dzisiaj publicznych występów.

– A więc chodźmy – wziął ją za rękę i ruszyli.

– Twojemu chłopakowi chyba minął już zapał – powiedział. – Coś go nie widać. Co za niestały facet.

– Szkoda. Z przyjemnością zobaczyłabym jeszcze raz tę twoją sztukę. Daleko jeszcze?

– To już tu.

Puściła jego rękę i skierowała się ku małemu budynkowi z czerwonej cegły, który był dyskretnie ukryty w krzakach obok ścieżki; w drzwiach zawahała się.

– Mam na imię Isabella, Isabella Courtney, ale przyjaciele nazywają mnie Bella – rzuciła przez ramię i zniknęła w drzwiach.

– Tak – mruknął cicho. – Wiem.

Nawet w kabinie słyszała muzykę, przytłumioną przez mur i sporą odległość, potem doszedł ją łoskot przelatującego nisko helikoptera, ale to wszystko było bez znaczenia. Myślała o Ramonie.

Przy umywalce przyjrzała się sobie w lustrze. Fryzurę miała w nieładzie, szybko więc ją poprawiła. Włosy Ramona były grube, ciemne, kręcone; długie, lecz nie za bardzo. Starła z ust jasnoróżową szminkę i pomalowała je jeszcze raz. Wargi Ramona były pełne, lecz męskie, miękkie, lecz silne; zastanawiała się, jak by smakowały.

Wrzuciła szminkę z powrotem do torebki i zbliżyła twarz do lustra, by ocenić swoje oczy. Stwierdziła, że nie musi ich podmalowywać. Białka były tak czyste, że aż niebieskawe – jak u zdrowego niemowlęcia. Wiedziała, że oczy to jej największy atut, miały ten charakterystyczny dla Courtneyów odcień: pomiędzy chabrem bławatków a szafirem. Ramon miał zielone oczy. Były pierwszą rzeczą, która ją w nim uderzyła. Zwłaszcza ich jasna, intensywna barwa. Piękne, lecz – przez chwilę szukała

odpowiedniego przymiotnika – piękne, lecz nieludzkie. Nie potrzebowała nawet dowodu, którym było powalenie strażnika. Wystarczyło jej jedno spojrzenie w te oczy, by stwierdzić, że to niebezpieczny człowiek. Poczła na karku rozkoszny dreszcz strachu i oczekiwania. Czy to nareszcie ten mężczyzna? Przy nim inni wydawali się bezbarwni. Być może właśnie jego szukała od tak dawna.

– Ramon de Santiago y Machado – powiedziała powoli, obserwując w lustrze, jak wargi formują wyrazy. Potem wyprostowała się i skierowała do wyjścia. Powstrzymała się, by nie biec. Szła powoli, stukając wysokimi szpilekami, które sprawiały, że jej biodra kołysały się, a siedzenie przypominało metronom; spod króciutkiej spódniczki połyskiwała koronka. Otworzyła drzwi.

Ramona nie było. Złapała oddech i poczuła nagły, zimny skurcz w żołądku, jakby połknęła kamień. Rozejrzała się z niedowierzaniem.

– Ramon – powiedziała niepewnie i pobiegła przed siebie. Alejką szły w jej kierunku setki ludzi, którzy już wyszli z koncertu, aby uniknąć ludzkiej lawiny, mającej wkrótce nadejść, ale nie dostrzegła wśród nich przystojnej postaci, której szukała.

– Ramon! – zawołała i pobiegła w stronę wejścia do parku. Największy ścisk zrobił się na Bayswater Road. Rozglądała się gwałtownie z niedowierzaniem. Odszedł i zostawił ją. Z czymś takim jeszcze się nie spotkała. Dała mu przecież do zrozumienia, że go pragnie – jaśniej już nie mogła tego wyrazić – a on odszedł.

Po chwili poczuła wściekłość. Nikt nigdy nie zrobił czegoś takiego Isabelli Courtney. Czuła się zlekceważona; bardzo, bardzo zła.

– Do diabła z nim – powiedziała. – Do diabła z tym facetem. Jej złość trwała zaledwie kilkanaście sekund. Poczła się zagubiona i opuszczona. To uczucie było dla niej czymś nowym.

– Nie mógł tak po prostu odejść – powiedziała głośno i rozpoznała w swoim głosie ton uzalającego się nad sobą zepsutego dziecka, więc wymówiła te słowa jeszcze raz, starając się wyrzucić je z siebie ze złością, ale wypadło to nieprzekonywająco.

Usłyszała za sobą ochrypy śmiech i obejrzała się. Gromada Hell's Angels kroczyła ścieżką; dzieliło ich jeszcze jakieś sto jardów, ale szli w jej kierunku. Nie mogła tu zostać.

Koncert się skończył, tłum zaczął się rozchodzić. Helikopter, który wcześniej słyszała, pewnie przyleciał, żeby zabrać Micka Jaggera i jego Rolling Stonesów.

Miała niewielkie szansę, by odnaleźć swoich przyjaciół; na pewno wciągnął ich tłum. Jeszcze raz rozejrzała się wokół, szybko i z desperacją.

Ciągle nie widać było głowy z ciemnymi kręconymi włosami. Zmarszczyła brwi i uniosła podbródek.

– W końcu komu on jest potrzebny, cholerny mieszaniec? – mruknęła z furią i tupnęła.

Za nią odezwały się gwizdy i jeden z Hell's Angels zaczął wybijać rytm dla jej kroków.

– Lewa, prawa, lewa, potrząśnij, stuknij, pokręć.

Wiedziała, że wysokie obcasy powodują, iż jej siedzenie kołysze się z boku na bok. Zatrzymała się i zdjęła buty, a następnie boso pobiegła ścieżką. Auto zostawiła na parkingu ambasady przy Strandzie, więc żeby do niego dotrzeć, musiała pojechać metrem z Lancaster Gate.

Miała samochód marki Mini-Cooper, najnowszy model z 1969 roku. Był to prezent od taty na urodziny; zamówił go w tym samym sklepie, w którym swojego mini kupił Antony Armstrong-Jones. Zwiększono moc silnika, wykonano obicia ze skóry jak w rollsie i pokryto takim samym srebrnym lakierem, jaki miał nowy aston

martin taty, jej inicjały zaś umieszczono w złotym liściu na drzwiach.

Mini był wtedy najpopularniejszym samochodem wśród młodzieży; w sobotnią noc przed restauracją „Annabel” stało ich więcej niż rollsów czy bentleyów.

Bella rzuciła buty na tylne siedzenie i przyspieszyła obroty silnika, aż strzałka znalazła się na czerwonym polu; opony zapiszczały i zostawiły czarne ślady na podjeździe parkingu. Gdy zobaczyła je w lusterku, poczuła dziką radość.

Jechała nie zważając na przepisy, przed gniewem policji chroniły ją dyplomatyczne tablice rejestracyjne. Właściwie nie miała do nich prawa, ale tata załatwił je dla niej.

Pobiła własny rekord w jeździe z powrotem do Highveld, rezydencji ambasadora znajdującej się w dzielnicy Chelsea. Służbowy bentley taty z chorągiewkami na błotnikach był zaparkowany przed wejściem, a szofer Klonkie uśmiechnął się do niej i zasalutował. Większość służby ojciec przywiózł ze sobą z Kapsztadu.

Bella panowała już nad sobą na tyle, że mogła zrobić słodką Mine wręczając kierowcy kluczyki.

– Bądź tak dobry i odprowadź mój samochód, Klonkie.

Tata był niezwykle stanowczy, jeśli chodziło o traktowanie służby. Mogła wyładowywać swoje złe nastroje na wszystkich oprócz niej.

– Ci ludzie są częścią rodziny, Bellu.

Większość z nich rzeczywiście była już od dawna w Weltevreden, rodzinnym domu na Przylądku Dobrej Nadziei, gdy Isabella się urodziła.

Ojciec pracował w swoim gabinecie na parterze, skąd okna wychodziły na ogród. Zdjął marynarkę i krawat. Biał biurka pokrywały liczne dokumenty, ale odłożył długopis i obrócił się z fotelem ku niej, gdy weszła. Na widok córki twarz mu się rozjaśniła.

Bella usiadła ojcu na kolanach i pocałowała go.

– Boże – zamruczała – jesteś najpiękniejszym mężczyzną na świecie.

– Daleki jestem od tego, by kwestionować tę pochlebną opinię. – Shasa Courtney uśmiechnął się. – Ale czy wolno zapytać, co spowodowało taką wylewność?

– Mężczyźni są albo nieokrzesani, albo nudni – rzekła. – Wszyscy z wyjątkiem ciebie, oczywiście.

– Ach! A cóż takiego uczynił młody Roger, że wywołał twój gniew? Mnie wydaje się on dosyć nieszkodliwy, jeśli nie bezbronny.

Roger towarzyszył jej na koncercie. Zostawiła go na zatłoczonym trawniku przed sceną, ale teraz dopiero po chwili przypomniała sobie o nim.

– Mam dosyć mężczyzn na całe życie – oświadczyła. – Chyba pójdę do klasztoru.

– Czy mogłabyś powstrzymać się ze złożeniem ślubów chociaż do jutra? Dziś wieczorem potrzebna mi gospodyni na przyjęcie, a jeszcze nie zdecydowaliśmy, jak rozmieścić gości.

– Wszystko już dawno załatwiłam zanim poszłam na koncert.

– A menu?

– Ustaliłam je z szefem kuchni w zeszły piątek. Nie panikuj, tato. Wszystko to, co lubisz: coquilles St Jacques i baranina z Camdeboo.

Shasa uznawał wyłącznie baraninę pochodzącą z własnych farm w Karu. Pustynna roślinność dodawała mięsu specyficzny ziołowy smak. Wołowinę, którą jadano w ambasadzie, sprowadzano z jego ogromnych posiadłości w Rodezji, a wina z winnic w Weltevreden, gdzie przez ostatnie dwadzieścia lat niemiecki zarządca pracował z takim talentem i zapałem nad podniesieniem jakości kolejnych roczników win, że obecnie Shasa mógł je postawić obok niektórych burgundów. Jego ambicją było wyprodukować takie wino, które można by porównywać z najlepszymi rocznikami z Côte d’Or. Gdy trzeba było taką spizarnię przetransportować z

Przylądka Dobrej Nadziei do Londynu, używano statku-chłodni.

– Odebrałam także twój smoking z pralni dziś rano oraz zamówiłam u Buddsa na Piccadilly Arcade trzy nowe koszule i tuzin przepasek na oko. Stare były już zniszczone. Wyrzuciłam je.

Wciąż siedząc na kolanach ojca, dotknęła delikatnie jego osłoniętego oczodołu. Shasa stracił lewe oko, gdy latał hurricanami w Abisynii, walcząc z Włochami podczas drugiej wojny światowej. W czarnej jedwabnej przepasce czuł się trochę jak pirat.

Shasa uśmiechnął się z zadowoleniem. Gdy po raz pierwszy zaprosił Bellę do Londynu, właśnie skończyła dwadzieścia jeden lat, zastanawiał się więc długo, zanim tak młodej osobie narzucił uciążliwe zadanie bycia oficjalną panią domu w ambasadzie. Niepotrzebnie się martwił. W końcu Bella została wychowana przez babkę. W dodatku przywieźli ze sobą szefa kuchni, rzeźnika i połowę służby z Przylądka, tak więc miała do dyspozycji wysoko wykwalifikowanych ludzi.

W ciągu trzech lat Isabella wyrobiła sobie dobrą opinię w kręgach dyplomatycznych, a jej zaproszenia cieszyły się dużą popularnością wszędzie, z wyjątkiem ambasad tych państw, które zerwały stosunki z Afryką Południową.

– Czy chcesz, żebym cię kryła, gdy ze swym izraelskim kolegą wymkniesz się po kolacji na pół godzinki, żeby skonstruować bombę atomową?

– Bellu! – Shasa zmarszczył brwi. – Wiesz, że nie lubię takich uwag.

– Żartowałam, tato. Nikt nas nie słyszy.

– Nawet prywatnie i żartem, Bellu – powiedział Shasa surowo. Ta uwaga była zbyt bliska prawdy. Izraelski attache wojskowy i Shasa rozpoczęli swe zaloty prawie rok wcześniej i posunęli się w nich znacznie poza stadium flirtu.

Pocałowała go i twarz mu złagodniała.

– Muszę się wykapać – wstała z kolan ojca. – Zaproszenia są na ósmą trzydzieści. Przyjdę zawiązać ci krawat dziesięć po siódmej.

Shasa wiązał sobie krawat przez czterdzieści lat, dopóki Isabella nie zdecydowała, że nie potrafi tego robić.

Wzrok Shasy spoczął na jej nogach.

– Jeśli twoje spódniczki będą jeszcze trochę krótsze, mademoiselle, to twój pępek będzie mrugał do księżycy.

– Naprawdę powinieneś starać się nie być takim starym piernikiem. To absolutnie nie pasuje do jednego z najfajniejszych ojców w dwudziestym wieku.

Skierowała się ku wyjściu, celowo podkreślając ruchy dolnej części ciała. Shasa westchnął, gdy drzwi się zamknęły.

We wrześniu kończy się trzyletni okres pracy Shasy na stanowisku ambasadora. Isabella znowu trafi pod kuratelę swej babki, Centaine Courtney-Malcomess. Zdawał sobie sprawę, że jego wysiłki wychowawcze z pewnością nie zawsze odnosiły odpowiedni skutek i z ulgą rzekłby się tej odpowiedzialności.

Myśląc o bliskim powrocie do Kapsztadu, Shasa spojrzął na dokumenty leżące na biurku. Lata spędzone w ambasadzie w Londynie były dla niego czasem politycznego zesłania. Gdy premier Hendrik Yerwoerd został zastrzelony w 1966 roku, Shasa popełnił poważny błąd w swoich kalkulacjach i poparł niewłaściwego kandydata na urząd premiera, skazując się w ten sposób na usunięcie na boczny tor polityki, ale – jak wiele razy wcześniej – i tym razem porażkę potrafił zamienić w triumf.

Używając wszystkich swoich talentów i wrodzonych zdolności, wykorzystując doskonałą orientację w interesach, aparycję, urok osobisty i zdolność perswazji, dokonał wiele, by odwrócić od swojej ojczyzny narastający gniew i pogardę świata, szczególnie laburzystowskiego rządu i brytyjskiej Wspólnoty Narodów, w której na czele większości państw stoją murzyńscy i azjatyccy premierzy. John Vorster wziął



pod uwagę te osiągnięcia. Przed wyjazdem z Afryki Południowej Shasa był ściśle związany z Armscorem i Vorster zaproponował mu objęcie fotela przewodniczącego Armscoru po powrocie do Afryki.

Armscor to, mówiąc krótko, największe przedsięwzięcie przemysłowe, jakie kiedykolwiek istniało na kontynencie afrykańskim. Była to odpowiedź państwa na embargo na dostawy broni, które nałożył prezydent Stanów Zjednoczonych, Dwight Eisenhower, a które obecnie ogłaszało coraz więcej krajów, pragnących doprowadzić do izolacji bezbronnej RPA. Armscor – Armaments Development and Production Company – skupiał pod jednym kierownictwem cały przemysł obronny kraju, finansowany przez rząd sumami sięgającymi miliardów dolarów.

Było to ogromne, ekscytujące wyzwanie, zwłaszcza że różnorodne przedsiębiorstwa, które wchodziły w skład imperium finansowego Courtneyów, były właściwie kierowane. W ciągu trzech lat pełnienia obowiązków ambasadora Shasa stopniowo przekazywał zarządzanie i kontrolę w ręce swojego syna Garry'ego Courtneya, który osiągnął już duże sukcesy jak na kogoś tak młodego; z drugiej jednak strony, Shasa był niewiele starszy, gdy został prezesem Courtney Enterprises.

Poza tym Centaine Courtney-Malcomess, założycielka i głowa imperium, udzielała wnukowi wsparcia. Pracował dla niego także zespół ekspertów, których Centaine i Shasa starannie wybierali przez czterdzieści lat.

Nie umniejszało to jednak w niczym osiągnąć Garry'ego, wśród których do największych należał sposób, w jaki przeprowadził on imperium przez ostatni krach na giełdzie papierów wartościowych w Johannesburgu, który spowodował obniżenie wartości niektórych walorów aż o sześćdziesiąt procent. Courtney Enterprises nie tylko nie zostało osłabione czy zniszczone, lecz wyszło z tej ciężkiej próby jeszcze silniejsze i osiągnęło większą płynność przepływu gotówki; znalazło się wówczas w pozycji pozwalającej na lepsze wykorzystanie okazji, które zaczęły pojawiać się na rynku.

Nie, Shasa uśmiechnął się i potrząsnął głową, Garry robił wspaniałe rzeczy, radził sobie świetnie i wzięcie go z powrotem pod kuratelę byłoby bardzo nie w porządku. Shasa był jednak jeszcze młody, niedawno przekroczył pięćdziesiątkę. Gdy wróci do domu, będzie potrzebował czegoś, co pozwoli mu zachować bystry umysł i sprawne ciało. Posada w Armscorze nadawała się do tego doskonale.

Oczywiście zachowa swoje miejsce w zarządzie imperium Courtneyów, ale większość czasu i energii poświęci Armscorowi. Znaczną część kontraktów mógłby zawrzeć z przedsiębiorstwami Courtneyów. Obu koncernom taka współpraca przyniosłaby ogromne korzyści, a w dodatku Shasa miałby dodatkową przyjemność, że jego patriotyczny zapal jest podsycany przez ogień kapitalistycznych nagród.

Uwaga Isabelli, która wywołała jego gwałtowną reakcję, była ściśle związana z nowymi ustaleniami. Wykorzystał swoje dyplomatyczne kontakty z ambasadą izraelską, aby zainicjować, a następnie rozwijać ideę wspólnego projektu nuklearnego. Dziś wieczorem wręczy izraelskiemu attache następny plik dokumentów, które mają być przekazane dyplomatyczną pocztą do Tel-Awihu.

Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze dwadzieścia minut, zanim będzie musiał iść na górę i przebrać się do kolacji, skoncentrował więc całą swoją uwagę na leżących przed nim papierach.

Nanny wyjęła suknię od projektantki Zandry Rhodes i przygotowała kąpiel dla Isabelli.

– Spóźniłaś się, miss Bella. A jeszcze muszę cię uczesać. Była Mulatką, jej krew Hotentotów miała domieszkę krwi najbardziej ruchliwych nacji.

– Nie denerwuj się tak – zaprotestowała Isabella, ale Nanny bezceremonialnie wciągnęła ją do łazienki, jakby miała wciąż pięć lat.

Gdy dziewczyna zanurzyła się po podbródek w pianie, Nanny zebrała jej rozrzucone ubranie.

– Twoja sukienka jest poplamiona trawą, dziecinko, a nowe majtki są porwane. Co się stało? – Nanny zawsze prała bieliznę Belli w rękę, nie powierzyłaby jej żadnej pralni.

– Grałam w dotykane rugby z jednym z Hell's Angels, Nanny. Nasza drużyna wygrała 30:0.

– Kiedyś się doigrasz. Wszyscy Courtneyowie mają gorącą krew. – Nanny wzięła do ręki podarte majtki i przyjrzała się im z ogromnym niezadowoleniem. – Już dawno powinnaś wyjść za mąż i się ustatkować.

– Jesteś sprośna. Lepiej powiedz mi, co się dzisiaj wydarzyło. Jak tam Klonkie i jego dziewczyna? – Isabella umiała odwrócić uwagę Mulatki.

Nanny była nałogową plotkarką i zwykle o tej porze dnia opowiadała Isabelli o ostatnich wypadkach z życia służby. Dziewczyna słuchała jej tylko jednym uchem i gdy wstała, by się namydlić, obejrzała swoje ciało w dużym lustrze, znajdującym się na przeciwległej ścianie łazienki.

– Czy nie sądzisz, że zaczęłam tyć, Nanny?

– Jesteś strasznie chuda i dlatego nikt się jeszcze z tobą nie ożenił – prychnęła Mulatka i wyszła do sypialni.

Isabella spróbowała spojrzeć na siebie całkowicie obiektywnie. Czy można by poprawić jej figurę? Czy piersi nie powinny być nieco większe? A może nie sterczą pod odpowiednim kątem? Czy biodra nie są za szerokie lub też siedzenie powinno być mniejsze? Po chwili pokręciła głową. Wszystko wydawało się niemal doskonałe.

– Ramonie de Santiago y Machado – wyszeptła – nigdy się nie dowiesz, co straciłeś.

Dlaczego zrobiło jej się nagle tak smutno?

– Znowu rozmawiasz sama ze sobą, dziecinko. – Nanny wróciła z ręcznikiem wielkości prześcieradła w wyciągniętych rękach. – No, wychodź. Musimy się pospieszyć.

Otuliła Isabelle w ręcznik i zaczęła energicznie wycierać jej plecy. Nie było sensu przekonywać Nanny, że Bella mogłaby zrobić to sama.

– Za mocno – dziewczyna protestowała tak od dwudziestu lat, lecz Nanny zawsze puszczała tę uwagę mimo uszu.

– Ile razy wychodziłaś za mąż, Nanny?

– Dobrze wiesz, że cztery, ale tylko raz w kościele. – Nanny spojrzała na nią z nagłym zainteresowaniem. – Dlaczego pytasz o małżeństwo? Czy znalazłaś coś ciekawego, stąd te rozdarte majtki?

– Ach, ty wulgarna staruszko! – Isabella uniknęła jej wzroku i po drodze do sypialni chwyciła szlafrok.

Wzięła do ręki szczotkę, lecz tylko raz przesunęła ją po włosach.

– To moja rzecz, dziecinko – powiedziała Nanny stanowczo. Isabella usiadła i przymknęła oczy, oddając się przyjemności, jaką było czesanie włosów przez Mulatkę.

– Wiesz co, myślę, że zdecyduję się na dziecko, żebyś mogła marudzić komu innemu, a mnie dała spokój.

Nanny trafiła szczotką w powietrze, tak poruszył ją ten pomysł i powiedziała surowo:

– Najpierw wyjdź za mąż, a potem będziemy mówić o dziecku.

Kreacja od Zandry Rhodes była jak obłok o subtelnym kolorze, połyskujący cekinami i drobnymi perłami. Nawet Nanny kiwała głową i patrzyła z zadowoleniem, gdy dziewczyna wykręcała przed nią piruety.

Isabella szła na naradę w ostatniej chwili z szefem kuchni i była już w połowie schodów, gdy przyszedł jej do głowy pewien pomysł; zatrzymała się nagle. Jednym z dzisiejszych gości miał być hiszpański charge d'affaires, w ciągu sekundy zmieniła więc w myśli plan rozmieszczenia gości przy stole.

– Tak, oczywiście – hiszpański dyplomata kiwnął głową, gdy tylko wymieniła nazwisko. – Stary andaluzyjski ród. O ile dobrze pamiętam, markiz de Santiago y Machado opuścił Hiszpanie i udał się na Kubę po wojnie domowej. Swego czasu miał na wyspie znaczne obszary upraw trzciny cukrowej i tytoniu, ale przypuszczam, że Castro wszystko tam zmienił.

Markiz – ta odpowiedź na chwilę zamknęła Isabelli usta. Jej wiedza na temat hiszpańskiej szlachty była mniej niż mizerna, ale wydawało jej się, że markiz to tytuł niewiele niższy niż książę.

„Markiza Isabella de Santiago y Machado” – powiedziała do siebie.

Ostrożnie popuściła wodze wyobraźni i znowu ujrzała zielone, nieubłagane oczy; przez chwilę miała trudności z oddychaniem. W jej głosie wciąż jeszcze pobrzmiwała figlarna nutka, gdy zapytała:

– Ile lat ma markiz?

– Myślę, że jest już w poważnym wieku. To znaczy, o ile jeszcze żyje. Musi mieć około siedemdziesięciu lat.

– A może ma syna?

– Tego nie wiem – dyplomata pokręcił głową. – Ale jeśli pani sobie życzy, mogę przeprowadzić mały wywiad.

– Och, to byłoby bardzo miłe z pana strony. – Isabella położyła dłoń na jego ręce i uśmiechnęła się do niego najmilej, jak tylko potrafiła.

„Markiz czy nie, Isabelli Courtney tak łatwo się nie wywinie” – pomyślała z zadowoleniem.

\*

– Prawie dwa tygodnie zajęło wam nawiązanie kontaktu, a gdy to się w końcu udało, od razu pozwoliliście jej zniknąć.

Mężczyzna siedzący przy stole zgasił papierosa w przepelnionej popielniczce, która stała przed nim, i natychmiast zapalił następnego. Na koniuszkach dwóch palców prawej ręki miał żółte plamy, a dymu z tureckich papierosów, które palił bez przerwy, było w pokoju tak dużo, że tworzył niebieską mgłę.

– Czy to było zgodne z rozkazem? – zapytał. Ramon Machado lekko wzruszył ramionami.

– To był jedyny pewny sposób, by pozyskać i skoncentrować na sobie na dłużej jej uwagę. Musicie wiedzieć, że ta kobieta jest przyzwyczajona do męskiej admiracji. Wystarczy, że kiwnie palcem i już jest wokół niej masa facetów. Powinniście mi zaufać w tej kwestii.

– Pozwoliliście jej uciec – starszy mężczyzna wiedział, że się powtarza, ale ten gość był irytujący.

Nie lubił go i nie znał jeszcze na tyle dobrze, by mu zaufać. Właściwie nikomu ze swoich podwładnych nie ufał do końca. Ale ten był zbyt pewny siebie, zbyt arogancki. Wymówkę skwitował wzruszeniem ramion. Ktoś inny zapewne by się tłumaczył, a on bez skrupowania dał do zrozumienia, że bardziej ceni własną opinię niż zdanie wyższego rangą oficera.

Joe Cicero przykrył oczy dłonią. Były tak mętne, jak kałuże starego oleju silnikowego, zaskakująco czarne przy bledości jego skóry i srebrnobiałych włosach, które zwisały mu nad uszami i na czole.

– Mieliście rozkaz nawiązać kontakt i utrzymać go.  
– Z całym szacunkiem, towarzyszu dyrektorze, miałem wkraść się w łaski tej kobiety, a nie biegać za nią, ujadając jak wściekły pies.

Nie, Joe Cicero nie lubił go. I to nie tylko za arogancję. Był obcokrajowcem, a Joe Cicero uważał każdego nie-Rosjanina za cudzoziemca. Bez względu na to, co wynikało z idei międzynarodowego socjalizmu, Niemcy z NRD, Jugosłowianie, Węgrzy, Kubańczycy czy Polacy – wszyscy byli dla niego obcokrajowcami. Do furii doprowadzało go to, że musiał część odpowiedzialności za pracę sekcji, którą kierował od prawie trzydziestu lat, przekazywać innym. Zwłaszcza ludziom takim jak ten.

Machado nie tylko był cudzoziemcem, ale, co więcej, jego korzenie były zepsute. Nie pochodził z proletariatu, nawet nie z pogardzanej burżuazji, lecz należał do tego znienawidzonego, przestarzałego systemu klas i przywilejów – był arystokratą.

Wprawdzie Machado mówił lekceważąco o swoim pochodzeniu, pogardzał nim, a tytułu używał tylko wówczas, gdy pomagało mu to w osiągnięciu jakiegoś celu, ale według Cicero w jego żyłach płynęła skażona krew, a arystokratyczne maniery były obelgą dla tego wszystkiego w co on, Cicero, wierzył.

Co więcej Ramon urodził się w Hiszpanii, w faszystowskim kraju, w którym panowali katolicy królowie, będący wrogami ludu. Obecnie sytuacja tam przedstawiała się jeszcze gorzej, gdyż władzę sprawował Franco, który stłumił komunistyczną rewolucję. Ramon mógł nazywać siebie kubańskim socjalistą, ale dla Cicero śmierdział hiszpańskim faszyzmem i arystokracją.

– Pozwoliliście jej uciec – trwał przy swoim. – Cała ta operacja kosztowała tyle czasu i pieniędzy.

Zdawał sobie sprawę, że jest niezręczny i niezgrabny i że siły zaczynają go zawodzić. Choroba zaczynała już mącić mu umysł.

Ramon uśmiechnął się, był to ten protekcyjny uśmiech, którego Joe Cicero tak nienawidził.

– Jest złapana jak ryba; może sobie pływać, aż będę gotowy, by ją wyłowić.

Znowu sprzeciwił się przełożonemu. Joe Cicero stwierdził, że w tym mężczyźnie najbardziej go drażni młodość, atrakcyjność i zdrowie. Przy nim miał bolesną świadomość własnej śmiertelności, bo Joe Cicero umierał.

Od dzieciństwa palił mocne tureckie papierosy, i w końcu podczas ostatniej wizyty w Moskwie doktorzy wykryli u niego raka płuc; zaproponowali leczenie w jednym z sanatoriów przeznaczonych dla wysokich rangą oficerów. Joe Cicero wybrał dalszą służbę, ponieważ chciał dopilnować, aby na jego miejsce został wybrany właściwy człowiek. Gdyby wiedział wówczas, że ma nim być ten Hiszpan, być może pojechałby do sanatorium.

Teraz czuł się zmęczony i zniechęcony. Zapał i entuzjazm się wyczerpały. Jeszcze kilka lat temu jego włosy były czarne i gęste, a teraz zrobiły się prawie białe; gdzieś tam tylko przetykane żółtymi kosmykami przypominały wysuszone wodorosty; już po kilkunastu krokach zaczynał kichać i kasłać jak astmatyk.

Ostatnio często budził się w nocy zlany potem i gdy leżąc w ciemności łapczywie chwycił powietrze, dręczyły go ogromne wątpliwości. Czy warto było poświęcić całe życie wyteżonej pracy? Jakie przyniosła mu ona korzyści? Jakie sukcesy osiągnął?

Przez prawie trzydzieści lat służył w wydziale Afryki w czwartym departamencie KGB. Przez ostatnie dziesięć lat kierował sekcją Południe, odpowiadającą za kontynent afrykański poniżej równika i, co dość oczywiste, większość uwagi poświęcał najbardziej rozwiniętemu, najbogatszemu krajowi w tym regionie – Republice Południowej Afryki.

Przy stole siedział jeszcze jeden mężczyzna, Murzyn. Dotąd milczał, lecz teraz

zauważył chłodno:

– Nie rozumiem, dlaczego tyle czasu dyskutujemy o tej kobiecie. Proszę mi to wyjaśnić.

Obaj biali mężczyźni zwrócili się ku niemu. Gdy Raleigh Tabaka mówił, pozostali zwykle słuchali. Roztaczał wokół siebie jakąś szczególną aurę, wszystko więc, co robił, przykuwało uwagę innych.

Przez całe życie Joe Cicero pracował z czarnymi mieszkańcami Afryki, przywódcami ruchów wyzwoleniczych i walki socjalistycznej. Wśród nich byli między innymi: Jomo Kenyatta i Kenneth Kaunda, Kwame Nkrumah i Julius Nyerere. Niektórych znał bardzo dobrze – ludzi takich jak Moses Gama, skazany na karę śmierci czy Nelson Mandela, wciąż więziony przez białych rasistów.

Cicero umieszczał Raleigha Tabakę na czele tej grupy. Raleigh, siostrzeniec Mosesa Gamy, był świadkiem, jak pewnej nocy policja południowoafrykańska zamordowała wuja. Wydawało się, że odziedziczył jego bogatą osobowość i silny charakter, zajął więc miejsce, które pozostawił Gama. Miał trzydzieści lat, a był już wicedyrektorem Umkhonto we Sizwe, „Włóczy Narodu”, zbrojnej formacji Afrykańskiego Kongresu Narodowego (ANC). Joe Cicero wiedział, że wielokrotnie sprawdził się i w walce, i podczas obrad ANC. Miał talent, odwagę i determinację, by osiągnąć więcej niż ktokolwiek inny w Afryce.

Joe Cicero wolał go od hiszpańskiego arystokraty, ale zauważył, że pomimo różnego koloru skóry i pochodzenia byli oni ulepiani z tej samej gliny. Twardzi, niebezpieczni ludzie, którzy wiele razy zetknęli się z przemocą i śmiercią i którzy doskonale dawali sobie radę we wciąż zmieniających się układach politycznych. Im właśnie Joe Cicero miał przekazać kierownictwo; żałował tego i nienawidził ich za to.

– Ta kobieta – powiedział ciężko – mogłaby być niezwykle cenna, gdyby ją kontrolowano i odpowiednio wykorzystywano, ale lepiej niech markiz to wam wyjaśni. Ta sprawa należy do niego, to on zajmował się obserwacją.

Uśmiech zniknął nagle z twarzy Ramona, a oczy zwęziły mu się złowrogo.

– Wolałbym, żeby towarzysz dyrektor nie wymieniał tego tytułu – powiedział zimno. – Nawet w żartach.

Joe Cicero wiedział, że tylko w ten sposób może przebić jego szczelny pancierz.

– Wybaczcie, towarzyszu – pochylił głowę w drwiącym geście przeprosin. – Ale niech moja niezręczność nie przerywa waszego opowiadania.

Ramon Machado otworzył skoroszyt, lecz nawet nie rzucił na niego okiem. Wszystko, co było tam napisane, znał na pamięć.

– Nadaliśmy tej kobiecie pseudonim Czerwona Róża. Nasi psychiatrzy sporządzili szczegółowy raport na jej temat. Według ich oceny jest bardzo podatna na umiejętną rekrutację. Ma wszelkie dane ku temu, by stać się bardzo cennym agentem.

Raleigh Tabaka przechylił się do przodu, słuchając z zainteresowaniem.

Ramon zauważył, że nie przerwał mu jeszcze żadnym pytaniem lub komentarzem i docenił to. Dotychczas nie pracowali razem; spotkali się dopiero trzeci raz, toteż obaj badali i oceniali się nawzajem.

– Czerwona Róża łatwo może popaść w emocjonalną rozterkę. Przez ojca należy do białej klasy panującej w Republice Południowej Afryki. Właśnie kończy on kadencję jako ambasador w Wielkiej Brytanii i wraca do kraju, by objąć stanowisko prezesa narodowej korporacji zbrojeniowej. Posiada ogromne udziały w kopalniach, ziemi i gotówce; po Oppenheimierach i ich angloamerykańskim koncernie jest to chyba najbardziej wpływowa rodzina w tej części Afryki.

W dodatku ojciec ma kontakty z najważniejszymi osobami sprawującymi władzę w RPA. Ale najważniejsze jest to, że nie widzi on świata poza Czerwoną Różą, która bez trudu dostanie od niego wszystko, czego tylko zapragnie. Może to ułatwić nam

przeniknięcie na dowolny poziom w hierarchii władzy, a także dotarcie do informacji o dowolnym znaczeniu, nawet dotyczących jego nowej posady w korporacji.

Raleigh Tabaka skinął głową. Znał rodzinę Courtneyów i zgadzał się z tą oceną.

– Poznałem kiedyś matkę Czerwonej Róży, ale ona jest po naszej stronie – powiedział, a Ramon przytaknął.

– Shasa rozwiódł się z Tarą siedem lat temu. Wraz z pańskim wujem, Mosesem Gamą wzięła udział w zamachu bombowym na rasistowski parlament, za co został on aresztowany, a następnie zamordowany. Była kochanką Gamy i matką jego nieślubnego syna. Po wykryciu spisku Tara Courtney uciekła z RPA wraz z dzieckiem Gamy. Mieszka teraz w Londynie i działa w ruchu antyapartheidowskim. Jest także członkiem Afrykańskiego Kongresu Narodowego, ale uważa się ją za osobę niezbyt kompetentną i niestabilną pod względem emocjonalnym, dlatego ma dosyć niski stopień i jest przeznaczona do rutynowych zadań. Obecnie prowadzi dom dla personelu ANC tu i w Londynie, i czasami wykonuje jakieś zadanie jako kurierka lub pomaga w organizacji zjazdów i demonstracji. Jej prawdziwa potencjalna wartość to wpływ na Czerwoną Różę.

– Tak – zgodził Raleigh się niecierpliwie. – Wiem o tym wszystkim, zwłaszcza o jej związku z moim wujem, ale czy ona rzeczywiście ma jakiś wpływ na córkę? Zdaje się, że sympatie Czerwonej Róży znajdują się zdecydowanie po stronie ojca?

Ramon ponownie skinął głową.

– W tej chwili tak jest w istocie. Ale poza matką w tej rodzinie jest jeszcze jedna osoba o radykalnych poglądach – Michael, brat dziewczyny, który ma na nią znacznie większy wpływ. Ponadto są także inne sposoby pozyskania jej.

– Jakie? – zapytał Tabaka.

– Jedna z nich to słodka pułapka – powiedział Joe Cicero. – Markiz... przepraszam... towarzysz Machado nawiązał kontakt w sposób, który to umożliwił. Słodka pułapka to jedna z jego licznych specjalności.

– Proszę mnie informować o rozwoju wydarzeń – rzekł Raleigh.

Żaden z nich nie odpowiedział od razu. Mimo że Tabaka został wybrany do władz Afrykańskiego Kongresu Narodowego i należał do Partii Komunistycznej, nie był – w przeciwieństwie do pozostałej dwójki – oficerem rosyjskiego KGB. Natomiast Joe Cicero czuł się przede wszystkim wysokim rangą oficerem KGB, chociaż awans z pułkownika na generała-pułkownika otrzymał zaledwie przed miesiącem, gdy w moskiewskiej klinice wykryto u niego raka w obu płucach. Joe Cicero uważał, że został awansowany tylko dlatego, by po długoletniej służbie w departamencie mógł otrzymywać wyższą emeryturę. Dla niego najważniejsza była wierność Matce Rosji, a dopiero na drugim miejscu członkostwo w ANC. Do końca będzie lojalny wobec ojczyzny, ANC zaś otrzyma tylko te informacje, które są mu niezbędne.

Ramon Machado także zawsze był lojalny. Urodził się w Hiszpanii i miał hiszpański tytuł szlachecki, ale jego matka była Kubanką o ciemnoniebieskich oczach i kruczoczarnych włosach. Poznała ojca Ramona, gdy jako młoda dziewczyna pracowała w posiadłościach rodziny Machado w pobliżu Hawany na Kubie. Po ślubie markiz zabrał swoją piękną żonę z ludu do Hiszpanii.

W czasie hiszpańskiej wojny domowej pozostawał w opozycji wobec nacjonalistów generała Francisco Franco. Pomimo arystokratycznego pochodzenia i odziedziczonego majątku ojciec Ramona był oświeconym liberałem. Przyłączył się do armii republikańskiej i dowodził batalionem podczas oblężenia Madrytu, gdzie został ciężko ranny. Po wojnie rodzina Machado była poddana dyskryminacji i prześladowaniom ze strony reżimu generała Franco. Markiza wymogła na mężu, by zawiózł ją i małego synka z powrotem na jej ojczystą wyspę na Karaibach. Mimo że odebrano im większość posiadłości i majątku w Hiszpanii, rodzina wciąż

dysponowała swoimi dobrami na Kubie. Ale ród Machado wkrótce przekonał się, że życie pod jarzmem Batisty nie było lepsze niż dyktatura generała Franco.

Matka Ramona była ciotką lewicowego agitatora i studenta Fidela Castro i należała do jego najżarliwszych zwolenniczek, toteż wzięła aktywny udział w kampanii przeciwko reżimowi Batisty. Pierwsze sympatie polityczne młodego Ramona ukształtowały się więc pod wpływem matki i jej słynnego siostrzeńca.

Gdy Fidel Castro trafił do więzienia za przeprowadzenie śmiałego, lecz nieudanego ataku na koszary w Santiago dwudziestego szóstego lipca 1953 roku, wraz z rebeliantami aresztowano rodziców Ramona.

Matka zmarła w czasie przesłuchania, a ojciec – zaledwie kilka tygodni później, w tym samym więzieniu, z powodu złego traktowania i z rozpacz. Po raz kolejny posiadłości rodzinne zostały skonfiskowane, a jedyną rzeczą, którą Ramon odziedziczył, był tytuł markiza. Miał wówczas czternaście lat. Rodzina Castra przygarnęła go i zaopiekowała się nim.

Gdy Fidel Castro został zwolniony z więzienia na mocy amnestii, Ramon udał się wraz z nim do Meksyku i w wieku lat szesnastu został jednym z pierwszych ochotników w kubańskiej armii wyzwoleniczej na obczyźnie.

Właśnie w Meksyku nauczył się wykorzystywać swój niezwykle atrakcyjny wygląd i rozwinął swe naturalne zdolności podbijania serc kobiet. Gdy miał siedemnaście lat, koledzy z armii nadali mu pseudonim El Zorro Dorado, „Złoty Lis” i jego reputacja jako kochanka, któremu żadna kobieta się nie oprze, była już ustalona.

Do czasu aresztowania i śmierci ojca w więzieniu Batisty Ramon, jedyny syn bogatej arystokratycznej rodziny, odbierał staranne wykształcenie. Uczęszczał do ekskluzywnej szkoły w Anglii i dwa lata spędził w Harrow, toteż władał językiem angielskim równie swobodnie jak ojczystym hiszpańskim. W czasie nauki rozwinął swe nieprzeciętne zdolności, a ponadto nabrał manier młodego dżentelmena. Świetnie jeździł konno, dobrze grał w baseball i łowił ryby. Był doskonałym strzelcem i z powodzeniem polował na hiszpańskie czerwonoogie kuropatwy oraz meksykańskie gołębie o białych skrzydłach. Potrafił także tańczyć, śpiewać, a do tego był piękny. Gdy wrócił na Kubę z Fidelem Castro i osiemdziesięcioma dwoma bohaterami z drugiego grudnia 1956 roku, pokazał, ile jest wart jako żołnierz, kiedy większość dzielnych towarzyszy zginęła.

El Zorro był pośród tych, którzy przeżyli i uciekli z Castrem w góry. W ciągu lat walki partyzanckiej często wysyłano go do miast i wsi, aby ćwiczył się w sztuce uwodzenia na dziesiątkach kobiet młodych i starszych, pięknych i przeciętnych. W ramionach Ramona stawały się pełnymi entuzjazmu córkami rewolucji. Z każdym podbojem nabierał doświadczenia i pewności siebie, a jego oddział kobiet-ochotniczek odegrał ważną rolę w ostatecznym zwycięstwie i obaleniu reżimu Batisty.

Castro był w pełni świadomy potencjalnej wartości swojego krewnego i protegowanego, więc kiedy objął władzę, nagroził go wysyłając na dalszą edukację na kontynent amerykański. Studiując tam historię polityczną i antropologię społeczną na Uniwersytecie Florydy, Ramon wykorzystywał swoje amatorskie umiejętności i infiltrował grupę kubańskich emigrantów, którzy we współpracy z CIA przygotowywali kontrrewolucje i inwazję na wyspę. Dzięki swej inteligencji poznał dokładny czas i miejsce lądowania w Zatoce Świń, co pozwoliło na rozgromienie zdrajców. Wówczas jego niezwykle zdolności zostały docenione nie tylko w kraju, ale także przez szprymierzeńców.

Gdy ukończył z wyróżnieniem uniwersytet i powrócił do Hawany, szef KGB na Kubie nakłonił Castra, by wysłał Ramona do Moskwy na dalsze szkolenie. W Rosji Ramon zadziwił KGB swymi umiejętnościami i możliwościami. Należał do nielicznych, którzy dawali sobie radę w każdej warstwie społeczeństwa, od

prymitywnych obozów partyzanckich w dżungli do salonów i ekskluzywnych prywatnych klubów w największych stolicach świata.

Za wiedzą i zgodą Fidela Castro został przyjęty do KGB. Biorąc pod uwagę jego kontakty, należało się spodziewać, że zostanie wyznaczony na szefa wspólnej komisji koordynującej rosyjskie i kubańskie działania w Afryce.

Pracując na tym stanowisku, Ramon dokładnie przyjrzał się afrykańskim socjalistycznym ruchom wyzwoleniczym i był odpowiedzialny za wybór spośród nich tych organizacji, które miały otrzymać pełne wsparcie ze strony Rosji i Kuby. To właśnie on zainicjował politykę, która doprowadziła do tego, że w działaniach na terenie południowej Afryki Kuba zaczęła zastępować Matkę Rosję, a on odpowiadał za dostawy broni i szkolenie afrykańskich grup oporu. W związku z tym został członkiem Afrykańskiego Kongresu Narodowego.

W bardzo krótkim czasie odwiedził wszystkie kraje Afryki znajdujące się w obszarze jego działalności, używając swojego hiszpańskiego paszportu i tytułu szlacheckiego, przybierając pozę kapitalistycznego inwestora i bankiera z referencjami pochodzącymi z czwartego departamentu KGB. Biała kolonialna administracja przyjmowała go bez zastrzeżeń, wszyscy gościli go z honorami: od gubernatorów portugalskiej Angoli i Mozambiku, po brytyjskiego gubernatora Rodezji. Był nawet na obiedzie ze słynnym architektem apartheidu, przywódcą białych w RPA, Hendrikiem Yerwoerdem.

Kiedy okazało się, że trzeba wyznaczyć następcę zapadającego na zdrowiu generała Cicero, kwalifikacje i doświadczenie Ramona sprawiły, że wybór natychmiast padł na niego.

Tak więc, gdy teraz siedział w pokoju na tyłach rosyjskiego konsulatu na Bayswater Road z człowiekiem, którego miejsce wkrótce miał zająć, i tym czarnym przywódcą partyzanckim, pamiętał o swoich powinnościach, tak samo jak jego przełożony.

Gdy Raleigh Tabaka powiedział: „Proszę mnie informować o rozwoju wydarzeń”, dowiódł swej naiwności. Będzie wiedział tylko o tym, co oni uznają za ważne dla niego. Ramon, podobnie jak jego rząd, uważał, że wyznaczenie tego człowieka i organizacji, którą reprezentował, jako przyszlą elitę rządzącą w Afryce Południowej było jedynie pierwszym krokiem na drodze ku ostatecznemu celowi, czyli socjalizmowi, obejmującemu kontynent afrykański wzdłuż i wszerz.

– Oczywiście, będziecie informowani na bieżąco o wszystkim, co dotyczy tej sprawy, jak i innych, w których nasze interesy są zbliżone. – Ramon zapewnił go tonem tak szczerym, że Murzyn rozsiadł się wygodniej w fotelu i odwzajemnił uśmiech markiza. Niewiele ludzi, mężczyzn czy kobiet, było nieczułych na jego urok.

Ramon z satysfakcją stwierdził, że ta dziwna moc działa nawet na tak twardego i bezkompromisowego człowieka jak ten Murzyn.

Raleigh Tabaka zdawał sobie w pełni sprawę, że biały jest bardzo dumny ze swego wpływu, choć nie dał tego po sobie poznać, a jedynie na chwilę zwięźlił się jego zielone oczy. Tylko ktoś, kto miał tak wyczulony zmysł obserwacji jak Raleigh, mógł to zauważyć. Tabaka obserwował białych z Kuby i Rosji przez wiele lat i doszedł do wniosku, że w postępowaniu z nimi jedna rzecz jest pewna. Nigdy nie należało im ufać, w żadnej sytuacji i w najmniejszym szczególe.

Nauczył się udawać, że się zgadza, że podporządkowuje się ich decyzjom, na przykład przez wystudiowane rozluźnienie się i szczerzy uśmiech. Ale nigdy, ani przez chwilę, nie zapomniał, że są białymi. Jak większość Afrykanów był rasistą i miał silne poczucie więzi plemiennej. Tak samo nienawidził białych przy stole konferencyjnym, którzy odnosili się do niego z wyższością, jak białych policjantów, którzy strzelali w Sharpeville.



Nigdy nie zapominał tamtego tragicznego dnia, gdy pod błękitnym afrykańskim niebem trzymał w ramionach dziewczynę, którą kochał, piękną Murzynkę, mającą zostać jego żoną. Patrzył, jak umiera, a potem włożył palce w rany od kul na jej piersi i poprzysiągł zemstę.

Obejmował nią nie tylko zabójców, ale wszystkich białych, którzy na długie lata narzucili im swoją władzę i uczynili niewolnikami. Nienawiść była treścią życia Raleigha Tabaki.

Patrzył na siedzących przy stole mężczyzn i uśmiechał się; z nienawiści czerpał siłę i pewność, że podejmuje właściwe decyzje.

– A więc – powiedział – uzgodniliśmy, że zajmiecie się tą kobietą. Przejdźmy do następnej sprawy.

– Chwileczkę. – Ramon podniósł rękę, aby go powstrzymać i zwrócił się do swego zwierzchnika. – Jeśli mam pracować dalej nad Czerwoną Różą, to pozostaje jeszcze kwestia kosztów tej operacji.

– Przeznaczaliśmy już na nią dwa tysiące funtów – zaprotestował generał Cicero.

– Wystarczyło to zaledwie na fazę przygotowań. Budżet trzeba będzie zwiększyć – stwierdził stanowczo Ramon. – Czerwona Róża jest córką bogatego kapitalisty i żeby zrobić na niej wrażenie, będę musiał nadal grać rolę hiszpańskiego granda.

Sprzeczali się jeszcze przez kilka minut, podczas gdy Raleigh Tabaka niecierpliwie stukał ołówkiem w stół. Wydział afrykański był kopciuszkiem czwartego departamentu i liczył się tu każdy rubel.

„To poniżające” – myślał Tabaka, gdy słuchał, jak się targowali. Przypominali bardziej stare kobiety sprzedające dynie przy piaszczystej afrykańskiej drodze, niż mężczyzn planujących obalenie imperium zła i wyzwolenie piętnastu milionów jego prześladowanych czarnych mieszkańców.

W końcu doszli do porozumienia, a Raleigh, z trudem ukrywając odrazę, powtórzył:

– Czy możemy zająć się teraz omówieniem planu mojej podróży po Afryce? – Sądził, że to był główny powód spotkania. – Czy nadeszła już zgoda z Moskwy?

Dyskusja trwała do popołudnia, następnie zjedli skromny lunch przysłany ze stołówki konsulatu. Przez chmurę dymu z papierosów generała z trudem przebijały się promienie słońca, docierające tu przez jedyne okno. Pokój ten, znajdujący się na ostatnim piętrze, był silnie strzeżony i regularnie przeszukiwano go, więc nie było w nim żadnych urządzeń podsłuchowych.

W końcu Joe Cicero zamknął leżące przed nim akta i spojrzał na współpracowników. Jego ciemne oczy nabiegły krwią od dymu i ze zmęczenia.

– Myślę, że to już wszystko, chyba że macie coś nowego? – zwrócił się do pozostałych mężczyzn. Pokręcili przecząco głowami.

– Jak zwykle towarzysz Machado wyjdzie pierwszy – powiedział Cicero.

Podstawową zasadą było, że nikt nie może widzieć ich razem.

Ramon opuścił konsulatu przez wydział wizowy, najbardziej zatłoczoną część budynku, gdzie trudno byłoby go zauważyć w tłumie ludzi ubiegających się o dokumenty umożliwiające podróż do Związku Sowieckiego.

Tuż obok konsulatu wszedł do autobusu linii 88, ale wysiadł na następnym przystanku i szybko dotarł przez Lancaster Gate do Kensington Gardens. Zaczekał w ogrodzie różanym, aż upewnił się, że nikt go nie śledzi i dopiero wtedy ruszył przez park.

Jego mieszkanie mieściło się przy niewielkiej uliczce odchodzącej od Kensington High Street. Zostało wynajęte specjalnie z powodu tej operacji i choć miało tylko jedną sypialnię, pokój dzienny był obszerny, a lokalizacja wygodna. W ciągu ostatnich dwóch tygodni Ramonowi udało się osiągnąć to, że miało się wrażenie, iż

wnętrze to jest zamieszkane od dawna. Jego rzeczy osobiste przywieziono tu z Kuby w dyplomatycznym bagażu. Było wśród nich kilka dobrych obrazów, które pozostawił mu ojciec, i trochę innych drobiazgów, takich jak rodzinne fotografie w srebrnych ramkach, przedstawiające rodziców, zamek i posiadłości w Andaluzji, zrobione za dobrych czasów. Wyroby ze szkła i porcelany były zdekompletowane, ale miały herb rodziny Machado: jelenia i niedźwiedzia stojącego na tylnych łapach, umieszczone po obu stronach podzielonej na cztery części tarczy. Kije do gry w golfa leżały rzucone niedbale w rogu małego przedpokoju wraz z używaną skórzaną torbą Hermesa, na której delikatnie zarysowane kontury herbu prawie wytarły się od noszenia. Z tego, co dowiedział się o Czerwonej Róży, wnosił, że zwróci uwagę na takie szczegóły.

Spojrzał na starego złotego cartiera – jeszcze jedną rodzinną pamiątkę – którego nosił na rękę, choć było mu w nim niewygodnie. Trzeba się spieszyć. Miał gęsty i ciemny zarost, musiał się więc jeszcze raz ogolić, a potem zmył z włosów zapach tureckich papierosów generała Cicero.

Gdy przechodził do sypialni, rzucił okiem do lustra. Był w świetnej formie. Trzy tygodnie wcześniej wrócił z Rosji, gdzie wziął udział w kursie dla wyższych oficerów, zorganizowanym w ośrodku szkoleniowym KGB na wybrzeżu Morza Czarnego. Zdobył tam tak doskonałą kondycję fizyczną, że choć teraz niewiele czasu mógł poświęcić na ćwiczenia, wciąż czuł się świetnie. Sylwetkę miał wysportowaną, brzuch płaski. Stwierdził to bez odrobiny próżności. Twarz i ciało były po prostu narzędziami, służącymi do osiągnięcia celów, które mu wyznaczano. Nie łudził się co do trwałości swych fizycznych warunków, ale dbał, by jak najdłużej były atrakcyjne, dokładnie w taki sam sposób, w jaki żołnierz dba o swoją broń.

„Jutro na siłownię” – zapowiedział sobie.

Ramon korzystał z ośrodka sportowego w Bloomsbury, prowadzonego przez węgierskiego emigranta. Dwie godziny wyłożonych ćwiczeń kilka razy w tygodniu pozwolą mu zachować dobrą formę na operację Czerwona Róża.

Włożył bryczesy, wełnianą koszulę od Treviry w kolorze szafwii, zielony krawat oraz tweedową kurtkę. Buty do jazdy konnej były doskonałej jakości; gdy szedł, garbowana, połyskująca skóra delikatnie zginała się powyżej kostek.

Wiedział, że Czerwona Róża uwielbia jazdę konną; w jej świecie konie stanowiły ważną część życia. Z pewnością takie buty będą świadczyły, że oboje należą do tej samej elitarnej grupy.

Zamknął mieszkanie i wyszedł na ulicę. Chmury deszczowe, które wcześniej wydawały się tak groźne, zniknęły. Było piękne letnie popołudnie. Nawet żywioły mu sprzyjały.

Stajnie znajdowały się za koszarami Gwardii. Zarządca poznał go natychmiast. Ramon wpisał swoje nazwisko do rejestru i przeleciał wzrokiem całą stronę. Okazało się, że szczęście nadal go nie opuszczało. Czerwona Róża wynajęła wierzchowca dwadzieścia minut wcześniej.

Poszedł do stajni, gdzie osiodłano mu młodą gniadą klacz, którą wybrał dla siebie i za którą zapłacił pięćset funtów. Była to jednak niezwykła okazja i wiedział, że jeśliby zdecydował się sprzedać tego konia, nie tylko odzyskałby pieniądze, ale z pewnością jeszcze by zarobił. Sprawdził popręg i przez chwilę przemawiał łagodnie do klaczy poklepując ją po szyi, po czym skinął głową stajennemu i wskoczył na siodło.

W takie popołudnie w Rotten Row było zwykle około pięćdziesięciu jeźdźców. Ramon jechał stępą pod dębami, a grupy konnych mijały go w obu kierunkach. Dziewczyny nie było pośród nich.

Gdy tylko klacz trochę się rozgrzała, ponaglił ją, by przeszła w kłus. Poruszała się z wdziękiem, a on trzymał się doskonale w siodle. Nawet w tak doborowym

towarzystwie wyróżniał się świetną sylwetką i wiele kobiet odprowadzało go wzrokiem.

Przy końcu Row od strony Park Lane Ramon skręcił, a klacz ruszyła lekkim galopem; cwał był zabroniony. Sto jardów przed sobą zauważył grupę jeźdźców, jadących w jego kierunku. Były to dwie pary młodych ludzi, którzy pewnie siedzieli w siodłach, lecz ta dziewczyna wyróżniała się spośród nich jak afrykański cukrzyk wśród stada wróbli.

Spod kapelusza wysunęły się jej włosy, które falowały niczym skrzydła lecącego ptaka, połyskując w słońcu. Gdy się śmiała, błyszcząły białe zęby; wiatr zabarwił jej policzki rumieńcem.

Ramon rozpoznał mężczyznę jadącego obok. Przez ostatnie dwa tygodnie stale widywał go z dziewczyną i dlatego poprosił o informacje na jego temat. Okazało się, że jest drugim synem niezwykle bogatego właściciela browarów, zepsutym playboyem z wyższych sfer. To właśnie on towarzyszył Czerwonej Róży na koncercie cztery dni wcześniej. Potem spędziła z nim dwa wieczory na prywatkach w Knightsbridge i Chelsea. Ramon zauważył, że traktowała go z zabawną protekcjonalnością, jak szczeniaka bernardyna, a sami bywali tylko wówczas, gdy jechali z jednego przyjęcia na drugie. Ramon miał prawie pewność, że nie sypiają ze sobą, co było dosyć niezwykle latem 1969 roku, gdy swoboda seksualna przybrała rozmiary epidemii.

Wiedział również, że Isabella Courtney nie była wdzięczną się dziewczicą. W ciągu ostatnich trzech lat, które spędziła w Highveld, przeżyła trzy burzliwe, choć krótkotrwałe związki i informacja o tym znajdowała się w dokumentacji KGB.

Gdy zbliżyli się, Ramon pochylił się, aby poklepać klacz po szyi.

– Tak, dobry konik – mówił po hiszpańsku, a kątem oka obserwował dziewczynę. Potrafił tak patrzeć z boku, że wydawało się, iż spogląda na coś zupełnie innego, gdy tymczasem on widział każdy szczegół.

Kiedy się mijali, dostrzegł, jak dziewczynie uniósł się podbródek, a oczy otworzyły szeroko. Udał, że niczego nie zauważa i jechał dalej.

– Ramon! – jej głos był donośny i rozkazujący. – Zaczekaj!

Wstrzymał konia i obejrzał się z lekkim niezadowoleniem. Zawróciła i jechała ku niemu. Na jego twarzy malowała się nadal obojętność, a nawet można było dostrzec pewne zniecierpliwienie, jakby czuł się dotknięty jej natarczywością. Zatrzymała się obok, ściągając wierzchowcowi wodze.

– Nie pamiętasz mnie? Isabella Courtney. Uratowałaś mnie – uśmiechnęła się niepewnie. Mężczyźni zawsze ją pamiętali, niezależnie od tego jak krótkie było spotkanie i ile czasu od niego upłynęło. – Na koncercie w parku – dodała ciszej.

– A! – Ramon pozwolił w końcu, by twarz mu się rozpogodziła. – Maskotka na motocykl. Przepraszam. Byłaś wtedy trochę inaczej ubrana.

– Nie zaczekałeś, aż ci podziękuję – powiedziała z wyrzutem. Z trudem powstrzymała się, by nie okazać zadowolenia, że w końcu ją poznał.

– Nie było za co. Poza tym, o ile sobie dobrze przypominam, miałaś wtedy inne sprawy na głowie.

– Jesteś tu sam? – szybko zmieniła temat. – Może byś się do nas przyłączył? Przedstawię cię moim przyjaciołom.

– Nie, nie chciałbym się narzucać.

– Proszę – nalegała. – Nie pożałujesz, oni są bardzo zabawni. Ramon skłonił się lekko w siodle.

– Jakże mógłbym odrzucić tak miłe zaproszenie od tak pięknej damy – zgodził się, a Isabella poczuła, jakby jej serce ścisnęło imadło. Z trudem oddychała patrząc na te zielone oczy tajemniczego anioła.

Pozostała trójka jeźdźców czekała na nich. Kiedy Isabella zawracała w stronę Ramona, zauważyła, że Roger sposepniał, więc teraz ze złośliwą satysfakcją powiedziała:

– Roger, pozwól, że ci przedstawię markiza de Santiago y Machado. Ramon – to jest Roger Coates-Grainger.

Spostrzegła, że Ramon spojrzał na nią pytająco i dopiero wtedy zorientowała się, że popełniła gafę, wymieniając jego tytuł; nie powiedział jej o nim podczas pierwszego spotkania.

Ale przykre uczucie Mineło, gdy tylko przedstawiła Ramona Harriet Beauchamp i zobaczyła jej reakcję. Harriet oblizwała się jak kotka w telewizyjnej reklamie. Była to najlepsza przyjaciółka Isabelli w Londynie, bardziej jednak z wyrachowania niż ze szczerego uczucia. Lady Harriet wprowadzała ją do kół londyńskiej elity. Jako córka lorda, miała wstęp tam, gdzie Isabella mimo urody i bogatej rodziny byłaby uważana za nowobogacką i intruza ze śmiesznym akcentem. Z drugiej strony, Harriet zauważyła, że gdziekolwiek Isabella się pojawi, natychmiast otacza ją tłum mężczyzn. Harriet była pulchną, dobrotliwą i bezbarwną blondynką, lecz w głębi duszy pragnęła miłości i Isabella czuła się szczęśliwa podsuwając jej wielbicieli, których sama odrzuciła.

Zazwyczaj układ działał bez zarzutu, ale Ramon z całą pewnością nie był odrzuconym wielbicielem, w każdym razie jeszcze nie, więc Isabella natychmiast wjechała koniem między nich i rzuciła Harriet ostrzegawcze spojrzenie, której bardzo to pochlebiło. Wiedziała, że nie może nawet marzyć o tym, by zostać rywalką Isabelli, ale było jej przyjemnie, że tają tak potraktowała.

– Markiz? – powiedział Ramon w czasie jazdy. – Wiesz o mnie znacznie więcej niż ja o tobie.

– Och, musiałam widzieć twoją fotografię w jakimś plotkarskim piśmie – rzuciła Isabella, myśląc: „Boże, żeby tylko się nie domyślił, że tak się nim interesowałam”.

– Ach, pewnie w „Tatlerze”. – Ramon kiwnął głową. Jego zdjęcie nigdy się nigdzie nie ukazało, chyba tylko w aktach CIA i kilku innych organizacji wywiadowczych na świecie.

– Tak, właśnie w „Tatlerze” – potaknęła skwapliwie Isabella, a potem – pilnując się, by nie okazać zbyt zainteresowania Ramonem – starała się jednak zwrócić na siebie jego uwagę. Było to łatwiejsze, niż przypuszczała. Ramon był rozluźniony, pełen uroku i wkrótce wszyscy, z wyjątkiem wciąż posepnego Rogera, dowcipkowali i śmiali się, jakby byli starymi znajomymi.

Gdy zapadł zmrok i skierowali się ku stajniom, Isabella podjechała bliżej do Harriet i powiedziała cicho:

– Zaproś go na dzisiejsze przyjęcie.

– Kogo? – Harriet otworzyła szeroko oczy, udając że jej nie rozumie.

– Już ty dobrze wiesz kogo, rozpustna mała czarownico. Od godziny wodzisz za nim oczami.

\*

Lady Harriet Beauchamp korzystała z domu rodziców na Belgravii, gdy oni przebywali na wsi. Wydawała tu jedne z najlepszych przyjęć w stolicy.

Tego wieczoru zaprosiła aktorów, grających w najnowszym przeboju „Hair”. Przybyli do niej zaraz po przedstawieniu, mieli więc na sobie kostiumy i makijaż, a czteroosobowy zespół z Jamajki, wynajęty przez Harriet, zaintonował piosenkę „Aquarius” na ich powitanie.

Nie ulegało wątpliwości, że wszyscy dobrze się bawili. Było tak tłoczno, że

parom, które miały jeszcze inne plany, droga z sali balowej do sypialni zajmowała dwadzieścia minut; na górze musieli jeszcze czekać na swoją kolejkę. Isabella zastanawiała się, co pomyślałby tata Harriet, gdyby wiedział, jakim powodzeniem cieszy się jego łóżko.

W tym rozbawionym tłumie Isabella postanowiła być sama. Znalazła sobie miejsce w połowie marmurowych schodów, skąd mogła obserwować wszystkich nowych gości, wchodzących przez frontowe drzwi, jednocześnie widząc, co dzieje się na sali balowej i w salonie, dokąd zaczęły napływać tańczące pary.

Zdecydowanie odmawiała wszystkim, którzy prosili ją do tańca, a chętnych było wielu. Z takim chłodem przyjmowała niezgrabne zaloty i niedojrzały humor Rogera Coates-Graingera, że zrezygnował i poszedł na taras, gdzie mieścił się barek z szampanami. „Na pewno już się zdążył zalać w pestkę” – pomyślała z ulgą.

Wieczór był tak udany, że nikt z gości nie wyszedł wcześniej, by przenieść się do innego lokalu. Ruch przez drewniane, podwójne drzwi wejściowe był duży, lecz odbywał się tylko w jednym kierunku, a zgiełk wzrastał z każdą minutą.

Pojawiła się następna grupa lekko już wstawionych gości, którzy głośnym krzykiem dawali znać o swoim przyjeździe, a Isabella poczuła nagły przypływ energii, gdy dostrzegła wśród nich mężczyznę o ciemnych kręconych włosach. Niemal natychmiast zdała sobie jednak sprawę, że jest zbyt niski, a kiedy odwrócił się i zobaczyła żółtawą twarz z podwójnym podbródkiem, zniechęciła go, bez względu na to, kim był.

Wyzaczyła sobie nieco masochistyczną karę: jedna lampka szampana miała jej wystarczyć na cały wieczór, więc wino już nie musowało i ogrzało się od jej palców. Poszukała wzrokiem Rogera, by wysłać go po następny kieliszek, ale zobaczyła, że tańczy z wysoką dziewczyną, która miała sztuczne rzęsy i chichotała tak głośno, że jej piskliwy śmiech docierał aż do Isabelli.

„Boże, ale okropna – pomyślała. – A Roger wygląda jak alfons, gdy jej tak nadskakuje”.

Spojrzała na francuski zegar z porcelany i pozłacanego brązu, wiszący nad drzwiami do salonu. Była za dwadzieścia pierwsza. Isabella westchnęła.

Dzisiaj na wpół do pierwszej po południu tata planował ważny lunch dla grupy wpływowych posłów konserwatywnych i ich żon. Jak zwykle Isabella miała być gospodynią. Powinna się nieco przespać, żeby dobrze wyglądać, ale chciała jeszcze zaczekać.

„Gdzie się on, do diabła, podziewa? – pomyślała gorzko. – Niech go lichy, obiecał przyjść. (Właściwie powiedział tylko, że postara się wpaść później). Było wtedy tak miło, że można to jednak uznać za obietnicę”.

Po raz kolejny odmówiła, nawet nie patrząc, kto prosi ją do tańca i napiła się szampana. Smakował okropnie.

„Czekam do pierwszej i ani minuty dłużej – obiecała sobie stanowczo. – I to już koniec, bezapelacyjnie”.

Nagle serce jej stanęło, a po chwili zaczęło mocniej bić. Muzyka wydała się przyjemniejsza, radośniejsza, zgiełk przestał męczyć, a ponury nastrój gdzieś się ulotnił. Poniosła ją fala podniecenia i niespokojnego oczekiwania.

Przyszedł, stał teraz w drzwiach wejściowych. Był tak wysoki, że o pół głowy górował nad tymi, którzy stali obok. Pojedynczy kosmyk włosów opadł mu na czoło jak znak zapytania, na twarzy malowała się jakaś obcość, nawet pogarda.

Chciała zawołać głośno: „Ramon, tu jestem!”, ale się powstrzymała. Odstawiła kieliszek, który przewrócił się, a siedząca niżej dziewczyna krzyknęła, gdy ciepławy szampan spłynął jej po nagich plecach. Isabella nawet tego nie usłyszała. Podniosła się i natychmiast spoczęło na niej chłodne spojrzenie zielonych oczu Ramona.

Patrzyli na siebie ponad głowami wirujących tancerzy, jakby byli tam tylko we dwoje. Żadne z nich się nie uśmiechało. Ta chwila wydała się jej niezwykle podniosła. Przyszedł, a ona w jakiś niejasny sposób wyczuwała, jak ważne jest to, co się dzieje. Była pewna, że nagle jej życie się zmieniło. Już nic nigdy nie będzie tak, jak było.

Zaczęła schodzić po schodach nie potykając się o rozciągnięte, obejmujące się pary, które zablokowały przejście. Wydawało się, że rozsuwają się przed nią; pewnie stawiała pomiędzy nimi stopy.

Patrzyła na Ramona. Nie ruszył się, by ją powitać. Stał tam pośród ruchliwego tłumu. Ten bezruch przypominał jej jednego z największych drapieżnych kotów w Afryce i nagle poczuła delikatny dreszcz trwogi, a krew w niej zawrzała.

Gdy stanęła przed nim, żadne z nich się nie odezwało; po chwili dziewczyna wyciągnęła nagie, opalone ramiona i kiedy przyciągnął ją do piersi, owinęła mu je wokół szyi. Tańczyli, a ona czuła, jak każdy ruch jego ciała przenika ją niczym prąd elektryczny.

Muzyka była zbędna; poruszali się zgodnie z własnym rytmem. Gdy przytuliła się do niego, piersi jej napęczniały i stwardniały. Wiedziała, że czuł je, gdyż serce zaczęło mu mocniej bić, a oczy stały się jeszcze bardziej zielone.

Wygięła plecy w łuk powolnym, zmysłowym ruchem, napinając mięśnie biegnące wzdłuż kręgosłupa. Wyczuł je palcami, kiedy delikatnie przesuwiał nimi, jakby grał na jakimś instrumencie. Zadrżała pod tym dotykiem i instynktownie przywarła do niego biodrami. Poczuła, że ciało mężczyzny również napęczniało i stwardniało.

Był jak wielkie drzewo, a ona oplatająca je winorośl, on był skałą, a ona tropikalnym oceanem, który ją obmywał, on był szczytem góry, a ona chmurą, która go miękko otulała. Jej ciało stało się lekkie i swobodne, zdawała się rozplýwać w jego ramionach. Znajdowali się sami we wszechświecie, przeniesieni daleko poza zasięg praw natury, poza przestrzeń i czasem; nawet grawitacja ich nie dotyczyła.

Poprowadził ją ku drzwiom. Po drodze zobaczyła, że Roger daje jej znaki z drugiego końca sali. Wysoka dziewczyna gdzieś zniknęła, a on poczerwieniały z wściekłości znalazł się beznadziejnie uwięziony w napierającej masie ciał, jak ryba w sieci. Isabella i Ramon zeszli po schodach; Isabella wyjęła z torebki ozdobionej cekinami kluczyki do mini i wcisnęła je Ramonowi do ręki.

Jechali szybko przez opuszczone ulice. Odwróciła się ku niemu na tyle, na ile pozwalały fotele i wpatrywała się w jego twarz z taką uwagą, że niej zainteresowało jej nawet to, dokąd ją zabiera. Pragnęła go dotykać i czuć jego dłonie na swym ciele. Spostrzegła, że znowu drży. Nagle Ramon skręcił i zatrzymał samochód przy krawężniku. Szybkim krokiem przeszedł na drugą stronę auta i gdy otworzył przed nią drzwi, wiedziała, że pożąda jej równie mocno jak ona jego. Przytulona do ramienia mężczyzny nie czuła pod nogami chodnika, gdy szli w kierunku domu z czerwonej cegły stojącego w szeregu podobnych do niego budynków. Poprowadził ją po schodach na drugie piętro.

Gdy tylko zamknął za sobą drzwi do mieszkania, odwrócił się ku niej i po raz pierwszy poczuła jego usta na swoich. Był nie ogolony, więc skórę na twarzy miał ostrą jak u rekina, wargi zaś były miękkie i gorące, słodkie; jak dojrzałe owoce.

Poczuła, że coś w niej pęka i wszelki rozsądek i rezerwa zostały zmyte, przez wezbraną falę. W uszach jej szumiało jak na wzburzonym morzu podczas sztormu, ogarniało ją szaleństwo.

Wysunęła się z jego objęć i w szale niecierpliwości zerwała z siebie ubranie pozwalając, by upadło koło stóp na błyszczącą drewnianą podłogę niewielkiego przedpokoju. On rozebrał się równie szybko, stojąc przed nią; żarłocznie wlepiła wzrok w każdy ukazujący się szczegół jego ciała.

Nigdy, nawet we śnie nie widziała tak pięknego mężczyzny. Inni byli ogromni, owłosieni, żyłaści, a on gładki, doskonały. Mogłaby przyglądać mu się bez końca, ale uświadomiła sobie, że jeśli natychmiast nie poczuje go przy sobie, zacznie krzyczeć z frustracji i rzuciła się naga na pierś Ramona.

Przytuliła się mocno. Ciało miało silne, gładkie i gorące. Jęknęła i zamknęła mu usta pocałunkiem, by powstrzymać się od wydania desperackiego okrzyku pożądania.

Podniósł ją i poczuła się lekka jak piórko w jego ramionach; ruszył do sypialni nie przestając jej całować.

Gdy się obudziła, ogarnęło ją upojenie. Rozsadzała ją radość. Miała uczucie mrowienia w całym ciele, jakby każdy mięsień i każdy nerw żył swoim własnym życiem.

Przez długą chwilę nie mogła zrozumieć, co ją spotkało. Leżała z zamkniętymi oczami, starając się przedłużyć ten moment. Wiedziała, że takie magiczne wrażenie musi być przelotne, ale nie chciała, by minęło. Potem powoli dotarł do jej nozdrzy zapach mężczyzny, na wargach zaś wciąż miała smak jego ust. Czuła ból tam, gdzie on wszedł w nią głęboko, i ciepło na skórze wokół ust, podrażnionej przez jego zarost. Rozkoszowała się tym wszystkim, a lekki ból przemienił się w głęboką rozkosz.

Potem ze zdumieniem stwierdziła, już całkowicie rozbudzona: „jestem zakochana”. Opanowała ją szalona radość.

Usiadła szybko, a prześcieradło zsunęło się z niej.

– Ramon – powiedziała.

Kształt jego głowy był odcisnięty na poduszce. Wyciągnęła rękę i poczuła, że pościel jest zimna – ciepło ciała dawno się ulotniło. Jej radość natychmiast przerodziła się w rozpacz.

– Ramon – wyskoczyła z łóżka i boso pobiegła do łazienki. Drzwi były lekko uchylone, lecz wewnątrz nie znalazła nikogo. Znowu odszedł. Stała naga na środku mieszkania i rozglądała się z przerażeniem.

Był jak kot. Jego skrytość napawała niepewnością. Isabella poczuła nagle gęsią skórę wokół sutków. Zadrżała i objęła się ramionami.

Na stoliku przy łóżku zobaczyła kartkę drogiego, kremowego papieru z herbem jego rodziny, obciążoną kluczykami do samochodu Isabelli. Szybko chwyciła list. Nie było w nim pozdrowień.

*Jesteś niezwykłą kobietą, a mimo to gdy spałaś, wyglądałaś jak dziecko, Piękne, niewinne dziecko. Żał mi było Cię budzić. Żał mi też było wychodzić, ale musiałem.*

*Jeśli możesz jechać ze mną do Malagi na weekend, spotkamy się tu jutro o dziewiątej rano. Weź swój paszport, ale o pizamę się nie martw.*

*Ramon*

Zaśmiała się cicho z radością i ulgą. Powrócił jej lekki nastrój, z którym się obudziła. Jeszcze raz przeczytała list; papier był gładki i zimny jak marmur, bardzo przyjemny w dotyku. Jego skóra była równie gładka. Oczy stały się rozmarzone, gdy zaczęła sobie przypominać różne drobne szczegóły z tej nocy.

Nie spotkała jeszcze kogoś takiego jak on. Gdy była z innymi, nawet najbardziej wprawnymi, cierpliwymi i czułymi kochankami, zawsze miał świadomość, że ich ciała są oddzielone, że dwa różne istnienia pragną jedynie sprawić sobie nawzajem przyjemność. Z Ramonem nie czuła obcości. Było tak, jakby wziął jej umysł razem z ciałem, jakby złączyli się ze sobą w jedno w jakimś na wpół boskim procesie osmozy.

Wiele razy w ciągu nocy wydawało jej się, że razem wspięli się na szczyt, ale po chwili wiedziała, że są dopiero u podnóża, a przed nimi wznosi się turnia, za nią

następna i następna. Każda wyższa i potężniejsza niż poprzednia. Nie było temu końca, aż wreszcie ogarnął ich głęboki sen.

„Jestem zakochana” – wyszeptała w niemal religijnym uniesieniu i spojrzała na swoje ciało, dziwiąc się, jak takie kruche naczynie może pomieścić tyle szczęścia, takie ogromne emocje.

Nagle na stole obok kluczyków zauważyła swój zegarek.

„O Boże! – westchnęła. Było w pół do jedenastej. – Lunch taty!” Pobiegła do łazienki. Na umywalce Ramon położył dla niej nową szczoteczkę do zębów, nie wyjętą jeszcze z opakowania; ta drobna uprzejmość ją wzruszyła.

Z ustami pełnymi pieniącej się pasty, mruzczała do siebie słowa „Faraway Places”.

Stwierdziwszy, że ma jeszcze czas na szybką kąpiel, zanurzyła się w gorącej wodzie. Przez chwilę leżała bez ruchu rozmyślając o Ramonie; czuła pustkę i ogromne pragnienie, by on ją wypełnił.

„Dosyć tego, dziewczyno – zaśmiała się do siebie. – Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przemienił cię w bezwstydną małą rozpustnicę. Wskoczyła z wanny i sięgnęła po ręcznik. Był jeszcze wilgotny, więc przycisnęła go do nosa i wdychała słaby, lecz wyraźny zapach jego skóry.

Znowu ją to podnieciło.

„Przestań! – rozkazała sobie stojąc przed lustrem. – Za godzinę masz być na Trafalgar Square”.

Właśnie miała wyjść z mieszkania, gdy krzyknęła i popędziła z powrotem do łazienki. Pogrzebała w torebce, wyjęła z niej paczkę pigułek w opakowaniu z kalendarzem, wycisnęła jedną i wzięła ją do ust. Odkręciła kurek, nalała wody do kubka do mycia zębów, a następnie podniosła go, jakby spełniała toast.

„Za życie, miłość i wolność – powiedziała stojąc przed lustrem – i za szczęście”.

Popiła pigułkę wodą.

\*

Polowanie i zabijanie zwierząt dla przyjemności nie budziło sprzeciwu Isabelli Courtney. Jej ojciec od zawsze był myśliwym, a ściany Weltevreden, ich domu na Przylądku Dobrej Nadziei, zdobiły myśliwskie trofea. Do majątku rodziny należało przedsiębiorstwo specjalizujące się w organizowaniu safari, które miało koncesję na polowania w dolinie rzeki Zambezi.

W zeszłym roku w tej urzekającej dziczy spędziła dwa cudowne tygodnie ze starszym bratem, Seanem Courtneyem, który jest licencjonowanym, zawodowym myśliwym i prowadzi to przedsiębiorstwo dla Courtney Enterprises. Wiele razy Isabella uczestniczyła w polowaniach, na które zapraszała ją Harriet Beauchamp. Była dobrym strzelcem. Używała strzelby firmy Holland & Holland, kaliber 20 mm, którą ojciec dał jej na siedemnaste urodziny. Zastrzeliła z niej bekasa w delcie Okavango, cietrzewia w Karru, kaczkę i gęś na wielkiej Zambezi, głuszca na mokradłach oraz bażanta, słonkę i kuropatkę w wielkich posiadłościach w Anglii, do których ona i ambasador byli zapraszani.

Nie przeszkadzał jej widok umyślnie rozlanej krwi, w dodatku odziedziczyła charakterystyczny dla jej rodziny instynkt gracza, więc pociągała ją rywalizacja.

Był drugi dzień zawodów, a początkowa liczba prawie trzystu uczestników zmalała do dwóch, gdyż konkurs opierał się na zasadach „jedno chybiecie – odpadasz” i „wygrywający bierze wszystko”. Opłata wstępna wynosiła tysiąc dolarów od osoby, tak więc stawką było ponad ćwierć miliona. Napięcie wzrosło, gdy nadeszła kolej Amerykanina.

On i Ramon Machado byli ostatnimi zawodnikami, którzy pozostali w grze i już



przez dwadzieścia trzy kolejki trafiali tak samo. W końcu by wyjść z impasu i wskazać zwycięzcę, hiszpańscy sędziowie ogłosili, że teraz należy zestrzelić dwa ptaki jednocześnie.

Amerikanin był zawodowcem. Objechał Hiszpanię, Portugalię, Meksyk, Amerykę Południową, aż dotarł w zeszłym roku do Monako. Jednakże obecnie turnieje w tym maleńkim księstwie były zakazane po tym, jak śmiertelnie Ramony gołąb wydostał się ze stadionu i dotarł przez mury do pałacu, ale w końcu upadł na stolik z filiżankami herbaty, umazał we krwi koronkowy obrus i suknie księżnej Grace oraz towarzyszących jej dam. Księżę Rainier usłyszał ich krzyki w drugiej części maleńkiego państwa i taki był koniec zawodów w strzelaniu do gołębi w Monako.

Amerikanin był w wieku Isabelli, nie miał jeszcze dwudziestu pięciu lat, ale mówiono, że jego dochody wynoszą ponad sto tysięcy dolarów rocznie.! Strzelał z dwururki, kaliber 12 mm, wykonanej przez legendarnego rusznikarza Jamesa Mantona przed prawie stu laty. Oczywiście, broń została unowocześniona i sprawdzona tak, by nadawały się do niej nowe, dłuższe naboje i bezdymny proch. Ale łożysko, mechanizm wraz z rzeźbionymi kurkami były oryginalne i dobrze wyważone, precyzyjne jak dawniej.

Młody Amerikanin zajął miejsce, odwiódł kurki, oparł kolbę o prawe ramię i umieścił podwójną muszkę tuż nad środkiem półkola, które tworzyło pięć plecionych koszy, stojących trzydzieści jardów od niego.

W każdym koszu umieszczono gołębia. Były to zwyczajne ptaki, które można spotkać w większych miastach, duże, silne gołębie w różnych kolorach: brązowe, niebieskie, zielone, mieniające się różnymi odcieniami; niektóre z nich miały ciemne obwódki wokół szyi lub białe plamki na skrzydłach.

Aby zapewnić sobie wystarczającą liczbę gołębi, klub strzelecki założył na miejscu karmnik, budkę z opuszczanym zamknięciem, do której codziennie sypano rozdrobnioną kukurydzę; blokada zamknięcia była usuwana przez zdalnie sterowane urządzenie, dzięki czemu jedzące ptaki wpadały w pułapkę. Często zdarzało się, że gołąb, który umknął spod strzelb zawodników, kierował się prosto do karmnika. Do wielu ptaków strzelano po kilka razy; te były najbardziej przebiegłe, nauczyły się wielu sprytnych sztuczek, które utrudniały zadanie strzelcom. W dodatku ludzie, którzy wkładali ptaki do koszy, wiedzieli, w jaki sposób wyrwać jedno czy dwa pióra ze skrzydeł lub ogona, aby lot gołębia był nierówny i trudny do przewidzenia.

Kosze były otwierane za pomocą mechanizmu, który działał z opóźnieniem do pięciu sekund od chwili, gdy zawodnik krzyknął: „Teraz!” Pięć sekund dla człowieka, któremu pocą się dłonie i łomocze serce, ponieważ gra idzie o dziesiątki tysięcy dolarów, może wydawać się wiecznością.

Pojemniki z gołębiami były oddalone o trzydzieści jardów, a uważa się, że kaliber 12 mm jest najbardziej niezawodny, gdy cel znajduje się do czterdziestu jardów od strzelca. Ptaki wypuszczano tak, że znajdowały się niedaleko granicy zasięgu broni, a w dodatku wyznaczone koło, gdzie musiał upaść trafiony ptak, sięgało zaledwie dziesięć jardów poza linię koszy.

Obszar ten odgraniczała niska drewniana ścianka, wysoka na osiem cali i pomalowana na biało. Aby można było uznać, że gołąb został trafiony, jego ciało (albo jeśli śrut rozerwał ptaka na kawałki – największa jego część według wagi) musiało upaść w obrębie drewnianego płotka. W ten sposób zawodnik powinien zestrzelić ptaka, gdy wznosił się w górę, zanim przeleciał dziesięć jardów i minął oznaczoną granicę.

Kosze ustawiono w półkolu, trudno więc było się domyślić, która pokrywka się odsunie, gdy strzelec zawoła: „Teraz!” i w żaden sposób nie można było przewidzieć,

w jakim kierunku polecą ptaki. Mógł skręcić w lewo albo w prawo, odlecieć w dal lub też – co najbardziej psuło szyki zawodnikowi – skierować się prosto na niego.

Co więcej, gołębie latały szybko, hałaśliwie, potrafiły wymykać się, skręcać w pełnym locie, a w dodatku sędziowie zdecydowali, że zamiast jednego, będą wypuszczane dwa ptaki jednocześnie.

Amerikanin stanął w lekkim rozkroku jak bokser, z lewą nogą wysuniętą nieco do przodu. Isabella ścisnęła rękę Ramona. Siedzieli w pierwszym rzędzie na krytej trybunie, w skórzanych fotelach zarezerwowanych dla zawodników i działaczy klubowych.

– Teraz! – powiedział Amerikanin, a jego teksaski okrzyk zabrzmiał w ciszy jak uderzenie młota w kowadło.

– Nie traf – szepnęła Isabella. – Proszę cię, nie traf.

Przez kilka sekund nic się nie wydarzyło. Potem dwie kłapy otworzyły się z trzaskiem, numery dwa i pięć, pierwszy kosz po lewej i drugi po prawej patrząc z miejsca, gdzie stał Amerikanin, a oba ptaki, uderzone strumieniami powietrza z dyszy znajdującej się na spodzie kosza, natychmiast się wzbily w powietrze.

Numer dwa skierował się prosto poza pole, leciał nisko i bardzo szybko. Amerikanin pochylił się w jego stronę, przyłożył kolbę do ramienia i wystrzelił. Ładunek śrutu trafił gołębia pięć jardów od kosza. Skrzydła zamaryły w połowie uderzenia i ptak zdechł natychmiast, jeszcze w powietrzu; upadł w środek kręgu i leżał bez ruchu na jasnozielonej darni.

Amerikanin obrócił się ku drugiemu gołębiowi. Uciekał on w prawo, wyglądając jak brązowa połyskująca smuga. Na dźwięk pierwszego strzału rzucił się nagle ku środkowi pola, tak że zawodnik nie zdążył już wycelować ponownie. Zamiast trafić w serce i mózg, śrut oderwał prawe skrzydło ptaka i okropnie okaleczone stworzenie rozpaczliwie miotano się w powietrzu, zostawiając za sobą wstęgę piór.

Gołąb upadł tylko o stopę od drewnianej ścianki, a na trybunie rozległo się westchnienie. Potem zdarzyło się coś nieprawdopodobnego: pozbawiony jednego skrzydła ptak dopóty machał tym, które jeszcze miał, aż stanął na nóżkach. Potykając się ruszył w stronę ścianki, a z gardła wydobywał mu się kraczący dźwięk, który zapowiadał agonię.

Widzowie wstrzymali oddech i powstali z miejsc; na środku nieruchomo stał Amerikanin ze strzelbą wciąż przyciśniętą do ramienia. Wolno mu było wystrzelić tylko dwa razy. Gdyby załadował ponownie i teraz zabił ptaka, zostałby zdyskwalifikowany i przepadłaby nagroda pieniężna.

Gołąb dotarł do barykady i upadł na nią. Uderzył w ściankę piersią tylko o cal od jej szczytu i przewrócił się do tyłu, zostawiając na białej farbie błyszczący ślad krwi.

Półowa widowni krzyknęła: „Umrzyj!”, natomiast ci, którzy postawili przeciwko Amerikaninowi, wołali: „No dalej, dalej, ptaszku!” Gołąb podniósł się i jeszcze raz wskoczył na przeszkodę. Tym razem dosięgnął szczytu i stanął niepewnie, przechylając się to do przodu, to do tyłu.

Isabella zerwała się z miejsca i wrzeszczała dziko wraz z innymi.

– Skacz! – krzyczała. – Nie! Och, proszę, nie umieraj, gołąbku! No, skacz! Proszę!

Nagle konającym ptakiem wstrząsnął dreszcz, a potem runął w dół. Leżał na darni nieruchomy, martwy.

– Dziękuję ci – westchnęła Isabella i usiadła.

Gołąb upadł do przodu i umarł poza kręgiem, a głośniki ponad ich głowami ogłosiły werdykt po hiszpańsku; Isabella po dwóch dniach turnieju rozumiała już te słowa: „Jeden zabity. Jeden chybiony”.

– Moje serce nie wytrzyma takiego napięcia – przycisnęła dłonie do piersi w

teatralnym geście, a Ramon uśmiechnął się do niej tymi swoimi zimnymi, zielonymi oczami.

– Spójrz na siebie! – wykrzyknęła. – Prawdziwy człowiek z ery lodowcowej. Czy ty nic nie czujesz?

– Nic poza twoim łóżkiem – mruknął i zanim zdążyła mu coś odpowiedzieć, przeszkodził jej głośnik: „Następny! Numer 110”.

Ramon wstał i poprawił ochraniacze na uszach. Twarz miał spokojną, a spojrzenie zimne. Na początku konkursu poprosił Isabelle, aby – gdy nadejdzie jego kolej – nie życzyła mu szczęścia, więc nic nie powiedziała, kiedy podszedł do stojaka, w którym była już tylko jego broń. Wyjął ją, złamał i położył sobie na zgiętym łokciu, po czym stanął w blasku iberyjskiego słońca.

Według Isabelli wyglądał pięknie, bardzo romantycznie. Promienie słoneczne połyskiwały w jego włosach, a strzelecka kamizelka ze skórzanymi naszywkami na ramionach doskonale leżała na smukłym ciele; była tak dopasowana, że kolba, którą miał przyłożoną do ramienia, nie mogła zrobić na niej żadnej zmarszczki.

Stanął na wyznaczonym miejscu, załadował górną i dolną lufę strzelby marki Perazzi, kaliber 12 mm, i zamknął ją z powrotem. Dopiero wtedy spojrzął przez ramię na Isabelle; robił tak samo przy każdej swojej kolejce w ciągu tych dwóch dni. Ona spodziewała się tego, wyrzuciła więc do góry obie ręce, pokazując mu zaciśnięte kciuki.

Ramon odwrócił się i całe jego ciało znieruchomiało. Znowu przypominał jej afrykańskiego kota, lamparta przyczajonego do skoku na swoją ofiarę. Nie wysunął nogi do przodu jak Amerykanin, lecz stał wyprostowany, smukły i dostojny. Powiedział spokojnie: „Teraz”. Oba ptaki wzbily się w powietrze, gwałtownie machając skrzydłami, a Ramon podniósł broń i przyłożył ją do ramienia tak lekkim ruchem, że wyglądało, jakby wcale się nie spieszył.

Gdy był w Meksyku ze swoim krewnym Fidelem Castro, brał udział w wielu zawodach w strzelaniu do gołębi w Guadalajarze, zdobywając w ten sposób znaczne sumy dla załóżka armii wyzwolenczej. Tak więc on również był profesjonalistą, miał pewne oko i refleks, co było nieodzowne w tym zawodzie.

Pierwszy ptak leciał ukośnie w stronę ścianki, usiłował przyspieszyć, poruszając mocno lśniącymi zielonymi skrzydłami; jego musiał trafić najpierw. Dosięgnął go pewnie ładunkiem śrutu numer sześć z dolnej lufy; gołąb eksplodował chmurą piór jak rozerwana poduszka.

Obrócił się ku drugiemu ptakowi, który robił piruety jak tancerz. Ten gołąb był weteranem, strzelano do niego wiele razy; leciał teraz nisko na wysokości koszy. Ze skrzydeł wyrwano mu kilka piór, więc mimo że poruszał się z prędkością sześćdziesięciu mil na godzinę, zносиło go na boki.

Zamiast kierować się w stronę ścianki, leciał prosto na Ramona, zmniejszając w ten sposób odległość między nimi do niecałych dziesięciu stóp, co znacznie utrudniało strzał. Gdy gołąb mignął Ramonowi przed twarzą, musiał zareagować w ułamku sekundy, a ponieważ cel znajdował się tak blisko, ładunek śrutu nie mógł się rozprysnąć. To tak jakby usiłował dosięgnąć go jedną kulą; błąd kilku milimetrów oznaczałby przegraną.

Cały ładunek trafił gołębia w łebek i rozerwał go na strzępy. Ciało ptaka zmieniło się w kłębek zakrwawionych piór, tylko skrzydła były całe. Upadł u stóp Ramona.

Isabella wrzasnęła dziko, zerwała się na równe nogi i przesadziła barierkę. Chociaż jeden z sędziów zawołał coś do niej groźnie po hiszpańsku, zlekceważyła obowiązujące tu przepisy i pobiegła, by rzucić się Ramonowi na szyję.

Emocje wywołane przez zawody sprawiły, że tłum był już podekscytowany i rozbawiony. Teraz widzowie śmiali się i bili brawa, patrząc jak Ramon i Isabella

obejmują się, stojąc na środku stadionu. Stanowili wspaniałą parę, niemal nieprawdopodobnie piękną: oboje wysocy, zgrabni, promieniujący zdrowiem i młodością; takie spontaniczne okazywanie uczuć bardzo się wszystkim spodobało.

Przyjechali do miasta mercedesem, którego Isabella wypożyczyła na lotnisku. Ramon otworzył konto w Banco de Espana, mieszczącym się na głównym placu, i zdeponował w nim czek na wygraną sumę.

W dziwny sposób ich stosunek do pieniędzy był taki sam. Isabella nigdy nie myślała o cenie lub wartości czegokolwiek. Ramon zauważył, że jeśli spodobała się jej jakaś sukienka czy błyskotka, nie pytała, ile kosztuje. Po prostu wyjmowała ze swej kolekcji jedną kartę kredytową, kładła na ladzie, po czym podpisywała świstek papieru i chowała swoją kopię do torebki, nawet na nią nie patrząc. W pokoju hotelowym zginała wszystkie kartki w kulę, nadal ich nie czytając, i wyrzucała je beztrudnie do kosza lub do popielniczki, z której usuwała je pokojówka.

Dla wygody nosiła ze sobą niewielki plik banknotów, który upychała w dużej skórzanej torebce. Jednakże widać było, że nie interesuje jej kurs funta w stosunku do hiszpańskich peset. Gdy miała zapłacić za filiżankę kawy lub za lampkę wina, często wybierała banknot, którego wielkość i kolor wydawały się jej właściwe, i zostawiała go na stole, a oniemiały ze zdziwienia kelner długo odprowadzał ją wzrokiem.

Ramon również żywił pogardę dla pieniędzy. Czuł do nich odrazę jako do symbolu i podstawy kapitalizmu. Nienawidził podporządkowywania się prawom ekonomii, władającym systemem, którego zniszczenie było celem jego życia. Jego duma cierpiała, gdy musiał targować się, wyłudzać od Moskwy pieniądze, potrzebne mu do wykonania zadań. Mimo to już na początku swojej kariery zdał sobie sprawę z tego, że zdobywa uznanie przełożonych, gdy sam się stara o fundusze na swoje operacje.

W Meksyku strzelał do gołębi. W czasie studiów na Florydzie sprowadzał narkotyki z Ameryki Południowej i sprzedawał je w kampusie. We Francji zajmował się bronią dla Algierczyków. We Włoszech handlował walutą i dokonał czterech porwań. Zyski z wszystkich tych operacji były skrupulatnie przekazywane do Hawany lub do Moskwy. Ich aprobatą znajdowała swój wyraz w szybkim awansie oraz w fakcie, że ktoś tak młody został wybrany na następcę generała Cicero, szefa sekcji w czwartym departamencie. Ramon od początku wiedział, że te marnę środki, które generał Cicero przeznaczył na operację Czerwona Róża, będą niewystarczające. Otrzymał rozkaz uzyskania brakującej sumy tak szybko, jak to tylko możliwe. Oczywiście, ten wypadek do Hiszpanii był znakomitą okazją, by rozpocząć drugą fazę operacji.

Tego wieczoru, aby uczcić zwycięstwo Ramona, zjedli obiad w maleńkiej restauracji, w której przyrządzano dania z ryb. Była ona zazdrośnie ukryta przed turystami w mało uczęszczanej alejce i Isabella nie zauważyła tu żadnych cudzoziemców. Podano im wyborną, tradycyjnie przyrządzoną paellę oraz wino, pochodzące z jednej z dawnych posiadłości rodziny Ramona; produkowano je w niewielkich ilościach i nigdy nie eksportowano. Było młode, pachnące i w świetle świec miało jasnozieloną barwę.

– A co się stało z tymi posiadłościami? – zapytała Isabella, gdy już spróbowała wina i wydała okrzyk zachwytu.

– Mój ojciec stracił je, gdy generał Franco doszedł do władzy. – Ramon ściszył głos, gdy to mówił. – Od samego początku był antyfaszystą.

Isabella skinęła głową z aprobatą i zrozumieniem. Jej ojciec również walczył przeciwko faszystom, a ona podzielała wygodne i modne wśród jej rówieśników przekonanie co do tego, że ludzie są w gruncie rzeczy dobrzy, oraz gorącą, choć nie niezachwianą wiarę w ideę powszechnego pokoju na świecie, którego antytezą był

faszyzm. Nosiła w torebce znaczek z hasłem „Precz z bombą”, chociaż przypięcie jej do ubrania byłoby rażąco niezgodne ze zwyczajami obowiązującymi w jej klasie społecznej.

– Opowiedz mi o twoim ojcu i o rodzinie – poprosiła. Zdała sobie sprawę z tego, że chociaż byli razem już prawie tydzień, właściwie wiedziała o nim niewiele, poza tym co hiszpański dyplomata powiedział jej podczas obiadu.

Z zapartym tchem słuchała historii rodziny Ramona. Przysługujący mu tytuł otrzymał jeden z przodków za wzięcie udziału w wyprawie Kolumba do Ameryki i na Karaiby w 1492 roku. Isabella była pod wrażeniem antyczności jego rodu.

– Naszym przodkiem był pradziadek Sean Courtney – stwierdziła lekko. – Umarł w latach dwudziestych.

Kiedy to powiedziała, po raz pierwszy zrozumiała, że gdyby Ramon został ojcem jej syna, w jego żyłach płynęłaby krew arystokratycznego rodu.

Do tej pory była zadowolona z tego, że jest z Ramonem, ale teraz, gdy pochyliła się ku niemu i patrzyła mu w oczy przy blasku świec, zrozumiała, że niczego w życiu jeszcze tak nie pragnęła jak jego.

– Tak więc widzisz, Bellu, mimo to wszystko nie jestem bogatym człowiekiem.

– Ależ jesteś. Dzisiaj po południu widziałam, jak wpłacałeś do banku ponad dwieście tysięcy dolarów – powiedziała radośnie. – Możesz sobie pozwolić przynajmniej na to, by postawić mi jeszcze jedną butelkę wina.

– Gdybyś nie musiała wracać jutro do Londynu, wydałbym część tych pieniędzy, żeby zabrać cię do Granady. Zaprowadziłbym cię na walki byków i pokazałbym nasz zamek w Sierra Nevada...

– Ale ty także musisz wracać – zaprotestowała. – Prawda?

– Kilka dni... jeszcze kilka dni mógłbym zostać. Wszystko mogę poświęcić, żeby być z tobą.

– Wiesz, Ramonie, ja nawet nie wiem, czym ty się zajmujesz. Jak zarabiasz na życie?

– Bankowość – wzruszył ramionami. – Pracuję w prywatnym banku, odpowiadam w nim za kontakty z Afryką. Udzielamy pożyczek krajom rozwijającym się z centralnej i południowej Afryki.

Nagle Isabella zaczęła myśleć z prędkością samochodu rajdowego. Brak fortuny Ramona w pełni rekompensowało jego szlacheckie pochodzenie, a w dodatku był bankierem. Dla kogoś takiego z pewnością znajdzie się jakieś wysokie stanowisko w Courtney Enterprises. Wszystko to zaczynało wyglądać niezwykle ekscytująco.

– Niczego tak nie pragnę, jak zobaczyć twój zamek, kochanie – szepnęła z lekką chrypką i pomyślała: „Ciekawa jestem, ile może on kosztować, porozmawiam o tym z Garrym”. Jej brat, Garry, zajmował stanowisko prezesa i szefa do spraw finansowych w Courtney Enterprises. Podobnie jak inni mężczyźni w rodzinie ulegał jej urokowi i sztuczkom, a do tego był strasznym snobem, co charakteryzowało wszystkich Courtneyów. Markiza powinna mieć zamek, a on na pewno nie pozostałby na to nieczuły.

– A co z twoim ojcem? - Zapytał Ramon. – Myślałem, że obiecałaś wrócić w poniedziałek.

– Zostaw mojego ojca mnie - powiedziała stanowczo.

– Bellu, czy to jest właściwa pora, żeby budzić starszego człowieka? – powiedział z wyrzutem Shasa przez telefon. – Która to godzina, na miłość boską?

– Jest już po szóstej, zdążyliśmy się już wykapać, a ty wcale nie jesteś starszym człowiekiem. Jesteś młody i piękny, jesteś najpiękniejszym mężczyzną, jakiego znam – gruchała Isabella na linii międzynarodowej.

– To brzmi złowieszczo – mruknął Shasa. – Im bardziej wyszukany komplement, tym dziwniejsza prośba. Czego sobie życzysz, moja panno? O co chodzi tym razem?

– Naprawdę jesteś okropnym starym cynikiem, ojciec – powiedziała Isabella i przejechała palcem po owłosionej piersi Ramona, który leżał nagi obok niej na podwójnym łóżku; jego ciało wciąż było brudne, wilgotne i słone po kąpieli w Morzu Śródziemnym. – Po prostu zadzwoniłam, żeby ci powiedzieć, jak bardzo cię kocham.

Shasa zaśmiał się cicho.

– Cóż za grzeczna mała myszka. Rzeczywiście, dobrze cię wytresowałem.

Położył się z powrotem na poduszce i wolną ręką objął leżącą obok kobietę. Westchnęła sennie i przysunęła się do niego, aż dotknęła nosem jego piersi.

– Jak się ma Harriet? – zapytał Shasa. Harriet Beauchamp zgodziła się udawać, że to ona pojechała z Isabellą na tę wyprawę do Hiszpanii.

– Świetnie – zapewniła ojca Isabella. – Jest tu przy mnie. Wspaniale się bawimy.

– Ucałuj ją ode mnie – polecił Shasa.

– Dobrze – zgodziła się, zasłaniając dłonią słuchawkę, pochyliła się ku Ramonowi i pocałowała go mocno w usta. – Ona też cię całuje, tato, ale nie chce wracać dziś rano do Londynu.

– A! – zawołał Shasa. – Teraz już wiem, dlaczego mam taką dobrą córkę.

– To nie ja, tato, to Harriet. Ma ogromną ochotę zwiedzić jeszcze Granadę i zobaczyć walkę byków. Chce, żebym z nią pojechała... – tu Isabella zawiesiła głos.

– W środę lecimy do Paryża. Czy zapomniałeś o tym? Mam przemawiać w Club Dimanche.

– Tato, wiesz, że jesteś doskonałym mówcą; Francuzki cię uwielbiają. Jestem pewna, że doskonale sobie poradzisz beze mnie.

Shasa nie odpowiedział. Wiedział, że milczenie było jedynym pewnym sposobem, aby wprawić w zakłopotanie jego kapryśną córkę i popsuć jej szyki.

Zakrył dłonią słuchawkę i zapytał przytuloną do niego kobietę:

– Kitty, czy będziesz mogła polecieć ze mną do Paryża w środę? Otworzyła oczy.

– Wiesz, że w sobotę lecę do Etiopii na konferencję.

– Musisz wrócić do środy.

Uniosła się na łokciu i spojrzała na niego w zamyśleniu.

– Idź precz, szatanie.

– Tato, jesteś tam jeszcze? – głos Isabelli wpłynął między nich.

– A więc moje własne dziecko mnie opuszcza, tak? – zapytał Shasa, starając się mieć bardzo urażony głos. – Zupełnie sam w najmniej romantycznym mieście na świecie?

– Nie mogę zawieść Harriet – wyjaśniła Isabella. – Wynagrodzę ci to, obiecuję.

– Powinnaś, powinnaś, moja panno – ostrzegł ją Shasa. – Przypomnę ci o tym zobowiązaniu.

– Granada na pewno będzie bardzo nudna i stęsknię się za tobą, tato – powiedziała Isabella ze skruchą, wodząc wskazującym palcem po ciele Ramona, wokół pępka i w gąszczu włosów poniżej; okręciła sobie ich kępkę wokół palca.

– I ja będę bardzo samotny bez ciebie – zgodził się Shasa, po czym odłożył słuchawkę na widełki i popchnął Kitty delikatnie na poduszki.

– Powiedziałam: idź precz szatanie – zaprotestowała – a nie: włącz na mnie.

\*

Isabella prowadziła szybciej i pewniej niż niejeden mężczyzna. Ramon rozsiadł się wygodnie w skórzanym fotelu wypożyczonego mercedesa i przyglądał się jej z uwagą. Uwielbiała to stałe zainteresowanie swoją osobą i co kilka minut, gdy

pozwalając na to prosty odcinek drogi, odwracała ku niemu głowę albo wyciągała rękę, by dotknąć jego ramienia lub uda.

W przeciwieństwie do wielu innych zadań, które wykonał w ciągu lat służby, tym razem Ramon z łatwością odgrywał swoją rolę. Czuł, że ta kobieta ma jakąś wewnętrzną siłę, a jej niespożyty zapas odwagi i determinacji intrygował go. Wiedział, że wciąż czuła się niespełniona i zniecierpliwiona, niezadowolona i zbuntowana przeciwko swojemu łatwemu życiu, że pragnęła wrażeń, wyzwania, szukała czegoś, czemu mogłaby się poświęcić.

Fizycznie była niezwykle atrakcyjna, bez trudu więc przyszło mu udawanie tej czulej troski, charakterystycznej dla wszystkich szczęśliwych kochanków. Gdy tak na nią patrzył, korzystał ze swojego atutu. Wiedział, jakie wrażenie robi to zimne spojrzenie zielonych oczu, przypominające wzrok węża, który hipnotyzuje dzikiego ptaka; poza tym oglądał ją jako wyjątkowo piękne dzieło sztuki. Mimo że wiedział, iż miała kilka romansów, w ciągu tych paru dni zrozumiał, że istota jej bytu pozostała nietknięta; cechowała ją jakaś dziwna dziewiczność, która go przyciągała.

Podobnie jak wielu słynnych kochanków, Ramon cierpiał na satyriasis, obłąd lubieżny. Nazwa ta pochodzi od leśnych bożków z mitologii rzymskiej, którzy byli półludźmi, półkozłami i charakteryzowali się nienasyconym pożądaniem. Choć Ramon Machado reagował na wszystkie kobiety, atrakcyjne i nieatrakcyjne, bardzo rzadko osiągał orgazm. W większości wypadków był po prostu niestrudzony, radził sobie z partnerką nawet o najbardziej opieszałym libido, a z normalną kobietą kochał się dotąd, aż krzyknęła, prosząc o litość. Mógł kontynuować, gdy tylko zobaczył pierwszą oznakę, że ona tego chce, a był tak obeznany z kobiecą seksualnością, że rozpoznawał ten sygnał szybciej od swej partnerki.

Ale ta należała do nielicznych, które bez wysiłku potrafiły mu pomóc. Z nią wiele razy miał już prawdziwy orgazm i wiedział, że będzie przeżywał go jeszcze nieraz. Oczywiście miało to podstawowe znaczenie dla jego planów.

Prowadząc samochód tego parnego letniego dnia, Isabella była szczęśliwa i ożywiona jak zwykle. Zakochała się! Teraz nie miała już cienia wątpliwości, że jest to największa namiętność jej życia. Nigdy nie było i prawdopodobnie nie będzie nikogo, kto mógłby się z nim równać. Nigdy do nikogo nie będzie żywiła silniejszego uczucia. Jego obecność i spojrzenie zielonych oczu sprawiały, że słońce świeciło jaśniej, a suche górskie powietrze miało słodki smak.

Rozległe równiny i góry przypominały jej ukochany kraj. Przenosiły ją z powrotem na otwarte przestrzenie Karru, gdyż ziemia miała tu tę samą barwę lwiej sierści, a widoczne w oddali góry były w kolorze sepilii.

Gdy na to patrzyła, wpadła w jeszcze lepszy nastrój i zaśmiała się głośno z radości, z trudem powstrzymując się, by nie krzyknąć: „Och, Ramon, mój najdroższy, kocham cię, kocham do końca życia, całym sercem, całą duszą!”. Jednak nawet będąc w takiej euforii, pamiętała o tym, że to on powinien pierwszy wyznać miłość. W ten sposób potwierdziłby, że kocha ją tak bardzo jak ona jego.

Ramon znał te góry i powiódł ją piaszczystymi, bocznymi drogami w piękne okolice, niewidoczne ze szlaków turystycznych. Kiedy zatrzymali się w jednej z wiosek, żartował z mieszkańcami w ich dialekcie, a następnie przyniósł skądś kawałek szynki serrano, konserwowanej w śniegu, bochenek wiejskiego chleba oraz bukłak słodkiego ciemnego wina, produkowanego w Maladze.

Za wioską zaparkowali samochód obok starożytnego kamiennego mostu i poszli wzdłuż strumienia przez gaj oliwny, rosnący u stóp Sierra Nevada.

Brodąty kozioł, stojący wysoko na skale, patrzył w osłupieniu, gdy Ramon i Isabella zdjęli ubrania i wskoczyli do rzeki. Potem, ciągle nadzy, zjedli lunch, siedząc

na gładkich czarnych skałach nad wodą.

Ramon pokazał, jak należy pić z bukłaka, trzymając go w wyciągniętej ręce. Gdy spróbowała, wino trysnęło jej na policzki i spłynęło po podbródku. Zliział rubinowe kropelki z twarzy dziewczyny i z białych, naprężonych piersi. Tak świetnie się przy tym bawili, że zapomnieli o jedzeniu i kochali się; Isabella leżała na skale, a Ramon stał przed nią po kolana w wodzie.

– Jesteś niesamowity – wyszeptała. – Nogi mam jak z waty. Chyba będziesz musiał zanieść mnie do samochodu.

Dużą część popołudnia spędzili nad rzeką, więc słońce stało już nad szczytami gór i zmieniało śnieg w rozżarzone złoto, gdy ujrzeli przed sobą zamek.

Nie był tak wielki i okazały, jak Isabella oczekiwała. Zobaczyła ciemny, ponury budynek, stojący na zboczu wysoko ponad gmatwaniną krytych różową dachówką domów wioski. Gdy podeszli bliżej, zauważyła, że część muru się zapadła, a cała posiadłość jest zarośnięta i zaniedbana.

– Do kogo to teraz należy? – zapytała.

– Do państwa – odparł Ramon wzruszając ramionami. – Kilka lat temu mówiło się o tym, żeby przekształcić go w hotel, ale nic z tego nie wyszło.

Fin Dozorca, staruszek pamiętający jeszcze rodzinę Ramona, oprowadził ich po pokojach na parterze. Były puste, ponieważ wszystkie meble sprzedano, aby spłacić długi rodziny, świeczniki zaś pokrywała gruba warstwa kurzu i pajęczyny. Na ścianach w holu widać było zacieki, spowodowane przez deszcz, który dostawał się tu przez dziurawy dach.

– Przykro patrzeć, jak coś, co kiedyś było piękne, przez zaniedbanie obróciło się w ruinę – szepnęła Isabella.

– Może wyjdziemy? – zaproponował, pomijając milczeniem jej uwagę.

– Tak, nie chcę dzisiaj być smutna.

Jechali do wioski wijącą się serpentyną, a zachód słońca za szczytami gór był tak wspaniały, że przywrócił Isabelli radosny nastrój.

W gospodzie właściciel rozpoznał nazwisko Ramona i polecił swoim dwóm córkom zmienić pościel w pokoju od frontu, a żonę wysłał do kuchni, aby przygotowała na obiad jeden z andaluzyjskich specjałów, cocido Madrileño, gulasz z kurczaka i ostro przyprawione kiełbaski chorizo podawane i cabelle de angel, kluseczkami tak delikatnymi, że w pełni zasługiwały na nazwę „anielskie włosy”.

– W Hiszpanii sherry to napój ludu – wyjaśnił jej Ramon, napełniając kieliszki.

W górach było tak zimno, że palenie ognia w kamiennym kominku było w pełni usprawiedliwione. Płomienie oświetlające twarz Ramona czyniły ją jeszcze bardziej nieprawdopodobnie piękną.

– Zawsze robimy jedną z trzech rzeczy – stwierdziła Isabella – jemy, pijemy albo... – przechyliła kieliszek do ust.

– Skarżysz się? – zapytał.

– Raczej: rozkoszuję się – zmrużyła oczy i spojrzała na niego. – Jedz to cocido i pij sherry, senior, bo będziesz potrzebował dużo siły.

Obudziły ją promienie słońca, wpadające do pokoju przez otwarte okno i natychmiast ogarnęło ją przerażenie, że znowu odszedł. Ale leżał obok na szerokim, miękkim łóżku i przyglądał się jej tymi swoimi zimnymi, pozbawionymi wyrazu oczami; z niepewnością, prawie nieśmiało wyciągnęła rękę i poczuła, że jest już gotowy.

– O Boże! – szepnęła z rozkoszą. – Jesteś niesamowity!

Żaden mężczyzna nie pragnął jej tak bardzo jak on. Sprawiał, że czuła się najbardziej pożądaną kobietą na świecie.

Gospodarz przygotował im na śniadanie purpurowe figi i kozi ser. Usiedli na



otoczonym murem podwórzu, pod pnącymi się po kratkach winoroślami, a Isabella swymi długimi, polakierowanymi paznokciami obierała figi wkładając Ramonowi mięsiste kulki do ust. Oprócz niego jedynym mężczyzną, któremu to robiła, był jej ojciec.

Kiedy jedna z córek gospodarzy przyniosła im dzbanek parującej kawy Ramon przeprosił Isabellę i wrócił do pokoju. Przez małe okno w łazience widział dziewczynę i słyszał jej śmiech, gdy próbowała się porozumieć po hiszpańsku, którego się dopiero uczyła.

Wcześniej był świadkiem, jak połykała pigułkę antykoncepcyjną. Odprawiła głupi mały rytuał, wznosząc ku niemu szklankę wody. „Zeby tak było zawsze!” Ale paczki z pozostałymi pigułkami nie było już w jej kosmetyczce, leżącej na półeczce nad umywalką.

Wrócił do sypialni. Łóżko zajmowało prawie całą podłogę, więc ich bagaże zostały wciśnięte do oddzielonej kotarą wnęki obok drzwi. Isabelle rzuciła swoją dużą, miękką torbę na walizkę.

Chwilę nasłuchiwał, a kiedy przez otwarte okno doszedł go jej głos, postawił torbę na łóżku i zaczął ją szybko rozpakowywać, po kolei wykładając zawartość, tak by móc potem włożyć do niej wszystko w tym samym porządku. Już pierwszego ranka, w mieszkaniu przy Kensington przeszukał jej torebkę, gdy jeszcze spała i sprawdził, jakich używała pigułek. Potem wypytał o nie lekarza z ambasady, który stwierdził, że jeśli kobieta przestanie je zażywać przed dziesiątym dniem cyklu, możliwość zapłodnienia podczas owulacji znacznie wzrośnie.

Cienka paczka pigułek znajdowała się w jednej z kieszonek portmonetki z krokodylej skóry, która leżała na dnie torby. Ramon jeszcze raz się wyprostował i chwilę nasłuchiwał. Z podwórza nie dochodziły żadne głosy, więc pobiegł do okna. Zobaczył, że Isabella wciąż siedzi przy stole, zajęta teraz czarnym kotem, który usadowił się na jej kolanach i pozwalał się drapać za uszami.

Ramon wrócił do sypialni. W paczce brakowało siedmiu pigułek, a każda przegródka była oznaczona datą. Mężczyzna wyjął z kieszeni identyczną paczkę ovanonu, którą dał mu lekarz. Usunął z niej siedem tabletek i wrzucił je do muszli klozetowej. Potem porównał oba opakowania. Teraz były zupełnie jednakowe, z tym że drugie zawierało tylko tabletki aspiryny, powleczone tak, by przypominały pigułki antykoncepcyjne.

Włożył paczkę z tabletkami placebo do portmonetki Isabelli i zaniósł jej torbę na miejsce. Prawdziwe pigułki schował do kieszeni, po czym spuścił wodę w ubikacji, chcąc się upewnić, że te siedem tabletek zniknęło. Następnie umył ręce i zszedł po wąskich schodach na podwórze, gdzie czekała Isabella.

\*

W Granadzie Ramon zabrał ją na corrida de toros i cieszył się jak dziecko, że szczęście ich nie opuściło i trafili na występy El Cordobeśa.

Gdyby nie to, iż ojciec Ramona opiekował się tym najsłynniejszym ze wszystkich matadorów, kiedy był on zaledwie novillero, nigdy nie zdobyliby biletów w tak krótkim czasie. Tymczasem dostarczono je im do hotelu już następnego ranka po przybyciu. Nie tylko dostali miejsca na trybunie tuż koło łoża prezydenta, ale zostali również zaproszeni do uczestnictwa w przygotowaniach El Cordobeśa do występu.

Oczywiście, Isabella czytała „Śmierć po południu” Hemingwaya i zdawała sobie sprawę z tego wyróżnienia. Zaskoczył ją jednak szacunek, z jakim Ramon powitał Manuela Beniteza – El Cordobeśa, czy też niemal religijna nabożność rytualnego przywdziewania stroju.

– Trzeba być Hiszpanem, żeby rozumieć walki byków – stwierdził Ramon, gdy zajmowali swe miejsca; naprawdę nigdy nie widziała go tak podekscytowanego. Jego entuzjazm udzielił się i jej.

Gdy zabrzmiały trąbki, oznaczające rozpoczęcie parady, Isabella poczuła, jak dreszcze przebiegają jej po plecach; widowisko było wspaniałe: te konie, te kostiumy zdobione srebrem, złotem i maleńkimi perłami, ci matadorzy krocący w krótkich, haftowanych kurtkach i obcisłych spodniach, które uwydatniały pośladki i ukryte za ochraniaczami genitalia. Nawet jaskrawe atłasowe peleryny połyskiwały barwami przypominającymi kobiece ciało, co jeszcze podkreślało zmysłowy charakter szaleństwa, które ogarnęło siedzących na trybunach widzów.

Kiedy byk wtargnął na arenę, niosąc wysoko łeb uzbrojony w rogi, rozbryzgując kopytami piach i wodząc dokoła przekrwionymi oczami, Isabella zerwała się z miejsca i wrzeszczała wraz z tłumem.

Gdy El Cordobes wykonał kilka pierwszych ruchów, Ramon chwycił Isabellę za rękę i zaczął jej wyjaśniać znaczenie pełnych wdzięku ewolucji, takich jak prosta, lecz pełna elegancji veronice czy bardziej skomplikowane quite. Oczami Ramona zobaczyła to jako początek poruszającego, pięknego rytuału, odgrywanego zgodnie z prastarą tradycją, który nie usiłował ukryć swojego okrutnego, tragicznego charakteru.

Kiedy trąbki oznajmiły wejście pikadorów, Isabella jęknęła głośno i przycisnęła dłoń do ust, gdyż bała się o konie. Czytała kiedyś przerażające opisy koni, którym byki rozpruły brzuchy, tak że wnętrzności im wypadły. Aby ją uspokoić, Ramon pokazał jej grubą osłonę ze zbitej bawełny, płótna i skóry, która je ochraniała. Żaden z koni nie został ranny, nawet kiedy rozjuszony byk dźgnął któregoś w bok i zepchnął aż do barierki.

Pikador pochylił się w siodle i wbił stalowe ostrze w kark byka; trysnęła krew, a potem spłynęła po bokach zwierzęcia, którego skóra załśniła w słońcu jak metal.

Isabella wstrząsnął dreszcz fascynacji, a Ramon powiedział cicho:

– Krew jest prawdziwa, wszystko, co tu widzisz, jest prawdziwe, jak samo życie. To właśnie jest życie, moja droga, z całym jego pięknem, okrucieństwem i namiętnością.

Zrozumiała to wówczas, zaakceptowała i pozwoliła unieść się fali.

El Cordobes wziął swoje banderillas. Stał w słońcu i uniósł w rękach długie piki, owinięte w barwne papierowe serpentyny. Krzyknął na byka, a gdy ten zwrócił się ku niemu, ruszył w jego stronę lekkim, tanecznym krokiem. Kiedy zbliżyli się do siebie, Isabella wstrzymała oddech, a mistrz; wbił piki w kark zwierzęcia i uskokzył na bok. Byk pochylił łeb, gdy poczuł ukłucie stali, ale siłą rozpędu znalazł się poza zasięgiem El Cordobesa. Trąbki ogłosiły finałowe tercio, godzinę prawdy, i nowy nastrój ogarnął stadion. El Cordobes i byk wciągnęli siebie nawzajem w majestatyczny taniec śmierci. Ciosy były niezwykle niebezpieczne, a przeciwnicy znajdowali się tak blisko siebie, że jasna krew z barków zwierzęcia pokryła uda matadora.

W końcu El Cordobes zbliżył się do łoża prezydenta, uniósł czapkę nazywaną montera, ozdobioną czarnymi jedwabnymi pomponami i poprosił o pozwolenie na zadedykowanie komuś byka. Isabella nie posiadała się z radości, gdy zbliżył się do miejsca, gdzie siedziała i oświadczył, że poświęca byka jej urodzie. Rzucił jej swoją monterę, odwrócił się i podszedł do przeciwnika.

El Cordobes zadawał ostatnie ciosy na środku areny, a każdy był bardziej precyzyjny i bliższy rogów niż poprzedni. Tłum reagował dzikim rykiem; wybuchy krzyku dzieliły chwile dźwięczącej w uszach ciszy, w której padał cios.

Wreszcie matador przygotował się do zabicia i ustawił tuż pod miejscem zajmowanym przez Isabellę. Gdy wycelował w byka długie srebrne ostrze, Ramon

chwycił jej rękę i wyszeptał:

– Spójrz! Zastosuje *recibiendo*, najtrudniejszy sposób!

Kiedy byk po raz ostatni rzucił się ku niemu, El Cordobes nie ruszył na jego spotkanie, lecz stał pewnie na miejscu. Zadał zdecydowany cios. Ostry koniec *estoque* uszkodził główną arterię i wytrysnęła fontanna krwi.

Po drodze do hotelu oboje milczeli. Byli jak w transie, przeżywali jakieś mistyczne uniesienie. Okrucieństwo i krew, tragiczne piękno tego spektaklu nie zmęczyło ich, lecz podniosło emocje do granic wytrzymałości. Isabella czuła, że Ramona ogarnęło pożądanie jeszcze większe i bardziej niepohamowane niż ją.

W sypialni, której podwójne drzwi i balkon z kutą w żelazie barierką wychodziły na ogrody starego pałacu Maurów, Ramon postawił ją na środku podłogi. Nad ich głowami poruszały się skrzydła staroświeckiego wentylatora.

Kiedy ją rozbierał, wydawało się, jest to jeszcze jeden rytuał, równie stary jak *korrida*. Gdy była już naga, ukląkł u jej stóp, objął biodra i zanurzył twarz w gęstej, ciepłej poduszce włosów.

Pieściła jego głowę z czułością, jakiej nigdy nie miała dla żadnej istoty ludzkiej, ale była ona zabarwiona wielkim smutkiem i pokorą. Czuła, że taka miłość to coś świętego i że nie jest jej godna.

W końcu wstał, wziął ją na ręce jak dziecko i zaniósł do łóżka. Było tak, jakby kochali się po raz pierwszy, jakby dotarł do tak tajemnych głębin w jej fizycznym i duchowym jestestwie, że ona sama nie podejrzewała nawet ich istnienia.

Prawa czasu i przestrzeni były określane od nowa, gdy trzymał ją w ramionach. Trwało to chwilę i całą wieczność. Niczym kometa przemierzała wszystkie kręgi nieba. Kiedy patrzyła w zielone oczy mężczyzny, wiedziała, że jego dusza jest zamknięta w jej, tak jak jego ciało w jej ciele w czasie całej tej nieprawdopodobnej odysei, i napełniało ją to radością. Gdy czuła, że nie może już głębiej, że nie wytrzyma dłużej, zalewała ją fala szczęścia, gorąca i obfita jak potok wulkanicznej lawy.

Ostatnie światła dnia gasły, a ich pokój zapełniały cienie. Isabella poczuła się krańcowo osłabiona, nie mogła mówić ani poruszać się; miała siłę tylko na to, by płakać i kiedy tak leżała wyczerpana i zaspokojona, przyszedł do niej sen.

Cały świat stał się jaśniejszy i radośniejszy, odkąd miała Ramona.

Londyn, najbardziej fascynujące i żywotne z miast, zmieniło się dla niej w raj na ziemi. Widziała je przez migoczącą mgiełkę podniecenia. Każda minuta spędzona w towarzystwie ukochanego była jak klejnot oprawiony w złoto.

Gdy trzy lata wcześniej przyjechała do Londynu, skończyła już studia i uzyskała stopień magistra. Zaskoczony nagłym pociągiem do wiedzy ojciec namówił ją, żeby kontynuowała naukę w the School of Oriental and African Studies na Uniwersytecie Londyńskim i zaczęła przygotowywać swój doktorat. Temat brzmiał: „Ewolucja postkolonialnej Afryki”. Praca nad nim postępowała dosyć szybko i Isabella miała nadzieję, że zanim minie kadencja ojca i wróci do Kapsztadu, skończy znaczną część dysertacji.

Ale tak było, dopóki Ramon nie pojawił się w jej życiu. Od tamtej pory Isabella stała się bezwstydną wagarowniczką. W ciągu tygodni, które Mineły od ich powrotu z Hiszpanii, ani razu nie odwiedziła swojego promotora, nie miała nawet czasu, by otworzyć książkę.

Zamiast zajmować się doktoratem, wstawała przed świtem i wymykała się, aby odbyć konną przejażdżkę z Ramonem po parku lub by uprawiać z nim jogging na nabrzeżu. Czasami ćwiczyli razem w małej siłowni w Bloomsbury, prowadzonej przez węgierskiego emigranta, który musiał uciekać z kraju po klęsce powstania.

Tam Ramon zaczął zapoznawać ją z tajemnicami judo i samoobrony, sztuk, w

których był przerażająco biegły. Czasami spacerowali po galeriach i muzeach, trzymając się za ręce. Marzyli, stojąc przed płótnami Turnera w Tate Gallery lub dyskutowali o nowych członkach Royal Academy. Ich wyprawy zawsze kończyły się w łóżku w mieszkaniu Ramona na Kensington. Nie interesowało jej, w jaki sposób mógł spędzać tyle czasu z nią, zamiast pracować w banku. Po prostu akceptowała to z wdzięcznością.

– Zrobiłeś ze mnie nałogowca – stwierdziła. – Muszę zajmować się też swoimi obowiązkami.

Kiedy zaś wyjechał na osiem dni z Londynu, aby załatwić jakąś tajemniczą sprawę dla banku, usychała z tęsknoty, chodziła osowiała i chyba naprawdę się rozchorowała, bo rano po przebudzeniu się wymiotowała.

W mieszkaniu Ramona Isabella miała sześć kompletów ubrań oraz cały arsenał kosmetyków; ponadto zobowiązała się, że będzie zajmować się kwiatami i dbać, aby lodówka była zawsze pełna. Lubiła dla niego gotować i naprawdę potrafiła to robić.

Zaczęła lekceważyć swoje obowiązki w ambasadzie. Wymawiała się od oficjalnych zaproszeń i często pozostawiała szefa kuchni i służbę samym sobie. Ojciec robił jej wymówki z powodu zmian w jej charakterze.

– Nigdy nie ma cię w domu, Bellu. W najmniejszej sprawie nie mogę na ciebie liczyć. Nanny mówi, że w tym tygodniu spałeś w swoim łóżku tylko dwa razy.

– Nanny to plotkarka i kłamczucha.

– Co się dzieje, moja panno?

– Skończyłam już dwadzieścia jeden lat, kochany tato, poza tym umawialiśmy się, że nie będę musiała spowiadać ci się z mojego prywatnego życia.

– Umawialiśmy się też, że czasami pokażesz się na przyjęciach, które organizuję.

– Rozchmurz się, tato – pocałowała go. – Za kilka miesięcy wrócimy do Kapsztadu. Wtedy nie będziesz już musiał się o mnie niepokoić.

Jednakże jeszcze tego samego popołudnia zapytała Ramona, czy nie przyszedłby na koktajl, który Shasa wydawał w ambasadzie na Trafalgar Square na powitanie słynnego południowoafrykańskiego pisarza Alana Patona.

Ramon zastanawiał się całą minutę, zanim pokręcił przecząco głową.

– Jeszcze nie nadszedł właściwy moment, żeby poznać twojego ojca.

– Dlaczego nie, kochanie? – zapytała zdziwiona. Wprawdzie nie miało to dla niej znaczenia, ale jego odmowa ją ubodła.

– Są pewne powody – usłyszała; często bywał tak diabelsko tajemniczy.

Chciała wyciągnąć z niego co nieco, ale wiedziała, że marnuje tylko czas. Ramon był jedynym mężczyzną, który potrafił się jej oprzeć. Pod tą piękną fasadą kryło się stalowe wnętrze. „To jest właśnie część jego uroku” – zaśmiała się do siebie ponuro. Nie pragnęła dzielić się nim z kimkolwiek, nawet z ojcem; miłość tak bardzo ich absorbowwała, że unikali ludzi.

Jednakże czasami jedli obiad w „Les A” lub „Pod Białym Słoniem” z Harriet albo z kimś z licznych znajomych, których Isabella poznała w ciągu tych trzech lat. Raz czy dwa pojechali z nimi do „Annabel”, żeby potańczyć, ale przeważnie wymykali się towarzystwu, chcąc być we dwoje. Ramon chyba nie miał przyjaciół, w każdym razie ich jej nie przedstawiał, ale nie zwróciła na to uwagi.

W weekendy, gdy mogła wymigać się od oficjalnych spotkań w ambasadzie, pakowali podręczne torby i rakietki tenisowe do jej auta i uciekali na wieś. Wracali zazwyczaj późnym wieczorem w niedzielę.

Na początku sierpnia porzucili swoje samotnicze zwyczaje i złapali pociąg do Szkocji. W dniu otwarcia sezonu na szkockie kuropatwy byli gośćmi Harriet Beauchamp na wrzosowiskach należących do jej rodziny.

Lord był pedantem, jeśli chodzi o formę, i kobietom nie pozwolono strzelać

pierwszego dnia. Mogły podawać broń lub dołączyć do naganiaczy. Ojciec Harriet nie bardzo lubił cudzoziemców, zwłaszcza takich, którzy używali strzelb z pionowo, a nie poziomo umieszczonymi lufami i którzy woleli włoską broń od angielskiej.

Przed pierwszą rundą Ramon został ustawiony na końcu linii strzelców.

Niespodziewanie z prawej strony wypadły trzy stada kuropatw i przeleciały tuż nad wrzosami z prędkością trzydziestu mil na godzinę. Isabella ładowała Ramonowi broń. Zastrzelił po cztery ptaki z każdego stada. Pierwsze dwa trafił, gdy tylko się pokazały. Kiedy przelatywały nad ich głowami, Isabella podała mu drugą strzelbę. Z niej zastrzelił następną parę. Dwanaście strzałów i dwanaście ptaków. Nawet prowadzący zawody pokreślił swoją siwą głowę.

– Przez trzydzieści trzy sezony nie widziałem czegoś takiego – powiedział do lorda ponuro. – Strzela jak de Grey albo Walsingham.

Taka pochwała stawiała Ramona na równi z najlepszymi strzelcami w historii Anglii.

Lord natychmiast zniósł stary zwyczaj i w następnej rundzie Ramon znalazł się na jednym z uprzywilejowanych miejsc na środku linii. Podczas obiadu przy długim stole w jadalni ponownie został wyróżniony: lord większość swoich uwag kierował ku niemu, ponad głowami biskupa i baroneta, którzy siedzieli między nimi. Weekend rozpoczął się wspaniale. Harriet postarała się, aby Ramon i Isabella zajmowali sąsiadujące ze sobą pokoje w najdalszym końcu ogromnego, starego domu.

– Ojciec cierpi na bezsenność – wyjaśniła. – A ciebie i Ramona w akcji słyszeć tak, jak Berlin Philharmonic wykonującą „Bolero” Ravela.

– Ty wulgarna bezwstydnico! – zaprotestowała Isabella.

– A propos bezwstydu, kochanie. Czy podzieliłaś się już z Ramonem tą swoją małą tajemnicą? – zapytała Harriet słodko.

– Czekam na właściwy moment. – Isabella natychmiast zajęła pozycję obronną.

– No, o ile ja wiem, dla takich wiadomości nie ma odpowiednich momentów.

Tym razem Harriet miała rację. Przez cały weekend nie pojawiła się ani jedna okazja. Byli już w połowie drogi do Londynu, gdy Isabella porzuciła wszelkie próby rozegrania tego subtelnie. Na szczęście mieli dla siebie cały przedział pierwszej klasy.

– Kochanie, w środę byłam u lekarza... nie tego z ambasady, Harriet poleciła mi innego. Przeprowadził test, a wyniki dostałam w piątek... – przerwała i spojrzała na niego badawczo. Wyraz jego twarzy nie zmienił się; utkwiał w niej tak zimne spojrzenie zielonych oczu, że poczuła irracjonalny strach.

Z całą pewnością nic nie może przytłumić ich uczuć, nic nie może popsuć ich doskonałej miłości, a mimo to zastanowiła ją w Ramonie jakaś czujność i dziwna obcość. I nagle wyrzuciła z siebie wszystko.

– Jestem w ciąży prawie od dwóch miesięcy. To musiało się zdarzyć w Hiszpanii, prawdopodobnie wtedy w Granadzie, po walkach byków... – zabrakło jej tchu, zadrżała, lecz po chwili mówiła szybko dalej: – Nie potrafię tego wyjaśnić. To znaczy, biorę regularnie pigułki, przysięgam, sam zresztą widziałeś...

Zdała sobie sprawę, że zaczyna się płatać w wyjaśnieniach, tracić godność i panowanie nad sobą.

– Wiem, że zachowałam się jak idiotka, kochanie, ale nie martw się. Wszystko da się załatwić. Harriet też coś takiego spotkało, w zeszłym roku. Pojechała do lekarza do Amsterdamu; zajął się tym, nie było żadnych problemów. W piątek wieczorem wsiadła do samolotu, a w niedzielę była już z powrotem, jakby nic się nie stało. Dała mi adres i obiecała, że poleci ze mną, żeby mi dodać otuchy...

– Isabella! – przerwał jej ostro. – Dosyć. Posłuchaj mnie! Umilkła i wlepiła w niego przerażone spojrzenie.

– Nie wiesz, co mówisz. To, co proponujesz, jest potworne!

– Przepraszam cię, Ramon – powiedziała zdezorientowana. – Nie powinnam była zawracać ci tym głowy. Harriet i ja powinnyśmy były...

– Harriet to pływka, głupawa dziewczyna. Jeśli jej powierzysz życie naszego dziecka, to stajesz się taka sama jak ona.

Isabella wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Czegoś takiego w ogóle się po nim nie spodziewała.

– To cud, Isabello, największy cud i tajemnica we wszechświecie, a ty mówisz o zniszczeniu go. Naszego dziecka, Isabello. To jest życie, nowe piękne życie, które ty i ja poczęliśmy w miłości. Nie rozumiesz tego?

Pochylił się ku niej i ujął jej dłonie; zobaczyła, jak chłód w jego oczach znika.

– To jest coś, co razem uczyniliśmy, co w cudowny sposób stworzyliśmy. Należy do nas obojga, do naszej miłości.

– Nie jesteś na mnie zły? – zapytała niepewnie. – Myślałam, że będziesz niezadowolony.

– Jestem dumny i pełen pokory – wyszeptał. – Kocham cię. Jesteś dla mnie nieskończenie cenna.

Trzymając ręce dziewczyny za nadgarstki położył je na jej brzuchu.

– Kocham to, co tam jest; ono też jest dla mnie nieskończenie cenne. Powiedział w końcu te słowa. Powiedział: „Kocham cię”.

– Och, Ramonie – wzrok zaszedł jej mgłą. – Jesteś taki cudowny, taki czuły, taki miły. To prawdziwy cud, że spotkałam kogoś takiego jak ty.

– Urodzisz nasze dziecko, moja kochana Bellu.

– Och, tak! Tysiąc razy tak, mój kochany. Jestem taka dumna, taka szczęśliwa – cała jej niepewność zniknęła, zastąpiło ją podekscytowanie i oczekiwanie, wszystko inne wydawało się nieistotne.

\*

W tej euforii żyła przez kilka następnych dni. Jej miłość do Ramona pozyskała nową wartość; coś, co dotychczas rozwijało się żywiołowo, teraz miało kierunek i cel. Dziesięć razy już miała powiedzieć o wszystkim Nanny, ale powstrzymywała się, gdyż podejrzewała, że radość staruszki byłaby tak niepojęta, iż cała ambasada, łącznie z ojcem, w ciągu dwudziestu czterech godzin dowiedziałyby się o wszystkim.

To uświadomiło jej, że powinna trzeźwo się zastanawiać nad prozaicznymi szczegółami, którymi należało się jeszcze zająć. Była w ciąży już dwa miesiące, a Nanny miała sokoli wzrok i bardzo wyczulony instynkt. W domu w majątku Weltevreden zawsze wiedziała, czy któraś służąca lub robotnica była ciężarna. Nanny kapała ją, lecz jeszcze niczego nie spostrzegła.

Wieczorem wybierała się z Ramonem na występy w ramach Festiwalu Flamenco na Drury Lane, ale zatelefonowała do niego do banku.

– Kochanie, nie mam ochoty nigdzie dzisiaj wychodzić. Chcę być tylko z tobą. Ugotuję coś. Będę gotowa, kiedy wrócisz do domu, posłuchamy sobie nowej płyty von Karajana.

Wyczuła niechęć w jego głosie. Cały tydzień z taką radością czekał na ten koncert flamenco. Czasami odzywała się w nim żarliwa miłość do Hiszpanii. Nalegał nawet, żeby zaczęła się uczyć jego ojczystego języka i podarował komplet płyt Linguaphonu, ona jednak bezwstydnie się wykręcała i w końcu dał jej z tym spokój.

W drodze z ambasady do mieszkania Isabella zatrzymała samochód i kupiła po butelce szampana Poi Roger oraz Montrachet z prywatnej skrzyni jej ojca u Berry Brothers, kupców z St James Street. Potem w markecie Harrodsa wybrała dwa tuziny ostróg i dwa wspaniałe kotlety z cielęciny.

Patrzyła przez okno, gdy Ramon wyszedł z za rogu i szybkim krokiem zmierzał w stronę frontowych drzwi. Wyglądał bardzo po angielsku w tym swoim trzyczęściowym garniturze. W Londynie nosił nawet złożony czarny parasol i paradował w meloniku, znaku rozpoznawczym młodych bankierów. Miał szczególnie dar świetnego dopasowywania się do każdego środowiska, nieważne jak różnego od jego własnego.

Otworzyła szampana, gdy tylko usłyszała, że klucz obraca się w zamku drzwi wejściowych, nalała alkohol do kieliszków i postawiła je obok srebrnej tacy z rozkruszonym lodem, na którym ułożyła otwarte ostrygi. Powstrzymała się, aby nie pobiec ku niemu i powitała go w pokoju dziennym mocnym i długim pocałunkiem.

– Co to za okazja? – zapytał, gdy zobaczył tacę z ostrygami i dwa kieliszki na długich nóżkach, w których musowało żółte wino. Podała mu jeden i spojrzała na niego z czułością.

– Witaj w domu, Ramonie. Chciałam ci dać przedsmak tego, jak będziemy żyć, gdy się pobierzemy.

Zobaczyła, że drgnął; odczuła to tym dotkliwiej, że zdarzyło się to po raz pierwszy. Zawsze był spokojny i opanowany.

Odstawił wino, a ona przeczuła, że zbliża się katastrofa.

– Ramonie, o co chodzi? – zapytała.

Zabrał dziewczynie kieliszek i postawił na stole.

– Bellu – zwrócił się ponownie ku niej i ujął ją za rękę. – Bellu – powtórzył miękko, z głębokim żalem i pocałował wewnętrzną stronę dłoni Isabelli.

– O co chodzi? – z trudem łapała oddech, tak bardzo przerażenie przygniatało jej pierś.

– Nie mogę się z tobą ożenić, kochanie.

Patrzyła na niego, a nogi jej drżały, słabła z przerażenia.

– Nie mogę się z tobą ożenić, przynajmniej na razie, kochanie. Wysunęła swoje dłonie z jego rąk, po czym się odwróciła, powoli podeszła do fotela i ciężko na nim usiadła.

– Dlaczego? – zapytała cicho, nie patrząc na mężczyznę, który ukląkł przed nią. – Chcesz, żebym nosiła twoje dziecko, więc dlaczego nie chcesz się ze mną ożenić?

– Bellu, niczego na świecie nie pragnę bardziej, niż mieć cię za żonę i być ojcem twojego dziecka, ale...

– Więc dlaczego? – powtórzyła prawie obojętnym tonem.

– Proszę, posłuchaj mnie, kochanie. Nie mów nic więcej, dopóki nie wysłuchasz mnie do końca.

Podniosła wzrok i spojrzała na niego, ale wciąż była bardzo blada.

– Dziewięć lat temu ożeniłem się z kubańską dziewczyną w Miami. Isabella zadrżała i zamknęła oczy.

– To małżeństwo od samego początku było katastrofą. Tylko przez kilka miesięcy byliśmy razem, ale oboje jesteśmy katolikami... – przerwał i dotknął bladego policzka dziewczyny. Cofnęła się przed jego pieszczotą, a on westchnął cicho. – Wciąż jestem jej mężem – powiedział po prostu.

– Jak ma na imię? – Isabella zapytała, nie otwierając oczu.

– Dlaczego chcesz to wiedzieć?

– Powiedz mi – nalegała.

– Natalie – wzruszył ramionami.

– Dzieci? – zapytała. – Ile masz dzieci?

– Wcale – odpowiedział. – Będiesz matką mojego pierworodnego. Zobaczył, jak kolory zaczynają napływać z powrotem do jej twarzy. Po chwili otworzyła oczy, aż pociemniałe od rozpacz i bólu.

– Och, Ramonie! Co teraz poczniemy?

– Zaczęłam już robić wszystko, co jest w mojej mocy – odparł. – Kiedy wróciliśmy z Hiszpanii, wiedziałem, zanim powiedziałaś mi o dziecku, że ponad wszystko na świecie chcę mieć ciebie za żonę.

– Och, Ramonie – zamknęła oczy i zacisnęła dłonie na jego rękach.

– Natalie nadal mieszka z rodziną w Miami. Skontaktowałam się z nią. Rozmawialiśmy przez telefon, kilka razy. Ona jest bardzo religijna. Mówi, że nic nie skłoni jej, by wzięła ze mną rozwód.

Isabella nie odrywała od niego wzroku, a teraz potrząsnęła z rozpaczą głową.

– Telefonowałam do niej znowu, przez trzy wieczory po kolei. W końcu znaleźliśmy coś, co jest dla niej ważniejsze niż jej Bóg i spowiednik.

– Co to było?

– Pieniądze – powiedział z odcieniem pogardy w głosie. – Mam jeszcze większą część wygranej z zawodów strzeleckich. Za pięćdziesiąt tysięcy dolarów w końcu zgodziła się przenieść do Reno i założyć sprawę o rozwód.

– Kochanie! – szepnęła Isabella, a radość znowu pojawiła się w jej oczach. – Och, dzięki Bogu! Kiedy? Kiedy ona tam pojedzie?

– W tym właśnie problem. To wymaga czasu. Nie mogę zbyt mocno nalegać. Znam Natalie. Gdyby dowiedziała się o tobie, domyśliłaby się, dlaczego chcę rozwodu i wykorzystала okazję do końca. Obiecała, że pojedzie do Reno na początku przyszłego miesiąca. Mówi, że musi pamiętać o swojej pracy i o rodzinie. Jej matka jest chora.

– Tak, tak – przerwała mu Isabella niecierpliwie. – Ale jak długo to potrwa?

– W prawie obowiązującym w stanie Nevada jest klauzula, która mówi, że trzeba być mieszkańcem Reno. Po trzech miesiącach udzieli rozwodu.

– Wtedy będę już w szóstym miesiącu. – Isabella uderzyła zaciśniętymi dłońmi o siebie, potem wyraz jej twarzy zmienił się. – A ojciec i ja mamy zarezerwowane bilety do Kapsztadu. Och, Ramonie, ależ się to pogmatwało!

– Nie możesz wrócić do Kapsztadu – rzekł stanowczo. – Nie mógłbym żyć bez ciebie, a poza tym ciąża będzie już widoczna, więc twoja rodzina i znajomi się zorientują.

– To co mam zrobić?

– Zostań ze mną, dopóki nie dostanę rozwodu. Za bardzo cię kocham, żeby pozwolić ci odejść. Nie chcę stracić ani dnia z życia mojego syna. W końcu się uśmiechnęła.

– Więc to na pewno będzie syn, prawda?

– Oczywiście – skinął głową z żartobliwą godnością. – Musimy mieć spadkobiercę tytułu, czyż nie? Zostaniesz ze mną, dobrze, Bellu?

– Co ja powiem ojcu i babce? Z tatą nie będzie problemu, ale moja babka...! – Isabella przewróciła oczami. – Centaine Courtney-Malcomess to nasz rodzinny smok. Zionie ogniem i chrupie kości swoich ofiar.

– Poskromię tego smoka – obiecał.

– Naprawdę wierzę, że mógłbyś to zrobić. – Isabella czuła ulgę, była lekka i radosna. – Jeśli ktokolwiek mógłby oczarować Nanę, to byłbyś na pewno ty, mój drogi.

Ponieważ Centaine Courtney-Malcomess dzieliło od nich sześć tysięcy mil, mieli trochę łatwiejsze zadanie. Isabella z ogromną ostrożnością przygotowywała grunt. Z dnia na dzień znowu stała się posłuszną córką i doskonałą panią domu. Z całą gorliwością i talentem rzuciła się w wir przygotowań do przyjęć, które miały dodać blasku ostatnim tygodniom kadencji Shasy Courtneya.

– Witaj z powrotem, skądkolwiek byś wracała – powiedział do niej ojciec z lekką



ironią w głosie pod koniec jednej z wielu udanych kolacji. – Wiesz, stęskniłem się za tobą.

Stali obok siebie na schodach wejściowych w Highveld i patrzyli na odjeżdżającą limuzynę, która zabierała ostatniego gościa.

– Pierwsza nad ranem.

Shasa spojrzął na zegarek, ale Isabella powstrzymała go.

– Za wcześnie, żeby iść do łóżka – ścisnęła ramię ojca. – Zrobię ci ostatniego drinka i przyniosę jeszcze jedno cygaro. Przez cały wieczór nie mieliśmy okazji, żeby porozmawiać.

Tego popołudnia Davidoffs dostarczył tuzin cygar z zapasów, które specjalnie dla Shasy były odpowiednio nawilżane w składzie na St James Street. Przyłożyła jedno do ucha, poobracała je w palcach i wreszcie zamruczała:

– Doskonałe.

Shasa rozparł się wygodnie w skórzanym fotelu po drugiej stronie pokoju. Choć wcześniej wraz z gośćmi raczył się bordo i porto, jego jedyne oko było wciąż jasne i czyste. Czarna jedwabna opaska na drugim oku wyglądała jak doskonale zawiązany krawat przy śnieżnobiałej koszuli.

Przyglądał się córce z prawdziwą przyjemnością, jakby była klaczą pełnej krwi z jego stajni albo doskonałym dziełem sztuki. Doszedł do wniosku, że jest najpiękniejsza ze wszystkich Courtneyów.

W młodości jego matka zadziwiała urodą. Upływ czasu nieco zamazał w pamięci Shasy jej obraz z tamtych lat, ale w salonie w Weltevreden wisiał portret z tego okresu, wykonany przez Annigoniego. Nawet jeśli artysta trochę poprawił naturę, musiała być nadzwyczajną kobietą. Z ciemnych oczu na portrecie biła niezwykła siła charakteru. Wciąż jeszcze, mimo sześćdziesięciu dziewięciu lat, była piękna i pełna życia, ale nigdy nie mogłaby się równać z wnuczką, która teraz znajdowała się w rozkwicie młodości.

Isabella obcięła końcówkę cygara złotą gilotynką stojącą na biurku ojca. Zapaliła od ognia cedrową gałązkę i trzymała ją przy cygarze, aż dym zaczął płynąć prosto do góry. Potem poszła nalać odrobinę koniaku do kryształowego pękatego kieliszka.

– Dziś rano profesor Symmonds przeczytał kolejny fragment mojego doktoratu.

– Ach, więc nadal zaszczycasz uniwersytet swoją obecnością? – Shasa przyjrzał się jej nagim ramionom oświetlonym blaskiem ognia palącego się w kominku.

To po matce odziedziczyła tę skórę jasną i gładką jak marmur.

– Uważa, że jest niezły – zignorowała drwinę.

– Jeśli poziom jest taki sam jak pierwszych stu stron, które dałaś mi do przeczytania, to Symmonds ma pewnie rację.

– Chce, żebym została tu i dokończyła wszystkiego – dodała, nie patrząc na ojca.

Shasa poczuł ukłucie w piersi.

– Tutaj, w Londynie, sama?

– Sama? Z wieloma przyjaciółmi, personelem londyńskiego biura Courtney Enterprises, z matką...! – przyniosła mu brandy. – Przecież nie porzucasz mnie w obcym miejscu, tato.

Shasa chrząknął, żeby przeczyścić sobie gardło i napił się koniaku, szukając rozpaczliwie jakiegoś lepszego powodu, by zabrać ją ze sobą na Przylądek.

– Gdzie będziesz mieszkać? – mruknął.

– Słabo się starasz – uśmiechnęła się do ojca i odebrała mu cygaro. Wzięła je do ust, zaciągnęła się i puściła dym w jego stronę. – Na Cadogan Square jest mieszkanie, które kosztuje cię mnóstwo pieniędzy. I stoi puste.

Oddała mu cygaro.

Oczywiście miała rację. Rezydencję ambasadora Shasa otrzymał wraz z

nominacją na to stanowisko, a mieszkanie należące do rodziny stało odtąd puste. Milczał, przyparty do muru, Isabella zaś zadała mu coup de grace.

– To ty przecież nalegałeś, żebym się zajęła doktoratem. Chyba nie chcesz mnie go teraz pozbawić? Shasa odzyskał animusz.

– Skoro wszystko tak dokładnie zaplanowałaś, na pewno rozmawiałaś już z babką.

Isabella pochyliła się nad fotelem, w którym siedział, i pocałowała go w czoło.

– Miałam nadzieję, że to ty powiesz o tym Nanie, mój kochany tato. Shasa westchnął.

– Czarownica – mruknął. – Robisz ze mnie współnika, a to się źle skończy.

Mogła polegać na ojcu, że zajmie się Naną, ale wciąż pozostawała jeszcze Nanny. Isabella starała się najpierw zmiękczyć piastunkę, recytując imiona i zalety jej siedemnaściorga wnucząt, czekających na nią w Weltevreden. Nanny nie była w domu trzy lata i trzy długie, angielskie zimy.

– Tylko pomyśl, Nanny. Na Przylądku będzie już wiosna, gdy statek przybije do portu, a Johannes będzie czekał na przystani.

Johannes był głównym stajennym w Weltevreden i jej ukochanym synem.

Oczy staruszki załśniły. Więc kiedy Isabella w końcu zdradziła jej nowinę, Nanny tylko ją objęła i tuląc lamentowała, że obecnie młode pokolenie jest niewdzięczne i pozbawione poczucia obowiązku. Potem była posepna przez dwa dni, ale nie rozpaczała.

Isabella pojechała do Southampton, żeby wszystkich pożegnać. Nowy aston martin Shasy został przetransportowany na pokład liniowca Union Castle za pomocą dźwigu przypominającego szyję żyrafy, a potem służba ustawiła się w kolejce na nabrzeżu. Brała w objęcia wszystkich, od szefa kuchni z Malajów po szofera. Nanny wybuchnęła płaczem, gdy Isabella ją pocałowała.

– Pewnie już nie zobaczysz tej staruszki. Będzie ci mnie brakowało, jak umrę. Pamiętaj o tym, jak cię niańczyłam...

– Nieprawda, Nanny. Będiesz jeszcze zajmowała się moimi dziećmi.

To był niebezpieczny temat, ale uwaga Nanny była przytępiona. Obietnica odsunęła od niej cień zbliżającej się śmierci i piastunka wyraźnie się rozchmurzyła.

– Wracaj szybko do domu, dziecinko, słyszysz? Stara Nanny przypilnuje cię wtedy. Ta gorąca krew Courtneyów – znajdziemy ci u nas dobrego chłopca.

Gdy Isabella podeszła, żeby pożegnać się z ojcem, niespodziewanie także poczuła na twarzy słony strumień łez. Shasa wyjął z kieszeni dwurzędowej marynarki białą chusteczkę. Kiedy osuszyła oczy i oddała mu ją, wydmuchał głośno nos, po czym dotknął policzka.

– Cholerny wiatr – wyjaśnił. – Wpadło mi coś do oka.

Gdy liniowiec odbijał od nabrzeża kierując się w dół rzeki, patrzyła na wysoką i smukłą postać ojca opartego o poręcz statku; stał samotnie, oddalony nieco od pozostałych pasażerów. Po rozwodzie nigdy się nie ożenił. Wiedziała, że spotykał się z dziesiątkami kobiet, a wszystkie były szykowne, zdolne i ponętne. Jednak z żadną się nie związał na stałe.

„Czy nigdy nie czuje się samotny?” – zastanowiła się i zaczęła mu machać ręką, aż stał się nierozpoznawalną plamką na pokładzie.

W drodze powrotnej do Londynu niewyraźnie widziała drogę, gdyż oczy wciąż miała pełne łez.

– To przez dziecko – próbowała wytłumaczyć się przed sobą. – Przez nie jestem taka nadwrażliwa i sentymentalna.

Położyła rękę na brzuchu, usiłując wyczuć wypukłość i była rozczarowana, że pod

palcami ma wciąż gładkie i twarde mięśnie.

– Boże, co będzie, jeśli to tylko fałszywy alarm?

Ta możliwość jeszcze bardziej ją przygnębiła, sięgnęła więc do schowka w samochodzie po paczkę kleenexów.

Ale gdy weszła po schodach do mieszkania, drzwi otworzyły się, zanim nacisnęła klamkę, a Ramon wyciągnął ręce i przytulił ją. Wówczas zapomniała o łzach.

Mieszkanie przy Cadogan Square zajmowało dwie pierwsze kondygnacje domu z czerwonej cegły, pochodzącego z epoki wiktoriańskiej i wpisanego do rejestru zabytków. Było w nim pięć obszernych sypialni, a ściany apartamentu właściciela pokrywała boazeria w kolorze błękitnym i srebrnym; podobno kiedyś znajdowała się w buduarze Madame de Pompadour. Plafon zdobiły kręgi nagich nimf leśnych i chytrych satyrów. Ku wielkiemu zmartwieniu Shasy Isabella nazywała tę dekorację „Louis Quinze bordello”.

Mieszkania używała tylko jako adresu dla korespondencji i wpadała tu w piątki, żeby zabrać pocztę i wypić w spiżarni na dole herbatę z gospodynią.

Była ona sprzymierzeńcem i załatwiała wszystkie telefony z Weltevreden i innych odległych miejsc.

Prawdziwym domem Isabelli stało się małe mieszkanie Ramona. Kiedy garderoba, którą tu zabrała, okazała się nieodpowiednia, jej ubrania zaczęły krążyć między tym mieszkaniem a domem na Cadogan Square. W sklepie z antykami na Kensington Church Street znalazła małe damskie biureczko, które doskonale mieściło się w rogu obok łóżka; przy nim właśnie pracowała.

Życie ich zaczęło się toczyć jednostajnym rytmem, jak w małżeństwie.

Przed świtem wychodzili na siłownię lub do stajen; ginekolog zabronił Isabelli uprawiać jogging. „Moja droga, nosisz płód, a nie koktajl” – oświadczył.

Potem, kiedy Ramon wychodził do banku, siadała przy biurku i pracowała nad doktoratem. Na lunchu spotykali się w „Justin de Blank” lub w restauracji ze zdrową żywnością Harrodsa, gdyż Isabella odstawiła alkohol i przeszła na surową dietę dla dobra dziecka.

– Nie mam zamiaru spuchnąć jak ropucha. Nie chcę budzić w tobie odrazy.

– Jesteś najbardziej pożądaną kobietą, jaka istnieje, a dzięki ciąży rozkwitłaś – nie zgodził się z nią i dotknął jej piersi. Był cudowny.

– Pytałam lekarza i powiedział, że nic się nie stanie. Nie musimy się całkowicie powstrzymywać – zachichotała. – Mam nadzieję, że w karetce, która zabierze mnie do szpitala, znajdą się dla nas jakieś wygodne podwójne nosze i pozwolimy sobie na szybki numer.

Po lunchu szła na spotkanie ze swoim promotorem lub spędzała resztę popołudnia w czytelni British Museum. W końcu wsiadała do swojego mini i pędziła do domu, żeby przygotować kolację dla Ramona.

Na szczęście ojciec postarał się, aby mogła zachować dyplomatyczne tablice rejestracyjne, więc parkowała tuż przed wejściem i uśmiechała się ujmująco do policjanta.

Wieczorami wychodzili coraz rzadziej, z wyjątkiem nieczęstych wypadków do teatru czy na kolację z Harriet i jej kolejnym adoratorem. Zwykle układali stos poduszek na podłodze i zasiadali przed telewizorem, kłócąc się, dyskutując i gruchając, gdy szły beznadziejnie słabe seriale oraz teleturnieje.

Kiedy wreszcie jej płaski brzuch zaokrąglił się, odsłaniała jedwabny szlafrok i pokazywała go z dumą.

– Dotknij – nalegała. – Czy to nie jest cudowne? Pomacał go ze skupieniem.

– Tak – kiwnął głową z powagą. – To na pewno chłopiec.

– Skąd wiesz?

– Tutaj – wziął ją za rękę. – Czujesz?  
– Aha, rzeczywiście trochę wystaje. Pewnie ma to po tacie. Ciekawe, że myślenie o tym sprawia, że mam ochotę na łóżko.

– Jesteś śpiąca?

– Raczej nie.

Shasa zostawił jej otwarte konto u Harrodsa i większość odzieży ciążowej nabywała właśnie tam, chociaż znalazła kilka butików, które specjalizowały się w modnych ubraniach dla przyszłych matek. Zapisła się także na kursy przedporodowe, które polecił jej ginekolog. Nagle towarzystwo i rozmowy z brzemiennymi koleżankami, które kiedyś zanudziłyby ją na śmierć, stały się interesujące i pożądane.

Przynajmniej raz w miesiącu Ramon musiał lecieć dokądś w sprawach związanych z bankiem i za każdym razem nie było go miesiąc lub nawet dłużej.

Telefonował jednak do niej, kiedy tylko miał możliwość. Tęskniła wtedy za nim bardziej, niż byłaby w stanie przyznać przed samą sobą, a gdy wracał, nie posiadała się z radości.

Po jednej z takich podróży powitała go na lotnisku Heathrow i zawiozła prosto do mieszkania. Zostawił torbę podróżną w przedpokoju, a marynarkę rzucił na oparcie krzesła i poszedł do łazienki. Jego hiszpański paszport wysunął się z marynarki i upadł na dywan. Podniosła go i przerzucała kartki, aż wzrok jej padł na jego zdjęcie. Nie było złe, ale żaden aparat nie pokaże go takim, jaki jest naprawdę. Odwróciła stronę i zobaczyła datę urodzenia. Przypomniała sobie, że do jego urodzin pozostały tylko dwa tygodnie. Postanowiła postarać się, by zapamiętał ten dzień. Już wypatrzyła szklaną figurkę w antykwariacie na Mayfair, wyborny akt, wykonany przez Rene Lalique'a. Uznała, że rzeźba przypomina jej ciało, nawet pomimo nienaturalnie długich nóg i silnych, chłopięcych pośladków. Gdyby nie fakt, że dzieło to powstało w okresie największej popularności Lalique'a, w latach dwudziestych, Isabellę łatwo można by uznać za jego modelkę. Ale cena przeraziła nawet ją i wciąż zbierała się na odwagę, żeby kupić tę figurkę.

Przerzuciła znowu kilka kartek i zatrzymała wzrok na wizie. Wydano ją tego ranka w Moskwie. Isabella ze zdziwienia zamrugowała oczami.

– Kochanie! – zawołała przez drzwi łazienki. – Myślałam, że byłeś w Rzymie. W jaki sposób trafiłeś do Moskwy?

Wszystko, czego się kiedykolwiek nauczyła, całe jej wychowanie w RPA wytworzyło w niej obraz Rosji jako antychrysta. Wystarczyło, że zobaczyła znak sierpa i młota oraz napis cyrylicą na pieczęcie, a poczuła dreszcz wstrętu.

Przez całą minutę z łazienki nie dochodził żaden odgłos, a potem drzwi nagłe się otworzyły, podszedł do niej Ramon w rozpiętej koszuli i odebrał paszport. Na twarzy malowała mu się zimna wściekłość, a wyraz jego oczu przeraził ją.

– Nigdy więcej nie wtrącaj się w moje sprawy – powiedział cicho.

Mimo że potem nie wspominał o tym incydencie, minął prawie tydzień, zanim poczuła, że jej wybaczył. Tak ją to onieśmieliło, że próbowała wymazać całą sprawę z pamięci.

Potem, gdy na początku listopada wpadła do mieszkania na Cadogan Square, gospodyni wręczyła jej korespondencję. Jak zwykle był tam list od ojca, ale pod nim znalazła jeszcze jedną kopertę, ostemplowaną w Johannesburgu, i z przyjemnością rozpoznała charakter pisma swego brata, Michaela.

Wszyscy trzej bracia tak różnili się wyglądem i charakterem, że nie mogła żadnego faworyzować.

Najstarszy, Sean, to niespokojna dusza, prawdziwy poszukiwacz przygód. Isabella uważała go za najprzystojniejszego mężczyznę, dopóki nie poznała Ramona. Sean był żołnierzem i myśliwym. Został odznaczony Srebrnym Krzyżem za męstwo w czasie

niewielkiej, ale okrutnej wojny w buszu w Rodezji. Kiedy nie zwalczał terrorystów, prowadził z ramienia Courtney Enterprises ogromne przedsiębiorstwo, zajmujące się polowaniami w dolinie rzeki Zambezi. Isabella go uwielbiała.

Garrick był jej średnim bratem, brzydkim kaczątkiem, astmatykiem, do którego w dzieciństwie mówiono „Biedny Garry”. Ale mimo że urodził się z wadami fizycznymi, odziedziczył ducha Courtneyów, ich determinację i bystrość. Pracował nad swoim słabym ciałem, aż stało się niemal groteskowo muskularne; miał tak potężną klatkę piersiową i mocne nogi, że ubrania trzeba mu było szyć na miarę. Był krótkowidzem, nosił okulary w rogowej oprawie i nie miał żadnych naturalnych predyspozycji do uprawiania sportu, lecz mimo to osiągnął taką zdolność koncentrowania się, że stał się świetnym graczem w polo i golfa, a także doskonałym strzelcem z broni krótkiej i długiej.

W dodatku odziedziczył po ojcu fotel prezesa i przewodniczącego zarządu Courtney Enterprises. Nie mając jeszcze trzydziestu lat, stał na czele kompleksu przedsiębiorstw, którego wartość szacowano na wiele miliardów dolarów; zawsze wykazywał się niezwykłą dbałością o szczegóły i zamiłowaniem do wytężonej pracy.

Nigdy jednak nie zapominał o urodzinach siostry, zawsze służył jej pomocą, nawet jeśli spełnienie prośby wymagało wiele zachodu. Mówiła do niego „Misiu”, ponieważ był taki duży, owłosiony i miły, i bardzo go kochała.

Następny był Michael, słodki, delikatny, rodzinny gołąbek pokoju, zamyślony, współczujący, kochający poezję; jedyny Courtney, który – mimo przykłądu i zachęty ojca oraz dwóch braci – nigdy nie zabił żadnego zwierzęcia. Napisał natomiast i opublikował trzy cieszące się dużą popularnością książki: zbiór wierszy oraz dwie pozycje dotyczące historii i polityki Afryki Południowej. Zostały one zakazane przez skrupulatnych cenzorów w RPA, ponieważ w niewłaściwy sposób traktowały problemy rasowe i prezentowały zbyt radykalne poglądy. Był również bardzo cenionym dziennikarzem, zastępcą redaktora naczelnego „Golden City Mail”, wielonakładowej anglojęzycznej gazety, która uparcie i otwarcie pozostawała w opozycji wobec rządu Johna Vorstera, wywodzącego się z Partii Narodowej Afrykanerów, i jego polityki apartheidu. Oczywiście, Courtney Enterprises było właścicielem osiemdziesięciu procent akcji „Mail”, w innym wypadku pismo prawdopodobnie nie osiągnęłoby takiej pozycji w tych trudnych czasach.

Przez całe dzieciństwo Isabelli Michael zawsze się nią opiekował, udzielał rad i był powiernikiem jej tajemnic; tylko Nanny potrafiła lepiej od niego opowiadać historie. Ufała Michaelowi jak nikomu na świecie i gdyby Sean nie był taki cudowny, a Garrick dobry i miły, to Michael byłby jej ukochanym bratem. Wszyscy trzej zawsze ostro współzawodniczyli o jej względy, ale Michaela kochała tak samo jak obu pozostałych. Teraz jego list zrobił jej dużą przyjemność, ale jednocześnie odezwało się poczucie winy. Nie pisała do niego, odkąd poznała Ramona, czyli prawie sześć miesięcy.

Drugi akapit na pierwszej stronie przykuł jej uwagę.

*Tata mówi, że mieszkasz sobie wygodnie na Cadogan Square i pilnie pracujesz nad swoją dysertacją. Bardzo dobrze, Bellu, naprawdę. Ale jestem przekonany, że nie zajmujesz wszystkich pięciu sypialń i mam nadzieję, że będziesz mogła mnie gdzieś tam umieścić. Wybieram się do Londynu na trzy tygodnie, od piętnastego. Całymi dniami będę poza domem. Mam w planie masę spotkań, więc obiecuję, że nie sprawię Ci kłopotu i nie przeszkodzę w pracy...*

To, że musi zamieszkać na Cadogan Square na czas wizyty Michaela, mogłoby skomplikować jej życie. Na szczęście Ramon wybiera się w jedną ze swoich zagranicznych podróży. I tak byłaby sama. Teraz będzie przynajmniej miała towarzystwo Michaela.

Wysłała do niego depeszę, zaadresowaną do redakcji „Mail” w Johannesburgu i postarała się, aby mieszkanie na Cadogan Square wyglądało na stale zamieszkaną. Do przyjazdu Michaela miała tydzień.

– Kilka spraw trzeba mu będzie wyjaśnić – powiedziała do Ramona, klepiąc się po wystającym już brzuchu. – Na szczęście Michael jest taki wyrozumiały. Jestem pewna, że rozumielibyście się świetnie. Chciałabym, żebyś go poznał.

– Postaram się zakończyć moje sprawy wcześniej i wrócić do Londynu, gdy twój brat jeszcze tu będzie.

– Och, kochanie, to byłoby wspaniałe. Proszę cię, postaraj się.

Czekała na Michaela na Heathrow i wydała pisk radości, gdy go dostrzegła pchającego wózek z bagażem. Podniósł ją do góry i zmienił się na twarzy, kiedy poczuł wystający brzuch, po czym postawił z powrotem z przesadną ostrożnością.

Kiedy wiozła go swoim mini, zauważyła, że jest opalony – jeśli mieszka się w Londynie, rzuca się to natychmiast w oczy – i nosi modne długie, kręcone włosy. Opadały mu na kołnierz zielonej sztruksowej marynarki. Ale uśmiech miał wciąż chłopięcy i szczery, a w jego niebieskich oczach nie dostrzegała tej zaborczej iskierki, charakterystycznej dla innych Courtneyów: i były one łagodne i zamyślane.

Wypytywała go o wieści z domu, częściowo żeby zaspokoić ciekawość, ale przede wszystkim po to, aby uniknąć rozmowy na temat jej zaokrąglonego brzucha. Według Michaela tata bardzo dobrze radził sobie z nowymi obowiązkami jako przewodniczący Armscoru. Nana, jak zwykle pełna życia, stała się jeszcze bardziej despotyczna i rządziła w Weltevreden żelazną ręką. Zajęła się nawet hodowlą psów myśliwskich. Sean wciąż likwidował grupy partyzantów i polował na stada byków. Otrzymał ostatnio awans na kapitana Ballantyne Scouts, jednego z doborowych rodezyjskich oddziałów. Garry właśnie przedstawił udziałowcom dane o zyskach spółki, które przynosiła już szósty rok z rzędu. Jego żona, Holly, miała wkrótce urodzić kolejne dziecko. Tym razem wszyscy mieli nadzieję, że będzie to dziewczynka.

Michael spojrział w tym momencie znacząco na Isabellę, ale ona skupiła całą uwagę na prowadzeniu samochodu, żeby uniknąć wyjaśnień i w końcu zaparkowała mini w garażu na jednej z sąsiednich uliczek.

Michael czuł się zmęczony podróżą i zmianą czasu, więc przygotowała mu kąpiel i przyniosła whisky z wodą sodową. Gdy wszedł do wanny, Isabella ulokowała się na zasłoniętej muszli klozetowej i paplała. Nigdy nie siedziałyby w łazience z Seanem lub Garrym, ale między nią a Michałem nagość była czymś naturalnym i niezauważanym.

– Czy pamiętasz tę głupiutką absurdalną rymowanąkę? – zapytał w końcu. – Jak to szło?

Dam di dam dam A ojciec jej rzeki: mój kwiatuśku, Znacznie więcej jest w twoim brzuszku, Niż trafiło ci do ust!

Isabella zachichotała.

– Czy to jest właśnie „wyćwiczone oko dziennikarza”? Nic się przed tobą nie ukryje, nieprawdaż?

– Ukryje? – zaśmiał się razem z nią. – Prawie wybiłaś mi to dziennikarskie oko swoim brzuszyskiem!

– Ładny, nie sądzisz? – Isabella wypięła się tak mocno, jak tylko mogła i poklepała wyraźną wypukłość z dumą.

– Kapitalny! – zgodził się Michael. – Na pewno tata i Nana byliby tego samego zdania, gdyby to zobaczyli.

– Nie powiesz im, Mickey, prawda?

– My nie zdradzamy swoich sekretów. Nigdy tak nie było i nigdy nie będzie. Ale

co masz zamiar zrobić z końcowym... hm... rezultatem?

– Mojego syna, a swego siostrzeńca nazywasz rezultatem? Wstydz się, Mickey. Ramon twierdzi, że to największy cud i tajemnica we wszechświecie.

– Ramon! Więc tak się nazywa winowajca. Mam nadzieję, że będzie miał na sobie kuloodporne majtki, gdy dorwie go Nana z tą zardzewiałą strzelbą załadowaną na jelenie.

– On jest markizem, Mickey. Markiz de Santiago y Machado.

– Ach, to rzeczywiście co innego. Nana jest na tyle snobką, żeby być pod wrażeniem. Pewnie wybierze mniejszy ładunek, taki na ptaki.

– Gdy Nana się o tym dowie, będę już markizą.

– Więc ten niegodziwiec Ramon ma zamiar uczynić z ciebie uczciwą kobietę?

Kiedy?

– No, tutaj jest mała przeszkoda – przyznała.

– To znaczy, że on już jest żonaty.

– Skąd wiedziałeś, Mickey? – wlepiła w niego oczy.

– I jego żona nie chce mu dać rozwodu?

– Mickey!

– Moja droga, to najbardziej spleśniały orzech w kieszeni. Michael wstał i sięgnął po ręcznik.

– Ty go nie znasz. On nie jest taki.

– Czy mam to uznać za obiektywną, zupełnie niestranną opinię?

Michael wyszedł z wanny i zaczął się wycierać.

– On mnie kocha.

– Właśnie widzę.

– Nie kpij, to poważna sprawa.

– Obiecuj, Bellu, że jeśli stanie się coś złego, przyjdiesz najpierw do mnie.

Przyrzekasz?

Skinęła głową.

– Nie przyrzekam. Wciąż jesteś moim najlepszym przyjacielem. Jestem jednak pewna, że nic złego się nie stanie. Sam się przekonasz.

Zaprosiła go na kolację do „Ma Cuisine” na Walton Street. Restauracja była tak zatłoczona, że z pewnością nie dostaliby stolika, gdyby Isabella nie zarezerwowała go, kiedy dowiedziała się o przyjeździe brata.

– Podoba mi się towarzyszenie kobiecie w ciąży – rzekł Michael, gdy wszyscy uśmiechają się do mnie, jakbym ja za to odpowiadała.

– To dlatego że jesteś taki przystojny.

Rozmawiali o pracy. Isabella zmusiła go, by obiecał, że przeczyta i oceni jej dysertację. Potem Michael wyjaśnił, że przyjechał do Londynu, aby zorganizować spotkania z najważniejszymi osobami: Oliver Tambo, Denis Brutus.

– Tyram nad napisaniem artykułów na temat ruchu antyapartheidowskiego i politycznych uchodźców z RPA, mieszkających w Wielkiej Brytanii.

– Myślisz, że nasi cenzorzy pozwolą ci opublikować taki artykuł? – zapytała Isabella. – Pewnie znowu wstrzymają cały numer, a Garry będzie wściekły. Wszystko, co ma wpływ na wysokość dochodów, sprawia, że wpada we wściekłość.

Michael zaśmiał się cicho.

– Biedny stary Garry.

To przewisko weszło już w zwyczaj, ale przestało odpowiadać prawdzie.

– Ale jego życie jest takie proste: nie tyle bierze pod uwagę czystość moralną, co czyste konto w banku.

Podczas deseru Michael nieoczekiwanie zapytał:

– Co u mamy? Czy widziałaś ją ostatnio?

– Mama ani nawet matka – poprawiła go Isabella z goryczą. – Wiesz że ona uważa te słowa za strasznie burżuazyjne. Ale żeby odpowiedzieć na twoje pytanie – nie, nie widziałam Tary od jakiegoś czasu.

– Ona jest naszą matką, Bellu.

– Pamiętam, gdy opuszczała ojca, a także nas wszystkich i uciekała z tym czarnym rewolucjonistą, a potem urodziła mu małego brązowego bękartą.

– Mogłabyś być trochę litościwsza, jeśli chodzi o rodzenie bękartów – powiedział Michael łagodnie i zorientował się natychmiast, że poczuła się dotknięta.

– Przepraszam, Bellu, ale – podobnie jak w twoim wypadku – zawsze są jakieś powody. Nie powinniśmy jej tak ostro oceniać. Ojciec chyba nie był idealnym mężem i nie każdy potrafi dostosować się do reguł, które narzuca Nana. U niektórych z nas instynkt zabijania nie jest wystarczająco rozwinięty. Myślę, że Tara od samego początku nie pasowała do tej rodziny. Nigdy nie czuła się członkiem elity. Ona zawsze stała po stronie słabszych, a potem w jej życiu pojawił się Moses Gama...

– Mickey, mój drogi – przerwała mu Isabella i ujęła go za rękę. – Jesteś najbardziej współczującym, wyrozumiałym człowiekiem na świecie. Całe życie poświęcasz, by znajdować usprawiedliwienia dla naszych postępów, ocalasz nas przed losem. Naprawdę, bardzo cię kocham. Nie chcę walczyć ani kłócić się z tobą.

– Dobrze – uściśnął jej palce. – W takim razie pojedź ze mną do Tary. Ona regularnie do mnie pisze. Uwielbia cię, Bellu, i strasznie za tobą tęskni. Boli ją to, że jej unikasz.

– Ach, Mickey, zastawiłeś na mnie pułapkę, ty diable. – Przez chwilę się zastanawiała. – Ale co z moim stanem? Chciałam być trochę bardziej dyskretna.

– Tara jest twoją matką, kocha cię i niewiele jest osób bardziej tolerancyjnych niż ona. Wiesz przecież, że ona cię nie skrzywdzi.

– Żeby ci zrobić przyjemność – westchnęła i skapitulowała. – Tylko dlatego, Mickey.

Tak więc w najbliższy sobotni ranek szli Brompton Road, a Michael musiał dobrze wyciągać swoje długie nogi, żeby nadążyć za siostrą.

– Czy ty uprawiasz sport, żeby urodzić, czy żeby wystartować na olimpiadzie? – zapytał z uśmiechem.

– Za dużo palisz – zaśmiała się z niego Isabella.

– To moja jedyna wada.

Tara Courtney lub Tara Gama, jak się obecnie nazywała, prowadziła mały hotelik, którego klientelę stanowili niemal wyłącznie ekspatrianci i nowi emigranci z Afryki, Indii i Karaibów.

Zawsze dziwiło Isabelle, że taki obszar może leżeć zaledwie o dwadzieścia minut drogi od reprezentacyjnego Cadogan Square. Hotel „Lord Kitchener” był równie zniszczony i zaniedbany jak jego kierowniczką. Isabella z trudem uświadomiła sobie, że Tara to ta sama osoba, która królowała kiedyś w wielkiej rezydencji Weltevreden. W swoich najwcześniejszych wspomnieniach widziała matkę w długiej sukni balowej, z żółtymi diamentami, pochodzącymi z kopalni Courtneyów H’ani, które połyskiwały na jej gładkiej białej szyi i w uszach, z kasztanowymi włosami upiętymi wysoko nagłowie, jak schodziła dostojnie po marmurowych schodach. Isabella nigdy nie podejrzewała, że jej piękna i bogata matka mogła cierpieć i odczuwać niezadowolone.

Teraz wspaniałe włosy Tary posiwiwały, ratowała więc je marnymi farbami, których efektem były różne odcienie, od barwy imbiru do śliwek. Jej skóra, której jedwabistą doskonałość odziedziczyła Isabella, zwiotczała i pokryła się zmarszczkami. W powiększonych porach pomiędzy nosem a policzkami pojawiły się



wągry, a sztuczne zęby były za duże i wykrzywiały delikatną linię ust.

Zbiegła pospiesznie po schodach wejściowych, ciągnąc za sobą intensywny zapach perfum, i objęła Isabellę, która pełna poczucia winy odwzajemniła uścisk.

– Niech no przyjrzę się mojej kochanej córce – odsunęła dziewczynę na długość wyciągniętych ramion, a ona opuściła wzrok. – Jesteś jeszcze piękniejsza, Bellu, o ile to w ogóle możliwe, ale powód jest oczywisty. Widzę, że nosisz w sobie owoc zabawy i radości.

Uśmiech Isabelli nie mógł ukryć jej irytacji, ale poMinęła ten temat.

– Dobrze wyglądasz, mam... to znaczy, Taro.

Tara miała na sobie strój walczących lewicowców: bezkształtny, szary rozpinany sweter, narzucony na długą, babciną, prostą sukienkę oraz brązowe męskie sandały.

– Tyle miesięcy – narzekała Tara. – Prawie rok, a mieszkasz tak niedaleko. Jak możesz tak zapominać o swojej starej matce?

Michael przerwał delikatnie te użalania, obejmując Tarę z nie udawanym ciepłem i serdecznością. Zwróciła się ku niemu, manifestując swą miłość macierzyńską.

– Mickey, zawsze byłeś najśłodszym i najbardziej ukochanym z moich dzieci.

Isabella poczuła, że zdrętwiały jej usta wykrzywione w sztucznym uśmiechu. Myślała tylko o tym, jak długo jeszcze musi tu zostać i kiedy w końcu będzie mogła uciec. Wiedziała, że może liczyć na pomoc Michaela. Tara objęła ich oboje ramionami: Michaela z jednej strony, a Isabellę z drugiej, i powiodła ich do hotelu.

– Przygotowałam dla was herbatę i ciasteczka. Jestem taka podekscytowana od chwili, gdy Michael zatelefonował i powiedział mi, że przyjdiesz.

W sobotni ranek salę klubową w hotelu zapełniali goście Tary. Powietrze było aż gęste od dymu tytoniowego, a dokoła słychać było głośnie rozmowy w językach suahili i gujarati. Tara przedstawiała ich wszystkim obecnym, mimo że Isabella poznała już wielu z nich w czasie poprzednich wizyt.

– Mój syn i córka z Kapsztadu w Afryce Południowej.

Isabella zauważyła, że oczy niektórych osób zwięzały się na dźwięk nazwy jej kraju. „Do diabła z nimi wszystkimi” – zdecydowała ze złością. Zabawne, że w domu, w RPA, uważała się za liberała, ale gdy była za granicą i spotykała się z taką reakcją, budziła się w niej patriotka.

W końcu Tara umieściła ich w rogu pokoju i nalewając herbatę zapytała wesołym, lekkim tonem, który był doskonale słyszalny w tym dużym pokoju.

– A więc, Bellu, opowiedz mi teraz o dziecku. Kiedy będzie rozwiązanie i kto jest ojcem?

– To chyba nie czas ani miejsce, Taro. – odparła Isabella aż poblądła z irytacji, ale Tara tylko się roześmiała.

– Och, my tutaj jesteśmy wszyscy jedną wielką rodziną. Możesz mówić swobodnie.

Tym razem Michael powiedział delikatnie:

– Bella naprawdę nie chce, żeby cały świat znał jej prywatne sprawy.

Porozmawiamy o tym później, Taro.

– Jesteście zabawnie staroświeccy – stwierdziła Tara i przechyliła się, by znowu objąć Isabellę, ale obląła sobie sukienkę herbatą, więc dała spokój.

– Nikt z nas nie zawraca sobie głowy burżuazyjnymi konwenansami.

– Już wystarczy, Taro – rzekł Michael twardo, a potem zwrócił jej uwagę na inny tor. – Gdzie jest Benjamin i jak się miewa?

– O, Ben jest moją dumą i radością – połknęła Tara przynętę. – Wskoczył tylko na kilka minut. Musiał pójść do szkoły, żeby oddać wypracowanie. Jest taki zdolny, w tym roku będzie zdawał egzaminy. Ma szesnaście lat, a dyrektor mówi, że to najzdolniejsze dziecko, jakie miał w szkole w ciągu ostatnich lat. Wszystkie

dziewczęta go uwielbiają. Jest taki...

Tara paplała dalej, Isabella była więc zwolniona z rozmowy, lecz musiała wysłuchiwać pochwał na temat przyrodniego brata.

Benjamin Gama był jednym z wielu powodów, dlaczego Isabella czuła się nieswojo w tym dziwnym świecie, w którym żyła jej matka. Tak bolesna była hańba sprowadzona przez Tarę na rodzinę Courtneyów, że jej imię nigdy nie było wymieniane w Weltevreden. Nana tego zabroniła. Jedynie Michael rozmawiał z nią o matce i to tylko bardzo ogólnie.

- Przykro mi, Bellu, ale nie mam zamiaru powtarzać tych okrutnych plotek i pomówień. Jeśli tego chcesz, to poszukaj gdzie indziej. Ja mogę przekazać ci tylko fakty, które są następujące: Tara opuściła RPA po aresztowaniu Mosesa Gamy, nigdy nie przedstawiono jej żadnych zarzutów i nie ma żadnych dowodów wskazujących na jej udział w jakimkolwiek kryminalnym przedsięwzięciu.

- Ale czy ojciec nie postarał się o to, aby ratować reputację rodziny?

- Zapytaj o to jego samego.

Rzeczywiście napomknęła kiedyś coś ostrożnie na ten temat w rozmowie z ojcem, ale Shasa, zachowując chłód i dystans, nie dał się wciągnąć w jej śledztwo. Co dziwne, Isabella poczuła wówczas ulgę, że nie musi rozmawiać o tym. Była na tyle uczciwa, że przyznała się przed sobą do tchórzostwa. Tak naprawdę nie chciała wiedzieć, jak bardzo jej matka była winna. W głębi duszy nie zależało jej na ustaleniu, czy matka rzeczywiście brała udział w spisku „Guya Fawkesa”, wielokrotnie przygotowywanym przez jej kochanka, Mosesa Gamę, który pragnął wysadzić w powietrze gmach parlamentu RPA; próba zakończyła się śmiercią dziadka Isabelli a ojca Tary. Być może jej matka była zdrajczynią i morderczynią, winną ojcobójstwa w najlepszym zaś razie jawną cudzołożnicą, która dopuściła się zdrady z Murzynem, co w prawodawstwie południowoafrykańskim uznawano za przestępstwo. Isabella jeszcze raz zdziwiła się, co ona tu jeszcze robi.

Nagle twarz Tary rozjaśniła się i na chwilę powrócił na nią ślad dawnej piękności.  
- Ben! - zawołała. - Spójrz, kto nas odwiedził, Benjaminie. Twój brat i twoja siostra. Czyż to nie miłe?

Isabella obróciła się na krześle, jej brat stał w drzwiach pokoju.

Znowu urósł w ciągu roku, który minął od czasu, kiedy widziała go po raz ostatni, i z dojrzewającego młodzieńca stał się już mężczyzną.

- Cześć, Benjaminie! - zawołała z przesadnym entuzjazmem i mimo że się uśmiechnął, wyczuła rezerwę i spostrzegła ostrożność w jego ciemnych oczach.

Przez Tarę nie przemawiała wyłącznie ślepa miłość matki. Benjamin rzeczywiście był przystojnym chłopcem. Jego naturalny afrykański wdzięk doskonale łączył się z delikatnymi rysami, odziedziczonymi po matce, skóra miała odcień miedzi, a włosy tworzyły miłą, wełnianą czapę z grubych, ciemnych kędziorów.

- Cześć, Isabello.

Południowolondyński akcent tego syna Afryki zaskoczył ją. Nie poruszyła się, by go objąć. Od pierwszego spotkania istniała między nimi cicha umowa: żadnego okazywania udawanych uczuć. Uścisnęli sobie dłonie i szybko je cofnęli.

Zanim Isabella zdążyła pomyśleć, co jeszcze powiedzieć, Benjamin zwrócił się już ku Michaelowi. W uśmiechu błysnęły teraz piękne zęby i zaśniły ciemne oczy.

- Mickey! - powiedział i podszedł do niego szybkim krokiem. Padli sobie w objęcia.

Isabella zazdrościła Michaelowi tej wyjątkowej zdolności budzenia zaufania i sympatii we wszystkich ludziach, którzy go otaczali.

Benjamin naprawdę uważał go za brata i przyjaciela, odnosił się więc do niego bez śladu rezerwy, którą okazywał Isabelli. Wkrótce wszyscy troje: Tara, Ben i

Mickey rozmawiali z ożywieniem. Isabella czuła się wyłączona z tego kręgu.

W końcu jeden z czarnych studentów z Afryki Południowej podszedł do Tary i zagadnął ją. Spojrzała na niego z konsternacją, a potem rzuciła okiem na zegarek.

– Mój Boże, dziękuję, że mi przypomniałeś, Nelson – uśmiechnęła się do studenta. – Zupełnie zapomnieliśmy, która godzina. Tara się podniosła.

– No, zbieramy się. Jeśli mamy iść na Trafalgar Square, to musimy już wychodzić.

Wszyscy zaczęli opuszczać pokój, a Isabella zbliżyła się do Michaela.

– O co w tym wszystkim chodzi, Mickey? Ty chyba wiesz, co się dzieje.

Uświadom mnie.

– Na Trafalgar Square będzie zaraz demonstracja.

– O Boże, nie! Następny antyapartheidowski zlot. Dlaczego mnie nie ostrzegłeś?

– Miałabyś w ten sposób wymówkę i wywinęłabyś się – stwierdził Michael z uśmiechem. – Nie pójdziesz z nami?

– Nie, dziękuję. Żyję wokół tego absurdu od trzech lat, odkąd ojciec został ambasadorem. Po co wplątujesz się w taką śmieszna sprawę?

– To moja praca, słodka Bellu. Właśnie po to przyjechałem do Londynu, żeby napisać artykuł o tej śmiesznej sprawie, jak to nazywasz. Chodź z nami.

– Po co?

– Żeby dla odmiany zobaczyć świat po drugiej stronie muru. To może być dla ciebie pouczające doświadczenie. Poza tym moglibyśmy nieźle razem spędzić czas.

Wahała się, niezdecydowana. Do całej tej sprawy odnosiła się z lekceważeniem, ale uwielbiała towarzystwo brata. Rzeczywiście, zawsze świetnie się bawili, a gdy nie było Ramona, czuła się bardzo samotna.

– Tylko pod warunkiem, że pojedziemy na piętrze autobusu, a nie metrem. Wiesz, że nie potrafię się temu oprzeć.

Z hotelu wyszła grupa około dwudziestu osób, wraz z Nelsonem Litalongim, studentem z RPA. Michael znalazł dla niej miejsce w górnej części czerwonego autobusu, a on i Nelson stłoczyli się obok. Tara i Benjamin siedzieli naprzeciwko, ale odwrócili twarze, by przyłączyć się do ogólnego śmiechu i żartów. Panował radosny, beztroski nastrój i wbrew sobie Isabella musiała przyznać, że jej się to podoba. Michael brał udział w zabawie, a nawet w pewnej chwili zaczął śpiewać z Nelsonem. Obaj mieli piękne głosy, a reszta przyłączyła się, powtarzając refren z „This Is My Island in the Sun”. Nelson wiernie naśladował Harry’ego Belafonte, tylko jego skóra miała barwę błyszczącego węgla drzewnego. On i Michael zaprzyjaźnili się od samego początku.

Gdy wysiedli z autobusu przed wejściem do National Gallery, demonstranci już zbierali się na otwartym placu pod wysoką kolumną, a Michael powiedział coś o Nelsonie i Horacym. Wszyscy roześmiali się głośno i cała grupa przeszła przez ulicę na plac, a gołębie zrywały się do lotu spod ich stóp i uciekały w migoczących obłokach.

Na końcu placu ustawiono platformę tuż przed South Africa House; cały ten obszar odgrodzono linami, za którymi stało już kilkuset demonstrantów. Zajęli miejsce z tyłu, a Tara wyciągnęła własnoręcznie wykonany transparent i trzymała go nad głową. „Apartheid to zbrodnia przeciwko ludzkości”. Isabella odsunęła się od niej udając, że się nie znają.

– Jej naprawdę nie przeszkadza, że robi z siebie widowisko? – spytała szeptem Michaela.

– Tarze właśnie o to chodzi – roześmiał się brat.

Mimo to Isabella stwierdziła, że bycie częścią tego różnokolorowego

zgromadzenia jest bardzo interesujące. Wielu podobnym demonstracjom przyglądała się z niesmakiem przez wysokie okna ambasady, znajdującej się po drugiej stronie ulicy, ale teraz poznała je z zupełnie innej perspektywy. Tłum był dobroduszny i dobrze się zachowywał. Czterech bobbies w niebieskich mundurach stało z boku, pilnując, czy wszystko jest w porządku, a jeden z nich uśmiechnął się jak wujek do psotnego siostrzeńca, kiedy jakiś mówca stwierdził, że Londyn to takie samo policyjne państwo jak Pretoria. Aby okazać sympatię i podkreślić, że nie zgadza się z tą uwagą, Isabella posłała najprzystojniejszemu z policjantów pocałunek, a on przestał się pobłaźliwie uśmiechać i pokraśniał z zadowolenia.

Przemówienia płynęły nieprzerwanie z platformy, zagłuszane hukami samochodów i czerwonych autobusów. Isabella już to wszystko słyszała, podobnie jak większość demonstrantów, sądząc po ich obojętności i braku zaangażowania. Najbardziej wszyscy się uśmieiali, kiedy gołąb, zataczający koła wysoko nad nimi, trysnął bielidłem na łusą czaszkę mówcy, a Isabella zawołała:

– Faszystowski ptak, agent rasistowskiego reżimu Pretorii!

Na zakończenie przegłosowano wniosek, który stwierdzał, że John Vorster i jego nielegalny rząd powinni natychmiast podać się do dymisji i przekazać władzę Demokratycznemu Narodowemu Rządowi Republiki Południowej Afryki. Wniosek został przyjęty jednogłośnie, a Michael zauważył:

– Teraz John Vorster powinien zadrzeć za swoim biurkiem. Zgromadzenie rozeszło się spokojniej niż tłum po meczu piłkarskim.

– Poszukajmy pubu – zaproponował Michael. – Przez te tyrady o faszystowskich rządach chce mi się pić.

– Jest niezły na Strandzie – powiedział Nelson.

– Prowadź – zachęcił go Michael. Gdy już wszyscy usiedli przy barze, postawił pierwszą kolejkę.

– Cóż – Isabella ferowała swój wyrok znad kufła imbirowego piwa – to było śliczne marnowanie czasu. Dwie setki ludzików wyrzucających z siebie gorące powietrze niczego nie zmieniają.

– Nie bądź tego taka pewna – zaprotestował Michael, ścierając pianę z ust wierzchem dłoni. – Może to pierwsza zmarszczka, poprzedzająca ścianę wody. Wkrótce ta zmarszczka stanie się falką, potem normalną falą, aż w końcu potężnym przypływem.

– Nonsens, Mickey – stwierdziła Isabella. – RPA jest zbyt silna, zbyt bogata. Ameryka i Anglia za dużo w nią zainwestowały. Nie zawiodą nas. Nikt nie może oczekiwać, że prawa, które należą się nam z urodzenia, oddamy bandzie nieokrzesanych marksistów.

Powtarzała twierdzenia, które słyszała z ust ojca przez ostatnie trzy lata. Była nieco zażenowana tym, że z taką szorstkością i logiką atakuje ją matka, brat przyrodni, Nelson Litalongi i dwudziestu innych kolorowych mieszkańców hotelu „Lord Kitchener”. Nie było to przyjemne doświadczenie. Po południu, kiedy wrócili z Michaeliem na Cadogan Square, była wstrząśnięta i przygaszona.

– Oni są tacy zgorzkniali i pełni złości – narzekała.

– To nowa fala, Bellu. Jeśli mamy przetrwać, powinniśmy spróbować ich zrozumieć.

– Przecież nie są źle traktowani. Pomyśl tylko o Nanny, Klontie’em, Gamiem i innych naszych ludziach z Weltevreden. Przecież od razu widać, że powodzi im się lepiej niż wielu białym w tym kraju.

– Rozumiem, co czujesz, Bellu. Możesz oszaleć, jeśli będziesz zajmować się wyliczaniem dobrych i złych stron, ale w końcu musisz dojść do jednego wniosku. Oni są takimi samymi ludźmi jak my. Niektórzy z nich są od nas o niebo lepsi i miłsi.

Jakim prawem, świętym czy piekielnym, możemy im zabraniać dostępu do tego wszystkiego, co nam daje kraj, w którym się urodziliśmy?

– To wszystko bardzo ładnie brzmi w teorii, ale oni dzisiaj mówili o walce zbrojnej. To oznacza mordowanie kobiet i dzieci. To oznacza krew i śmierć, Mickey. Jak Irlandczycy. Co o tym myślisz?

– Nie wiem, co o tym myślę, Bellu. Czasami... Nie! Zabijanie, okaleczanie, palenie nigdy nie mogą być usprawiedliwione. Ale czasami myślę sobie... Pewnie, czemu nie? Człowiek od milionów lat zabijał swoich pobratymców, broniąc siebie i praw należnych mu z urodzenia. Ojciec, który grzmi i wygłasza płomienne mowy na myśl o walce zbrojnej w RPA, to ten sam człowiek, który w 1940 roku bez oporów wsiadał do hurricane'a i wylatywał z bronią maszynową na pokładzie przeciwko Etiopczykom, Włochom i Niemcom, ponieważ musiał stanąć w obronie tego, co uważał za swoją wolność. Nana, ta wierna wyznawczyni rządów prawa i świętości prywatnej własności, rzeczniczka wolnego rynku, kiwała głową z radością i mówiła: „Bardzo dobrze!”, kiedy dowiedziała się o najbardziej ohydnej zbrodni w całej krwawej i pełnej przemocy historii ludzkości, o zruceniu bomb na Hiroszimę i Nagasaki. Więc na ile niemoralni i żądni krwi są Tara, Benjamin czy Nelson Litalongi w porównaniu z nami i naszą rodziną? Kto jest dobry, a kto zły, Bellu?

– Przez ciebie rozboleła mnie głowa – powiedziała Isabella wstając. – Idę spać.

Telefon obudził ją o szóstej rano i gdy usłyszała głos Ramona, wszystkie cienie pierzchły.

– Kochanie, gdzie jesteś?! – zawołała uradowana.

– W Atenach.

– Och! – straciła cały animusz. – Miałam nadzieję, że już na Heathrow.

– Mój powrót się opóźni. Muszę tu zostać jeszcze co najmniej trzy dni. A może byś do mnie przyleciała?

– Do Aten? – wciąż na wpół spała.

– Tak, dlaczego nie? Zdasz jeszcze na samolot linii BEA, na dziesiątą. Mielibyśmy dla siebie trzy dni. Co powiesz o Akropolu w blasku księżycy? Możemy pojechać na wyspy, poza tym chciałbym cię przedstawić kilku ważnym osobom.

– Tak! – zawołała. – Dlaczego nie? Podaj mi swój numer. Zadzwoń, jak tylko dostanę bilet.

Wszystkie linie rezerwacji British European Airlines były zajęte, a ponieważ miała mało czasu, Michael zawiózł ją na lotnisko jej samochodem i zostawił przed wejściem.

– Zaczekam, aż będziesz miała rezerwację – zaproponował.

– Nie, Mickey, jesteś kochany, ale o tej porze roku nie będzie żadnych problemów. Sezon turystyczny już się skończył. Uciekaj na swoje spotkanie, zatelefonuję do ciebie, gdy będziemy wracać.

Kiedy weszła do terminalu, okazało się, że była zbyt optymistką. Tłumy zmęczonych podróżnych zablokowały przejścia bagażami. Gdy w końcu dotarła do okienka informacji, powiedziano jej, że dziki strajk francuskich pracowników obsługi lotów spowodował opóźnienia wszystkich lotów nawet do pięciu godzin i że na samolot do Aten nie było już miejsc.

Musiała się wpisać na listę oczekujących, nawet żeby zdobyć bilet pierwszej klasy.

W następnej kolejce stała, żeby skorzystać z automatu telefonicznego i w końcu dodzwoniła się do Ramona pod numer, który jej podał z Aten. W jego głosie słyszała również rozczarowanie.

– Tak się cieszyłem na twój przyjazd. Wychwalałem cię pod niebiosa przed

ludźmi, z którymi chciałem cię tu poznać.

– Nie mam zamiaru się poddać – oświadczyła. – Nawet gdybym musiała siedzieć tu do wieczora.

Był to dzień pełen niepokoju, przykrości i frustracji. Gdy wreszcie o godzinie siedemnastej ogłoszono odlot samolotu, stała przy okienku i błagała o miejsce z listy dla oczekujących. Ale przed nią było jeszcze sześć osób, których również nie opuściła nadzieja. W końcu kobieta w okienku pokręciła z żalem głową.

– Bardzo mi przykro, panno Courtney.

Następny lot do Aten był planowany na następny dzień rano, ale z pewnością będzie opóźniony i znowu musi się wpisać na listę oczekujących na bilet, z którego ktoś zrezygnował. W końcu się poddała i zniechęcona powlokła się, by jeszcze raz zatelefonować do Aten. Nie zastała Ramona, więc zostawiła dla niego wiadomość komuś, kto mówił ohydą angielszczyzną. Miała nadzieję, że Ramon zrozumie, iż nie przyjedzie.

Nie było wolnych taksówek: wielu ludzi, którzy również stracili nadzieję na dostanie biletu, usiłowało dostać się do domów. Powlokła bagaż po chodniku i ustawiła się w kolejce do autobusu jadącego w stronę miasta. Dotarła tam po ósmej i wreszcie złapała taksówkę, która zawiozła ją na Cadogan Square.

Bolały ją plecy, była zmęczona i bliska łez, kiedy znalazła się w domu. Poczła rozkoszny zapach pieczonego drobiu i zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo jest głodna. Zwaliła bagaż w korytarzu, zrzuciła buty i poszła prosto do kuchni. Wiedziała, że brat przygotował sobie kolację. Jedzenie, które znalazła, było jeszcze ciepłe.

Podobnie jak ona, Michael dobrze gotował. Poczestowała się pierśią kurczaka i kawałkiem sernika. Zauważyła dwa kieliszki i butelkę Nuits St Georges 1961 jej ojca w zlewozmywaku. Nie od razu pojęła, co to znaczy. Była zbyt zmęczona i wyczerpana; chciała tylko, żeby Michael ją pocieszył.

Usłyszała muzykę, dochodzącą z jego sypialni na piętrze, sentymentalne melodie Mantovaniego, jednego z ulubionych kompozytorów Michaela. Weszła po schodach w rajstopach, przeszła korytarz i pchnęła drzwi do pokoju Michaela.

Przez dłuższą chwilę nie docierało do niej to, co widziała przed sobą; było zbyt odległe od najgorszych oczekiwań i najdzikszych wyobrażeń.

Potem pomyślała, że Michaela ktoś zaatakował i chciała krzyknąć. Musiała zakryć usta obydwoma rękami, by się opanować. W końcu zrozumiała.

Michael kłęczał nagi na środku podwójnego łóżka. Atłasowa kołdra i prześcieradło zsunęły się na podłogę. Dobrze znała ciało brata, zwinne i ładnie umięśnione, opalone przez afrykańskie słońce na kolor dojrzałych liści tytoniu; tylko te miejsca, które zakrywał strój kąpielowy, były jasne i jakby bardziej wrażliwe. Obok kłęczał, również nagi, Nelson Litalongi. Dla kontrastu jego pokryty potem tors lśnił jak świeżo wydobyty węgiel; wyglądał jak naoliwiony.

Ukochane rysy Michaela zniekształciła wielka, szczególna udręka. Jego usta były tak dziko, nienaturalnie rozwarte, że ich obraz Isabella miała dłużej przed oczami. Przypominał jej chore zwierzę na chwilę przed straszną śmiercią.

Nagle dostrzegł siostrę. Zdawało się jej, że twarz mu się rozplywa, topi jak wosk; pojawiło się na niej przerażenie i ogromny wstyd. Gwałtownym ruchem wy dostał się z uścisku ciemnoskórego mężczyzny i chwycił wygniecioną poduszkę, by zasłonić krocze.

Isabella odwróciła się i uciekła.

Pomimo wyczerpania spała niespokojnie. Męczył ją koszmar, w którym widziała, jak nagi i przerażony Michael usiłuje wyrwać się z objęć jakiegoś strasznego, czarnego monstrum. Raz nawet krzyknęła tak głośno, że się obudziła.

Przed świtem zdecydowała się wstać i poszła do kuchni. Natychmiast zauważyła, że naczynia i sztucce zostały pozmywane i uprzątnięte. Pusta butelka i kieliszki zniknęły, a kuchnia lśniła czystością.

Włączyła ekspres do kawy i poszła sprawdzić, czy jest coś w skrzynce na listy. Było jeszcze za wcześnie, by mogła tam znaleźć gazetę, więc wróciła i zrobiła sobie filiżankę kawy. Wiedziała, że kofeina jest niedobra dla dziecka, ale tego ranka potrzebowała czegoś na wzmocnienie.

Wzięła pierwszy łyk, kiedy poczuła dym. Podniosła wzrok i w drzwiach zobaczyła Michaela z papierosem w ustach. Miał na sobie jedwabny szlafrok.

– Jak ładnie pachnie kawa.

W spojrzeniu jego niebieskich oczu było poczucie winy, a głos brzmiał niepewnie, gdy powiedział:

– Myślałem, że będziesz w Atenach... przepraszam.

Patrzyli na siebie przez całą długość kuchni, ale tylko kilka sekund, choć wydawało się, że trwa to wieki. Potem Isabella podniosła się i podeszła do brata. Wspięła się na palce, żeby go objąć i pocałowała w usta.

Przytuliła się mocniej i przyłożyła policzek do jego policzka, który kłuł świeżym zarostem.

– Kocham cię, Mickey. Jesteś najdroższą, najśłodszą osobą w moim życiu. Kocham cię bez żadnych zastrzeżeń czy ograniczeń. Westchnął głęboko.

– Dziękuję ci, Bellu. Powinienem był wiedzieć, że okażesz się wspaniałomyślna i wyrozumiała, ale bałem się. Nigdy nie będziesz wiedziała, jak bardzo przerażała mnie myśl, że mogę być przez ciebie odtrącony.

– Nie, Mickey. Niepotrzebnie się martwiłeś.

– Chciałem ci wszystko powiedzieć. Czekałem tylko na odpowiedni moment.

– Nie musisz mówić mnie ani nikomu. To twoja osobista sprawa.

– Nie, chciałem, żebyś wiedziała. Nigdy nie mieliśmy przed sobą tajemnic. Wiedziałem, że dowiesz się prędzej czy później. Chciałem... Boże, oddałbym wszystko, żebyś tylko mogła dowiedzieć się tego nie w taki sposób. To musiał być dla ciebie potworny szok.

Zamknęła mocno oczy i jeszcze bardziej przywarła do niego, żeby nie mógł zobaczyć w tej chwili jej twarzy. Starła się wyrzucić z pamięci to, co wtedy zobaczyła. Ale wykrzywiona w uniesieniu twarz Michaela wciąż stała jej przed oczami jak scena z horroru.

– To nieważne, Mickey. To jest bez znaczenia dla nas i dla wszystkich.

– Owszem, to ma znaczenie – sprzeciwił się i delikatnie odsunął siostrę od siebie, żeby przyjrzeć się jej twarzy.

Posmutniał jeszcze bardziej. Obejmując ją ramieniem, zaprowadził z powrotem do stołu, posadził na krześle i usiadł obok.

– Dziwne – powiedział. – W pewnym sensie czuję ulgę, ponieważ już wiesz. Wciąż mierzi mnie sposób, w jaki się o tym dowiedziałaś, ale nareszcie jest na świecie ktoś, z kim mogę być w pełni sobą, ktoś, kogo nie muszę już dłużej okłamywać i niczego przed nim ukrywać.

– Dlaczego miałbyś to robić, Mickey? Mamy rok 1969. Jeśli taki właśnie jesteś, dlaczego nie chcesz być sobą? Nikomu to już nie przeszkadza. Michael wyjął paczkę cameli z kieszeni szlafroka i zapalił jednego.

Przez chwilę wpatrywał się w dym, potem rzekł:

– Być może tak jest z innymi, ale nie ze mną – potrząsnął głową. – Chcę tego czy nie, jestem Courtneyem. Muszę pamiętać o Nanie, ojcu, Garrym, Seanie, rodzinie, nazwisku.

Chciała zaprzeczyć, ale zrozumiała, że byłoby to daremne.

– Nana i ojciec – powtórzył Michael. – To by ich zniszczyło. Nie myśl, że się nad tym nie zastanawiałem. Nad wyjściem z cienia. – Uśmiechnął się krzywo. – Boże, co za słowa!

Uścisnęła go za rękę, zaczynała już mieć słabe wyobrażenie co do trudnego położenia brata. Nana i ojciec nigdy nie mogą się dowiedzieć. Dla nich byłoby to równie... Nie, to by było gorsze niż sprawa Tary. Tara była obca; Michael to krew Courtneyów. Nie przeżyliby tego. Zniszczyłoby to część ich duszy, a Michael był zbyt dobry, zbyt lojalny, zbyt troszczył się o innych, nie pozwoli, żeby to się stało.

– Od jak dawna wiesz... o tym, jaki jesteś? – zapytała cicho.

– Od szkoły podstawowej – odpowiedział szczerze. – Od tego pierwszego dotykania się i badań prowadzonych pod prysznicem i w toalecie... – przerwał, a po chwili ciągnął dalej: – Próbowałem zaprzeczać samemu sobie. Nie chciałem, żeby to się stało. Przez kilka miesięcy, może rok, udawało mi się... ale to jest jak jakaś bestia wewnątrz mnie, Bellu, wściekła bestia, nad którą nie mam kontroli.

Uśmiechnęła się lekko, pobłażliwie.

– Nanny powiedziałyby, że to gorąca krew Courtneyów, Mickey. Wszyscy tacy jesteśmy; nikt nie potrafi nad nią w pełni zapanować, ani ojciec, ani Garry, ani Sean... ani ty, ani ja.

– Nie przeszkadza ci, że o tym rozmawiamy? – zapytał niepewnie. – Tak długo trzymałem to w sobie.

– Mów, ile zechcesz. Jestem tu, by cię słuchać.

– Żyję z tym od piętnastu lat i myślę, że będę musiał żyć jeszcze pięćdziesiąt.

Jeśli chodzi o rodzinę, sytuację pogarsza fakt, że interesuję się kolorowymi mężczyznami. To powiększyłoby moją winę i degradację w oczach Nany i ojca, no i przed sądami w naszym kraju. Boże, jaki byłby skandal, gdybym został oskarżony na podstawie tej ustawy o niemoralności wydanej przez nasz oświecony rząd! – wzdrygnął się, zgasił papierosa i natychmiast zapalił następnego ze zmiętej paczki.

– Nie wiem, dlaczego Murzyni tak bardzo mnie pociągają. Dużo o tym myślałem. Chyba w pewien sposób jestem podobny do Tary. Może to jakieś poczucie winy z powodu rasy, podświadome pragnienie, by uciszyć i złagodzić ich złość – zaśmiał się sardonicznie. – Od tak dawna my ich pieprzymy. Dlaczego nie dać im szansy na rewanz?

– Nie! – powiedziała Isabella miękko. – Nie, nie pomniejszaj swojej wartości, mówiąc w ten sposób, Mickey. Jesteś dobrym, przyzwoitym człowiekiem. Nikt z nas nie może odpowiadać za nasze instynkty.

Isabella przypomniała sobie Michaela, kiedy był delikatnym, nieśmiałym chłopcem, skrytym, lecz z ogromnym ciepłem i uwagą traktującym wszystkie istoty znajdujące się wokół niego, a jednocześnie zawsze zamyślonym i smutnym. Teraz rozumiała źródło tego smutku. Zdała sobie sprawę z tego, jak potwornie się męczył i że wciąż cierpi. Poczwała do niego tak gorącą miłość, jak nigdy dotąd. Ostatnie ślady fizycznego wstrętu zniknęły.

Wiedziała, że nigdy już nie odrzuci jej to, co zobaczyła w pokoju na górze. Myślała tylko o tym, jaka udręka ciągle jeszcze czekała tę drogą jej osobę, i chciała go chronić.

– Mój biedny kochany Mickey – szepnęła.

– Już nie biedny – zaprzeczył. – Nie biedny, bo mam twoją miłość i zrozumienie.

Dwa dni później, gdy Michael wyszedł na jedno ze swoich spotkań, a biurko Isabelli pokrywała sterta książek i porzucanych papierów, zadzwonił telefon. Odebrała go, wciąż myśląc o pracy, i w pierwszej chwili nie poznała ochryplego głosu i nie rozumiała słów.

– Ramon? To ty? Czy coś się stało? Gdzie jesteś? W Atenach?



- Jestem w mieszkaniu.
- Tu, w Londynie?
- Tak. Czy możesz do mnie przyjść jak najszybciej? Potrzebuję cię.

Isabella z trudem przepychała się swoim mini przez zatłoczone w porze lunchu ulice, a gdy już dotarła do jego mieszkania, wbiegła po dwa stopnie i na górze zabrakło jej tchu. Zasapana w końcu otworzyła drzwi.

- Ramon! – nie usłyszała odpowiedzi i pobiegła do sypialni.

Jego torba podróżna leżała otwarta na łóżku, a pognieciona koszula na podłodze. Były na niej czarne plamy zaschłej krwi, a także świeże, jaśniejsze ślady.

- Ramon! O Boże! Ramon! Słyszysz mnie?

Podbiegła do łazienki. Drzwi były zamknięte od środka. Cofnęła się i kopnęła w zamek obcasem. To było jedno z uderzeń judo, których ją nauczył; słaby zameczek odpadł i drzwi się otworzyły.

Ramon leżał na pokrytej terakotą podłodze tuż obok ubikacji. Musiał sięgać na półkę nad umywalką, kiedy upadł, gdyż wszystkie kosmetyki leżały dokoła niego. Był nagi od pasa w górę, ale klatkę piersiową miał mocno zabandażowaną. Bez wątplenia opatrunek zakładał fachowiec. Teraz jednak nasiąknął krwią. Niektóre plamy były ciemne i stare, inne świeże i wilgotne.

Upadła na kolana i odwróciła jego głowę. Skórę miał bladą, niemal opalizującą od potu.

Z miejsca gdzie siedziała, mogła dosięgnąć tylko kurka z zimną wodą. Namoczyła ręcznik wiszący obok wanny i wytarła mu twarz i kark. Jego powieki drgnęły, otworzył oczy i spojrzał na nią.

- Ramon.
- Przewróciłem się – wymamrotał.
- Mój kochany, co ci się stało? Jesteś ciężko ranny.
- Pomóż mi dojść do łóżka – powiedział.

Kłęcząc koło niego, pomogła mu usiąść. Była silna i wysportowana, bała się jednak, że nie poradzi sobie sama.

- Będziesz mógł stać, jeśli cię podtrzymam?

Jęknął z bólu i podniósł się z trudem. Nagle się skrzywił i chwycił za zakrwawiony bandaż, jakby przeszył go ból.

– Spokojnie – szepnęła, a on stał tak zgięty wpół i dopiero po chwili powoli się wyprostował.

- W porządku – zacisnął zęby.

Wspierając go z całych sił, z trudem doprowadziła go do łóżka.

- Czy ty całą drogę z Aten odbyłeś w takim stanie? – zapytała z niedowierzaniem.

Potwierdził kłamstwo kiwnięciem głowy. Wezwał Isabellę do Aten w charakterze kurierki. Potrzeba pojawiła się nagle i nieoczekiwanie. Żaden agent nie mógł się wówczas podjąć tej misji, a nadszedł już czas, by zaprawiła się w boju. Dojrzała do tego. Dotychczas wszystkie jego polecenia wykonywała nie zadając pytań, a to byłoby dla niej pierwsze, łatwe zadanie. Tak atrakcyjna kobieta w ciąży natychmiast obudziłaby sympatię. Oprócz tego nie była znana żadnemu wywiadowi na świecie, nawet Mossadowi. W ich żargonie kogoś takiego nazywano dziewczicą.

W dodatku miała południowoafrykański paszport, a Izrael łączyły z tym krajem serdeczne, naprawdę bliskie stosunki.

Według planu miała polecieć z Aten do Tel-Awiwu, zabrać przesyłkę i wrócić tą samą drogą. Zajęłoby to jeden dzień. Nic z tego nie wyszło, gdyż nie udało się jej przylecieć do Aten. Sprawa w Izraelu była niezwykle ważna. Dotyczyła szczegółów współpracy izraelskich i południowoafrykańskich naukowców przy opracowywaniu

taktycznych systemów broni atomowej. Mimo że istniało duże prawdopodobieństwo, iż Ramon był notowany przez Mossad, musiał zająć się tą sprawą osobiście.

Zmienił swój wygląd tak, jak potrafił, i pojechał oczywiście bez broni.

Szaleństwem byłoby przenosić broń przez izraelski system ochrony. Użył swojego meksykańskiego paszportu na przybrane nazwisko. Musieli jednak go namierzyć już na lotnisku Ben Gurion.

Zorientował się, że jest śledzony i usiłował im się wymknąć, ale przyparli go do muru. Złamał kark jednemu z agentów Mossadu i sam otrzymał ten cios. Był ciężko ranny, ale zdołał uciec do specjalnego domu OWP w Tel-Awiiwie.

W ciągu dwunastu godzin przemycono go do Syrii.

Bezpieczny był jednak dopiero w Londynie. Mimo ran zbyt wiele ryzykowałby, zostając w Damaszku. Lokalny szef KGB odwiózł go na samolot Aerofiotu do Londynu. Ramon zatelefonował do Isabelli, kiedy dotarł do swego mieszkania. Potem zdołał tylko dojść do łazienki i upadł.

– Muszę wezwać lekarza – powiedziała.

– Żadnych lekarzy! – mimo że był osłabiony, jego głos przybrał ton, który zawsze zmuszał ją do posłuszeństwa.

– To co mam zrobić? – zapytała.

– Podaj mi telefon – polecił, więc pobiegła, żeby przenieść go z pokoju dziennego.

– Kochanie, wyglądasz okropnie. Pozwól mi przynajmniej coś ci ugotować. Może zupę?

Dał znak, że się zgadza, ale nie podniósł głowy i dalej wykręcał numer. Poszła do kuchni i podgrzała puszkę gęstej zupy jarzynowej. Słyszała, jak rozmawiał z kimś przez telefon po hiszpańsku, ale jej znajomość tego języka była niewystarczająca, by mogła zrozumieć, o czym mówi. Gdy odłożył słuchawkę, przyniosła mu na tacy zupę i biszkopty.

– Kochanie, co ci się stało? Dlaczego nie chcesz wezwać lekarza?

Na twarzy Ramona pojawił się grymas. Gdyby angielski lekarz zobaczył jego ranę... Lekarz z ambasady kubańskiej także nie powinien tu przychodzić, ponieważ ten adres byłby wówczas spalony. Postanowił więc zrobić inaczej, ale nie odpowiedział na jej pytanie wprost.

– Chcę, żebyś natychmiast poszła na stację metra Sloane Square. Wyjdź na peron w kierunku zachodnim i spaceruj po nim powoli. Ktoś włoży ci kopertę do ręki.

– Kto? Jak go rozpoznam?

– Nie musisz – odpowiedział szorstko. – On pozna ciebie. Nie rozmawiaj z nim ani nie dziękuj w żaden sposób. W kopercie będzie recepta i dokładny opis, jak zajmować się moją raną. Idź do całodobowej apteki na Piccadilly Circus i przynieś lekarstwa.

– Dobrze, Ramonie, ale nie powiedziałaś mi, jak to się stało.

– Musisz nauczyć się robić to, co się do ciebie mówi, bez tych męczących pytań. No, idź już.

– W porządku – powiedziała szybko, wzięła kurtkę i szalik, pochyliła się nad łóżkiem, żeby go pocałować.

– Kocham cię – szepnęła.

Gdy była już w połowie schodów, zatrzymała się nagle. Nikt, może z wyjątkiem Nany, nie mówił do niej tak władczym tonem od dzieciństwa. Nawet ojciec zawsze prosił, nigdy nie wydawał poleceń. A teraz biegła jak posłuszna uczennica. Zmarszczyła tylko brwi i popędziła dalej.

Nie doszła jeszcze do końca peronu w metrze, kiedy poczuła, że ktoś z tyłu dotknął jej nadgarstka i koperta wsunęła się do ręki. Obejrzała się przez ramię, ale

posłaniec już odchodził. Miał na sobie niebieską wełnianą czapkę i ciemny płaszcz, ale nie dojrzała twarzy.

Aptekarz przeczytał receptę i zauważył:

– Ma pani kogoś ciężko rannego? Pokręciła głową.

– Po prostu jestem ciekawy – rzucił więc i bez dalszych komentarzy zapakował lekarstwa.

Wydawało się, że Ramon śpi, ale otworzył oczy, gdy tylko weszła do pokoju. Wszystkie jej obawy powróciły, kiedy zobaczyła jego twarz. Oczy miał zapadnięte i podkrążone. Był bardzo blady, jakby życie już z niego uszło. Opanowała się i zmusiła się do spokojnego działania.

Podczas studiów odbyła kurs pierwszej pomocy w Czerwonym Krzyżu a w Weltevreden często asystowała podczas cotygodniowych wizyt lekarza w klinice dla kolorowych pracowników. Opatrywała już tyle obciętych palców i zmiażdżonych stóp oraz innych uszkodzeń spowodowanych przez urządzenia na farmie, że potrafiła znieść widok każdej rany.

Rozłożyła wszystko, co przyniosła z apteki, i przeczytała szybko instrukcję dostarczoną w kopercie. Umyła się w łazience, dodając do wody trochę środka dezynfekującego, potem posadziła Ramona i zabrała się za zdejmowanie bandażu.

Krew zdążyła już zaschnąć i opatrunek przykleił się do rany. Mężczyzna zamknął oczy, a na czole i podbródku pojawiły się kropelki potu.

– Przepraszam – szepnęła. – Staram się to robić najdelikatniej, jak potrafię.

Zdjęła w końcu opatrunek i z trudem powstrzymała okrzyk, gdy zobaczyła rany. Z boku piersi był jeden otwór, a drugi na plecach; do zaschniętej krwi przyczepiły się strzępy ubrania. Skóra wokół ran była rozpalona i wydzielala lekki odór, wskazujący na zakażenie.

Od razu zrozumiała, co je spowodowało. W czasie ostatniego pobytu u Seana w dolinie rzeki Zambezi odpowiedzieli na prośbę o pomoc mieszkańców wioski Batonka, których zaatakowali terroryści. Wtedy po raz pierwszy widziała otwór, którym wleciała kula i drugi, szeroki, którym wyleciała. Ramon patrzył jej w twarz, więc nic nie powiedziała i starała się zachować obojętny wyraz, kiedy dezynfekowała okolice ran, a potem zakładała nowe, czyste bandaże.

Wiedziała, że spisała się dobrze, a gdy kładła go na poduszki, powiedział:

– Doskonale. Wiesz, jak to robić.

– Jeszcze nie skończyłam. Muszę dać ci zastrzyk. Lekarz kazał. – Potem próbowała zażartować: – Pokaż mi swój wspianiały tyłek, koleś.

Stała w nogach łóżka, zdjęła mu buty i skarpetki, potem ściągnęła spodnie, gdy się nieco uniósł.

– A teraz slipy – zsunęła je i odetchnęła z ulgą żartobliwie. – Przynajmniej nic się nie stało twoim skarbow. Wtedy chyba oszalałabym ze złości.

Tym razem się uśmiechnął i przewrócił ostrożnie na bok.

Napełniła strzykawkę antybiotykiem o szerokim zakresie działania i wbiła igłę w wypięty pośladek. Potem ostrożnie przykryła chorego kołdrą.

– A teraz – powiedziała stanowczo – weź te tabletki i zaśnij. Nie protestował i połknął środek nasenny. Pocałowała go i wyłączyła światło w sypialni.

– Będę w salonie, jeśli byś mnie potrzebował.

Rankiem wyglądał znacznie lepiej, antybiotyk musiał podziałać. Temperatura obniżyła się, a twarz miała zdrowszy wyraz.

– Jak ci się spało? – zapytała.

– Te tabletki to dynamit. Czuję się, jakbym spadł ze skały. Teraz mam ochotę na kąpiel.

Nalała wody do wanny i pomogła mu do niej wejść. Kiedy siedział już po pas w

wodzie, gąbką umyła ciało dookoła bandaży, a potem jej uwaga skierowała się niżej; ostrożnie przesuwała rękę.

– No, od góry jesteś uszkodzony, ale tu na dole wszystko działa zadowolająco, o czym z radością donoszę.

– Tylko z ciekawości zapytam, siostrzo, czy to, co siostra robi w tej chwili, to praca, czy przyjemność?

– Odrobina tego pierwszego i znacznie więcej drugiego – przyznała.

Gdy leżał znowu w łóżku, zaprotestował bez przekonania, widząc, jak Isabella napelnia strzykawkę następną dawką antybiotyku, ale powiedziała surowo:

– Dlaczego mężczyźni są tacy tchórzliwi? Tyłek do góry! Odwrócił się posłusznie.

– Grzeczny chłopiec – kiwnęła głową, wyciągając igłę i pocierając miejsce po ukłuciu alkoholem. – Zasłużyłeś na śniadanie; mam dla ciebie wędzone śledzie jako nagrodę.

Podobało jej się pielęgnowanie Ramona. Przynajmniej raz to ona wydawała mu polecenia, a on je wykonywał. Gdy była w kuchni, słyszała, że rozmawiał z kimś po hiszpańsku, ale zbyt szybko, by mogła zrozumieć. Słuchała jednak, próbując mimo wszystko zorientować się, o czym mówią i obawy, które nękały ją przez większą część nocy, powróciły. Aby nie dać im zapanować nad sobą, zbiegła po schodach i udała się do sklepu z kwiatami i owocami, który znajdował się na rogu, naprzeciwko wejścia do metra.

Wybrała ciemnoczerwony pączek róży Papa Meillon i piękną, złotą brzoskwinię i pobiegła z powrotem. Ramon ciągle jeszcze rozmawiał, kiedy wróciła.

Ułożyła różę i brzoskwinię na tacy. Gdy mu ją przyniosła, spojrzął na nią z telefonem przy uchu i nagroził jednym z tych jego rzadkich, cennych uśmiechów.

Kiedy skończył jeść, zabrała tacę z powrotem do kuchni. Gdy zmywała, odwiesił w końcu słuchawkę. Szybko wróciła do sypialni i usiadła po swojej stronie łóżka, podwijając nogi w ten kobiecy sposób, którego nie potrafi powtórzyć żaden mężczyzna.

– Ramonie – powiedziała spokojnie i poważnie – to rana postrzałowa. Jego oczy stały się zimne i przerażająco zielone, kiedy patrzył na nią bez słowa.

– Jak to się stało? – zapytała, a on milczał i tylko się jej przyglądał. Poczuela, że traci pewność siebie, ale zmusiła się, by pytać dalej.

– Nie jesteś bankierem, prawda?

– Pracuję głównie jako bankier – powiedział cicho.

– A poza tym co robisz?

– Jestem patriotą. Służę mojej ojczyźnie.

Poczuela nagłą ulgę. W nocy wyobraziła sobie setki przerażających możliwości: że przemycał narkotyki, że rabował banki albo że był członkiem jakiejś organizacji przestępczej, uwikłanej w wojnę gangów.

– Hiszpania – powiedziała. – Jesteś pracownikiem hiszpańskich służb specjalnych, czy tak?

Znowu zamilkł i obserwował ją zastanawiając się nad czymś głęboko.

Był mistrzem w stopniowym ujawnianiu prawdy. Należy ją wciągnąć stopniowo, po trochu, tak żeby nigdy nie była niechętna i nie sprzeciwiała się, jak owada, który powoli wpada w pułapkę, aż w końcu ogarnia go kałuża miodu.

– Musisz zrozumieć, że nawet jeśli tak jest naprawdę, to nie mogę ci nic powiedzieć.

– Oczywiście – z radością skinęła głową.

Znała już jednego człowieka z tego niebezpiecznego i ekscytującego świata szpiegostwa i intryg. To był jedyny mężczyzna przed Ramonem, którego darzyła

uczuciem – a przynajmniej tak jej się wówczas wydawało. Był oficerem południowoafrykańskiej służby bezpieczeństwa, jeszcze jednym silnym, bezwzględny mężczyzną, który potrafił dostosować się do jej nastrojów, a także hamować jej wybryki. Żyli z Lotharem De La Reyem jak mąż i żona w mieszkaniu w Johannesburgu przez sześć cudownie burzliwych miesięcy. Gdy zerwał z nią nagle i bez ostrzeżenia, poczuła się zdruzgotana. Teraz rozumiała, że to było zaślepienie, którego nie można porównać z tym, co czuła do Ramona Machado.

– Doskonale cię rozumiem, mój drogi, możesz mi zaufać. Nie będę już zadawać głupich pytań.

– Już ci zaufałem, powierzając moje życie – powiedział. – Byłaś pierwszą osobą, którą poprosiłem o pomoc.

– Jestem z tego dumna. Ponieważ jesteś Hiszpanem, moim kochankiem i ojcem mojego dziecka, ja sama czuję się teraz częściowo Hiszpanką. Chcę pomagać ci, jak tylko potrafię.

– Tak – skinął głową. – Rozumiem. Myślałem o dziecku. – Wyciągnął rękę i dotknął jej brzucha; jego ręka była chłodna i ciężka. – Chcę, żeby mój syn urodził się w Hiszpanii; w ten sposób jako Hiszpan będzie miał zapewnione prawo do tytułu.

Zaskoczyło ją to kompletnie. Uważała za oczywiste, że urodzi dziecko tu, w Londynie. Jej ginekolog już na wszelki wypadek zarezerwował dla niej miejsce w klinice położniczej.

– Zrobisz to dla mnie, Bellu? Czy pomożesz, by mój syn był w pełni Hiszpanem? – zapytał, a ona nie wahała się już ani chwili dłużej.

– Tak, oczywiście, mój kochany. Zrobię wszystko, czego zechcesz. Pochyliła się i pocałowała go, a potem ostrożnie się przytuliła.

– Jeśli tego właśnie pragniesz, to będziemy musieli rozpocząć przygotowania – zaproponowała.

– Już to zrobiłem – przyznał się. – Tuż za Malagą jest świetna prywatna klinika. Mam znajomego w banku w Maladze; on pomoże nam znaleźć mieszkanie i służącą. Zorganizowałem transakcję z tym bankiem, więc będę mógł być z tobą, kiedy się urodzi.

– Brzmi bardzo zachęcająco – zgodziła się. – A skoro ty wybrałeś miejsce, w którym dziecko ma się urodzić, to ja zdecyduję, gdzie weźmiemy ślub, gdy wreszcie będziemy mogli. Czy tak jest w porządku?

– Tak, w porządku – odparł z uśmiechem.

– Chcę wyjść za mąż w Weltevreden. Znajduje się tam stary kościół dla niewolników, zbudowany sto pięćdziesiąt lat temu. Moja babka, Nana, kazała go odrestaurować na wesele mojego brata Garry’ego. Jest cudowny. Nana przystroiła go kwiatami dla Garry’ego i Holly. Ja będę miała lilie. Ludzie mówią, że przynoszą nieszczęście, ale to są moje ulubione kwiaty, a ja nie jestem przesądna, no, może troszeczkę...

Z dużą dozą cierpliwości pozwolił jej mówić dalej o różnych rzeczach, od czasu do czasu tylko mruzczał coś, aby ją zachęcić do dalszych wywodów; czekał na odpowiedni moment, by odkryć przed nią coś jeszcze, a ona dała mu pretekst.

– Ale za daleko się zagalopowaliśmy, kochanie. Nana zażąda co najmniej sześciu tygodni na przygotowania, a wtedy będę miała rozmiary domu. Zagrają „Baby Elephant Walk”, gdy będę szła przez kościół.

– Nie, Bellu – nie zgodził się z nią. – Na swoim ślubie będziesz szczupła i piękna, ponieważ nie będziesz już w ciąży. Usiadła natychmiast na łóżku.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Ramonie? Coś się stało, prawda?

– Tak. Masz rację. Obawiam się, że mam złe wieści. Rozmawiałem z Natalie. Ona przebywa jeszcze na Florydzie. Jest uparta, a w dodatku od strony prawnej też

sprawa nie wygląda dobrze.

– Och, Ramonie!

– Martwi mnie to tak samo jak ciebie. Uwierz mi, gdybym mógł coś zrobić, już dawno bym to zrobił.

– Nienawidzę jej – wyszeptała.

– Tak, czasami też tak czuję. Ale, szczerze mówiąc, to nie katastrofa, najwyżej niedogodność. I tak się pobierzemy, a ty będziesz miała i ten kościół, i lilie. Chodzi tylko o to, że nasz syn urodzi się, zanim to się stanie.

– Obiecuj mi, Ramonie, przysięgnij mi, że pobierzemy się, jak tylko będziesz wolny.

– Przysięgam.

Usiadła przy nim i przytuliła się do jego zdrowego boku, ukrywając twarz, aby nie widział, jak bardzo była rozczarowana.

– Nienawidzę jej, ale kocham ciebie – powiedziała, a na twarzy Ramona pojawił się uśmiech satysfakcji, którego kobieta nie mogła widzieć.

Ramon był skazany na pozostanie w mieszkaniu przez cały tydzień, było więc dużo czasu na rozmowy. Powiedziała mu o Michaelu i z satysfakcją zauważyła, że jej brat go zainteresował.

Rozwodziła się nad zaletami Michaela i nad ich szczególnym związkiem, Ramon zaś słuchał i delikatnie wyciągał z niej potrzebne mu informacje. Łatwo było mu to osiągnąć. Chciała, by wiedział o reszcie rodziny, o tym, co kryło się za maskami, w których jako grupa występowała przed światem, o ich tajemnicach, słabościach, skandalach, o rozwodzie Shasy i Tary. Powiedziała mu nawet o podejrzeniach, że Nana urodziła kiedyś nieślubne dziecko na dzikich pustyniach na południu Afryki.

– Oczywiście, nikt tego nigdy nie udowodnił. Nie wydaje mi się, żeby ktoś się ośmielił. Nana ma niezwykłą osobowość – zaśmiała się. – A to jeszcze nie wszystko. W latach dwudziestych była wmieszana w zdecydowanie podejrzaną sprawę.

W końcu Ramon powrócił do tematu Michaela.

– Jeśli on jest w Londynie, to dlaczego nie przedstawiłaś nas sobie? Wstydzisz się mnie?

– A mogę? Mogę go tu przyprowadzić, Ramonie? Powiedziałam mu trochę o tobie, o nas. Wiem, że bardzo chciałby cię poznać i jestem pewna, że go polubisz. To jedyny naprawdę dobry i słodki Courtney. My wszyscy...! – przewróciła śmiesznie oczami.

Michael przyszedł z butelką burgunda ojca pod pachą.

– Chciałem przynieść kwiaty – wyjaśnił. – Ale później zdecydowałem, że lepiej dać coś pożytecznego.

Obaj przyjrzeni się sobie uważnie i uściśnęli dłonie. Isabella patrzyła na nich z niepokojem, ponieważ pragnęła, aby się polubili.

– Jak żebra? – zapytał Michael. Isabella powiedziała mu, że Ramon spadł z konia i złamał trzy żebra.

– Twoja siostra trzyma mnie w więzieniu. Nic mi nie jest – nic, czego nie wyleczyłby kieliszek tego wspaniałego burgunda.

Ramon roztoczył swój szczególny urok, któremu nie sposób było się oprzeć. Isabella nie posiadała się z radości. Dwaj najważniejsi dla niej ludzie byli na dobrej drodze, żeby się polubić.

Zabrała burgunda do kuchni, żeby otworzyć butelkę. Kiedy wróciła, Michael siedział już na krześle przy łóżku i obaj byli pochłonięci rozmową.

– Dostajemy twoje pismo, „Golden City Mail”, drogą lotniczą do banku – mówił Ramon. – Szczególnie podoba mi się dział finansowy i ekonomiczny.

– Ach, więc pracujesz w banku – kiwnął głową Michael. – Bella nic mi nie

mówiła.

– Bank handlowy. Specjalizujemy się w obsłudze subsaharyjskiej Afryki. Rozmowa potoczyła się dalej. Bella zdjęła buty na niskim obcasie, podwinęła nogawki niebieskich dżinsów i usadowiła się na łóżku obok Ramona. Nie brała udziału w rozmowie, tylko przysłuchiwała się chciwie.

Nie przypuszczała, że Ramon tak dobrze zna Afrykę. Miał bardzo głęboką wiedzę na temat osób, miejsc i wydarzeń, które tworzyły bogatą, różnorodną mozaikę jej ojczyzny. W porównaniu z tą dyskusją, poprzednie jej rozmowy z Ramonem były płytkie i głupiutkie. Słuchając ich obu, poznała zupełnie nowe dla niej fakty i idee.

Najwyraźniej na Michaelu Ramon zrobił również duże wrażenie. Widać było, że cieszy go możliwość wyłożenia swoich przekonań i interpretacji pewnych zjawisk rozmówcy, który jest bardzo wymagający intelektualnie. Mineła północ. Pierwsza butelka wina, przyniesiona przez Michaela, jak również druga, którą Isabella wyciągnęła ze swojego niewielkiego zapasu w kuchni, zostały już opróżnione. W sypialni wisiał gęsty dym z cameli Michaela. Nagle Isabella spojrzała na zegarek i zawołała:

– Byłeś zaproszony na jednego drinka, Mickey, a Ramon jest chory. Uciekaj stąd, i to już!

Kiedy podawała bratu płaszcz, Ramon powiedział cicho:

– Jeśli przygotujesz cykl artykułów o emigrantach politycznych, to twoja lista będzie niepełna bez Raleigha Tabaki. Michael zaśmiał się ponuro.

– Oddałbym duszę za spotkanie z tym tajemniczym Tabaką. Po prostu to niemożliwe. Jak mawiał stary Rudyard: jeśli znasz szlak porannej mgły, to wiesz już, gdzie są jego czaty.

– Poznałem go podczas pracy w banku. Utrzymujemy kontakty ze wszystkimi ważnymi postaciami. Może mógłbym pomóc ci się z nim spotkać – powiedział Ramon.

Michael zastygł z jedną ręką w rękawie płaszcza i spojrział na niego ze zdumieniem.

– Próbuję go złapać od pięciu lat. Gdybyś mógł...

– Zadzwoń do mnie jutro, w porze lunchu. Zobaczę, co się da zrobić. Przy drzwiach Michael pocałował Isabellę.

– Rozumiem, że nie wracasz dziś do domu?

– To jest mój dom – uścisnęła go. – Zamieszkałam na trochę na Cadogan Square ze względu na ciebie, ale to już niepotrzebne.

– On jest niesamowity, ten twój Ramon – powiedział Michael, a Isabella poczuła zaskakujące ukłucie zazdrości, jakby inna kobieta starała się o względy Ramona. Natychmiast je stłumiła. Było to jedyne negatywne uczucie, jakie kiedykolwiek żywiła do Michaela. Ból powrócił jednak, gdy Ramon powiedział:

– Lubię go. Twój brat jest niezwykłym człowiekiem. Rzadko się takich spotyka.

Zawstydziła się swojego krzywdzącego uczucia do Michaela. Jak mogła mieć cień wątpliwości, czy Ramon jest mężczyzną, prawdziwym mężczyzną? Wiedziała, że polubił Michaela tylko za jego urok i intelekt oraz dlatego, że jest jej bratem, mimo to jakiś niepokój pozostał.

Pochyliła się nad łóżkiem i pocałowała Ramona tak namiętnie, że sama się zdziwiła. W pierwszej chwili był zaskoczony, ale zaraz otworzył usta i ich języki splotły się ze sobą, śliskie jak odbywające tarło węgorki.

Oderwała się w końcu od niego i otworzyła oczy.

– Jeździsz sobie po Europie całymi tygodniami, ja w tym czasie usycham z tęsknoty, a kiedy wreszcie wracasz do domu, tylko wylegujesz się w łóżku, opychasz jedzeniem i śpisz – oskarżyła go zachrypłym z pożądania głosem. – Nawet nie

pomyślisz o pokojówce czy pielęgniарce. Cóż, panie Ramonie, dziś jest dzień wypłaty i przysłałam po moją należność.

– Będę potrzebował pomocy – ostrzegł ją.

– Leż spokojnie. Nic nie rób. To polecenie pielęgniarki. My zajmiemy się szczegółami.

Zsunęła prześcieradła i sięgnęła pod nie, a jej głos był bardzo zmysłowy.

– Zajmiemy się wszystkim, on i ja. Ty się do tego nie mieszaj.

Usiadła na nim okrakiem, uważając, aby nie urazić jego piersi. Gdy pochyliła się, zobaczyła w jego zielonych oczach pożądanie i wówczas opuściły ją wszelkie wątpliwości. Należał do niej i tylko do niej.

Potem ułożyła się blisko jego zdrowego boku, bezpieczna i szczęśliwa.

Rozmawiali leniwie, krążąc w ciemności na granicy snu. Kiedy znowu wspomniął o Michaelu, poczuła wyrzuty sumienia z powodu wątpliwości, które przedtem ją opanowały. Była tak rozluźniona, tak beztroska, a do tego ufała Ramonowi jak samej sobie. Chciała wyjawic mu je, wytłumaczyć.

– Biedny Mickey, nigdy nie przypuszczałam, że on tak cierpiał przez te wszystkie lata. Jestem z nim bliżej niż ktokolwiek, a jednak nawet ja o tym nie wiedziałam. Kilka dni temu odkryłam zupełnie przypadkowo, że jest homoseksualistą.

Słowa popłynęły, zanim zdążyła je zatrzymać i nagle przeraziło ją to, co zrobiła. Mickey zaufał jej. Z niepokojem czekała na reakcję Ramona.

– Tak – potwierdził spokojnie. – Wiedziałem o tym. Są pewne oznaki, które nigdy nie zawodzą. Zorientowałem się w sytuacji bardzo szybko.

Poczuła ogromną ulgę. Ramon wiedział wcześniej, więc nie dopuściła się zdrady.

– Nie czujesz do niego odrazy?

– Nie, wcale nie – odpowiedział Ramon. – Wielu z nich to bardzo twórczy, inteligentni i zdolni ludzie.

– Tak, Mickey jest taki – zgodziła się skwapliwie. – Na początku byłam zaszokowana, ale teraz to niewiele dla mnie znaczy. Nadal jest moim ukochanym bratem. Ale boję się, że trafi do więzienia.

– Myślę, że to mało prawdopodobne. Społeczeństwo już zaakceptowało...

– Nie rozumiesz. Michael lubi czarnych mężczyzn i żyje w RPA.

– Tak – przytaknął jej Ramon w zamyśleniu. – Wobec tego mogą być kłopoty.

Michael zatelefonował do mieszkania z automatu przy Fleet Street kilka minut przed południem. Ramon podniósł słuchawkę po drugim dzwonku.

– Mam dobre wiadomości – powiedział. – Raleigh Tabaka jest w Londynie i wie o tobie. Czy to ty napisałeś w 1966 roku cykl artykułów pod tytułem „Wściekłość”?

– Tak, sześć artykułów dla „Mail”; przez nie gazeta została zlikwidowana.

– Tabaka czytał je i spodobały się mu. Zgodził się na rozmowę.

– Mój Boże, Ramonie. Nie potrafię wyrazić, jak ci jestem wdzięczny. To najcudowniejsza...

Ramon przerwał jego podziękowania.

– Spotka się z tobą dziś wieczorem, ale postawił kilka warunków.

– W porządku – zgodził się Michael szybko.

– Masz przyjść sam. Żadnej broni, oczywiście, i żadnego magnetofonu, czy aparatu fotograficznego. Nie chce, by rejestrować jego głos lub wygląd. Jest taki pub na Shepherd’s Bush. – Podyktował Michaelowi adres. – Bądź tam o siódmej. Weź ze sobą bukiet kwiatów, goździków. Ktoś podejdzie do ciebie i zaprowadzi na spotkanie.

– Dobrze, rozumiem.

– Jeszcze jeden warunek. Tabaka chce przeczytać twój wywiad przed publikacją.

Michael milczał przez długą chwilę. To żądanie łamało wszystkie dziennikarskie zasady. Zakrawało to na jakiś rodzaj cenzury i rzucało cień na jego etykę zawodową.



Ale nagrodą był wywiad z jednym z najbardziej poszukiwanych ludzi w Afryce.

– Dobrze – zgodził się z ociąganiem. – Dam mu swój tekst do akceptacji. – Potem ton jego głosu rozjaśnił się. – Jestem ci winien przysługę. Przyjdę jutro wieczorem i opowiem ci, jak było.

– Nie zapomnij o winie.

Michael pospieszył na Cadogan Square. Gdy dopadł telefonu, odwołał wszystkie spotkania w tym dniu, a potem usiadł i przygotował strategię wywiadu. Pytania muszą być drażące, ale niezbyt ostre, by nie osłabić ochoty Tabaki do współpracy. Musi być szczerzy i życzliwy, a jednocześnie surowy, gdyż ma do czynienia z człowiekiem, który z pełną świadomością zdecydował się pójść drogą przemocy i rozlewu krwi. Osiągnie wiarygodność, jeśli pytania będą wyważone i bezstronne, a jednocześnie skłonią Tabakę do mówienia. Przede wszystkim nie chciałby usłyszeć recytowania radykalnych haseł i rewolucyjnego żargonu.

Terminu „terrorysta” używa się z reguły dla określenia osób, które z powodów politycznych dopuszczają się aktów przemocy na podmiotach o charakterze niemilitarnym, podczas których istnieje duże prawdopodobieństwo, że osoby postronne odniosą obrażenia lub nawet poniosą śmierć. Czy akceptuje pan taką definicję i, jeśli tak, to czy termin „terrorysta” odnosi się do Umkhonto we Sizwe?

Napisał to pierwsze pytanie i zapalił następnego camela.

„Dobre – stwierdził. – To prawdziwy skok na głęboką wodę, ale może przydałoby się je trochę wygładzić”.

Pracował dalej wytrwale i o wpół do szóstej miał już dwadzieścia pytań, które go w pełni zadowalały. Przeglądając po raz ostatni notatki, zjadł kanapkę z wędzonym łososiem i napił się piwa.

Włożył płaszcz i wziął bukiet goździków kupionych w sklepiku na rogu. Mżył drobny deszcz. Na Sloane Street złapał taksówkę.

W pubie było aż parno od ludzkich ciał. Najwięcej osób siedziało przy wybrudzonych szybach w kolorach tęczy. Michael ostentacyjnie obnosił się z goździkami i mrużąc oczy usiłował przebić wzrokiem niebieską chmurę dymu tytoniowego. Prawie natychmiast schludnie ubrany w trzyczęściowy niebieski garnitur z wełny Hindus opuścił ladę i przepchał się do niego przez zatłoczone pomieszczenie.

– Panie Courtney, nazywam się Govan.

– Z Natalu – poznał po akcencie Michael.

– Ze Strangeru – uśmiechnął się mężczyzna. – Ale to było sześć lat temu. –

Spojrzał na płaszcz Michaela. – Przestało padać? W porządku, możemy iść. To niedaleko.

Hindus skierował się ku głównej ulicy. Po około stu jardach skręcił raptownie w wąską alejkę i przyspieszył kroku. Michael musiał prawie biec, żeby nie zostać w tyle. Był zasapany, kiedy dotarli do wylotu uliczki.

„Cholerne fajki, muszę ograniczyć palenie” – mruknął do siebie.

Govan skręcił i zatrzymał się nagle tuż za rogiem. Michael chciał coś powiedzieć, ale Govan uciszył go gestem. Czekali pięć minut. Dopiero kiedy byli pewni, że nikt za nimi nie idzie, Hindus zwolnił uścisk.

– Nie ufacie mi – stwierdził Michael z uśmiechem i wyrzucił goździki do kosza na śmieci, na którym widniało ostrzeżenie, że zanieczyszczanie jest karane.

– My nie ufamy nikomu, a zwłaszcza Burom. Ci Afrykanerzy codziennie wymyślają jakieś nowe, przebiegłe sztuczki.

Dziesięć minut później znowu zatrzymali się przed nowoczesnym blokiem mieszkalnym, na szerokiej, jasno oświetlonej ulicy. Przy krawężniku stał rząd mercedesów i jaguarów. Trawnik i mały ogród przed blokiem były bardzo zadbane. Z pewnością znajdowali się w dzielnicy drogich rezydencji.

– Zostawię tu pana. Proszę tam wejść. W holu jest portier. Powie mu pan, że jest gościem pana Kendricka, mieszkanie numer 505.

Wnętrze odpowiadało fasadzie budynku: podłoga z włoskiego marmuru, drewniana boazeria na ścianach i połączone drzwi. Portier w mundurze zsalutował mu.

– Tak, panie Courtney, pan Kendrick oczekuje pana. Proszę wjechać na piąte piętro.

Gdy otworzyły się drzwi windy, zobaczył dwóch młodych kolorowych mężczyzn, którzy powitali go bez uśmiechu.

– Proszę tędy, panie Courtney.

Ruszyli wyłożonym dywanem korytarzem do numeru 505 i weszli razem do mieszkania.

Gdy drzwi się zamknęły, szybko, lecz dokładnie zrewidowano go. Michael podniósł ręce i rozsunął nogi, żeby pomóc. Rozejrzał się dokoła okiem dziennikarza. Mieszkanie było urządzone z gustem, ale i z pieniędzmi.

Eskortujący mężczyźni odsunęli się zadowoleni, a jeden z nich otworzył podwójne drzwi.

Michael wszedł do przestronnego, pięknie urządzonego pokoju. Kanapy i wygodne fotele były obite skórą w kolorze kremowym. Całą podłogę pokrywał gruby kakaowy dywan, na którym stały stoliki i barek wykonane z kryształu i chromu. Na ścianach wisiały cztery obrazy Hockneya z jego serii w basenie. „Pięćdziesiąt tysięcy funtów każdy” – ocenił Michael, a potem dostrzegł mężczyznę.

Nie było żadnych nowych zdjęć tego człowieka, ale Michael poznał go natychmiast, gdyż pamiętał jego niewyraźną fotografię z archiwum „Mail”, które pochodziło jeszcze z czasów Sharpeville i związanych z tamtymi wydarzeniami dochodzeń.

– Pan Tabaka – powiedział.

Mężczyzna był wzrostu Michaela, jakieś sześć stóp i jeden cal, ale miał szersze ramiona, a węższe biodra.

– Pan Courtney.

Raleigh Tabaka podszedł do niego i podał mu dłoń. Poruszał się jak bokser, płynnie, pewnie i śmiało.

– Lubi pan wnętrza w dobrym stylu? – spytał Michael, a Tabaka zmarszczył się nieco.

– To mieszkanie naszego zwolennika. Ja nie przywiązuję wagi do takich światełek – jego głos był silny, głęboki i melodyjny; pobrzmiwały w nim wyraźne echa Afryki.

Nosił garnitur z czystej wełny, doskonale skrojony, a w jedwabnym krawacie połyskiwały maleńkie klamerki ze znakiem Guzziego. Ten mężczyzna robił wrażenie.

– Jestem bardzo wdzięczny, że zgodził się pan ze mną spotkać – powiedział Michael.

– Czytałem pana cykl „Wściekłość” – rzekł Raleigh, przyglądając się Michaelowi swoimi czarnymi, podobnymi do onyksu oczami. – Rozumie pan mój naród. Przedstawił pan jego aspiracje wiernie i bezstronnie.

– Nie wszyscy są tego zdania, zwłaszcza władze w RPA. Raleigh się uśmiechnął. Jego zęby były równe i białe.

– Niewiele z tego, co mam panu do powiedzenia, przyjmą z radością. Ale może najpierw się pan czegoś napije?

– Poproszę o gin z tonikiem.

– No tak, paliwo, dzięki któremu funkcjonuje umysł dziennikarza – w głosie Raleigha słyhać było lekceważenie. Podszedł do barku, nalał przezroczystego płynu

z kryształowej karafki i dolał toniku z końcówki połączonej z barkiem za pomocą chromowanego węża.

– Pan nie pije? – zapytał Michael, a Raleigh skrzywił się znowu.

– Mam tyle pracy, po cóż miałbym zaciemniać sobie umysł? – spojrzał na zegarek. – Mogę poświęcić na rozmowę godzinę, potem muszę wyjść.

– Nie wolno mi zmarnować ani minuty – zgodził się Michael. Gdy usiedli naprzeciwko siebie na skórzanych fotelach, powiedział:

– Mam wszystkie podstawowe informacje, które mnie interesują: miejsce i datę pana urodzenia, dane o edukacji w Swazilandzie, pana związek z Mosesem Gama, obecną pozycję w ANC. Czy mogę zacząć od tego?

Raleigh skinął głową.

– Terminu „terrorysta” używa się z reguły dla określenia... – Michael powtórzył swoją definicję, a twarz Raleigha ściągnęła się ze złości, gdy go słuchał.

– W Afryce Południowej nie ma osób postronnych – przerwał obcesowo. – To jest wojna. Nikt nie może zajmować neutralnego stanowiska. Wszyscy bierzemy udział w walce.

– Nieważne jak młodzi, jak starzy? Nieważne, czy ci ludzie popierają aspiracje pana narodu, czy nie?

– Nie ma osób postronnych – powtórzył Raleigh. – Od kołyski po grób, wszyscy znajdujemy się na polu bitwy. Wszyscy należymy do jednego z dwóch obozów: uciskanych albo uciskających.

– Czy żaden mężczyzna, kobieta czy dziecko nie ma wyboru?

– Każdy ma wybór – stanąć po jednej lub drugiej stronie. Neutralność nie jest wyjściem.

– Jeśli bomba wybuchłaby w zatłoczonym supermarkecie i jacyś pana ludzie albo sympatycy zginęliby lub odnieśli obrażenia, czy miałby pan wyrzuty sumienia?

– Wyrzuty sumienia nie są emocjami rewolucjonisty, tak jak nie są emocjami winnych apartheidu. Ci, którzy umierają, są albo ofiarami po stronie wroga, albo bohaterami, którzy odważnie i z honorem oddają życie. W czasie wojny obie sytuacje są nieuniknione, nawet pożądane.

Pióro Michaela szybko przesuwano się po kartkach papieru, gdy stara się zanotować te przerażające oświadczenia. Był wstrząśnięty, podniecony i przerażony tym, co słyszał. Miał wrażenie, że jak na ćmie, która zbliży się za blisko do płomienia, tak i na nim wypali swoje znamię biała gorączka wściekłości, która ogarnęła tego człowieka. Wiedział, że potrafi wiernie powtórzyć jego słowa, ale nigdy nie będzie w stanie oddać tej dzikiej zapalczowości, z jaką zostały one wypowiedziane.

Przyznana godzina minęła błyskawicznie, lecz Michael chciał maksymalnie wykorzystać sytuację. Gdy Raleigh spojrzał na zegarek i wstał, spróbował desperacko przedłużyć ten czas.

– Mówił pan o swoich dziecięcych oddziałach – powiedział. – W jakim wieku są ich członkowie?

– Pokażę panu siedmioletnie dzieci, które noszą już broń, i dziesięcioletnich dowódców.

– Pokaże mi pan? – zapytał Michael. – Czy to jest możliwe?

Raleigh przyglądał mu się długo. Informacje, które otrzymał od Ramona Machado, były zgodne z prawdą. Ten człowiek będzie dobrym narzędziem. Takim, które można dopasować do swojej dłoni i do swoich celów. Wart jest wysiłku, który należy włożyć, aby wykorzystać go w pełni. To jeden z tych „pożytecznych idiotów” Lenina, którzy na początku mogą służyć sprawie, nawet się tego nie domyślając. Później, oczywiście, byłoby inaczej. Najpierw będzie łopatą i lemieszem, a dopiero gdy nadejdzie czas, zostanie przekuty na wojenny miecz.

– Michaelu Courtneyu – powiedział cicho. – Jestem skłonny zaufać panu. Myślę, że jest pan uczciwym i światłym człowiekiem. Otworzę panu drzwi do miejsc, których istnienia nawet pan nie podejrzewał. Pokażę ulice i slumsy Soweto. Zawiodę pana do moich ludzi i, tak, pokażę panu dzieci.

– Kiedy? – zapytał z niepokojem Michael, mając świadomość, że jego czas się kończy.

– Wkrótce – obiecał Raleigh i w tym momencie usłyszeli, że ktoś otworzył drzwi frontowe.

– Jak pana znajdę? – nalegał Michael.

– Sam się odezwę, gdy będę gotowy.

Podwójne drzwi do salonu otworzyły się i w progu stanął mężczyzna.

Michael był zaskoczony, a jego zainteresowanie przeniosło się na przybysza.

Poznał go natychmiast, nawet w tym zwykłym stroju. Nazwisko Kendrick powinno być dla niego sygnałem.

– Nasz gospodarz, właściciel mieszkania, Oliver Kendrick, a to jest Michael Courtney – przedstawił ich sobie Raleigh Tabaka.

– Widziałem, jak tańczył pan Spartakusa – powiedział Michael głosem wyrażającym podziw. – Trzy razy. Co za siła i ekspresja.

Oliver Kendrick uśmiechnął się, przeszedł przez pokój lekkim krokiem tancerza baletowego i wyciągnął do Michaela dłoń. Była zaskakująco wąska i chłodna, a kości miała cienkie jak u ptaka, przecież nazywano go „Czarnym Łabędziem”. Szyję miał długą i smukłą, właśnie jak łabędź, a oczy lśniły niczym górskie jezioro, w którym odbija się światło księżyca. Jego skóra miała ten sam ciemny blask.

Michael pomyślał, że z bliska jest jeszcze piękniejszy niż w romantycznym świetle na scenie. Nie cofając swojej dłoni z uścisku Michaela, gospodarz odwrócił głowę do Raleigha.

– Nie uciekaj jeszcze – poprosił tym swoim śpiewnym, hinduskim głosem.

– Muszę iść – potrząsnął głową Raleigh. – Niestety, powinienem złapać samolot.

Oliver Kendrick odwrócił się z powrotem do Michaela, wciąż trzymając go za rękę.

– Miałem straszny dzień. Słowo daję, chciałbym zwinąć się w kłębek i umrzeć. Nie zostawiaj mnie samego, Michael. Proszę cię, pomóż mi się odprężyć. Potrafisz być zabawny i rozerwać mnie, prawda, Michael?

Raleigh Tabaka opuścił mieszkanie. Jeden z jego ludzi czekał przed drzwiami, ale nie wyszli z budynku. Udali się korytarzem do mniej okazałych drzwi. To drugie mieszkanie, znajdujące się obok, było mniejsze, lecz także kompletnie umeblowane. Raleigh wszedł do pokoju, gdzie jego człowiek siedział na krześle przy oświetlonym oknie w ścianie bocznej.

Tabaka gestem kazał mu zostać na miejscu i podszedł do okna o dziwnych wymiarach: wysokie i wąskie, przypominało lustro z toaletką. Szkło miało lekko matowy odcień, charakterystyczny dla dwustronnych lusterek oglądanych z drugiej strony.

Pokój widziany w nim był urządzony z przepychem, jak całe mieszkanie Olivera Kendricka. Dominowały kolory przypominające jasne ostrygi i grzyby, a atlasowa narzuta na łóżku doskonale pasowała do grubego dywanu. Ukryte światło migotało i jarzyło się w lustrzanych płytkach na suficie. W niszy naprzeciwko łóżka był ustawiony antyczny symbol falliczny, wyrzeźbiony w obsydianie koloru bursztynu – cenny antyk ze świątyni Hindu. Pokój był pusty, więc Raleigh skierował swoją uwagę na kamerę, która była przygotowana do robienia zdjęć przez lustro.

Mieszkanie i sprzęt filmowy należał do Olivera Kendricka. Udostępnił je

Raleighowi już wiele razy. Dziwne było, że ktoś tak utalentowany i sławny jak Kendrick godził się na to. Ale on nie tylko chętnie wypożyczał sprzęt i swoje usługi Raleighowi. Brał w tym udział z takim niekłamanym entuzjazmem, inwencją i zadowoleniem, że było oczywiste, iż bardzo mu to odpowiada. Postawił tylko jeden warunek: Raleigh ma mu przekazywać kasety wideo i zdjęcia, by mógł je dołączyć do swojej bogatej kolekcji. Sprzęt wideo był najwyższej, profesjonalnej klasy. Raleigh podziwiał jakość zdjęć zrobionych przy tak słabym przecież świetle.

Raleigh znowu spojrzął na zegarek. Z powodzeniem mógł zostawić resztę pracy swoim dwóm pomocnikom. Robili to już przedtem. Jednak perwersyjna ciekawość kazała mu zaczekać. Mineło prawie pół godziny, zanim drzwi do sypialni się otworzyły. Kendrick i Michael Courtney weszli do środka. Ludzie Raleigha rzucili się na swoje miejsca: jeden do magnetowidu, a drugi do ogromnego, czarnego aparatu firmy Hasselblad, stojącego na trójnogu. Kamera była zaopatrzona w czarnobiały film o czułości 3000 ASA, dzięki któremu na zdjęciach widać było większość szczegółów nawet przy bardzo słabym świetle.

W pokoju za lustrem dwaj mężczyźni objęli się i zastygli w długim pocałunku. Kamera pracowała prawie bezszmerowo; przesłona hasselblada była głośniejsza, cicho trzaskała w ciemnym pokoju.

Gdy biały mężczyzna czekał w aksamitnej pościeli, nagi Kendrick podszedł do dwustronnego lustra. Udawał, że ogląda swoje ciało, a w rzeczywistości pokazywał je mężczyznom, którzy, jak wiedział, znajdowali się po drugiej stronie. Był harmonijnie umięśniony dzięki długim godzinom ćwiczeń, łydki i uda zaś miał mocniej rozwinięte.

Patrzył wyzywająco w lustro, a diamentowe kolczyki w jego uszach błysnęły, kiedy odwrócił głowę na łabędziej szyi i przybrał teatralną pozę. Końcem języka przejechał po rozchylonych wargach i poprzez ciemne lustro wpatrywał się w oczy Raleigha. Był to najbardziej zmysłowy gest, jaki Tabaka kiedykolwiek widział; miał w sobie jakiś nieprzyjemny chłód. Kendrick odwrócił się i podszedł niespiesznie do łóżka. Jego aksamitne czarne pośladki kołysały się, gdy poruszał się drobnymi krokami, a leżący mężczyzna wyciągnął do niego obie ręce.

Raleigh odwrócił się i opuścił mieszkanie. Zjechał windą i wyszedł w chłód wieczoru. Owinął się szczelniej płaszczem, wciągnął głęboko świeże, zimne powietrze, po czym ruszył długim, zdecydowanym krokiem człowieka, który ma coś ważnego do zrobienia.

## ROZDZIAŁ 2

Gdy Michael opuścił Londyn, zabrał ze sobą część tej szczególnej radości, która wypełniała życie Isabelli w ciągu kilku ostatnich tygodni. Odwiozła go na Heathrow.

– Ciągłe mówimy sobie „do widzenia”, Mickey – szepnęła. – Będę za tobą bardzo tęskniła, zawsze tęsknię.

– Zobaczymy się na twoim weselu.

– Chyba wcześniej będą chrzciny – odpowiedziała, a on odsunął ją na wyciągnięcie ręki.

– Nie powiedziałas mi – powiedział z wyrzutem.

– To przez jego żonę – wyjaśniła. – Pod koniec stycznia przenosimy się do Hiszpanii. Ramon chce, żeby dziecko tam się urodziło. Adoptuje je według hiszpańskiego prawa.

– Musisz mi mówić, gdzie jesteś, zawsze. I pamiętaj o obietnicy. Skinęła głową.

– Jesteś pierwszą osobą, do której przyjdę po pomoc, jeśli będę jej potrzebowała.

W drzwiach do hali odlotów obejrzał się i posłał pocałunek. Gdy zniknął jej z oczu, poczuła chłód samotności.

To uczucie wyparowało szybko w iberyjskim słońcu.

Ramon znalazł mieszkanie w maleńkim rybackim miasteczku, o kilka mil od Malagi. Zajmowało dwa ostatnie piętra i miało szeroki taras, z którego ponad wierzchołkami sosen widać było Morze Śródziemne. W ciągu dnia, kiedy Ramon był w banku, Isabella leżała w najbardziej skąpym bikini w osłoniętej części tarasu, gdzie wiatr nie miał do niej dostępu, a słońce opalało na kolor ciemnego bursztynu, gdy ona kończyła swoją pracę doktorską. Urodziła się w Afryce, była dzieckiem słońca i bardzo jej go brakowało w Londynie.

Ramon musiał wyjeżdżać. Nienawidziła odprowadzania go, ale pomiędzy podróżami były liryczne interludia, które przeżywali razem. W banku w Maladze miał niewiele obowiązków i mógł wymykać się z nią na całe popołudnia do tajemniczych, rzadko odwiedzanych zatoczek wzdłuż wybrzeża lub do restauracji na świeżym powietrzu, które serwowały miejscowe specjalności z owoców morza i wina.

Rana zagoiła się bez problemów.

– To dzięki doskonałej pielęgnowaniu – stwierdził.

Pozostały po niej dwie głębokie blizny na piersi i na plecach, różowe i lśniące. Jego ciało było bardziej opalone niż jej – miało odcień mahoni, przy którym zieleń oczu wydawała się teraz jaśniejsza.

Gdy Ramon przebywał w podróży, miała do towarzystwa Adrę. Nigdy nie potrafiła ustalić, gdzie ją znalazł, ale wybór był niezwykle trafny, gdyż świetnie zastępowała Nannę. Pod pewnymi względami nawet ją przewyższała, gdyż nie była tak gadatliwa i zaborcza.

Adra, szczupła, silna kobieta po czterdziestce, miała czarne jak smoła włosy z kilkoma siwymi pasmami, które zaczesywała gładko do tyłu i układała w kok wielkości piłki do krykieta. Twarz jej była ciemna i poważna, ale jednocześnie miła i wesoła, ręce zaś brązowe, kanciaste i silne, gdy zajmowała się pracami domowymi, a szybkie i uważne, kiedy gotowała lub prasowała rzeczy Isabelli. Jeszcze bardziej delikatne i kojące były, kiedy masowała jej bolące plecy lub nacierała olejkami wydepty, opalony na brązowo brzuch, aby mięśnie nie wiotczały, a skóra pozostała gładka.

Zajęła się nauką hiszpańskiego Isabelli, która robiła tak duże postępy, że zaskoczyło to Ramona. Po miesiącu Isabella swobodnie czytała lokalne gazety,

dyskutowała z hydraulikiem i człowiekiem z punktu naprawy telewizorów albo wraz z Adrą targowała się przy zakupach.

Mimo że lubiła wypytywać Isabellę o jej rodzinę i Afrykę, sama nie była zbyt skłonna do opowiadania o sobie. Isabella przypuszczała, że jest Hiszpanką, aż pewnego dnia w skrzynce pocztowej znalazła kopertę zaadresowaną do Adry, na której znaczek i stempel pochodził z Kuby, z Hawany.

– To od męża czy od rodziny, Adro? Kto pisze do ciebie z Kuby? – zapytała.

Kobieta odpowiedziała szorstko:

– To od przyjaciela, senora. Mój mąż nie żyje.

Do końca dnia unikała jej i milczała. Dopiero pod koniec tygodnia wróciła do normalnego stanu, a Isabella była na tyle ostrożna, że nie wspominała już o liście z Kuby.

Gdy mijały tygodnie i zbliżał się dla Isabelli czas rozwiązania, Adra zainteresowała się wyprawką dla dziecka, którą przygotowywała Isabella. Michael to rozpoczął. Kiedyś nadeszła przesyłka lotnicza z Johannesburga z kompletem sześciu prześcieradeł do łóżeczka i sześciu powłoczek na poduszkę z doskonałej bawełny, przewiązanym niebieskimi jedwabnymi wstążkami, oraz parą wspaniałych wełnianych śpioszków.

Codziennie Isabella dodawała coś do kolekcji, a Adra jej w tym pomagała. Razem przeszukały wszystkie sklepy z ubrankami dla dzieci w promieniu godziny jazdy samochodem.

Za każdym razem, gdy Ramon wracał z podróży służbowej, przywoził kolejne rzeczy. Mimo że ubrania czasami były odpowiednie dla nastolatka, Isabella była tak wzruszona jego troskliwością, że nie potrafiła mu tego wytknąć. Pewnego razu wrócił z wózkiem, którego pojemność, zawieszenie i błyszczące wykończenie godne było zakładów Rolls-Royce'a. Adra wręczyła Isabelli jedwabne ubranko do chrztu, które sama zrobiła, ozdobione starymi koronkami, pochodzącymi – jak powiedziała Isabelli – z sukni ślubnej jej babki. Isabella była tak wzruszona, że się rozplakała. Łzy teraz łatwo napływały jej do oczu. Gdy ciąża stawała się coraz bardziej zaawansowana, często myślała o Weltevreden. Kiedy zatelefonowała do ojca i Nany, z wielkim trudem powstrzymywała się, by nie powiedzieć czegoś na temat Ramona lub dziecka. Wierzyli, że schroniła się w Hiszpanii tylko po to, by dokończyć doktorat.

Wiele razy, dopóki ciąża nie uniemożliwiła jej podróżowania, Ramon prosił ją, żeby załatwiała pewne sprawy podczas jego nieobecności. Za każdym razem miała po prostu polecieć do Europy, Afryki Północnej lub na Bliski Wschód, odbyć tam spotkanie, otrzymać kopertę albo niewielką paczkę i wrócić do domu. Gdy poleciała do Tel-Awihu, wzięła ze sobą południowoafrykański paszport, ale kiedy leciała do Benghazi lub Kairu, używała swojego brytyjskiego paszportu. Każda z tych podróży trwała tylko dobę i urozmaicała jej życie, a do tego dawała możliwość zrobienia zakupów dla dziecka. Zaledwie w tydzień po podróży do Benghazi monarchia króla Idrisa I została obalona przez powstanie zbrojne pod wodzą pułkownika Muammara al-Kadafiego, a Isabellę ogarnęło przerażenie, gdy zdała sobie sprawę, jak niewiele brakowało, by została wplątana w rewolucję.

Ramon podzielił te obawy i obiecał nie prosić jej o podjęcie się kolejnej misji, dopóki nie urodzi się dziecko. Nigdy nie pytała go, czy podróże mają związek z pracą w banku, czy też z tą ciemną, tajną stroną jego życia.

Raz w tygodniu chodziła na kontrolę do kliniki, którą wybrał dla niej Ramon. Adra zawsze jej towarzyszyła. Ginekolog był uprzejmym, kulturalnym Hiszpanem o surowej, arystokratycznej twarzy i chłodnych, zręcznych rękach.

– Wszystko jest tak, jak powinno, senora. Natura robi swoje, a pani jest młoda, zdrowa i dobrze zbudowana, by rodzić.

– Czy to będzie chłopiec?

– Oczywiście, senora. Śliczny, zdrowy chłopiec. Osobiście to pani gwarantuję.

Klinika, mieszcząca się w dawnym pałacu Maurów, odrestaurowanym i odnowionym, była zaopatrzona w aparaturę medyczną najwyższej klasy. Gdy doktor pokazał jej wszystkie urządzenia, zrozumiała, jak mądrego wyboru dokonał Ramon. Była pewna, że znaleźli najlepszy szpital.

W czasie jednej z wizyt, gdy doktor skończył ją badać i ubierała się w zasłoniętej kabinie, podsłuchiwała jego i Adrę, rozmawiających na jej temat w poczekalni. Znała hiszpański już na tyle dobrze, by zdać sobie sprawę, że ich rozmowa była bardzo fachowa, oboje posługiwali się medycznymi terminami jak dwoje lekarzy. Zaskoczyło ją to.

W drodze powrotnej, gdy zatrzymała się przy nadmorskiej restauracji i jak zwykle zamówiła dla nich lody i czekoladę, zwróciła się do Adry:

– Słyszałam, jak rozmawiałaś z lekarzem – powiedziała z pełnymi ustami. – Musiałaś kiedyś być pielęgniarką, tak dużo o tym wiesz, znasz wszystkie te fachowe określenia.

Znowu spotkała się z dziwnie wrogą reakcją kobiety.

– Jestem na to zbyt głupia. Jestem tylko służącą – powiedziała ostro i zapadła w ponure milczenie.

Doktor przewidywał, że dziecko urodzi się w pierwszym tygodniu kwietnia, więc rzuciła się do swojej dysertacji, by ukończyć ją do tego czasu. Ostatnie strony przepisała na maszynie ostatniego dnia marca, zapakowała maszynopis i nadała do Londynu. Nie mogła się zdecydować, czy jest to kompletna bzdura, czy genialne odkrycie i przechodziła katusze rozmyślając na temat braków i poprawek, które powinna jeszcze zrobić.

Ale już po tygodniu otrzymała odpowiedź z uniwersytetu z zaproszeniem, by przyjechała bronić swojej pracy.

– Spodobała im się! – wykrzyknęła. – Inaczej nie zawracaliby sobie głowy.

Mimo zaawansowanej ciąży poleciała do Londynu na trzy dni, aby bronić doktoratu. Poszło lepiej, niż mogła się spodziewać, ale gdy wróciła do Malagi, była wykończona.

– Obiecali dać mi znać tak szybko, jak tylko to będzie możliwe – powiedziała Ramonowi. – Myślę jednak, że będzie dobrze, trzymaj za mnie kciuki.

Zmusiła Ramona, by odtąd jej nie opuszczał. Leżała w blasku księżyca, przy otwartych drzwiach na taras, aby pochwycić najłżejszy podmuch wiatru. Spoczywała w jego ramionach, przykryta tylko prześcieradłem, gdy obudziły ją pierwsze bóle.

Leżała spokojnie i mierzyła przerwy między skurczami, czując zadowolenie, ponieważ weszła już w ostatnie stadium długiego i fascynującego procesu. Kiedy w końcu obudziła Ramona, okazał jej wdzięczność i troskliwość. Popędził w piżamie na dół po Adrę. Walizka Isabelli była już gotowa i cała trójka wsiadła do mini. Isabella została usadowiona na tylnym siedzeniu i Ramon zawiózł ich do kliniki.

Tak jak przewidywał lekarz, wszystko poszło łatwo i szybko. Mimo że dziecko było duże, a biodra Isabelli dosyć wąskie, nie było żadnych komplikacji. Kiedy doktor poprosił, by zrobiła ostatni wysiłek, napała z całej siły i czując, jak coś śliskiego nagle się z niej wydostaje, wydała okrzyk radości i triumfu.

Z ciekawością przewróciła się na łokieć i odsunęła kosmyk mokrych od potu włosów.

– Co to jest? – zapytała niecierpliwie. – Czy to chłopiec? Doktor uniósł błyszczące, czerwone ciało wysoko do góry, a wszyscy roześmiali się z pełnego dziecięcej złości płaczu noworodka.

– Proszę bardzo – obrócił wciąż wierzgające nóżkami dziecko tak, by Isabella



mogła je lepiej widzieć.

Buzia maleństwa była purpurowa i cała pomarszczona, powieki spuchnięte i mocno zaciśnięte. Gęste, kruczoczarne włoski oblepiły główkę. Jego penis miał długość połowy palca wskazującego Isabelli i, według jej stroniczej oceny, był w stanie imponującej erekcji.

– Chłopiec – westchnęła i dodała z nutą zachwytu w głosie: – chłopiec, i to Courtney.

Isabella nie była przygotowana na obezwładniającą siłę macierzyńskich instynktów, gdy położono przy piersi jej pierworodnego i gdy on wziął nabrzmiałą sutkę między swoje gumowe, małe dziąsła i zaczął ssać ze zwierzęcą siłą, która wywołała niezbędne skurcze w jej spuchniętym łonie i silniejszy, bardziej pierwotny ból w sercu.

Był najpiękniejszą istotą, jakiej kiedykolwiek dotykała, tak piękną jak jego ojciec. W tych pierwszych dniach nie mogła oderwać od dziecka wzroku, często wstawiała w nocy i pochylała się nad łóżeczkiem, aby przyjrzeć się jego twarzy w blasku księżyca, a gdy ssał, rozginała jego różowe piąstki i oglądała paluszki w niemal religijnym zachwycie.

– On jest mój, należy do mnie – wciąż powtarzała to sobie, nie mogąc ogarnąć czegoś tak cudownego.

Ramon spędził większość tych trzech pierwszych dni razem z nimi w słonecznym prywatnym pokoju w klinice. Wydawał się podzielać jej fascynację dzieckiem. Zastanawiali się razem, jakie dać mu imiona. Po pewnym czasie, w wyniku bolesnego procesu eliminowania pozostały im Shasa i Sean ze strony jej rodziny oraz Huesca i Mahoń ze strony Ramona. W końcu zgodzili się, że ich syn będzie się nazywał Nicholas Miguel Ramon de Santiago y Machado. Miguel był kompromisowym wyjściem, ponieważ Isabella zaproponowała Michaela.

Czwartego dnia Ramon przyszedł do jej pokoju w klinice w towarzystwie trzech poważnych dżentelmenów w ciemnych garniturach z teczkami w rękach: jeden był prawnikiem, drugi urzędnikiem z Urzędu Rejestracji Narodzin, a trzeci miejscowym sędzią.

Sędzia był świadkiem, gdy Isabella podpisywała akt adopcji, zrzekając się opieki nad Nicholasem na rzecz markiza de Santiago y Machado, i postawił na nim swoją urzędową pieczęć. Świadcstwo urodzenia, wystawione przez urzędnika, potwierdzało, że ojcem dziecka jest Ramon.

Gdy mężczyźni po spełnieniu toastu za matkę oraz dziecko wyszli, Ramon objął czule Isabelle.

– Prawo twojego syna do tytułu jest zabezpieczone – szepnął.

– Naszego syna – szepnęła w odpowiedzi i pocałowała go. – Moi mężczyźni, Nicky i Ramon.

Kiedy Ramon zabrał ich ze szpitala i przywiózł do domu, Isabella uparła się, że chce sama wnieść Nicky'ego po schodach. Adra wzięła go z jej rąk.

– Ma mokro. Zmienię mu pieluszkę.

Isabella poczuła się jak lwica, którą pozbawiono małego.

W ciągu następnych dni rozwijało się ciche, ale uparte współzawodnictwo między obiema kobietami. Mimo że Isabella musiała przyznać, iż Adra ma duże doświadczenie w zajmowaniu się niemowlętami, czuła się urażoną. Chciała mieć Nicky'ego wyłącznie dla siebie i próbowała przewidzieć, czego będzie potrzebował, by zapewnić mu to przed Adrą.

Czerwień z buzi dziecka zniknęła po kilku dniach i zastąpił ją piękny, brzoskwiniowy kolor, a jego gęste włosy zaczęły się kręcić. Kiedy otworzył oczy po raz pierwszy, miały dokładnie ten sam zielony odcień co oczy Ramona. Isabella

uważała to za jeden z największych cudów na świecie.

– Jesteś tak piękny jak twój ojciec – powiedziała do synka, gdy karmiła go piersią. To była jedyna rzecz, której Adra nie mogła zrobić za nią.

W czasie miesięcy, które spędzili w wiosce, Isabella stała się ulubienicą mieszkańców. Jej urok osobisty, łatwość w nawiązywaniu kontaktów, cięza i chęć pogłębienia znajomości języka podbiły serca handlarzy i sklepikarzy z rynku.

W odpowiedzi na ich usilne prośby, gdy Nicky miał zaledwie dziesięć dni, ułożyła go w wózku i udała się do miasteczka. Spacer ten był triumfem, wróciła do mieszkania obładowana drobnymi upominkami, a w uszach wciąż dźwięczały jej pochwały.

Gdy zatelefonowała do domu w Wielkanoc, babka zapytała surowo:

– Co masz takiego ważnego w Hiszpanii, że nie możesz wrócić do Weltevreden?

– Och, Nano, kocham was wszystkich, ale to po prostu niemożliwe. Proszę, wybacz mi.

– O ile ciebie znam, moja panno, a znam cię dobrze, wpakowałaś się w coś niedobrego i to coś nosi spodnie.

– Nano, jesteś niemożliwa. Jak możesz myśleć o mnie w ten sposób?

– Dwadzieścia lat doświadczeń – powiedziała sucho Centaine Courtney-Malcomess. – Tylko nie wpadnij w jakieś kłopoty, dziecko.

– Dobrze, obiecuję – odpowiedziała jej słodkim głosem i przytuliła niemowlę do piersi. „Och, gdybyś tylko wiedziała – pomyślała – On nie nosi spodni; w każdym razie, jeszcze nie nosi”.

– Jak tam twoja praca doktorska? – zapytał ojciec, kiedy przejął słuchawkę. Nie mogła mu powiedzieć, że już ją złożyła, ponieważ to była jej wymówka, by pozostać w Hiszpanii.

– Prawie skończona – poszła na kompromis. Nie myślała o tym, odkąd pojawił się Nicky.

– Powodzenia – powiedział ojciec, a po chwili dodał: – Czy pamiętasz obietnicę, którą mi dałaś?

– Jaka? – grała na zwłokę, ponieważ doskonale wiedziała, o co mu chodzi.

– Obiecałaś mi, że jeśli będziesz miała jakieś kłopoty, jakiegokolwiek, nie będziesz próbowała poradzić sobie z nimi sama, tylko przyjdiesz do mnie.

– Tak, pamiętam.

– Czy wszystko w porządku, kochanie?

– Czuję się dobrze, świetnie, wprost cudownie, tato. Usłyszał to w jej głosie i odetchnął z ulgą.

– Wesółych świąt, moja wesoła i piękna córko.

Rozmawiając z Michaeliem mogła ulżyć sobie i wyrzucić z siebie wszystko. Rozmawiali czterdzieści pięć minut, jedno w Maladze, drugie w Johannesburgu, a Isabella połaskotała Nicky'ego, żeby zagruchał do wujka.

– Kiedy wracasz do domu, Bellu? – zapytał w końcu.

– Ramon będzie miał rozwód do czerwca, to już pewne. Weźmiemy ślub cywilny tutaj, w Hiszpanii, a kościelny w Weltevreden. Oczekuję cię na obydwóch.

– Spróbuj mnie powstrzymać – rzucił stanowczo.

Świąteczną kolację zjedli w ulubionej restauracji nad morzem. Wózek Nicky'ego stał przy stoliku. Żona właściciela zrobiła dla niego kaftanik z włóczki.

Adra była z nimi, stała się już wówczas członkiem ich małej rodziny. Gdy wracali do domu, pchała wózek, a Isabella przytuliła się do ramienia Ramona.

Czuła się żoną i matką, była szczęśliwa jak jeszcze nigdy w całym swoim życiu.

Kiedy weszli do mieszkania, Adra zabrała Nicky'ego, żeby go przewinąć. Tym

razem Isabella się nie sprzeciwiała. Spuściła żaluzje w sypialni i podeszła do Ramona.

– Minęły już trzy tygodnie od urodzin Nicky’ego. Przecież nie jestem ze szkła, nie stłukę się.

Zbyt przejmował się jej stanem. Tak długo już była bez niego.

– Myślę, że nie pamiętasz, jak to się robi – stwierdziła i popchnęła go na plecy. – Proszę pozwolić, abym odświeżyła panu pamięć.

– Tylko uważaj na siebie – powiedział Ramon.

– Jeśli komuś coś tutaj grozi, to tobie, mój przyjacielu. A teraz proszę zapiąć pasy. Za chwilę odlatujemy.

Później leżała przy nim wyczerpana, a ich ciała pokrywał pot. Ramon powiedział wtedy:

– W przyszłym tygodniu będę musiał wyjechać na cztery dni. Usiadła szybko.

– Och, Ramonie, tak prędko – zaprotestowała i zdała sobie sprawę, że jest zaborcza i nierozsądna.

– Będziesz dzwonił do mnie codziennie, dobrze? – zażądała.

– Postaram się o coś jeszcze lepszego. Będę w Paryżu i załatwię wszystko, byś mogła przyjechać tam do mnie. Zjemy kolację w „Laserre”.

– Byłoby wspaniale, ale co z Nickym?

– Dzieckiem zaopiekuje się Adra – zaśmiał się Ramon. – Nic mu się nie stanie, a Adra będzie mogła mieć go tylko dla siebie.

– Sama nie wiem... – powiedziała niepewnie. Myśl, by pozostawić swoje cudowne osiągnięcie chociaż na godzinę, przerażała ją.

– Tylko na jedną noc, zasłużyłaś sobie na nagrodę. Poza tym ja też cię potrzebuję.

– Och, kochanie – jego prośba wzruszyła ją.

Mleka miała bardzo dużo. Mogła wycisnąć go tyle, by wystarczyło na czas jej nieobecności.

– Oczywiście, bardzo chcę być z tobą. Masz rację. Nicky i Adra wytrzymają jedną noc beze mnie. Przylecę, jak tylko po mnie zatelefonujesz.

\*

– Ta kobieta urodziła dzieciaka miesiąc temu – generał Cicero wyszeptał ochryplym głosem. – Skąd to opóźnienie? Powinniście zakończyć tę operację natychmiast. Jej koszty przechodzą wszelkie pojęcie!

– Generał będzie łaskaw sobie przypomnieć, że koszty pokrywam z funduszy, które sam zebrałem – odparł spokojnie Ramon.

Cicero kaszlnął i zaszeleścił gazetą „France Soir”, którą miał przed nosem. Siedzieli obok siebie w przedziale drugiej klasy paryskiego metra.

Cicero wsiadł na stacji Concorde i zajął miejsce koło Ramona. Żaden z nich nie okazał, że się znają. Stukot pędzącego przez tunel pociągu uniemożliwiał podsłuchiwanie. Obaj mówiąc ukrywali twarze za otwartymi gazetami. To było rutynowe postępowanie w czasie takich krótkich spotkań.

– Nie chodzi mi tylko o koszty w rublach – parsknął Cicero. – Zajmujecie się tą sprawą prawie od roku; można by wykonać w tym czasie dużo innej pracy w departamencie.

Ramona zadziwiało to, że choroba przełożonego tak szybko postępowała. Wydawało się, że na każdym spotkaniu Joseph Cicero jest coraz mizerniejszy. Zostało mu już niewiele, raczej miesiące niż lata.

– Ten okres pracy będzie nam przynosić korzyści przez lata, przez całe dziesięciolecie.

– Praca – prychnął Cicero. – Mieszanie łyżeczką w garnku miodu. Jeśli to jest

praca, to jak zdefiniujecie przyjemność, markizie? I dlaczego przekładacie zakończenie sprawy z miesiąca na miesiąc?

– Jeśli ta kobieta ma mieć dla nas jak największą wartość, bardzo ważne jest, aby przywiązała się do dziecka, zanim przejdziemy do następnego etapu.

– Kiedy to nastąpi? – naciskał Cicero.

– To już nastąpiło. Owoc dojrzał, aby go zerwać. Wszystko jest tak, jak być powinno. Potrzebuję pana pomocy przy podjęciu ostatecznej decyzji. Dlatego wybrałem Paryż.

Cicero skinął głową.

– Proszę kontynuować – zachęcił go.

Ramon mówił cicho przez pięć minut. Cicero słuchał, nie przerywając komentarzami i stwierdził z niechęcią, że plan nie miał słabych punktów. Znowu musiał przyznać, że wybór Ramona na jego następcę był trafny, pomimo uprzedzeń jakie przedtem do niego żywił.

– Bardzo dobrze – powiedział w końcu. – Ma pan na to moją zgodę. I na pana prośbę będę nadzorował zakończenie tej sprawy.

Cicero złożył gazetę i wstał, gdy pociąg metra wjechał na stację Bastille. Kiedy drzwi się otworzyły, wyszedł na peron i ruszył, nie oglądając się.

Zawiadomienie z Uniwersytetu Londyńskiego przyszło w tym samym dniu, w którym wyjechał Ramon. Był to list ekspresowy, a na kopercie znajdowało się godło uniwersytetu.

*Rektor oraz pracownicy wydziału Uniwersytetu Londyńskiego mają zaszczyt zawiadomić panią Isabelłę Courtney o nadaniu jej stopnia doktora filozofii.*

Isabella natychmiast zatelefonowała do Weltevreden. Różnica czasu pomiędzy Malagą a Kapsztadem była niewielka i Shasa właśnie zakończył grę w polo. Miał na sobie jeszcze buty i bryczesy, a telefon odebrał w gabinecie na dole.

– Ale bomba! – wykrzyknął, gdy mu powiedziała. Takie nietypowe zachowanie ojca było dla Isabelli dowodem na to, że naprawdę był zachwycony. – Kiedy odbędzie się uroczystość, kochanie?

– Nie wcześniej niż w czerwcu albo w lipcu. Będę musiała zostać tu do tego czasu – to była wymówka, której szukała.

– Oczywiście – zgodził się Shasa. – Przyjadę do ciebie.

– Ależ, tato, to tak daleko.

– Nonsens, pani doktor Courtney. Za nic na świecie nie darowałbym sobie tego. Twoja babka prawdopodobnie zechce jechać ze mną.

Ta perspektywa nie przerażała zbytnio Isabelli. Stwierdziła, że może to być najlepsza okazja do przedstawienia ojcu i Nanie Ramona i Nicky'ego. Centaine Courtney-Malcomess poza swoim domem, gdzie panowała otoczona splendorem i tradycją Weltevreden, nie budziła już takiego strachu.

Bardziej niż czegokolwiek pragnęła teraz podzielić się radością ze swojego osiągnięcia z Ramonem, ale on nie zatelefonował tego wieczoru ani nawet następnego dnia. W czwartek rano prawie już oszalała ze zmartwienia. To było takie niepodobne do Ramona; zwykle telefonował każdego dnia, którego nie spędzali razem.

Kiedy telefon w końcu odezwał się, Isabella była w małej kuchni i kłóciła się zajadłe z Adrą o to, ile ząbków czosnku należy użyć do paelli.

– Wbiłabyś sobie nadzienie w żyły, gdybyś tylko mogła! – krzyknęła już płynnym hiszpańskim.

– Robimy paellę, a nie duszoną baraninę z cebulą – obstawała przy swoim Adra.

Wtedy zadzwonił telefon. Isabella upuściła łyżkę z brzękiem i przewróciła krzesło w korytarzu, pędząc, by go odebrać.

– Kochanie, tak się martwiłam. Nie mogłam się doczekać.

- Przepraszam, Bellu.
- Łagodny ton głosu Ramona uspokoił ją i zaczęła się dopytywać:
- Kochasz mnie jeszcze?
- Przyjedź do Paryża, to ci udowodnię.
- Kiedy?
- Teraz. Zarezerwowałem dla ciebie bilet na lot Air France o jedenastej. Możesz go odebrać na lotnisku. Będziesz tu o drugiej.
- Gdzie się spotkamy?
- W „Plaza Athenee”. Mamy tam apartament.
- Psujesz mnie.
- Nie bardziej niż na to zasługujesz.

Wyszła z mieszkania natychmiast. Ale lot do Francji opóźnił się czterdzieści minut. W Paryżu ludzie zajmujący się bagażem pracowali zgodnie z przepisami, więc prawie godzinę czekała wściekła, aż pojawiła się jej walizka. Mineła już piąta po południu, kiedy taksówka zatrzymała się na Avenue Montaigne przed elegancką fasadą „Plaza Athenee”.

Sądziła, że Ramon będzie czekał w wyłożonym marmurami i lustrami holu i gdy weszła przez szklane drzwi obrotowe, rozejrzała się dokoła. Nie było go tutaj. Nie zwróciła uwagi na chudą postać, siedzącą w jednym z połączonych, obitych brokatem foteli naprzeciwko recepcji. Mężczyzna podniósł głowę z nielicznymi białymi włosami i przez chwilę obserwował ją dziwnie nieruchomymi, czarnymi jak smoła oczami. Potem zakasłał ochryple i ponownie zajął się gazetą, którą miał w ręku. Isabella zdecydowanym krokiem podeszła do lady.

- Zatrzymał się u państwa markiz de Santiago y Machado. Jestem jego żoną.
- Chwileczkę, madame – recepcjonista w uniformie sprawdził listę gości i potrząsnął głową.
- Przykro mi, markizo. Markiz w tej chwili u nas nie mieszka.
- Może wpisał się jako pan Machado.
- Obawiam się, że nie. Nie mamy nikogo o tym nazwisku. Isabella poczuła się niepewnie.
- Nie rozumiem. Rozmawiałam z nim dziś rano.
- Będę sprawdzał dalej – obiecał.

Skonsultował się z kolegą, przyjmującym wpisy i wrócił prawie w tej samej chwili.

- Pani męża nie ma u nas i nie zrobiono żadnej rezerwacji.
- Widocznie się spóźnia – stwierdziła Isabella starając się opanować. – Czy mogę wynająć pokój?
- Wszystkie miejsca są zarezerwowane – rozłożył ręce w przeproszającym geście.
- Jest wiosna, pani rozumie. Bardzo mi przykro, markizo. Paryż jest przepełniony.
- Mąż na pewno jest w drodze – stwierdziła Isabella z uśmiechem. – Czy mogę zaczekać na niego tu, na galerii?
- Oczywiście, markizo. Kelner przyniesie pani kawę i wszystko, czego pani sobie życzy, a portier przechowa bagaż.

Gdy szła w stronę długiej galerii, która teraz, w porze koktajli, była miejscem spotkań le tout Paris, białowłosa mężczyzna podniósł się z fotela. Poruszał się ociężale, krokiem słabego i chorego człowieka, ale Isabella w swojej konsternacji nawet nie spojrzała w jego stronę. Cicero wyszedł na ulicę, gdzie odźwierny zatrzymał dla niego taksówkę, która zawiozła go na rue Grenelle.

Ostatni odcinek drogi do ambasady rosyjskiej pokonał pieszo; strażnik przy biurku rozpoznał go natychmiast.

Z biura attache wojskowego na drugim piętrze wykręcił numer do Malagi.

– Kobieta czeka w hotelu – szepnął ochryplym głosem. – Nie wróci wcześniej niż jutro w południe. Można działać zgodnie z planem. Kilka minut przed siódmą recepcjonista odszukał Isabelle na galerii.

– Ktoś odwołał rezerwację, markizo, i mamy dla pani pokój. Już wysłałem tam pani bagaż.

Chciała go ucałować, ale zamiast tego wręczyła mu sto franków napiwku.

Z pokoju zadzwoniła do mieszkania w Maladze. Miała nadzieję, że Ramon zostawił Adrze jakąś wiadomość, skoro z ich planów nic nie wyszło.

Sygnal telefonu zabrzmiał sto razy, ale nikt nie podniósł słuchawki. To naprawdę ją zaalarmowało. Adra powinna tam być; telefon znajdował się w holu, tuż obok drzwi do sypialni. Isabella dzwoniła do niej jeszcze dwukrotnie tej nocy, za każdym razem bezskutecznie.

– Telefon jest popsuty – powiedziała do siebie z przekonaniem, ale w nocy prawie nie zmrużyła oka.

Gdy tylko otwarto biura rezerwacji biletów lotniczych, załatwiła bilet na powrót do Malagi i pomimo zmartwienia udało jej się przespać całą godzinę podczas lotu. Mineło już południe, kiedy wylądowali na lotnisku w Maladze. Wysiadła z taksówki przed domem i zataszczyła torbę do drzwi wejściowych. Palcami drżącymi z wysiłku i zdenerwowania trafiła w końcu kluczem w zamek.

Mieszkanie było dziwnie ciche, a jej głos zabrzmiał donośnie od progu.

– Adra, wróciłam. Gdzie jesteś?

Biegąc do Adry, zajrzała również do kuchni. Pokój był pusty, więc ruszyła po schodach na górę i zatrzymała się nagle przed otwartymi drzwiami do swojego pokoju.

Łóżeczko Nicky’ego nadal stało w alkwie naprzeciwko okna. Nie było w nim jednak prześcieradeł, poduszek i koców, tego wspaniałego kompletu, który przysłał jej Michael. Stolik obok łóżeczka, na którym stał zwykle pluton żołnierzyków, misiów i królików Nicky’ego oraz bohaterów Disneya, był także pusty.

Podeszła do drzwi prowadzących na taras i wyjrzała na zewnątrz. Wózka też nie było.

– Adra! – krzyknęła i usłyszała w swoim głosie wysoki ton trwogi. – Gdzie jesteś? – Pobiegła do innych pokoi. – Nicky! Moje dziecko! O Boże, proszę. Dokąd zabrałaś Nicky’ego?

Znalazła się z powrotem w dużym pokoju obok pustego łóżeczka.

– Nie rozumiem – szepnęła. – Co się stało?

Wiedziona nagłym impulsem odwróciła się i wysunęła szuflady, w których trzymała ubranka Nicky’ego. Były puste. Wszystkie jego pieluszki, koszulki i śpioszki zniknęły.

„Szpital – zaszlochała. – Coś musiało się stać z moim dzieckiem!”

Zbiegła po schodach i chwyciła za telefon; zamarła, widząc kopertę przyklejoną do widełek. Rzuciła słuchawkę i rozerwała przesyłkę. Ręce trzęsły się jej tak, że z ledwością rozróżniała słowa napisane na kartce papieru wyrwanej z notesu.

Od razu poznała charakter Ramona i poczuła zdradliwą ulgę, która Mineła od razu, gdy przeczytała list:

*Nicholas jest ze mną. Na razie jest bezpieczny. Jeśli chcesz go jeszcze zobaczyć, musisz stosować się ściśle do tych poleceń. Nie rozmawiaj z nikim w Maladze. Natychmiast opuść to mieszkanie i wracaj do Londynu. Skontaktuje się z tobą ktoś na Cadogan Square. Nikomu nie mów o tym, co się wydarzyło, nawet twojemu bratu Michaelowi. Bezwarunkowo trzymaj się tych instrukcji. Twoje nieposłuszeństwo będzie miało tragiczne konsekwencje dla Nicky’ego. Możesz nigdy go już nie zobaczyć. Zniszcz ten list. R.*

Nogi się pod nią ugięły, osunęła się przy murze i usiadła na podłodze. Nic nie rozumiała.

– Moje dziecko – wyszeptała. – Mój mały Nicky. Potem jeszcze raz przeczytała na głos te straszne słowa:

*Twoje nieposłuszeństwo będzie miało tragiczne konsekwencje dla Nicky'ego. Możesz nigdy go już nie zobaczyć.*

Ręka trzymająca list opadła na kolana; Isabella wlepiła wzrok w ścianę.

Czuła się tak, jakby odebrano jej cały świat. Była teraz tak pusta i bez znaczenia jak ta ściana z cegieł przed nią.

Nie wiedziała, jak długo tak siedziała, ale w końcu największym wysiłkiem woli się podniosła. Opierając się o ścianę, stanęła na nogach. Ponownie wdrapała się po schodach do sypialni i podeszła do szafy Ramona. Otworzyła szarpnięciem drzwi i zobaczyła, że ona też jest pusta. Nie było nawet wieszaków. Zrezygnowana sięgnęła do komody – wszystkie szuflady były puste. Ramon niczego nie pozostawił.

Wróciła do alkowy Nicky'ego, poruszając się jak ktoś, kto przeżył wybuch bomby; była ogluszona, ruchy miała nieskoordynowane. Uklękła przy pustym łóżeczku.

– Moje dziecko – szepnęła. – Co oni ci zrobili?

Zobaczyła, że coś wsunęło się pomiędzy materac a drewniane barierki. Wyjęła to i trzymała oburącz. Klęczała przed łóżeczkiem, jakby to był ołtarz, a ona miała w dłoniach sakrament. Ścisnęła bucik Nicky'ego, skrawek miękkiej wełny z niebieską atłasową wstążką jako sznurowadłem do wiązania na jego pulchnej różowej nóżce. Podniosła go do twarzy i wdychała zapach swojego syna.

Dopiero wtedy popłynęły łzy. Płakała z gorzką rozpaczą, która odebrała jej siły i krańcowo ją wyczerpała. Tymczasem taras i sypialnię wypełniły już wieczorne cienie. Z trudem doczołgała się do podwójnego łóżka i zwinęła w kłębek. Zasnęła, przyciskając wełniany bucik do policzka.

Było jeszcze ciemno, kiedy się obudziła. Leżała długą chwilę, czując jak coś złego ją obezwładnia; nie znała pochodzenia i przyczyny tego uczucia. Nagle wszystko wróciło. Zerwała się z łóżka i rozejrzała z przerażeniem.

List Ramona leżał na stoliku obok. Wzięła go do ręki i przeczytała ponownie, wciąż próbując zrozumieć.

– Ramon, mój kochany, dlaczego nam to robisz? – wyszeptała. Potem, posłuszna instrukcjom, zniosła list do łazienki i stojąc nad muszlą klozetową porwała go na drobne kawałki. Wrzuciła je do środka i spuściła wodę. Wiedziała, że każde słowo wyrzyło się w jej pamięci na zawsze; nie potrzebowała ani nie chciała zatrzymywać tej budzącej grozę kartki papieru.

Wzięła prysznic, ubrała się, zjadła grzanekę i wypła kubek kawy. Nie czuła żadnego smaku. Jej usta były jakby wyparzone wrzątkiem.

Następnie zabrała się za dokładne przeszukiwanie mieszkania. Zaczęła od pokoju Adry. Jednak po Adrze Olivares nie pozostał ani jeden ślad, nie było ani strzępka ubrania, ani doniczki, ani tubki po maści czy kosmetykach w łazience, ani jednego włosa na poduszce w jej łóżku.

Potem poszła do pokoju dziennego i do kuchni; znowu nic nie znalazła, z wyjątkiem wypożyczonych mebli, naczyń i resztek jedzenia w lodówce.

Udała się na górę do sypialni. Za szafką Ramona był mały sejf w ścianie, ale stalowe drzwiczki były uchylone, a wewnątrz puste. Świadectwo chrztu i papiery związane z adopcją Nicky'ego zniknęły także.

Usiadła na łóżku i próbowała myśleć logicznie, szukając przyczyn tego szaleństwa. Bez końca rozpatrywała każdą możliwość. Doszła do jednego wniosku: Ramon musi być w poważnych tarapatkach. Z pewnością ma to związek z tą tajną

stroną jego życia. Była przekonana, że został zmuszony siłą do opuszczenia jej i zabrania Nicky'ego. Rozumiała, że musi zrobić wszystko co w jej mocy, by pomóc im, Ramonowi i Nicky'emu, dwóm najważniejszym istotom w jej życiu. Wiedziała, że musi postępować zgodnie z poleceniami Ramona. Zależało od tego ich bezpieczeństwo i, być może, życie. Ale nie mogła tego tak zostawić. Musi dowiedzieć się czegoś więcej; najmniejsza nawet informacja może mieć dużą wartość.

Opuściła mieszkanie i zeszła na dół. Po przeciwnej stronie ulicy była mała piekarnia, a w ciągu spędzonych tutaj miesięcy Isabella zaprzyjaźniła się z żoną właściciela. Właśnie odsłaniała ona żaluzje w oknie sklepowym, gdy do niej przybiegła.

– Tak – powiedziała żona piekarza. – Po pani wyjeździe w czwartek Adra poszła z Nickym w wózku w kierunku plaży i wróciła tuż przed zamknięciem sklepu. Widziałam, jak wchodziła do mieszkania, ale później już ich nie zobaczyłam.

Isabella szła ulicą, zatrzymując i wypytując wszystkich handlarzy, których sklepiki znajdowały się poblizu. Niektórzy widzieli, jak Adra i Nicky wracali w czwartek wieczorem do domu, ale nikt ich później nie spotkał. Jej ostatnią deską ratunku był mały pucybut na rogu przy parku. Ramon zawsze pozwalał mu czyścić buty i dawał o wiele za duże napiwki. Był jednym z ulubieńców Isabelli na ulicy.

– Si, señora – wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu, przykucnięty przy swoim pudełku. – We czwartek pracowałem do późnej nocy, bo było kino i lunapark. O dziesiątej widziałem markiza. Przyjechał w czarnym samochodzie z dwoma mężczyznami. Zostawili auto w parku i poszli na górę.

– Jak wyglądali tamci dwaj, chico? Znasz ich? Widziałeś ich wcześniej?

– Nigdy. Ci dwaj to byli policjanci według mnie. Duże kłopoty. Nie lubię policjantów. Wszyscy poszli na górę i wszyscy szybko wrócili. Mieli walizki, duże walizki. Adra z nimi. Niosła małego Nico; wsiedli do samochodu i odjechali. To wszystko. Już ich potem nie widziałem.

Słowa chłopca potwierdziły to, co Isabella podejrzewała: że Ramon działał pod przymusem. Zdała sobie sprawę, iż jedynym wyjściem dla niej było trzymanie się poleceń z listu Ramona. Wróciła do mieszkania i zaczęła się pakować. Niepotrzebną już odzież ciężową zostawiła na podłodze sypialni, a jej inne ubrania zajęły tylko dwie walizki.

Kiedy otworzyła szufladę, w której trzymała kosmetyki oraz zdjęcia synka zbierane od dnia jego narodzin, stwierdziła, że zniknęły wraz z kopertą zawierającą negatywy. Świadomość, że nie ma niczego, co by przypominało jej o dziecku, żadnej fotografii ani pamiątki poza małym wełnianym bucikiem, była dla niej szokiem.

Powlokła walizki na dół po schodach i wpakowała je do mini. Potem przeszła na drugą stronę ulicy, do żony piekarza.

– Gdyby mój mąż wrócił i pytał o mnie, proszę mu powiedzieć, że pojechałam do Londynu – poprosiła.

– A co z Nico? Dobrze się pani czuje, señora! – na twarzy kobiety malowało się współczucie.

Isabella uśmiechnęła się do niej szeroko.

– Nico jest z moim mężem. Wkrótce spotkam się z nimi w Londynie.

– Muchas gracias por su ayuda, senora. Adios.

\*

Droga na północ nie miała końca. Każde wydarzenie, wszystkie fragmenty tych kilku ostatnich dni, odkąd widziała swojego syna po raz ostatni, wciąż stawały jej przed oczami, aż w końcu poczuła, że powoli zaczyna odchodzić od zmysłów.



Na promie płynącym po kanale La Manche opuściła zatłoczony salon i wyszła na pokład. Dzień był zimny i szary, północny wiatr niszczył stroje elegantów, obryzgując je fontannami wody. Wiatr i rozpacz sprawiły, że Isabella poczuła dotkliwy chłód, aż zaczęła się trząść mimo ocieplanego skafandra. Rozbolały ją nabrzmiałe piersi, zeszła więc na dół i w damskiej toalecie odciągnęła mleko, które powinno być przeznaczone dla jej syna.

„Och, Nicky, Nicky!” – załkała cicho, wyrzucając tłusty, kremowy płyn do muszli klozetowej i znowu wyobraziła sobie jego małe usta na swoich sutkach, jego zapach i dotyk na jej piersiach.

Zacząła płakać, lecz ogromnym wysiłkiem woli się opanowała.

„Tracisz kontakt z rzeczywistością – ostrzegła samą siebie. – Musisz być silna. Nie możesz się poddać. Dla dobra Nicky’ego musisz być silna. Koniec z płaczem i rozpaczą”.

Padał deszcz, kiedy przyjechała na Cadogan Square, W mieszkaniu było zimno i nieprzyjemnie. Rozpakowując się myślała o obietnicy, jaką dała ojcu.

Nagle rzuciła sukienkę, którą trzymała w rękach, i pobiegła do pokoju dziennego.

– Międzynarodową, chcę zamówić rozmowę z Kapsztadem w Afryce Południowej.

O tej porze nocy czekała niecałe dziesięć minut, zanim usłyszała dźwięk podnoszonej słuchawki po drugiej stronie. Odebrał jeden ze służących i gdy otworzyła usta, by poprosić ojca, poczuła ostre, pełne grozy ukłucie.

*Twoje nieposłuszeństwo będzie miało poważne skutki dla Nicky’ego.*

Odłożyła słuchawkę nic nie mówiąc i z rezygnacją postanowiła czekać na zapowiadany kontakt.

Przez sześć dni nic się nie wydarzyło. Ani razu nie opuściła mieszkania, bojąc się oddalić od telefonu. Do nikogo nie zadzwoniła, nie rozmawiała z nikim oprócz gospodyni. Próbowała zająć się czytaniem i oglądaniem telewizji. Niepewność powiększała jej rozpacz. Patrzyła na kartki książki i na migający ekran telewizora, ale słowa i obrazy nie docierały do niej. Tylko udręka była prawdziwa. Strata przesłoniła jej wszystko inne. Pozostał jedynie ból.

Z trudem zmuszała się do jedzenia i po trzech dniach straciła pokarm.

Schudła, a włosy, które tak podkreślały jej urodę, stały się matowe. W ściągniętej bólem twarzy podkrążone oczy wydawały się większe, a złota opalenizna znad Morza Śródziemnego zmieniła barwę na żółtawą, jak skóra chorego na malarię.

Czekała, to oczekiwanie stało się torturą. Każda godzina była nieznośną wiecznością. Szóstego dnia telefon zadzwonił. Chwyciła go z pośpiechem, zanim dzwonek odezwał się drugi raz.

– Mam wiadomość od Ramona – powiedziała kobieta, której akcent był trudno uchwytny, prawdopodobnie środkowoeuropejski. – Masz wyjechać teraz, natychmiast. Jedź taksówką na skrzyżowanie Royal Hospital Road i Embankment. Idź wzdłuż Embankment w stronę Westminsteru. Ktoś pozdrowi cię imieniem Czerwona Róża. Rób, co ci każą. Powtórz teraz instrukcje.

Isabella była posłuszna.

– Dobrze – powiedziała kobieta i odwiesiła słuchawkę.

Isabella nie przeszła nawet stu kroków na Embankment nad Tamizą, gdy Minęła ją niczym nie wyróżniająca się ciężarówka. Zatrzymała się, a gdy Isabella zrównała się z samochodem, drzwi się otworzyły i ukazała się kobieta w średnim wieku; była ubrana w szary kombinezon i siedziała w środku na bocznej ławce.

– Czerwona Róża – powiedziała, a Isabella poznała, że to z nią rozmawiała przez telefon. – Wsiadaj!

Isabella szybko wskoczyła do samochodu i zajęła miejsce na ławce naprzeciwko

kobiety. Zatrzasnęła drzwi i ciężarówka od razu ruszyła.

Z tyłu samochodu nie było żadnych okien ani otworów, tylko wywietrznik w dachu nad głową. Nie mogła wyrzeć na zewnątrz, próbowała więc zorientować się, któredy jada, na podstawie zakrętów i miejsc, gdzie się zatrzymywali, ale wkrótce zupełnie się pogubiła i zrezygnowała.

– Dokąd mnie zabieracie? – zapytała kobietę.

– Proszę zachować ciszę.

Isabella dała za wygraną. Postawiła kołnierz i wsunęła ręce głęboko w kieszenie skafandra. Według jej zegarka jechali dwadzieścia trzy minuty, potem samochód znowu się zatrzymał i ktoś otworzył tylne drzwi.

Znajdowali się w garażu. Po nie pomalowanych, betonowych słupach wspierających niski dach i po wąskiej pochyłości na końcu długiego pomieszczenia poznała, że był to parking przy stacji metra.

Kobieta w szarym kombinezonie wzięła ją za ramię i pomogła zejść z ciężarówki. Dotyk jej ręki uświadomił Isabelli, jak musiała być silna.

– Tędy – rozkazała. Wciąż trzymając Isabellę za ramię poprowadziła ją do drzwi windy, które znajdowały się naprzeciwko samochodu. Mimo sprawiającego ból uścisku, Bella rozejrzała się szybko. Obok ciężarówki stało jeszcze dziesięć lub więcej samochodów; przynajmniej dwa miały dyplomatyczne tablice rejestracyjne.

Drzwi windy otworzyły się i kobieta wepchnęła ją do środka. Spojrzenie na tablicę kontrolną upewniło Isabellę, że nie myliła się w swoich przypuszczeniach. Podświetlony wskaźnik pięter pokazywał, że znajdowały się w suterenie. Kobieta nacisnęła guzik na trzecie piętro i jechały w milczeniu. Gdy winda się zatrzymała, zmuszono ją do wyjścia na korytarz z korkową podłogą. Po drodze nie spotkała nikogo, a wszystkie drzwi były zamknięte.

Kiedy doszły do końca, drzwi przed nimi się otworzyły. Jeszcze jedna kobieta o słowiańskich rysach twarzy, ubrana również w szary kombinezon, poprowadziła je do miejsca, które było albo małą salą wykładową, albo prywatnym kinoteatrem. Dwa rzędy wygodnych foteli ustawiono przed estradą i ekranem, który zakrywał całą ścianę.

Isabellę doprowadzono do fotela na środku pierwszego rzędu.

– Siadaj – powiedziała kobieta i pchnęła Isabellę na miękkie, zimne siedzenie.

Obie kobiety stanęły z tyłu. Przez kilkanaście minut panowała cisza. Potem otworzyły się drzwi po prawej stronie sceny i pojawił się na niej mężczyzna. Poruszał się ociężale, krokiem słabego, chorego człowieka. Jego siwe włosy o żółtawym odcieniu opadały mu na czoło i na uszy. Twarz była blada, pokryta zmarszczkami i naznaczona wiekiem oraz cierpieniem, więc Isabella przez chwilę mu współczuła, dopóki nie spojrzała w jego oczy. Poznała je i wstrząsnęła się ze wstrętem. Płynęła kiedyś z ojcem łodzią rybacką po Black River. Shasa łowił na błyszczkę przy skale oceanicznej w cieniu Le Morne Brabant, na wyspie Mauritius, gdy trafił na rekina. Po dwugodzinnej walce wyciągnął go na pokład. Jego pysk przebił deski, a Isabella przechyliła się przez barierkę i spojrzała mu w oczy. Były czarne i bezlitosne, bez wyraźnie wyodrębnionych tęczęwek i źrenic. Takie same oczy wpatrywały się w nią teraz. Wstrzymała oddech pod tym bezwzględny, uważnym spojrzeniem. Niespodziewanie usłyszała głos. Był niski i charczący. Musiała przechylić się nieco do przodu, by zrozumieć słowa.

– Isabella Courtney, od tej chwili przestajemy używać tego nazwiska. Będą się do ciebie zwracać i sama masz o sobie mówić Czerwona Róża. Zrozumiałaś?

Skinęła głową w odpowiedzi, bojąc się, że głos ją zawiedzie. Zaciągnął się trzymany w palcach papierosem. Odezwał się znowu przez chmurę wypuszczonego dymu.

– Mam dla ciebie wiadomość na kasecie wideo – zszedł ze sceny i usiadł w fotelu w najbardziej odległym od niej rzędzie. Gdy zajął miejsce, światła nad ich głowami powoli zgasły. Usłyszała cichy szum aparatury elektronicznej, a potem ekran rozblysnął światłem. Ukazał się na nim biały pokój. „To musi być laboratorium albo sala operacyjna” – zdecydowała.

Na środku znajdował się stół, a na nim naczynie ze szklanymi ścianami, przypominające akwarium z egzotycznymi rybkami w sklepie zoologicznym.

Naczynie było napełnione wodą prawie po brzegi. Obok leżała elektroniczna aparatura i różne przyrządy medyczne. Rozpoznała maskę tlenową, mały model, odpowiedni dla niemowląt i dzieci.

Jakiś człowiek w białym fartuchu pracował przy stole. Stał odwrócony plecami do kamery, nie widać więc było jego twarzy. Gdy się odwrócił, zobaczyła, że miał na sobie czepek i maskę chirurgiczną.

Zaczął mówić obojętnym głosem, a akcent wskazywał na środkowoeuropejskie pochodzenie. Zwracał się wprost do Isabelli.

– Miałaś nie rozmawiać z nikim ani w Maladze, ani nigdzie. Umyślnie złamałaś ten rozkaz – patrzył na nią zimnymi oczami.

– Przepraszam – odpowiedziała, jakby mógł ją słyszeć. – Tak się bałam. Nie mogłam...

– Cisza! – syknęła jedna z siedzących z tyłu kobiet. Czyjaś ręka spoczęła na ramieniu Isabelli, a palce wbiły się w jej ciało tak mocno, że skrzywiła się z bólu. Człowiek na ekranie mówił dalej.

– Zapowiedziano, że twoje nieposłuszeństwo będzie miało poważne konsekwencje dla twojego syna. Zdecydowałaś się zignorować ostrzeżenie. To, co za chwilę zobaczysz, to pierwsze ostrzeżenie, które ma cię przekonać, że musisz poważnie traktować polecenia.

Wykonał gest w stronę kogoś, kto znajdował się poza zasięgiem kamery i jakaś postać pojawiła się na ekranie. Nie można było odgadnąć, czy to kobieta, czy mężczyzna, gdyż również nosiła czepek i maskę chirurgiczną, która zakrywała całą twarz i głowę, z wyjątkiem wąskiego paska na oczy. Długi kitel sięgał poniżej kolan i był wpuszczony w białe gumowe buty.

– To jest wykwalifikowany lekarz, który będzie nadzorował przebieg doświadczenia – wyjaśnił.

Postać niosła na ręku zawiniątko. Dopiero kiedy położyła je na stole obok zbiornika i gdy spod warstwy okrywających je materiałów wysunęła się naga nóżka, Isabella zrozumiała, że było to dziecko. Szybkimi ruchami rąk doktor rozwinął zawiniątko i kamera pokazała w zbliżeniu Nicky’ego, gdy leżał nagi na stole i wierzgał nóżkami w powietrzu, a jego gaworzenie słychać było w całym pokoju.

Isabela włożyła palce do ust i zacisnęła mocno zęby, żeby powstrzymać okrzyk.

Lekarz przyłożył do piersi dziecka dwie przyssawki. Odchodziły od nich cienkie druciki, które doktor połączył i wetknął do elektronicznego aparatu, po czym uruchomił go. Cyfrowe napisy na ekranie zapaliły się na zielono, a narrator objaśniał obojętnym tonem:

– Zarejestrujemy oddech i bicie serca dziecka. Doktor spojrział znad swojego urządzenia i skinął głową. Drugi mężczyzna przeszedł dookoła stołu i stanął przed kamerą.

– Nazywasz się Czerwona Róża – powiedział ze szczególnym naciskiem. – W przyszłości będziesz wypełniała wszystkie polecenia otrzymane na ten kryptonim.

Pochylił się, wziął obie kostki nóg Nicky’ego w rękę i uniósł je. Nicky ze zdziwienia wydał pisk, zwisając głowę w dół jak mały, pozbawiony skrzydeł nietoperz.

– Za chwilę ujrzysz konsekwencje swego nieposłuszeństwa.

Trzymał dziecko głową w dół nad szklanym naczyniem. Nicky wygiął się, próbując unieść główkę, machał rączkami i zaciskał pięści, płacząc ze strachu. Mężczyzna powoli opuścił go do wody i płacz nagle się urwał. Zobaczyli w zbliżeniu przez szybę zbiornika twarz dziecka pod powierzchnią wody. Film oddawał wszystko we właściwych barwach.

Isabella wrzasnęła dziko i próbowała zerwać się z fotela. Dwie kobiety chwyciły ją z tyłu i zmusiły, by usiadła z powrotem.

Na ekranie Nicky szamotał się rozpaczliwie. Jego twarz pod wodą była wykrzywiona, srebrne bąbelki wydobywały się z nozdrzy. Buzia zdawała się puchnąć i ciemnieć.

Isabella wciąż jeszcze krzyczała i walczyła z dwoma kobietami, gdy na ekranie lekarz spojrzął szybko znad monitora rejestrującego pracę serca i powiedział ostro po hiszpańsku:

– Stop! Wystarczy, towarzyszu!

Mężczyzna natychmiast wyjął dziecko ze zbiornika. Woda ściekała z nosa i otwartych ust Nicky'ego, który przez kilka chwil nie mógł wydobyć z siebie dźwięku poza głośnym sapaniem.

Mężczyzna położył go na stole, a lekarz nałożył na spuchniętą buzię dziecka maskę tlenową i naciskał klatkę piersiową palcami, aby przywrócić mu regularny oddech. W ciągu minuty elektroniczny wskaźnik pokazywał już powrót do normy, a ruchy Nicky'ego stały się silniejsze. Krzyczał z przerażenia i złości, a jego głos był coraz mocniejszy.

Doktor zdjął maskę i odszedł od stołu. Skinął na mężczyznę, który ponownie chwycił Nicky'ego za kostki i umieścił nad zbiornikiem. Dziecko chyba wiedziało, co je czeka. Wrzeszczało coraz przeraźliwiej i wiło się w uścisku.

– To mój syn! – krzyknęła Isabella. – Nie wolno... nie możecie tego zrobić mojemu dziecku!

Mężczyzna ponownie włożył główkę dziecka do zbiornika, a Nicky walczył z całych sił. Ten szalony wysiłek wyczerpywał jego drobne ciało, woda wylewała się z naczynia, a buzia znowu szybko zmieniała kolor.

Isabella krzyknęła:

– Dość! Zrobię wszystko, czego zażądacie, tylko przestańcie torturować moje dziecko! Proszę! Proszę!

Lekarz znowu interweniował krótkim ostrzeżeniem, a gdy tym razem wyciągnięto Nicky'ego z wody, jego ruchy były słabsze. Krztusił się, z wykrzywionych ust zaczęła wylewać się woda zmieszana z wymiocinami, srebrna wydzielina spływała mu z rozszerzonych nozdrzy.

Doktor pracował szybko, widać było, że jest zdenerwowany; powiedział coś do drugiego mężczyzny. Ten spojrzął do kamery, jakby prosto w oczy Isabelli.

– Niewiele brakowało, a pomyliliśmy się w obliczeniach. Przekroczyliśmy granicę bezpieczeństwa.

On i doktor pochylili ku sobie głowy i rozmawiali tak cicho, że Isabella nie mogła zrozumieć słów. Potem mężczyzna zwrócił się znowu do Isabelli.

– Na tym na razie zakończymy tę demonstrację. Naprawdę ufam, że nie będziesz musiała być świadkiem następnej. Byłaby to dla ciebie prawdziwa udręka, gdybyś musiała oglądać amputację kończyn dziecka bez znieczulenia, a w końcu jego uduszenie się przed kamerą. Oczywiście, to zależy od ciebie i od tego, w jakim stopniu zechcesz z nami współpracować.

Ekran znowu był pusty, a w zaciemnionej sali panowała cisza, którą zakłócało tylko łkanie Isabelli. Trwało to kilka chwil. Gdy się w końcu uspokoiła, światła

powoli rozjaśniły salę i Joseph Cicero stanął przed nią.

– Zapewniam cię, że dla nikogo z nas udział w takim widowisku nie jest szczególnie przyjemnością. Postaramy się uniknąć tego w przyszłości.

– Jak on mógł to zrobić? – wyszeptała załamana Isabella. Nie była w stanie podnieść się z fotela. – Jak człowiek może robić coś takiego dziecku?

– Powtarzam, to jest konieczne, ale nie sprawia nam to przyjemności. To twoja wina, Czerwona Różo. To twoje nieposłuszeństwo było powodem tego kłopotu.

– Kłopotu! Czy tak nazywacie torturowanie niewinnego...?

– Panuj nad sobą – ostrzegł ją Cicero ostrym głosem. – Dla dobra dziecka panuj nad swoim zachowaniem.

– Przepraszam – zniżyła głos Isabella. – To się nie powtórzy. Tylko proszę, nie krzywdźcie już Nicky'ego.

– Jeśli będziesz współpracować, twój syn nie będzie musiał cierpieć. Jest pod opieką wykwalifikowanej pielęgniarki. Ma zapewnioną bardziej profesjonalną opiekę, niż gdyby był z tobą. Później otrzyma najlepsze wykształcenie, jakie można sobie wyobrazić.

Isabella spojrzała na niego z przerażeniem.

– Mówi pan tak, jakby odebrano mi go na zawsze, jakbym już nigdy nie miała zobaczyć mojego dziecka.

Cicero zakasłał, pokręcił głową, próbując złapać oddech, i wyszeptał ochryple:

– Nie, Czerwona Różo. Będziesz mogła widywać się ze swoim synem. Na początku będziesz regularnie otrzymywać raporty o jego rozwoju, a także filmy wideo: jak pierwszy raz siada bez niczyjej pomocy, jak zaczyna chodzić.

– Och, nie! – szepnęła. – Nie możecie trzymać go z dala ode mnie tak długo. To potrwa miesiące.

Cicero kontynuował, jakby nic nie powiedziała.

– Później będziesz mogła co roku przebywać z nim jakiś czas. Możliwe, że kiedyś, w przyszłości, jeśli twoje zachowanie będzie satysfakcjonujące, będziesz mogła spędzać nawet tygodnie w towarzystwie syna.

– Nie – wydusiła z siebie łkając. – Nie możecie być tak okrutni i rozdzielić nas.

– Kto wie, niewykluczone, że kiedyś będziemy mogli znieść wszystkie restrykcje i pozwolić wam na swobodne kontakty. Aby to było możliwe, musicz zasłużyć sobie na nasze zaufanie i wdzięczność.

– Kim jesteście? – zapytała zduszonym głosem. – Kim jest Ramon Machado? Myślałam, że znam go tak dobrze, a nie znałam go wcale. Gdzie jest Ramon? Czy on też jest częścią tego potwornego...? – głos Isabelli się załamał i nie mogła mówić dalej.

– Musicz przestać myśleć w ten sposób. Nie wolno ci próbować dowiedzieć się, kim jesteśmy – ostrzegł ją Cicero. – Ramon Machado jest pod naszą kontrolą. Nie spodziewaj się od niego pomocy. Dziecko należy również do niego. Podlega tym samym ograniczeniom co ty.

– Co mam robić? Czego ode mnie oczekujecie? – zapytała Isabella.

Cicero skinął głową z zadowoleniem. Istniało pewne prawdopodobieństwo, że ta kobieta okaże się nieprzejednana i nie uda się jej podporządkować. Raport psychiatryczny zwracał uwagę na taką możliwość, ale Cicero nigdy w to nie wierzył. Haczyk, na który ją złapali, był ostry i dojmująco kolczasty. Nawet gdyby dziecko umarło, znajdą zastępstwo, by nadal mieć ją na tym haczyku. Nie, oczekiwał, że będzie wypełniała ich wolę i nie zawiódł się.

– Po pierwsze, Czerwona Różo, muszę złożyć ci gratulacje z okazji doktoratu. Ułatwi ci on pracę dla nas.

Isabella wpatrywała się w mężczyznę. Trudno jej było natychmiast przenieść się

myślami z tego przerażającego świata tortur i szpiegów do prozaicznego zastanawiania się nad jej studiami i tytułami naukowymi. Musiała się skoncentrować, by nadążać za tym, co mówił ten człowiek.

– Wrócisz do Kapsztadu i do swojej rodziny, jak tylko załatwisz na uniwersytecie odebranie dyplomu in absentia, rozumiesz? Isabella skinęła głową, wciąż nie mając odwagi się odezwać.

– Po powrocie do domu zaczniesz bardziej interesować się tym, czym zajmuje się twoja rodzina. Masz starać się doprowadzić do tego, by ojciec nie mógł się bez ciebie obejść. Będziesz jego asystentką i zaufaną we wszystkim, szczególnie w sprawach dotyczących jego nowej posady jako prezesa korporacji zbrojeniowej. Co więcej, zaczniesz aktywnie interesować się polityką Afryki Południowej.

– Mój ojciec daje sobie sam radę. Nie potrzebuje mnie.

– Mylisz się, Czerwona Różo. Twój ojciec to bardzo samotny i w gruncie rzeczy nieszczęśliwy człowiek. Nie ma z żadną kobietą trwałego związku uczuciowego, z wyjątkiem twojej babki, a jego matki, Centaine Courtney-Malcomess i ciebie, jego córki.

– Chcecie, abym wykorzystywała własnego ojca? – szepnęła, a nowe przerażenie pojawiło się w jej oczach.

– Za życie twojego syna – zgodził się spokojnie Cicero. – Ojcu nic się nie stanie, ale twój syn będzie narażony na niebezpieczeństwo, o ile nie będziesz współpracować.

Isabella wyjęła z torebki chusteczkę i wydmuchała nos, po czym stwierdziła ze spokojem:

– Chcecie, abym zdobyła i wykorzystywała zaufanie ojca, uzyskała informacje na temat programu rozwoju przemysłu zbrojeniowego i przekazała je wam?

– Szybko się uczysz, Czerwona Różo. Ale to nie wszystko. Będziesz wykorzystywać kontakty ojca z południowoafrykańskim reżimem dla swojej własnej kariery politycznej w partii Afrykanerów.

Potrząsnęła głową.

– Nie bardzo nadaję się do polityki.

– Teraz już się nadajesz – zaprzeczył jej Cicero. – Masz doktorat z nauk politycznych, a ojciec wprowadzi cię do salonów władzy. Znowu zaprotestowała:

– Mój ojciec jest na politycznym bocznym torze. Postawił na niewłaściwego konia, gdy John Vorster doszedł do władzy w Afryce Południowej. Dlatego zesłano go tutaj na stanowisko ambasadora; został skazany na polityczne zapomnienie.

– Twój ojciec oczyścił się z winy dzięki swej pracy tu, w Londynie. Wskazuje na to jego wybór na stanowisko prezesa Armscoru. Przewidujemy, że wkrótce powróci na wysokie stanowiska w partii. Sądzymy, że jest bardzo prawdopodobne, iż w ciągu dwóch lat zostanie ponownie członkiem gabinetu. Ty, Czerwona Różo, wjedziesz na jego plecach. Za dwadzieścia lat sama możesz zostać ministrem w rządzie RPA.

– Dwadzieścia lat! – Isabella powtórzyła z niedowierzaniem. – Czy tak długo mam być waszym niewolnikiem?

– Wciąż nie rozumiesz? – zapytał Cicero, kręcąc głową. – Pozwól, że ci wyjaśnię. Należycie do nas, Czerwona Różo, ty, twój kochanek Ramon Machado i wasz syn, na zawsze.

Przez wiele minut Isabella patrzyła nie widzącym wzrokiem na pusty ekran, myśląc o tym, jak trudne życie jest przed nią.

Joe Cicero przerwał milczenie. Jego głos był niemal delikatny.

– Teraz zostaniesz odwieziona. Zostawią cię tam, skąd cię zabrali, na Embankment. Wykonuj rozkazy, a kiedyś zobaczysz, że jest to korzystne dla ciebie i twojego syna.

Dwie kobiety pomogły jej wstać i odprowadziły do drzwi.  
Gdy wyszła, otworzyły się boczne drzwi do sali i wszedł Ramon Machado.  
– Widział pan wszystko? – zapytał Cicero, a Ramon skinął głową.  
– Gratuluję – mruknął niechętnie. – Dobrze pan to rozegrał. Ta operacja może przynieść nam wiele korzyści. Jak się czuje dziecko?  
– Nic mu nie jest. On i pielęgniarka dotarli już do Hawany. Joe Cicero zapalił następnego papierosa, zakasłał i usiadł ciężko w jednym z foteli.  
„Może – pomyślał – może będę mógł przekazać departament w dobre ręce”.

Niewiele brakowało, by Amber Joy się zgubił. Wszyscy to widzieli. Wyczuwalne napięcie wisiało w powietrzu nad polem zawodów. Południowoafrykańskie mistrzostwa psów myśliwskich odbywały się u podnóża Kabonkel Berg w zachodniej części posiadłości Weltevreden. Po dwóch dniach zawodów pozostały już tylko cztery psy. Polowały na kaczki krzyżówki, hodowane w Weltevreden i umieszczone na polu pod ścisłą kontrolą sędziów.

„To już pewnie ostatnie polowanie, na którym można używać krzyżówek” – pomyślał z żalem Shasa Courtney. Zwolennicy ochrony przyrody podnosili straszny krzyk, że część ptaków ucieka na wolność, gdzie są one nie lada atrakcją dla miejscowych kaczek o żółtych dziobach. „Powietrzni Don Juani” – uśmiechnął się.

Potomstwem, będącym owocem tych zabronionych związków, były mieszańce, więc Ministerstwo Ochrony Środowiska wydało zakaz wypuszczania kaczek krzyżówek, który wchodził w życie z końcem miesiąca. Teraz trzeba będzie używać gołębi z kolorowymi pierścieniami wokół szyi lub perliczek; wszyscy byli z tego powodu zmartwieni. Te ziemne ptaki nie bardzo nadawały się do polowań na wodzie.

Shasa Courtney całą uwagę skierował na Ambera Joya, najgroźniejszego przeciwnika ich psa, który miał szansę zdobyć po raz pierwszy puchar dla Weltevreden. Był to wspaniały żółty labrador. Jego ojciec, amerykański samiec, został mistrzem trzy razy z rzędu. Dotychczas wszystkie biegi kończył szybko i pomyślnie. Tym razem szczęście go opuściło. Kaczka pomknęła z klatki prosto ku grobli. Garry Courtney i Shasa stanęli na polu z bronią, ponieważ obaj byli doskonałymi strzelcami. Krzyżówka uciekała w lewo, w stronę Garry’ego; pozwolił jej oddalić się na pięćdziesiąt jardów i trafił ją tak czysto, że zwinęła skrzydła i upadła głową do przodu jak kamikadze. Spadła w pobliżu szuwarów, pośród lilii wodnych i nie pokazała się już więcej. Prawdopodobnie zaplątała się w korzenie roślin znajdujących się pod powierzchnią błotnistej, brązowej wody.

Sędzia wywołał numer Ambera Joya, a Bunty Charles, właściciel i treser psa, wypuścił go. Widzowie stłoczyli się na murze grobli, aby lepiej widzieć, a Amber skoczył do wody i popłynął tam, gdzie zniknął ptak. Zmylił jednak drogę i trafił powyżej tego miejsca; stąd krew mogła nieść się po wodzie dzięki słabemu prądowi, wywołanemu przez wpływającą tu rzekę i południowo-wschodni wiatr, marszczący powierzchnię.

Teraz Amber Joy robił w szuwarach koła na wodzie, od czasu do czasu zanurzając łeb pod powierzchnię, ale za każdym razem wypływał z pustym pyskiem, nieco dalej od miejsca utonięcia kaczki.

Jego wysiłki powodowały konsternację na brzegu. Bunty Charles przestępował z przejęcia z nogi na nogę. Gdyby zagwizdał i skierował psa we właściwe miejsce, straciłby kilka punktów. A i tak nie miał pewności, że wtedy ją znajdzie.

Z drugiej strony, kończył mu się czas. Trzej sędziowie już zaczęli wpatrywać się w stopery. Amber Joy był w wodzie przeszło trzy minuty.

Bunty Charles rzucił pełne niepokoju spojrzenie na następnego tresera i psa w kolejce. Centaine Courtney-Malcomess i Dandy Lass z Weltevreden były jego

najgroźniejszymi rywalkami. Do tej pory on i Amber Joy wyprzedzali je, ale tylko dziesięcioma punktami. Jeśli teraz im się nie powiedzie, na pewno stracą z trudem wywalczone prowadzenie.

Centaine Courtney również była bardzo przejęta. Nie miała takiego doświadczenia jak Bunty, który brał udział w zawodach od trzydziestu lat. Zainteresowała się tym sportem niedawno, ale skoncentrowała na nim całą swoją ogromną energię. Dandy Lass była potomkiem mistrzów, miała długie, smukłe nogi i złotą sierść. W jej tresurze zwracano uwagę na szybkość, zabierano na polowania, dlatego była silna i muskularna, w przeciwieństwie do ciężkich psów pokazowych, tresowanych tradycyjnym sposobem.

Dandy Lass wchodziła w najgęstsze poszycie, do najzimniejszej wody i radziła sobie tam doskonale. Miała bardzo czuły węch, potrafiła więc wyczuć najślabszy zapach piór w powietrzu, a do tego była niezwykle inteligentna.

Ona i Centaine porozumiewały się niemal telepatycznie. Kobieta stała wyprostowana i zupełnie nieruchoma, a twarz miała spokojną, jednak była bardzo podekscytowana; Dandy Lass przejęła to napięcie od swej pani. Sędziowie zauważaliby i zanotowali każdy gest lub słowo reprimendy. Dandy Lass siedziała jak na rozpalonych węglach. Jej puszysty zad ledwo dotykał ziemi, a nieznaczące ruchy bioder na szczęście jeszcze nie wywoływały gniewu sędziów i nie kończyły się przyznaniem karnych punktów. Wycie i szczekanie powodowały natychmiastową dyskwalifikację. Dandy z trudem powstrzymała się, by nie dać głosu, gdy przyglądała się poszukiwaniom Ambera Joya. Całe jej ciało drżało z ochoty, a tłumione wycie przerodziło się w pomruk, kiedy oczekiwała na swoją kolej. Co kilka sekund spoglądała błagalnym wzrokiem na Centaine, prosząc o pozwolenie na start.

Shasa obserwował matkę z miejsca dla strzelców. Jak zwykle budziła w nim ogromny podziw. Centaine Courtney-Malcomess zaczęła siedemdziesiąty rok życia w ostatni Nowy Rok. Otrzymała imię pierwszego dnia dwudziestego wieku, a wciąż była szczupła i wyprostowana jak nastolatka.

„Któż inny mógłby włożyć spodnie od Chanel na polowanie? – uśmiechnął się. – A do tego buty zrobione ręcznie ze skóry strusia u Hermesa w Paryżu?”

Sama wychowała Shase od niemowlęcia, ponieważ jego ojciec zginął we Francji jeszcze przed przyjściem syna na świat. To ona znalazła pierwszy diament, który zapoczątkował bajeczną kopalnię H'ani. Przez trzydzieści lat zawiadywała nią i rozwijała imperium finansowe, które miało stać się Courtney Enterprises. Mimo że fotel prezesa przeszedł na Shase, a następnie na jej wnuka Garry'ego Courtneya, Centaine nadal regularnie brała udział w posiedzeniach zarządu. Każde jej słowo, które wówczas wypowiadała, każda myśl były przyjmowane z ogromną uwagą i szacunkiem. Wszyscy członkowie rodziny, od Shasy do dzieci Garry'ego, odnosili się z ogromną czcią do Centaine Courtney. Była jedyną osobą, której polecenia Bella Courtney wykonywała bez żadnych dyskusji i pytań.

Stała teraz z gołą głową w ten wiosenny dzień na Przylądku, a promienie słońca igrały w jej włosach.

Były one szczególnie dumą Centaine, gęste, grube i wciąż kręcone, przystrzyżone krótko, miały kolor stali, gdzieś tam zmieszany z czystą platyną.

Podbródek nosiła wysoko i zawsze była czujna.

Lata nie zniszczyły jej urody, lecz nadały wyraz dostojnego spokoju.

Być może czas wysuszył tę skórę bez skazy, ale nie mógł naruszyć mocnej linii podbródka, zarysu kości policzkowych i wysokiego, inteligentnego czoła. Nie przyćmił też wzroku; jej oczy nadal mogły w jednej chwili błysnąć wściekłością okrutnego drapieżnika, a w następnej skrzyć się humorem i emanować mądrością.

„Do diabła, co za kobieta – pomyślał Shasa. – Tak samo głodna zwycięstwa jak



pięćdziesiąt lat temu”.

Jeden z sędziów krótko zagwizdał, a rozczarowany Charles opuścił ramiona. Amber Joy przegrał i teraz go odwoływano. Bunty Charles zawołał psa. Amber Joy posłusznie zawrócił ku brzegowi i po chwili wynurzył się z wody. Otrząsnął się, a następnie, ku przerażeniu właściciela i rozbawieniu widzów, podniósł jedną nogę i strugą moczu oblał najbliższy krzak. Była to lakoniczna wypowiedź Ambera Joya na temat kaczki, szuwarów i sędziów. Taki przejaw lekceważenia reguł z pewnością spowoduje przyznanie punktów karnych. Ale Amber Joy był wcieleniem nonszalancji, gdy szedł drobnymi krokami do swojego pana, wywiesiwszy język i machając nasiąkniętym wodą ogonem.

Dandy Lass ledwo mogła usiedzieć w miejscu. Drżała na całym ciele. Wiedziała, że pobiegnie następna i z trudem powstrzymywała się, by pozostać przy nodze pani. Nie patrząc na nią, Centaine użyła całej swojej telepatycznej mocy, by zapanować nad suką. Sędziowie sadyistycznie rozkoszowali się przedłużającym się oczekiwaniem, udając, że konsultują się ze sobą i zapisują coś, ale w rzeczywistości sprawdzając Dandy Lass. Gdyby teraz nie wytrzymała, od razu by odpadła; skomlenie albo szczeknięcie drogo by ją kosztowało.

„Łobuzy – myślała gorzko Centaine. – Nienawidzę was wszystkich. Wypuście moją maleńką. No, puście ją!”

Ciche, przerywane skomlenie wyrwało się Dandy, jakby ropucha została zaatakowana przez rój pszczół pod kocem; Centaine stała nadal bez ruchu, wysunęła tylko w dół, ku butom swój palec wskazujący, a Dandy zdusiła w sobie następny dźwięk.

Sędzia główny spojrział znad notatek.

– Dziękuję, numer trzy! – zawołał przez wodę, a Centaine powiedziała ostro:

– Bierz! – i Dandy Lass poszła jak ciśnięty pewną ręką oszczep.

Kiedy dotarła do wody, odbiła się mocno i z wdziękiem skoczyła, jakby była zaprawiona w biegach terenowych; trafiła o trzy kroki dalej, gdzie już nie było zarośli. Wynurzyła się i popłynęła przed siebie. Centaine spojrzała z dumą – tylko prawdziwy champion potrafi w taki sposób wejść w kontakt z wodą.

Dandy Lass poruszała się niczym wydra, prześlizgując się po powierzchni i pozostawiając za sobą szeroki ślad w kształcie litery V na falach. Po chwili duma Centaine przemieniła się w zimne przerażenie, gdy zdała sobie sprawę, że Dandy popełnia ten sam błąd, który wyeliminował Ambera. Długie oczekiwanie spowodowało, że teraz zgubiła się i płynęła pod wiatr i pod prąd, ku miejscu, w którym straci zapach ptaka.

Przez chwilę Centaine zastanawiała się, czy nie zdecydować się na kilka punktów karnych za ponowne nakierowanie suki na cel. Jeśliby Dandy znalazła kaczkę, nawet z jej pomocą, wciąż byłaby lepsza niż Amber Joy, ale potrzebowali każdego punktu, żeby zwyciężyć, a Centaine już czuła smak zwycięstwa. Stała bez ruchu, a gwizdek wisiał na jej szyi.

Dandy chciała zbliżyć się do ofiary na jedną stopę i zrobiła koło przy brzegu, ale dzieliły ją od niej jeszcze trzy stopy. Tam, gdzie Amber Joy zanurzył się i minął ptaka, Dandy Lass zatrzymała się i bijąc łapami wodę, obejrzała się na swą panią.

Centaine celowo sięgnęła lewą ręką do kieszeni spodni. Nawet najostrzejszy sędzia o sokolim wzroku nie mógłby uznać tak nieznacznego ruchu za sygnał, ale Shasa go zrozumiał.

„Staruszka nic się nie zmieniła – pokręcił głową, uśmiechając się – wszystko, żeby tylko wygrać, każda broń jest dobra, a jedyny grzech to dać się złapać”.

Dandy Lass natychmiast skrzyła w lewo, ustawiła się z prądem i przebiegała mocno łapami, a po chwili uniosła nos, czując ptaka. Zrobiła jeszcze jedno okrążenie,

kierując się coraz silniejszym zapachem krwi; wypatrzyła krzyżówkę i zanurzyła łeb w zimnej brunatnej wodzie.

Pomruk uznania rozległ się na brzegu, gdy wypłynęła na powierzchnię z kaczką w pysku.

Skierowała się z powrotem ku brzegowi, zostawiając za sobą ślad strzałki na wodzie. Ptaka trzymała zgrabnie, skrzydła miała złożone, niosła go wysoko, aby nie wlec po powierzchni. Gdy jej łapy dotknęły gruntu, skoczyła na brzeg. Nie zatrzymała się nawet, by otrząsnąć się z wody. Nie traciła ani sekundy, niosła zdobycz.

Kiedy zatrzymała się i usiadła przed swoją panią, Shasa poczuł ucisk w gardle, a wzrok zmacił mu się nieco.

„To jest piękne – pomyślał. – Takie zrozumienie między kobietą i psem”.

Centaine wyjęła ptaka z pyska Dandy, a kolorowe łaty na jego skrzydłach zaślniły się w słońcu jak szafiry.

Wręczyła kaczkę sędziemu, który obejrzał ją uważnie, szukając śladów zębów lub jakichś innych nieprzepisowych uszkodzeń, a Centaine wstrzymała oddech. Wreszcie sędzia spojrzał na nią znowu i skinął głową.

– Dziękuję, numer trzy.

Centaine Courtney-Malcomess nie tylko udostępniła miejsce na zawody, ale pełniła również honory gospodyni podczas uroczystości wręczania nagród.

Duży namiot w pasy, który mógł pomieścić pięciuset gości, został rozbity na głównym polu golfowym w posiadłości, a z kuchni Weltevreden donoszono olbrzymie tace z wybornymi daniami. Homar został złowiony przez łodzie należące do Courtney Fishing and Canning Company w Lambert's Bay; indyk pochodził z Weltevreden; soczystą baraninę sprowadzono z hodowli owiec Courtneyów na równinach Camdeboo w Karu; natomiast wino pochodziło z winnic zaczynających się tam, gdzie kończyło się pole golfowe, za namiotem.

Premier John Vorster zgodził się wręczać nagrody. Był to owoc intryg Centaine, którymi zajmowała się całymi latami, aluzja skierowana do świata, a mówiąca o tym, że Courtneyowie nie są już politycznymi outsiderami, że dni ich wygnania dobiegły końca.

Shasa należał do tej frakcji w gabinecie Yerwoerda, która sprzeciwiła się objęciu urzędu premiera przez Johna Vorstera, w konsekwencji czego został skazany na polityczną banicję. Ale w ciągu lat, które spędził w Londynie, jego matka użyła całej swojej finezji i talentu, by doprowadzić do rehabilitacji syna w partii. Oczywiście to, że jego kadencja w Londynie była tak ewidentnym triumfem, dopomogło w tych wysiłkach. Niemniej jednak posada w Armscorze była przede wszystkim zasługą Centaine, jej niestrudzonego wspierania go, niepogodzenia się z porażką i śmiałego korzystania z wszystkich politycznych i finansowych wpływów dla dobra syna.

Według niej obecność Johna Vorstera w posiadłości Weltevreden oznaczała początek nowej złotej ery dla Courtneyów.

„Jego okrągła, czerwona twarz jest wschodzącym słońcem naszych nadziei i aspiracji” – stwierdziła z satysfakcją Centaine, rozglądając się po zatłoczonym namiocie.

Znowu zebrali się tu, w Weltevreden, ci, którzy korzystali z władzy, i ci, którzy ją posiadali. Mimo że nikt z nich nie był tak niemądry i nierozsądny, żeby obrazić ją bezpośrednio czy spisać zupełnie na straty, w czasie pobytu Shasy w Londynie nastąpiło ochłodzenie stosunków.

„Niektórzy odsunęli się bardziej niż inni – pomyślała Centaine ze stalowym błyskiem w oku, szukając ich wzrokiem w tłumie i zapamiętując. – Teraz zima naszych niepowodzeń skończyła się, zaczęło się lato pełne chwały” – pomyślała z ogromną satysfakcją.

Jakby dla potwierdzenia jej rozważań prezes South African Kennel Union powstał i poprosił o ciszę z dalekiego końca namiotu. Po powitaniu premiera i kilku minutach rozważań na temat zawodów, prezes zaczął wywoływać zdobywców nagród, a rząd błyszczących, srebrnych trofeów kurczył się, aż pozostało tylko jedno na środku pokrytego zielonym rypsem, ale było ono największe i najbardziej ozdobne ze wszystkich, z figurką przedstawiającą psa myśliwskiego na wierzchołku.

Doszliśmy wreszcie do championa polowania – prezes rozejrzał się z promiennym uśmiechem po namiocie, aż dojrzał Centaine stojącą w otoczeniu rodziny.

– Z ogromną przyjemnością chciałbym prosić po raz pierwszy na podium kobietę, która w ciągu kilku krótkich lat, odkąd zainteresowała się naszym sportem, wniosła do niego tyle energii i entuzjazmu, iż jej wkład dorównuje, a w wielu wypadkach przewyższa osiągnięcia tych, którzy przez całe życie trenują psy. Panie i panowie, mam zaszczyt powitać panią Centaine Courtney-Malcomess oraz Dandy Lass z Weltevreden.

Isabella czekała z Dandy Lass na smyczy przed namiotem i teraz wprowadziła ją, a gdy tłum bił brawa, wręczyła smycz babce.

Dandy Lass była przykryta kocykiem w kolorze żonkili, a w jednym z rogów wyhaftowany był znak Centaine – stylizowany srebrny diament. Stała tuż obok swojej pani, a gdy ta ruszyła ku podium, szła za nią krok w krok.

W tłumie rozległ się śmiech i aplauz. Kobieta i suka tworzyły wytworną, dobrze zgraną parę; Dandy Lass wysunęła język i machała z radości ogonem. Na podium Dandy Lass zatrzymała się przed premierem i na polecenie Centaine podała mu prawą łapę. Tłum był zachwycony, gdy premier pochylił się, żeby ją uściskać.

Gdy prezes wręczył Centaine ogromne srebrne trofeum, premier uśmiechnął się do niej. Jak na człowieka słynącego z bezwzględnej siły i niewzruszonej woli, jego uśmiech był chłopięcy, rozjaśniający niebieskie oczy mężczyzny.

Podał rękę zwyciężczyni i pochylił się ku niej, by jego słowa usłyszała tylko ona.

– Czy te nieustanne sukcesy we wszystkim, co robicie, nie wydają się tobie i twojej rodzinie nieco monotonne, Centaine? – zapytał. Zaczęli sobie mówić po imieniu dopiero jakiś rok wcześniej.

– Staramy się dzielnie to znosić, wujku Johnie – odparła z powagą.

Premier złożył krótkie i szczerze gratulacje, a potem krążył po namiocie jak wytrawny gracz polityczny. Uśmiechając się i podając dłoń dotarł w końcu do tej części namiotu, w której królowała Centaine.

– Jeszcze raz gratuluje, Centaine. Żałuję, że nie mogę zostać dłużej i pomóc ci uczcić zwycięstwo – powiedział spoglądając na zegarek.

– Jestem wdzięczna, że poświęciłeś nam swój cenny czas – zapewniła go Centaine. – Ale zanim wyjdiesz, chciałabym ci przedstawić moją wnuczkę, której dotąd nie poznałeś – skinęła na Isabellę, krążącą w pobliżu. – Isabella zajmowała się w Londynie domem Shasy.

Gdy Isabella się zbliżała, Centaine przyglądała się uważnie ostrym rysom twarzy premiera. Wiedziała, że nie był kobieciarzem, gdyż nigdy nie mógłby osiągnąć tak wysokiej pozycji, jeśliby porzucił swe surowe, kalwińskie zasady. Ale mimo że od trzydziestu lat był szczęśliwym mężem, nie przestał być mężczyzną, a żaden mężczyzna nie mógł pozostać obojętny, gdy po raz pierwszy widział Isabellę Courtney. Centaine zauważyła, że wyraz twarzy premiera nagle się zmienił i że szybko ukrył ten dowód zainteresowania za swoim groźnym spojrzeniem.

Centaine i Isabella planowały to spotkanie, odkąd Bella zadziwiła Centaine i Shasę oświadczając, iż chce wejść na polityczną arenę.

– Przejdzie jej to – przewidywał Shasa, ale Centaine pokręciła głową.

– Bella się zmieniła. Coś zaszło w jej życiu, odkąd wyjechała z tobą do Londynu. Pojechała tam jako roztrzepana, zepsuta panienska...

– Och, daj spokój, mamó! – Shasa stanął w obronie swojej ukochanej córki, ale Centaine kontynuowała, nie zważając na ten protest.

– ...a wróciła jako dojrzała kobieta. Zauważyłam jednak jeszcze coś więcej. Jest teraz jak ze stali. We wszystkim ma głos. I to nie koniec... – wahała się, szukając właściwego określenia. – Porzuciła swoją romantyczną wizję życia; jakby coś odkryła, jakby spotkała ją jakieś cierpienie i nauczyła się nienawidzić, jakby przeszła jakiś straszny kryzys i uzbroiła się na to, co ją jeszcze czeka.

– To do ciebie niepodobne, żeby tak puszczać wodze wyobraźni – zaśmiał się Shasa, ale matka obstawała przy swoim.

– Zapamiętaj moje słowa. Bella odnalazła swoje miejsce i będzie tak twarda i bezwzględna jak każdy z nas.

– Ale na pewno nie aż tak twarda i bezwzględna jak ty, mamó?

– Możesz sobie żartować, Shaso Courtney, ale czas pokaże, że miałam rację.

Centaine zapatrzyła się gdzieś. Shasa wiedział, że twarz matki przybiera taki wyraz, kiedy jest niezwykle skoncentrowana. Mówił wtedy, że ma „knujące oczy”. Po chwili jej spojrzenie wróciło do normy.

– Ona zajdzie daleko, Shaso, prawdopodobnie dalej, niż nam się śniło – a ja jej w tym pomogę.

Tak więc Centaine doprowadziła do tego spotkania i teraz stwierdziła, że Isabella zachowuje się z taką pewnością siebie, jakiej się po niej spodziewała.

– Jak się pani podobały angielskie zimy? – zapytał Vorster, najwyraźniej oczekując banalnej odpowiedzi, ale Isabella powiedziała:

– Warto było je znosić, żeby tylko móc poznać Harolda Wilsona i mieć wiadomości z pierwszej ręki na temat stosunku labourzystowskiego rządu do nas wszystkich w Afryce Południowej.

Wyraz twarzy Vorstera zmienił się, gdy zdał sobie sprawę, że za tą śliczną buzią kryje się umysł. Zniżył głos i przez kilka minut rozmawiali po cichu. Po chwili Centaine wtrąciła się znowu.

– Isabella właśnie otrzymała doktorat z nauk politycznych na Uniwersytecie Londyńskim – zauważyła, zakładając w ten sposób większą przynętę.

– Mhm – skinął głową Vorster. – Czyżby rodziła się nowa Helen Suzman? – przypomniał jedyną kobietę w parlamencie RPA, najgorliwszą obrończynię praw człowieka i jedyną osobę ocierającą się o liberalizm, która była cierniem w grubej skórze zadowolonej z siebie większości parlamentarnej.

Isabella roześmiała się zduszonym, zmysłowym chichotem, na który nie pozostawał obojętny nawet najbardziej zatwardziały mizoginista, o czym się już wiele razy przekonała.

– Być może – zgodziła się. – Miejsce w parlamencie to moje największe marzenie, ale jeszcze daleko do jego spełnienia. Myślę, że nie byłabym tak naiwna jak pani Suzman, panie premierze. Moje poglądy są bardzo zbliżone do przekonań mojego ojca i babki.

To oczywiście czyniło z niej konserwatystkę; spojrzenie Vorstera stało się ostrzejsze i uważniejsze, gdy się jej przyglądał.

– Świat się zmienia, panie premierze – wtrąciła Centaine, znajdując odpowiedni moment, by się włączyć do rozmowy. – Może pewnego dnia w pana rządzie znajdzie się miejsce dla kobiety, nie uważa pan?

Vorster uśmiechnął się i lekko przeszedł z angielskiego na africaans.

– Nawet doktor Courtney zgadza się, że ten czas jeszcze nie nadszedł. Ale przyznaję, że taka ładna twarz uczyniłaby wiele, by rozjaśnić dyskusje starych,

brzydkich mężczyzn.

Zmiana języka była oczywiście sprawdzianem. Nikt, kto w Afryce Południowej ma polityczne aspiracje, nie może się obyć bez dobrej znajomości afrikaans, języka grupy dominującej politycznie.

Isabella zmieniła język z taką samą łatwością. Słownictwo miała bogate, gramatykę bardzo dobrą, a akcent ładnie dźwięczał nawet w uszach rodowitego Afrykanera.

Vorster uśmiechnął się znowu i rozmawiał z nią jeszcze kilka minut, aż w końcu spojrzał znacząco na zegarek i powiedział do Centaine:

– Muszę już iść. Czekają na mnie inne obowiązki – obrócił się do Isabelli. – Totsiens, doktor Courtney, do następnego spotkania. Z zainteresowaniem będę obserwował pani postępy.

Centaine i Shasa odprowadzili Vorstera na skraj pola golfowego, gdzie czekał służbowy samochód z kierowcą.

– Totsiens, Centaine – uściśnął dłoń gospodyni. – Gratuluję ci wychowania wnuczki. Zauważyłem u niej wiele cech, które mogła odziedziczyć tylko po tobie.

Kiedy Centaine wróciła do namiotu, rozejrzała się szybko. Isabella była już otoczona przez mężczyzn.

„Uganiają się za nią jak małe psiaki” – pomyślała Centaine i powstrzymała uśmiech, gdy spotkała się ze wzrokiem wnuczki.

Isabella opuściła adoratorów i podeszła do niej natychmiast, a Centaine ujęła ją pod rękę gestem właścicielki.

– Dobra robota, moja panno. Zachowałeś się jak stary wyjadacz. Wujek John lubi cię. Chyba jesteśmy na dobrej drodze.

\*

Tego wieczoru do kolacji przy długim stole w głównej jadalni Weltevreden zasiadła tylko rodzina. Mimo to Centaine poleciła wyjąć starą zastawę Limoges i najlepsze srebrne sztuce. Stół przystrojony żółtymi różami błyszczał w świetle świec.

Jak zwykle na rodzinnych spotkaniach kobiety były ubrane w długie suknie, a mężczyźni nosili krawaty.

Brakowało tylko Seana.

Sean został zaproszony, czy raczej Centaine go wezwała, ale był właśnie na polowaniu w Rodezji z jednym ze swoich najważniejszych klientów i przesłał pokorne przeprosiny. Centaine przyjęła je niechętnie. Chciała, żeby przybyli tu wszyscy, aby uczcić zwycięstwo jej i Dandy Lass, ale przyznawała, iż interesy są ważniejsze.

Niemiecki przemysłowiec, którego Sean był teraz przewodnikiem, zapłacił za sześćdziesiąt trzy dni polowania rocznie po pięćset dolarów za dobę. Oczywiście, jego liczne interesy w Niemczech nie pozwalały mu spędzać tyle czasu w Afryce. Miał szczęście, jeśli udało mu się przeznaczyć na to dwa tygodnie w roku. Co więcej, wykupił prawo do zabicia trzech słoni zamiast jednego. Sean musiał być do jego dyspozycji, mimo że o planowanym przyjeździe zawiadamiał go zaledwie na kilka dni wcześniej.

Centaine brakowało najstarszego wnuka. Sean był najprzystojniejszym i najdzikszym z nich trzech, a jego obecność zawsze dobrze na nią wpływała. Wydawało się, że nawet powietrze, którym oddycha, jest naładowane niebezpieczeństwem i podnieceniem. Wydostawanie go z różnych tarapatów kosztował rodzinę dziesiątki tysięcy dolarów. Chociaż zawsze głośno wyrażała niezadowolony z powodu tych wydatków, w gruncie rzeczy nie potępiała wnuka.

Bała się tylko tego, że pewnego dnia Sean posunie się za daleko i wpadnie w prawdziwe kłopoty, z których nawet Centaine nie będzie w stanie go wyratować.

Tego wieczoru nie oddawała się tak ponurym myślom.

Wielkie srebrne trofeum lśniło na środku długiego stołu. Stało na piramidzie złotych róż. Dziwne, jaką satysfakcję sprawiało jej to świecidełko. Kosztowało ją ono wiele godzin ciężkiej pracy, ale zwycięstwo sprawiło, że trud się opłacił. Zawsze taka była. Miała we krwi palącą potrzebę przewyższania innych. Przekazała tę świętą zarazę tym, których kochała.

W drugim końcu stołu Shasa zadzwonił srebrną łyżeczką w kryształową szklankę i powstał, gdy rodzina się uciszyła. Był wysoki i wytworny w swoim nienagannym smokingu i czarnym krawacie. Rozpoczął mowę, miłą, swobodną, w której dowcip i sentyment były tak zręcznie dozowane, że mógł w jednej chwili pobudzić do śmiechu, a w następnej wywołać łzy słuchaczy.

Całą uwagę wszystkich osób zwrócił na Centaine, lecz ta powędrowała myślami ku swoim wnukom, którzy pochłonięci słowami mówcy, nawet sobie nie zdawali sprawy, że babka ich ocenia.

Garry siedział po jej prawej ręce, zgodnie ze swoją pozycją w hierarchii rodzinnej. Z pokurzonego, schorowanego, źle widzącego chłopca zmienił się bez jej lub czyjejkolwiek pomocy w uosobienie siły i pewności siebie. Teraz zarządzał rodzinną fortuną, był prezesem Courtney Enterprises. Ciężar jego ciała stanowił zagrożenie dla delikatnych nóg autentycznego krzesła chippendale. Śnieżnobiała koszula opinała potężną klatkę piersiową, a nakrochmalony kołnierzyk był zbyt ciasny dla jego umięśnionej szyi. Czarne włosy sterczały mu na czubku głowy, przypominając grzebień koguta, a okulary w rogowej oprawie połyskiwały w blasku świec. Jego donośny i niepohamowany śmiech, którym witał każdy dowcip Shasy, odbijał się echem po całym pokoju; był tak zaraźliwy, że słowa ojca co chwila zebrani przerywali wybuchami radości.

Centaine skierowała teraz spojrzenie na żonę Garry'ego. Holly siedziała obok Shasy przy drugim końcu stołu. Była prawie dziesięć lat młodsza od swego męża. Centaine sprzeciwiała się temu związkowi, używając całej swojej mocy i przebiegłości. Oczywiście, nie udało jej się nie dopuścić do małżeństwa. Przyznawała teraz przed sobą, że źle postąpiła, przyjmując wówczas taką taktykę. Gdyby zachowała się inaczej, miałyby obecnie większy wpływ na Holly. Zamiast tego wzniosła w jej umyśle mur nieufności, którego być może nigdy nie uda jej się zburzyć.

Myliła się co do Holly. Okazała się doskonałą żoną dla Garry'ego. Dostrzegła w nim te cechy, których nie zauważył nikt, nawet Centaine. Doprowadziła je do rozkwitu i pielęgnowała jego poczucie własnej wartości.

W dużej mierze ona była odpowiedzialna za jego sukces. Dała mu siłę i nieustanne wsparcie. Dała mu miłość i szczęście; dała mu trzech synów i córkę.

Centaine uśmiechnęła się na myśl o tych urwisach, które spały w dziecięcym skrzydle na górze, a potem westchnęła i zmarszczyła brwi. Rezerwa, z jaką Holly odnosiła się do niej, była barierą oddzielającą ją od wnucząt. Garry i Holly mieszkali w Johannesburgu, finansowym centrum kraju, tysiąc mil od Weltevreden.

Siedziba Courtney Enterprises, podobnie jak giełda papierów wartościowych, znajdowała się w Johannesburgu. Garry był tam jednym z największych graczy; musiał być zawsze w centrum wydarzeń. Dlatego miał mnóstwo powodów, by opuścić Weltevreden wraz z żoną, ale Centaine czuła, że Holly celowo trzyma dzieci z dala od niej. Mimo że dzieliła ich odległość trzech godzin lotu samolotem przedsiębiorstwa, którym Garry uwielbiał pilotować, ostatnio Centaine rzadko widywała go z rodziną w Weltevreden. Bardzo pragnęła mieć te dzieci przy sobie, aby

móc kierować nimi, wpływać na nie, chronić i wychowywać tak jak ich ojca, ale kluczem do tego była Holly. Żeby zwyciężyć, musiała podwoić wysiłki. Teraz celowo skierowała wzrok na drugi koniec stołu i uśmiechnęła się do niej z całym ciepłem i uczuciem, jakie mogła przekazać. Holly odwzajemniła ten uśmiech. Była łagodną blondynką; jedno oko miała błękitne, drugie zadziwiająco fioletowe, co dodawało jej jeszcze szczególnego uroku.

„Sprawię, że będziesz mi jeszcze ufać i darzyć mnie sympatią – obiecała sobie w milczeniu Centaine. – Nie będziesz w stanie zbyt długo mi się opierać, mnie nie przetrzymasz. Te dzieci będą moje. Ta rodzina należy do mnie, te dzieci należą do mnie. Nie będziesz już ich przede mną ukrywała”.

Shasa powiedział coś do niej, ale była zbyt zajęta i nie dosłyszała jego słów. Wszystkie głowy przy stole obróciły się teraz ku Centaine, rozległy się entuzjastyczne brawa. Uśmiechnęła się i skinęła głową, dziękując synowi za komplement, jakkolwiek by był. Gdy wrzawa ucichła, Shasa ciągnął dalej:

– Może myśleliście sobie, widząc, jak obchodziła się dzisiaj z Dandy Lass, że był to niezwykle wyczyn. Być może tak rzecz miałaby się z każdą inną kobietą, ale ta dama stała kiedyś oko w oko z atakującym ludzi lwem, mając mnie przywiązanego rzemieniem do pleców... – Shasa powtarzał stare opowieści o niej, które stanowiły podstawę rodzinnych legend. Przypominanie ich stało się rodzinną tradycją i mimo że słyszeli to wszystko już sto razy, wszyscy zawsze świetnie się przy tym bawili.

Tylko jedna osoba przy stole wydawała się trochę zażenowana potokiem pochwał Shasy.

Centaine poczuła, że chłodny powiew zniecierpliwienia zakłóca jej atmosferę samozadowolenia. Ze wszystkich swoich wnucząt najmniej zainteresowania i ciepła miała dla Michaela. Siedział w środkowej części stołu, na najmniej znaczącym miejscu, nie tylko dlatego, że był najmłodszym z jej wnuków. Michael nie pasował do koncepcji Centaine. W jego naturze były miejsca ukryte, których jeszcze nie poznała i które z tego powodu denerwowały ją.

Nigdy nie potrafiła odsunąć Michaela od jego matki. Sama myśl o Tarze Courtney wywoływała u niej bolesny skurcz. Tara znieważyla wszystkie zasady i pojęcie moralności uznawane przez Centaine za święte. Była marksistką, żoną Murzyna, zdrajczynią i ojcobójczynią. Część uczuć ku niej Centaine przelała na tego jej syna.

Spojrzenie babki musiało być wystarczająco srogie, by Michael to wyczuł. Podniósł na nią gwałtownie oczy i zbladł pod jej wzrokiem, po czym szybko, niemal z poczuciem winy, spojrzął w drugą stronę.

Dzięki zabiegom Shasy i pomimo jej sprzeciwów rodzina nabyła kontrolny pakiet akcji spółki prasowej, do której należała między innymi gazeta „Golden City Mail”. Intencją Shasy było zapewnienie Michaelowi dobrej pozycji w wybranym przez niego zawodzie. Chciał, aby „Mail” stał się potężnym konserwatywnym głosem rozsądku, natomiast Michael, gdy już zdobył ostrogi, pragnął zostać jej wydawcą i redaktorem naczelnym. Ten dzień jeszcze nie nadszedł i Michael był wciąż tylko zastępcą redaktora. Gdyby to zależało od Shasy, awansowałby go już wcześniej. Ale zarówno Garry, jak i Centaine kontrolowali jego ojcowskie zaangażowanie. Oboje uważali, że Michael nie jest jeszcze gotowy do objęcia tego stanowiska. Jego wiedza na temat finansów i organizacji była jeszcze słaba, a poglądy polityczne naiwne, lecz prawdopodobnie nigdy nie uda się ich zmienić. To właśnie wpływ Michaela na stanowisko polityczne redakcji sprawił, że gazeta niebezpiecznie odchyliła się na lewo, co doprowadziło do tego, iż pismo straciło zaufanie nie tylko rządu, ale również establishmentu finansowego i przemysłowego – czyli tych, którzy płacili za reklamy.

Trzykrotnie już wydanie pisma było wstrzymywane dekretem rządu, a koszty wprawiały Garry’ego we wściekłość; łączyło się to również z utratą prestiżu i

wpływow, co bardzo niepokoiło Centaine.

„To nie jest prawdziwy Courtney – myślała Centaine przyglądając się jego ładnym rysom. – Nawet Bella ma w jednym palcu więcej stali niż on w całym ciele. Michael jest chwiejny i łagodny. Interesuje się obcymi i przegranymi, a nie rodziną, co jest najbardziej haniebną zdradą. Nie jest podobny do nikogo z nas, jest podobny do swojej matki. (To był jej najbardziej potępiający wyrok.) Próbował nawet przeciągnąć na swoją stronę Bellę”.

Centaine wiedziała o tym, że dwoje jej wnucząt wzięło udział w demonstracji antyapartheidowskiej na Trafalgar Square. Wywiad zrobił im zdjęcia z okien South Africa House, a do Centaine zatelefonowała z ostrzeżeniem przychylna jej osoba z rządu.

Na szczęście Centaine udało się załagodzić całą sprawę. Bella pracowała trochę dla wywiadu podczas swego namiętnego romansu z Lotharem De La Reyem. Lothar był wówczas pułkownikiem policji, a obecnie posłem i wiceministrem w ministerstwie spraw wewnętrznych. Centaine osobiście się do niego zgłosiła. Miała na niego ogromny wpływ; znała tajemnice dotyczące jego ojca i wiele innych, których Lothar mógł się jedynie domyślać. W dodatku był kiedyś zakochany w Belli i, jak podejrzewała Centaine, nie zapomniał tego uczucia.

„Dołączę do akt Isabelli pełne wyjaśnienie dotyczące jej obecności na manifestacji – zapewnił ją Lothar. – Wiemy, że jest patriotką, pracowała dla nas przedtem, ale nie mogę niczego obiecać, jeśli chodzi o Michaela, Tamie. – Lothar użył tego pełnego szacunku zwrotu, który oznaczał znacznie więcej niż »ciociu«. – Obawiam się, że Michael ma już zbyt wiele na swoim koncie”.

„Tak – pomyślała Centaine ponuro. – Michael zbiera notatki w swoich aktach jak pies pchły, a niektóre z nich przeskakują na nas wszystkich”.

W tym momencie Shasa skończył przemowę i wszyscy obrócili się wyczekująco ku Centaine. Jako mówca była równie dobra jak syn, ale w jej słowach zdarzało się więcej jadu, a w poglądach bezpośredniości. Czekali teraz na zwyczajowe fajerwerki dowcipu, ale tego wieczoru się rozczarowali.

Centaine była w niezwykle łagodnym i życzliwym nastroju. Zamiast ganić, chwaliła i doceniała każdego z nich. Garry’ego za wyniki finansowe, Isabellę za osiągnięcia naukowe, Holly za plany architektoniczne nowego, luksusowego hotelu Courtneyów na wybrzeżu Zululandu i z powodu jej zbliżających się urodzin.

– Tak mi przykro, że nie będziesz mogła zostać z nami do tego wielkiego dnia, moja droga Holly.

Nawet Michaelowi trafił się komplement, choć o wiele mniejszy, za jego najnowszą książkę.

– Niekoniecznie trzeba zgadzać się z twoimi wnioskami i propozycjami rozwiązań, drogi Mickey, aby docenić, ile twórczego myślenia i wysiłku włożyłeś w napisanie tej książki.

Kiedy poprosiła wszystkich, by powstali i wypili „za rodzinę i wszystkich, którzy się w niej znaleźli”, posłuchali jej z wielką radością. Potem Shasa podszedł do matki, podał ramię i poprowadził do błękitnego salonu, gdzie czekała na nich kawa, likiery i cygara. Centaine nigdy nie wyraziłaby zgody na wprowadzenie barbarzyńskiego zwyczaju pozostawiania mężczyzn po kolacji samych z ich cygarami. Jeśli było coś, o czym warto rozmawiać, ona też chciała wziąć udział w dyskusji.

Michael podszedł do Isabelli, gdy tylko podniosła się od stołu i podał jej ramię.

– Stęskniłem się za tobą, Bellu. Dlaczego nie odpowiadałaś na moje listy? Tak wiele chciałbym wiedzieć. Ramon i Nicky... – zobaczył, jak zmieniała się na twarzy i zareagował natychmiast.

– Czy coś się stało, Bellu?



– Nie teraz, Mickey – ostrzegła go szybko. Nie rozmawiali ze sobą od niemal sześciu miesięcy, odkąd zniknął Nicky. Nie telefonowała do niego ani nie odpisywała na listy. Co więcej, unikała sytuacji sam na sam, odkąd rano przyjechał do Weltevreden.

– Coś się wydarzyło – nalegał Michael – Uśmiechnij się – poleciła mu robiąc zadowoloną Mine. – Nie rób zamieszania. Przyjdę później do twojego pokoju. Nie zadawaj teraz żadnych pytań. – Uścisnęła go za ramię i zaśmiała się wesoło, gdy weszli do salonu i zgromadzili się wokół Centaine, która zajęła miejsce na podłużnej sofie, naprzeciwko kominka.

– Chcę, żeby moje dziewczęta były dzisiaj ze mną – zdecydowała i skinęła na Holly. – Usiądź tu, moja droga. – Następnie poklepała sofę obok siebie. – Bellu, proszę z tej strony.

Centaine rzadko robiła coś bez powodu i gdy tylko służba podała im kawę, a Shasa nalał mężczyznom koniaku, zagrała swoją mocną kartą.

– Czekałam, żeby móc to zrobić, Holly – powiedziała głosem, który zwrócił uwagę wszystkich obecnych – i myślę, że twoje urodziny to najlepsza okazja, jaką mogę znaleźć. Jesteś moją najstarszą wnuczką, więc wprowadzę dziś nową tradycję.

Centaine sięgnęła do szyi, odpięła naszyjnik i trzymała go w dłoniach – błyszczący skarb, ponad tysiąc karatów doskonałych, żółtych diamentów. Każdy z kamieni był osobiście wybrany przez Centaine Courtney z urobku jej bajecznej kopalni H'ani na dalekiej północy. Trwało to dziesięć lat, a potem Garrards w Londynie zaprojektował i wykonał ich oprawę z czystej platyny.

– Coś tak cudownego powinna nosić tylko piękna kobieta – szepnęła z żalem, a łzy, które błysnęły w jej ciemnych oczach, były szczere. – Niestety, nie spełniam już tego warunku, więc czas, bym przekazała to komuś, kto go spełnia.

Odwróciła się ku Holly.

– Noś to z radością – powiedziała i powiesiła naszyjnik na jej szyi.

Holly siedziała jak zamroczona, a wszyscy w pokoju milczeli, zdjęci grozą. Każdy z nich wiedział, ile te klejnoty znaczyły dla Centaine; zdawali sobie sprawę z tego, że miały dla niej dużo większą wartość niż dwa miliony funtów, na które wycenili je ostatnio taksatorzy Lloyda.

Holly uniosła prawą rękę, a na jej delikatnej twarzy pojawił się wyraz absolutnego niedowierzania, gdy patrzyła na to, co miała zawieszona na szyi; potem załkała, obróciła się ku Centaine i objęła ją. Obie kobiety trwały przez chwilę w uścisku, zanim Holly mogła wydobyć z siebie głos. Był cichy, przytłumiony, ale wszyscy słyszeli ją wyraźnie.

– Dziękuję, Nano.

Tylko najbliżsi członkowie rodziny nazywali tak Centaine, a Holly nigdy jeszcze tego nie zrobiła.

Centaine miała zamknięte oczy i przyciskała twarz do złotych włosów Holly, tak że nikt nie zauważył uśmiechu triumfu na jej ustach i satysfakcji w oczach pełnych łez.

\*

Kiedy Isabella wróciła do swego pokoju, zastała tam Nanny.

– Jest już po pierwszej! – zawołała. – Powiedziałam ci, żebyś na mnie nie czekała, ty niemądra staruszko.

– Czekałam na ciebie dwadzieścia pięć lat – odparła Nanny i zaczęła rozpinać jej sukienkę.

– Żle się przy tym czuję – zaprotestowała Isabella.

– Świetnie się przy tym czuję – mruknęła Nanny. – Nie jestem szczęśliwa, dopóki nie wiem, co się z tobą dzieje, panienko. Przygotuję ci kąpiel. Nie zrobiłam tego wcześniej, bo bałam się, że woda wystygnie.

– Kąpiel o pierwszej nad ranem! – Isabella z trudem odrzuciła ten pomysł. Od swojego powrotu starała się, by Nanny nie widziała jej nagiej. Oczy staruszki były zbyt bystre. Zauważyłyby te niewielkie zmiany, jakie ciąża spowodowała na jej ciele: ściemnienie i powiększenie się sutek, nieznaczną bruzdę w miejscu, gdzie naciągnęła się skóra na biodrach i podbrzuszu.

Czuła, że ta zmiana w jej zachowaniu zaczyna budzić podejrzliwość Nanny, więc aby odwrócić jej uwagę, powiedziała:

– No, uciekaj stąd, Nanny. Idź ogrzej łóżko Bossiemu. Nanny spojrzała zaskoczona.

– Kto opowiada ci takie rzeczy!

– Nie jesteś jedyną osobą, która wie, co się dzieje w Weltevreden – stwierdziła Isabella radośnie. – Staruszek Bossie interesował się tobą od lat. Najwyższy czas, byś się nad nim zlitowała. To dobry człowiek. – Bossie był kowalem w posiadłości, a zaczął pracować jako uczeń trzydzieści pięć lat temu. – Idź i poklep mu kowadło.

– Nie bądź wulgarna – prychnęła Nanny. – Prawdziwa dama tak nie mówi. – Usiłowała ukryć zmieszanie pod maską surowości, ale wycofała się, a Isabella westchnęła z ulgą, gdy drzwi się za nią zamknęły.

Poszła do łazienki i szybko usunęła makijaż, zostawiła sukienkę na oparciu sofy, by Nanny zajęła się nią rano, i zarzuciła jedwabny szlafrok. Przewiązała się w pasie, przeszła przez sypialnię i zatrzymała z ręką na klamce.

„Co ja powiem Michaelowi?”

Gdyby zadała sobie to pytanie trzy dni wcześniej, odpowiedź byłaby prosta, ale od tamtej pory sytuacja się zmieniła. Dostała tę paczkę.

Ostatnią informację od Josepha Cicero otrzymała na dzień przed wyjazdem z Londynu na Przylądek Dobrej Nadziei. Zatelefonował do niej na Cadogan Square, gdy się pakowała.

– Czerwona Różo – natychmiast rozpoznała jego charczący głos i sapanie, które jak zwykle napełniły ją przerażeniem i niechęcią. – Dam ci twój adres kontaktowy. Korzystaj z niego tylko w pilnej potrzebie. To pewny kontakt, nie musisz niczego sprawdzać. Telegram albo list do Hoffmana, adres Mason's Agency, 10 Blushing Lane, Soho, trafi do mnie. Naucz się tego na pamięć, nie zapisuj.

– Zapamiętałam – szepnęła Isabella.

– W drodze do domu wynajmij skrytkę pocztową w miejscu nie związanym z Weltevreden. Użyj fikcyjnego nazwiska i wyślij do mnie informację na Blushing Lane, kiedy to zrobisz. Czy wszystko jasne?

Kilka dni po przyjeździe do Weltevreden Isabella pojechała przez Constantiaberg Pass do rozległego przedmieścia Camps Bay na atlantyckim wybrzeżu półwyspu. Tutejszy urząd pocztowy był wystarczająco odległy od Weltevreden, by nikt jej nie rozpoznał. Wynajęła skrytkę na nazwisko pani Rose Cohen i wysłała list polecony na Blushing Lane z jej numerem.

Codziennie, wracając z biura w Centaine House w centrum Kapsztadu, sprawdzała, czy nie ma listu w skrytce. Jeździła przez przesmyk pomiędzy Signal Hill a górą okrężną drogą, wiodącą drugą stroną Góry Stołowej ku Weltevreden. Mimo że skrytka stale była pusta, nie zmieniała trasy.

Gryzła się brakiem wiadomości o dziecku. Codzienne czynności i obowiązki wydawały się jakąś grą. Mimo że całą energię skoncentrowała na pracy jako asystentka Shasy, wysiłek ten nie okazał się narkotykiem, choć miała taką nadzieję.

Rozdawała uśmiechy, jeździła konno z Naną, a w weekendy grała w tenisa lub

pływała na jachcie z przyjaciółmi. Pracowała i bawiła się, jakby nic się nie zmieniło, ale to wszystko było udawaniem.

Noce były długie i samotne. Wówczas postanawiała opowiedzieć ojcu ze szczegółami o sieci, w którą się dostała, ale potem w świetle dnia pytała samą siebie: „Co może zrobić ojciec? Jak ktokolwiek może mi pomóc?” I przypominała sobie spuchniętą twarz i srebrne bąbelki wydobywające się z nosa synka, gdy tonął; wiedziała, że nie zaryzykuje, by nigdy więcej nie dopuścić do tego.

W dziwny sposób upływ czasu nie złagodził bólu po stracie, raczej jątrzył rany, a brak wiadomości o Nickym wzmagił jej cierpienie, które z każdym dniem stawało się coraz trudniejsze do zniesienia w samotności.

Potem dowiedziała się, że Michael przyjedzie z Johannesburga do Weltevreden na polowanie i wydawało jej się to ogromnym szczęściem. Michael był idealnym powiernikiem. Nie oczekiwała od niego niczego więcej, jak tylko tego, by dzielił z nią cierpienie i pomógł w dźwiganiu straszliwego ciężaru, z którym do tej pory musiała radzić sobie sama.

W piątek przed przyjazdem Michaela pojechała przez przesmyk Camps Bay i zaparkowała samochód na ulicy za pocztą. Wróciła powoli i przyglądała się rzędom małych stalowych skrzynek pocztowych w głębi holu. Była prawie szósta po południu i poczta główna była już dawno zamknięta. Para nastolatków pieściła się w rogu, ale spłoszyli się i uciekli z poczuciem winy, gdy na nich spojrzała. Isabella zachowywała ostrożność i nigdy nie podchodziła do skrytki, nie otwierała jej, jeśli w pobliżu był ktoś obcy.

Obejrzała się, by mieć pewność, iż jest sama i włożyła klucz do zamka w małych stalowych drzwiczkach w piątym rzędzie. Była zaskoczona, ponieważ spodziewała się, że skrzynka będzie pusta. Adrenalina zaczęła krążyć w jej żyłach; poczuła rumieniec na policzkach i zabrakło jej tchu.

Chwyliła grubą brązową kopertę i wcisnęła do torebki. Następnie, czując się winna, jakby była złodziejem, zatrzasnęła drzwiczki, przekreśliła klucz w zamku i uciekła do samochodu. Drżała tak, że z trudem trafiła kluczykiem w stacyjkę. Gdy uruchomiła silnik i wyjechała z powrotem na ulicę, oddychała ciężko, jakby rozegrała długi mecz w tenisa.

Zaparkowała koło plaży, pod palmami rosnącymi wzdłuż drogi. O tej porze nie było tu prawie nikogo. Starsza para tresowała setera irlandzkiego na brzegu morza, a samotny pływak rzucał wyzwanie południowo-wschodniej bryzie i lodowatej, zielonej wodzie.

Isabella zasunęła szyby i zamknęła obie pary drzwi, zanim wyjęła kopertę z torebki i położyła ją sobie na kolanach.

Adres był napisany na maszynie: Mrs Rose Cohen, a znaczki z głową królowej zostały ostemplowane na poczcie na Trafalgar Square. Obróciła kopertę w rękach, nie mając ochoty jej otwierać, ponieważ bała się tego, co znajdzie w środku. Z drugiej strony nie było adresu zwrotnego. Wciąż odwołując ten moment, sięgnęła do torebki po mały złoty nożyk do papieru i ostrożnie rozcięła kopertę.

Wypadła z niej kolorowa fotografia, a każdy nerw w jej ciele zadrżał, gdy odwróciła ją i zobaczyła swojego syna.

Nicky siedział na niebieskim kocyku na trawniku. Miał na sobie tylko pieluszkę. Siedział wyprostowany bez niczyjej pomocy; przypominała sobie, że miał już prawie siedem miesięcy. Urósł, policzki nie były już tak puciołowe, a nóżki stały się smuklejsze. Włosy miał gęstsze i dłuższe, ciemne loki opadały mu na czoło. Wyraz twarzy był żartobliwy, a w kącikach ust czaił się uśmiech; spoglądał na nią jasnymi, zielonymi jak szmaragdy oczami.

„Och, Boże. Jest jeszcze piękniejszy – westchnęła trzymając zdjęcie blisko

światła, by przyrzeć się dokładnie każdemu szczegółowi jego twarzyczki. – Jest już taki duży i siedzi bez niczyjej pomocy. Mój sprytny mały człowieczek”. Dotknęła go i zobaczyła, że zostawiła odcisk palca na lśniącej powierzchni zdjęcia. Wytarła je dokładnie chusteczką.

– Moje dziecko – szepnęła i poczuła, jak ból po stracie ponownie rozdziera jej serce z nową siłą. – Och, moje dziecko.

Słońce obniżyło się i dotykało już linii horyzontu daleko na Atlantyku, gdy się otrząsnęła. Dopiero gdy włożyła fotografię z powrotem do koperty, zdała sobie sprawę z tego, że zapomniała o innych rzeczach, które się w niej znajdowały.

Przed wszystkim była tam fotokopia strony z czegoś, co z pewnością było kartą choroby z jakiejś kliniki dziecięcej, ale jej nazwa i adres zostały zamazane. Wypełniono ją w języku hiszpańskim.

Nazwisko było napisane u góry strony: Nicholas Miguel Ramon de Machado, niżej zaś data urodzenia i zapis z cotygodniowych wizyt w klinice. Pod każdą datą widniały notatki, zrobione różnymi charakterami pisma i podpisane przez lekarzy lub pielęgniarki z kliniki.

Były tu dane na temat wagi, sposobu odżywiania i stanu uzębienia dziecka. Zobaczyła, że piętnastego lipca miał biegunkę, a dwa tygodnie później pleśniawkę. Poza tym był zdrowy.

Z macierzyńską dumą przeczytała, że pierwsze dwa ząbki pojawiły się u niego, kiedy miał cztery miesiące, a ważył prawie szesnaście kilogramów.

Isabella wzięła do ręki ostatnią kartkę papieru i natychmiast rozpoznała charakter pisma. Był napisany po hiszpańsku, pewną, opanowaną ręką Adry.

*Senorita Bella!*

*Nicky z każdym dniem jest silniejszy i mądrzejszy. Ma temperament jak byk z korridy. Raczkuje tak szybko, jak ja biegam i spodziewam się, że lada dzień wstanie i będzie chodził.*

*Pierwszym jego słowem było „mama”, ciągle mu opowiadam, jaka jesteś piękna i że pewnego dnia przyjdiesz do niego. Na razie nie rozumie, ale kiedyś na pewno to pojmie.*

*Często o Tobie myślę, seniorita. Musisz uwierzyć, że zajmę się Nickym tak, jak tylko będę potrafiła. Proszę, nie rób niczego, co byłoby dla niego niebezpieczne.*

*Z poważaniem Adra Olivares*

Ostrzeżenie, zawarte w ostatniej linijce, ukłuło ją jak nóż wsadzony między zębra; było tym bardziej natarczywe i przeszywające, że wyrażone tak łagodnym tonem. Wiedziała, że nigdy nie podejmie ryzyka i nie powie o tym nikomu, ani ojcu, ani Nanie, ani nawet Michaelowi.

Wahała się teraz z ręką na klamce drzwi sypialni.

„Muszę cię okłamać, Mickey. Przepraszam. Może kiedyś powiem ci prawdę”.

Przez chwilę nasłuchiwała, ale w wielkim domu panowała cisza; nacisnęła klamkę i cicho otworzyła drzwi.

Długi korytarz był zupełnie pusty, tylko światła paliły się wzdłuż wyłożonych drewnianą boazerią ścian. Isabella przemykała boso po perskich dywanach, pokrywających podłogi. Ponieważ tak rzadko bywał w Weltevreden, Michael zachował swój stary pokój w części dziecięcej.

Siedział w łóżku i czytał. Gdy tylko weszła, odłożył książkę na szafkę przy łóżku i uniósł kołdrę.

Kiedy ułożyła się obok niego, okrył jej ramiona kołdrą, a ona przytuliła się, drżąc z rozpaczy. Długo trwali w uścisku, zanim Michael poprosił:

– Opowiedz mi, Bellu.

Nawet wówczas nie zaczęła mówić od razu. Jej dobre intencje zachwiały się, poczuła rozpaczliwą pokusę zignorowania ostrzeżenia Adry. Mickey był jedyną osobą w rodzinie, która w ogóle wiedziała o istnieniu Ramona i Nicky'ego. Desperacko pragnęła wyrzucić to wszystko z siebie i czuła, jak jego delikatne, ciepłe wsparcie wypełnia tę przerażającą pustkę w jej duszy.

Potem znowu zobaczyła twarz Nicky'ego z filmu. Wzięła głęboki wdech i przycisnęła twarz do piersi Michaela.

– Nicky nie żyje – szepnęła i poczuła, jak drgnął w jej uścisku. Nie odpowiedział od razu.

„To prawda – pocieszyła samą siebie. – Nicky nie żyje teraz dla nas wszystkich”. A mimo to jej słowa wydawały się zdradą Ramona i Nicky'ego. Nie ufała, nie śmiała ufać bratu. Wyparła się przed nim istnienia własnego syna i ten fałsz wydawał się zwiększać jeszcze jej cierpienie i izolację, o ile to było możliwe.

– Jak?

Isabella przewidziała to pytanie.

– Zupełnie niespodziewanie – szepnęła. – Przyszłam obudzić go na karmienie, był zimny i martwy.

Poczuła, że Michael drży przy niej.

– Boże! Moja biedna Bella! Jakie to straszne! Jakie okrutne! Rzeczywistość była straszniejsza i okrutniejsza, niż mógł sobie wyobrazić, ale nie wolno jej było się tym podzielić.

Po długiej chwili zapytał:

– A Ramon? Gdzie jest Ramon? Powinien być tu z tobą, by cię pocieszać.

– Ramon – powtórzyła jego imię, starając się, by lęk nie brzmiał w jej głosie. – Gdy Nicky odszedł, Ramon całkowicie się zmienił. Myślę, że winił mnie. Jego miłość do mnie umarła wraz z Nickym. – Płakała teraz, we łkaniu zamykając cały smutek, strach i samotność, które prześladowały ją od tak dawna. – Nicky odszedł. Ramon odszedł. Nigdy już nie zobaczę żadnego z nich, nie ujrzę, dopóki żyję.

Michael objął ją mocno. Jego ciało było twarde, silne i ciepłe. Męska siła, całkowicie pozbawiona seksualności, była tym, czego potrzebowała teraz najbardziej. Poczuła, że przepływa ona do niej jak woda wypełniająca opróżnioną groblę, dodając odwagi; przyłgnęła do brata w milczeniu.

Po chwili zaczął mówić. Leżała i słuchała z uchem przyciśniętym do jego piersi. Mówił o miłości i cierpieniu, o samotności i o nadziei, wreszcie o śmierci.

– To, co jest naprawdę przerażające w śmierci, to jej nieodwołalność. Koniec tak raptowny. Próżni, która po tym następuje, nie można uniknąć. Nie można przeciwstawić się śmierci ani buntować się przeciwko niej. W ten sposób można tylko złamać sobie serce.

„Banały – myślała – stare frazesy, te same, którymi człowiek próbował pocieszać się od dziesiątków tysięcy lat”. Ważniejsze niż słowa była łagodna, uspokajająca muzyka głosu Michaela, ciepło i siła jego ciała oraz miłość do niej.

W końcu zasnęła.

Obudziła się przed świtem i natychmiast zdała sobie sprawę, że Michael całą noc nie poruszył się, by jej nie przeszkodzić i że też już nie spał.

– Dziękuję ci, Mickey – szepnęła. – Nigdy nie będziesz wiedział, jak byłam samotna. Bardzo tego potrzebowałam.

– Wiem, Bellu. Wiem, czym jest samotność – poczuła, że jej serce wyrywa się do niego, a własny ból na chwilę osłabł. Teraz ona chciała pomóc jemu.

– Opowiedz mi o swojej nowej książce, Mickey. Nie przeczytałam, przepraszam.

Przysłał jej kopię z przemiłą dedykacją jeszcze przed publikacją, ale była wtedy

całkowicie pochłonięta swoim cierpieniem. Nie miała czasu dla nikogo, nawet dla Michaela. Więc teraz, gdy ona słuchała, Mickey mówił o książce, a potem o sobie i o swoich poglądach na otaczający świat.

– Rozmawiałem znowu z Raleighem Tabaką – powiedział nagle, zaskakując ją zupełnie. Nie myślała o tym człowieku, odkąd opuściła Londyn.

– Gdzie? Gdzie się z nim spotkałeś? Michael pokręcił głową.

– Nie spotkałem go. Rozmawialiśmy przez telefon, bardzo krótko. Myślę, że telefonował z innego kraju, ale będzie tu wkrótce. To błędny ogień. Przechodzi przez granice w tę i z powrotem jak cień.

– Spotkasz się z nim?

– Tak. Mam jego słowo.

– Bądź ostrożny, Mickey. Obiecuj mi, proszę, że będziesz ostrożny. To niebezpieczny człowiek.

– Nie musisz się o nic martwić – zapewnił ją. – Nie jestem bohaterem. Nie jestem taki jak Sean czy Garry. Będę ostrożny, bardzo ostrożny, obiecuję ci.

Michael Courtney zaparkował swojego zniszczonego valianta na parkingu restauracji przy uliczce odchodzącej od głównej autostrady Johannesburg-Durban.

Wyłączył zapłon, ale silnik zrobił jeszcze kilka obrotów. Z tym miał największe problemy przez całą drogę z biura „Golden City Mail” w centrum Johannesburga. Samochód miał na liczniku ponad siedemdziesiąt tysięcy mil i powinien być sprzedany dwa lata temu. Jako zastępca redaktora naczelnego miał zagwarantowany nowy „luksusowy” samochód co dwanaście miesięcy. Ale Michael przywiązał się do starego valianta. Wszystkie rysy uzyskał z honorem, a po latach używania na siedzeniu kierowcy został odcisnięty jego kształt.

Przyjrzał się innym samochodom na parkingu, ale żaden nie odpowiadał opisowi, który otrzymał. Spojrzał na elektroniczny japoński zegarek, który kupił za pięćset dolarów w Tokio, gdy był tam wysłany przez gazetę w zeszłym roku. Przyjechał na spotkanie dwadzieścia minut za wcześnie, więc zapalił papierosa i wyciągnął się w zniszczonym, starym fotelu.

Myśląc o samochodzie i o zegarku uśmiechnął się. Naprawdę był niepotrzebnym członkiem rodziny. Od Nany do Belli, wszyscy mieli obsesję gromadzenia dóbr materialnych. Nana miała swoje daimery o barwie żonkili; kolor był zawsze ten sam, chociaż model zmieniał się co rok. Ojciec miał garaż pełen starych samochodów, głównie angielskich wozów sportowych, oraz wielkiego sześciolitrowego bentleya w kolorze zielonym. Garry uwielbiał włoskie maserati i ferrari. Sean wzmacniał swój image twardego faceta jeepem z napędem na cztery koła, nawet Bella jeździła cackiem o zwiększonej mocy silnika, które kosztowało dwa razy tyle co nowy valiant.

Nikt z nich nie nosiłby elektronicznego zegarka, ani Nana ze swoim diamentowym piagetem, ani Sean z supermęskim złotym rolexem.

„Rzeczy – uśmiechnął się Michael kącikami ust. – Wszystko, co widzą, to rzeczy, nie ludzie. To choroba naszego kraju”.

Ktoś zastukał w boczną szybę i Michael rozejrzał się, szukając osoby, która miała się z nim skontaktować.

Nikogo nie dostrzegł.

Był zaskoczony. Potem ukazała się czarna dłoń z różowym spodem i nieśmiało zapukała w szybę jednym palcem.

Michael wystawił głowę. Czarny usmarkany urwis szczyrzył do niego zęby. Mógł mieć nie więcej niż pięć czy sześć lat. Był bosy, koszulkę i spodenki miał zniszczone lecz, uśmiechał się promiennie.

– Proszę, baas – zapisał i złożył ręce gestem żebraka. – Moja głodny. Proszę,

dać moja jeden cent, baas Michael otworzył drzwi, a dziecko wycofało się, niepewne. Sięgnął po rozpinany sweter, który leżał na tylnym siedzeniu, i zarzucił go na chłopca; sięgał prawie do ziemi. Michael podwinął mu rękawy i zapytał w dialekcie:

– Gdzie mieszkasz, mały?

Chłopca oczywiście zamurowało: biały nie tylko okazał się dla niego taki dobry, ale jeszcze płynnie mówił w jego języku. Sześć lat wcześniej Michael doszedł do wniosku, że nie można zrozumieć człowieka, jeśli nie zna się jego języka. Odtąd zaczął się uczyć. Tak daleko nie zaszedł nawet jeden biały na tysiąc. Wszyscy czarni musieli nauczyć się albo angielskiego, albo afrikaans, ponieważ dosłownie nigdzie nie znaleźliby zatrudnienia. Obecnie Michael znał języki plemion Xhosa i Zulu. Były one ze sobą spokrewnione, a posługiwała się nimi większość czarnej populacji Afryki Południowej.

– Mieszkam w Drake's Farm, Nkosi.

Drake's Farm było rozległym miastem, które niemal milion dusz nazywało domem. Nie widać było stamtąd leżącej na wschodzie autostrady, ale dym z tysięcy kuchni unosił się w postaci ciężkiej szarej mgły. Mieszkańcy miasteczka dojeżdżali codziennie pociągiem lub autobusem do biur, urzędów i przedsiębiorstw w Witwatersrand.

Wielki kompleks handlowoprzemysłowy Johannesburga był otoczony takimi miastami-sypialniami, jak Drake's Farm, Soweto i Alexandria. Na mocy dziwacznego postanowienia ustawy o terenach grupowych cały kraj został podzielony na obszary przeznaczone do zamieszkania przez każdą z ras.

– Kiedy ostatnio jadłeś? – zapytał Michael łagodnie.

– Wczoraj rano, wielki pan.

Michael wyjął pięć randów z portfela. Oczy dziecka rozszerzyły się do rozmiarów lśniących kałuż, gdy patrzył na banknot. Prawdopodobnie nigdy w swoim krótkim życiu nie widział tyle pieniędzy.

Michael podał mu banknot. Dzieciak chwycił go, odwrócił się i uciekł, potykając się o poły długiego swetra. Nie podziękował, a na jego twarzy malował się ogromny strach, że podarunek zostanie mu odebrany, zanim zdąży uciec.

Michael zaśmiał się ze swojej sztuczki, ale jego radość natychmiast przerodziła się we wściekłość. Zastanawiał się, czy we współczesnym Pierwszym Świecie było jeszcze jakieś inne państwo, w którym mali chłopcy są zmuszeni do żebrania na ulicy? Do wściekłości dołączyło poczucie beznadziejności sytuacji.

Czy istniał drugi taki kraj, w którym żyli obywatele Pierwszego Świata, jak jego własna rodzina z ogromnymi posiadłościami i zadziwiająco kolekcją klejnotów, oraz zrozpaczona biedota, jak zamieszkująca te miasta? Kontrast był tym okrutniejszy, ponieważ Michael znał obie strony.

– Gdybym mógł cokolwiek zrobić – mruknął i zaciągnął się tak mocno dymem, że kawałek żarzącego się tytoniu upadł mu na krawat i wypalił dziurę przy szpilce.

Mała niebieska ciężarówka dostawcza skręciła z autostrady ku parkingowi. Jechał nią młody Murzyn w zniszczonej czapce. Z boku widniał napis: „Rzeźnia Phuza Muhle. 12th Avenue, Drake's Farm”. Nazwa oznaczała „dobre jedzenie”.

Michael błysnął światłami, jak mu polecono. Ciężarówka zatrzymała się dokładnie naprzeciwko niego. Michael wysiadł z samochodu i zamknął drzwi na klucz, zanim podszedł do niebieskiego wozu. Tylne drzwi były otwarte. Michael wdrapał się i zatrzasnął je za sobą. Skrzynia samochodu była w połowie zapełniona koskami surowego mięsa, a obdarte ze skóry owce wisiły na hakach, przyczepionych do sufitu.

– Proszę tędy – kierowca zaprosił go w języku zulu i Michael przeczołgał się ku przodowi samochodu. Wiszące mięso ocierało się o niego, zostawiając plamy na

sztruksowym ubraniu. Kierowca przygotował dla niego kąpiel między dwoma koszami, gdzie mógł się ukryć przed kontrolerami.

– Nie będzie problemów – zapewnił go wesoło. – Nikt nie zatrzymuje tej ciężarówki.

Ruszył, a Michael usadowił się na brudnej podłodze. Ta teatralna ostrożność była denerwująca, ale niezbędna. Żaden biały nie mógł wejść do miasta bez pozwolenia wydanego przez miejscowy komisariat policji w porozumieniu z radą miasta.

Zwykle nie było trudno zdobyć takie zezwolenie, ale Michael Courtney był notowany. Trzykrotnie został ukarany za naruszenie ustawy o kontroli publikacji; on i jego gazeta musieli zapłacić wysokie grzywny.

Na mocy ustawy cenzorzy otrzymali nieograniczoną władzę zakazywania publikacji lub wpływania na wszelkie materiały prasowe, a politycy rządzącej Partii Narodowej zachęcali ich, by nie rezygnowali z egzekwowania swoich uprawnień, dążąc w ten sposób do wzmocnienia kalwińskiej moralności holenderskiego Kościoła reformowanego i zachowania politycznego status quo.

Jakie więc szansę miała działalność Michaela wobec ich czujności? Jego podanie o zezwolenie na wstęp do Drake's Farm zostało prawie natychmiast odrzucone.

Niebieska ciężarówka wjechała bez żadnej kontroli przez główną bramę miasta, a leniwi murzyńscy strażnicy nie spojrzeli nawet znad góry African Ludo i puszek cocacoli, ustawionych na drewnianym stole.

– Może pan teraz przejść do przodu! – zawołał kierowca i Michael wdrapał się na miejsce dla pasażera w kabinie.

To miasto zawsze go fascynowało. Czuł się, jakby odwiedzał inną planetę. Ostatni raz zajął tu przed jedenastoma laty, w 1960 roku. Był wówczas młodym reporterem w „Mail”. Wtedy właśnie napisał cykl artykułów pod tytułem „Wściekłość”, który stał się podstawą, na której zbudował swoją dziennikarską reputację, a dodatkowo był powodem zasądzenia pierwszej grzywny na mocy ustawy.

Uśmiechnął się, przypominając to sobie i rozejrzał się z zainteresowaniem, gdy przejeżdżali przez starą dzielnicę. Pochodziła ona jeszcze z dziewiętnastego wieku, z epoki wiktoriańskiej, kiedy odkryto w pobliżu słynne złote rądy Witwatersrand.

Dzielnica ta była labiryntem ulic, alej i bezładnej architektury, chat z niewypalonej cegły, z popękany tynkiem oraz połańdowanymi żelaznymi dachami we wszystkich kolorach malarskiej palety. Większość oryginalnych barw wyblakła, a dachy pokrywał teraz czerwony trąd rdzy.

Wąskie ulice pełne były kolein i głębokich dziur oraz kałuż dziwnej cieczy. Chude kurczaki walały się w brudzie. Wielka maciora o różowej skórze, która wyglądała, jakby była unurzana w jednej z kałuż, kwiczała przeraźliwie, gdy mijała ją ciężarówka. Smród był niesamowity. Kwaśny odór gnijących śmieci mieszał się z fetorem bijącym z otwartych drenów i wykopanych w ziemi ubikacji, które wyglądały jak budki strażnicze za każdym ze slumsów.

Rządowy inspektor zdrowia dawno już porzucił nadzieję, że uda mu się kiedykolwiek uregulować stan sanitarny starej dzielnicy Drake's Farm. Pewnego dnia przyjadą tu buldożery, a „Mail” da na pierwszej stronie zdjęcia rozwścieczonych murzyńskich rodzin, przykucniętych przy wzruszających stosach, ich jedynym dobytku, i patrzących, jak brutalne maszyny niszczą im domy. Biały urzędnik z opieki społecznej powie w kanale państwowej telewizji o „ogromnym, bolesnym przedsięwzięciu, umożliwiającym budowę nowoczesnych bungalów”. Myśl o takim dniu znowu rozżłościła Michaela.

Niebieska ciężarówka podskakiwała na rozjeżdżonych uliczkach, mijając straszne meliny i domy publiczne, a potem przekroczyła niewidzialną granicę między starą a nową częścią miasta, którą ów urzędnik nazwałby osiedlem komfortowych,



nowoczesnych bungalowów. Tysiące identycznych domków z cegły z szarymi azbestowymi dachami tworzyły nie kończące się szeregi na bezdrzewnych stepach. Przypominały Michaelowi rzędy białych drewnianych krzyży, które widział na cmentarzach wojskowych we Francji.

A jednak mieszkańcom udało się odcisnąć piętno swojej osobowości i charakteru w tym zakazanym miejskim krajobrazie. Tu i ówdzie pojawiały się niespodziewanie pomalowane na różne kolory domy pośród monotonnych, brudnych i białych rzędów. Różowe, błękitne lub jasno-pomarańczowe, świadczyły o afrykańskim umiłowaniu barw. Michael zauważył budynek, który miał tradycyjne geometryczne wzory plemienia Ndebele, pochodzącego z północy.

Małe ogródki przed domami odzwierciedlały gusty mieszkańców. Jeden był po prostu kwadratem zakurzonej, nagiej ziemi; na innym rósł labirynt z żywopłotu, a przed wejściem stała uwiązana mleczna koza; w następnym rosły pelargonie; z kolei sąsiedni był ogrodzony drutem kolczastym, a zachwaszczonego terenu strzegł kościsty, lecz zły kundel.

Niektóre parcele były oddzielone od siebie za pomocą ozdobnych murów z betonowych bloków lub starych opon z ciężarówek, pomalowanych w jaskrawe kolory. Większość domów miała dziwne ozdoby; zwykle były to rupiecie, które miały zostać wyrzucone, i zniszczone dachówki z eternitu. Były tam porzucone pojazdy ze zdekompletowanymi silnikami i uszkodzonymi kołami, zaparkowane przy krawężnikach, a także sterty starych materaców, rozpadające się tekturowe pudła i inne śmiecie, które – przeoczone przez służby miejskie – stały wokół domów.

Po tej scenie poruszali się mieszkańcy. Tych właśnie ludzi Michael kochał bardziej niż własną rasę czy klasę, im współczuł i z nimi cierpiał. Był nimi zachwycony. Wciąż zadziwiali go siłą, wytrwałością i pragnieniem, by przetrwać.

Dzieci widziało się wszędzie: młodsze czołgały się i lamentowały głośno, starsze kręciły się z wrzaskiem po ulicach, przypominając kłębowiska lśniących czarnych szczeniaków, były przymocowane w tradycyjny sposób do pleców matki. Chłopcy bawili się puszkami po piwie, przerobionymi na samochodziki. Dziewczynki skakały przez skakankę na środku ulicy albo grały w klasy, tak jak podpatrzyły u białych dzieci. Ocieężałe i niechętnie schodziły z jezdni, gdy kierowca ciężarówki trąbił na nie klaksonem.

Kiedy zobaczyły białą twarz Michaela, zaczęły tańczyć wokół wolno jadącego samochodu, krzycząc:

– Cukierki! Cukierki!

Michael był na to przygotowany i rzucił im słodycze, którymi miał wypchane kieszenie.

Mimo że większość dorosłej populacji opuściła miasto i udała się w codzienną długą drogę do pracy, matki, osoby starsze i bezrobotni pozostali w domach.

Gangi młodzieży, zgromadzone i stojące beczynnie na rogu ulicy, przyglądały mu się bez wyrazu. Michael wiedział, że były to szakale, które polowały na swoich, ale czuł do nich sympatię. Rozumiał ich desperację. Wiedział, że zanim wybrali takie życie, mieli świadomość, iż nic ich nie czeka, że nie ma nadziei na lepsze czasy.

Potem zobaczył ciężko pracujące kobiety, które rozwieszały uprane rzeczy jak porporce na wietrze; inne pochylały się nad garnkami na trzech nogach, w których nad ogniskami za domami gotowały tradycyjną kaszę kukurydzianą. Wołały je od żelaznych pieców w ich małych domkach. Dym mieszał się ze wzbijającym kurzem, tworząc unoszącą się stale w powietrzu chmurę, która wisiła nad miastem.

Handlarze obwoźni, pracujący nielegalnie, których nazywano spouzas, oszukiwali rząd Afrykanerów, uwielbiający wydawanie przepisów i licencji; pchali swoje beczki i wykrzykiwali ceny na zatłoczonej ulicy. Gospodynie domowe targowały się z nimi o

jednego ziemniaka, papierosa, pomarańczę lub kromkę białego chleba, zależnie od swoich możliwości.

Mimo że otoczenie było tak przygnębiające i pełno było dowodów ubóstwa, Michael na każdej ulicy i na każdym rogu słyszał śmiech i muzykę. Śmiech był spontaniczny i wesoły, a głośne powitania i pożegnania bez troski. Gdzie spojrzał, widział te cudowne, afrykańskie uśmiechy, które napełniały jego serce radością, lecz po chwili wywoływały skurcz bólu.

Muzyka dochodziła z ponurych domków i z radiodbiorników, które ludzie nosili w rękach lub na głowach. Dzieci grały na piszczałkach i banjo, wykonanych z puszek po oleju, drewna i drutu. Tańczyły i śpiewały, spontanicznie wyrażając swoją radość życia, nawet w tych trudnych warunkach.

Według Michaela śmiech i muzyka świadczyły, że afrykański duch nie da się poskromić. Uważał, że nie ma drugiej takiej rasy na ziemi. Michael kochał każdego z nich, niezależnie od wieku, płci, plemienia czy stanu. Pochodził z Afryki, a to był jego naród.

– Co mogę dla was zrobić, bracia? – szepnął. – Jak mogę wam pomóc? Wszystko, czego dotychczas próbowałem, zawiodło. Wszelkie moje wysiłki spełzyły na niczym, jak beznadziejny krzyk na pustyni. Gdybym tylko mógł znaleźć sposób.

Nagle coś mu przeszkodziło. Wjechali na wzniesienie na lekko sfałdowanym stepie i Michael wyprostował się na siedzeniu.

Jedenaście lat wcześniej, kiedy ostatnio tędy przejeżdżał, nie było tu nic oprócz trawy, tylko kilka kóz chodziło pomiędzy czerwonymi dziurami, które erozja i zaniedbanie wryły w ziemi.

– Nobs Hill – kierowca niespodziewanie zachichotał. – Piękne, prawda?

Wzdłuż niskiego ziemnego wału, wznoszącego się ponad skupiskiem chat Drake's Farm, stały domy murzyńskiej elity. Około stu szczęśliwców mieszkało obok miliona mieszkańców Drake's Farm. Dzięki zdolności do robienia interesów i naturalnej skłonności do ciężkiej pracy, wyrwali sukces materialny z rąk białych politycznych panów, tych, którzy chcieli dyktować im warunki poprzez system praw i przepisów, wprowadzający w życie zainspirowaną przez Yerwoerda politykę apartheidu.

Ale to pokonywanie trudności na nic się nie zdało. Mimo że mogli pozwolić sobie na osiedlenie się w każdej części kraju, ustawa o terenach grupowych nakazywała im mieszkać tylko na tych obszarach, które wyznaczyli im twórcy apartheidu. Domy, które zbudowali sobie ci biznesmeni, lekarze, prawnicy i kryminaliści, byłyby ozdobą eleganckich przedmieść Sandton, La Lucia czy Constantia, gdzie żyli ich biali odpowiednicy.

– Proszę spojrzeć! – kierowca ciężarówki pokazał z dumą. – Ten różowy dom z wielkimi oknami. Tu mieszka Josia Nrubu, słynny znachor. Wysyła pocztą swoje talizmany, specyfiki i zaklęcia na całą Afrykę, nawet do Nigerii i Kenii. Sprzedaje zaklęcie, które sprawia, że wszyscy mężczyźni i kobiety będą pana kochali, a także kości lwa, dzięki którym każdy będzie miał szczęście w sprawach finansowych. Na choroby oczu daje tłuszcz sępa, a specyfik z błony dziewiczej, żeby stać się twardym jak granit i silnym jak włócznia. Ma cztery nowe cadillaki, a jego synowie studiują w Ameryce.

– Wezmę kości lwa – zaśmiał się Michael. Ku zmartwieniu Shasy i Nany „Golden City Mail” przez ostatnie cztery lata przynosiła straty.

– Proszę spojrzeć na dom z zielonym dachem i wysokimi ścianami. Tutaj mieszka Peter Ngonyama. Jego plemię uprawia roślinę, którą my nazywamy „dagga” lub „bom”, a wy – konopiami. Zbierają daggę z ukrytych pól w górach i wysyłają ciężarówkami do Kapsztadu, Johannesburga i Durbanu. Ma dwadzieścia pięć żon i

jest bardzo bogaty.

Zostawili za sobą popękaną starą szosę i wjechali na niebieski, gładki asfalt nowo położonego bulwaru. Kierowca przyspieszył, gdy jechali między zielonymi trawnikami i wysokimi ceglanyymi murami Nobs Hill, które oficjalnie nazywały się Drake's Farm Extension IV.

Nagle zwolnił, gdy dotarli do stalowej bramy jednej z bardziej luksusowych rezydencji. Urządzenie elektryczne cicho otworzyło im bramę i zamknęło ją zaraz za nimi; wjechali do ogrodu obsadzonego krzewami i pokrytego trawnikami. Poniżej tarasu znajdował się basen o nieregularnych kształtach, na środku którego stała kamienna fontanna. Polewaczki spryskiwały trawę, a Michael zauważył dwóch czarnych ogrodników w kombinezonach, którzy pracowali wśród roślin.

Budynek był supernowoczesny, z ogromnymi oknami i elementami drewnianymi. Kierowca zaparkował tuż pod głównym tarasem, a po schodach zeszła ku nim wysoka postać.

– Michael! – serdeczne powitanie Raleigha Tabaki było dla niego nieoczekiwane, podobnie jak przyjazny uśmiech i uścisk dłoni. Za bardzo różniło się od ich poprzedniego spotkania w Londynie.

Raleigh miał na sobie luźne spodnie i białą koszulę, która podkreślała jego wspaniałą, delikatną skórę i afrykańskie rysy. Michael poczuł dreszcz podniecenia, gdy ściskali sobie dłonie. Raleigh wciąż był jednym z najatrakcyjniejszych i robiących największe wrażenie ludzi, jakich Michael poznał.

– Witaj – powiedział, a Michael rozejrzał się i uniósł brwi.

– Nieźle, Raleigh. Nadal masz styl.

– To nie należy do mnie – pokręcił głową Murzyn. – Nie posiadam nic oprócz tego, co mam na sobie.

– Więc czyje to jest?

– Pytania, zawsze pytania – w głosie Raleigha słychać było cień wymówki.

– Jestem dziennikarzem – zauważył Michael. – Pytania to mój chleb powszedni.

– Oczywiście. Ten dom był zbudowany przez Trans Africa Foundation of America dla pani, którą za chwilę poznasz.

– Trans Africa to amerykańska organizacja obrony praw człowieka? – zapytał Michael. – Czy na jej czele nie stoi kolorowy pastor ewangelicki z Chicago, doktor Rondall?

– Jesteś dobrze poinformowany – zauważył Raleigh, po czym wziął go pod ramię i poprowadził na szeroki taras.

– To musiało kosztować jakieś pół miliona dolarów – drążył dalej Michael, ale Raleigh wzruszył ramionami i zmienił temat.

– Obiecałem pokazać ci dzieci apartheidu, Michael, ale najpierw chcę, żebyś poznał ich matkę, Matkę Narodu.

Przeszli przez taras. Rozpięto na nim plażowe parasole, tak że przypominał pole kolorowych grzybów. Kilkanaścioro czarnych dzieci siedziało przy plastikowych stołach, popijając cocacolę z puszek i słuchając jednego z wszędobylskich, przenośnych tranzystorowych radiodbiorników, z którego rozchodziły się rytmy afrykańskiego jazzu.

Byli to chłopcy w wieku od ośmiu, dziewięciu lat do nastolatków. Wszyscy mieli na sobie kanarkowe koszulki z napisem „Gama Athletics Club” na piersiach. Żaden z nich nie powstał, gdy Michael przechodził obok, przyglądali mu się znudzonym wzrokiem.

Szklane drzwi do głównego budynku były otwarte i Raleigh poprowadził go do wielopoziomowego salonu, którego ściany zdobiły drewniane maski i fetysze. Kamienna posadzka była pokryta zwierzęcymi skórami.

– Czego się napijesz, Michael? – zapytał Raleigh. – Kawy czy herbaty?

Michael pokręcił głową.

– Nie, dziękuję. Ale czy mogę zapalić?

– Pamiętam o twoim nałogu – uśmiechnął się Raleigh. – Proszę bardzo. Żałuję, że nie mogę się do ciebie przyłączyć.

Michael zastygł z zapalniczką w ręku. Po schodach schodziła kobieta. Michael wyjął nie zapalony papieros z ust i wpatrywał się w nią. Oczywiście wiedział, kto to jest. Nazywano ją Czarną Ewitą, Matką Narodu. Ale żadna fotografia nie potrafiła oddać jej ciemnego piękna i królewskiej postawy.

– Victoria Gama, a to jest Michael Courtney, dziennikarz, o którym ci mówiłem – przedstawił ich sobie Raleigh.

– Tak – powiedziała Vicky Gama – wiem, kim jest Michael Courtney.

Podeszła ku niemu dostojnie. Miała na sobie długi do kostek kaftan wschodni w zadziwiających kolorach: zielonym, żółtym i czarnym, barwach zdelegalizowanego Afrykańskiego Kongresu Narodowego. Na głowie nosiła szmaragdowy turban; kaftan i turban były jej znakami rozpoznawczymi.

Wyciągnęła rękę do Michaela. Kości dłoni były delikatne, ale uścisk długich, wysmukłych palców mocny i chłodny, niemal zimny. Jej skóra była aksamitnie gładka, w kolorze ciemnego bursztynu.

– Twoja matka była drugą żoną mojego męża – powiedziała cicho. – Urodziła Mosesowi Gamie syna, tak samo jak ja. To dobra kobieta, jest jedną z nas.

Michaela zawsze zadziwiał całkowity brak uczucia zazdrości pomiędzy żonami Afrykańczyka. Jego małżonki uważały się nie za rywalki, lecz raczej za siostry, które wiążą rodzinne więzy i poczucie lojalności.

– Jak się ma Tara? – pytała dalej Vicky i poprowadziła go ku jednej z sof, na której rozsiadł się wygodnie. – Nie widziałam jej od lat. Czy nadal mieszka w Anglii? A jak się ma syn Mosesa, Benjamin?

– Tak, mieszkają w Anglii – odpowiedział jej Michael. – Widziałem ich ostatnio w Londynie. Benjamin jest już młodym mężczyzną. Dobrze sobie radzi. Studiuje inżynierię na Uniwersytecie w Leeds.

– Zastanawiam się, czy wróci kiedyś do Afryki – rzuciła Vicky siadając obok niego.

Przez kilka minut rozmawiali swobodnie, a Michael poczuł, że zaczyna dostawać się pod wpływ jej czarującej osobowości. W końcu zapytała:

– Więc chcesz zobaczyć moje dzieci, dzieci apartheidu? Do Michaela dotarło, że był to jedyny możliwy tytuł dla jego artykułu albo nawet cyklu artykułów, które napisze.

– Dzieci apartheidu – powtórzył. – Tak, pani Gama, chciałbym poznać pani dzieci.

– Mów do mnie Vicky. Pochodzimy z tej samej rodziny, Michaelu. Mam nawet nadzieje, że nasze marzenia i pragnienia są takie same?

– Myślę, że istotnie mamy ze sobą dużo wspólnego, Vicky. Zaprowadziła go z powrotem na taras, wezwała do siebie dzieci i przedstawiła je Michaelowi.

– To nasz przyjaciel – powiedziała im. – Możecie z nim swobodnie rozmawiać. Odpowiadajcie na jego pytania. Powiedzcie mu wszystko, co będzie chciał wiedzieć.

Michael zdjął marynarkę i krawat i usiadł pod jednym z parasoli. Chłopcy stłoczyli się wokół niego. Mając zapewnienie Vicky Gamy, zaakceptowali go natychmiast i byli zachwyceni tym, że mówi w ich języku. Michael wiedział, jak wyciągnąć z nich to, co go interesowało. Nie zapisywał niczego w notesie, gdyż zdawał sobie sprawę, że byłoby to dla nich hamulcem. Cenił ich spontaniczność i szczerłość. Poza tym nie potrzebował notesu. Nigdy nie zapomniaby ich słów.

Opowiadali mu rzeczy wesołe i bardzo smutne. Jeden z chłopców znalazł się w Sharpeville tamtego tragicznego dnia. Był wówczas niemowlęciem, przytwierdzonym do pleców matki. Ta sama policyjna kula, która zabiła jego matkę, rozszarpała mu nogę. Kiedy się wygoiła, była krzywa i inne dzieci nazywały go „Kulawy Pete”. Michaela bardzo wzruszyła ta historia.

Popołudnie Mineło zbyt szybko. Kilku chłopców oddaliło się, by popływać w basenie. Rozebrali się do naga i wskoczyli do błękitnej wody. Krzyczeli z radości i chlapani się dla zabawy.

Raleigh siedział z boku z Vicky Gama i przyglądał się im. Widział, jak Michael patrzył na nagie dzieci i powiedział do Vicky:

– Chcę, żebyś zatrzymała go na noc. Skinęła głową, a on mówił dalej.

– Lubi chłopców. Czy masz dla niego jakiegoś? Zaśmiała się cicho.

– Może sobie wybrać. Moi chłopcy zrobią wszystko, co im każe. Wstała i poszła tam, gdzie siedział Michael; położyła mu dłoń na ramieniu.

– Może napiszesz swoje artykuły tutaj? Zostań jeszcze. Mam na górze maszynę do pisania, możesz z niej skorzystać. Chłopcy cię lubią i tyle opowieści mógłbyś jeszcze usłyszeć...

Palce Michaela uderzały w klawisze maszyny w ochoczym allegro, a słowa pojawiały się na pustej białej kartce w zwartym szyku, jak żołnierze gotowi do szarży na polu bitewnym. Opowieść pisała się sama. To nie dym, unoszący się spiralą do góry z papierosa, który Michael trzymał w zębach, sprawiał, że mrużył powieki, czytając to, co już napisał. Bardzo rzadko miał pewność, że jego artykuł ma swoją wagę i wartość. Wiedział, czuł to w głębi serca, że ten tekst jest dobry, naprawdę dobry. To była historia dzieci w takiej postaci, jaką pozna świat.

Skończył artykuł, o którym wiedział już, że będzie tylko początkiem wspaniałego cyklu, i poczuł, że drży z podniecenia. Spojrzał na zegarek, dochodziła północ; wiedział jednak, że nie zaśnie. Historia wciąż wzburzała umysł jak mocny szampan.

Usłyszał delikatne pukanie do drzwi; zaskoczyło go to. Powiedział cicho w dialekcie:

– Otwarte. Proszę!

Do pokoju wślizgnął się jeden z chłopców. Miał na sobie tylko szorty.

– Słyszałem, że pisze pan na maszynie – powiedział. – Pomyślałem, że może zechce pan napić się herbaty.

Tego właśnie chłopaka Michael podziwiał na basenie najbardziej. Miał szesnaście lat, a jego ciało było gładkie i aż prosiło się o pogłaskanie, jak czarny kot.

– Dziękuję – powiedział Michael i zauważył, że głos mu ochrypl. – Z przyjemnością bym się napił.

– Co pan pisze? – chłopak stanął za krzesłem i pochylił się nad nim, żeby przeczytać to, co było napisane na kartce. – O tym, o czym dzisiaj panu opowiadałem?

– Tak – szepnął Michael.

Chłopiec położył mu dłoń na ramieniu i obrócił głowę, uśmiechając się nieśmiało. Michael poczuł jego ciepły oddech na twarzy.

– Lubię cię – stwierdził.

\*

Raleigh Tabaka przeczytał artykuł wczesnym rankiem, gdy siedzieli koło basenu. Kiedy skończył, trzymał plik kartek w obu rękach i milczał przez długą chwilę.

– Masz wyjątkowy talent – powiedział w końcu. – Nigdy nie czytałem czegoś o takiej sile wyrazu. Ale to jest zbyt mocne. Nie odważysz się na opublikowanie.

– W tym kraju nie – zgodził się Michael. – Londyński „The Guardian” poprosił mnie o przesłanie im tego tekstu.

– Tam dałoby to największy efekt – przyznał Raleigh. – Gratuluje ci. Coś takiego sprawia, że kula ciemności trafia w wodę. Musisz skończyć ten cykl tak szybko, jak to tylko możliwe. Zostań tu przynajmniej jeszcze jedną noc. Chyba najlepiej ci się pracuje, gdy jesteś blisko swojego tematu.

\*

Michael nie był pewien, co go obudziło. Wyciągnął rękę i dotknął ciepłego, smukłego ciała leżącego obok niego. Chłopak mruknął coś przez sen i przewrócił się na drugi bok. Jedno jego ramię obejmowało pierś Michaela. Dźwięk, który wyrwał go ze snu, powtórzył się. Był słaby, dochodził z pokoju, znajdującego się gdzieś poniżej jego w tym ogromnym domu. Brzmiało to, jakby ktoś krzyczał z bólu.

Michael podniósł spoczywającą na nim rękę chłopca i wstał z łóżka. Przei otwarte okno świecił księżyc, co dawało wystarczającą ilość światła, by mógł znaleźć slipy. Cicho przeszedł przez sypialnię i wyszedł na korytarz. Ostrożnie przysunął się do schodów i zatrzymał się nasłuchując. Znowu usłyszał ten dźwięk, tym razem głośniejszy, następny dziki wrzask, jak głos ptaka morskiego; po nim nastąpiło ostre trzaśnięcie, które niczego mu nie przypominało.

Zaczął schodzić po schodach, ale nie doszedł jeszcze do końca, gdy zatrzymał go głos.

– Michael! Co tu robisz?

Ton głosu Raleigha Tabaki był ostry i oskarżający. Michael z poczuciem winy spojrzął za siebie na schody. Raleigh stał na nich w szlafroku.

– Usłyszałem coś – powiedział Michael. – To przypominało...

– To nic ważnego. Idź do swojego pokoju.

– Ale wydawało mi się, że słyszałem...

– Idź do pokoju!

Raleigh powiedział cicho, ale to nie było polecenie, którego Michael mógłby nie wykonać. Odwrócił się i wszedł z powrotem na górę. Raleigh wyciągnął rękę i dotknął go, gdy przechodził obok.

– Czasami słuch płata w nocy różne dziwne figle. Niczego nie słyszałeś, Michael. Może to był kot albo wiatr. Idź teraz spać. Porozmawiamy rano.

Raleigh zaczekał, aż Michael wróci do swego pokoju, i dopiero wtedy zbiegł po schodach. Dopadł kuchennych drzwi i otworzył je silnym szarpnięciem.

Victoria Gama, Czarna Evita, Matka Narodu, stała na środku wyłożonej terakotą posadzki obnażona do pasa. Jej piersi miały piękny kształt. Były gładkie jak aksamit, czarne jak sobole futro; duże jak dojrzałe melony z pustyni Kalahari.

W prawej dłoni trzymała giętki bicz z wysuszonej skóry hipopotama, straszliwe afrykańskie narzędzie. Był cienki jak delikatne palce Vicky i długi jak jej ramię. W drugiej dłoni trzymała szklaneczkę. Piła z niej, gdy do kuchni wpadł Raleigh. Na zlewozmywaku stała butelka ginu.

W kuchni znajdowali się także dwaj członkowie „Gama Athletic Club” – najstarsi i najsilniejsi z jej obstawy. Obaj mieli po około dwadzieścia lat. Oni również byli rozebrani do pasa. Stali po obu stronach długiego kuchennego stołu i przytrzymywali na nim skrępowane nagie ciało.

Biczowanie musiało już trwać dosyć długo. Pręgi pokrywały całe lśniące plecy, były purpurowe, nabiegły już krwią. Niektóre razy rozcięły skórę aż do mięsa, a spływająca krew utworzyła pod stołem kałużę. Wciąż nowe krople skapywały na podłogę.

– Oszalałaś? – syknął do niej Raleigh. – Kiedy w domu jest dziennikarz?  
– To szpieg nasłany przez policję – odburknęła Vicky. – To zdrajca. Muszę dać mu nauczkę.

– Znowu jesteś pijana – wytrącił jej z dłoni szklaneczkę, która zawirowała w powietrzu i rozbiła się o ścianę. – Czy nie możesz zadowolić się swoimi chłopcami nie rozgrzewając się w ten sposób?

Oczy kobiety zapłonęły z wściekłości i uniosła bicz, żeby uderzyć go nim w twarz. Chwycił ją za nadgarstek i przytrzymał bez trudu. Wykręcił jej rękę i wyjął bicz, po czym wrzucił go do zlewu. Ciągłe trzymając jej dłoń powiedział do obstawy:

– Pozbądźcie się tego – wskazał na krwawiącą postać na stole. – Potem posprzątajcie tutaj. Nie róbcie więcej niczego podobnego, dopóki biały człowiek jest w tym domu. Zrozumieliście?

Ściągnęli chłopca ze stołu; jęczał i wył, kiedy wynosili go z kuchni. Zostali sami, Raleigh zwrócił się do Vicky:

– Nosisz sławne imię. Jeśli je splamisz, osobiście cię zabije. Idź teraz do swojego pokoju.

Ruszyła do drzwi. Pomimo wypitego alkoholu szła dostojnym krokiem. Dobrze znosiła mocne trunki. „Gdyby równie dobrze znosiła sławę i zainteresowanie mediów” – pomyślał ponuro.

Widział, jak zmieniała się w ciągu kilku lat. Kiedy poślubił ją Moses Gama, była jak jasny i czysty płomień, oddany mężowi i walce. Potem odkryła ją amerykańska lewica, a media obsypały deszczem nagród i pieniędzy, aż – jej zdaniem – wszyscy zaczęli się nią interesować.

Odwieźli Michaela na parking, na którym zostawił swojego valianta. Raleigh Tabaka zajął miejsce obok kierowcy w ciężarówce do transportu mięsa, a Courtney skulił się z tyłu. Michael zdziwił się, że jego samochód wciąż stoi tam, gdzie go zostawił.

– Nikomu nie chciało się go ukraść – zauważył.

– Tak – przytaknął Raleigh. – Pilnowali go nasi ludzie. Zawsze strzeżemy naszej własności.

Uścisnęli sobie dłonie i Michael odwrócił się, ale Raleigh nie pozwolił: mu odejść.

– Czy masz własny samolot? – zapytał.

– Tak jakby – zaśmiał się Michael. – To stary centurion, który przelatał już ponad trzy tysiące godzin.

– Muszę cię prosić o przysługę.

– Jestem ci ją winien – zgodził się. – Co mam dla ciebie zrobić?

– Czy polecisz dla mnie do Botswany? – zapytał Raleigh.

– Z pasażerem?

– Nie, sam.

Michael wahał się jeszcze.

– Czy to ma coś wspólnego z walką?

– Oczywiście – odpowiedział Raleigh szczerze. – Wszystko w moim życiu jest związane z walką.

– Kiedy mam lecieć? – zapytał Michael, a Raleigh ukrył uczucie ulgi. W końcu może nie trzeba będzie używać materiału nagranego w mieszkaniu tancerza w Londynie.

– Jak tylko będziesz mógł się wyrwać na kilka dni – powiedział.

W przeciwieństwie do swego ojca i braci, Michael nie interesował się lataniem od dzieciństwa. Zastanawiając się nad tym teraz, doszedł do wniosku, że to właśnie ta ich

namiętna miłość do samolotów przyczyniła się do tego, że odsunął się od braci. Instynktownie opierał się wysiłkom ojca, który chciał obudzić w nim to zainteresowanie. Nie chciał być taki jak oni. Nie pozwolił, by wtłoczono go w formę, którą przygotował dla niego ojciec.

Później, gdy już uwolnił się spod nadmiernego wpływu swojej rodziny, sam odkrył, że latanie może być czymś fascynującym. Kupił centuriona za własne oszczędności. Mimo swego wieku samolot był szybki i wygodny. Osiągał prędkość dwustu dziesięciu węzłów i wystarczyły trzy godziny, by dotrzeć do Maun w północnej części Botswany.

Michael uwielbiał Botswanę, jedyne naprawdę demokratyczne państwo w Afryce. Nigdy nie było kolonią żadnego z europejskich mocarstw, choć od lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku Wielka Brytania była jego protektorem, ponieważ Republika Burów zagroziła zajęciem obszarów tego kraju, należących do plemienia Tswana.

Kiedy Brytania zrzekła się statusu protektora i zwróciła władzę ludności tego kraju, państwo to szybko przekształciło się w model dla całego kontynentu. Panował tu ustrój wielopartyjnej demokracji, obowiązywała powszechna wolność i regularnie odbywały się wybory. Rząd rzeczywiście odpowiadał przed swoim elektoratem. Nie było tyranów czy dyktatorów. Jak na afrykańskie warunki, korupcja była bardzo niewielka. Białą mniejszość akceptowano jako przydatną, produktywną część społeczeństwa. Rzadkie były przejawy rasizmu lub rywalizacji między plemiennej. Po Afryce Południowej było to najbogatsze państwo na tym kontynencie. Właściwie niemal bez wysiłku kraj ten osiągnął stan, o jaki Michael modlił się dla swojej ojczyzny, a który mógł w niej nadejść dopiero po cierpieniu i konfliktach. Michael podziwiał Botswanę i cieszył się, że znowu ją odwiedzi.

W Maun szybko załatwił formalności w jednoizbowym domku, który mieścił zarówno urząd celny, jak i imigracyjny, a potem odleciał znowu, aby pokonać ostatni odcinek i dolecieć do delty Okawango.

Był to niezwykle, podmokły obszar, gdzie potężna rzeka Okawango wpływała na północną część pustyni Kalahari i tworzyła ogromne moczary. Nie było tu cuchnącego czarnego mułu i ponurego pustkowia. Woda była czysta jak w strumieniu, w którym pływają pstrągi. Brzegi i dna licznych odnóg rzeki pokrywał biały piasek. Wyspy były porośnięte palmami i bujną roślinnością. Dzikie drzewa figowe ugięły się pod ciężarem dojrzałych owoców; tłuste, zielone gołębie tłoczyły się na gałęziach. Dziwne, rzadkie, polujące sowy, podobne bardziej do małp niż do ptaków, zakładały gniazda na wysokich afrykańskich drzewach hebanowych.

Słynne lwy znad Okawango, o grzywach przypominających rdzawe stogi siana, były szybkie jak wydry w lśniącej wodzie. Stada bawołów pasły się w szuwarach, unosił się nad nimi baldachim białych czapli. Niesamowite antylopy sitatunga z podługnymi kopytami, rogami w kształcie korkociągu i włochatą sierścią spędzały całe życie wśród wysokich papirusów, a chmury kaczek, gęsi i wodnego ptactwa zasłaniały zachodzące, płomienne i pomarańczowe słońce.

Michael wylądował na pasie startowym na jednej z większych wysp. Dwaj Buszmeni przewieźli go wydrążonym czółnem przez pachnącą wodnymi liliami lagunę do obozu.

Obóz nazywany Kryjówką Wesolej Gęsi mieścił czterdzieści osób, które mieszkaly w malowniczych chatkach. Rzekomym celem przyjazdu tutaj było badanie i fotografowanie zwierząt i ptaków w delcie bądź też łowienie lśniących, ubarwionych w tygrysie paski ryb, których całe ławice zamieszkiwały te wody. Każdego ranka i wieczora grupy gości wypływały w prymitywnych łodziach, którymi jeden z czarnych przewoźników wiódł ich przez szuwary i kanały.



Gośćmi byli przeważnie mężczyźni, a nazwa Wesola Gęś została wybrana nieprzypadkowo. Personel stanowili młodzieńcy z plemienia Tswana, również odpowiednio dobrani. Obozem kierował emigrant polityczny z Afryki Południowej. Brian Susskind był zadziwiająco przystojnym mężczyzną w wieku około dwudziestu pięciu lat. Miał długie blond włosy, które tak wyblakły na słońcu, że były niemal białe. W przekłutych uszach nosił kolczyki, na szyi złoty łańcuch, który objął się o jego muskularną nagą pierś, a nadgarstki zdobiły mu bransoletki z kości słoniowej i plecionych włosów słonia.

– Mój drogi – powitał Michaela – tak się cieszę, że mogę cię poznać. Raleigh mówił mi o tobie. Na pewno ci się tutaj spodoba. Są z nami tacy zabawni ludzie. Oni też nie mogą się doczekać, kiedy będą mogli cię poznać.

Michael spędził w obozie długi, pełen wrażeń weekend, a gdy nadszedł czas odjazdu, Brian Susskind przypląnął, żeby go pożegnać.

– Było naprawdę przyjemnie, Michael – uścisnął mu rękę. – Myślę, że będziemy się często widywać. Nie zapomnij zrównoważyć samolot. Może być trochę ciężki w ogonie, gdy będziesz startował.

Michael odleciał, nie zaglądając do schowka pod siedzeniem dla pasażera ale zauważył niewielką zmianę w wyważeniu samolotu, o której mówił Brian. Bagaż, który mu załadowano, musiał być bardzo ciężki jak na swoją objętość. Powiedziano, żeby nie dotykał ani nie oglądał tego, co przewozi. Był więc posłuszny poleceniom.

W urzędzie celnym na Lanseria Airport nerwy miał napięte i mocno zaciągnął się dymem z papierosa. Niepotrzebnie tak się przejmował. Celnik pamiętał go z wielu poprzednich podróży; nawet nie pofatygował się, by sprawdzić jego bagaż i poszedł obejrzeć samolot.

Tej nocy jeden z czarnych dozorców w hangarze lotniska Lanseria wypakował ciężkie pudełko spod siedzenia i podał je przez ogrodzenie kierowcy małej niebieskiej ciężarówki do przewozu mięsa.

W kuchni w Nobs Hill w miasteczku Drake's Farm Raleigh Tabaka sprawdził pieczęcie na kontenerze. Były nie naruszone. Nikt nie manipulował przy paczce. Raleigh kiwnął głową z zadowoleniem i odkręcił pokrywkę. Kontener zawierał siedemdziesiąt egzemplarzy Biblii. Michael Courtney zdał kolejny egzamin.

Michael poleciał do Wesolej Gęsi jeszcze raz kilka tygodni później. Tym razem w kontenerze było dwadzieścia miniaturowych bomb wyprodukowanych w Rosji. W ciągu następnych dwóch lat odwiedził obóz dziewięć razy, a przejście przez kontrolę celną w Lanseria stawało się dla niego coraz łatwiejsze.

Pięć lat po tym, jak poznał Raleigha Tabakę, przyjęto Michaela do zbrojnej formacji Afrykańskiego Kongresu Narodowego, Umkhonto we Sizwe, czyli Włóczni Narodu.

– Ostatnio dużo o tym myślałem – odpowiedział Raleighowi. – I wbrew sobie doszedłem do wniosku, że czasami pióro nie wystarcza. W końcu zdałem sobie sprawę – mimo że jest to sprzeczne z moimi głęboko zakorzenionymi uczuciami – iż bywają takie chwile, kiedy mężczyzna musi chwycić za broń. Jeszcze rok temu odrzuciłbym twoją propozycję, ale teraz zrobię to, co nakazuje mi sumienie. Jestem gotowy, by przystąpić do walki zbrojnej.

– Dobrze, Bellu – skinęła głową Centaine Courtney-Malcomess. – Ty zaczniesz od tego końca ulicy, a ja z drugiej strony. – Potem zwróciła się do szofera. – Klonkie, zatrzymaj się tu na rogu i przyjedź po nas w porze lunchu.

Kierowca posłusznie zwolnił i wjechał żółtym daimlerem na chodnik.

Obie kobiety wysiadły i obserwowały oddalającą się limuzynę.

– Niedobrze jest, gdy wyborcy widzą cię w wielkim luksusowym wozie z

szoferem – wyjaśniła Centaine. – Zazdrość to uczucie, które zżera człowieka od wewnątrz; znajdziesz je w każdej grupie społecznej.

Całą uwagę skupiła teraz na swojej wnuczce, którą obejrzała pilnie od stóp do głów.

Włosy Isabelli były świeżo umyte i lśniły w słońcu. Centaine poleciła upiąć je w porządną kok. Twarz dziewczyny nie miała makijażu, toteż jej cera przypominała wymytą skórę nastolatki. Nie nałożyła szminki, ale usta czerwieniły się naturalną, młodzieńczą barwą.

Centaine kiwnęła głową i oglądała ją dalej. Bella miała na sobie klasyczny kaszmirowy komplet i pantofle na niskim obcasie. Jej babka jeszcze raz kiwnęła głową, całkowicie usatysfakcjonowana. Poprawiła tweedową spódnicę na biodrach.

– W porządku, Bellu. Pamiętaj, że dzisiejszego ranka naszym celem są kobiety.

Zaplanowały swoją wizytę na późne przedpołudnie, kiedy mężczyźni nie ma w domach, dzieci są w szkołach, a większość prac gospodni z niższej klasy średniej ma już za sobą. Ludzie ci mieszkali poniżej zboczy Signall Hill, skąd rozciągał się widok na miasto i port w Kapsztadzie.

Poprzedniego popołudnia Isabella mówiła do przeważnie męskiego zgromadzenia w Sea Point Masonie Hali. Większość mężczyzn przyszła z ciekawości, by posłuchać pierwszej kobiety kandydującej w ich okręgu z ramienia Partii Narodowej.

Gdy wstała, żeby przemawiać, jej suknia wywołała falę gwizdów aprobaty na sali. Przerywali jej z życzliwością przez kilka minut, a ona walczyła ze zdenerwowaniem. Wreszcie niewybredne żarty rozżłościły ją i wypaliła:

– Panowie, wasze zachowanie nie przynosi wam zaszczytu. Jeśli macie odrobinę poczucia przyzwoitości, to dacie mi szansę.

Uśmiechnęli się zawstydzeni. Zaszurali nogami i ponownie się uciszyli; milczeli i słuchali jej z rosnącym zainteresowaniem. Isabella wraz z Centaine przestudiowały uważnie sprawy, które najbardziej ich dotyczyły, więc teraz zainteresowali się tym, co mówiła.

To był dobry chrzest bojowy. Centaine była z niej dumna, ale nie dawała tego po sobie poznać.

– W porządku – powiedziała. – Poradzisz sobie, panienko. Ruszamy. Za świętego Jerzego, za Garry’ego, za Anglię.

Ten okrzyk wojenny był tu zupełnie nie na miejscu. Isabella uśmiechnęła się krzywo i spojrzała pod nogi; kto ośmieliłby się powiedzieć o tym Nanie? Rozdzieliły się i każda poszła na swój koniec ulicy.

Dom z numerem dwanaście stał nieco na uboczu, miał dach z eternitu w kształcie nosa byka i żelazną kratę dla pnączy z wiktoriańskim wzorkiem pod wysuniętym za mur dachem. Ogród przed domem był szeroki na jakieś pięć kroków, ale dalej kwitły przepięknie. Isabella poszła wzdłuż ścieżki i uciszyła zawzięcie szczekającego na schodkach foksteriera. Zawsze dobrze traktowała psy i konie.

Gospodni podeszła do drzwi i przyglądała się Isabelli podejrzliwie przez szybę. Włosy miała nakręcone na żółte plastikowe wałki.

– Słucham? Czego pani sobie życzy?

– Nazywam się Isabella Courtney i jestem kandydatką Partii Narodowej z tego okręgu w wyborach uzupełniających, które odbędą się w przyszłym miesiącu. Czy mogłaby pani poświęcić mi kilka minut?

– Chwileczkę – kobieta zniknęła i wróciła po chwili z chustką na włosach. – My jesteśmy zwolennikami Partii Zjednoczonej – oświadczyła, ale Isabella przerwała jej.

– Jakie piękne dalie!

Była to twierdza partii opozycyjnej. Isabella była polityczną nowicjuską. Jej partia nigdy nie zgodziłaby się, by ubiegała się o fotel, który na pewno przypadnie

Partii Narodowej. Takie miejsca były zarezerwowane dla tych, którzy udowodnili swoją wartość. Tymczasem Nana musiała użyć wszystkich swoich wpływów i całej zdolności przekonywania, a Isabella swojej osobowości i prezencji, by uzyskać od maszyny partyjnej szansę na tę skazaną na niepowodzenie próbę. W najlepszym wypadku mogła liczyć na pokazanie się i honorową porażkę. Nana wyznaczyła sobie cel. W ostatnich wyborach Partia Zjednoczona zdobyła ten fotel dzięki większości zaledwie pięciu tysięcy głosów.

– Jeśli uda nam się obniżyć ich przewagę do trzech tysięcy, to w następnych wyborach może zdołamy wywalczyć dla ciebie lepszy okręg.

Gospodyni złagodniała, wdzięczna za docenienie jej nagradzanych dalii i zachwiała się w swoich przekonaniach.

– Czy mogę wejść? – Isabella obdarzyła ją najśłodszym i najbardziej zniewalającym uśmiechem.

Kobieta usunęła się niechętnie.

– Tylko na kilka minut.

– Czym zajmuje się pani mąż?

– Jest mechanikiem samochodowym.

– Co on sądzi o rozdrobnieniu handlu i o związkach zawodowych Murzynów? – Isabella uderzyła z grubej rury, a kobieta spojrzała na nią z powagą. Isabella mówiła o sytuacji rodzin i o zapewnianiu dzieciom chleba.

– Czy napije się pani kawy, pani Courtney? – zapytała, a Isabella nie poprawiła formy, której użyła.

Piętnaście minut później uściśnęła dłoń gospodyni i poszła z powrotem krótką ścieżką przez ogród. Stosowała się do maksymy Nany: „Mów przekonująco, ale krótko”. Poczła przyptyw zadowolenia. Jej ofiara zaczęła od zdecydowanego „nie”, a pod wpływem przekonywającej logiki Isabelli stopniowo łagodniała, aż doszła – na razie – do „może”. Bella zapisała tak przy jej nazwisku na liście wyborców.

– Jednego mam z głowy – szepnęła. – Zostały jeszcze dwa tysiące.

Przeszła na drugą stronę ulicy do domu z numerem jedenaście. Drzwi otworzyło jej dziecko.

– Czy mama jest w domu?

Był to mały, piegowaty chłopiec z umazanymi ustami. W jednej dłoni trzymał zjedzoną do połowy kromkę chleba z dżemem i uśmiechał się do niej nieśmiało. Miał co najmniej pięć lat, ale Isabella pomyślała o Nickym i stała się jeszcze bardziej stanowcza.

– Nazywam się Isabella Courtney – powiedziała, gdy matka podeszła do drzwi. – Kandyduję w państwa okręgu z ramienia Partii Narodowej w wyborach uzupełniających, które odbędą się w przyszłym miesiącu.

Po trzeciej wizycie stwierdziła, że zaczyna jej się to podobać. Oglądała stronę życia, której istnienia nigdy nie podejrzewała. Odnosiła się z sympatią do tych prostych ludzi, zaczynała rozumieć i interesować się ich problemami, obawami i sposobem życia tak odmiennym od jej własnego.

– Przywileje wiązą się z odpowiedzialnością – wiele razy słyszała, jak mówił to ojciec. „Szlachectwo zobowiązuje”. Nie zastanawiała się nad tym, uważając, że rozumie tę ideę. Oczywiście, nigdy nie zamierzała się nią kierować. Dotychczas była zbyt zajęta. Jej własne potrzeby i pragnienia za bardzo ją absorbowały, by mogła interesować się czy martwić o takich ludzi jak ci.

Teraz stwierdziła, że zaczynali być jej w jakiś sposób bliscy. Nie tylko czuła sympatie, lecz także pragnęła rozumieć ich i chronić.

„Może macierzyństwo sprawiło, że stałam się łagodniejsza” – pomyślała i natychmiast przyszedł ból z powodu straty. Czy było to jakieś uczucie zastępcze,

dające upust jej sfrustrowanym instynktom macierzyńskim? Nie wiedziała i nie dbała o to. Ważne było tylko to, że naprawdę chciała coś zrobić, szczerze pragnęła pomóc tym ludziom. Zależało jej na zdobyciu miejsca w parlamencie, by móc poświęcić swój czas i zdolności dla tych ludzi.

Poczuła autentyczny żal, kiedy po ósmej wizycie spojrzała na zegarek i stwierdziła, że czas już spotkać się z Naną i zakończyć pracę.

Centaine czekała na nią na rogu ulicy. Była świeża, rześka i kipiała energią, jakby miała znacznie mniej lat niż w rzeczywistości.

– Jak ci poszło, Bellu? – zapytała. – Ile wizyt?

– Osiem – odparła Isabella z satysfakcją. – Dwa razy „tak” i raz „może”. A ty, Nano?

– Czternaście wizyt i pięć razy „tak”. Nie liczę „może” ani „jeszcze nie wiem”. Nigdy. – Wzięła Isabellę pod ramię, gdy nadjechał żółty daimler i zwolnił, by je zabrać. – Jak tylko wrócimy do domu, wyślesz do każdej z nich własnoręcznie napisany liścik... Mam nadzieję, że zanotowałaś imiona i wiek ich dzieci, a także jakieś informacje na ich temat.

– Czy muszę pisać do nich wszystkich?

– Do wszystkich – potwierdziła Centaine. – Każde „tak”, „nie” i „może”. Potem wyślemy im następne na kilka dni przed wyborami, żeby im się przypomnieć.

– Przez ciebie to taka ciężka praca, Nano – zaprotestowała Isabella.

– Nic, co ma jakąś wartość, nie przychodzi bez wysiłku, panienko – stwierdziła Centaine i wsiadła do samochodu. – I nie zapomnij o meetingu dziś po południu. Napisałaś już swoje przemówienie? Poradzimy sobie z tym razem.

– Nano, mam wciąż mnóstwo pracy dla ojca.

– Tylko bez żartów – uśmiechnęła się Centaine. – Do domu, do Weltevreden, Klonkie – poleciła szoferowi.

Isabella trochę oszukała. Kazała swojej sekretarce napisać jeden list do wszystkich wyborców, których odwiedziła, ale sprawdziła go i każdą kopię własnoręcznie podpisała. Oszczędzając w ten sposób czas, mogła realizować swoje polityczne aspiracje i jednocześnie nadążać z pracą, którą zlecał jej ojciec.

– Shasa dał jej kilka pomieszczeń w narożnej części Centaine House. Jej nowa sekretarka, należąca do weteranów, którzy pracowali w Courtney Enterprises od dwudziestu lat, zajmowała pierwszy pokój. W gabinecie Isabelli ściany były ozdobione boazerią, którą jej ojciec uratował ze starego, dwustuletniego budynku przeznaczonego do rozbiórki, aby zrobić miejsce nowoczesnemu blokowi w Sea Point. Drewno miało wspaniałą połysek. Shasa pożyczył jej cztery obrazy ze swojej kolekcji – dwa Piemeefy i dwa pejzaże Hugo Naudego. Ich kolory doskonale pasowały do jasnej boazerii. Wszystkie książki na półkach były oprawione we wspaniałą, niebieską, cielecą skórę, chociaż Isabella wątpiła, czy będzie korzystała z raportów parlamentarnych Mansarda sprzed trzydziestu lat.

Okna wychodziły na park i katedrę świętego Jerzego, a w dali widać było Górę Stołową. Mówiono, że wizyta w Kapsztadzie nie liczyła się, jeśli z okna pokoju nie widać tej góry.

Podpisała ostatni z listów do swych przyszłych wyborców i zaniósła do biura swej sekretarki. Nikogo w nim nie było, a na maszynie do pisania firmy Underwood leżała pokrywa. Spojrzała na zegarek...

„Dobry Boże, jest już po piątej”.

Pocieszało ją to, że czas mijał jej tak szybko i niepostrzeżenie. Nie zawsze tak było, odkąd straciła Nicky’ego. Ciężką pracą próbowała zagłuszyć dojmujący ból po stracie dziecka.

Kolacja w Weltevreden zaczynała się dokładnie o ósmej trzydzieści, a pół

godziny wcześniej podawano koktajle. Miała jeszcze trochę czasu, więc wróciła do swojego biurka. Leżał na nim brudnopis sprawozdania Shasy z adnotacją: „Potrzebuję tego na jutro rano. Całuję – ojciec”.

Gdy pracowali razem w ambasadzie, weszło im w zwyczaj, że ona zawsze sprawdzała styl i składnię jego przemówień. Tak naprawdę Shasa nie potrzebował jej pomocy. On sam potrafił znaleźć najcelniejsze sformułowania. Ale zwyczaj ten sprawiał im obojgu przyjemność i Shasa czasem specjalnie przesadzał z jakąś metaforą lub pozwalał, żeby niewłaściwy zwrot wkradał się do jego tekstu. W najgorszym wypadku zadawała się jej pochwałami.

Przeczytała dwunastostronicowe sprawozdanie i zaproponowała jedną zmianę. Potem napisała w rogu: „Ależ zdolnego ojca sobie wybrałam!” i zaniósła brudnopis do gabinetu Shasy w drugim końcu wyłożonego dywanem korytarza.

Jego biuro było zamknięte. Miała klucz, więc weszła do środka. Gabinet Shasy był cztery razy większy od jej własnego. Jego biurko podobno podchodziło z apartamentów Delfina w Wersalu. Miał oryginalny kwit z aukcji, która odbyła się w 1791 roku, co potwierdzało jego pochodzenie.

Isabella położyła poprawiony dokument na środku ozdobionego intarsją blatu, a potem zmieniła zdanie. Sprawozdanie miał przeczytać tylko premier i jego ministrowie. Niektóre zawarte w nim dane były ściśle tajne i niezwykle ważne dla bezpieczeństwa narodowego. Shasa nie powinien był zostawiać go na jej biurku, ale on często nie dbał o ważne dokumenty.

Wzięła sprawozdanie i włożyła je do prywatnego sejfu, który znajdował się za fałszywą biblioteczką. Otwierający go mechanizm był ukryty w lampie, wiszącej na ścianie nad szafą. Uchwyt, pozwalający na otwarcie sejfu, miał kształt nimfy trzymającej nad głową żarówkę niczym pochodnię.

Isabella przekręciła kinkiet na zawiasach i fałszywa biblioteczka odsunęła się bezszelestnie na bok, ukazując masywne stalowe drzwi pomalowane na zielono.

Układ cyfr, który wybrał Shasa, nie był ani skomplikowany, ani oryginalny. Oznaczał po prostu datę jego urodzin podaną w odwrotnej kolejności. Oprócz Shasy tylko Isabella jako jego asystentka знаła ten kod. Nigdy nie zdradził go Nanie ani Garry'emu.

Ustawiła właściwą kombinację, pociągnęła ciężkie, stalowe drzwi i weszła do przepastnego skarbcza. Często musiała gderać, by ojciec utrzymywał tu porządek, a teraz aż pokręciła głowę z niezadowolaniem, widząc dwie zielone teuczki Armscoru rzucone niedbale na stojący pośrodku stół. Szybko posprzątała, zamknęła skarbiec i wróciła do swego biura.

Gdy znalazła się już w samochodzie, westchnęła. To był długi dzień, a po kolacji czekało ją jeszcze spotkanie wyborcze. Na pewno położy się spać dobrze po północy.

Przez chwilę zastanawiała się nad najkrótszą drogą do Weltevreden. Ale jej mini wybrało trasę z boczem góry jakby z własnej woli i po piętnastu minutach zaparkowała samochód w bocznej uliczce koło poczty w Camps Bay.

Zbliżając się do skrytki, poczuła ten znajomy, ciężki kamień w żołądku. Czy znowu będzie pusta, jak od wielu tygodni? Czy nigdy już nie usłyszysz o Nickym?

Gdy otworzyła drzwiczki, serce podskoczyło jej gwałtownie w piersi. Jak złodziej chwyciła cienką kopertę i wcisnęła ją do kieszeni marynarki.

Zaparkowała samochód koło plaży, pod palmami i przeczytała cztery linijki przepisanych na maszynie instrukcji z lękiem zmieszonym z oczekiwaniem.

To było coś nowego.

Wypełniając ściśle zawsze obowiązującą ją instrukcję, nauczyła się zawartości listu na pamięć, potem spaliła go, a popiół roztała.

\*

W piątek rano, trzeciego dnia po otrzymaniu listu dla Czerwonej Róży, Isabella zostawiła mini na parkingu nowego samoobsługowego supermarketu na przedmieściu Claremont.

Zamknęła drzwiczki samochodu na klucz, ale – zgodnie z poleceniem – zostawiła szparę szerokości cala, nie domykając bocznej szyby. Weszła do pełnego ludzi supermarketu tylnymi drzwiami. Był to ostatni piątek miesiąca, dzień wypłaty dla dziesiątków tysięcy pracowników biur i urzędników. Kolejki do kas były niemiłosiernie długie.

Isabella szybko wyszła frontowym wyjściem na główną ulicę przedmieścia i skręciła w lewo. Przepychała się przez tłum, aż doszła do nowego budynku poczty. W pierwszej szklanej budce telefonicznej z lewej strony były dwie nastolatki. Chichotały, dzwoniły kolczykami z tombaku i przewracały oczami, przykładając uszy do słuchawki, by usłyszeć chłopaka, z którym rozmawiały. Isabella spojrzała na zegarek – brakowało pięciu minut do pełnej godziny. Poczuliła niepokój. Zapukała ponagląco w szybę, a jedna z dziewcząt pokazała jej język i rozmawiały dalej.

Minutę później Isabella zastukała jeszcze raz. Kiedy odwiesiły słuchawkę i wybiegły z budki, Isabella wpadła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Nie zdjęła słuchawki, lecz udawała, że szuka drobnych w portmonetce. Obserwowała wskazówkę minutową zegarka. Gdy dotknęła punktu u góry tarczy, telefon zadzwonił, a Isabella chwyciła słuchawkę.

– Czerwona Róża – szepnęła niemal bez tchu.

– Wracaj natychmiast do swojego samochodu – usłyszała w odpowiedzi.

Połączenie zostało przerwane i zabrzączał sygnał telefonu. Mimo że była bardzo podekscytowana, zdawało jej się, że rozpoznała akcent dużej, silnej kobiety, która zabrała ją ciężarówką z Embankment nad Tamizą prawie trzy lata wcześniej.

Isabella odwiesiła słuchawkę i wybiegła z budki. Po trzech minutach była już przy swoim samochodzie. Gdy wkładała kluczyk do zamka, zobaczyła kopertę na siedzeniu kierowcy i zrozumiała. Czytała książki Le Carrego oraz Len Deightona i wiedziała, że tak wyglądało doręczenie listu specjalnej wagi.

Była prawie pewna, że ktoś ją teraz śledzi. Ukradkiem rozejrzała się po parkingu, który rozciągał się na powierzchni prawie dwóch akrów. Wokół były setki samochodów, dziesiątki osób wracających z zakupów pchało wyładowane wózki w kierunku swych pojazdów. Wałęsali się tu żebracy i wracające ze szkoły dzieci.auta wjeżdżały i wyjeżdżały przez bramę nieprzerwanym strumieniem. Znalezienie w tym tłumie obserwatora było niemożliwe.

Usiadła za kierownicą i zachowując ostrożność pojechała do Weltevreden. List miał z pewnością zbyt wielkie znaczenie, by powierzać go poczcie, a w ten pomysłowy sposób doręczono go jej do rąk własnych. Dopiero kiedy zamknęła się w swojej sypialni, poczuła się bezpiecznie i otworzyła kopertę.

Przede wszystkim znalazła w niej nową kolorową fotografię Nicky'ego. Był w stroju kąpielowym. Wyrósł z niego silny, piękny chłopiec; miał już prawie trzy lata. Stał na plaży, na której leżał biały, koralowy piasek, a za nim rozciągał się błękitny ocean.

List, który znalazła w kopercie oprócz zdjęcia, był zwięzły i niedwuznaczny:

*Masz jak najszybciej zdobyć dokładne informacje na temat danych technicznych, dotyczących komputerowej sieci kontroli radarowej wybrzeża firmy Siemens, która jest obecnie instalowana przez Armscor w kwaterze głównej marynarki wojennej w Silver Mine na Przylądku.*

*Gdy zdobędziesz te plany, poinformuj nas zwykłą drogą. Po ich otrzymaniu*

*rozpoczniemy przygotowania do pierwszego twojego spotkania z synem.*

Na kartce nie było żadnego podpisu.

Stojąc nad muszlą klozetową w swojej łazience, Isabella spaliła list, a gdy płomień oparzył ją w palce, wrzuciła resztki do sedesu i spuściła wodę. Zamknęła klapę i usiadła na niej, przyglądając się wyłożonej glazurą ścianie.

A więc w końcu nadeszła ta chwila. Wiedziała, że musi nadejść. Od trzech lat czekała na rozkaz, który zmusiłby ją do przekroczenia granic przyzwoitości.

Dotychczas miała jedynie pozyskać całkowite zaufanie ojca. Nakazano jej sprawić, żeby ojciec nie mógł się bez niej obejść i uczyniła to. Otrzymała polecenie, by wstąpić do Partii Narodowej i wystartować w wyborach do parlamentu. Przy pomocy Nany i pod jej przewodnictwem wykonała ten rozkaz.

Ale to było coś innego. Zrozumiała, że dotarła w końcu do punktu, z którego nie było już powrotu. Mogła zejść z drogi zdrady i porzucić syna albo mogła pójść dalej w niebezpieczne nieznanne.

– Och, Boże, pomóż mi – szepnęła głośno. – Co mogę zrobić? Co muszę zrobić?

Poczuła, że ogarnia ją strach i poczucie winy. Wiedziała, jak musi brzmieć odpowiedź na jej pytania.

Kopia raportu dotyczącego instalacji radarowej Siemens'a leżała w tej chwili w skarbcu ojca w Centaine House. W poniedziałek specjalny kurier dostarczył ten dokument do kwatery głównej marynarki w kompleksie bunkrów przeciwoatomowych, wykutym w górze Silver Mine.

Na weekend jednak ojciec leciał do hodowli owiec na ranczo w Camdeboo. W sobotę i w niedzielę Nana będzie sędziowała na zawodach psów myśliwskich. Garry z Holly i dziećmi są w Europie. Isabella będzie więc miała dla siebie górne piętro Centaine House przez cały weekend. Cieszyła się pełnym zaufaniem, a strażnicy znali ją dobrze.

## ROZDZIAŁ 3

Wiał północny wiatr. Prószyły pierwsze płatki śniegu, jasnosrebrne na szarym niebie.

W pogrzebie brało udział dwunastu mężczyzn i ani jedna kobieta. W życiu Josepha Cicero również nie było kobiet. Wszyscy żałobnicy byli urzędnikami z departamentu. Zostali oddelegowani. Powściągliwi mężczyźni stali w jednym rzędzie. Ubrani byli w jednakowe płaszcze od mundurów i szkarłatne czapki. Wszyscy mieli czerwone nosy, raczej z zimna niż z żalu. Joe. Cicero nie miał przyjaciół. Rzadko budził w swoich współpracownikach inne uczucia niż zazdrosny podziw czy strach.

Gwardia honorowa wysunęła się przed szereg. Na komendę żołnierze podnieśli broń i wycelowali w niebo. Zabrzmiały salwy przerywane grzechotem zamków. Na następną komendę gwardziści zdjęli broń z ramion i odmaszerowali, trzaskając butami po żwirowej ścieżce i unosząc ręce na wysokość piersi.

Szereg żałobników załamał się, mężczyźni krótko i bez wyrazu uściśnęli sobie dłonie i pospieszyli do czekających na nich pojazdów.

Przy grobie został tylko Ramon Machado. On również miał na sobie mundur pułkownika KGB, a jaskrawe odznaczenia pod płaszczem sięgały poniżej klatki piersiowej.

„Tak więc dla ciebie, stary łobuzie, gra już skończona, ale długo zajmowałeś scenę”.

Mimo że Ramon był szefem sekcji już od dwóch lat, tak naprawdę nigdy nie czuł, że przejął po nim tytuł, dopóki Joe Cicero żył.

Stary człowiek umierał, nie godząc się z tym faktem. Przez długie miesiące ból nawet był słabszy. Do samego końca zachował swoje biuro na Łubiance. Wychudł i wyglądał niemal jak zjawa, lecz przewodniczył wszystkim zebraniom, a jego wola i nienawiść temperowały Ramona do samego końca.

„Żegnaj, Joe Cicero. Teraz diabeł może cię już zabrać”. Ramon uśmiechnął się i poczuł, że usta prawie pękają mu na mrozie.

Odwrócił się od grobu. Pod rzędem wysokich, ciemnych cisów stał już tylko jego samochód. Ponieważ miał teraz tak wysoką rangę, otrzymał czarną czajkę i osobistego kierowcę. Szofer otworzył mu drzwi. Kiedy Ramon zajmował miejsce z tyłu, strzepnął mu śnieg z ramion.

– Z powrotem do biura – powiedział.

Kapral prowadził szybko, ale pewnie, a Ramon rozluźniony przyglądał się Moskwie, która ukazywała się zza chorągiewki, umocowanej na czarnej, lśniącej masce samochodu.

Ramon kochał Moskwę. Uwielbiał szerokie bulwary, zbudowane przez Stalina po wielkiej wojnie ojczyźnianej. Podobały mu się klasyczne kształty niektórych budynków i ich jaskrawy kontrast z budowlami w stylu rokoko, jak również ze strzelistymi gmachami, zwieńczonymi czerwonymi gwiazdami, które także wzniesiono na polecenie Stalina. Ekscytowała go sowiecka idea gigantyczności. Przejeżdżali obok masywnych, brązowych pomników bohaterów ludu, monstrialnych postaci mężczyzn i kobiet, maszerujących razem z półautomatycznymi karabinami, sierpami i młotami, wznoszących wysoko flagę z gwiazdą.

Nie było tu żadnych reklam, żadnych zachęt do picia cocacoli, palenia marlboro, inwestowania w Prudential Insurance i czytania „Sun”. Była to najbardziej uderzająca różnica pomiędzy Matką Rosją a próżnym i zachłannym kapitalistycznym Zachodem. Irytowało go to, że rozbudzano u ludu pragnienia zdobycia tak tanich i prymitywnych dóbr, że siły narodu marnowano na produkowanie tych błahych przedmiotów zamiast



tego, co najpotrzebniejsze.

Z tylnego siedzenia samochodu patrzył na Rosjan z aprobatą. Naród ten był zorganizowany i podporządkowany państwu, dobru ogółu, a nie jednostki. Obserwował ich, cierpliwych i posłusznych, jak stali na przystankach autobusowych, w kolejkach po żywność, zorganizowani w duchu karność i porządku.

Porównał ich w myślach z Amerykanami. Ameryka, ten rozwydrzony, infantylny naród, w którym każdy patrzył na drugiego wilkiem; w którym zachłanność uważano za najwyższą cnotę; w którym cierpliwość i subtelność uważano za największe wady. Czy był jakiś inny naród w historii, który tak wypaczył ideę demokracji, że wolność i prawa jednostki stały się tyranią dla reszty społeczeństwa? Czy jakiś inny naród gloryfikował tak swoich kryminalistów jak oni Bonnie i Clyde'a, Al Capone'a, Billy Kida, mafię lub czarnych władców narkotykowych? Czy Rosja lub jakkolwiek inny rozsądny rząd osłabiłby i spętał swoje siły zbrojne przez wprowadzenie takiej jawności i publicznych debat nad ich budżetem?

Czajka zatrzymała się na światłach. Był to jedyny pojazd na całej arterii, oprócz dwóch miejskich autobusów. Podczas gdy każdy Amerykanin miał swój samochód, w rosyjskim społeczeństwie nie było takiego marnowania pieniędzy i własności. Ramon patrzył, jak piesi zorganizowanym strumieniem przechodzą przez jezdnię. Ich twarze były przystojne i inteligentne, malowała się na nich cierpliwość i opanowanie. W wyglądzie tych ludzi nie mógł dostrzec żadnej ekscentryczności, która rzuciła się w oczy na amerykańskiej ulicy. Dużo osób nosiło mundury, pozostali byli ubrani skromnie i zwyczajnie.

W porównaniu z tymi wykształconymi ludźmi o naukowych zainteresowaniach Amerykanie byli analfabetami i idiotami. Nawet chłopci pracujący na polu potrafili recytować z pamięci Puszkina. Klasyka literatury była jednym z najbardziej poszukiwanych towarów na czarnym rynku. Gdy odwiedzało się cmentarze w klasztorze Aleksandra Newskiego w Leningradzie, można było zobaczyć groby Dostojewskiego i Czajkowskiego zawsze obsypane świeżymi kwiatami, codziennym darem prostego ludu. Dla porównania, połowa absolwentów amerykańskich szkół średnich, zwłaszcza Murzyni, potrafiła czytać tylko na tyle, by zrozumieć napisy w komiksie o przygodach Batmana.

Taka więc była nagroda za prawie sześćdziesiąt lat rewolucji socjalistycznej. Jednolite, nieznacznie rozwarstwione społeczeństwo, które jest pilnie chronione. Ramon często porównywał je do matrioszki, lalki sprzedawanej w turystycznych sklepach Bieriozki, tych sprytnie wyrzeźbionych postaci ludzkich, które wkładało się jedna w drugą; zewnętrzne warstwy kryły i chroniły cenny środek.

Nawet rosyjska ekonomia była myląca dla kogoś z Zachodu. Amerykanie widzieli kolejki po żywność i brak dóbr konsumpcyjnych, więc w swej naiwności i prostocie umysłu uważali to za oznakę upadłości lub przynajmniej choroby systemu. Ukryta przed nimi była wewnętrzna ekonomia maszyny przemysłu zbrojeniowego. Była to ogromna, wysoko efektywna i silna struktura, która nie tylko dorównywała amerykańskiej, kapitalistycznej odpowiedniczce, ale znacznie ją przewyższała.

Ramon uśmiechnął się, przypominając sobie opowieść o amerykańskim kosmonaucie, który siedział w kapsule czołowej swojej rakiety i czekał na start. Zapytano go wówczas z ziemi, czy jest zdenerwowany, na co on odpowiedział: „A jak się można czuć, gdy się korzysta z największego wysiłku tysięcy tych, którzy obstawiają niskie stawki?” W rosyjskim przemyśle zbrojeniowym byli tylko najlepsi.

Podobnie nie było żadnych wyjątków od zasady „równych szans” w zatrudnianiu na wyższych szczeblach w rosyjskich siłach zbrojnych. Przyjmowano tam tylko najlepszych. Ramon miał świadomość, że był jednym z nich, że należał do grona asów.

Wyprostował się, gdy samochód przejeżdżał przez plac Dzierżyńskiego, na którym na cokole stała bohaterska postać założyciela służb bezpieczeństwa, i skierował się ku okazałemu, najważniejszemu gmachowi na Łubiance.

Kierowca skręcił w węższą uliczkę, która biegła za kwaterą główną, i zatrzymał się na parkingu, przeznaczonym dla pojazdów wysokich rangą oficerów. Ramon zaczekał, aż kapral otworzy mu drzwi, po czym ruszył ku tylnemu wejściu i wkroczył do budynku przez masywne, odlane z żelaza drzwi.

Przy okienku kontroli byli jeszcze dwaj inni oficerowie KGB. Zaczekał na swoją kolej. Kapitan straży bezpieczeństwa był sumienny i pracowity. Trzy razy porównywał jego rysy z fotografią w dokumencie stwierdzającym tożsamość, zanim pozwolił mu wpisać się do rejestru.

Ramon wjechał zabytkową windą na drugie piętro. Winda i kandelabry były relikdami z minionych czasów, gdyż przed rewolucją w budynku tym mieściła się ambasada.

Kiedy wszedł do swojego biura, sekretarka już oczekiwała na polecenia. Powitała go, gdy wieszal swój płaszcz na drzwiach.

– Dzień dobry, towarzyszu pułkowniku.

Zauważył, że zmieniła fryzurę i rozwichrzone, kręcone włosy ułożyła w ładne loki. Wolał, gdy opadały swobodnie. Katrina miała skośne oczy, które prawdopodobnie odziedziczyła po jakichś tatarskich przodkach. Była to dwudziestoczteroletnia wdowa po wojskowym pilocie testującym nowe samoloty, który zginął, oblatując prototyp odrzutowca MiG-27.

Sekretarka wskazała tekturowe pudełko, leżące na biurku.

– Co mam z tym zrobić, towarzyszu pułkowniku?

Zdjęła pokrywkę i Ramon zajrzał do środka. Było tam wszystko, co pozostało po generale Cicero. Wysprzątała szuflady biurka, które teraz – nareszcie – należało tylko do Ramona.

Oprócz złoczonego wiecznego pióra Parkera i skórzanego portfela w pudełku nie było żadnych rzeczy osobistych. Ramon wyjął portfel i otworzył go. W przegródkach znalazł sześć zdjęć. Na każdym z nich był Cicero w towarzystwie któregoś z ważnych liderów południowoafrykańskich – Nyerere, Kaundy, Nkrumaha.

Kiedy wkładał portfel z powrotem do pudełka, jego dłoń dotknęła przypadkiem delikatnych palców Katriny. Zadrżała nieco i usłyszał, jak złapała oddech.

– Proszę zanieść to do archiwum i wziąć pokwitowanie – polecił.

– Natychmiast, towarzyszu pułkowniku.

Była atrakcyjną, łagodną kobietą, miała wąską talię i przyjemnie szerokie biodra. Oczywiście, została bardzo dokładnie sprawdzona, a Ramon skrupulatnie notował dane, dotyczące stosunków między nimi. Mieli na swój związek milczącą zgodę szefa departamentu. Jej mieszkanie było dla niego wygodną bazą w czasie pobytów w Moskwie, mimo że w dwóch pokojach mieszkali jeszcze jej rodzice i trzyletni syn.

– Na biurku jest dla was zielona przesyłka, towarzyszu pułkowniku – powiedziała Katrina zachrypłym głosem i wzięła kartonowe pudełko. Policzki wciąż miała lekko zaróżowione po krótkim kontakcie fizycznym. Ramon poczuł odrobinę żalu, że będzie musiał o północy opuścić Moskwę. Spędzał w stolicy przeciętnie po kilka dni w miesiącu. Tak rzadko widywał Katrinę, że jeszcze po dwóch latach budziła jego zainteresowanie.

Musiała czytać w jego myślach, gdyż zniżyła głos do szeptu:

– Czy zjecie u nas kolację przed odlotem? Mama zdobyła wspaniałą kiełbasę i butelkę wódki.

– Dobrze, wpadnę na trochę – zgodził się i przeszedł do swojego gabinetu.

Zielone pudełko leżało na biurku; rozpiął bluzę munduru i zerwał pieczęć, którą

założono w departamencie szyfrowania.

Gdy przeczytał kod Czerwonej Róży, poczuł przyspieszone bicie serca. Nie podobało mu się to.

Czerwona Róża była po prostu agentem jak stu innych, których był przełożonym. Jeśliby pozwolił sobie na kierowanie się osobistymi pobudkami, jego praca byłaby mniej efektywna. Mimo to gdy wyjmował z pudełka skoroszyt, nagle przed oczami stanął mu obraz nagiej dziewczyny, rozciągniętej na czarnej skale w górskim strumieniu w Hiszpanii. Widział wszystko bardzo wyraźnie, nawet jej błękitne oczy.

– Otworzył akta i od razu zobaczył, że był to raport dotyczący systemu radarowego marynarki, który polecił jej zdobyć. Dotarł tu w torbie z londyńskiej ambasady. Kiwnął z zadowoleniem głową i zajrzał do swego notatnika. Sięgnął po słuchawkę telefonu komunikacji wewnętrznej i wykreślił numer do działu akt.

– Proszę o pilny wydruk. „Protea”, numer 1178.

W oczekiwaniu na dostarczenie wydruku wstał z fotela i podszedł do okien. Rozciągał się przed nim wystarczająco nowy widok, by zająć jego uwagę. Ponad pomnikiem założyciela zobaczył las budynków sięgający aż; do przypominających kształtem cebulę kopuł cerkwi Błogosławionego Wasyla i murów Kremla.

Ciągle niepokoiły go wspomnienia związane z Czerwoną Różą, wywołane zieloną przesyłką. Skierował myśli ku podróży, którą rozpocznie o północy na lotnisku Szeremietiewo, i ku dziecku, które czekało na niego u jej kresu.

Nie widział Nicholasa od ponad dwóch miesięcy. Na pewno znowu podrośł i mówi jeszcze ładniej. Miał niezwykle bogaty zasób słownictwa jak na swój wiek. Ojcowska duma to burżuazyjne uczucie i Ramon usiłował ją zwalczyć. Nie powinien stać przy oknie i marzyć, gdy czekało na niego tyle pracy. Spojrzał na zegarek. Za czterdzieści osiem minut jest umówiony na spotkanie, którego rezultat będzie miał zasadniczy wpływ na najbliższe dziesięć lat jego kariery.

Wrócił do biurka i z górnej szuflady wyjął notatki. Katrina przepisała je na maszynie, zostawiając duże odstępy między wierszami. Przeleciał wzrokiem strony i stwierdził, że zna wszystko na pamięć. Nauczył się swego wystąpienia słowo w słowo. Dalsze zagłębianie się w tekst popsułoby tylko efekt spontaniczności. Odłożył maszynopis na bok.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i sekretarka wprowadziła urzędnika z działu akt. Ramon pokwitował odbiór wydruku komputerowego, a gdy Katrina i urzędnik wyszli, rozciął kopertę i rozłożył kartkę na biurku.

Pseudonim „Protea” nosił inny jego południowoafrykański agent. Prawdziwe jego nazwisko brzmiało Dieter Reinhardt. Był Niemcem, urodzonym w Dreźnie w 1930 roku. Jego ojciec odznaczył się jako dowódca jednego z Ubootów admirała Doenitza. Po podziale Niemiec Dieter zgłosił się do szkoły oficerów w powstającej marynarce wojennej Niemieckiej Republiki Demokratycznej, a dwa lata później wstąpił w szeregi KGB.

Jego ucieczka przez mur berliński na Zachód została osobiście wyreżyserowana przez generała Cicero. Reinhardt i jego żona wyemigrowali w 1960 roku, a gdy został obywatelem Afryki Południowej, wstąpił do jej marynarki i dosłużył się stopnia komandora. Obecnie był dowódcą służb informacyjnych w kwaterze naczelnego dowództwa w Silver Mine.

Wydruk był kopią dokumentów dotyczących sieci radarowej Siemens instalowanej w Silver Mine, które wpłynęły trzy tygodnie wcześniej.

Ramon położył obok raport Czerwonej Róży i porównywał je punkt po punkcie, paragraf po paragrafie. Po dziesięciu minutach stwierdził z zadowoleniem, że były identyczne w każdym szczególe. Rzetelność Protei była wyjątkowa. Sprawdzano go przez dziesięć lat i dawno temu otrzymał pierwszą klasę – najwyższą kategorię jako

źródło informacji.

Czerwona Róża właśnie przeszła pierwszą kontrolę. Uznano ją za zdolną do pracy operacyjnej i przyznano jej trzecią klasę. Po czterech latach przygotowań Ramon stwierdził, że gra była warta świeczki. Uśmiechnął się do wiszącego na ścianie naprzeciwko portretu Leonida Breżniewa, a generalny sekretarz przyglądał mu się poważnie spod krzaczastych brwi.

Katrina zatelefonowała przez prywatną linię.

– Towarzyszu pułkowniku, jesteście oczekiwani na najwyższym piętrze za sześć minut.

– Dziękuję, towarzyszo. Proszę przyjść tu do mnie i być świadkiem podczas niszczenia dokumentów.

Stała obok niego, kiedy włożył wydruk raportu Protei do maszyny do niszczenia papieru i podpisał jeszcze raz notatkę w swoim dzienniku, żeby poświadczyć likwidację dokumentu.

Patrzyła, jak zapina bluzę munduru i w małym ściennym lustrze poprawia wstążki orderów. Potem wręczyła mu plik notatek na spotkanie.

– Powodzenia, towarzyszu pułkowniku – stanęła blisko niego.

– Dziękuję – odwrócił się, nawet jej nie dotykając. Nigdy w pracy.

Ramon wszedł do strzeżonej sali konferencyjnej na najwyższym piętrze budynku. Kazano mu czekać samemu przez dziesięć minut. Na pomalowanych na biało ścianach nie było żadnej boazerii, za którą można by ukryć mikrofon. Oprócz obowiązkowych portretów Lenina i Breżniewa nic ich nie ozdabiało. Przy długim stole konferencyjnym stało dwanaście krzeseł.

W końcu drzwi od biura dyrektora się otworzyły.

Pojawił się w nich generał Jurij Borodin, szef czwartego departamentu, któremu teraz Ramon składał raporty. Był on krępy, siwowłosy mężczyzną po siedemdziesiątce, ostrożnym i przebiegłym. Ramon podziwiał i obawiał się go.

Człowiek, który wszedł za nim, zasługiwał na jeszcze większy szacunek. Choć młodszy od Borodina, miał nieco ponad pięćdziesiąt lat, był już członkiem Prezydium Rady Najwyższej i wiceministrem spraw zagranicznych.

Raport Ramona spotkał się ze znacznie gorszym przyjęciem, niż oczekiwał. Kazano mu bronić swych tez przed jednym ze stu najbardziej wpływowych ludzi w Rosji.

Aleksiej Judenicz był niski i drobny, ale spojrzenie miał srogie i przenikliwe niczym mistyk. Potrząsnął krótko ręką Ramona i spojrzał mu w oczy, gdy Borodin przedstawiał ich sobie, a potem zajął miejsce dla przewodniczącego; jego współpracownicy usiedli po obu stronach.

– Macie nowatorskie poglądy, młody człowieku – zaczął ostro, a jego dobór przymiotników raczej nie oznaczał pochwały. W Ministerstwie Spraw Zagranicznych młodość nie była atutem cenionym na równi ze skłonnością do prowadzenia polityki w tradycyjnym, wypróbowanym stylu.

– Chcecie zaprzestać udzielania wsparcia ruchom wyzwolenicznym w Afryce Południowej, Afrykańskiemu Kongresowi Narodowemu (ANC) i Południowoafrykańskiej Partii Komunistycznej oraz w ogóle walce zbrojnej w RPA.

– Z całym szacunkiem, towarzyszu dyrektorze – odpowiedział ostrożnie Ramon – to nie było moim zamiarem.

– W takim razie nie przeczytałem waszego raportu. Czy nie napisaliście, że ANC okazał się najbardziej nieudolną i nieefektywną organizacją podziemną we współczesnej historii?

– Wyszczególniłem przyczyny tego stanu rzeczy oraz sposoby naprawienia błędów.

Judenicz chrząknął i odwrócił stronę kopii jego raportu.

– Proszę kontynuować. Wyjaśnijcie, dlaczego walka zbrojna w Afryce Południowej nie powiedzie się, w przeciwieństwie do, na przykład, Algierii?

– Istnieją ogromne różnice, towarzyszu ministrze. Osadnicy w Algierii byli Francuzami, a Francja leży po przeciwnej stronie Morza Śródziemnego. Biały Afrykaner nie ma takiej możliwości ucieczki, za jego plecami rozciąga się Ocean Atlantycki. Musi walczyć. Afryka jest jego ojczyzną.

– Tak – skinął głową Judenicz. – Proszę mówić dalej.

– Walczących w Algierii jednoczył islam i wspólny język. Prowadzili wojnę, natomiast czarni Afrykanie nie mają takiej motywacji. Dzieli ich język i waśnie plemienne. Dla przykładu, Afrykański Kongres Narodowy jest organizacją skupiającą niemal wyłącznie członków plemienia Xhosa, co wyklucza udział w niej bardzo liczniejszego i silniejszego plemienia Zulusów.

Judenicz słuchał nie przerywając mu przez piętnaście minut. Cały czas wpatrywał się w twarz Ramona. Kiedy wreszcie ten skończył mówić, zapytał cicho:

– Więc co proponujecie?

– Nie ma wyjścia – pokręcił głową Ramon. – Z całą pewnością walka zbrojna musi być kontynuowana. Coraz większą rolę zaczynają w niej odgrywać ludzie młodszy, o szerszych poglądach, bardziej oddani, tacy jak Raleigh Tabaka. Po nich możemy spodziewać się w przyszłości większych osiągnięć. Ja proponuję do walki dodać ostre sankcje ekonomiczne i serię bojkotów...

– Nie mamy ekonomicznych kontaktów z Afryką Południową – przerwał Judenicz.

– Chciałbym zaproponować, byśmy pozwolili zrobić to za nas naszemu głównemu wrogowi. Należałoby zorganizować w Ameryce i Europie Zachodniej kampanię, której celem będzie zniszczenie ekonomiczne RPA. Niech nasi wrogowie przygotowują dla nas grunt i zasieją ziarna rewolucji. My zbierzemy owoce.

– Jak według was mamy się do tego zabrać?

– Wiecie o tym, że dysponujemy doskonale rozbudowaną siatką agentów w amerykańskiej Partii Demokratycznej. Mamy kontakty z najwyższymi szczeblami amerykańskich mediów, a także ogromny wpływ na takie organizacje, jak NAACP czy Trans Africa Foundation. Proponuję zjednoczyć amerykańską lewicę pod hasłem walki z apartheidem w Afryce Południowej. Sprawimy, by stało się ono wewnętrzną sprawą Stanów Zjednoczonych. Zelektryzuje to czarną ludność Ameryki i, by zapewnić sobie jej głosy, Partia Demokratyczna pójdzie za nimi. Zorganizujemy kampanię w murzyńskich gettach i na uniwersyteckich kampusach Ameryki na rzecz wprowadzenia bezwzględnych sankcji, które doprowadzą do upadku gospodarki i do krachu we władzy, nie będącej już w stanie ani chronić siebie, ani utrzymywać służb specjalnych. Kiedy to nastąpi, wkroczymy i zaprowadzimy nasze rządy.

Przez chwilę milczeli, rozkoszując się tą zadziwiającą wizją. Aleksiej Judenicz zakasłał i zapytał cicho:

– Ile to będzie kosztowało – mówię o kosztach finansowych?

– Miliardy dolarów – przyznał Ramon, a gdy Judenicz ściągnął brwi dodał: – Miliardy dolarów amerykańskich, towarzyszu ministrze. Pozwolimy decydować o wszystkim Partii Demokratycznej, a zapłaci za to naród amerykański.

Minister Judenicz uśmiechnął się po raz pierwszy tego popołudnia. Dyskusje trwały jeszcze dwie godziny, zanim Jurij Borodin zadzwonił po swojego pomocnika.

– Wódki – powiedział.

Butelka przyniesiona na tacy była pokryta grubą warstwą szronu.

Aleksiej Borodin wzniósł pierwszy z wielu toastów.

– Za amerykańską Partię Demokratyczną!

Zaśmiali się, opróżnili szklaneczki, uścisnęli sobie dłonie i pokleпали się po ramionach.

Dyrektor Borodin przesunął się nieznacznie i znalazł się obok Ramona Machado, który to zauważył. Stał w szeregu ze swoim młodym, błyskotliwym podwładnym.

Mieszkanie Katriny znajdowało się w jednej z ładniejszych części miasta.

Z okna jej sypialni widać było park Gorkiego i wesołe miasteczko. Oświetlone miriadą bajecznych świateł diabelskie koło obracało się powoli na tle szarych chmur, gdy Ramon wysiadł z czajki i wszedł głównym wejściem do bloku.

Był to relik z czasów Rosji carskiej, wspaniała budowla w stylu rokoko, lecz bez windy i Ramon musiał wdrapać się po schodach na szóste piętro. Dzięki temu opary wódki wywietrzały mu trochę z głowy.

Matka Katriny wspaniale przyrządziła wieprzowe kiełbaski, dodając do nich kapustę. W całym bloku czuć było zawsze zapach gotowanej kapusty.

Jej rodzice darzyli Ramona wiernopoddańczym, przypoehlebnym szacunkiem. Matka podała mu największą porcję kiełbasy, a Katrina naląa pieprzówki do szklanki. Kiedy już zjedli, rodzice Katriny zabrali dziecko i poszli oglądać telewizję u sąsiadów, dyskretnie opuszczając Ramona i Katrinę, aby mogli się pożegnać.

– Będę za tobą tęskniła – szepnęła, gdy zaprowadziła go do pojedynczego łóżka w swoim pokoju i pozwoliła opaść na podłogę spódnicy od munduru. – Proszę, wróć szybko.

Mieli jeszcze godzinę, zanim Ramon będzie musiał pojechać na lotnisko. Jej skóra była aksamitnie gładka i ciepła w dotyku. Wokół różowo-brązowych sutków widać było delikatne, niebieskie żyłki. Wystarczyło mu czasu, aby ją w pełni zaspokoić. Wyszedł od niej na chwiejnych nogach. Otuliła swe wspaniałe ramiona wytartym szlafrokiem i poprawiła rozrzucone loki. Przy drzwiach nachyliła się ku niemu i pocałowała mocno.

– Wróć do mnie szybko, proszę. Och, proszę!

O tak późnej porze ruch na drodze prowadzącej na lotnisko był niewielki; jechało tylko kilka huczących wojskowych ciężarówek. Dotarł do celu w niecałe pół godziny.

Ramon podróżował tak często, że opracował swój własny sposób na minimalizowanie dolegliwości związanych ze zmianami czasu. Nie jadł ani nie pił alkoholu w czasie lotu i nauczył się zasypiać w każdych warunkach. Człowiek, który potrafił zapaść w sen na rozpalonej skale w Etiopii przy temperaturze czterdziestu dwóch stopni albo w szklarni, jaką są tropikalne lasy w Ameryce Środkowej, podczas gdy robactwo łąziło po jego skórze, uśnie także w niewygodnym fotelu pasażerskiego iliuszyna.

Mimo że słońce przygrzewało mocno, przez co na jego sportowej koszulce pojawiły się plamy potu w okolicach kręgosłupa i pod pachami, czuł jeszcze zimową północ w Moskwie, a nie południe na Karaibach, gdy wyszedł z samolotu na lotnisku Jose Marti w Hawanie. Zatelefonował do kogoś, kto miał go teraz zawieźć do Cienfuegos.

Kiedy wyszedł z budynku terminalu, dogadał się z kierowcą jednej z dobrej jakości amerykańskich taksówek, który zawiózł go do obozu wojskowego w Buenaventura.

Po drodze minęli fontannę Bahia de Cochinos i muzeum poświęcone walce w Zatoce Świń. Spojrzał z satysfakcją, przypominając sobie swoją rolę w tym poniżeniu amerykańskich barbarzyńców.

Było już późne popołudnie, gdy taksówka zatrzymała się przed bramą obozu w Buenaventura. Codzienne zajęcia żołnierzy zbliżały się do końca i kolumny pułku spadochroniarzy Cne Guevary maszerowały w kierunku koszar. Były to wyborowe

oddziały w brązowych mundurach polowych, wyszkolone do ataku w każdym miejscu na świecie, ale od ostatniego posiedzenia Politbiura w Hawanie przygotowywały się do desantu w Afryce.

Ramon zatrzymał się, by przyjrzeć się jednemu z mijających go oddziałów. W jego skład wchodziły kobiety i mężczyźni, wszyscy śpiewali jedną z pieśni rewolucyjnych, które tak dobrze pamiętał z gorzkich dni spędzonych w Sierra Maestra. Tytuł jej brzmiał „Ziemia bezdomnych”, a słowa sprawiły, że dostał gęsiej skórki, mimo że to było tak dawno temu. Pokazał przepustkę przy bramie do części obozu dla żonatych oficerów.

Ramon był ubrany w sportową koszulkę i cienkie bawełniane spodnie, a na nogach miał sandały, ale sierżant zsalutował mu z szacunkiem, gdy zobaczył nazwisko i szarżę. Ramon był jednym z osiemdziesięciu dwóch bohaterów. Mówiono o nich w szkołach i śpiewano pieśni.

Jego dom stał w rzędzie jednakowych chat z dwoma sypialniami, płaskim dachem i ze ścianami z cegły, które zbudowano pod palmami w pobliżu plaży. Spokojne wody Zatoki Świń rozpryskiwały się o wysokie pnie palm.

Adra Olivares zamiatała wąską werandę przed domem. Gdy był jeszcze sto jardów od domu, podniosła wzrok i zobaczyła go.

– Witajcie, towarzyszu pułkowniku – powiedziała cicho, gdy wszedł na werandę i mimo że opuściła wzrok, nie mogła ukryć strachu w oczach.

– Gdzie jest Nicholas? – zapytał stawiając walizę na betonowej podłodze.

Kobieta spojrzała w stronę plaży. Grupa dzieci bawiła się na brzegu morza. Ich przenikliwe wrzaski słychać było poprzez szum wiatru w liściach palm. Wszystkie były w strojach kąpielowych, odsłaniających opalone ciała.

Nicholas stał nieco na uboczu, a serce Ramona poruszyło się, gdy rozpoznał swego syna. Zaczął o nim myśleć w ten sposób dopiero w ostatnim roku. Przedtem zawsze było to „dziecko”, a w dokumentach „dziecko Czerwonej Róży”. Podstępnie stało się „moim synem”, ale tylko w jego myślach. Nigdy tych słów nie wymówił ani nie napisał.

Ramon zszedł z werandy i pospieszył ku palmom na plaży. Usiadł na falochronie przy faldze sygnalizującej przyływ i przyglądał się chłopcu.

Nicholas skończył właśnie trzy lata. Był dobrze rozwinięty fizycznie i psychicznie jak na swój wiek. Wyglądało na to, że będzie kiedyś wysokim mężczyzną; już teraz jego kończyny były długie i silne, bez odrobiny dziecięcego tłuszczu. Stał z wypchniętym biodrem, gdyż cały ciężar ciała przeniósł na jedną nogę, jego poza przywodziła na myśl „Dawida” Michała Anioła.

Zainteresowanie Ramona dzieckiem pojawiło się wtedy, gdy okazało się, że jest ono bardzo inteligentne. Raporty opiekunki z obozowego przedszkola były pełne zachwyty. Rysował i mówił tak, jakby miał kilka lat więcej. Do tego czasu Ramon nie zajmował się jego wychowaniem. Załatwił to mieszkanie dla Adry Olivares i Nicholasa poprzez zwierzchników w Hawanie. Adra była teraz porucznikiem służby bezpieczeństwa.

To również była zasługa Ramona. Musiała być oficerem, aby móc otrzymać kwatery w domkach w Buenaventura i aby Nicholas mógł chodzić do wojskowego żłobka i przedszkola.

Przez pierwsze dwa lata Ramon nie widział dziecka, chociaż przez jego biurko przeszło wiele raportów z kliniki i wydziału edukacyjnego, kiedy przygotowywał przesyłki dla Czerwonej Róży. W końcu te sprawozdania i dołączane do nich zdjęcia obudziły jego ciekawość. Przyjechał do Buenaventury ze stolicy.

Wydawało mu się, że dziecko natychmiast go poznało. Schowało się za nogami Adry i wyglądało zza nich z przestraszeniem. Ostatnim razem widziało swego ojca w tej

białej sali operacyjnej w klinice w Buenaventura, kiedy Ramon odgrywał jego topienie, aby zmusić Czerwoną Różę do posłuszeństwa. Nicholas miał wtedy zaledwie kilka tygodni. Niemożliwe było, by mógł pamiętać to zdarzenie, a jednak jego zachowanie nie wyglądało na przypadkowe.

Ramon był zaskoczony swoją własną reakcją na strach dziecka. Był przyzwyczajony do tego, że ludzie drżą w jego obecności. Rzadko musiał demonstrować swoją srogość, aby zaszczepić w kimś strach, ale to było coś zupełnie innego.

Oprócz matki i kuzyna Fidela do żadnego człowieka nie żywił głębszych, życziwych uczuć. Zawsze uważał to za jeden ze swoich największych atutów. Był niemal nieczuły na wszelkie emocje czy sentymenty. To pozwalało mu podejmować decyzje i działania jedynie na podstawie logiki i rozumu. Jeśli zaszła taka potrzeba, potrafił poświęcić towarzysza, którego znał od wielu lat, a potem nie gryził się, nie miał niepotrzebnych, źle wpływających na jego formę wyrzutów sumienia. Mógł czule kochać piękną kobietę, a w kilka godzin później podpisać rozkaz jej egzekucji. Nauczył się być ponad wszelkie marne, prymitywne uczucia. Pracował nad sobą i przemienił się w jednego ze stalowych ludzi Lenina; ze swej siły i stanowczości uczynił straszną broń, a potem nieoczekiwanie dojrzał skazę na metalu, z którego była wykonana jego dusza.

„Drobna skaza – pocieszał się, siedząc na falochronie w pełni karaibskiego słońca i obserwując dziecko. – Cieniutka rysa na ostrzu i tylko dlatego, że on jest częścią mnie. Krew z mojej krwi, ciało z mego ciała i moja nadzieja na nieśmiertelność”.

Wrócił myślą do tego zdarzenia w klinice wojskowej. W swojej wyobraźni zobaczył jeszcze raz wijące się niemowlę i usłyszał przerażone wrzaski i urywany oddech, gdy wyjmowano jego mokrą główkę ze zbiornika z wodą. Nie wyrzucił tego z pamięci.

„Wówczas było to konieczne – pomyślał. – Nigdy nie żałuj zdecydowanego, niezbędnego uczynku godnego stalowego człowieka”.

Dziecko nachyliło się i podniosło leżącą u stóp muszelkę. Obróciło ją w dłoniach i wygięło szyję, by przyjrzeć się jakiemuś świejącemu szczegółowi.

Loki Nicholasa były ciemne i gęste, a słońce nadawało im rudawy połysk. Wiele cech odziedziczył po swojej matce. Nawet Ramon rozpoznawał ten doskonały, klasyczny nos i piękną linię podbródka. Ale zielone oczy miał po ojcu.

Nagle chłopiec zamachnął się i wyrzucił muszelkę. Podskoczyła kilka razy na spokojnej powierzchni, zostawiając za sobą niewielkie dołki. Potem Nicholas odwrócił się i odszedł samotnie wzdłuż brzegu. W tym momencie rozległ się pisk bólu dochodzący z grupy dzieci, stojących trochę dalej na plaży. W rozgardiaszu ktoś popchnął jedną z dziewczynek, która się przewróciła i zawołała z płaczem:

– Nicholas!

Chłopiec westchnął, podszedł i pomógł się jej podnieść. Był to mały ładny skrzat; jeden policzek miała w piachu, a z wielkich ciemnych oczu płynęły łzy. Kostium zsunął jej się, ukazując pulchne różowe pośladki.

Nicholas podciągnął go, przywracając przyzwoity wygląd, jednocześnie unosząc ją lekko do góry; potem wziął dziewczynkę za rękę i zaprowadził do wody. Zmył piasek z jej policzka i obtarł łzy. Jeszcze raz pociągnęła nosem i przestała płakać. Wzięła go za rękę i ruszyli wzdłuż plaży.

– Zaprowadzę cię do mamy – powiedział Nicholas. Nagle chłopiec podniósł głowę i zobaczył ojca. Zatrzymał się i patrzył na niego.

Ramon zauważył ślad strachu w jego oczach, który natychmiast został ukryty. Po chwili dziecko uniosło wyzywająco podbródek, a jego twarz znieruchomiała.

Ramonowi spodobało się to. Dobrze, że chłopiec odczuwa strach, ponieważ jest



on podstawą szacunku i posłuszeństwa. Cieszył się również z tego, że jego syn potrafi opanować to uczucie. Zdolność ukrywania strachu była jedną z cech charakteryzujących przywódców. Już pokazał siłę i opanowanie znacznie przekraczające jego młody wiek.

„To jest mój syn” – pomyślał Ramon i uniósł rękę rozkazującym gestem.

– Podejź tu, chłopcze – powiedział.

Dziewczynka skuliła się, potem puściła rękę Nicholasa i uciekła na plażę głośno płacząc i krzycząc, ale tym razem wołała swoją mamę. Ramon nawet nie spojrzął za nią. Często spotykał się z taką reakcją dzieci. Nicholas chwilę stał bez ruchu, potem podszedł do niego.

– Dzień dobry, ojcze – przywitał go i wyciągnął rękę z powagą.

– Dzień dobry, Nicholasie. – Ramon uściśnął wyciągniętą dłoń.

Nauczył go witać się jak dorosły, ale to Adra powiedziała chłopcu, w jaki sposób ma się do niego zwracać. Nie powinien na to pozwolić, ale w gruncie rzeczy był zadowolony. Poczł miłe, sentymentalne ukłucie, że jego syn zwraca się do niego jak do prawdziwego ojca, ale na to mógł sobie pozwolić.

– Usiądź tu – wskazał mu miejsce na falochronie. Nicholas wdrapał się i przysiadł obok machając nogami.

Przez chwilę panowało milczenie. Ramon nie lubił dziecięcej paplaniny.

Wreszcie zapytał:

– Co ostatnio robiłeś?

Nicholas poważnie zastanowił się nad pytaniem.

– Chodzę codziennie do szkoły.

– A czego uczą cię w szkole?

– Robimy ćwiczenia i poznajemy rewolucyjne pieśni – odparł Nicholas, po czym zastanawiał się jeszcze chwilę. – I malujemy. Znowu milczeli, aż Nicholas pospieszył z pomocą:

– Po południu pływamy i gramy w piłkę, a wieczorami pomagam Adrze w domu. Potem razem oglądamy telewizję.

„On ma trzy lata – przypomniał sobie Ramon. – Na Zachodzie dzieci w jego wieku na takie pytanie odpowiadają: »Nic«, albo: »Takie tam...« Nicholas mówi jak mężczyzna, jak mały, dojrzały mężczyzna”.

– Przywiozłem ci prezent – powiedział Ramon.

– Dziękuję, ojcze.

– Nie chcesz wiedzieć, co to jest?

– Pokażesz mi – zauważył chłopiec – i wtedy będę wiedział.

Był to mały plastikowy karabin AK47, który został tak wiernie skopiowany, że nawet miał wyjmowany magazynek, załadowany pomalowanymi na metaliczny kolor nabojami. Ramon kupił go w sklepie z zabawkami podczas ostatniego pobytu w Londynie.

Oczy Nicholasa zaświeciły się, gdy przyłożył broń do ramienia i wycelował ją w stronę plaży. Oprócz chwili strachu na początku było to jedyne uczucie, jakie okazał od przybycia Ramona. Kiedy nacisnął spust, zabawkowy karabin wydał satysfakcjonujący wojenny szczęk.

– Jest piękny – powiedział Nicholas. – Dziękuję, ojcze.

– To dobra zabawka dla dzielnego syna rewolucji – rzekł Ramon.

– Czy ja jestem dzielnym synem rewolucji?

– Pewnego dnia będziesz nim.

– Towarzyszu pułkowniku, czas już na kąpiel dziecka – wtrąciła się Adra nieśmiało.

Zabrała Nicholasa i poprowadziła go do domku przez werandę. Ramon

przewyciężył pokusę, by pójść za nimi. Uczestniczenie w takim burżuazyjnym rytuale byłoby niewłaściwe. Zamiast tego poszedł na werandę i usiadł przy małym stoliku, na którym Adra postawiła dzban z sokiem limony i butelkę rumu Havana Club, bez wątpienia najlepszego na świecie.

Ramon przyrządził sobie mojito, a następnie wybrał cygaro z pudełka leżącego na stole. Palił tylko wtedy, gdy był w domu na Kubie i tylko cygara najwyższej jakości od Miguela Fernandez Roiga i Adra wiedziała o tym. Podobnie jak havana club, były one najlepsze na świecie. Wziął szklankę ze słodkim napojem oraz cygaro i wrócił na swój fotel; patrzył, jak słońce zamieniało wody zatoki w krwawe złoto.

Z łazienki usłyszał plusk wody, wesołe okrzyki syna i delikatne upomnienia Adry.

Ramon, żołnierz i podróżnik, który przemierzał kontynenty, doświadczał w tej chwili prawdopodobnie największego ciepła rodzinnego w swym życiu; być może było to zastugą dziecka.

Adra podała posiłek złożony z kurczaka oraz Moros y Cristianos, czyli „Maurów i Chrześcijan”, mieszankę czarnej fasoli i białego ryżu. Poprzez DGA Ramon załatwił preferencyjną książeczkę reglamentacyjną dla tego małego gospodarstwa. Chciał, by chłopiec był silny i dobrze odżywiony.

– Wkrótce wyjedziesz ze mną – powiedział Nicholasowi podczas jedzenia. – Za morze. Czy chcesz pojechać, Nicholasie?

– Czy Adra pojedzie z nami?

To pytanie go zirytowało. Nie uznał tej złości za zazdrość. Odpowiedział krótko: si.

– W takim razie chcę. – Nicholas skinął głową. – Dokąd pojedziemy?

– Do Hiszpanii – powiedział mu Ramon. – Do kraju twoich przodków i do kraju, w którym się urodziłeś.

Po kolacji Nicholas mógł przez godzinę oglądać telewizję. Gdy opadły mu powieki, Adra zabrała go do sypialni.

Kiedy wróciła do małego, kompletnie wyposażonego pokoju dziennego, zapytała: – Czy będziecie mnie jeszcze dziś potrzebować?

Ramon skinął głową. Choć skończyła czterdzieści lat, brzuch miała płaski, a uda twarde i silne. Nigdy nie rodziła i miała niezwykle rozwinięte mięśnie. Na jego żądanie podniecała go pewną sztuczką. Trzymał w jednej dłoni ołówkę, a ona chwytala go, spazmatycznie kurcząc zwieracz pochwowy.

Była biegła w sztuce miłości, naturalna i miała ogromną intuicję jak żadna z jego kochanek; co więcej, bała się go, co zwiększało przyjemność obojga.

\*

O świecie Ramon popłynął do końca zatoki. Z trudem przebył ten dwumilowy odcinek w drugą stronę, pokonując falę i bijąc rękami wzburzoną wodę.

Kiedy wrócił z plaży, Nicholas był już gotowy do wyjścia, a wojskowy jeep czekał za domkiem. Ramon włożył brązowy strój spadochroniarza i miękką czapkę. Było to rewolucyjne ubranie, bez galonu, szkarłatnej lamówki i rzędów wstążek od medali. Nicholas siedział dumny obok niego w jeepie w czasie krótkiej przejażdżki, zanim wysadzili go koło przedszkola przy głównej bramie.

Podróż do Hawany zajęła nieco ponad dwie godziny, gdyż trwały zbiory trzciny cukrowej. Niebo nad wzgórzami było upstrzone chmurami dymu z ognisk, na których palono liście, na drogach zaś utworzyły się korki z ciężarówek wyładowanych ciężą trzcina, które kierowały się ku cukrowniom.

Kiedy dotarli do miasta, Ramon wysiadł na ogromnym Plaza de la Revolucion, na którym stał obelisk wysoki na trzysta pięćdziesiąt stóp poświęcony Jose Martiemu,

bohaterowi narodowemu, założycielowi Komunistycznej Partii Kuby w 1892 roku. Na placu odbywało się wiele manifestacji, na których gromadziło się ponad milion Kubańczyków pragnących usłyszeć Przemówienia Fidela Castro. Urząd prezydenta mieścił się w budynku Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Kuby, której El Jefe był pierwszym sekretarzem.

Gabinet przywódcy miał surowy wygląd, jak nakazywały reguły rewolucji. Pod sufitem obracał się wentylator, na masywnym biurku leżał plik dokumentów, nad którymi właśnie pracował. Natomiast na białych ścianach nie było żadnych ozdób oprócz portretu Lenina, wiszącego nad biurkiem. Fidel Castro podszedł i uścisnął Ramona.

– Mi Zorro Dorado! – zawołał radośnie. – Mój Złoty Lis. Cieszę się, że przyszedłeś. Zbyt długo cię nie było, stary druhu. O wiele za długo.

– Dobrze jest wrócić, El Jefe – odparł Ramon.

Naprawdę tak myślał. Tego mężczyznę szanował i kochał bardziej niż kogokolwiek innego. Zawsze zadziwiała go wielkość człowieka, którego nazywał wodzem. Castro uścisnął go mocno, potem odsunął na wyciągnięcie ręki i przyjrzał się mu.

– Wyglądacie na zmęczonego, towarzyszu. Ciężko pracujecie.

– I osiągam wspaniałe rezultaty – zapewnił go Ramon.

– Usiądźmy przy oknie – zaprosił go Castro. – Opowiedz mi o tym.

Wybrał dwa cygara Roig z pudełka leżącego na stole i dał jedno Ramonowi.

Podsunał mu zapaloną zapałkę, potem przypalił swoje i usiadł w fotelu z wysokim prostym oparciem. Pochylił się do przodu, trzymając cygaro w kąciaku ust i wypuszczając niewielkie kłęby dymu.

– Powiedz mi, co słyhać w Moskwie. Widziałeś Judenicza?

– Widziałem, El Jefe, spotkanie było udane...

Ramon przystąpił do zdawania raportu. Unikanie pogaduszek, wstępów do poważnych dyskusji było dla nich typowe. Żaden z nich nie musiał manewrować, by zająć lepszą pozycję. Ramon mógł mówić zupełnie szczerzej nie bojąc się, czy go nie urazi, ani nie starając się polepszyć swojej sytuacji.

Jego pozycja była nie do zdobycia. Łączyło ich braterstwo krwi i dusz.

Oczywiście, Castro bywał zmienny, jak na przykład w wypadku Che Guevary, drugiego z osiemdziesięciu dwóch bohaterów, którzy przetrwali a'Granmę. Che wypadł z łask, kiedy nie zgodził się z polityką gospodarczą Castra i chcąc nie chcąc stał się błędnym rycerzem rewolucji, Waltem Whitlmanem z granatem i kałasznikowem. Ale to się zdarzyło Che; Ramona nigdy coś takiego nie spotka.

– Judenicz zgodził się wesprzeć naszą nową politykę eksportową - powiedział Ramon, a Castro zachichotał.

To był taki ich żart. Castro był natchnionym, politycznym geniuszem i miał rzadki dar: potrafił przekazywać swą wizję masom narodu. Ale mimo że był człowiekiem wykształconym – zanim owdądnęła nim rewolucja był praktykującym, dyplomowanym prawnikiem – na ekonomii nie znał się zupełnie. Nie zawracał sobie głowy równowagą wynagrodzenia, zatrudnienia i produktywności. Jego wizja była szersza, pomijał takie drobnostki. Lubił to, co śmiałe i wielkie. Ramon ufał, że plan, który opracował, trafi mu do przekonania. Był śmiały i prosty.

Problem polegał na tym, że całe bogactwo Kuby opierało się na trzech podstawowych towarach: cukrze, tytoniu i kawie. Było to za mało, by zapewnić Fidelowi Castro taką ilość twardej waluty, która pozwoliłaby mu na realizację ambitnych planów związanych z reformą miejską, opieką socjalną, a także umożliwiła wprowadzenie pełnego zatrudnienia w dynamicznie rozrastającym się społeczeństwie.

Od rewolucji populacja zwiększyła się dwukrotnie. Według prognoz podwoi się

znowu za kolejne dziesięć lat. Plan Ramona miał temu przeciwdziałać. Zapewni im dopływ gotówki i pomoże zlikwidować bezrobocie na wyspie.

„Nowa polityka ekonomiczna” polegała po prostu na eksporcie ludzi, mężczyzn i kobiet, którzy będą walczyli za rewolucję na krańcach ziemi. Być może uda się wysłać aż sto tysięcy, czyli blisko dziesięć procent ludności w wieku produkcyjnym. Za jednym zamachem pozbyliby się bezrobocia i napełnili państwową kiesę pieniędzmi uzyskanymi za armię najemników.

Castro polubił ten plan od razu, gdy Ramon mu go przedstawił. Była to taka ekonomia, którą on rozumiał i doceniał.

– Judenicz przedstawi go Breżniewowi – zapewnił go Ramon, a Castro głąskał swą brodę, jakby to był włochaty czarny kot.

– Jeśli Judenicz go przedstawi, to nie mamy się czym martwić – przechylił się do przodu, opierając ręce na kolanach. – Obaj wiemy, dokąd chcesz ich posłać.

– Mam dziś kilka spotkań w ambasadzie tanzańskiej – powiedział Ramon.

W Hawanie mieściło się siedemnaście afrykańskich ambasad, wszystkie reprezentowały socjalistyczne rządy państw, które niedawno wyzwoliły się spod kolonialnego ucisku. Rząd Tanzanii, na czele z Juliusem Nyerere, należał do najbardziej marksistowskich. Nyerere już zadeklarował, że każdy, kto posiada więcej niż akr ziemi, jest „kapitalistą i wrogiem ludu” i wszystko, co ma, zostanie skonfiskowane przez państwo. Obywatele Tanzanii aktywnie wspierali tych, którzy walczyli o wolność w innych kolonialnych państwach Afryki. Dawali schronienie bojownikom o wolność z portugalskiej Angoli i Mozambiku, z rasistowskiego pariasa – Afryki Południowej oraz z kraju średniowiecznego niewolnictwa rządzonego przez tyrana, cesarza Hajle Sellasje – z Etiopii. Wszędzie tam znajdzie się dużo pracy dla najemników z Kuby.

– Spotkam się z etiopskimi oficerami, którzy są oddani sprawie marksistowskiego socjalizmu i zaryzykują własne życie, by zerwać jarzmo narzucone przez ciemność.

– Tak – skinął głową Castro. – Etiopia jest już gotowa. Ramon przyjrzał się popiołowi ze swego cygara; był zbity i kruchy, miał długość prawie dwóch cali.

– Obaj wiemy, że los wyznaczył cię, byś odegrał ważną rolę poza granicami tej pięknej wyspy. Afryka czeka na ciebie.

Castro wyprostował się z zadowoleniem i położył swe wielkie, silne dłonie na kolanach, a Ramon mówił dalej:

– Afrykanie mają wrodzoną nieufność wobec Matki Rosji. Wszyscy Rosjanie na Kremlu pochodzą z Kaukazu, a to określenie także pochodzi stamtąd. Niestety, z przykrością trzeba stwierdzić, że pomimo tylu swoich zalet Rosjanie w większości są rasistami. Nic na to nie poradzimy. Wielu afrykańskich przywódców, zwłaszcza młodszych, studiowało w Rosji. Kiedy przechodzili korytarzem Uniwersytetu imienia Patrice Lumumby, słyszeli szept obozjania, czyli małpa. Rosjanie są biali i są rasistami – w głębi serca Afryka im nie ufa.

Ramon zaciągnął się spokojnie dymem z cygara i na chwilę zamilkli.

– Mów dalej – ponaglił go Castro.

– Z drugiej strony ty, El Jefe, jesteś prawnikiem Afryki... Castro pokręcił głową.

– Jestem Hiszpanem – zaprzeczył. Ramon uśmiechnął się tylko.

– Jeślibyś twierdził, że twoi przodkowie zostali sprzedani na targu niewolników w Hawanie, czy ktoś by w to wątpił? – zasugerował delikatnie. – A jak wielkie byłyby wówczas twoje wpływy w Afryce?

Castro milczał, zastanawiając się nad tym, a Ramon mówił dalej cicho:

– Musimy przygotować ci długą podróż. Triumfalny przejazd, zaczynając od Egiptu poprzez dwadzieścia krajów, w których mógłbyś mówić o trosce i o oddaniu dla narodów Afryki. Gdybyś pokazał swoje związki z Afryką dwustu milionom

Afrykanów, jak wielkie wpływy mógłbyś uzyskać? – Ramon pochylił się i dotknął przegubu jego dłoni. – Już nie prezydent prześladowanego kraju, już nie zabawka Ameryki, ale mąż stanu o międzynarodowych wpływach i władzy.

– Mój Złoty Lis – powiedział cicho Castro. – Nic dziwnego, że cię kocham.

\*

Ambasada Tanzanii mieściła się tymczasowo w jednym z hiszpańskich budynków z czasów kolonialnych w starej części miasta.

Tu czekali na Ramona Etiopczycy. Było ich trzech, wszyscy oficerowie imperialnej armii cesarza Hajle Sellasje. Tylko jeden z nich interesował Ramona. Kapitana Getachewa Abebe spotkał już kilka razy podczas swych wizyt w Addis Abebie.

W Etiopii różnice etniczne były zatarte. Tysiącletnia inwazja i zawieranie małżeństw pomiędzy plemionami kaukaskimi zza Morza Czerwonego i tymi, które pochodziły z głębi kontynentu afrykańskiego, zaowocowały mieszanką, której nie można już rozdzielić. Określenia takie jak Galia czy Amhara odnoszą się do grup językowych i kulturowych, a nie etnicznych.

Ale w wypadku kapitana Getachewa Abebe dominowała linia afrykańskich przodków. Miał ciemną skórę ze śladami po przebytej ospie i pełne usta. Ukształtował go Uniwersytet w Addis Abebie. Joe Cicero umieścił tam dużą grupę amerykańskich i brytyjskich marksistów w charakterze profesorów i wykładowców. Getachew Abebe był jednym z wyróżniających się studentów, a dzięki swym nauczycielom został żarliwym marksisto-leninistą. Ramon obserwował go i okazywał zainteresowanie nim od wielu lat, aż w końcu uznał, że się nadaje. Był inteligentny, nieugięty i bezlitosny, a do tego całkowicie oddany sprawie. Mimo że miał niewiele ponad trzydzieści lat, Ramon wstępnie wybrał go na następnego przywódcę Etiopii.

Kiedy uścisnęli sobie dłonie w pokoju na tyłach ambasady Tanzanii, Ramon posłał mu ostrzegawcze spojrzenie i wymownie wskazał na kolekcję afrykańskich masek, którymi były pokryte ściany. Za każdą z nich mógł być ukryty mikrofon.

Ich rozmowa była banalna i trwała niecałe pół godziny. Kiedy się zegnali, Ramon szepnął Abebe do ucha cztery słowa określające miejsce i czas.

Spotkali się godzinę później w „Bodeguita del Medio”. Był to najśłynniejszy bar na starym mieście. Na podłodze leżały wióry, stoły i krzesła były poryte nożami i zniszczone. Ściany pokrywały graffiti oraz podpisy ludzi sławnych i zwykłych: od Hemingwaya do Spencera Trący i Edwarda, księcia Windsoru – wszyscy oni tutaj pili. Ich poźółkłe, wyblakłe fotografie wisiały w prostych drewnianych ramach, krzywe i popstrzone przez muchy. W długim, wąskim pomieszczeniu było ciemno od dymu. Ludowa muzyka dochodząca z radia i głośne okrzyki podpitych gości zagłuszały ich cichą dyskusję.

Siedzieli w najdalszym kącie, przed każdym z nich stało na stole mojito. Napój wylewał się ze szklanek, pod którymi tworzyły się mokre pierścienie, ale żaden z nich nie brał alkoholu do ręki.

– Towarzyszu, czas już prawie nadszedł – powiedział Ramon, a Abebe skinął głową.

– Lew Amhary zestarzał się i stracił zęby; jego syn to słaby, ulegający wpływom idiota. Naród jęczy pod jego rządami i cierpi największy głód i suszę od stu lat. Czas już nadszedł.

– Dwóch rzeczy musimy unikać – ostrzegł Ramon. – Pierwsza to zbrojna rewolucja. Jeśli armia powstanie i natychmiast straci cesarza, zostaniecie pominięci. Macie zbyt niską rangę. Władzę przechwyci jeden z generałów.

– Więc? – zapytał Abebe. – Jakie jest rozwiązanie?  
– Pełzająca rewolucja – rzekł Ramon.  
Abebe pierwszy raz słyszał ten termin, ale nie przyznał się do tego.  
– Rozumiem – mruknął, a Ramon mówił dalej:  
– Derg musi wezwać Hajle Sellasje, by zdał relację ze swoich rządów, i zażądać jego abdykacji. Jak mówicie, stary lew stracił zęby. Jest w izolacji, nie ma z nikim kontaktu. Musi się zgodzić. Użyjcie wszystkich swoich wpływów w Dergu, a ja wykorzystam swoje.  
Derg to etiopski parlament, zgromadzenie wodzów plemiennych i dowódców armii, ministrów i starszyzny kapłanów. Cała instytucja była infiltrowana przez marksistów z uniwersytetu w Addis Abebie. Nad większością z nich sprawował kontrolę czwarty departament Ramona. Wszyscy zgodzili się, by Getachew Abebe był ich przywódcą.  
– Wtedy ustanowimy prowizoryczną, opartą na wojsku juntę, a ja sprowadzę znaczne siły z Kuby. W ten sposób wzmocnimy waszą pozycję. Gdy nic jej już nie będzie zagrażało, zrobimy następny krok.  
– Jaki? – zapytał Abebe.  
– Cesarz musi być wyeliminowany – powiedział Ramon – aby zapobiec powrotowi rojalistów.  
– Egzekucja?  
– Egzekucje są zbyt jawne i wywołują za dużo emocji – pokręcił Ramon głową. – To stary człowiek. Po prostu umrze, a wtedy...  
– A wtedy wybory? – wtrącił Abebe, a Ramon spojrzał na niego ostro. Dopiero gdy zobaczył cyniczny uśmiech, uśmiechnął się nieznacznie.  
– Zadziwiacie mnie, towarzyszu – przyznał Ramon. – Przez chwilę myślałem, że mówicie poważnie. Wybory są ostatnią rzeczą, jakiej byśmy pragnęli, zanim ustalimy, kto obejmuje urząd prezydenta i jaka będzie forma rządów. Nigdy i nigdzie masy nie były w stanie same sprawować władzy; są jeszcze mniej zdolne do tego, by wybrać tych, którzy mają nimi rządzić. Naszym obowiązkiem jest dokonać tego wyboru za nie.  
– Będę was potrzebował w Addis, towarzyszu – powiedział Abebe. – Będę potrzebował waszych rad i silnej ręki Kuby, by stoczyć zwycięską walkę w niebezpiecznych, pełnych emocji dniach, które nadchodzą.  
– Będę z wami, towarzyszu – obiecał mu Ramon. – Razem pokażemy światu, jak należy przeprowadzać rewolucję.

\*

„Zawsze istniało ryzyko – myślał Ramon – ale należy je rozważyć, pamiętając o możliwych korzyściach. Następnie należy przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności, aby je zmniejszyć”.

Nadszedł czas, by umożliwić Czerwonej Róży kontakt z dzieckiem, tak jak przedtem dano jej czas, by się do niego przywiązała. Wolno jej było wtedy czuć dziecko ssące pokarm z jej piersi i poznać każdy najdrobniejszy szczegół jego ciała, ale to wszystko miało miejsce trzy lata wcześniej i ten związek mógł już osłabnąć. Ramon użył tego przerażającego materiału na wideo, zdjęć i opinii lekarskich, by wzmocnić w niej macierzyńskie instynkty. Ale trzy lata to bardzo dużo i czuł, że jego wpływ na Czerwoną Różę się zmniejsza.

Musi otrzymać nagrodę za dostarczenie autentycznego raportu Siemens'a i nauczyć się, że współpraca jest jej jedynym wyjściem. Z drugiej strony, nie należy jej zachęcać do podejmowania jakichś szalonych wysiłków. Była silną i samowolną

osobowością. Tkwił w niej niebezpieczny duch, ogromny zapas energii i siły, który – jak przypuszczał Ramon – będzie trudno zniszczyć. Można ją zastraszyć, ale czy kiedykolwiek uda się ją podporządkować? Nie był tego jeszcze pewien. Należało z nią postępować niezwykle ostrożnie.

Nie można dopuścić, by mogła pomyśleć, iż spotkanie z Nicholasem to dowód ich wspaniałomyślności. Musi wiedzieć, że trzymają ją w pułapce stalowe ręce.

Ramon rozważył wszystkie niepożądane reakcje, które ta wizyta może obudzić. Najbardziej prawdopodobne było to, że Czerwona Róża wpadnie na nierozważny pomysł, by uciec z dzieckiem lub by zaplanować jakiś ratunek.

Podjął w związku z tym pewne środki ostrożności. Hacjenda mieściła się daleko. Była własnością członka Partii Komunistycznej, który z całą rodziną udał się do Nowego Jorku. Ramon wprowadził tam część personelu KGB, żeby zajął się tym spotkaniem.

Na hacjendzie i wokół niej rozmieszczono dwunastu strażników. Wszyscy byli uzbrojeni. Broń dotarła do Madrytu w torbie dyplomatycznej wraz z krótkofalówkami i narkotykami, które mogą okazać się potrzebne, gdyby Czerwona Róża zachowywała się zbyt histerycznie.

Ramon miał szczególny powód, by wybrać Hiszpanię na miejsce spotkania. Czerwona Róża nigdy nie mogła się dowiedzieć, gdzie przetrzymywano Nicholasa. W pełni zdawał sobie sprawę z potęgi i wpływów rodziny Courtneyów. Gdyby Czerwona Róża poszła do swego ojca i jeśliby wiedzieli, gdzie znajduje się dziecko, mogliby wynająć najemników albo nakłonić tajne służby RPA, by zorganizowały próbę porwania chłopca.

Musi uwierzyć, że Nicholas jest przetrzymywany tu, w Hiszpanii.

Oczywiście, to było dosyć logiczne. Nicholas tutaj się urodził. Wiedziała, że Ramon był Hiszpanem. Ostatni raz widziała chłopca w Hiszpanii. Nie miała powodów, by myśleć, że przewieziono go do jakiegoś innego kraju, zwłaszcza na drugą stronę Atlantyku.

Przylecieli z Hawany do Londynu samolotem Aeroflotu i na Heathrowl przesiedli się do samolotu Iberian Airways. Po spotkaniu Adra i dziecko wrócą tą samą trasą pod opieką dwóch goryli z KGB, a on poleci na południe, do Etiopii.

Ramon stał przy zasłoniętym oknie w wieży hacjendy. Przez żaluzje patrzył na czerwone dachówki, pokryte plamami gromadzącego się tu od stu lat mchu. Dom wyglądał bardzo tradycyjnie. Grube, białe ściany otaczały plac. Na tym porośniętym trawą podwórku urządzono basen. Ozdobny daktylowiec rósł w każdym rogu. Pod długimi liśćmi wisiały pęki dojrzewających żółtych owoców.

Ze swego miejsca w wieży Ramon mógł obserwować nie tylko podwórko, ale także pola i winnice wokół hacjendy. Sam był ukryty za drewnianymi żaluzjami. Na osłoniętych murem zarośli drózkach, które przecinały winnice, kryły się samochody. Były gotowe zareagować na każde jego polecenie wydane przez radio i odciąć wszystkie drogi ucieczki. Ramon rozmieścił ośmiu strażników wokół posiadłości i w oknach wychodzących na podwórko. Jeden z nich miał snajperską strzelbę, drugi karabin maszynowy, ale Ramon nie wierzył, żeby okazały się potrzebne.

Biorąc pod uwagę opłaty za przelot i zatrudniony personel, należało się spodziewać, że koszty tej operacji będą wyjątkowo wysokie. Udało mu się jednak wykorzystać strażników i pojazdy z ambasady rosyjskiej w Madrycie, a właściciel hacjendy nie zażądał żadnej zapłaty. Ramon znowu poczuł niesmak na myśl o tym, ile czasu będzie musiał zmarnować na wypełnianie raportów o wydatkach oraz na uzasadnianie każdej pozycji jednemu z księgowych, który nie jest w stanie zrozumieć potrzeb i priorytetów działań operacyjnych. Ile jeszcze zdoła osiągnąć przy tej ciągłej kontroli, której był poddawany? Jaką cenę wyznaczą za kraj, który przyłączy się do

zwolenników radzieckiego socjalizmu? Ciche trzaski z radia przerwały te nieprzyjemne rozważania.

– Da? Tak? – powiedział po rosyjsku do mikrofonu.

– Mówi numer trzeci. Widzę samochód – odezwał się strażnik, znajdujący się na końcu dróżki w południowej części posiadłości.

Ramon podszedł do okna wychodzącego na południe. Widział, jak żółty kurz wzbijany przez nadjeżdżający samochód unosi się nad winnicą.

– Bardzo dobrze – wrócił na swoje poprzednie miejsce i skinął na kobietę z działu łączności ambasady. Siedziała za elektroniczną konsolą, do której był podłączony mikrofon zainstalowany aż na podwórku. Każde wypowiedziane tam słowo zostanie zarejestrowane, a całe spotkanie będzie nagrywane na wideo.

Oczywiście, w każdym pokoju, do którego mogła wejść Czerwona Róża – nawet w toaletach i w łazience – ukryto mikrofony uruchamiane na dźwięk głosu. Ramon zażądał tego sprzętu w ambasadzie w Madrycie. Nagrania głosów i aktualne zdjęcia będą pożytecznymi produktami ubocznymi tej operacji.

Samochód znalazł się w polu widzenia Ramona, kiedy pojawił się w głównej bramie posiadłości. Niebieska cortina z dyplomatycznymi tablicami rejestracyjnymi zatrzymała się przed drzwiami hacjendy.

Isabella Courtney wysiadła jako pierwsza, za nią zaś strażniczka z ambasady, która eskortowała ją z lotniska. Isabella zatrzymała się na chodniku prowadzącym do domu i spojrzała na zasłonięte żaluzjami okna wieży, jakby czując na sobie spojrzenie Ramona. Podniósł do oczu lornetkę i przyjrzał się jej uniesionej do góry twarzy.

Bardzo zmieniała się od czasu, gdy widział ją po raz ostatni. Niewiele w niej przypominało tę roztrzepaną, beztroską dziewczynę. Stała się dojrzałą kobietą. Jej zachowanie było zrównoważone i pełne godności, a rysy twarzy wydawały się bardziej wyraziste. Była szczupła, zbyt szczupła. Miała ciemne sińce pod oczami. Nawet z takiej odległości widział pierwsze ślady trudów życia i trosk, wyryte w kącikach jej ust i zmarszczkę sięgającą aż do szczęki. Było coś tragicznego w jej postaci, jakieś cierpienie, które go przyciągało. Nie była już taka ładna, ale zdecydowanie bardziej atrakcyjna i interesująca niż kiedyś.

Dosyć nieoczekiwanie pojawiła się myśl, że to jest matka Nicholasa, a w następnej chwili Ramon poczuł ukłucie żalu i współczucia. Te emocje rozżłościły go. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek doświadczał takich osłabiających zdolności operacyjne uczuć, ani w celach podczas przesłuchań na Łubiance, ani przy kołach tortur w dżungli w Kongo. Gniew skierował najpierw na siebie, a potem na nią. To ona odpowiadała za tę chwilową słabość. Osłaniał tę złość jak zapaloną zapałkę w wietrznej noc. Isabelli wydawało się, że dostrzegła jakieś poruszenie w zasłoniętym żaluzjami oknie na wysokiej wieży, ale uznała, że na pewno tylko jej się to wydawało.

Kobieta dotknęła ramienia Isabelli i powiedziała angielszczyzną, w której nieznacznie tylko słychać było obcy akcent:

– Chodźmy.

Isabella przeniosła wzrok z wieży na rzeźbione drzwi wejściowe z tekowego drewna, które się właśnie otworzyły. Czekąca tam druga kobieta. Isabella zapięła guziki żakietu, jakby mógł on ją ochronić niczym zbroja. Wyprostowała się, ściągając łopatki i weszła.

W środku było ponuro i chłodno. Na starej podłodze, pokrytej zniszczonymi dywanami w smutnych kolorach, stały ciemne i ciężkie meble. Dębowe drzwi były nabijane żelazem. W oknach umocowano żaluzje i kraty. W domu panowała przygnębiająca atmosfera, która sprawiła, że Isabella zatrzymała się w progu.

– Tędy – kobieta poprowadziła ją do małego pokoju przejściowego przy głównym korytarzu. Eskorta poszła za nią, niosąc walizkę i dużą paczkę, którą przywiozła



Isabella. Kobieta położyła walizkę na dębowym stole i zamknęła drzwi.

– Kluczyki – wyciągnęła rękę, a Isabella oddała je.

Obie kobiety systematycznie przeszukały walizkę. Widać było, że zostały w tym wyszkolone. Rozkładały każdą sztukę ubrania, macały szwy i podszewkę. Otwierały pudełka z kosmetykami i sprawdzały szydełkiem każdy krem i olejek, dokładnie obejrzały wszystkie tubki i wyjęły baterie z elektrycznej maszynki do golenia, której Isabella używała do usuwania włosów pod pachami. Sprawdziły obcasy zapasowych butów i podszewkę walizki. Potem zabrały się za paczkę. Był w niej prezent, który przywiozła Nicholasowi. Jedna z nich sięgnęła po torebkę, Isabella podała ją. Zajęły się nią bardzo dokładnie.

– Proszę zdjąć ubranie.

Isabella wzruszyła ramionami i zaczęła się rozbierać. Brały każdą zdejmowaną rzecz i badały ją skrupulatnie. Wyjęły poduszki z ramion marynarki i sprawdziły stanik.

Kiedy była już zupełnie naga, jedna z kobiet poleciła:

– Podnieś rękę.

Zrobiła to posłusznie i ku swemu przerażeniu zobaczyła, że jedna z nich zakłada chirurgiczną rękawiczkę na prawą rękę i zanurza dwa palce w wazelinie. – Odwróć się – rozkazała.

– Nie – pokręciła głową Isabella.

– Chcesz zobaczyć chłopca? – zapytała kobieta, trzymając w górze dwa palce, które świeciły się od wazeliny. – Odwróć się. Isabella zadrżała i poczuła gęsią skórkę.

– Proszę – wyszeptwała. – Daję wam słowo. Niczego nie ukrywam. To nie jest potrzebne.

– Odwróć się – głos kobiety nie zmienił się. Isabella powoli wykonała polecenie.

– Nachyl się – powiedziała kobieta. – Połóż rękę na stole. Pochyliła się i chwyciła mocno stołu.

– Rozsuń stopy.

Isabella zdała sobie sprawę z tego, że poniżano ją celowo. Wiedziała, że była to część ich planu. Starła się tym nie przejmować, ale westchnęła, kiedy poczuła w sobie palce kobiety i zaczęła się cofać.

– Stój spokojnie.

Zagryzła wargi i zamknęła oczy. Badanie przeprowadzano bez pośpiechu i dokładnie.

– W porządku – kobieta cofnęła się. – Ubieraj się. Isabella poczuła łyzy na policzkach. Wyjęła chusteczkę z kieszeni marynarki i otarła je. Były to łyzy wściekłości.

– Zaczekaj tu – kobieta zdjęła rękawiczkę i wyrzuciła ją do kosza. Obie wyszły z pokoju i zamknęły drzwi.

Isabella ubrała się szybko i usiadła na ławce. Ręce jej drżały. Zacisnęła je w pięści i schowała do kieszeni marynarki. Kazano jej czekać prawie godzinę.

\*

Ramon oglądał przeszukiwanie rzeczy i badanie Isabelli na małym ekranie wideo. Kamera była tak ustawiona, żeby przez cały czas mógł dokładnie widzieć jej twarz. To, co zobaczył, napętniło go niepokojem. Miał nadzieję, lecz nie pewność, że zastraszy ją całkowicie. Zamiast tego w jej oczach ujrział zimną furję i nierozważną zawziętość w zaciśniętych szczękach. Przyglądał się jej uważnie, pochylając nad ekranem. Czy ta furia była zabójcza czy samobójcza? Nie miał pewności.

W tym momencie Isabella spojrzała prosto w obiektyw ukrytej kamery.

Zorientowała się, że to kamera, a Ramon dostrzegł, jak zaczyna panować nad sobą. Niebieskie oczy przygasły, a twarz wyrażała teraz czystą obojętność.

Ramon wyprostował się. Westchnął. Było tak, jak się spodziewał od samego początku – na Isabellę można naciskać tylko do pewnego momentu. Czuł, że ten moment jest już blisko. Może się zbuntować. Należało zmienić taktykę. Bardzo dobrze, był na to przygotowany. Zmiana często przynosiła dobre efekty, ponieważ wprowadzała zamieszanie i niepewność w umyśle osobnika, który był podmiotem operacji. Ramon zawsze starał się być elastyczny i wszechstronny.

Odwrócił się od ekranu i zawołał cicho:

– Przyprowadzić dziecko.

Adra przyszła z drugiego pokoju, trzymając Nicholasa za rękę.

Ramon przyjrzał mu się dokładnie, tak jak przedtem jego matce. Adra umyła mu tego ranka głowę. Jego łśniące, rozwichrzone loki opadały na czoło. Ubrała go w jednokolorową koszulkę z krótkim rękawkiem i krótkie bawełniane spodenki. Ręce i nogi miał szczupłe i ładnie opalone, usta różowe, a ciemne gęste brwi rysowały się nad dużymi, poważnymi oczami. Taki widok wzruszy serce każdej matki.

– Pamiętasz, co ci powiedziałem, Nicholasie?

– Si, padre.

– Spotkasz się z pewną sympatyczną panią. Ona bardzo cię lubi i ma dla ciebie prezent. Bądź miły i zwracaj się do niej „mama”.

– Czy ona chce mnie zabrać od Adry?

– Nie, Nicholasie. Przyjechała tylko po to, żeby trochę z tobą porozmawiać i dać ci prezent. Potem odjedzie. Czy będziesz dla niej miły? Jeśli tak, to Adra pozwoli ci wieczorem obejrzeć kreskówkę na wideo. Zgoda?

– Tak, ojczcie. – Nicholas uśmiechnął się uradowany.

– Zmykaj już.

Ramon obrócił się do okna i wyjrzał poprzez żaluzje. Na podwórku poniżej pojawiła się kobieta z KGB prowadząca Isabellę. Wskazała jej ławkę obok basenu, a jej głos wzmacniał mikrofon, który miała przy sobie.

– Proszę tutaj czekać. Dziecko zaraz przyjdzie.

Kobieta odwróciła się, a Isabella podeszła do ławki. Usiadła, wyjęła z torebki okulary przeciwsłoneczne i założyła je. Zza ciemnych szkielek przyjrzała się uważnie i ostrożnie otoczeniu. Ramon nacisnął przycisk transmisyjny w swoim dwukierunkowym radiu.

– Wszystkie stanowiska, mówi numer jeden. Pełna gotowość. Spotkanie rozpoczęte.

Oprócz elektronicznej aparatury służącej do podsłuchu w Isabellę były teraz wycelowane również strzelba snajpera oraz karabin na strzałki naładowany tentanyłem, który unieruchomiłby człowieka w ciągu dwóch minut. Ramon miał pod ręką dwie dziesięciomiligramowe fiolki nalorfinu jako antidotum. Nawet gdyby musiał posunąć się do ostateczności, nie chciał stracić tak potencjalnie wartościowej agentki, jaką była Czerwona Róża. Nagle Isabella zerwała się i patrzyła z przejęciem na drugą stronę placu. Ramon spojrział w dół. Tuż poniżej wieży pojawili się Adra i Nicholas. Widział czubki ich głów.

Największym wysiłkiem woli Isabella powstrzymała się, by nie pobiec przez trawnik i nie pochwycić syna w ramiona. Intuicja podpowiadała jej, że to mogłoby zmieszać i zdenerwować dziecko. Był w wieku, kiedy chłopcy nie znoszą, gdy traktuje się ich jak małe dzieci. Tak często czytała książkę doktora Spocka, że cała była zniszczona i wymiętoszona.

Zdjęła okulary i stała bez ruchu. Nicholas trzymał mocno rękę Adry i przyglądał się swojej matce z ogromnym zainteresowaniem.

Isabella myślała przedtem, że jest przygotowana na spotkanie z synem. Ostatnie jego zdjęcie, jakie otrzymała, pochodziło sprzed dwóch miesięcy, ale miało się nijak do rzeczywistości. Nie mogło oddać kolorów, gładkości jego skóry, tych loków i tych oczu... och, co za oczy!

„Boże – pomyślała – to najcudowniejsze dziecko. Nigdy nie będzie drugiego takiego jak on. Boże, pomóż, by mnie polubił”.

Adra pociągnęła chłopca lekko za rękę, by przyspieszył kroku. Obeszli basen i zatrzymali się przed nią.

– Buenos dias, senorita Bella – powiedziała cicho Adra po hiszpańsku. – Nicholas lubi pływać. W cabanie są kostiumy dla was obojga – wskazała na zamknięte drzwi. – Możecie się tam przebrać.

Potem spojrzała na Nicholasa.

– Przywitaj się z panią, twoją matką – poleciła cicho i puściła jego rękę. Odwróciła się i odeszła szybko, zostawiając ich zupełnie samych na podwórku.

Nicholas nie uśmiechnął się ani nie oderwał wzroku od twarzy Isabelli. Zrobił krok do przodu i wyciągnął prawą dłoń.

– Dzień dobry, mamó. Nazywam się Nicholas Machado i cieszę się, że cię widzę.

Isabella chciała upaść na kolana i uścisnąć go z całych sił. Słowo „mama” ukuło jej serce jak bagnet. Zamiast tego ujęła rączkę dziecka i uścisnęła ją ostrożnie.

– Jesteś wspaniałym młodym mężczyzną, Nicholasie. Słyszałam, że świetnie ci idzie w przedszkolu.

– Tak – potwierdził Nicholas. – A w przyszłym roku wstąpię do młodszych pionierów.

– To bardzo dobrze – zgodziła się. – A kto to są młodzi pionierzy, Nicholasie?

– Wszyscy to wiedzą – jej ignorancja najwyraźniej go rozbawiła. – To są synowie i córki rewolucji.

– To cudownie – dodała prędko Isabella. – Przywiozłam ci prezent.

– Dziękuję, mamó – oczy Nicholasa wbrew niemu spoczęły na paczce.

Isabella usiadła na ławce i wręczyła mu prezent, a Nicholas przykucnął przed nią i rozpakował go ostrożnie. Przez chwilę nic nie mówił.

– Podoba ci się? – zapytała Isabella z niepokojem.

– To piłka nożna – powiedział Nicholas.

– Tak. Podoba ci się?

– To najlepszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałem – rzekł.

Spojrzał na nią, a jego oczy, mimo że były tak nienaturalnie poważne, powiedziały jej, że naprawdę tak myśli.

„On jest tak powściągliwy i zamknięty w sobie, jakby był dorosłym mężczyzną – pomyślała. – Jakie przerażające wydarzenia i koszmary to sprawiły?”

– Nigdy jeszcze nie grałam w piłkę nożną – powiedziała. – Nauczysz mnie?

– Jesteś dziewczyną – odparł Nicholas z powątpiewaniem.

– Ale chciałabym spróbować.

– Dobrze – wstał, trzymając piłkę pod pachą. – Tylko będziesz musiała zdjąć buty.

W ciągu kilku minut cała powściągliwość chłopca wyparowała. Piszczął z radości, dryblując i pędząc za piłką. Był zwinny jak mysz polna, a Isabella biegła za nim, śmiała się razem z nim, słuchała jego poleceń i pozwoliła mu strzelić pięć bramek pomiędzy nogami ławki.

Kiedy w końcu oboje upadli ciężko na trawnik, Nicholas poinformował ją, łapiąc z trudem oddech:

– Jesteś całkiem niezła jak na dziewczynę.

Przebrali się w stroje kąpielowe, a Nicholas urządził dla niej pokaz swego

męstwa. Najpierw przepłynął całą długość basenu pieskiem, a jej pochwały były tak entuzjastyczne, że stwierdził:

– Mogę przepłynąć cały basen wszerek pod wodą. Popatrz.

Dopłynął prawie do końca i wynurzył się tuż przy słupku. Miał czerwoną twarz, dyszał i sapał.

Isabella siedziała po pas w wodzie na schodkach po płytkiej stronie basenu. W pierwszym odruchu chciała mu przeszkodzić, ponieważ przypomniała sobie, że kiedy go widziała po raz ostatni, był siłą zanurzany w wodzie, ale postarała się uśmiechnąć i zawołała radośnie:

– Och, świetnie, Nicholasie!

Podszedł do niej, wciąż z trudem łapiąc powietrze i bez ostrzeżenia usiadł jej na kolanach.

– Jesteś ładna – powiedział. – Lubię cię.

Ostrożnie, jakby chłopiec mógł się roztrzaskać niczym cenny kryształ, wzięła go w ramiona i przytuliła. W chłodnej wodzie jego ciało było ciepłe i śliskie; czuła, jak mocno bije jej serce.

– Nicholasie – szepnęła – och, moje dziecko. Jak ja cię kocham. Tak bardzo się za tobą stęskniłam.

Popołudnie minęło jak błyskawica na letnim niebie i wkrótce Adra przyszła po chłopca.

– Nicholas musi teraz iść na kolację. Czy chce pani zjeść razem z nim, seniorita.

Zjedli al fresco przy stole, który Adra ustawiła dla nich na podwórku. Podzielili się pieczonym besugo, morskim leszczem z Atlantyku i surówkarni. Nicholas dostał szklanek świeżego soku pomarańczowego, a Isabella szklaneczkę sherry. Pokroiła leszcza, żeby wyjąć z niego ości, ale Nicholas jadł sam.

Gdy chłopiec kończył lody, poczuła, że wszystko wokół niej się kręci, uszy się jej zatkały, a twarz syna powiększyła się i rozmazała.

Adra pochwyciła ją, zanim spadła z krzesła, a Ramon wyszedł na podwórko. Dwie kobiety z KGB towarzyszyły mu.

– Dobrze się spisałeś, Nicholasie – powiedział Ramon. – A teraz uciekaj z Adrą do łóżka.

– Co się stało tej miłej pani?

– Nic złego. Po prostu jest bardzo śpiąca. Tobie też chce się spać.

– Tak, ojciec – gdy to powiedział, ziewnął i przetarł oczy piąstkami. Adra odprowadziła go, a Ramon skinął na czekające kobiety.

– Zabierzcie ją do pokoju.

Kiedy one podnosiły Isabellę z krzesła, wziął ze stołu pustą szklaneczkę i wytarł ślady narkotyku chusteczką.

\*

Isabella obudziła się w dziwnej sypialni. Czuła się wypoczęta i spokojna. Promienie porannego słońca docierały tu przez żaluzje. Zmrużyła sennie oczy i naciągnęła na nagie ramiona prześcieradło. Zastanawiała się ospale, gdzie się znajduje, ale nie mogła sobie przypomnieć nic konkretnego.

Nagle zdała sobie sprawę z tego, że jest zupełnie naga pod prześcieradłem. Uniosła głowę. Jej ubranie leżało równiutko poskładane na krześle obok otwartych drzwi do pokoju. Walizka znajdowała się na półce na bagaż.

Potem kątem oka zauważyła jakiś ruch i obudziła się już całkowicie. W pokoju był z nią jakiś mężczyzna. Otworzyła usta, żeby krzyknąć, ale on gestem nakazał jej milczenie.

– Ram... – zaczęła wymawiać jego imię, ale on zrobił szybko dwa kroki ku łóżku i położył dłoń na jej ustach. Wytrzeszczyła na niego oczy, oszołomiona i ogłupiała. Ramon! Radość rosła w niej jak nadchodząca fala.

Podszedł do najbliższej ściany. Wisiał na niej ciemny obraz olejny w stylu Goi. Ramon obrócił go i ukazał się im ukryty mikrofon wielkości srebrnego dolara przymocowany do ściany.

Jeszcze raz uciszył ją gestem. Zdjął abażur z lampki stojącej na stoliku przy łóżku i pokazał drugi mikrofon, przymocowany do podstawy poniżej żarówki, potem pochylił się nad nią tak nisko, że czuła na policzku jego ciepły oddech.

– Chodź – dotknął jej nagiego ramienia przez prześcieradło. Nie widzieli się już tak dawno, że pomimo całego swego szczęścia czuła dziwną nieśmiałość w jego obecności.

– Wyjaśnię ci... chodź – jego oczy były pełne bólu.

Wziął ją za rękę, którą przytrzymała prześcieradło pod brodą, i ściągnął nagle przestającą się opierać z łóżka. Wciąż trzymając jej dłoń poprowadził ją do łazienki. Nie zdawała sobie sprawy ze swej nagości i potykała się trochę, co było efektem ubocznym działania narkotyku.

W łazience Ramon spuścił wodę w sedesie, odkręcił kurki w umywalce i w wannie i włączył prysznic za szklanym parawanem. Następnie wrócił do niej. Cofnęła się, bojąc się go dotknąć. Oparła się nagimi plecami o płytki terakoty.

– Co się z nami dzieje? Czy ty jesteś jednym z nich? Wszystko mi się poplątało. Proszę, powiedz mi, co się dzieje. Jego cudowne rysy wykrzywiła udręka.

– Jestem w takiej samej sytuacji jak ty. Muszę współpracować dla dobra Nicky'ego. Nie mogę tego teraz wyjaśnić – to siła większa od nas. Złapali nas, wszystkich troje. Och, moja droga, jak bardzo chciałbym trzymać cię w ramionach i wyjaśnić ci wszystko, ale mam tak mało czasu.

– Ramonie, powiedz, że wciąż mnie kochasz – wyszeptała nieśmiało.

– Tak, moja droga. Bardziej niż kiedykolwiek. Wiem, przez jakie piekło musiałaś przejść. Byłem z tobą cały czas. Wiem, co pewnie o mnie myślałaś. Pewnego dnia zrozumiesz, że wszystko, co robiłem, robiłem dla Nicky'ego i dla ciebie.

Chciała mu uwierzyć, rozpaczliwie, szaleńczo pragnęła, żeby to była prawda.

– Wkrótce – powiedział, biorąc jej twarz w swoje ręce – wkrótce będziemy razem, tylko we troje – ty, Nicky i ja. Musisz mi zaufać.

– Ramonie! – jęknęła łkając, objęła go za szyję i przytuliła się mocno. Wbrew wszelkiej logice i rozsądkowi uwierzyła we wszystko.

– Mamy dla siebie tylko kilka minut. Nie możemy ryzykować więcej. To zbyt niebezpieczne. Nigdy się nie dowiesz, na jak straszne niebezpieczeństwo Nicky jest narażony.

– Ty także – głos jej zadrżał.

– Moje życie się nie liczy. Chodzi o Nicky'ego...

– O was obu – zaprzeczyła. – Obaj jesteście dla mnie tacy cenni.

– Obiecuj mi, że nie zrobisz niczego, co mogłoby go skrzywdzić – pocałował ją w usta. – Proszę, rób wszystko, co ci każą. To nie potrwa już długo. Uwolnię nas z tego, jeśli mi pomożesz. Ale musisz mi zaufać.

– Och, mój kochany. Och, mój drogi. W głębi serca wiedziałam. Wiedziałam, że musi być jakiś powód. Oczywiście, ufam ci, moje serce.

– Bądź silna, dla nas trojga.

– Przysięgam ci – kiwnęła głową gwałtownie. Rozmazała sobie łzy na twarzy. – Boże, jak ja cię kocham. Dusiałam to w sobie tak długo.

– Wiem, moja najmilsza. Wiem.

– Proszę cię, proszę, kochaj się ze mną, Ramon. Byłam bez ciebie tak długo.

Usychałam. - Kochaj się ze mną, zanim będziesz musiał odejść.

Wziął ją szybko, a mimo to zmiażdżyło ją to jak podmuch huraganu. Kiedy wyszedł, żegnając się długim pocałunkiem, nie mogła się już utrzymać na nogach. Osunęła się powoli po ścianie i usiadła na podłodze z nogami wyciągniętymi bezwładnie. Huczała lejąca się z kranów woda, a bałwany pary wypełniły pomieszczenie. Niczego nie rozumiała. Nie musiała i już jej to nie interesowało. Liczyli się tylko Nicky i Ramon.

„Och, dzięki Bogu – pomyślała. – To nie była prawda. Żadna z tych okropności nie była prawdą. Ramon nadal mnie kocha. Damy sobie radę, wszyscy troje. Razem przez to przejdziemy. Jakoś. Kiedyś”.

Z trudem stanęła na nogach.

„Teraz muszę wziąć się w garść. Nie mogą podejrzewać...” – poszła chwiejnie pod prysznic.

Była jeszcze w staniku i majtkach, kiedy drzwi się otworzyły i bez pukania weszła ogromna kobieta o grubych rysach twarzy, która eskortowała ją z lotniska i w tak okropny sposób obszukiwała ją. Kiedy spojrzała na ciało Isabelli, ta cała aż się skurczyła i szybko włożyła spódnice.

– Czego chcesz?

– Za dwadzieścia minut jedziesz na lotnisko.

– Gdzie jest Nicky? Gdzie jest mój syn?

– Dziecka już nie ma.

– Chcę się z nim zobaczyć, proszę.

– Niemożliwe. Dziecka już nie ma.

Isabella poczuła, że jej ożywienie, które wywołało krótkie interludium z Ramonem, zaczyna znikać.

„Znowu ten koszmar – pomyślała i próbowała walczyć z ogarniającą ją rozpaczą. – Muszę ufać Ramonowi. Muszę być silna”.

Gdy jechały z powrotem na lotnisko, kobieta usiadła obok Isabelli. Był gorący poranek, a samochód nie miał klimatyzacji. Zapach ciała towarzyszki był tak silny, że Isabelli zrobiło się niedobrze i uchyliła okno.

Kierowca zatrzymał samochód przed terminalem międzynarodowym, otworzył bagażnik i wyjął z niego walizkę Isabelli, a siedząca obok niej kobieta przemówiła po raz pierwszy od opuszczenia hacjendy.

– Dla ciebie – powiedziała, wręczając zaklejoną kopertę bez adresu. Isabella otworzyła torebkę i schowała list. Kobieta patrzyła prosto przed siebie. Nie powiedziała nic na pożegnanie. Isabella wysiadła i wzięła do ręki walizkę. Kierowca zatrasnął drzwi, po czym natychmiast odjechał.

Stojąc na chodniku pośród tłumu wczasowiczów Isabella poczuła się samotna, bardziej samotna i przerażona, niż zanim zobaczyła ponownie Nicky’ego i Ramona.

„Muszę mu ufać” – powtórzyła niby litanie swej wiary i skierowała się do okienka linii Iberian. W pierwszej klasie samolotu poszła do damskiej toalety i zamknęła się w jednej z kabin. Usiadła na opuszczonej pokrywie muszli klozetowej i rozerwała kopertę.

*Czerwona Różo!*

*Ustalisz, jak zaawansowane są prace nad urządzeniem do detonacji jądrowej, prowadzone przez Armscor i Instytut Badań Jądrowych w Pelindabie.*

*Złożysz raport na temat daty i miejsca wstępnego testu urządzenia.*

*Po odbiorze powyższego raportu zostaną podjęte kroki w celu zorganizowania ci kolejnego spotkania z synem. Długość trwania tego spotkania będzie zależała od szczegółowości i zakresu informacji, które dostarczysz.*

Jak zwykle list był anonimowy. Przepisano go na maszynie na zwykłym papierze.

Wpatrywała się w litery nic nie widzącym wzrokiem.

„Coraz głębiej i głębiej – pomyślała. – Najpierw raport o radarze. To jeszcze nie było takie złe. Radar to broń obronna... ale to? Bomba atomowa? Czy to się kiedyś skończy? – Potrząsnęła głową. – Nie mogę... powiem im, nie mogę”.

Jej ojciec nawet nigdy nie napomknął o Instytucie w Pelindabie. Nigdy nie widziała żadnych akt ani nawet pojedynczego listu dotyczącego urządzenia do detonacji jądrowej. Czytała w prasie, że badania w Pelindabie miały na celu opracowanie metod oczyszczania i przetwarzania produkowanego w kraju w dużych ilościach uranu oraz skonstruowanie reaktora, służącego jako źródło energii dla przemysłu i ośrodków miejskich. Premier wielokrotnie zapewniał, że Afryka Południowa nie pracuje nad bombą atomową.

Pomimo to nie polecono jej ustalić, czy takie badania miały miejsce. Uznano to za fakt. Miała dowiedzieć się, gdzie i kiedy testowane będzie pierwsze urządzenie. Zaczęła rozrywać wiadomość na strzępy drżącymi palcami.

„Nie mogę – zdecydowała. Wstała i podniosła pokrywę muszli. Wrzuciła do niej każdy najmniejszy kawałek papieru i spuściła wodę. – Powiem im, że nie mogę. – Ale jej umysł już pracował. – Będę musiała zająć się trochę ojcem” – pomyślała i natychmiast zaczęła snuć plany.

Z powodu wizyty w Hiszpanii Isabelli nie było w kraju tylko przez pięć dni. Mimo to Nana okazała swe niezadowolenie i prychnęła, gdy wnuczka nieśmiało tłumaczyła się, dlaczego wyjechała w trakcie swej kampanii wyborczej. W ostatni piątek przed dniem wyborów premier John Vorster wygłosił przemówienie w czasie spotkania w ratuszu w Sea Point, wyrażając poparcie dla kandydatki Partii Narodowej.

Centaine Courtney-Malcomess musiała użyć całej swej inteligencji i wszystkich forteli, by nakłonić go do odwołania dwóch innych ważnych spotkań i wygłoszenia tego przemówienia. Aparat partyjny zdawał sobie sprawę z tego, że Sea Point jest okręgiem opozycji i podejmował tam działania tylko dla formy. Niechętnie wytaczali tu swą największą broń, ale Centaine jak zwykle była górą.

Ponieważ rozeszła się wieść, iż będzie przemawiał premier, sala w ratuszu była pełna. Spotkanie rozpoczęło się od tradycyjnych już okrzyków, ale nie były one złośliwe.

Isabella pierwsza zabrała głos. Było to jej najlepsze przemówienie w całej kampanii. Zgromadziła cenne doświadczenia i nabrała pewności siebie w ciągu tych tygodni, a dzięki wypadowi do Hiszpanii otrzymała zastrzyk energii.

Zarówno Nana, jak i Shasa omówili z nią tekst, którego wygłaszanie ćwiczyła przed nimi. Ci weterani polityki przekazali jej wiele cennych uwag i sugestii.

Stojąc przed wypełnioną salą Isabella przyjęła zdecydowaną postawę, a serca zgromadzonych tu ludzi zdawały się ulegać jej młodości i urokowi. Wystąpienie zostało przyjęte owacją, a John Vorster zbliżył się do niej, kiwając życzliwie głową i z aprobatą bijąc brawo.

W następną środę Nana i Shasa, przystrojeni w ogromne partyjne rozety i słomkowe kapelusze w barwach partii, stali obok Isabelli, kiedy ogłaszano wyniki wyborów.

Nie było żadnego przewrotu. Partia Postępowa utrzymała ten mandat, ale jej przewaga nad Isabellą wyniosła tylko tysiąc dwieście głosów. Zwolennicy Isabelli wynieśli ją z sali na rękach, jakby to ona zwyciężyła.

Tydzień później John Vorster zaprosił Isabellę na spotkanie w swoim gabinecie w budynku parlamentu. Znała to miejsce doskonale. Gdy ojciec był ministrem w rządzie Hendrika Yerwoerda, jego gabinet znajdował się na tym samym piętrze, tylko kilka drzwi dalej wzdłuż korytarza, za biurem premiera.

W okresie urzędowania ojca zajmowała się prowadzeniem jego biura i korzystała z niego jak z klubu, kiedy tylko była w centrum Kapsztadu. Gdy teraz szła ponownie tym szerokim korytarzem, napłynęła do niej fala wspomnień. Jako nastolatka nie doceniała historycznej aury, która panowała w tym wspaniałym budynku. Ze ścian spoglądały na nią twarze wielkich ludzi, dobrych i złych.

Premier kazał jej czekać tylko kilka minut. Kiedy znalazła się w gabinecie, natychmiast wyszedł zza biurka, by ją powitać.

– Bardzo się cieszę, że zechciałeś mnie zobaczyć, oom John – powiedziała Isabella w czystym africaans.

Użycie tak poufalej formy było bardzo niewłaściwe. Ale słowa „wujek” i „oom” wyrażały największy szacunek i okazało się, że warto było zaryzykować. Niebieskie oczy premiera błysnęły, nagradzając tupet Isabelli.

– Chciałem pogratulować ci wystąpienia w Sea Point, Belki – odpowiedział i poczuła, że jest z niej zadowolony. Użycie tego zdrobnienia było niezwykłą nagrodą. – Mam teraz przerwę na kawę – wskazał ręką na srebrną i porcelanową zastawę na stoliku. – Należysz nam po filiżance? – Po chwili, kiedy popijali aromatyczny napój, zagadnął ją bez ogródek: – Powiedz mi teraz, młoda damo, co masz zamiar ze sobą zrobić, skoro nie zostałeś deputowaną do parlamentu?

– Cóż, pracuję dla mego ojca...

– Oczywiście, wiem o tym – przerwał jej. – Ale nie możemy pozwolić, by taki świeży, młody talent się marnował. Czy zastanawiałaś się nad fotelem w Senacie?

– W Senacie? – Isabella zachłysnęła się i kawa oparzyła ją w język. – Nie, panie premierze, nie myślałam o tym. Nikt mi nigdy nie proponował...

– No, ale teraz ktoś ci proponuje. Staruszek Kleinkans w przyszłym miesiącu idzie na emeryturę. Muszę mianować kogoś na jego miejsce. To będzie dobre rozwiązanie, dopóki nie znajdziemy dla ciebie miejsca w niższej izbie.

Senat był wyższym z dwóch organów ustawodawczych Republiki Południowej Afryki. Miał podobne uprawnienia jak Izba Lordów, mógł wstrzymać budzącą wątpliwości ustawę i odesłać ją do izby niższej. Liczba zasiadających w nim osób znacznie zwiększyła się od lat pięćdziesiątych, kiedy to ówczesny premier, Malan, postanowił odebrać prawa wyborcze tym Kolorodom, którzy je posiadali. Wypełnił izbę wyższą nominowanymi przez siebie senatorami, aby przepchnąć tę budzącą wstręt ustawę, która pozbawiała kolorową ludność prawa do udziału w wyborach. Częścią tych miejsc w izbie wyższej premier nadal rozporządzał i Vorster właśnie oferował jej jedno z nich.

Isabella odstawiła filiżankę i wpatrywała się w niego bez słów. Jej umysł pracował na najwyższych obrotach, by nadażyć za niespodziewanym rozwojem wydarzeń.

– Czy przyjmujesz nominację? – zapytał Vorster.

To była wspaniała droga na skróty, o której nikomu z nich – ani Nanie, ani ojcu – nawet się nie śniło.

Hendrik Yerwoerd również swoją polityczną karierę rozpoczął od Senatu. A ona mając dwadzieścia osiem lat z pewnością będzie najmłodszym, najbystrzejszym i na pewno najbardziej atrakcyjnym politykiem w izbie wyższej.

Dzięki tej nominacji weźmie udział w pracach wielu komisji senackich. Gdyby jej wartość była nawet o połowę mniejsza, niż ona sama uważała, to i tak Partia Narodowa uczyniłaby z niej swego najważniejszego feministycznego polityka. Szybko i bez trudu otrzymałaby dostęp do najwyższych kręgów władzy, do najważniejszych tajemnic państwowych.

– To dla mnie wielki zaszczyt, panie premierze – wyszeptwała.

– Wiem, że twoja służba przyniesie ojczyźnie jeszcze większy zaszczyt –



wyciągnął ku niej dłoń Vorster. – Gratuluję, pani senator. Isabella uścisnęła jego rękę i nagle poczuła na plecach lodowaty dreszcz, gdy uświadomiła sobie, że jest zdrajczynią. Zwalczyła to wrażenie. Reakcja była natychmiastowa: z radością pomyślała, że Czerwona Róża była teraz bezcenna dla swoich władców. Wkrótce będzie mogła wyznaczać swoje warunki i sama zacznie żądać nagród.

„Nicky i Ramon – pomyślała. – Ramon i Nicky, już niedługo. Znacznie szybciej, niż moglibyśmy przypuszczać. Znowu będziemy razem”.

Isabella pokochała surową urodę Karru.

Shasa nabył rozległe ranczo z hodowlą owiec, kiedy była jeszcze dzieckiem. Podczas pierwszej wizyty znienawidziła ponure kamienne wzgórza i monotonne równiny, które rozciągały się bezsensownie aż po odległy horyzont, zamazany przez słońce i kurz, tak że miejsce, gdzie ziemia łączyła się z mlecznym, jasnym niebem, było zupełnie niewidoczne. Potem jako nastolatka przeczytała „Równiny Camdeboo” Eve Palmer i zaczęła dostrzegać piękno Karru.

Razem z ojcem szukała skamieniałości w wypiętrzonych pokładach osadowych, które były przedpotopowymi bagnami w czasach wielkich gadów, a znajdowane tu kości i kły zdumiewały ją i napełniały lękiem. Posiadłość nazywała się Smocza Fontanna – dla upamiętnienia tych przerażających stworzeń i z powodu źródła słodkiej wody, które biło w grocie u podnóża jednej z gór. Prosta ściana czerwonych skał wznosiła się ponad rozległą rezydencją, jej zielonymi trawnikami i bujnymi ogrodami, nawadnianymi przez wodę ze źródła.

Na turniach gnieździły się sępy i orły, a ich odchody bieleły wystawioną na działanie wiatru przepaść.

Ranczo zajmowało ponad sześćdziesiąt tysięcy akrów tego fascynującego pustkowie. Do stad owiec merynosów dołączały gazyłe południowoafrykańskie. Te małe, pełne wdzięku antylopy poruszały się po równinach jak kłęby niesionego wiatrem kurzu. Ich delikatne ciała o jasnej barwie cynamonu poprzecinane ukośnymi, czekoladowymi i białymi paskami, łby we wspaniałe wzory i kopyta w kształcie lir uczyniły z nich ulubieńców Isabelli spośród niezliczonych gatunków zwierząt, które zamieszkiwały równiny Camdeboo. Zarówno owce, jak i antylopy żywiły się drobnymi pustynnymi krzakami; dzięki tej diecie ich mięso nabierało smaku szaławii i dzikich ziół.

Każdej zimy na rozpoczęcie sezonu polowań Shasa spraszał gości do Smoczej Fontanny na doroczne usuwanie najstarszych osobników ze stad antylop. Za dobry rok uważano tutaj taki, w którym spadło ponad cztery cale deszczu; wówczas młode rodziły się dwukrotnie. Dzięki temu stada były bardzo liczne i trzeba było dokonywać selekcji. Należało wtedy wybić tysiąc sztuk gazeli, aby uchronić skąpą roślinność pustynną przed zdewastowaniem.

Garry przyjechał z gromadą przyjaciół i ich rodzinami z Johannesburga. Pas startowy w Smoczej Fontannie został poszerzony i wybudowano drogę systemem inżyniera MacAdama, aby zmieścić się nowy odrzutowiec. Shasa przywiózł resztę gości z Kapsztadu dwusilnikowym queen airem.

Isabella nie mogła opuścić Kapsztadu, dopóki trwała sesja Senatu. Potem przyjechała z Naną srebrnoszarym porsche, które dostała od ojca na dwudzieste dziewiąte urodziny, by nie musiała już jeździć swym starym mini. Cieszyła się, że jedzie z Naną. Dzięki opowieściom starszej pani długie godziny podróży mijały bardzo szybko. W przeciwieństwie do Shasy Nana nie patrzyła na prędkościomierz. W jednym miejscu, na prostym jak strzała odcinku pomiędzy Beaufort West a ranczem, porsche rozwinęło prędkość prawie stu sześćdziesięciu mil na godzinę, co nie spotkało się z żadnym protestem ze strony Nany.

Był środek popołudnia, kiedy wjechały do Smoczej Fontanny. Z kuchni i

budynków gospodarczych wyszedł tłum służących i gromada psów, by je powitać. Gdy Isabella dotarła w końcu do swego pokoju, Nanny już przygotowywała dla niej kąpiel i rozpakowywała walizki.

– Boże, jestem wykończona, Nanny. Będę spała przez tydzień.

– Nie będziesz brał imienia Pana Boga swego nadaremnie – ostrzegła ją Nanny poważnie.

– Nie opowiadaj mi takich rzeczy, Nanny. Jesteś muzułmanką.

– Mamy takie same zasady – prychnęła wyniośle.

– Gdzie są wszyscy mężczyźni? – spytała Isabella rzucając się na łóżko.

– Polują, oczywiście.

– Czy są jacyś przystojniacy, Nanny?

– Tak, ale wszyscy mają żony. Ty powinnaś przyprowadzić swego, miss Bellu – przerwała Nanny. – Jak tak pomyślę, to... jeden nowy jest sam. – Potem pokręciła głową. – Ale on ci się nie spodoba.

– Dlaczego nie?

– Nie ma włosów na głowie – zachichotała Nanny wesoło. – Można go nazwać skorupkowym blondynem.

Nanny miała racje. Nie wzbudził zainteresowania Isabelli, chociaż miał miłą, wrażliwą twarz i piękne, żydowskie oczy. Jego łysina była opalona i pokryta piegami jak jajo siewki, a z tyłu miał grubą obwódkę ciemnych loków w stylu braciszka Tucka. Rozmawiał z Garrym na obszernej werandzie.

Isabella czuła się świetnie, gdy zeszła na koktajle, które podano przed kolacją. Po gorącej kąpieli zdrzemnęła się przez godzinę. Miała na sobie myląco prostą, jedwabną sukienkę z ryzykownym, dużym dekoltem, którego chytry krój i fałdy przyciągały wzrok każdego mężczyzny, żonatego czy nie.

Od razu podeszła do Garry'ego. Nie widziała się z nim od wielu miesięcy.

– Mój wielki pluszowy miś – powiedziała czule i przytuliła się do brata.

Obejmując jej talie, dokonał prezentacji.

– Bellu, to jest profesor Aaron Friedman. Aaron, to jest moja siostrzyczka, senator doktor Isabella Courtney.

– Och, daj spokój, Garry – zaprotestowała skromnie, gdy użył wszystkich jej tytułów i wyciągnęła do Aarona rękę. Dłoń mężczyzny była delikatna, lecz silna jak u pianisty lub chirurga.

– Aaron jest teraz na rocznym płatnym urlopie, pracuje na Uniwersytecie w Jerozolimie.

– Uwielbiam Jerozolimę – powiedziała uprzejmie Isabella. – Właściwie uwielbiam Izrael. To tak ekscytujący, pełen wigoru kraj, o wspaniałej historii i religii.

Poświęciła mu uwagę jeszcze przez minutę i poszła poszukać ojca. Otaczały go trzy najładniejsze żony, które bawił dowcipami.

– Mój piękny tata – pocałowała go i ujęła władczo za rękę. Wiedziała, że wspaniale wyglądali razem. Jak zwykle, natychmiast znaleźli się w centrum zainteresowania całego towarzystwa.

Pili szampana, śmiali się, gawędzili i flirtowali, a ostre promienie zachodzącego słońca rozjaśniły mizerne wzgórza różaną poświatą i podpaliły chmury na niebie.

Jeden z mężczyzn zauważył:

– Ubierając się, słuchałem radia. Zdaje się, że Etiopczycy zmusili Hajle Sellasje do abdykacji.

– Ci cholerni wojownicy – rzekł inny. – Byłem tam z Szóstą Dywizją podczas wojny. Z trudem poruszaliśmy się pieszo, a Shasa latał sobie hurricanem.

Shasa dotknął przepaski na oku.

– Nazywaliśmy to wtedy Abisynią. Pojechaliśmy tam, by mieć na nich oko i niech

mnie lichy, jeśli tam jednego nie zostawiłem. Wszyscy się roześmiali, a ktoś dodał:

- Hajle Sellasje był naprawdę miłym człowiekiem. Ciekawe, co się teraz stanie.
- To samo co w całej czarnej Afryce: chaos, zamęt i komunizm, morderstwa, bezład i marksizm.

Przyznano słuszność mówiącemu i zakończono ten temat, a uwagę gości przyciągnął malowniczy zachód słońca.

Noc zapadła tak szybko jak kurtyna w teatrze i natychmiast wszyscy poczuli przez lekkie ubrania chłód wieczoru. Gong wzywający na kolację rozległ się punktualnie. Centaine podniosła się ze swego miejsca w końcu werandy, by poprowadzić całe towarzystwo przez szklane drzwi do długiej jadalni, w której blask świec migotał na srebrze oraz kryształach i odbijał się w orzechowych meblach.

Isabella znalazła kartkę ze swoim imieniem i sprawdziła, kto będzie siedział obok niej: Garry i Aaron Friedman.

„Do diabła” – pomyślała. Zauważyła, że chodził za nią jak we śnie, odkąd Garry przedstawił ich sobie. Było oczywiste, że Nana posadzi ją obok jedyne go wolnego mężczyzny w tym towarzystwie.

Aaron pospieszył, by odsunąć jej krzesło. Siadając, wyznaczyła sobie zadanie: ma być dla niego miła. Wkrótce odkryła, że był uroczym gawędziarzem o specyficznym poczuciu humoru, które bardzo jej odpowiadało. Nie zwracała już uwagi na jego łysinę.

Garry, który rozmawiał ze swym drugim sąsiadem, przerwał i wychylił zza Isabelli.

– A propos, Aaron, jeśli naprawdę musisz w poniedziałek po południu być z powrotem w Pelindabie, możesz polecieć ze mną.

Gdy dotarło do niej znaczenie tej luźnej uwagi, poczuła na policzkach chłód. Instytut Badań Jądrowych mieścił się w Pelindabie.

– Dobrze się czujesz, Bellu? – Garry spojrzał na nią zaniepokojony.

– Oczywiście, że tak.

– Przez chwilę wyglądałaś dosyć dziwnie.

– Nonsens, Garry. Wydawało ci się – zaprzeczyła stanowczo i kiedy Garry znowu zwrócił się ku swemu sąsiadowi, już panowała nad sobą.

– Zapomniałam zapytać, jaką dziedziną się pan zajmuje, profesorze.

– Może mi pani mówić Aaron, pani doktor.

Uśmiechnęła się.

– Tylko jeśli pan będzie do mnie mówił Isabella, profesorze.

– Jestem fizykiem, Isabello, zajmuję się fizyką jądrową. Obawiam się, że to bardzo nudne.

– Nie powinieneś tak mówić, Aaronie – dotknęła jego nadgarstka. – To nauka przyszłości, na czas wojny i pokoju.

Obróciła ramię i pochyliła się ku niemu, tak że jedwabny dekolt się rozsunął. Nie nosiła biustonosza. Gdy przeniósł wzrok i otworzył szeroko oczy, wiedziała, że wpatruje się w jej piersi. Pozwoliła mu przyglądać się jeszcze przez dwie sekundy, po czym wyprostowała się i zdjęła palce z jego dłoni.

W ciągu tych dwóch sekund Aaron Friedman przeszedł głęboką przemianę. Został zaczarowany.

– Gdzie jest twoja żona? – zapytała.

– Rozwiedliśmy się prawie pięć lat temu.

– Och, tak mi przykro – zniżyła głos do pomruku i pozwoliła, by współczucie odmalowało się w jej oczach, wpatrzonych nieruchomo w niego.

Później tego wieczoru Isabella szykowała się do snu i siedziała przy swojej toalecie, przyglądając się sobie w lustrze, gdy usuwała resztki makijażu.

– Izrael, Pelindaba, fizyka jądrowa... – mruknęła. – To się skończy jedną wielką eksplozją.

Nie było miesiąca w ciągu ostatnich dwóch lat, w którym nie zdołałaby przesłać swoim przełożonym jakichś tajnych informacji. W większości były to rutynowe raporty i protokoły ze spotkań. Ale taka wiadomość mogłaby nareszcie przyspieszyć następne widzenie z Nicholasem.

Podczas kolacji Aaron wyznał, że jego wielką pasją są konie i jazda konna – ale pewnie oświadczyłby, że fascynują go badania podbiegunowe albo połykanie żyłek, jeśli uznałby, że właśnie to pragnie ona usłyszeć. Wkrótce przekona się, jak sobie radzi w siodle. Umówili się na przejażdżkę o świcie następnego dnia.

„Jak daleko się posuniesz? – zapytała Isabella samą siebie w lustrze. Zastanowiła się głęboko, zanim odpowiedziała. – Cóż, on jest strasznie zabawny i dosyć miły, a przecież mówi się, że łysi mężczyźni mają kolosalne libido. – Zrobiła Mine przed lustrem. – Straszna z ciebie rozpustnica. Prawdziwa Mata Hari”.

Kiedy miała czternaście lat, jej brat Sean nauczył ją sprośnej rymowanki o Macie Hari. Jak to było? Poszukała w pamięci.

*Dowiedziała się o rozłożeniu,  
W najtajniejszym położeniu,  
Tuż przed momentem wydzielenia,  
W pozycji na jelenia.*

Kiedy zapytała go, co znaczy „wydzielenie”, zarechotał oblesnie. Musiała sprawdzić w słowniku, ale niewiele jej to wyjaśniło. Uśmiechnęła się do tamtego wspomnienia.

„Czy naprawdę posunęłabyś się tak daleko? – jeszcze raz zażądała od siebie odpowiedzi i znowu się uśmiechnęła. – No, może nie aż do takiej pozycji. Dwie, trzy normalne pozycje powinny w zupełności wystarczyć”. – Zachowywała się nonszalancko, ale wiedziała, że dla Nicky’ego i Ramona zrobiłaby wszystko.

Świt był jeszcze tylko nieśmiałą obietnicą, kiedy następnego dnia poszła do stajni, ale Aaron już na nią czekał. Miał na sobie bryczesy i buty do jazdy konnej. Doceniła to, że posiadał własną odzież jeździecką. Stajenny już wyprowadzał osiodłane konie. Zwierzęta w Smoczej Fontannie były zwykle zbyt rzadko używane, a pola lucerny i owsa dawały doskonałe plony. Konie były więc pełne wigoru. Isabella zamówiła dla gościa najspokojniejszego, starego wałacha. Miała nadzieję, że sobie z nim poradzi i z niepokojem patrzyła, jak dosiada konia. Niepotrzebnie się martwiła. Aaron zrobił to bez wysiłku i od razu zauważyła, że trzyma się pewnie w siodle.

Przecięli wzgórze, gdy słońce wyjrzało zza horyzontu. Było zimno, więc cieszyła się, że włożyła ciepłą kurtkę jeździecką od Barboura. Stojące po – wietrze miało tę szczególną pustynną lekkość, która sprawiała, że miała wrażenie, iż może ogarnąć spojrzeniem cały świat.

Sępy opuściły swoje gniazda na niedostępnych skałach i szybowały nad ich głowami. Stada gazeli na równinie były wciąż niespokojne po polowaniu, które odbyło się poprzedniego dnia. Zaalarmowane zwierzęta uniosły ogony i uciekały przed siebie, lekkie jak dym. Czyste powietrze szumiało Izabelli w głowie jak szampan, była beztroska i wesoła.

Kiedy konie już się rozgrzały, zmusiła swoją klacz do galopu i poprowadziła z animuszem wzdłuż dawnego koryta rzeki do grobli. Ogromne stada gęsi egipskich podrywały się z głośnym gęganiem z błotnistej, brązowej wody, gdy zatrzymali się na brzegu.

Isabella zeskoczyła z konia i przyłożyła do oka koniec jedwabnego szala. Zadowolony Aaron zsiadł także z konia i podszedł do niej.

– Nic ci się nie stało, Isabello?

– Chyba coś mi wpadło do oka.

– Mogę zobaczyć?

Zwróciła ku niemu twarz. Wziął ją ostrożnie w dłonie i przyjrzał się jej oku.

– Niczego nie widzę.

Poruszyła swymi długimi ciemnymi rzęsami, a promienie wczesnego słońca rozpadły się w jej tęczęwce na niezliczone mnóstwo prawdziwych szafirów wielkości łebka od szpilki.

– Na pewno? – zapytała.

Jego oddech był słodki, a zapach ciała czysty i męski. Znowu spojrzała mu w oczy. Były ciemne i lśniły jak palony dziki miód.

Dotknął jej dolnej powieki, delikatnie masując przez skórę gałkę oczną.

– Teraz dobrze? – zapytał, a ona ponownie mrugnęła okiem.

– Masz cudowny dotyk. Już znacznie lepiej, dziękuję ci – pocałowała go wilgotnymi, otwartymi ustami. Aaron zadrżał, ale szybko odzyskał przytomność i objął ją w talii. Wysunęła ku niemu biodra i pozwoliła, by przez kilka sekund manewrował językiem w jej ustach. Gdy tylko poczuła, że lędźwie mu się napięły, oderwała się od niego.

– Ścigamy się z powrotem do stajni – roześmiała się tym swoim chrapliwym, zmysłowym śmiechem i wskoczyła zwinnie na siodło. Wąłach nie mógł się równać z jej klaczą, a poza tym miała nad nim dwieście jardów przewagi na starcie.

W następnych trzech dniach przemieniła życie Aarona Friedmana w prawdziwą udrukę. Dotykała jego uda pod stołem podczas kolacji. Pozwoliła mu się obłapiać, gdy grali w piłkę w basenie, który był napełniany wodą prosto ze źródła. Niewinnie poprawiała przed nim górę swego kostiumu bikini, kiedy leżeli na trawie, a on czytał jej Shelleya. Gdy jechali na polowanie i pomagał jej wsiąść do landrovera, pokazała mu przezroczyście majtki od Janet Reger, które włożyła specjalnie na tę okazję. Kiedy tańczyli na werandzie, jej usta poruszały się namiętnie. Aaron Friedman czuł się jak kij do krykieta.

Ostatniej nocy przed jego wyjazdem ze Smoczej Fontanny i powrotem z Garrym do Transwalu pozwoliła mu odprowadzić się do pokoju i pożegnać w korytarzu przed drzwiami do jej apartamentu. Nie przerywając pocałunku oparł ją mocno plecami o ścianę i podwinął spódnicę na wysokość talii. Wtedy jego ruchy stały się zdecydowane.

Isabelli podobało się to i wkrótce zorientowała się, że jej również brak tchu. Nie bardzo chciała, by przestał. Okazało się, że miała intuicję – z takimi palcami powinien być zostać pianistą; jego dotknięcie było delikatne i czułe. Nagle uświadomiła sobie, że za chwile może stracić panowanie nad sobą.

– Zostaw dzisiaj otwarte drzwi – szepnął jej do ucha. Z wysiłkiem otrząsnęła się z pożądania i odepchnęła go.

– Zwariowałeś – odpowiedziała również szeptem, obciągając spódnicę drżącymi palcami. – W tym domu jest pełno moich krewnych – ojciec, brat, babka, niania.

– Ja oszaleje. Doprowadzasz mnie do obłądu. Kocham cię. Pragnę cię. To jest tortura, Isabello. Nie wytrzymam już dłużej.

– Wiem – rzekła. – Ja również. Przyjadę do Johannesburga.

– Kiedy? Och, powiedz mi kiedy, moja najdroższa.

– Zatelefonuję do ciebie. Zostaw mi swój numer.

Isabella pracowała w senackiej komisji do spraw kontroli administracji rządowej. Ona i jeszcze dwaj członkowie komisji mieli zbierać informacje w Transwalu w przyszłym miesiącu. Pojechała do Johannesburga swoim porsche. Zatrzymała się u Garry'ego i Holly w ich pięknym nowym domu w Sandton. Następnego ranka po

przyjeździe zatelefonowała do Aarona do Instytutu w Pelindabie.

Umówiła się z nim na kolację w eleganckiej małej restauracji. Przy languście dyskretnie wysondowała, na czym polega jego praca w Instytucie Badań Jądrowych.

– Och, to wszystko jest takie nudne. Antycząstki i kwarki – odpowiadał wymijająco. – Czy wiesz, że nazwa pochodzi z utworu Jamesa Joyce’a „Trzy kwarki dla Muster Marka” i powinno się ją wymawiać „kwart”?

– Fascynujące – dotknęła jego uda pod stołem, a on chwycił ją za rękę. – To, co robisz, musi być bardzo trudne – powiedziała.

– Tak – przesunął jej palce kilka cali wyżej. – Raczej tak.

– Rozumiem, o co ci chodzi – jej oczy się rozszerzyły. – Czy naprawdę chcesz po kolacji pójść gdzieś potańczyć?

– Moglibyśmy wypić u mnie kawę.

– Nie jestem już głodna. Langusta była bardzo sycąca. Darujmy sobie drugie danie – zaproponowała.

– Kelner. Rachunek, proszę.

Mieszkanie Aarona mieściło się w bloku na osiedlu instytutu. Mimo że ochrona nie była tu tak dokładna jak w sekcji badań i reaktora, Aaron musiał okazać przepustkę przy bramie, a Isabella pójść z nim do budki strażnika i wpisać się do książki gości oraz podać wszystkie swoje dane, łącznie z numerem telefonu i adresem zamieszkania. Strażnik był bardzo zadowolony z siebie, gdy wydawał jej przepustkę.

Zbyt długo żyła bez miłości, Aaron zaś okazał się doskonałym kochankiem. Na początku delikatny i cierpliwy, a gdy jego usta i zwinne palce rozbudzały w niej namiętność, stał się silny i wymagający. Doprowadził ją do tego, że aż krzyczała z rozkoszy.

Kiedy wreszcie osiągnęła szczyt, on był razem z nią, a potem tulił ją, pieścił i mruzczał komplementy, aż jej twarz rozjaśniła się z zadowolenia i zapytała z cichym westchnieniem szczęścia:

– Jaki jest twój znak?

– Skorpion.

– A, tak, skorpiony zawsze są cudownymi kochankami. Jaki dzień?

– Siódmy listopada.

Rankiem razem zrobili śniadanie: jajecznica doprawiona dużą porcją radości. Kiedy wychodził do pracy, odprowadziła go do drzwi; na sobie miała górę jego piżamy z podwiniętymi rękawami i połamami sięgającymi kolan.

– Załatwię ze strażnikiem, byś nie musiała wychodzić, dopóki nie będziesz gotowa – pocałował ją. – A jeśli zostaniesz tu na lunch, nie będę miał nic przeciwko.

– Nie ma mowy – pokręciła głową. – Mam dzisiaj dużo pracy.

Gdy tylko wyszedł, zamknęła dokładnie drzwi. Sejf znajdował się w gabinecie. Stwierdziła to jeszcze poprzedniego dnia. Właściciel nie próbował nawet ukryć go za boazerią. Stał obok biurka. Było to drogie urządzenie marki Chubb, używane przez jubilerów, z sześciocyfrowym zamkiem. Usiadła przed nim na podłodze.

– Siódmy listopada – wymamrotała pod nosem. – A ma jakieś trzydzieści trzy czy trzydzieści cztery lata. W takim razie to będzie 1931 lub 1932 rok.

Udało jej się za czwartym razem. Aaron nie był nawet tak sprytny jak Shasa, który przynajmniej odwrócił cyfry w swojej dacie urodzenia.

„Dlaczego inteligentni faceci są takimi naiwnymi idiotami? – pomyślała, lecz na wszelki wypadek zanim otworzyła grube stalowe drzwi, obwiodła je palcem. Do jednego z zawiasów był mocowany kawałek taśmy samoprzylepnej. – Nie jest takim idiotą” – stwierdziła.

Aaron najwyraźniej lubił pracować w domu. Sejf był pełen dokumentów, przeważnie w znanych jej, zielonych okładkach Armscoru.

Gdy jako Czerwona Róża otrzymała swe zadanie na madryckim lotnisku, zajęła się studiowaniem broni atomowej. Dwa dni spędziła w Londynie w czytelni British Museum; miała tu jeszcze kartę z czasów studenckich. Przeczytała wszystkie książki, które znalazła w katalogu pod tym hasłem, i zapisała dwa zeszyty. Jak na laika wiedziała teraz bardzo dużo na temat tego najbardziej przerażającego procesu, który obmyśliła piekielna inteligencja człowieka.

Zielona teczka Armscoru na wierzchu sterty miała pieczętkę „ściśle tajne”. Wydano tylko osiem kopii dokumentu, który zawierała. Ta nosiła numer czwarty. Nazwiska ośmiu osób, które miały do niego dostęp, podano na okładce. Byli wśród nich minister obrony i wódz naczelny sił zbrojnych, jej ojciec jako przewodniczący Armscoru, profesor A. Friedman oraz cztery inne osoby, które, sądząc po ich kwalifikacjach, również były naukowcami. Jednym z nich okazał się główny inżynier Armscoru, który był częstym gościem w Weltevreden. Nic dziwnego, że ojciec nigdy nie pozwolił jej obejrzeć tych dokumentów.

Kryptonim na okładce brzmiał „Plan Sylwetka”. Wyjęła dokument, uważając, by nie przesunąć czegoś w sejfie. Otworzyła teczkę i zaczęła przeglądać jej zawartość. Zbierając materiały do swej pracy, nauczyła się metody szybkiego czytania i teraz przerzucała tylko kartki.

Większość materiału stanowiły tak specjalistyczne informacje, że mimo swego przygotowania prawie nic nie rozumiała. Ale pojęła wystarczająco dużo, by zdać sobie sprawę, iż jest to zbiór raportów na temat postępu w badaniach prowadzonych w Pelindabie nad możliwością wzbogacenia zwykłego izotopu uranu, izotopu 238, łatwo rozszczepialnym uranem-235. Wiedziała, że to była podstawa w produkcji broni atomowej.

Raporty były ułożone chronologicznie i zanim sięgnęła po ostatnią kartkę, zrozumiała, że sukces osiągnięto przed niemal trzema laty i że wyprodukowano już wystarczającą ilość uranu-235, by zbudować około dwustu ładunków wybuchowych o sile do pięćdziesięciu kiloton. Wiele z nich wysłano chyba do Izraela w zamian za pomoc przy produkcji uranu. Przymknęła oczy, gdy przemyślała te informacje. Bomba zrzucona na Hiroszimę miała moc zaledwie dwudziestu kiloton.

Sięgnęła po następną teczkę. Z największą dokładnością zapamiętywała położenie raportów w sejfie, by móc je odłożyć na miejsce, nie budząc podejrzeń, że ktoś je ruszał. Czytała dalej. Głównym celem planu Sylwetka było opracowanie serii taktycznych głowic jądrowych o różnej sile rażenia i przeznaczeniu, które można by wystrzeliwać zarówno z samolotów, jak i z ziemi.

Wiedziała, że Armscor już konstruował haubice kaliber 155 mm, według projektu G5, z której będzie można wystrzeliwać czterdziestosiedmiokilowe pociski z jedenastoma kilogramami ładunku wybuchowego; ich zasięg ma wynosić trzydzieści dziewięć kilometrów. „To byłby – pomyślała – idealny sposób wysyłania głowic jądrowych na cele”. Raport uznawał rozwój artylerii przystosowanej do G5 za priorytetowy.

Podstawowe zasady funkcjonowania broni atomowej były powszechnie znane. Rzecz polegała na połączeniu dwóch podkrytycznych mas wzbogaconego rozszczepialnego uranu-235. Pierwszą z nich był ładunek żeński z zatoką waginalną. Druga, męska, była popychana za pomocą konwencjonalnego materiału wybuchowego ku zatoce z taką prędkością, że natychmiast przekraczana była masa krytyczna i następowała reakcja łańcuchowa.

Jednakże wytworzenie produktu finalnego napotyka szereg trudności i pułapek, zwłaszcza w wyprodukowaniu głowicy jądrowej o wadze poniżej jedenastu kilogramów, która mogłaby zmieścić się w lufie armaty kalibru 155 mm.

Isabella zagłębiła się w pliki raportów i sprawozdań roboczych z poczuciem

rosnącego zainteresowania. Poczwała dziwną dumę z powodu osiągnięć zespołu naukowców. Wiele razy rozpoznała rękę i wpływ ojca, gdy czytała, jak uniknięto kolejnej pułapki i cały ogromny plan nabierał tempa zbliżając się do punktu kulminacyjnego.

Ostatni raport dołączono pięć dni wcześniej. Przeczytała go szybko, a potem zrobiła to jeszcze raz.

Pierwsza południowoafrykańska bomba będzie testowana za niecałe dwa miesiące.

– Ale gdzie? – szepnęła z rozpaczą, lecz następny dokument, który otworzyła, przyniósł jej odpowiedź.

Włożyła teczki z powrotem w ściśle określonym porządku i nie zapomniała przykleić z powrotem taśmy samoprzylepnej na zawiasie oraz ustawić szyfru w takim samym położeniu, w jakim był przedtem.

\*

Dwa lata badań i narad zajął wybór odpowiedniego miejsca na przeprowadzenie eksperymentu. Przede wszystkim brano pod uwagę skażenie opadami radioaktywnymi.

Afryka Południowa zachowała stację badawczą w Antarktyce. Zastanawiali się, czy to nie byłoby dobre miejsce, ale szybko porzucili ten pomysł. Nie tylko skażenie byłoby trudne do opanowania, ale wykrycie przed lub po przeprowadzeniu próby stałoby się przedwczesnym jej końcem. Inni także, zwłaszcza Australijczycy, byli zainteresowani tym niegościnnym i pięknym kontynentem na krańcu Ziemi.

Wobec tego ze względów bezpieczeństwa postanowiono, że eksperyment musi odbyć się na ziemi lub w przestrzeni powietrznej, które należą do RPA. Pomysł przeprowadzenia próby w powietrzu wkrótce zarzucono. W tym wypadku wykrycie znowu było poważnym zagrożeniem, a narażenie kraju na skażenie oznaczałoby samobójstwo.

W końcu postanowiono przeprowadzić próbę podziemną. Południowoafrykańskie kopalnie złota to najniższe położone miejsca pracy na świecie. Od sześćdziesięciu lat RPA przoduje w opracowywaniu technik pracy w głębokich kopalniach, a z tym wiąże się i nauka o drążeniu w ziemi na znacznych głębokościach.

Courtney Enterprises posiadało Orion Explorations, przedsiębiorstwo specjalizujące się w tego typu pracach. Doświadczeni fachowcy z Oriona potrafili dotrzeć na głębokość dwóch mil pod powierzchnię ziemi i poprzez wywiercone otwory wydobywać skały z wnętrza ziemi. Mogli nawiercić otwór prosto w głąb ziemi lub pod dowolnym kątem, albo też zejść w dół półtorej mili, a potem skrócić pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

Ta właśnie ich niesamowita zdolność sprawiała, że Shasa Courtney czuł podziw i głęboki szacunek, kiedy w piękny, słoneczny dzień stał na miejscu, w którym miała się odbyć próba, i patrzył na olbrzymie maszyny stanowiące aparaturę wiertniczą. Cały sprzęt samoczynnie posuwał się naprzód. Jedna ciężarówka, wielkości nowoczesnego wozu strażackiego, wiozła urządzenie napędowe. Był to silnik na ropę, który pociągnąłby statek pasażerski. W innym samochodzie mieściło się pomieszczenie kontrolne i elektroniczny sprzęt, do monitorowania. Na trzecim znajdowała się podstawowa platforma wiertnicza. Czwartym jechał dźwig hydrauliczny dla wiertła.

Miejsce eksperymentu było otoczone pierścieniem przyczep mieszkalnych i samochodów dostawczych. Wiertła były ułożone w stos, który zajmował powierzchnię wielu akrów. Nocą cały teren był oświetlany ostrym, niebieskawym



światłem lamp, gdyż prace trwały tu całą dobę. W ukończonym otworze utopiono trzysta tysięcy dolarów.

Shasa zdjął kapelusza i otarł sobie czoło przedramieniem. Było gorąco.

Znajdowali się na skraju pustyni Kalahari, którą mali, żółci Buszmeni nazywali Wielkim Suchym Miejscem.

Niskie, faliste wydmy płynęły w monotonna dal niczym fale wzburzonego oceanu. Pustynne trawy były rzadkie, srebrzyste i suche. W korytach między wydmami samotnie rosły wykrzywione, pustynne drzewa, których liście były ciemnozielone, a kora chropawa jak grzbiet krokodyla. Na najbliższym kolonia tkaczy uwiła sobie gniazdo. Setki par nieciekawych brązowych ptaszków połączyło swe wysiłki. Rezultatem była bezkształtna budowla wielkości stogu siana, która przemieniła w karła drzewo stanowiące jej podstawę. Każda para zajmowała oddzielne pomieszczenie w gnieździe i pomagała utrzymać całość w dobrym stanie przez cały rok. Jedno gniazdo w pobliżu Upington nad rzeką Orange było zajęte przez kolejne pokolenia tkaczy przez ponad sto lat.

Ta okolica była rozległym, słabo zaludnionym pustkowiem. Courtney Minerall Exploration Company posiadało tu sto pięćdziesiąt tysięcy akrów ziemi, na której stały teraz urządzenia wiertnicze. Cały teren był ogrodzony, a przy każdym wejściu stali strażnicy. Nikt obcy nigdy nie zobaczy tego obozu, a gdyby nawet... cóż, to po prostu jeszcze jedno miejsce wierceń w poszukiwaniu bogactw naturalnych.

Shasa uniósł głowę. Ani jedna chmurka nie kałała czystego, błękitnego aż do bólu nieba. Ta część Kalahari była strefą wojskową, loty samolotów pasażerskich czy prywatnych były zabronione. Często odbywały się tutaj ćwiczenia szkoły artyleryjskiej i czołgowej, mieszczące się w Kimberley, tylko kilkaset mil na południe.

Shasa odczuwał jednak niepokój. Był dzień D-8. Otwór powinien być ukończony do weekendu. W sobotnie popołudnie pilnie strzeżony konwój opuści Pelindabę i przybędzie tu w niedzielę w południe. Przywiezie zespół naukowców i bombę.

Próbny egzemplarz bomby zostanie umieszczony w otworze do godzin popołudniowych w poniedziałek. Minister obrony i generał Malan przybędą z Kapsztadu w dniu D-1.

Pokręcił głową.

– Wszystko idzie po prostu cudownie – zapewnił sam siebie i wszedł po stalowych schodkach do ruchomego pomieszczenia kontrolnego.

Główny inżynier pracował dla Oriona dwanaście lat. Wstał i podał Shasie szeroką, stwardniałą dłoń.

– Jak idzie, Mick?

– Bak gat, panie Courtney – inżynier użył mocnego wyrażenia w języku africaans, oznaczającego największą pochwałę. – Dziś rano o dziewiątej osiągnęliśmy trzy tysiące metrów.

Pokazał to miejsce na ekranie. Było na nim graficznie przedstawione zagłębienie, w którym miała się odbyć detonacja.

– Postaram się panu nie przeszkadzać – powiedział Shasa zajmując miejsce obok inżyniera. – No, jedziemy z tym.

Mick skoncentrował całą swą uwagę na konsoli kontrolnej.

Shasa zapalił cygaro i wyobraził sobie tego elastycznego, stalowego robaka, który wygryzał sobie drogę ku wnętrzu skorupy ziemskiej, poniżej poziomu wód podziemnych, w pobliże magmy, gdzie temperatura bliska jest tej, jaką ma domowy piec.

Zadzwonił telefon, ale Shasa pochłonięty był swoimi myślami. Technik który

podniósł słuchawkę, musiał zwracać się do niego dwukrotnie.

- Panie Courtney, to do pana.
- Zapytaj, kto mówi – rzucił zirytowany. – Zapisz wiadomość.
- To pan Vorster, sir.
- Co za pan Vorster?
- Premier. Osobiście.

Shasa wyrwał mu słuchawkę z rąk. Miał nagłe, nieprzyjemne przeczucie, że zbliża się katastrofa.

- Ja, oom John? – zapytał.
- Shasa, w ciągu ostatniej godziny ambasadorowie Wielkiej Brytanii, USA i Francji złożyli noty protestacyjne od swoich rządów.

– Z jakiego powodu?

– Dziś rano o dziewiątej amerykański satelita sfotografował miejsce eksperymentu. Ons is in die kak – wdepnęliśmy w niezłe gówno. Jakoś dowiedzieli się o Sylwetce i żądają natychmiastowej rezygnacji z przeprowadzenia próby. Jak szybko będziesz mógł dotrzeć do Kapsztadu?

- Mój samolot stoi na pasie. Będę tam za cztery godziny.
- Zwołałem posiedzenie całego gabinetu. Chcę, żebyś zdał im krótką relację.
- Natychmiast wyjeżdżam.

Shasa nigdy nie widział Johna Vorstera tak przejętego i zdenerwowanego. Gdy uścisnęli sobie dłonie, burknął:

– Po naszej rozmowie Rosjanie zwołali pilne posiedzenie Rady Bezpieczeństwa ONZ. Grożą natychmiastowymi sankcjami, jeśli nie przerwiemy testu.

Shasa zrozumiał, że wszyscy mieli powód, by się martwić.

– Amerykanie i Anglicy ostrzegli, że nie zastosują swego prawa weta, żeby nas uratować, jeśli będziemy dalej przygotowywać eksperyment.

– Nie przyznał się pan do niczego, panie premierze?

– Oczywiście, że nie – warknął. – Ale chcę dokonać inspekcji. Dysponuję zdjęciami lotniczymi... i znają kryptonim Sylwetka.

– Mają nasz kryptonim? – zdumiał się Shasa.

– Ja, mają kryptonim – pokiwał głową Vorster.

– Zdaje pan sobie sprawę z tego, co to oznacza, panie premierze. Mamy zdrajcę, i to na najwyższym szczeblu. Na samym szczycie.

W ONZ przedstawiciele krajów Trzeciego Świata i państw nie zrzeszonych podnosili ręce jeden po drugim, głosując za ukaraniem i potępieniem Afryki Południowej za próbę wstąpienia w szeregi mocarstw atomowych. Została uznana winną, jak tylko wniesiono oskarżenie. Zarówno Chiny, jak i Indie dokonywały prób z bronią jądrową w ciągu ostatniego roku czy dwóch, ale to było co innego. Pomimo zapewnień ze strony premiera RPA, iż nie przeprowadzano żadnego testu broni atomowej, ambasadorowie Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych nalegali na przeprowadzenie osobistej inspekcji miejsca eksperymentu. Przylecieli na Kalahari helikopterem Puma, należącym do sił powietrznych armii. Do czasu ich przybycia usunięto już platformę wiertniczą i wszelkie pojazdy. Pozostał jedynie otwór, pokryty świeżą warstwą betonu, który sterczał samotnie na rozjeżdżonej kołami ziemi.

– Jaki był cel wiercenia? – ambasador brytyjski zapytał Shasę nie po raz pierwszy. Sir Percy był jego dobrym znajomym, który bywał na kolacjach w Weltevreden i polował w Smocznej Fontannie.

– Poszukiwania ropy – odpowiedział mu Shasa z kamienną twarzą, a ambasador uniósł brwi i nie skomentował tego. Ale trzy dni później Wielka Brytania zawetowała sankcje zaproponowane przez Radę Bezpieczeństwa i burza zaczęła ucichać.

Aaron Friedman zatelefonował do Isabelli, by poinformować ją o swoim

natychmiastowym wyjeździe do Izraela. Chciał, żeby poleciała razem z nim. Nie powiedział jej jednak, że ONZ usilnie naciskała na rząd izraelski, by odwołał go do Jerozolimy.

– Jesteś kochany, Aaron – powiedziała. – I bardzo bym chciała, ale ty masz swoje życie, a ja swoje. Może się jeszcze kiedyś spotkamy.

– Nigdy cię nie zapomnę, Bellu.

Południowoafrykańskie Biuro Ochrony Rządu rozpoczęło polowanie, by odnaleźć zdrajcę, które ciągnęło się miesiącami bez widocznych rezultatów. Uzgodniono w końcu, że odpowiedzialność spoczywała na jednym z izraelskich naukowców, którzy opuścili już kraj.

Gdy Shasa przeczytał tajny raport ze śledztwa, z zażenowaniem dowiedział się, że jego ukochana córka wpisała się na listę gości w części mieszkalnej instytutu w Pelindabie i najprawdopodobniej spędziła noc z profesorem.

– Cóż, nie myślałeś chyba, że jest dziewczicą? – zapytała Centaine, kiedy jej o tym powiedział.

– Raczej nie – przyznał. – Ale nie jest przyjemnie być wplątany w coś takiego.

– Nie jesteś wplątany w nic takiego – poprawiła go. – Bella była, zdaje się, wyjątkowo dyskretna.

– Mimo to dobrze się stało, że wyjechał.

– Mógł być całkiem niezłą partią – drażniła go Centaine.

– Dobry Boże, on mógłby być jej ojcem – oburzył się szczerze.

– Bella ma trzydzieści lat – zauważyła Centaine. – To już prawie stara panna.

– Naprawdę ma już tyle lat? – Shasa był zaskoczony. – Często zapominam, że czas mija.

– Musimy poważnie pomyśleć o znalezieniu dla niej męża.

– Nie trzeba się tak bardzo spieszyć – zaprotestował Shasa, ponieważ nie podobała mu się perspektywa utracenia córki. Przyzwyczał się już do istniejącej sytuacji.

Isabella szybko otrzymała nagrodę. W najbliższych miesiącach obiecano jej wakacje z Nickim i polecono poczynić przygotowania do opuszczenia kraju na dwa tygodnie.

„Dwa tygodnie! – cieszyła się. – Z moim dzieckiem! Nie mogę uwierzyć, że to nareszcie prawda”.

Jej euforia przegnała czające się poczucie winy, z którym żyła, odkąd sprawa Sylwetki stała się głośna na całym świecie. Starła się uspokoić sumienie, zapewniając samą siebie, że pomogła zapobiec eskalacji zagrożenia energią jądrową i że jej zdrada w gruncie rzeczy przysłuży się całej ludzkości.

Naturalnie, w rozmowach z rodziną lub innymi senatorami w budynku parlamentu wykazywała patriotyczne oburzenie, ale prawda nawiedzała ją nocami: jest zdrażczynią, a karą może być tylko śmierć.

Powiedziała Nanie i ojcu, że ma się spotkać z Harriet Beauchamp w Zurychu. Chciały wynająć kombi i przez dwa tygodnie pojeździć po Szwajcarii, poszukać śniegu, spróbować jak smakują tradycyjne szwajcarskie potrawy i zaliczyć wszystkie najśłynniejsze trasy.

– Nie spodziewajcie się wiadomości ode mnie – ostrzegła rodzinę.

– Czy wystarczy ci pieniędzy, Bellu? – zaniepokoił się Shasa.

– Co za pytanie, tato! – pocałowała go. – Czy to nie ty założyłeś mi konto i płacisz śmieszoną pensję, która jest dwa razy wyższa od moich zarobków w Senacie?

– Ale dam ci nazwisko pewnej osoby w Credit Suisse w Lozannie na wypadek, gdyby ci jednak zabrakło pieniędzy.

– Jesteś kochany, ale ja nie mam już szesnastu lat.

– Czasami chciałbym, żebyś miała, moja droga.

Isabella wsiadła do samolotu Swissairu lecącego do Zurychu, ale wysiadła w Nairobi. Wynajęła pokój w Norfolk Hotel. Następnego ranka zatelefonowała do Weltevreden i rozmawiała z Naną udając, że dzwoni z Zurychu.

– Baw się dobrze i miej oczy otwarte na przystojnych milionerów – powiedziała jej Nana.

– Dla ciebie czy dla mnie, Nano?

– Co za tupet, panienko!

Zgodnie z poleceniami złapała samolot Air Kenya do Lusaki w Zambii, a do hotelu „Ridgeway” pojechała autokarem, kursującym na lotnisko. Okazało się, że był dla niej zarezerwowany jednoosobowy pokój. Na tym kończyły się jej instrukcje.

Przed kolacją usiadła na tarasie przy basenie i zamówiła gin z tonikiem. Kilka minut później wysoki, przystojny Murzyn siedzący przy barze podszedł powoli do jej stolika.

– Czerwona Róża? – zapytał.

– Proszę usiąść – skinęła głową, serce zabiło jej mocno, a dłonie zwilgotniały.

– Mam na imię Paul – powiedział i odmówił drinka, który mu zaproponowała. – Jutro rano o dziewiątej będę czekał na panią ze środkiem transportu przed wejściem do hotelu.

– Dokąd mnie pan zabiera?

– Nie wiem – powiedział wstając.

Następnego dnia odwiózł ją z powrotem na lotnisko rozklekotanym volkswagenem, ale przejechał obok pasażerskiego terminalu i pojechał dalej, ku bramie zamkniętego terenu wojskowego.

Resztki zambijskiej eskadry myśliwców MiG stały w blasku słońca na przedpolu hangaru. Tylko w ciągu ostatniego miesiąca rozbiły się cztery. Piloci zambijscy nie tylko zostali niewłaściwie przeszkoleni w NRD, ale nie potrafili się przystosować do złożoności lotów z prędkością ponaddźwiękową. W dodatku samolotów tych używano w środkowej Europie ponad dwadzieścia lat, zanim sprzedano je do Zambii. Tutejsza oparta na miedzi gospodarka zaczęła się chwiać z powodu spadku ceny tego metalu i dwudziestu lat złych rządów. Zmniejszono więc środki na remonty myśliwców, które zaczęto nazywać tu potocznie „latającymi bombami”.

Za MiGami stał ogromny, nie oznakowany samolot z czterema silnikami odrzutowymi i pławką ogonową wyższą niż dwupiętrowy dom. Isabella nie poznała, że był to Iliuszyn Il-62, nazywany w NATO Candid. Był to typowy w rosyjskiej armii ciężki środek transportu lotniczego.

Paul porozmawiał ze strażnikami przy bramie i pokazał im jakiś dokument. Dowódca straży przeczytał go uważnie i poszedł do budki. Odbył rozmowę z przełożonym, po czym zwrócił Paulowi papiery, otworzył bramę i zasalutował, gdy przez nią wjeżdżali.

Piloci w kombinezonach lotniczych nadzorowali uzupełnianie paliwa. Paul zaparkował volkswagena przy hangarze i podszedł do samolotu. Porozmawiał z jednym z pilotów i skinął na Isabelle, by się zbliżyła. Patrzyli, jak zmaga się z walizką, ale żaden nie zaoferował jej pomocy.

– Polecą pani tym samolotem – powiedział Paul.

– A co z moim bagażem? – zapytała, a pierwszy pilot wzruszył ramionami i odpowiedział z wyraźnym obcym akcentem:

– Zostawić tutaj. Ja wziąć. Iść.

Isabella rozejrzała się, ale Paul był już w połowie drogi do samochodu. Ruszyła więc za pilotem.

Ładownia była wypełniona setkami drewnianych skrzyń różnej wielkości, które

oznaczono cyframi i literami napisanymi cyrylicą. Wszystko przykrywała ciężka siatka z tworzywa sztucznego. Pilot poprowadził ją bocznym przejściem, a następnie po drabnie do kabiny.

– Usiąść – wskazał na składane fotele w tylnej przegrodzie kabiny. Nie było żadnych formalności, kiedy wystartowali godzinę później.

Ze swojego miejsca Isabella dobrze widziała tablicę rozdzielczą przez ramię pilota. Samolot leciał na stałej wysokości dziewięciu tysięcy metrów, kursem trzystu stopni.

Ukradkiem spojrzała na zegarek. Chciała wiedzieć, jak długo będą lecieć na północny zachód. Narysowała sobie w myślach mapę kontynentu. Nie miała pojęcia o szybkości startowej samolotu, ale teraz wskazówka prędkościomierza wahała się w okolicach czterystu siedemdziesięciu pięciu węzłów.

Po godzinie lotu domyśliła się, że lecą teraz nad Angolą i aż się wzdrygnęła. Nie było to miejsce, w którym z radością spędziłaby urlop. Otrzymała ostatnio nominację do senackiej komisji do spraw Afryki i wzięła udział w serii szkoleń na temat sytuacji w Angoli. Znała także tajne raporty, zebrane przez wywiad wojskowy w tym kraju.

Spojrzała w dół, na mozaikę sawann, gór i dżungli, która przesuwiała się powoli pod samolotem, i próbowała przypomnieć sobie wszystkie szczegółowe informacje, dotyczące tego znękanego kraju.

Angola, przez długi okres perła imperium portugalskiego, po Afryce Południowej była najbogatszym i najpiękniejszym z krajów Afryki. Ten pas zachodniego wybrzeża kontynentu o długości tysiąca mil morze hojnie obdarzało swoimi darami. Wielkie ławice ryb łatwo było łowić w naturalnych portach. Amerykańskie platformy wiertnicze na morzu natrafiły ostatnio na olbrzymie pokłady ropy naftowej i gazu ziemnego. Na lądzie wzrok przykuwały żyzne równiny i doliny, cudowne lasy twardego drzewa, przyjemne dla oka dobrze nawodnione wyżyny, z których wypływały liczne wielkie rzeki.

W Afryce woda była prawie tak cenna jak ropa. Angola posiadała także bogate złoża złota, diamentów i rudy żelaza. Klimat był umiarkowany i łagodny.

Pomimo tych wszystkich dobrodziejstw krajem tym od dziesięciu już lat wstrząsała dzika i tragiczna wojna domowa. Autochtoniczne afrykańskie plemiona toczyły walkę, by zrzucić ciężące im od pięciuset lat kolonialne jarzmo Lizbony.

Walka wyzwolenicza była nieskoordynowana. Liczne armie, jak zwykle o bojowych nazwach, walczyły nie tylko z Portugalczykami, ale także jedne przeciwko drugim. Były wśród nich: MPLA – Ludowy Ruch Wyzwolenia Angoli, FNLA – Narodowy Front Wyzwolenia Angoli, UNITA – Narodowy Związek na Rzecz Niepodległości Angoli i masa innych prywatnych armii i oddziałów partyzanckich.

Portugalczycy zawzięcie starali się utrzymać tę kolonię. Dziesiątki tysięcy młodych rekrutów przybywało do Afryki, wielu z nich po to, by wykrwawić się i umrzeć od kul, min i tropikalnych chorób z dala od rodzinnego kraju. Niespodziewanie miał miejsce lewicowy przewrót, dokonany przez wojskową juntę w Portugalii, a wkrótce potem zadeklarowano, że Angola otrzyma niepodległość i odbędą się w niej wybory powszechne, by wybrać nową władzę i przyjąć konstytucję.

Obecnie, w miesiącach poprzedzających zapowiedziane wybory, w kraju zapanował jeszcze większy zamęt niż podczas wojny domowej, ponieważ różne frakcje zaczęły ubiegać się o władzę, a wielkie mocarstwa i inne rządy afrykańskie miały także swoich faworytów, natomiast dowódcy oddziałów partyzanckich zajęli się intrygami, torturowaniem i zastraszaniem wymęczonej latami wojny ludności. Czytając między wierszami raportów wywiadu, Isabella wyczuła, że tak naprawdę nikt nie wiedział, co działo się w Luandzie, stolicy pozostawionej samej sobie pośród dżungli i gór.

Admirał Rosa Coutinho, Czerwony Admirał, wyznaczony na gubernatora przez organizację sił zbrojnych po przewrocie, faworyzował Agostinho Neto i jego „oczyszczony” MPLA. Oczyszczanie polegało na wymordowaniu innych frakcji w partii. Dokonywano tego przez stopniowe zaciskanie drewnianych ram na szyjach przeciwników politycznych, aż pękały im czaszki.

CIA, jak zwykle nie mająca pojęcia o sytuacji, wspierała FNLA, najślabszą, najbardziej plemienną i skorumpowaną z wszystkich trzech organizacji, rzucając jej skąpe sumy pomocy finansowej, czego nie pochwaliby ONZ, gdyby o tym wiedziała. Chiny, podobnie jak Korea Północna, również stawiały na FNLA.

Sznur czajek przejechał przez most i wjechał na Kreml. W pierwszej limuzynie jechało dwóch kubańskich generałów. Senen Casas Requerion był szefem sztabu armii kubańskiej; towarzyszył mu szef do spraw logistyki. Generał pułkownik Ramon Machado pełniący rolę przewodnika i tłumacza państwa jechał z prezydentem Fidelem Castro w drugim samochodzie.

Ramon otrzymał awans po powrocie z Etiopii, gdzie przygotował abdykację cesarza Hajle Sellasje, zniesienie monarchii i formalną deklarację etiopskiego Dergu o powstaniu marksistowskiego, socjalistycznego rządu.

Był teraz jednym z najmłodszych generałów w rosyjskich organizacjach wojskowych, z całą pewnością najmłodszym w KGB. Jego bezpośredni przełożony w tajnych służbach miał pięćdziesiąt trzy lata, natomiast poprzednik, Joe Cicero, otrzymał stopień generalski tuż przed emeryturą. Awans ten zaskakiwał także dlatego, że Ramon nie był rosyjskiej narodowości. Jego naturalizacja odbyła się zaledwie osiem lat wcześniej.

Etiopia była jego triumfem. Pokierował pierwszym stadium rewolucji w taki sposób, że obecność Rosji była w tym kraju niezauważalna i – co ważniejsze – kosztowała zaledwie kilka milionów rubli.

Wkrótce potem nastąpiła jego utrzymana w tajemnicy, lecz równie owocna wizyta w Luandzie w Angoli, gdzie Ramon spotkał się z Czerwonym Admirałem, Rosą Coutinho. Był on członkiem Portugalskiej Partii Komunistycznej. Został wyznaczony na gubernatora przez lewicowy, wojskowy komitet, który rządził obecnie w Portugalii. Powierzono mu przygotowania do przeprowadzenia wyborów powszechnych, mających doprowadzić do powołania afrykańskiego rządu, który zapewni byłej portugalskiej kolonii niepodległość. Jednakże w czasie jego spotkania z Ramonem okazało się, że mieli zbliżone poglądy.

– Musimy postarać się, by w żadnym wypadku nie odbyły się wybory powszechne – powiedział Ramonowi. – Jeśli na to pozwolimy, to pierwszym prezydentem Angoli będzie Jonas Savimbi, chociażby dlatego, że jego plemię Ovimbundu jest najliczniejsze.

– Nie możemy do tego dopuścić – zgodził się Ramon.

Nie musiał przeprowadzać szczegółowych badań. Wiedział, że Jonas Savimbi to najbardziej śmiały polityk, najwybitniejszy przywódca partyzancki. Jego UNITA walczyła z Portugalczykami rozważnie, z uporczywą determinacją przez dziesięć lat. Oprócz inteligencji i wykształcenia ma jeszcze silny charakter. Chociaż nigdy nie przedstawił publicznie swoich poglądów politycznych, z pewnością nie jest marksistą, może nawet nie socjalistą, nie mogli więc ryzykować i pozwolić mu objąć władzy.

– Jedynym rozwiązaniem – kontynuował Ramon – jest oświadczenie, że z powodu chaosu panującego w kraju przeprowadzenie wyborów jest niemożliwe. Następnie powinien pan stwierdzić, że należy wobec tego uznać MPLA za jedyną partię zdolną do objęcia rządów i nakłonienia Lizbony, by jak najszybciej przekazała władzę Agostinho Neto i MPLA.

Neto został wybrany przez Rosję. Był nieszczerzy, słaby, okrutny i podatny na wpływy. Można będzie go kontrolować, w przeciwieństwie do Savimbiego.

– Zgoda – skinął głową Coutinho. – Ale czy mogę liczyć na pełne wsparcie ze strony Rosji i Kuby?

– Chciałbym się dowiedzieć, czy jest pan gotowy przekazać nam strategiczne dane dotyczące baz wojskowych i lotnisk, byśmy mogli wysłać tu oddziały i sprzęt? – skontrował Ramon.

– Ma pan na to moją rękę.

Czerwony Admirał wyciągnął dłoń nad biurkiem, a Ramon uściśnął ją z rosnącym poczuciem triumfu. Był na najlepszej drodze, by kolejne dwa kraje dostały się pod panowanie sowieckie. Z pewnością żaden człowiek nie osiągnął więcej w Afryce.

– Polecę stąd bezpośrednio do Hawany – zapewnił Czerwonego Admirała. – Sądzę, że rozmowy na najwyższym szczeblu pomiędzy Kubą i Moskwą rozpoczną się w ciągu kilku dni. Pod koniec miesiąca będę miał dla pana odpowiedź.

Coutinho wstał.

– Jest pan niezwykłym człowiekiem, towarzyszu generale. Rzadko mam przyjemność pracowania z kimś, kto z taką przenikliwością dociera do sedna problemu i jest gotów wykonać śmiały, precyzyjny ruch, by go usunąć.

Teraz Ramon siedział na tylnym siedzeniu czajki u boku Fidela Castro, gdy wjeżdżali do twierdzy sowieckiego socjalizmu. Sznur samochodów prowadzony przez motocyklistę poruszał się szybko po wybrukowanej kamieniami ulicy. Minęli słynną zbrojownię, wielki skarbiec imperialnej Rosji, w którym dotąd znajdowało się zadziwiające bogactwo darów od ambasadorów i carskie regalia, począwszy od korony Iwana Groźnego aż po wysadzone drogimi kamieniami suknie Katarzyny Wielkiej.

Stojący w kolejce do muzeum zagraniczni turyści obserwowali przejazd kolumny aut, a na ich twarzach ukazało się zaciekawienie, gdy rozpoznali wielką, brodatą postać Fidela Castro w drugim samochodzie.

Jechali szybko, mijając po lewej stronie cerkwie Archaniola, Zwiastowania i Wniebowzięcia. Ogromne, strzeliste szczyty wież i złote kopuły lśniły w bladym wiosennym słońcu. Kwitły śliwy i wiśnie w ogrodach. Skręcili na plac, przejechali obok pałacu Prezydium Rady Najwyższej i zatrzymali się przed głównym wejściem do budynku Rady Ministrów.

Powitała ich gwardia honorowa oraz tuzin cywilnych i wojskowych dygnitarzy. Wiceminister Aleksiej Judenicz wystąpił naprzód, by objąć Fidela Castro i wprowadzić go do siedziby rządu.

W Sali Lustrzanej Castro zabrał głos. Mówił wyraźnie i robił przerwę po każdym zdaniu, żeby dać czas rosyjskiemu tłumaczowi. Nawet Ramon, stary towarzysz broni, był pod wrażeniem wiedzy Castra na temat aktualnej sytuacji w Afryce oraz jego oceny kosztów i możliwości, jakie się otwierają. Zapamiętał dobrze każde słowo raportu Ramona.

– Europa Zachodnia jest podzielona i słaba. NATO jest militarnie uzależnione od Ameryki. Nigdy nie zdobędą się na konkretną odpowiedź na nasze zdecydowane wkroczenie do Angoli. Nie martwmy się nimi na próżno.

– A co z Ameryką? – zapytał trzeźwo Judenicz.

– Ameryka wciąż leczy rany po upokorzeniu, jakiego doznała w Wietnamie. Ich Senat nigdy się nie zgodzi, by wysłać amerykańskie oddziały do Afryki. Amerykanie dostali baty. Nadal pojękują z podwiniętymi ogonami. Jedynym zagrożeniem z ich strony może być powołanie zastępczej armii, która walczyłaby za nich.

– Afryka Południowa – wyprzedził go Judenicz.

– Tak, RPA ma najbardziej niebezpieczną armię w Afryce. Kissinger może ich

zwerbować i przerzucić za angolską granicę.

– Czy możemy sobie pozwolić na walkę z Afryką Południową? Ich baza zaopatrzeniowa znajduje się dziesięć tysięcy mil bliżej niż nasza, a oddziały walczące w buszu mają reputację najlepszych w Afryce. Jeśli zostaną wyposażeni przez Amerykanów...

– Nie będziemy musieli z nimi walczyć – zapewnił Castro. – Gdy przekroczą granicę, Ameryka i Afryka Południowa zostaną natychmiast pokonane nie siłami sowieckimi czy kubańskimi, lecz przez posunięcia rządu białej mniejszości i politykę apartheidu.

– Proszę to nam wyjaśnić, panie prezydencie – poprosił Judenicz.

– Na Zachodzie wśród amerykańskich liberałów i europejskich ruchów antyapartheidowskich istnieje tak silne pragnienie zniszczenia panowania białych w Afryce Południowej, że są oni w stanie wszystko temu poświęcić. Raczej poświęcą Angolę, niż pozwolą, by Afryka Południowa jej broniła. W chwili gdy pierwszy Afrykaner przekroczy granicę Angoli, nasza wojna będzie wygrana. Amerykańska Partia Demokratyczna i przywódcy tak zwanej demokracji w Europie podniosą taki wrzask, że RPA nie będzie mogła nawiązać walki.

W obliczu groźby potępienia przez cały świat będą zmuszeni się wycofać. Ich nieudana interwencja przyniesie korzystne dla nas rozwiązanie tej kwestii. Kiedy Afryka Południowa porzuci swą tarczę, żaden zachodni polityk nie będzie miał odwagi podjąć jej ponownie. Angola będzie nasza.

Wszyscy przytakiwali mu, kiwając głowami. I generałowie, i ministrowie. Castro jeszcze raz zadziwił Ramona umiejętnością przemawiania oraz darem przekonywania. Z tego głównie powodu Ramon wymógł na nim, by zjawił się w Moskwie osobiście. Żaden z jego generałów i ministrów nie potrafiłby tak pokierować sytuacją, jak on to właśnie uczynił. Jego błyskotliwości i tajemniczości nie mógł oprzeć się rosyjski umysł.

„Nazywa mnie Żółtym Lisem – uśmiechnął się Ramon do siebie. – Ale on sam jest królem wszystkich lisów”.

Castro jeszcze jednak nie skończył. Wszystko dokładnie sobie zaplanował. Uśmiechnął się serdecznie do siedzących, przesuwając dłonią po swej długiej brodzie.

– Angola będzie nasza, ale to dopiero początek. Ostatecznym celem jest Afryka Południowa.

Wszyscy pochyliłi się z ożywieniem, ich oczy świeciły się jak gromadzie wilków czujących krew.

– Kiedy zdobędziemy Angolę, okrążymy całą Afrykę Południową, będziemy mieć bazy na wszystkich jej granicach, z których czarni bojownicy o wolność będą mogli atakować bezkarnie. RPA to skarbiec i ekonomiczna elektrownia całej Afryki. Jeśli ją podbijemy, reszta sama wpadnie nam w ręce.

Położył swe duże dłonie na stole i pochylił się nad nimi.

– Zapewnię wam tylu żołnierzy, ilu będzie potrzeba, nawet sto tysięcy. Jeśli dostarczycie broń, sprzęt i transport, ruszymy, by zerwać owoc, który już dojrzał. Czy zrobimy to, towarzysze? Czy dokonamy razem tego śmiałego czynu?

Zaledwie miesiąc później grupa portugalskich oficerów lojalnych wobec Czerwonego Admirala Coutinho przekazała strategiczną bazę lotniczą w Saurimo pułkownikowi Angelowi Botellowi, który był szefem do spraw logistyki kubańskiego lotnictwa. Saurimo leżało w głębi lądu, w odległości pięciuset mil od Luandy i dlatego było mało prawdopodobne, by CIA lub jakiś inny zachodni wywiad założył tu podsłuch.

Pierwszy transportowy il wylądował w Saurimo dwadzieścia cztery godziny później. Przywiózł sprzęt wojskowy i pięćdziesięciu „doradców” z Kuby. Rosyjskim



obserwatorem wojskowym, który przyleciał tym samym samolotem, był generałpułkownik Ramon Machado.

Przeżywał on właśnie bardzo wyczerpujący, ale ekscytujący okres. Rosła jego sława, a pseudonim, który dotarł tu za nim wraz z kubańskim kontyngentem, szybko stał się znany w całej Afryce.

„El Zorro – szeptano. – El Zorro przyjechał. Teraz wszystko zacznie się zmieniać”.

Był ciągle w ruchu, jak lis, jego imiennik. Rzadko spał dwie noce z rzędu w tym samym miejscu. Często nie miał nawet łóżka, lecz jedynie glinianą podłogę w chacie z trawy, ciasny fotel lekkiego samolotu albo brudne drewniane dno szalupy, przeciskającej się przez moczary i piaski na odległych afrykańskich rzekach.

El Jefe jak zwykle miał rację. Państwa zachodnie nie przygotowały wspólnej odpowiedzi na wzmocnienie pozycji Kuby. Admirał Coutinho mógł bez przeszkód rozpocząć badania, podczas gdy zachodnim dziennikarzom skutecznie uniemożliwiano docieranie do najistotniejszych informacji. Broń i oddziały dostarczano drogą lotniczą do Saurimo lub drogą morską do Brazzaville nad rzeką Kongo i rozsyłano stamtąd lekkimi samolotami i szalupami do oddziałów MPLA, których obozy znajdowały się w głębi buszu.

Angola była tylko jedną z kilku operacji, którymi Ramon zajmował się jednocześnie. Musiał jeszcze nadzorować działania w Etiopii i Mozambiku oraz pracę swojej siatki wywiadowczej, a także koordynować współdziałanie południowoafrykańskich bojowników o wolność. Angola była świetną nową trampoliną dla ruchu wyzwolenczego. Ramon zorganizował obozy treningowe zarówno dla SWAPO, Ludowej Organizacji Południowo-Zachodniej Afryki, jak i dla ANC – Afrykańskiego Kongresu Narodowego. Siedziby główne obu organizacji znajdowały się w dwóch różnych częściach kraju. SWAPO mieściła się na południu, gdzie mogła bez trudu przekraczać granicę Namibii i rozwijać działalność wśród członków swoich plemion – Ovahimbo i Ovambo.

Ale Ramona szczególnie interesował ANC. Ani na chwilę nie zapomniał, że RPA była bramą do całego kontynentu i że ANC to bojownicy o wolność Afryki Południowej. Raleigh Tabaka, jego dawny towarzysz z Londynu, został naczelnym logistyką ANC w Angoli. Obaj znaleźli miejsce na główną bazę ANC w północnej Angoli.

Spędzili razem setki godzin w powietrzu, latając wojskowym dwupłatowcem Anionowa. Przetrzęsnęli całą prowincję Kungo, leżącą na północnym wybrzeżu, zanim znaleźli odpowiedni teren.

Była to mała wioska rybacka, położona w lagunie, przy ujściu rzeki Chicamba. Laguna ta otwierała się ku Atlantykowi, a wysokie fale, dźwigające do dwustu ton wody, mogły pokonać przegrodę i wpłynąć do rzeki. W dodatku przez kilka mil w górę rzeki ciągnęły się rozległe chłopskie pola. Mimo że zaniedbano je przez lata wojny, niewiele wysiłku będzie kosztować odtworzenie terenów uprawnych tam, gdzie lasy są już przetrzebione. Wioska rybacka również została porzucona podczas wojny przez mieszkańców, których w innym wypadku należałoby ewakuować lub usunąć.

Jednakże główną zaletą tego miejsca było oddalenie od granicy i obozów południowoafrykańskich. Afrykanerzy byli groźnymi przeciwnikami. Podobnie jak Izraelczycy, nie zawahaliby się przekroczyć żadnej granicy w pościgu za oddziałem partyzantów. Chicamba znajdowała się poza zasięgiem południowoafrykańskich helikopterów, a tysiące kilometrów porośniętych dżunglą gór ochraniało przed jakąkolwiek wrogą ekspedycją Burów. Nazwano ten obóz Tercio.

Raleigh Tabaka przywiózł tutaj korpus złożony z pięciuset rekrutów ANC

trawlerem rybackim, który admirał Coutinho skonfiskował w portugalskiej fabryce konserw w Luandzie.

Natychmiast rozpoczęli budowę pasa startowego i obozu szkoleniowego. Kiedy Ramon przyleciał do nich dziesięć dni później, pas już oczyszczono i wyrównano; właśnie pokrywano go gliną i żwirem, które stwardnieją jak cement i zapewnią dobry stan lotniska przy każdej pogodzie.

Podczas drugiej inspekcji lokalizacja i warunki bezpieczeństwa obozu zrobiły tak dobre wrażenie na Ramonie, że polecił wybudować oddzielny segment w pobliżu ujścia rzeki, skąd rozciągał się widok na plażę.

Chciał urządzić tam swoją prywatną kwaterę główną. Zawsze, potrzebował bezpiecznej bazy dla łączności, miejsca gdzie można by bez ryzyka wykrycia zająć się szkoleniem i planowaniem na rzecz KGB i gdzie przeprowadzano by przesłuchania i likwidowano jeńców.

Rozkazał ludziom Tabaki, by dali pierwszeństwo budowie jego pawilonu na plaży. W czasie kolejnej wizyty zobaczył, że ogrodzenie i zabezpieczenia są już gotowe, a prace nad blokiem do przesłuchań i kwaterami oficerów także postępują.

Po powrocie do Hawany skonfiskował niezbędny sprzęt radiowy i elektroniczny, a następnie wysłał to najbliższym transportem do Tertio.

\*

Podczas swych częstych wizyt w Hawanie i Moskwie Ramon nie zaniedbywał żadnego ze swych projektów, które obejmowały całą Afrykę, szczególnie najbardziej osobistej sprawy – operacji Czerwonej Róży.

Wracając myślą do czasów, gdy werbował ją w Londynie i Hiszpanii, zdał sobie sprawę, że nie przypuszczał wówczas, iż pewnego dnia stanie się dla nich tak cenna.

Odkąd weszła do Senatu, należała w nim do pięciu komisji. Z każdej z nich dostarczała niezwykle cenne informacje w formie raportów i zaleceń dotyczących rozmaitych spraw, którymi zajmowały się te komisje.

Następnie w 1975 roku została członkiem Senackiej Rady do Spraw Afryki. Przez nią Ramon dowiedział się z zaledwie kilkugodzinnym opóźnieniem, że prezydent Ford i Henry Kissinger dali Pretorii sygnał za pośrednictwem CIA, iż nie wyrażą sprzeciwu wobec wkroczenia armii południowoafrykańskiej do południowej Angoli. Czerwona Róża przekazała mu, że CIA obiecała Afryce Południowej poparcie dyplomatyczne i dostawy sprzętu wojskowego, by wesprzeć jej atak na Luandę.

Ramon poinformował o tym swoich przełożonych na Łubiance i polecił do Hawany na konsultacje z Castrem.

– Miałeś absolutną rację, El Jefe – rzekł z podziwem. – Jankesi wysyłają Burów, aby zrobili za nich czarną robotę.

– Musimy pozwolić im wpaść w pułapkę – uśmiechnął się Castro. – Chcę, żebyś natychmiast wrócił do Angoli. Wykonaj moje osobiste rozkazy. Wycofaj nasze siły i zatrzymaj je w linii defensywnej na rzekach na południe od stolicy. Pozwólmy im się zbliżyć, a potem pociągniemy Wuja Sama za brodę i kopniemy Burów w cojones.

W październiku południowoafrykańska kolumna pancerna przekroczyła rzekę Cunene i przeprowadziła śmiało uderzenie na północ. W ciągu kilku dni znalazła się w odległości stu pięćdziesięciu mil od stolicy. Byli to świetnie wyszkoleni i doskonale dowodzeni młodzi żołnierze, ich morale było wysokie, ale nie mieli sprzętu do przepraw przez rzeki oraz ciężkiej artylerii.

Kiedy dotarli do rzeki, Ramon wysłał sygnał do Hawany.

– Teraz – powiedział Castro – odkrywamy karty. Dobądź broni.

Wojsko południowoafrykańskie zostało zatrzymane na linii rzek przez rosyjskie

czołgi T-54 i helikoptery bojowe. Ramon powiadomił o obecności Burów zachodnie media i burza się rozpoczęła, jak przewidywał Castro.

Nigeria, najpotężniejszy po RPA kraj Afryki, wycofała swoje wsparcie w ciągu kilku dni po wyjawieniu przez rosyjski i kubański wywiad obecności żołnierzy południowoafrykańskich w Angoli. Porzuciła Savimbiego i jego UNITę i oficjalnie uznała wspierany przez Rosję rząd MPLA. Podkreślając swoje stanowisko, wysłała do Luandy trzydzieści milionów dolarów pomocy, aby wesprzeć Agostinha Netę.

W Senacie Stanów Zjednoczonych Dick Clark, demokrat z Iowy, podjął starania, które miały doprowadzić do izolacji południowoafrykańskich sił ekspedycyjnych w Angoli. Oskarżył CIA o nielegalną współpracę z Afryką Południową, a Kissinger i CIA udzielali wykrętnych wyjaśnień. Członkowie połączonych sztabów zagrozili podaniem się do dymisji, o ile amerykańska pomoc nie zostanie natychmiast wycofana. W grudniu Senat przyjął poprawkę Clarka i cała pomoc wojskowa dla Angoli została odcięta. Sytuacja rozwijała się dokładnie tak, jak zaplanował Castro.

Kolejny kraj został skrepowany i włączony pod rosyjskie panowanie, a miliony czarnych mieszkańców Angoli były skazane na następne dziesięć lat brutalnej wojny domowej.

W Moskwie generał-pułkownik Ramon Machado otrzymał Order Lenina pierwszej klasy, który wręczył mu osobiście generalny sekretarz Breżniew.

Potem Ramon został wezwany do Etiopii. Pełzająca rewolucja weszła tutaj w decydujące stadium.

## ROZDZIAŁ 4

Gdy ił podszedł do lądowania w Addis Abebie, Ramon usiadł obok pilota w kabinie, tak że mógł swobodnie podziwiać rozciągający się przed nim górzysty kraj.

W ciągu stuleci wszystkie otaczające stolicę drzewa zostały wycięte i przeznaczone na opał, więc teraz wzgórza były nagie. W błękitnej mgłę w oddali wznosiły się góry o płaskich szczytach, znane jako Ambasy, bardzo charakterystyczne dla tej tajemniczej części wschodniej Afryki. Strone zbocza opadały tysiące stóp w głąb skalistych dolin, w których rwące potoki żłobiły czerwoną ziemię.

W tym kraju grasowały w starożytności armie faraonów, poszukujące niewolników, kości słońiowej i innych egzotycznych skarbów.

Etiopczycy byli wyjątkowo dumnym i wojowniczym narodem, w większości chrześcijańskim, częściowo zaś należącym do Kościoła koptyjsko-egipskiego, starożytnego odłamu Kościoła katolickiego, który powstał w Aleksandrii w Egipcie.

Od 1930 roku władzę sprawował Negus Negusti, Najwyższy Cesarz, Hajle Sellasje. Był ostatnim w historii monarchą absolutnym, który rządził za pomocą dekretów. Wszystkie jego postanowienia oficjalnie zatwierdzał Derg, rada składająca się ze szlachty, wielkich rases i wodzów. Jego władza była tak ogromna, że sam podejmował decyzje dotyczące każdego szczegółu w zakresie sprawowania władzy, od najdonioślejszych postanowień do wyboru urzędnika średniego szczebla gdzieś na prowincji. Pomimo takiego absolutyzmu i feudalnego systemu władzy, lud uwielbiał tego łaskawego dyktatora za jego cnoty bliskie świętości i całkowitą odporność na pokusę korupcji. Cesarz był niskim, delikatnym mężczyzną o drobnych, kobiecych stopach i przyjemnych rysach twarzy.

Tryb życia prowadził surowy i wstrzemięzliwy. Poza oficjalnymi okazjami ubierał się skromnie, jadał niewiele i wyłącznie proste potrawy. W przeciwieństwie do innych afrykańskich władców nie zgromadził znacznych ilości osobistego bogactwa, a jego główną, być może jedyną, troską było dobro ludu.

W ciągu czterdziestu pięciu lat od swej koronacji przeprowadził Etiopię przez powstanie, obcą inwazję i burzliwe czasy ze spokojem, mądrością i stanowczością.

Zaledwie pięć lat po jego koronacji to górzyste królestwo najechały wojska Mussoliniego, a jego władca został wygnany i osiadł w Anglii. Lud opierał się najeźdźcy, walcząc przeciwko czołgom, nowoczesnym samolotom i gazom trującym za pomocą ładowanych przez lufę karabinów, mieczy, a często także gołymi rękami.

Po pokonaniu sił osi Hajle Sellasje powrócił na tron i dalej sprawował rządy w swój stary, dobrotliwy sposób. Ale na świecie zostały uwolnione nowe siły. Podejmując wysiłki, by zmodernizować gospodarkę kraju opartą na pasterstwie i uprawie i dostosować ją do dwudziestowiecznych standardów, Hajle Sellasje dopuścił do tego, że wirus pojawił się w jego małym królestwie.

Infekcja zaczęła się od nowego uniwersytetu, który założył w Addis Abebie. Długowłosi Europejczycy o dzikich oczach zaczęli nauczać młodych studentów dziwnej, szalonej filozofii, mówiącej o tym, że ludzie są równi, a królowie i szlachetnie urodzeni nie mają żadnych nadanych im przez Boga praw. Stan zdrowia starzejącego się cesarza zaczął się pogarszać, a do tego wydawało się, że wszystkie żywioły sprzyściły się przeciwko niemu. Afryka to ziemia ostrych przeciwieństw, gdzie upał następuje po lodowatym zimnie, susza po potopie, a ziemia jest raz szczodra, raz wroga, bez żadnego powodu ani konsekwencji.

Straszna susza zapanowała w Afryce, a wraz z nią pojawiło się przerażające widmo głodu. Plony przepadły, rzeki i studnie wyschły, gleba zamieniła się w pył, który został wymieciony przez pustynne wiatry. Stada zwierząt wyzdychały, a

niemowlęta przy zwiotczonych matczynych piersiach miały przeraźliwie wychudłe ciała i obciągnięte skórą twarzyczki z wielkimi oczami.

Kraj krzyczał w udręce.

Głód w Afryce nie był niczym nowym i nie budził szczególnego zainteresowania, zwłaszcza że Afryka była daleko. Świat niczego nie zauważył, dopóki BBC nie wysłało do Etiopii Richarda Dimbleby'ego z kamerą. Dziennikarz sfilmował straszliwe cierpienia w wioskach murzyńskich. Wziął także udział w rządowym bankiecie w Addis Abebie.

Z premedytacją i złą wolą sceny głodu i powolnego umierania przerywał obrazami z uczyty notabli, ubranych w szkarłat i złote koronki i powiewających białymi szatami, oraz zdjęciami cesarza siedzącego przy suto zastawionym stole.

Reportaż ten zrobił ogromne wrażenie. Świat zauważył Etiopię. Młodzi studenci z uniwersytetu w Addis Abebie, przygotowani przez swoich wykładowców, rozpoczęli agitację w całym kraju. Kościół i misjonarze nauczali o tym, że cała władza nie powinna znajdować się w rękach jednego człowieka i marzyli o tej nieuchwytej utopii, miejscu, gdzie człowiek kochałby swoich bliźnich, a lew spoczął obok owcy.

Wielu członków Dergu widziało szansę na wyrównanie starych rachunków i na osobisty awans. Ponadto wydarzyło się coś, co nie było bezpośrednio związane z klęską żywiolową, ale okazało się, iż ma ogromne znaczenie dla rozwoju sytuacji w tym kraju. Arabscy producenci ropy naftowej podwoili jej cenę i trzymali w szachu cały świat. W Etiopii ceny żywności znacznie wzrosły, przynosząc straszliwe ubóstwo ludowi, który już został ciężko doświadczony przez głód. Inflacja osiągnęła zawrotny poziom. Ci, którzy mogli, gromadzili żywność, a ci, którzy jej nie mieli, strajkowali, wzniesli bunt i plądrowali sklepy z jedzeniem.

Wielu młodych oficerów ukończyło uniwersytet w Addis Abebie; oni właśnie stanęli na czele przewrotu. Rebelianci utworzyli komitet rewolucyjny i przejęli kontrolę nad Dergiem.

Aresztowali premiera i członków rodziny władcy, a cesarza odseparowali i zatrzymali w pałacu. Rozpuścili pogłoski, że Hajle Sellasje ukradł poważną sumę państwowych pieniędzy i przelał ją na swoje konto w szwajcarskim banku. Zorganizowali demonstracje studentów i niezadowolonych przed pałacem cesarskim. Tłum wrzeszczał, żądając jego abdykacji. Księża Kościoła koptyjsko-egipskiego oraz przywódcy muzulmańscy przyłączyli się do chóru zarzutów i także żądali abdykacji monarchy i ustanowienia demokracji ludowej.

Wojskowa rada czuła się już wystarczająco silna, by podjąć następny krok. Poprzez Derg wydano oficjalną rezolucję o pozbawieniu władzy cesarza i wysłano delegację młodych oficerów, aby go aresztowali i usunęli z pałacu.

Kiedy słabego, starego człowieka prowadzono po schodach, powiedział:

– Jeśli to, co robicie, służy dobru mojego narodu, to idę z wami z radością i modłę się o powodzenie waszej rewolucji.

Aby cesarza upokorzyć, zamknięto go w małej, brudnej chatce na przedmieściach miasta, prosty lud zaś gromadził się tam tysiącami, by wyrazić swemu władcy współczucie i zapewnić o swej lojalności. Na rozkaz wojskowej rady strażnicy rozpędzali tłum bagnetami.

Kraj dojrzał już do rewolucji, kiedy ił wylądował na lotnisku w Addis Abebie i zatrzymał się w odległej części portu, gdzie oczekiwało go dwadzieścia jeepów i wojskowych ciężarówek.

Ramon wysiadł jako pierwszy, gdy tylko trap dotknął ziemi.

– Witajcie, generale.

Pułkownik Getachew Abebe wyskoczył z jeepa i podszedł, by go powitać. Uścisnęli sobie krótko dłonie.

– Przybywacie na czas – powiedział Abebe i obaj odwrócili się, osłaniając dłońią oczy i patrząc pod słońce.

Drugi ił podszedł do lądowania i dotknął ziemi. Kiedy kołował ku nim, na niebie pojawił się trzeci i czwarty potężny samolot.

Gdy zatrzymały się w nierównym rzędzie i wyłączyły silniki, ludzie wysypali się z obszernych wnętrz. Byli to spadochroniarze z doborowego Legionu Che Guevary.

– Jaka jest sytuacja? – zapytał Ramon.

– Derg głosował za Andomem – powiedział Abebe, a Ramon spojrzał na niego poważnie.

Generał Aman Andom, szef armii, był człowiekiem niezwykle uczciwym i bardzo inteligentnym, popularnym zarówno w armii, jak i wśród ludności cywilnej. Wybór właśnie jego na przywódcę nie był żadną niespodzianką.

– Gdzie on teraz jest?

– W swoim pałacu, jakieś pięć mil stąd.

– Ilu ludzi?

– Obstawa w liczbie pięćdziesięciu do sześćdziesięciu...

Ramon odwrócił się, by przyjrzeć się wysiadającym spadochroniarzom.

– Ilu członków Dergu jest po waszej stronie?

Abebe wymienił kilkanaście nazwisk oficerów o lewicowych poglądach.

– Tafu? – zapytał Ramon. Abebe skinął głową. Pułkownik Tafu dowodził eskadrą rosyjskich czołgów T-53, najnowocześniejszą jednostką w armii.

– Dobrze – powiedział cicho Ramon. – Możemy to zrobić, ale musimy działać szybko.

Wydał rozkaz dowódcy kubańskich spadochroniarzy. Oddziały ubranych w panterki żołnierzy z karabinami na plecach zaczęły wsiadać do czekających na nich ciężarówek.

Ramon zajął miejsce obok Abebe w pierwszym jeepie i długa kolumna ruszyła ku miastu. Czerwony kurz tworzył gęstą chmurę za sznurem samochodów i rozpląwał się na północnym, pustynnym wietrze.

Na przedmieściach miasta napotkali karawany wielbłądów i mułów.

Towarzyszący zwierzętom ludzie popatrzyli obojętnie na przejeżdżającą kolumnę.

W tych niebezpiecznych czasach, które nastąpiły po aresztowaniu cesarza, przyzwyczaili się do widoku wojska na ulicach. Byli to ludzie z pustyni Danakil i z gór, muzułmanie w turbanach i luźnych szatach oraz Koptowie o bujnych włosach, z mieczami o szerokich ostrzach przy pasach i tarczami na ramionach.

Na rozkaz pułkownika Abebe jeep skręcił w boczną drogę i objechał miasto dookoła, mknąc po rozjeżdżonych szosach pomiędzy chałupami o płaskich dachach. Abebe mówił szybko przez radio w języku amharskim i tłumaczył wszystko Ramonowi.

– Moi ludzie obserwują pałac Andoma – wyjaśnił. – Zdaje się, że właśnie zwołał oficerów z Dergu, którzy go popierają.

– Dobrze. Zgarniemy wszystkich naraz.

Kolumna Minęła miasto i wjechała na otwartą przestrzeń. Susza nie pozostawiła tu ani śladu trawy czy liści. Wapienne skały, które pokrywały ziemię, były białe jak czaszki.

– Tam – powiedział Abebe wskazując przed siebie.

Generał należał do arystokracji, a jego rezydencja znajdowała się poza miastem, na pierwszym z szeregu niskich wzgórz. Były one nagie, z wyjątkiem australijskich eukaliptusów, które otaczały pałac. Nawet one zmarniały w skwarze i suszy. Wokół pałacu wybudowano mur z czerwonych płytek. Ramon stwierdził, iż jest to potężna fortyfikacja i że do jej zdobycia potrzebna będzie artyleria.

Abebe czytał w jego myślach.

– Mamy niespodziankę – powiedział. – Jest szansa, że uda się nam wjechać przez bramę...

– Nie – zaproponował Ramon. – Na pewno zauważyli samoloty. Prawdopodobnie dlatego Andom zwołał to zebranie.

Na otwartej, skalistej równinie pojawił się samochód należący do sztabu, który kierował się ku bramie.

– Zatrzymać się – rozkazał Ramon i kolumna stanęła w zagłębieniu terenu.

Ramon uniósł się na tylnym siedzeniu jeepa i przyłożył lornetkę do oczu. Widział, jak samochód wjechał do środka i jak zaraz potem drewniane wrota zamknęły się ciężko.

– Gdzie jest Tafu i jego czołgi?

– Jeszcze w koszarach, po drugiej stronie miasta.

– Ile potrwa, zanim tu dotrą?

– Dwie godziny.

– Każda minuta jest ważna – stwierdził Ramon cały czas obserwując pałac. – Proszę wydać Tafu rozkaz, by jak najszybciej tu przybył. Ale nie możemy na niego czekać.

Abebe włączył radio, a Ramon opuścił lornetkę na piersi i wyskoczył z jeepa. Dowódca spadochroniarzy i inni oficerowie zgromadzili się wokół niego, on zaś wydawał rozkazy, wskazując różne punkty w terenie.

Abebe odwiesił mikrofon radia i przyłączył się do nich.

– Pułkownik Tafu ma jeden czołg T-53 w mieście; strzeże pałacu cesarskiego. Wysła go do nas. Dotrze tu za godzinę. Reszta eskadry przybędzie po nim.

– Bardzo dobrze – kiwnął głową Ramon. – A teraz proszę opisać wnętrze pałacu Andoma. Gdzie znajdziemy jego samego?

Abebe narysował układ pomieszczeń na piasku, a następnie Ramon wydał ostatnie rozkazy.

Kolumna ponownie ruszyła naprzód, ale tym razem na masce jeepa dowództwa powiewała ogromna biała flaga, prześcieradło, które trzepotało na prowizorycznym drażku. Ciężarówki jechały w zdyscyplinowanym szeregu. Spadochroniarze byli ukryci pod plandekami; broń schowali jeszcze dokładniej.

Kiedy zbliżyli się do pałacu, zza muru wychynął rząd głów, ale flaga oznaczająca zawieszenie broni powstrzymała ich.

Pierwszy jeep zatrzymał się przed bramą. Ramon przekonał się, że była bardzo mocna i solidnie zabezpieczona. Zbudowano ją z twardego teku i wzmocniono pasami z kutej stali. Szeregi zawiasów były solidnie umocowane po bokach. Generał-pułkownik porzucił jakąkolwiek myśl o tym, by wjechać przez bramę ciężarówką.

Ze szczytu muru dwadzieścia stóp nad nimi odezwał się po amharsku kapitan straży; Abebe wstał, by mu odpowiedzieć. Targowali się przez kilka minut. Abebe powtarzał, że ma pilną przesyłkę dla generała Andoma i żądał by go wpuszczono. Strażnik krzyknął coś w odpowiedzi i wymiana zdań stała się ostrą.

Kiedy Ramon upewnił się, że cała uwaga strażnika była skoncentrowana na ich jeepie, zaczął mówić cicho przez radio. Stojące z tyłu ciężarówki ruszyły z rykiem do przodu i pojawiły się po jego lewej i prawej stronie. Wjechały na nierówny, skalisty teren obok drogi i zatrzymały się pod murem. Spadochroniarze wyskoczyli spod płóciennych plandek i wdrapali się na dachy pojazdów. Dziesięciu z nich miało haki, które zarzucili na mur. Nylonowe liny rozwinęły się i zawisły w powietrzu.

– Otworzyć ogień! – Ramon wydał rozkaz przez radio i burza wystrzałów z broni automatycznej ogarnęła szczyt muru, obłupując bryły gliny i cegły z samej góry. Rykoszety jęczały w gałęziach drzew. Głowy strażników znikły natychmiast,

niektórzy zeskoczyli od razu na ziemię, ale co najmniej jednego trafiła kula. Ramon zobaczył, jak jego hełm uniósł się, odsłaniając czubek głowy. Różowa mgła z krwi i mózgu zawisła na chwilę w powietrzu, gdy go trafiono.

Spadochroniarze zaczęli się wspinać po murze, po trzech naraz na każdej linii. Byli zwinni jak małpy i w ciągu kilku sekund trzydziestu znalazło się już na szczycie lub na ziemi po drugiej stronie. Rozległy się odgłosy wystrzałów z broni maszynowej i wybuchł jeden granat. W chwilę później wielkie drewniane wrota otworzyły się, a Ramon rozkazał kierowcy jeepa wjechać do środka.

Ciała strażników leżały tam, gdzie zostali zastrzeleni. Ramon spostrzegł jednego ze swoich ludzi, który siedział obok bramy i trzymał się za brzuch, a przez palce ciekła mu krew. Inny rzucił się ku nadjeżdżającemu jeepowi.

Ramon stał przy ciężkim karabinie maszynowym Browninga, kalibru 50 mm, który był umieszczony nad siedzeniem kierowcy. Oddał długą serię do pozostałych przy życiu strażników, którzy uciekali jak króliki w stronę labiryntu chat w drugiej części placu. Jeden z nich zachwiał się i upadł na kolana. Uniósł granatnik RPG 7, który niósł na ramieniu, i wycelował w nadjeżdżający jeep. Ramon obrócił ku niemu karabin, ale w tym momencie przednie koła natrafiły na leżące na ziemi zwłoki i samochód podskoczył, przez co seria poszła ponad celem.

Strażnik wypalił raketę, która trafiła w sam środek chłodnicy jeepa. Rozległ się huk i przednie zawieszenie się zerwało, pojazd zaczął kołysać się z boku na bok.

Na podwórzu nie było już wrogów, ale zniszczony jeep zablokował wjazd i ciężarówki ustawiły się za nim.

Nie można było kontynuować ataku, a tymczasem broniący się zbierali siły. Z okien i drzwi pałacu dochodziły przerywane serie z broni maszynowej.

Kubańscy spadochroniarze wyskoczyli z unieruchomionych ciężarówek i ruszyli naprzód, lecz następna rakietą zasyczała przed nimi i trafiła w pierwszy samochód, rozrywając maskę i tłukąc przednią szybę. Olej napędowy wylał się ze zniszczonego kanistra i zapłonął, a czarny dym pokrył plac.

Przed nimi rozległy się krzyki i wystrzały. Kolejny spadochroniarz padł, wyrzucając w górę ramiona. Ramon chwycił swój pistolet i gestem wydał rozkaz do ataku, gdy z okien ktoś otworzył do nich ogień z ciężkiego karabinu maszynowego. Ramon poczołgał się pod deszczem kul i znalazł się przy murze. Strzały rozlegały się nad jego głową i świszczały mu w uszach. Sięgnął po granat, zerwał zawleczkę i wrzucił go przez okno, a następnie padł na ziemię i zakrył sobie uszy. Rozległ się dziki wrzask i karabin maszynowy umilkł. Po chwili poczuł nad głową podmuch po wybuchu granatu.

– Naprzód! – wrzasnął znowu Ramon i poprowadził sześciu ludzi przez rozwalone okno.

Karabin spadł na podłogę, która była mokra i śliska od krwi. Obrońcy powoli się wycofywali przez labirynt pokoi, drózek i podwórek, zaciekle walcząc o każde miejsce.

Atak stopniowo tracił impet, mimo że Ramon groził, przeklinał i próbował własnym przykładem zagrzewać żołnierzy do walki. Zdawał sobie sprawę z tego, że Adom na pewno wezwał na pomoc wierne mu oddziały i że stracone teraz minuty mogą oznaczać porażkę i upadek rewolucji.

Usłyszał, jak Abebe krzyczy z wściekłości, ponagłając swych ludzi. Przyczołgał się do niego i chwycił za ramię. Pochylili ku sobie brudne i spocone twarze, by słyszeć się poprzez huk karabinów.

– Gdzie są te cholerne czołgi?

– Jak dawno je wezwałem?

– Ponad godzinę temu! – wrzasnął Ramon. – Wracaj do radia i powiedz im...



Obaj usłyszeli to jednocześnie: przenikliwy, metaliczny pisk i łoskot na drodze.  
– Naprzód! – krzyknął Ramon i ruszyli razem, zgięci w pół, a kule gwizdały ponad ich głowami. Biegli z powrotem przez zalane krwią pokoje, których ściany poznały kule i szrapnele.

Kiedy dotarli do bramy, czołg przedarł się już przez zatarasowane wejście. Wieżyczka była odwrócona, a lufa karabinu kaliber 55 mm skierowana w drugą stronę. Resztki trafionego przez raketę jeepa zostały odepchnięte i T-53 z rykiem silników wpadł na dziedziniec. We włązie pojawiła się głowa dowódcy w hełmie.

Ramon wymachiwał ramionami w geście oznaczającym: „Naprzód!”, wskazując na gmatwaninę uliczek i budynków.

Czołg obrócił się na stalowych łożyskach i najechał na najbliższy mur, który runął pod jego naporem. Ramon wraz ze spadochroniarzami pobiegł przejściem, które się otwarło. Ściany się waliły, a belki trzeszczały, gdy stalowy potwór wjeżdżał na nie, miażdżąc sterty gruzu i ludzkie ciała.

Poprzez bitewny zgiełk słychać było wrzaski broniących się, a po chwili ich karabiny umilkły. Potykając się wyszli ze zburzonych budynków, rzucili broń i podnieśli ręce.

– Gdzie jest Andom? – spytał Ramon głosem ochrypłym od kurzu i krzyku. – Musimy go mieć. Nie pozwólcie mu uciec.

Generał był wśród tych, którzy poddali się na końcu. Dopiero kiedy T-53 zrównał z ziemią mur głównej kwatery, wyszedł z czterema wyższymi oficerami. Czoło i lewe oko miał owinięte zakrwawionym bandażem. Broda była sztywna od kurzu i krwi, koszulę zaś miał w strzępach. Błyskał gniewnie zdrowym okiem, a jego zachowanie było pełne godności.

– Pułkownik Abebe, to jest bunt i zdrada – stwierdził dobitnie. – Jestem prezydentem Etiopii, moja nominacja została dziś rano przyjęta przez Derg.

Ramon skinął na spadochroniarzy. Chwycili generała za ramiona i zmusili go, by ukląkł. Ramon odpiął kaburę i podał Abebe rewolwer.

Pułkownik przyłożył muszkę pomiędzy oczy jeńca i powiedział cicho:

– Panie prezydencie Amanie Andomie, w imieniu rewolucji ludowej wzywam pana do ustąpienia – po czym nacisnął spust. Zabity padł na twarz, a mózg wypłynął na buty Abebe.

Pułkownik zabezpieczył rewolwer, obrócił go i podał Ramonowi kolbą do przodu.

– Dziękuję, generale-pułkowniku – rzekł.

– Jestem zaszczycony tym, że mogłem okazać się użyteczny – skłonił się Ramon.

– Ilu członków Dergu głosowało na Andoma? – zapytał, kiedy kolumna wyruszyła z powrotem do Addis Abeby.

– Sześćdziesięciu trzech.

– W takim razie czeka nas jeszcze dużo pracy, zanim rewolucja będzie bezpieczna.

Abebe porozumiał się przez radio z pułkownikiem Tafu, którego czołgi wjeżdżały do miasta od wschodu. Rozkazał im otoczyć siedzibę Dergu i wziąć go na cel. Oddziały armii miały rozkaz obstawić wszystkie ambasady i konsulaty. Nikomu nie wolno było ich opuszczać.

Wszystkich cudzoziemców, szczególnie dziennikarzy i personel stacji telewizyjnych, pochwycono i przewieziono na lotnisko, skąd mieli natychmiast odlecieć. Nie mogło być żadnych świadków tego, co nastąpi.

Najwierniejsze oddziały Abebe zostały wysłane do domów członków wojskowej rady i Dergu, którzy opowiedzieli się po stronie Andoma. Odbierano im broń i oznaki szarż, wywlekano z mieszkań i wrzucano do ciężarówek, które odwiozły ich do

Dergu. Tam w sali posiedzeń zebrał się już sąd rewolucyjny. Składał się on z pułkownika Abebe i dwóch młodszych oficerów.

– Jesteście oskarżeni o to, iż prowadziliście działalność antyrewolucyjną na szkodę demokratycznego, ludowego rządu. Czy macie coś do powiedzenia, zanim zostanie na was wydany wyrok śmierci?

Z sali sądowej zabierano ich bezpośrednio na dziedziniec, ustawiano pod północnym murem budynku, po czym rozstrzeliwano. Egzekucje odbywały się w obecności rewolucyjnych sędziów i tych więźniów, którzy czekali jeszcze na swój proces. Salwy karabinów regularnie przerywały posiedzenia sądu.

Zwłoki wiązano po kilka sztuk za pięty, a następnie wleczono je za ciężarówką po ulicach na główny śmietnik, leżący poza granicami miasta.

– Ludność musi widzieć działanie rewolucyjnej sprawiedliwości i wiedzieć, jaka jest kara za nieposłuszeństwo – wyjaśnił Ramon konieczność tych działań.

Sąd nakazał, by ciała nie zabierać ze zwłoki, a rodzinom zabroniono odprawiać ceremonie pogrzebowe i okazywać publicznie żałobę. Ponura praca ciągnęła się przez prawie całą noc, a ostatnia partia skazanych została stracona w światłach reflektorów ciężarówek, które czekały, aby zaciągnąć ich ciała na stertę śmieci.

Mimo że byli krańcowo wyczerpani, obaj zdawali sobie sprawę, i Ramon, i przyszły prezydent, że nie mogą odpocząć, dopóki rewolucja nie będzie bezpieczna. Ramon miał butelkę wódki. Wypił ją z Abebe, kiedy siedzieli przy radiu i słuchali napływających raportów. Wierni Abebe oficerowie przy pomocy Kubańczyków przejmowali po kolei dowództwo nad wszystkimi oddziałami armii i zajmowali najważniejsze punkty w mieście i jego okolicach.

Gdy wzeszło słońce, dworzec kolejowy, stacja radiowa i telewizyjna oraz wszystkie umocnienia i koszary wojskowe zostały opanowane. Dopiero wtedy mogli się trochę przespać. Postawili na warcie spadochroniarzy Ramona i ułożyli się na materacach w sali posiedzeń, ale już w południe włożyli świeże mundury, by spotkać się z oczyszczonym Dergiem. Wejścia do sali strzegli uzbrojeni żołnierze, a na zewnątrz ustawiły się czołgi T-53.

Gdy generał-pułkownik Machado składał Abebe gratulacje, powiedział cicho:

– Jeśli zabijesz Brutusa, to musisz też zabić wszystkich jego synów. Niccolo Machiavelli powiedział to w 1510 roku, panie prezydencie, i nadal jest to najlepsza rada.

– Więc musimy zaczynać od razu.

– Tak – zgodził się Ramon. – Czerwony terror musi być wprowadzony.

\*

„Czerwony terror będzie rozkwitał”. Pospiesznie drukowane plakaty rozlepiano na każdym rogu, a w codziennych audycjach radiowych i telewizyjnych powtarzano, że Abebe jest nowym prezydentem i wzywano ludność, by wydawała zdrajców i kontrewolucjonistów. Było tak dużo pracy, że Abebe podzielił miasto na czterdzieści części i dla każdej z nich wyznaczył oddzielny sąd rewolucyjny. Przewodniczyli im lojalni młodzi oficerowie, którzy otrzymali pełnię władzy, by „podejmować działania rewolucyjne”. Każdy miał pod sobą zespół oprawców. Zaczęli od przedstawicieli arystokracji, wodzów i ich rodzin.

– Czerwony terror to sprawdzone narzędzie rewolucji – wyjaśniał Ramon Abebe.

– Wiemy, kto później okaże się niewygodny. Wiemy, kto sprzeciwi się czystej doktrynie marksistowskiej. Będzie praktyczniej, jeśli usuniemy ich już teraz, w gorączce rewolucyjnej, ponieważ później musielibyśmy wdawać się w szczegółowe dochodzenia.

Zdjął czapkę i przesunął palcami po ciemnych gęstych włosach. Na jego twarzy było widać zmęczenie, wspaniałe, klasyczne rysy ściągnęły się i wykrzywiły, a podkrążone oczy przygasły. Abebe był mu wdzięczny za wsparcie i szczerze podziwiał jego zdecydowanie.

– Musimy wyrzucić każdy zepsuty owoc. Musimy wyeliminować nie tylko opozycję, ale każdą myśl o opozycji. Musimy złamać wolę narodu, by przestał się opierać. Oni muszą być zastraszeni, pozbawieni osobowości i poczucia sensu tego, czym się zajmują. Rdzeń musi być sterylnie czysty. Tylko wtedy będziemy mogli mieć pewność, że naród odrodzi się w nowym kształcie.

Ciała arystokratów, mało znaczących wodzów i całych ich rodzin leżały na ulicach w stertach niczym śmiecie. Patrole rewolucyjne jeździły po mieście i na chybił trafił łapały bawiące się na ulicach dzieci.

– Gdzie mieszkasz? Zaprowadź nas do domu.

Rodziców wywlekano z mieszkań i zmuszano, by przyglądali się, jak żołnierze strzelają z bliska ich dzieciom w głowy. Małe ciała, które puchły i śmierdziały w upale, pozostawiano przy drzwiach wejściowych. Rodzicom zabraniano zabierać i oplakiwać zamordowane dzieci.

„Czerwony terror zatriumfuje” – głosiły plakaty, ale w górach część starych wojowników z rodzinami stawiała opór oddziałom śmierci.

Czołgi otaczały wioski. Kobiety, dzieci i starców zamykano w chatach, po czym je podpalano. Krzyki ludzi mieszały się z trzaskiem płomieni. Mężczyzn prowadzono na pola i zmuszano, by kładli się w rzędach twarzą do ziemi. Czołgi jeździły po nich z zablokowanymi gaśnicami, by mogły obracać się na stertach ciał i rozgniatać je na papkę na spieczonej słońcem ziemi.

– Teraz weźmiemy się za księży – rzekł Ramon.

– Oni doprowadzili do upadku monarchii – zauważył Abebe.

– Tak, Kościół i Meczet, biskupi, księża, imamowie i ajatollahowie na początku zawsze są użyteczni. Rewolucję można wyhodować na ambonie, ponieważ księża mają takie wykształcenie, że nie rozumieją świata, pełni są ideałów i przyjmują wizję wolności, równości i braterskiej miłości. Łatwo można na nich wpływać, ale też zawsze pamiętają o tym, że współzawodniczymy ze sobą w zdobywaniu ludzkich dusz. Kiedy ujrzą rewolucję w akcji, wystąpią przeciwko nam. Nie możemy tolerować takiego współzawodnictwa. Księża muszą być zdyscyplinowani i objęci naszą kontrolą – tak samo jak wszyscy inni.

Wtargnęli do głównego meczetu i aresztowali czternastoletnią córkę imama. Wyłupili jej oczy i odcięli język, potem nasypali do pochwy dwie uncje ostrego pieprzu i zawieźli do domu ojca. Zamknęli ją tam w pokoju i postawili przy drzwiach strażnika. Rodziców zmuszono, by usiedli przed drzwiami i słuchali jęków umierającego dziecka.

Synów abuny, arcybiskupa Kościoła koptyjsko-egipskiego, zabrano do jednego z rewolucyjnych sądów i tam torturowano. Dłonie i stopy miażdżono im w stalowych imadłach, a ciała przypiekano prądem elektrycznym. Wyłupiono im oczy, które wisały na zewnątrz, opierając się na policzkach. Odcięto im genitalia i wepchnięto do ust. Ich rodzicom również nie pozwolono zabrać ciał i po chrześcijańsku pochować.

W radiu i telewizji wygłaszano płomienne mowy przeciwko dekadencji i rewizjonizmowi Kościoła, a oddziały śmierci czekały u wrót meczetu, kiedy muezin rozpoczynał modlitwę. Wierni zostawali w domach.

– Wszyscy synowie Brutusa nie żyją – rzekł Abebe do Ramona, gdy objeżdżali spokojne miasto.

– Nie wszyscy – nie zgodził się z nim Ramon, a Abebe odwrócił się i spojrzął uważnie. Wiedział, kogo miał na myśli.

– Trzeba to zrobić – nalegał Ramon. – Wtedy nie będzie już odwrotu. Przekroczymy raz na zawsze stare, burżuazyjne tabu, tak jak się to stało na gilotynie na placu de la Concorde i w Rosji, kiedy zginęli car Mikołaj i jego rodzina. Kiedy to zrobimy, nie będzie już odwrotu i rewolucja będzie bezpieczna.

– Kto będzie wykonawcą? – zapytał Abebe.

– Ja – odpowiedział bez wahania Ramon.

– Tak będzie najlepiej – zgodził się Abebe i odwrócił wzrok, by ukryć ulgę. – Trzeba to wykonać jak najszybciej.

Ramon jechał przez starą dzielnicę. Sam prowadził samochód. Ulice były opuszczone, chodziły po nich tylko patrole. Okna domów były zamknięte i zasłonięte. Nikt nie wyglądał. Dzieci nie bawiły się na podwórkach, a zza zamkniętych drzwi nie dochodziły żadne okrzyki czy śmiechy.

Popękane tynki murów zasłaniały rewolucyjne plakaty: „Czerwony terror zatriumfuje”.

Odkąd rozpoczął się czerwony terror, nie działały służby sanitarne. Śmiecie walały się po ulicach, wylewane z wiader nieczystości wypełniały rynsztoki mętną wodą. Ciała ofiar zrzucano na ulicach na sterty jak drewno opałowe. Były tak napęczniałe i podziurawione kulami, że nie przypominały ludzi. Ubranie opinające napełnione gazem brzuchy pękało na szwach, a ciało purpurowiało i czerniało na słońcu. Jedynymi żywymi stworzeniami były wrony, jastrzębie i sępy, które chodziły po stosach zabitych, a opasłe szczury czmychały sprzed nadjeżdżającego jeepa.

Ramon zasłonił sobie nos i usta jedwabnym szalikiem, by nie czuć smrodu, ale poza tym nic nie poruszało go, podobnie jak zwycięskiego generała nie porusza widok rzezi na polu bitwy.

Chata, która znajdowała się na końcu cuchnącej uliczki, była strzeżona przez dwóch żołnierzy. Poznali Ramona, gdy zaparkował samochód i zaszalutowali mu z szacunkiem.

– Możecie odejść – rozkazał im.

Poczekał, aż znajdą się na końcu uliczki, zanim otworzył drzwi i wszedł do środka.

W pokoju panował półmrok. Bielone ściany były puste, tylko nad łóżkiem wisiał koptyjski krzyż. Na kamiennej podłodze leżały maty z sitowia. Czuć było chorobę i starość. Pomarszczona kobieta siedziała na podłodze u stóp łóżka. Zaczęła zawodzić i zasłoniła głowę, gdy zobaczyła Ramona.

– Wyjdź – powiedział wskazując ręką na drzwi. Odczołgała się lamentując, bijąc mu pokłony i śliniąc się ze strachu. Obcasem wojskowego buta Ramon zamknął za sobą drzwi i przyjrzał się postaci leżącej na łóżku.

– Negus Negusti, królu królów – powiedział z ironią, a starzec poruszył się i spojrzał na niego.

Ubrany był w czystą białą suknię, ale na głowie nie miał żadnego nakrycia. Był chudy, nieprawdopodobnie chudy. Ramon wiedział, że cierpiał na dolegliwości zaawansowanego wieku, miał chorobę prostaty i kłopoty z trawieniem, ale zachował jasność umysłu. Wystające spod fałd sukni ręce i nogi były bardzo szczupłe, przypominały kończyny dziecka. Przez woskową, bursztynową skórę prześwitywała każda kość. Włosy miał nie przystrzyżone i zupełnie siwe, połyskujące jak platyna. Policzki mu zapadły, tak że orli nos jeszcze bardziej się zaostriął. Wargi lekko odstaniały żółte zęby, nieproporcjonalnie duże przy delikatnych kościach policzkowych i łukach brwiowych. Jego ogromne, czarne jak smoła i promieniujące jak u biblijnego proroka oczy spojrzały na Ramona.

– Poznaję pana - powiedział cicho.

– Nigdy się nie widzieliśmy – zaprotestował Ramon.

– Mimo to dobrze pana znam. Poznają pana po zapachu. Znam każdy rys pana twarzy, modulację i barwę pana głosu.  
– Kim więc jestem? – zapytał go cichym głosem Ramon.  
– Jest pan pierwszym z legionu, a na imię ma śmierć.  
– Jest pan mądry i spostrzegawczy, starcze – rzekł Ramon i podszedł do łóżka.  
– Przebaczam panu to, co pan mi robi – powiedział Hajle Sellasje, Negus Negusti, cesarz Etiopii. – Ale nie mogę przebaczyć panu tego, co zrobił pan mojemu ludowi.  
– Módl się do swego Boga, starcze – przerwał mu Ramon i podniósł poduszkę z łóżka. – Ten świat już dla ciebie nie istnieje.

Przycisnął poduszkę do twarzy mężczyzny i napał na nią całym ciężarem.

Hajle Sellasje walczył jak schwyty w pułapkę ptak. Jego chude palce zacisnęły się lekko na nadgarstkach Ramona i ciągnęły go za rękawy. Kopał i wił się tak, że suknia podwinęła mu się do góry. Nogi miał szczupłe i ciemne jak lodygi wysuszonego tytoniu, kolana zaś były nieproporcjonalnie dużymi supłami w stosunku do chudych łydek.

Opór duszonego człowieka stopniowo słabł, a pod ciałem pojawiła się plama, gdy zwieracz się rozluźnił i wnętrzności opróżniły. Ramon stał pochylony jeszcze parę minut, choć starzec przestał się już ruszać. Poczł niemal religijną ekstazę. Nic z tego, co robił dotychczas, nie dało mu takiego poczucia zaspokojenia. Było to doznanie fizyczne i duchowe, a jednocześnie seksualne.

Zabił króla.

Wyprostował się i uniósł poduszkę. Strzepnął ją, a następnie podłożył pod głowę starca. Przykrył mu suknią nogi aż do kostek i złożył jego małe, dziecięce ręce na piersiach. Potem kciukiem i palcem wskazującym zamknął zmarłemu powieki.

Stał i długo przyglądał się pośmiertnemu wyrazowi twarzy cesarza. Chciał zapamiętać ten widok na zawsze. Nie czuł gorąca i smrodu panującego w zamkniętym pomieszczeniu. Wiedział, że to jedna z najważniejszych chwil w jego życiu. To kruche ciało uosabiało wszystko to, co ślubował zniszczyć na tym świecie.

Pragnął zapamiętać tę chwilę na całe życie.

\*

Cała potencjalna opozycja została zlikwidowana. Głosy przeciwników ucichły. Nie żyli wszyscy synowie Brutusa, rewolucja była bezpieczna.

Ramon musiał zająć się wieloma ważnymi sprawami w innych częściach Afryki. Z czystym sumieniem mógł przekazać swe stanowisko doradcy do spraw bezpieczeństwa ludowodemokratycznego rządu Etiopii generałowi służby bezpieczeństwa z Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Był niemal tak samo jak Ramon biegły we wprowadzaniu pragmatycznej demokracji w krnąbrnym narodzie.

Ramon uścisnął Abebe i wsiadł do jednego z transportowych łów, które kursowały teraz regularnie do Addis Abeby. Był to najwygodniejszy port, z którego można było dostać się do każdego miejsca na kontynencie.

Uzupelnili paliwo w Brazzaville i polecili na południowy zachód. Wylądowali na nowym pasie w bazie Tercio nad rzeką Chicamba, dokładnie w chwili kiedy słońce ginęło w błękitnym Oceanie Atlantyckim.

Powitał go Raleigh Tabaka. Podczas jazdy z lotniska do nowego segmentu mieszkalnego Ramona wśród palm na białym, koralowym wybrzeżu Raleigh poinformował go dokładnie o tym, co zrobiono tu podczas jego nieobecności.

Prywatna kwatera Ramona była bardzo surowa. Miała dach kryty strzechą i duże, nie oszklone okna, w których wisały zwijane zasłony z ciętego bambusa; gołej podłogi nie przykrywał dywan, a solidne i wygodne meble z drewna wykonał

miejscowy cieśla. Tylko elektroniczny sprzęt, służący do utrzymywania łączności, był nowoczesny. Miał bezpośrednie satelitarne łącza z Moskwą, Luandą, Hawaną i Lizboną.

Gdy Ramon wszedł do tego prostego mieszkania, natychmiast przypomniała mu się kwatera w Buenaventura na Kubie. Poczuł się tu od razu jak w domu; tropikalne wiatry poruszały palmami; a ocean oddychał ciężko na białej plaży za oknem.

Był wyczerpany. Czuł w kościach nagromadzone przez wiele miesięcy zmęczenie. Jak tylko Raleigh Tabaka zostawił go samego, zrzucił na glinianą podłogę mundur i wszedł pod moskitierę. Delikatne, ciepłe podmuchy wiatru poruszały siatką i pieściły jego nagie ciało.

Czuł się spełniony. Umiejętnie i pomyślnie wykonał trudne, lecz nieskończenie warte jego wysiłku zadanie. Wiedział, że zasłużył sobie na następne tytuły i nagrody, ale żadna z nich nie sprawiłaby mu tyle satysfakcji, co to głębokie poczucie osiągnięcia niezwyklego celu, które przepełniało jego duszę.

Dzieło to przewyższało wszystko, co stworzył Mozart czy Michał Anioł. Użył jako surowców kraju i jego mieszkańców, gór, dolin, jezior, rzek, równin oraz milionów ludzi. Wymieszał je na swej palecie i za pomocą krwi, płomieni i strażów namalował nimi arcydzieło. Przewyższało ono wszystko, co stworzył przed nim jakiegokolwiek artysta. Wiedział, że żaden Bóg nie istnieje – przynajmniej nie taki, jakiego wyobrażali sobie biskupi i imamowie, których musiał ostatnio okiełznać i upokorzyć. Bóg, którego zna Ramon, jest z tego świata. To bóg potęgi i politycznej maestrii, a Ramon jest jego prorokiem. Dzieło zostało dopiero rozpoczęte. Najpierw pojedynczy naród, potem następny i następny, aż w końcu cały kontynent. Uniesienie oddaliło na kilka minut sen, który powrócił, gdy jego umysł się poddał.

Może z powodu tej chatki, wiatru, szumu morza pomyślał o Nicholasie. W nocy przyśnił mu się syn. Znowu zobaczył jego nieśmiały, niechętny uśmiech, usłyszał głos i śmiech dziecka, poczuł w swej dłoni małą, ciepłą rączkę przypominającą lekliwe stworzonko.

Kiedy się obudził, tęsknił za nim jeszcze bardziej. Gdy pracował przy biurku, obraz twarzy jego syna oddalał się i mógł skoncentrować się na zaszyfrowanych wiadomościach z Hawany i Moskwy, nadawanych przez znajdującego się na orbicie okołoziemskiej satelitę. Ale gdy wstał od biurka i spojrzął przez otwarte okno na plażę, wyobraził sobie małe, opalone ciało chlapiące się w zielonych falach przybrzeżnych i usłyszał miłe dla ucha okrzyki dziecka.

Być może była to jedynie reakcja na rzeź na ulicach Addis Abeby lub na wspomnienie o ciałach synów abuny z wiszącymi na policzkach oczami i nie rozwiniętymi genitaliami, wepchniętymi do ust, ale przez następne dwa dni pragnienie, by zobaczyć syna, stało się dla niego obsesją. Nie mógł teraz opuścić bazy w Tercio, grał w Afryce o zbyt wielką stawkę, wysłał więc wiadomość do Hawany i w ciągu godziny otrzymał odpowiedź.

Po Etiopii niczego nie mogli mu odmówić. Nicholas i Adra przylecieli następnym transportem z Kuby. Ramon czekał na pasie, kiedy samolot wylądował w bazie Tercio.

Patrzył, jak jego syn wysiada. Szedł przed Adrą, nie trzymał już jej ręki jak małe dziecko. W sposobie, w jaki trzymał głowę, widać było jakąś czujność. Zeskoczył z ostatniego schodka na ziemię, zatrzymał się i rozejrzał wokół z błyskiem ciekawości i inteligencji w oczach.

Ramon przeżywał coś niezwyklego, intensywną tęsknotę i dumę, które czuł już, czekając na jego przyjazd. Żaden inny człowiek nie miał na niego takiego wpływu. Przez długie, pełne bólu minuty przyglądał się synowi, ukryty w tłumie wysiadających żołnierzy i uwijających się bagażowych; oczy miał zasłonięte okularami

przeciwsłonecznymi. Nie chciał nadać nazwy temu, co czuł. Nigdy nie użyłby słowa „miłość”.

Nicholas zauważył go. Ruszył biegiem, ale po kilkunastu krokach się opanował. Wyraz największej radości na jego twarzy został szybko ukryty za maską. Nie wyrażała już nic, kiedy podszedł spokojnie do jeepa z tej strony, po której siedział Ramon, i wyciągnął rękę.

– Dzień dobry, ojcie – powiedział cicho. – Co u ciebie słyszeć?

Ramon poczuł pokusę niemal nie do odparcia, by go objąć. Siedział zupełnie nieruchomo, przewyciężając ją, po czym ujął dłoń Nicholasa i pozdrowił go równie oficjalnie.

Nicholas usiadł obok ojca. Adra zajęła miejsce z tyłu. Jadąc z lotniska do kwatery przy plaży ominęli obóz partyzantów, a Nicholas nie mógł już ukryć ciekawości. Wahając się zadał cichym głosem pierwsze pytanie.

– Dlaczego ci wszyscy ludzie są tutaj? Czy oni są też synami rewolucji jak my, ojcie?

Gdy Ramon odpowiedział mu bez śladu irytacji w głosie, następne pytanie było już śmielsze. Ponieważ odpowiedź na nie była również łagodna, chłopiec rozluźnił się i żywo zainteresował wszystkim, co go otaczało. Ludzie na drodze salutowali Ramonowi, gdy mijali ich jeep. Kątem oka widział, jak Nicholas sztywnieje na przednim siedzeniu i saltuje ze spokojem weterana. Ramon musiał odwrócić głowę, by ukryć uśmiech. Ludzie zauważyli to i również uśmiechali się za przejeżdżającym samochodem.

Kiedy dojechali do kwatery, na Ramona czekała uporządkowana partia wiadomości z satelity. Ale nie było w nich nic ważnego. Poszedł do sąsiedniego domku, który przeznaczony był dla Nicholasa i Adry. Gdy wchodził na werandę, usłyszał podnieconą paplaninę chłopca, która urwała się nagle, kiedy pojawił się w drzwiach. Nicholas znowu był obcy i pełen rezerwy, przyglądał się ojcu ostrożnie.

– Czy przywiozłeś ze sobą strój kąpielowy? – zapytał Ramon.

– Tak, ojcie.

– Dobrze. Włóż go. Popływamy razem. Woda wewnątrz rafy była spokojna i ciepła.

– Spójrz, ojcie, potrafię już pływać kraulem, koniec z dziecięcym pieskiem – chwalił się Nicholas. Mając Ramona przy boku dopłynął do rafy i tylko sześć razy zatrzymał się dla wyrównania oddechu. Usiadł obok siebie na koralowym brzegu. Gdy rozmawiali poważnie o tym, w jaki sposób rafa się uformowała z milionów drobnych organizmów, Ramon przyglądał się chłopcu uważnie. Był zadbany, wysoki i silny jak na swój wiek. Jego słownictwo bardzo się wzbogaciło. Chwilami miał wrażenie, że rozmawia z dorosłym.

Kolację zjedli razem na werandzie. Ramon odkrył, jak bardzo brakowało mu kuchni Adry. Z każdą minutą Nicholas bardziej się rozluźniał. Apetyt mu dopisywał, poprosił nawet o dokładkę pieczonego kiełbasa. Ramon pozwolił mu wypić pół szklanki mocno rozcieńczonego wodą wina. Nicholas smakował je drobnymi łyżkami jak koneser, dumny, że jest traktowany jak dorosły.

Kiedy Adra przyszła, by zabrać go do łóżka, bez sprzeciwu zeskoczył z krzesła, ale odsunął jej rękę, przeszedł dookoła stołu i podszedł do ojca.

– Bardzo się cieszę, że tu jestem, ojcie – powiedział oficjalnie i podał mu dłoń.

Gdy Ramon wziął tę rękę, poczuł skurcz w piersi.

W ciągu tygodnia Nicholas stał się ulubieńcem obozu Tercio. Niektórzy instruktorzy z Afrykańskiego Kongresu Narodowego, a także żołnierze przyjechali tu ze swymi rodzinami. Jedną z żon była wykwalifikowaną nauczycielką klas początkowych. Założyła szkołę dla dzieci z obozu. Ramon wysłał Nicholasa, by

uczęszczał na lekcje. Klasa mieściła się w krytym słomą budynku z otwartymi bokami, a ławki były wykonane ze źle oheblowanego drewna.

Prawie natychmiast okazało się, że Nicholas jest nad wiek rozwinięty, że dorównuje dzieciom starszym od niego o trzy, cztery lata. Zajęcia były prowadzone w języku angielskim, w którym poczynił znaczne postępy. Miał czysty, miły głos i śpiewał najładniej ze wszystkich. Nauczył kolegów „Ziemi bezdomnych” i innych pieśni rewolucyjnych, które nauczycielka przetłumaczyła na angielski. Przywiózł ze sobą piłkę futbolową, co sprawiło, że miał posłuch wśród kolegów. Wydając rozkazy dotyczące prac w obozie, generał-pułkownik polecił wyrównać ziemię koło szkoły i wytyczyć boisko do piłki nożnej, oznaczając wapnem linie i ustawiając słupki. Nicholas był tak waleczny, że otrzymał przydomek Pele, a codzienne mecze stały się popularne w całym obozie.

Jako syn generała Nicholas cieszył się niezwykłym poważaniem i miał wiele przywilejów. Mógł przebywać w dowolnej części obozu, włącznie z zajęciami wprowadzającymi dla nowych rekrutów. Instruktorzy pozwalali mu manipulować bronią.

Ramon patrzył ze skrzywną dumą, jak jego syn stoi przed klasą dorosłych rekrutów i demonstruje im rozkładanie i składanie karabinu AK-47. Potem stawał w szeregu i wystrzeliwał cały ładunek ostrych naboje. Dwanaście na dwadzieścia kul trafiało do celu w kształcie człowieka.

Bez wiedzy Ramona Jose, kubański kierowca, nauczył Nicholasa jeździć jeepem. Ramon dowiedział się o najnowszym dokonaniu swego syna, gdy ten, siedząc na dodatkowej poduszce, dumnie wiózł go na lotnisko, gdzie miał wylądować kolejny transportowy il. Ludzie na drodze pozdrawiali ich i wołali: Viva Pele!

Obozowy krawiec uszył mu panterkę i miękką kubańską czapkę. Nosił ją przechyloną na jeden bok, tak jak jego ojciec, i naśladował charakterystyczne gesty Ramona, unosząc czapkę, by przesunąć palcami po włosach, lub wciskając palce za pasek, gdy stał w pozycji „spocznij”. Został nieoficjalnym kierowcą Ramona, a gdziekolwiek jechali, wszędzie witały ich uśmiechy żołnierzy.

Czasami po południu Ramon i Nicholas brali jedną z łodzi wyposażonych w silniki o mocy pięćdziesięciu koni mechanicznych, umieszczone nad rufą i pędzili przez przesmyk między rafami na błękitne wody Atlantyku. Kotwiczyli łódź przy jednej z głębokich raf i łowili ryby, które miały tu wszelkie możliwe kształty, barwy i rozmiary. Ramon uczył go, jak siekać dużą rybę, zakonserwowaną po ich poprzedniej wyprawie, by uzyskać mielone mięso. Mieszali je z piaskiem z plaży, aby szybko tonęło, i zakładali jako przynętę na haczyk wędki, którą zarzucali przy rafie obok zakotwiczonej łodzi.

Wkrótce potrafili odgadywać niewyraźne kształty ryb, przepływających szybko i kręcących się w błękitnych głębinach. Zapach przynęty doprowadzał je do coraz większej wściekłości. Gdy zarzucali pomiędzy nie wędki, szarpały je gwałtownie, a Nicholas pisał z radości.

Ryby połyskiwały jasnym błękitem, opalizującą zielenią, kolorem żonkili i zadziwiającym szkarłatem. Miały plamy nefrytowe i szafirowe, były pasiaste jak zebry, opryskane płomiennym rubinem i opalem. Przypominały motyle, a ich płetwy poruszały się niczym skrzydła egzotycznych ptaków. Uzbrojone były w sztylety, kolczaste grzbiety i rzędy białych jak porcelana, jadowitych zębów. Kwiczały i chrząkały jak świny, gdy wylawiali je trzepoczące płetwami i wijące się na pokładzie wojskowej łodzi. Niektóre były tak wielkie, że Ramon musiał pomagać Nicholasowi wyciągać je z wody. Nie cierpiał, by ktokolwiek, nawet ojciec, go w tym wyręczał. Jeszcze bardziej nie znosił tego, że musieli przerywać wędkowanie, kiedy kończył się dzień.



– Jeszcze raz, ojcze... ostatni raz! – wołał podekscytowany, aż w końcu Ramon musiał zabierać mu żyłkę z ręki.

Pewnego popołudnia zostali dłużej niż zazwyczaj. Zapadał już zmrok, gdy wyciągnęli kotwicę i uruchomili silnik. Tropikalny wiatr stał się bardzo chłodny. Wiał nad ich głowami, kiedy pędzili po wzburzonym morzu z powrotem do ujścia rzeki. Na ramionach Nicholasa pojawiała się gęsia skórka. Trząsał się z zimna, wyczerpania i nadmiaru wrażeń.

Ramon sterował łodzią jedną ręką, a drugą otoczył ramiona Nicholasa.

Na chwilę dziecko zamarło, zaskoczone tym, że poczuło nie znany sobie dotyk, potem rozluźniło się, przysunęło bliżej do ojca i przytuliło do jego piersi.

Kiedy Ramon płynął w ciemności z małym, drżącym ciałkiem, przyciśniętym do niego, znowu nawiedziły go wspomnienia synów abuny z Addis Abeby, opartych o frontową ścianę domu ich ojca, z pustymi oczodołami i małymi, ciemnymi penisami, wystającymi jak palce z ich martwych ust. Ramon nie czuł się ani winny, ani skruszony. To było konieczne, tak samo jak kiedyś konieczne było topienie dziecka, które teraz tuliło się do jego piersi. Obowiązek to często sprawa trudna i okrutna, ale nie uchylał się, gdy go wzywał. Nigdy jednak nie czuł się tak jak teraz.

Przycumowali łódź i przekazali ją Jose, kubańskiemu kierowcy, by się nią zajął. Poszli w świetle latarń przez gaj palmowy ku segmentowi mieszkalnemu. Nicholas potknął się w ciemności, więc Ramon chwycił go za rękę, by się nie przewrócił. Dziecko nie próbowało wyrwać dłoni.

Szli w milczeniu, aż znaleźli się przed wejściem do segmentu. Wówczas Nicholas szepnął:

– Chciałbym zostać tu z tobą w Tercio na zawsze.

Ramon uśmiechnął się, że nie słyszał, ale nie mógł złapać oddechu.

Żołnierz z sektora łączności obudził go dziesięć minut po północy. Wystarczyło lekkie puknięcie w drzwi chaty, by Ramon zerwał się i chwycił pistolet.

– O co chodzi?

– Moskwa przekazała nam wiadomość od Czerwonej Róży – odpowiedział żołnierz.

Mieli rozkaz informować go o każdej porze dnia i nocy o nadejściu komunikatu od Czerwonej Róży.

– Już idę.

Informacja była zaszyfrowana, Ramon wyjął ze stalowego sejfów swoją podkładkę do szyfrowania. Używali „jednorazowej” podkładki, oddzielnego kodu wybieranego przez komputer dla każdego arkusza. On i Czerwona Róża mieli jedyne istniejące kopie podkładki i używali pojedynczego arkusza dla każdej informacji.

Dopasował jej arkusz i zaczął rozszyfrowywać wiadomość. Raport brzmiał:

Plan ma kryptonim Sylwetka. Pierwsza podziemna próba ładunku o sile trzydziestu megaton ma odbyć się dwudziestego szóstego października. Miejsce testu jest usytuowane na 27 stopniach 35 minutach szerokości geograficznej południowej i 24 stopniach 25 minutach długości geograficznej wschodniej. Pełne dane dotyczące urządzenia do wglądu.

Obudził Nicholasa, by się z nim pożegnać.

– Kiedy wrócisz, ojcze? – zapytał, dzielnie skrywając fakt, że bardzo go to zmartwiło.

– Nie wiem, Nicky.

Ramon po raz pierwszy użył tego zdrobnienia; zabrzmiało ono niezręcznie w jego ustach.

– Wrócisz, prawda, ojcze?

– Tak, wróć. Obiecuję ci.  
– I pozwolisz mnie i Adrze zostać tu w Tercio? Nie odeślesz nas?  
– Tak, Nicky. Ty i Adra zostaniecie tutaj.  
– Dziękuję ci. Cieszę się – powiedział Nicholas. – Do widzenia, ojczcie. Uścisnęli sobie mocno dłonie, a Ramon odwrócił się szybko i zbiegł po schodach do czekającego na niego jeepa.

\*

Niedopuszczenie do realizacji planu Sylwetka nie było celem pierwszoplanowym. Mineły już prawie trzy lata, odkąd dostali wiadomość, że Afryka Południowa chce skonstruować bombę atomową i Ramon wiedział, że na pewno mają już tę broń. Ale tego typu uzbrojenie nie bardzo nadawało się do zastosowania w buszu, który porastał znaczną część Afryki.

Najważniejszym zadaniem było doprowadzenie do jeszcze większej izolacji Afryki Południowej od tych krajów Zachodu, które ją wciąż wspierały. Już była politycznym pariasem, a nadarzała się okazja, na którą czekał od dawna; pojawiła się szansa, by naznaczyć ją również piętnem oszusta. Spotkali się w strzeżonym pokoju ambasadora w piwnicy sowieckiej ambasady, która mieściła się w tej dyskretnej dyplomatycznej enklawie za Pałacem Kensington.

Zarówno generał Borodin, jak i Aleksiej Judenicz przylecieli tu z Moskwy. Ich obecność przydawała znaczenia dyskusji. Podkreślała ona, że ministerstwo spraw zagranicznych i KGB ponownie zainteresowany się sekcją afrykańską, co znakomicie wpływało na wzrost prestiżu generała-pułkownika Machado.

Afrykańczyków reprezentował Raleigh Tabaka i sekretarz generalny Afrykańskiego Kongresu Narodowego (ANC). Oliver Tambo, przewodniczący ANC, wyjechał z nieoficjalną wizytą do Niemiec Wschodnich i nie mógł wrócić do Londynu na spotkanie.

Należało bardzo się spieszyć, gdyż RPA chciała przeprowadzić test w nadchodzącym tygodniu. Czerwona Róża uzupełniła swą pierwszą przesyłkę bardzo szczegółowymi informacjami, dotyczącymi wzbogacania uranu, danych technicznych bomby, jej przewidywanego zasięgu, pozycji i głębokości otworu, w którym badanie miało być przeprowadzone, a także systemu zapłonowego, za pomocą którego miano zdetonować bombę.

– Musimy dziś zdecydować – zagaił dyskusję Judenicz – w jaki sposób najlepiej wykorzystać te informacje.

– Myślę, towarzyszu – przerwał mu żywo sekretarz generalny ANC – że powinniście pozwolić nam zwołać konferencję prasową tu, w Londynie.

Na ustach Ramona pojawił się ledwo widoczny, cyniczny uśmiech. Oczywiście, pragnęli tego. W ten sposób ANC skupiłby na sobie uwagę mediów.

– Towarzyszu sekretarzu generalny – uśmiechnął się szeroko Judenicz – myślę, że ten komunikat będzie miał większą wagę, jeśli zostanie podany przez szefa rządu Związku Sowieckiego niż przewodniczącego ANC.

W jego głosie pobrzmiwał sarkazm. Judenicz nie lubił czarnych.

Przed spotkaniem, gdy rozmawiał prywatnie z Ramonem, powiedział, że żałował, iż musieli zaprosić „małpy”, zamiast podjąć decyzję w gronie cywilizowanych ludzi.

– Trudno nam zniżyć się do ich poziomu umysłowego – zachichotał. – Ale przecież wy, towarzyszu, macie doświadczenie w kontaktach z nimi. Jak uważacie, czy powinienem był przynieść im torebkę orzeszków?

Ramon trzymał się z dala od dyskusji przez prawie dwadzieścia minut. Judenicz i sekretarz generalny mówili coraz głośniej i z większym napięciem.

W końcu Borodin zaproponował łagodnie:

– Zapytajmy może, co o tym sądzi generał-pułkownik Machado? Jego źródła dostarczyły informację. Może ma pomysł na to, jak najlepiej ją wykorzystać.

Wszyscy spojrzeli na niego, a on miał już gotową odpowiedź.

– Towarzysze, wszystko, co powiedzieliście, jest rozsądne i ważne. Ale jeśli wiadomość tę upowszechni szef rządu Rosji lub przewodniczący ANC, będzie to tylko jednodniowa sensacja. Sądzę, że aby osiągnąć maksimum korzyści, powinniśmy rozciągnąć ten proces w czasie. Należy wyjawiać tę informację we fragmentach, aby zainteresowanie nią stopniowo wzrastało.

Zastanawiali się w skupieniu nie zabierając głosu, więc Ramon mówił dalej:

– Uważam też, że jeśli sami podamy tę wiadomość, czy przez Moskwę, czy przez ANC, będziemy atakowani za stronniczość i uprzedzenia. Myślę, że powinniśmy przekazać ją najpotężniejszemu głosowi w Ameryce, aby ją dla nas upowszechnił. Głosowi, który włączył Stanami Zjednoczonymi, a przez nie całym Zachodem.

Judenicz spojrział niepewnie.

– Geraldowi Fordowi? Prezydentowi Stanów Zjednoczonych?

– Nie, towarzyszu ministrze. Mediom. Rzeczywistej władzy w Ameryce. Ograniczeni swą obsesją wolności słowa Amerykanie stworzyli potężniejszą dyktaturę, niż my potrafimy wymyślić. Przekażmy to amerykańskim sieciom telewizyjnym. Niczego nie ogłaszajmy, nie organizujmy żadnych konferencji prasowych. Dajmy którejs z nich tylko powąchać to, czym dysponujemy, pokażmy ślady zajęcia i pozwólmy, by sami go wytropili i dopadli. Wiecie, jacy oni są. Jak gromada ogarów będą tym bardziej podnieceni i żądni krwi, jeśli będą wierzyć, że zdobycz należy tylko do nich. Nazywają to „dociekliwym dziennikarstwem” i przyznają nagrody tym, którzy najbardziej zaszkośli swemu rządowi, swoim sprzymierzeńcom i systemowi kapitalistycznemu, który ich wspiera.

Judenicz przyglądał mu się jeszcze przez chwilę, po czym zachichotał.

– Słyszałem, że w Afryce nazywają was Lisem, towarzyszu generale.

– Złotym Lisem – poprawił go Borodin, a Judenicz wybuchnął głośnym śmiechem.

– Widzę, że zasługujecie na swój pseudonim, towarzyszu generale. Niech Amerykanie i Brytyjczycy wykonają za nas to zadanie.

Sukces operacji Sylwetka po stokroć potwierdził wartość Czerwonej Róży, ale przez to pojawiły się nowe problemy.

Im cenniejsza była Czerwona Róża, tym umiejętniej i ostrożniej należało ją kontrolować. Trzeba przedsięwziąć wszelkie możliwe środki ostrożności, by zapewnić jej bezpieczeństwo w terenie i zachęcić do dalszej pracy. Musi natychmiast otrzymać nagrodę za Sylwetkę i spotkać się z Nicholasem tak szybko, jak to będzie możliwe. Ale to z kolei znowu komplikowało zmienny stosunek Ramona do syna.

Postanowił, że te chore, burżuazyjne sentymenty, które ostatnio miały wpływ na jego poczucie obowiązku, nie mogą go już odwozić od celu. Wiedział, że gdyby okazało się to konieczne, jeśli wymagałaby tego sytuacja, musi być gotowy poświęcić Nicholasowi, tak samo jak był całkowicie zdecydowany oddać własne życie, jeśli obowiązek tak by mu podyktował.

Ale do tego czasu Nicholas nigdy nie może się znaleźć w niebezpieczeństwie. Przede wszystkim ani Czerwona Róża, ani ktokolwiek inny nie może mieć nawet szansy, by odebrać mu chłopca i pozbawić go opieki Ramona.

Jeszcze raz zastanowił się, czy nie zorganizować ich następnego spotkania na hacjendzie w Hiszpanii. Oznaczałoby to konieczność przeniesienia się z Tercio i wiązało z ryzykiem, niewielkim, ale jednak pewnym niebezpieczeństwem. Było możliwe, że Czerwona Róża – powiedzmy, przy pomocy południowoafrykańskich

agentów – przechwyci i przewiezie dziecko do ambasady brytyjskiej w Madrycie. Wiedział, że Czerwona Róża miała brytyjski paszport i podwójne obywatelstwo. Hiszpania według Ramona nie była już bezpieczna.

Oczywiście, mógł zorganizować spotkanie w Hawanie lub w Moskwie.

To łączyło się z poważnymi problemami, związanymi z dotarciem Czerwonej Róży do któregoś z tych miejsc. W ten sposób odkryłaby na pewno, kim są jej mocodawcy. Za wszelką cenę chciał tego uniknąć.

Najbezpieczniejszym miejscem poza Kubą i Rosją był obóz Tercio nad rzeką Chicamba. Znajdował się daleko i był pilnie strzeżony. W promieniu tysiąca mil nie było żadnej ambasady. Nicholas już tu mieszkał. Sprowadzenie Czerwonej Róży było łatwe. Gdyby znalazła się w Tercio, miałby nad nią większą kontrolę niż w jakimkolwiek innym miejscu na ziemi.

To musi być Tercio.

\*

Isabella ocknęła się z poczuciem winy. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje ani co ją obudziło. Potem przypomniała sobie i zrozumiała, że wyrwała ją ze snu zmiana dźwięku wydawanego przez silniki samolotu i przechylenie się pod nią podłogi. Mimo najszczerzej chęci czuwania zasnęła w niewygodnym fotelu. Rzuciła okiem na zegarek. Od chwili odlotu z Lusaki minęło dwie godziny i pięćdziesiąt minut.

Uniosła się nieco w fotelu i spojrzała ponad ramieniem pilota na deskę rozdzielczą. Lecieli wciąż w tym samym kierunku, lecz zaczęli już schodzić do lądowania. Wskazówka wysokościomierza opadała miarowo.

Spojrzała przed siebie przez przednią szybę w kabinie pilota. Było późne popołudnie, widok był niewyraźny z powodu mgły, lecz nagle znajdujące się nisko nad ziemią słońce odbiło się w ogromnej wodzie.

„Jezioro? – pomyślała i poszukała w pamięci tak wielkiego zbiornika wody. Wszystkie afrykańskie jeziora leżały tysiące mil stąd w odwrotnym kierunku. Nagle zrozumiała. – Atlanty! Dotarliśmy do zachodniego wybrzeża. – Odtworzyła w myślach mapę Afryki. – Angola albo Zair, lub Enklawa” – stwierdziła.

Samolot skręcił, by ustawić się przodem do pasa startowego. Podwozie zaskrzypiało i zadrżało. Ujrzała przed sobą białe, koralowe plaże i kształty raf pod błękitną powierzchnią Atlantyku.

Ujście rzeki obmywały fale, wdzierające się na falochron, a wijący się jak serpentyna kanał wrzynał się głęboko w lagunę. Rzeka, szeroka i brunatna, nie była wystarczająco duża, by tworzyć jedno z wielkich dorzeczy Afryki, jak Kongo czy Luanda. Starła się zapamiętać każdy szczegół. Kilka mil za laguną rzeka tworzyła wyraźny łuk, podwójne S. W oddali widać było pas startowy z czerwonej gliny, z trudem dojrzała też kryte strzechą dachy dużej osady, znajdującej się za pasem. W zakolu rzeki samolot dotknął ziemi i dokołował do końca pasa. Gdy pilot wyłączył silniki, konwój ciężarówek wytoczył się i okrążył samolot. Zobaczyła wielu żołnierzy w panterkach.

– Proszę zaczekać – rzekł do niej pilot. – Zaraz po panią przyjdą.

Dwaj oficerowie weszli do kabiny. Jeden z nich był majorem. Obaj mieli śniadą cerę i wąsy. Byli ubrani w panterki bez żadnych odznak.

„Są z Ameryki Południowej – pomyślała. – Albo z Meksyku”. Potwierdziło się to, kiedy major zwrócił się do niej po hiszpańsku.

– Witamy, senora. Proszę pójść z nami.

– Moja walizka – wskazała na swój bagaż z całym hauteur, na jaki mogła się zdobyć, a major rzucił rozkaz młodszemu oficerowi. Porucznik poniósł bagaż i włożył

go do czekającej ciężarówki.

Jechali w milczeniu przez dwadzieścia minut; po drodze minęli kryte strzechą budynki ogrodzone drutem kolczastym, które widziała z samolotu. Przy bramie stali uzbrojeni strażnicy. Pojechali wąską drogą, zza drzew błyskała woda rzeki. Trakt stawał się coraz bardziej miękki i piaszczysty, odgadła, że kierowali się ku ujściu rzeki i morzu.

Dojechali do następnego, mniejszego ogrodzenia. Wejście było strzeżone, ale przepuszczono ich przez nie. Kryte słomą chaty wydawały się mniejsze i przytulniejsze niż te, które wcześniej Mineli. Dziesięć takich domów stało wzdłuż plaży.

Wysiadła z ciężarówki i rozejrzała się. Było to ładne miejsce, przypominało jej jedną z broszur z propozycjami na wakacje z Club Mediterranee: morze, piasek, palmy i kryte strzechą chaty.

Major odprowadził ją do największego domu; gdy tylko Isabella zobaczyła dwie czekające na nią kobiety w mundurach, poczuła skurcz. Przypomniała sobie poniżającą rewizję, którą musiała przejść ostatnim razem.

Jej obawy były bezpodstawne. Dwie młode kobiety niemal przeproszały ją za to, że przeszukują jej walizkę i torebkę. Sprawdziły ją od góry do dołu, ale nie kazały się rozbierać.

Zapanowała konsternacja, kiedy odkryto, że Isabella ma aparat fotograficzny. Był to mały, automatyczny aparat Kodaka. Mówiły o nim, najwyraźniej zaniepokojone, a Isabella pogodziła się z jego stratą.

– On jest niewiele wart – powiedziała do nich po hiszpańsku. – Możecie go wziąć, jeśli chcecie.

W końcu jedna z kobiet zabrała aparat i dwie rolki z filmami i zniknęła za drzwiami w głębi pokoju.

Ramon obserwował przeszukiwanie przez dziurkę w ścianie. Rozkazał kobietom zachowywać się rozważnie i nie sprawiać Isabelli niepotrzebnych przykrości. Skinął głową z zadowoleniem, kiedy jedna z nich przyniosła mu aparat i filmy.

Obejrzał je szybko, lecz dokładnie. Zrobił jedno zdjęcie, by sprawdzić, czy spust działa bez zarzutu i czy klisza dobrze się przewija. Kiwnął głową i oddał aparat kobiecie.

Isabella była zaskoczona i najwyraźniej zadowolona, kiedy zwrócono jej kodaka. Ramon przyglądał się jej twarzy z zainteresowaniem. Miała dłuższe włosy, a rysy stały się wyraźniejsze, dojrzałe. Była jeszcze bardziej zrównoważona i opanowana, niż kiedy widział ją ostatnio w Hiszpanii. Władza i sukces dobrze na nią wpływały, Ramon przypominał sobie o jej znaczących dokonaniach i wysokiej pozycji, jaką osiągnęła w ciągu zaledwie kilku lat.

Utrzymywała świetną formę. Była szczupła i atrakcyjna. Ręce i nogi były zgrabne i opalone. Mięśnie miała ukształtowane i napięte jak zawodowy sportowiec. Oceniał ją obiektywnie i pomyślał, że jest jedną z trzech czy czterech najatrakcyjniejszych kobiet z setek, które poznał. Był z niej bardzo zadowolony. W znacznej mierze to ona przysłużyła się jego karierze.

Kobiety skończyły przeszukiwanie walizki, spakowały ją i zamknęły.

Jedna z nich podniosła ją i poprosiła Isabellę, żeby za nią poszła. Udały się na koniec sektora do bramy w płocie z suchych liści palmowych. Isabella znalazła się w ogrodzonym miejscu, gdzie stały tylko dwie chaty.

Kobieta poprowadziła ją do bliższej z nich i weszła do dużego pokoju z osłoniętym moskitierą łóżkiem w bocznej alkwie. Położyła walizkę na łóżku i oddaliła się.

Isabella szybko przeszukała dom. Z tyłu znajdowało się pomieszczenie z

prysznicem i ubikacją w ziemi. Było to bardzo pastoralne, lecz więcej niż wystarczające dla jej potrzeb. Przypominało obóz myśliwski Seana w Chizora.

Zaczęła rozpakowywać walizkę. Za kotarą było miejsce do powieszenia ubrań i półki, ale zanim skończyła pracę, doszedł ją dźwięk, który sprawił, że zamarła.

Przeniknął jej duszę głośny, radosny okrzyk dziecka, który poznałaby, gdziekolwiek i kiedykolwiek by go usłyszała.

Rzuciła się do okna.

Nicholas był na plaży. Miał na sobie tylko strój kąpielowy i od razu zauważyła, że urósł o kilka cali, odkąd widziała go po raz ostatni w Hiszpanii.

Był z nim szczeniak, czarnobiały kundel z małym pyszczkiem i ruchliwym ogonem. Nicholas trzymał kij poza zasięgiem psa i biegł brzegiem morza, a szczeniak skakał wokół niego, próbując dosięgnąć patyka. Chłopiec pisał z radości, a pies czekał wrzaskliwie.

Nicholas cisnął kij do wody i krzyknął: „Przynieś!” Szczeniak zanurkował chętnie i popłynął do unoszącego się na wodzie patyka. Złapał go w pysk i zawrócił.

– Dobry piesek! Chodź! – Nicholas zachęcał go, gdy pies wyszedł na brzeg, otrząsnął się, oblewając chłopca chmurą kropelek. Nicholas krzyknął i chwycił jeden koniec kija. Chłopiec i szczeniak zaczęli ciągnąć patyk każdy w swoją stronę, śmiesznie przy tym pomrukując.

Wzrok Isabelli zaszedł mgłą i musiała mrugać szybko oczami, by odzyskać jasność widzenia. Wyszła z chatki i podeszła powoli do flagi oznaczającej wysoką wodę. Nicholas był tak zajęty psem, że siedziała nieruchomo i obserwowała go przez dziesięć minut, zanim ją zauważył.

Jego zachowanie natychmiast się zmieniło. Odepchnął szczeniaka.

– Odejdź! – rozkazał surowo, a pies go posłuchał. – Siad! – powiedział.

Zostawił go na brzegu rzeki i podeszedł do Isabelli.

– Dzień dobry, mam – wyciągnął do niej rękę z powagą. – Co u ciebie słysząc?

– Czy wiedziałeś, że przyjadę dzisiaj?

– Tak. Mam być dla ciebie miły i grzeczny – przyznał szczerze. – Ale nie będę mógł chodzić do szkoły, kiedy tu będziesz.

– Lubisz szkołę, Nicholas?

– Tak, mam, bardzo. Umiem już czytać. Uczymy się teraz angielskiego – odpowiedział w tym języku.

– Twój angielski jest bardzo dobry, Nicky. Tak się dobrze składa, że przywiozłam ci kilka książek w tym języku. Myślę, że będą ci się podobały.

– Dziękuję.

Poczuła się odrzucona, miała wrażenie, że jest intruzem w jego małym świecie.

– Jak się wabi twój pies?

– Dwudziesty Szósty Lipca.

– To dziwne imię dla psa. Dlaczego tak go nazwałeś? Spojrzał na nią zdumiony jej ignorancją.

– Dwudziesty Szósty Lipca to dzień rozpoczęcia rewolucji. Każdy o tym wie.

– Oczywiście. To było głupie pytanie.

Postanowił jej pomóc.

– Wołam na niego po prostu Dwudziesty Szósty. Zagwizdał na psa, który przybiegł do nich w podskokach.

– Siad! – rozkazał. – Podaj łapę. Szczeniak podniósł łapę.

– Dwudziesty Szósty jest bardzo sprytny. Dobrze go wytresowałeś.

– Tak – zgodził się spokojnie. – To najzdolniejszy pies na świecie.

„Moje dziecko – rozpaczała w milczeniu. – Co oni z tobą robią? Jakie sztuczki wymyślają dla twego podatnego, młodego umysłu, że nazywasz psa ku czci jakiegoś

burzliwego wydarzenia politycznego?” Nie wiedziała, o jakiej rewolucji mówił Nicholas, ale udreka musiała zniekształcić jej rysy, gdyż chłopiec zapytał:

– Dobrze się czujesz, mamó?

– O tak.

– Zaprowadzę cię do Adry – zaproponował. Gdy wracali wśród palm, niby przypadkiem spróbowała wziąć go za rękę, ale on stanowczo i grzecznie oswobodził swoje palce.

– Nadal mam piłkę futbolową, którą mi dałaś – starał się ją ułagodzić.

Wiedziała, że będzie musiała od początku zdobywać jego zaufanie i uczucie; ta świadomość sprawiła, że znowu zapiekły ją oczy.

„Muszę być bardzo ostrożna – przestrzegła samą siebie. – Nie wolno mi przesadzić”.

Była zupełnie nieprzygotowana na szok, jaki spowodował u niej widok Nicholasa w mundurze. W czapce przechylonej na bok i z kciukami zasadzonymi za pas zadawał szyku jak legionista i chodził dumnie, czekając na jej pochwałę. Ukryła swe strapienie i wydała odpowiednie pomruki podziwu.

Przywiozła ze sobą kolekcję książek, które – miała nadzieję – spodobają się chłopcu w jego wieku. Szczęśliwym trafem jedną z nich był „Jock z buszu”, afrykański klasyk, opowieść o chłopcu i jego psie.

Ilustracje natychmiast zaintrygowały Nicholasa, który stwierdził, że widzi podobieństwo między Jockiem a Dwudziestym Szóstym. Długo o tym rozmawiali i Nicky postanowił przeczytać książkę. Była to prosta historia, ale pięknie napisana. Czytał na głos. Podziwiała jego umiejętność, chociaż raz czy dwa prosił ją o wyjaśnienie trudnego słowa lub nazwy afrykańskiego zwierzęcia, którego nie znał.

Gdy Adra przyszła, by zabrać go do łóżka, nadrobili już stracony czas, znowu znajdowali się na śliskim gruncie tymczasowej przyjaźni.

„Nie przesadz” – musiała wciąż ostrzegać siebie.

Kiedy się pożegnał, oficjalnie uściskawszy jej dłoń, nagle wyrzucił z siebie:

– To ładna opowieść. Lubię psa Jocka i cieszę się, że przyjechałaś, by się ze mną znowu zobaczyć. Tak naprawdę nie żałuję, że nie będę chodził do szkoły.

Ten wybuch najwyraźniej sprawił go w zakłopotanie, więc szybko wybiegł.

Isabella zaczekała, aż zgaśnie światło w jego pokoju i poszła odszukać Adrę. Chciała porozmawiać z nią na osobności i spróbować ocenić, jaką rolę odegrała ona w porwaniu Nicholasa i po czyjej stronie znajdowały się obecnie jej sympatie. Potrzebowała także informacji o Ramonie i liczyła, że dowie się od Adry, kiedy mogłaby się z nim znowu zobaczyć.

Adra była w kuchni, zmywała naczynia, ale kiedy weszła Isabella, jej twarz skamieniała, kobieta ukryła się za maską zimnej powściągliwości. Odpowiadała Isabelli monosylabami i unikała jej spojrzenia. Wkrótce Isabella zrezygnowała i wróciła do swojej chatki.

Mimo zmęczenia podróżą źle spała i obudziła się o świcie, z nadzieją przygotowując się do spędzenia pierwszego dnia ze swoim synem.

Cały dzień bawili się z Dwudziestym Szóstym na plaży. W torbie z prezentami Isabella przywiozła piłkę tenisową, która zapewniła chłopcu i psu długie godziny nieprzerwanej zabawy.

Potem popłynęli na rafę. Nicholas pokazał jej, jak wylawiać zwierzątka z ich kryjówek w koralu. Bawiło go jej przerażenie, gdy widziała wijące się, cienkie odnóża małych ośmiornic i ich świecące się oczy.

– Adra ugotuje je na kolację – obiecał.

– Kochasz Adrę, prawda? – zapytała.

– Oczywiście – odpowiedział. – Adra jest moją matką. – Zorientował się

natychmiast, że popełnił gafę. – To znaczy, ty jesteś moją mamą, ale Adra jest moją prawdziwą matką.

Ubodło ją to tak, że chciało jej się płakać.

Następnego ranka Nicholas przyszedł do jej domku i obudził ją, kiedy było jeszcze ciemno.

– Idziemy na ryby – oświadczył z radością. – Jose zabierze nas łodzią.

Jose był jednym ze strażników obozowych, których zauważyła w dniu swego przyjazdu. Był to ciemnoskóry mężczyzna z krzywymi zębami i śladami po ospie na twarzy. Z całą pewnością należał do ulubieńców Nicholasa. Rozmawiali ze sobą swobodnie, przygotowując łódź i żyłki.

– Dlaczego nazywacie go Pele? – zapytała Jose po hiszpańsku, a Nicholas odpowiedział za niego:

– Bo jestem najlepszym piłkarzem w szkole, no nie, Jose?

Nicholas pokazał jej, jak zakładać przynętę i zachowywał się protekcjonalnie i pobłażliwie, gdy nie potrafiła wyjąć haczyka z pyszczka rzucającej się, drżącej ryby.

Wieczorem przeczytali razem kolejny rozdział „Jocka”. Kiedy Nicholas był już w łóżku, Isabella spróbowała jeszcze raz wciągnąć Adrę w przyjacielską pogawędkę. Spotkało ją wrogie milczenie, ale gdy zrezygnowała i wyszła z kuchni, Adra poszła za nią i w ciemności chwyciła za ramię. Z ustami niemal dotykającymi ucha Isabelli syknęła:

– Nie mogę z panią rozmawiać. Cały czas nas obserwują.

Zanim Isabella doszła do siebie, Adra zniknęła z powrotem w kuchni.

Rankiem Nicholas miał dla niej kolejną niespodziankę. Zabrał ją na plażę, gdzie czekał na nich Jose. Gdy chłopiec go poprosił, wręczył mu swoją broń i stał, pokazując w uśmiechu swe krzywe zęby, podczas gdy Nicholas rozłożył karabin AKM. Palce Nicky’ego były zwinne i szybkie. Wymieniał nazwy wszystkich wyjmowanych części.

– Jak długo? – zapytał Jose, kiedy skończył.

– Tylko dwadzieścia pięć sekund, Pele – strażnik zaśmiał się z podziwem. – Bardzo dobrze. Zrobimy z ciebie spadochroniarza.

– Widzisz, mamó, dwadzieścia pięć sekund – powtórzył dumnie, ona zaś, mimo że była przerażona tym pokazem, starała się, by jej gratulacje brzmiały szczerze.

– A teraz, Jose, mierz czas, gdy będę składał go z powrotem – polecił Nicholas. – A ty musisz mi zrobić zdjęcie, mamó.

Aparat był ogromną atrakcją i zgodziła się. Potem Nicholas zmienił pozę i zażądał następnego zdjęcia. Gdy patrzyła na niego przez obiektyw, przypomniały jej się widziane kiedyś zdjęcia dziecięcych oddziałów Vietcongu, pokazujące małych chłopców i dziewczynki o twarzach cherubinów i wielkich, niewinnych oczach, którzy skarłowacieli od noszonej broni. Czytała także o okropnościach, jakich dopuszczały się te anormalne małe potworki. „Czy Nicholasa chcą wychować na kogoś takiego?” Myśl ta sprawiła, że zrobiło jej się niedobrze.

– Czy mogę strzelić, Jose? – Nicholas przymilał się i kłócił żartobliwie, aż w końcu Jose dał się ubłagać.

Wyrzucił do laguny pustą butelkę, a Nicholas stanął na brzegu wody i wystrzelił, mając ustawiony wybierak karabinu na pojedynczy strzał. Na ten odgłos z sektora mieszkalnego przyszło kilku spadochroniarzy i łączniczek. Stali pod flagą i kibicowali mu. Po piątym strzale butelka eksplodowała i rozległy się okrzyki „Viva, Pele!” i „Dalej, Pele!”

– Zrób mi jeszcze jedno zdjęcie, mamó – błagał Nicholas i ustawił się w otoczeniu swoich wielbicieli, trzymając karabin przed sobą.

Adra przygotowała im na plaży lunch, na który składały się owoce i zimna



wędzona ryba. Gdy siedzieli razem, Nicholas powiedział nagle, mając usta pełne jedzenia:

– Jose brał udział w wielu bitwach. Zabił swoją strzelbą pięciu ludzi. Pewnego dnia zostanie prawdziwym synem rewolucji tak jak on.

Tej nocy leżała pod moskitierą i próbowała odpędzić napływające fale rozpacz i poczucia bezradności.

„Oni robią z mojego dziecka potwora. Jak mam ich powstrzymać? Jak mogę go od nich wyrwać?”

Nie wiedziała, kim byli ci „oni” i jej poczucie bezradności wzrastało.

„Och, gdzie jest Ramon? Gdyby tylko mógł do mnie przyjść. Z jego pomocą wiem, że byłabym silna. Gdyby był ze mną, moglibyśmy to wszystko zrozumieć”.

Spróbowała jeszcze raz zbliżyć się do Adry, ale ona była zimna i nieugięta.

Nicholas stawał się niesforny. Mimo że wciąż był grzeczny i przyjazny, odgadywała, że zaczynał się nudzić, gdy zostawał tylko z nią. Mówił o szkole, meczach, swoich kolegach i o tym, co będą robić, gdy będzie mógł do nich wrócić. Rozpaczliwie próbowała go od tego oderwać, ale liczba gier, książek i opowieści, które mogła mu zaproponować, była ograniczona.

Opanowała ją jakaś szalona rozpacz. Marzyła o tym, by uciec z nim do bezpiecznego, normalnego świata w Weltevreden. Wyobrażała go sobie ubranego w mundurek pierwszej klasy prywatnej szkoły średniej, a nie w wojskową panterkę. Fantazjowała, zawierając układy z tajemniczymi siłami, które tak dokładnie kierowały ich losami.

„Zrobiłabym wszystko, żeby tylko oddali mi moje dziecko”.

Ale nawet gdy myślała o tym, wiedziała, że czyni to na próżno. Potem, w czasie czarnych, beznadziejnych nocnych czuwań, jej wyobraźnia stała się chorobliwa. Chciała z tym skończyć, skończyć z tą męką swoją i swego syna.

„To byłby jedyny sposób, by go uratować, jedyne wyjście dla nas obojga”.

Widziała strzelbę Josego. Poprosiłaby Nicholasa, by jej pokazał, a kiedy już miałyby ją w swoich rękach... Wzdrygnęła się na tę myśl i szybko ją odrzuciła.

Generał-pułkownik zauważył w niej tę zmianę. Przewidywał to.

Przez dziesięć dni pilnie ją obserwował. W chatkach były umieszczone kamery i mikrofony, których Isabella nie znalazła. Gdy była z dzieckiem na plaży lub w łodzi, filmowano ją za pomocą bardzo silnych teleskopowych obiektywów. Ramon godzinami przyglądał się jej przez lornetkę z uważnie wybranych punktów obserwacyjnych za plażą. Widział, jak jej początkowe uniesienie stopniowo zmienia się w samolubne rozkoszowanie się obecnością dziecka, a to z kolei wkrótce przekształciło się w rozpacz i zżerające poczucie niezadowolenia, kiedy zrozumiała, w jak perfidnej sytuacji się znalazła.

Przypuszczał, że w tym stanie może się zdobyć na jakiś desperacki krok, który zniszczyłby wszystkie pozytywne skutki, jakie ta wizyta dotychczas przyniosła.

Wydał Adrze nowe rozkazy.

Kiedy Adra podawała tego dnia kolację, wysłała Nicholasa z domu pod jakimś pretekstem. Następnie, nalewając supę rybną do talerza, pochyliła się tak nisko, że kosmyk jej włosów łaskotał policzek Isabelli.

– Proszę na mnie nie patrzeć ani do mnie nie mówić – szepnęła. – Mam dla pani wiadomość od markiza. Isabella upuściła łyżkę z brzękiem.

– Ostrożnie. Proszę nie dawać żadnych znaków. On mówi, że postara się przyjść do pani, ale to jest trudne i niebezpieczne. Mówi, że panią kocha. Mówi, żeby pani była dzielna.

Wszelkie samobójcze myśli opuściły ją natychmiast. Ramon był w pobliżu. Pojawiła się w niej nowa iskierka nadziei i zapał, którym chciała podzielić się z

Nicholasem. Niepokój i znudzenie, które zaczęło pojawiać się w ich związku, wyparowało. Znowu byli razem szczęśliwi.

Nocami leżała w chatce. Już nie zżerały jej wątpliwości i ciągłe obawy, teraz czekała na Ramona.

„On przyjdzie. Wiem, że przyjdzie”.

Potem jedna z kobiet, które przyjęły ją w dniu przyjazdu, przyniosła wiadomość:

– Jutro o dziewiątej rano odlatuje samolot. Polecą nim pani.

– Dziecko! – zawołała. – Nicholas... Pele? Kobieta potrząsnęła głową.

– Dziecko zostaje. Pani wizyta dobiegła końca. Przyjdą jutro o ósmej. Musi pani być gotowa. Takie mam rozkazy.

Chciała zabrać ze sobą jakąś pamiątkę po synu. Wzięła prysznic i przebrała się do kolacji, po czym wyjęła nożyczki ze swej kosmetyczki i schowała je do kieszeni.

Kiedy Nicholas siedział już przy stole, podeszła do niego z tyłu i zanim zdążył zaprotestować, obcięła mu kosmyk ciemnych, kręconych włosów z tyłu głowy.

– Hej – zaprotestował niezdecydowanie. – Dlaczego to robisz?

– Chcę mieć coś, co będzie mi o tobie przypominało, kiedy już stąd wyjadę.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym zapytał nieśmiało:

– Czy mogę dostać kilka twoich włosów – żeby ciebie pamiętać? Bez słowa podała mu nożyczki. Stał przed nią i przesunął palcami po jej długich, pięknych włosach.

– Nie tak dużo – ostrzegła go. Zaśmiał się, odciął lok i okręcił wokół palca.

– Twoje włosy są takie miękkie... i ładne – szepnął. – Czy ty naprawdę musisz już jechać, mamo?

– Obawiam się, że tak, Nicky.

– Czy przyjedziesz do mnie znowu?

– Tak. Obiecuję ci to.

– Będę trzymał twoje włosy w książce o Jocku – powiedział i włożył je między kartki. – Za każdym razem, gdy będę ją czytał, pomyślę o tobie.

Księżyc był prawie w pełni. Srebrne promienie przedostawały się do chatki i rzucały wyraźne cienie, które przemieszczały się powoli po podłodze, znacząc upływające godziny.

„On musi przyjść – mówiła sobie, leżąc sztywno na twardym materacu, pełna bojaźliwej nadziei. – Proszę, pozwólcie mu przyjść”.

Niczego nie usłyszała, niczego nie zobaczyła, ale miała niezachwianą pewność, że był blisko. Z trudem powstrzymywała się, by nie zawołać głośno jego imienia.

Czekała z napiętym każdym nerwem, a potem nagle on stanął przy niej bezgłośnie.

Zjawił się jak duch w srebrnej poświacie księżycowej, a ona przycisnęła dłonią usta, by zdusić okrzyk. Odrzuciła moskitierę, trzema szybkimi krokami przeszła na drugą stronę chatki i znalazła się w jego ramionach. Pocałunek zdawał się trwać chwilę i całą wieczność; potem, wciąż bez słowa, wyprowadził ją z domku i skierował się w stronę palm.

– Mamy mało czasu – rzucił, a ona załkała i przywarła do niego.

– Co się z nami dzieje? – pytała. – Niczego nie rozumiem. Dlaczego to nam robisz?

– Z tego samego powodu, z którego ty jesteś zmuszana do posłuszeństwa. Dla Nicholasa i dla ciebie.

– Nie rozumiem. Nie mogę tak dalej, Ramonie. Nie mam już sił.

– Już niedługo, kochanie. Obiecuję ci to. Wkrótce to się skończy i będziemy razem.

– Tak samo mówiłeś ostatnim razem, kochany. Zrobiłam wszystko, co mogłam...

– Wiem, Bellu. To, co zrobiłaś, uratowało nas. Obydwu, Nicholasa i mnie. Gdyby

nie ty, już dawno by nas zniszczyli. Kupiłeś dla nas czas i życie.

– Zmusili mnie do zrobienia strasznych, strasznych rzeczy, Ramonie. Zmusili mnie, bym zdradziła moją rodzinę i moją ojczyznę.

– Oni są z ciebie zadowoleni, Bellu. Ta wizyta jest tego dowodem. Dali ci dwa tygodnie z Nicholasem. Wytrwaj jeszcze odrobinę dłużej – daj im jeszcze trochę tego, czego żądają.

– Oni nigdy nie dadzą mi spokoju, Ramonie. Wiem o tym. Będą mnie trzymać do końca, wytoczą ze mnie ostatnią kroplę krwi.

– Bellu, kochanie – dotknął jej ciała przez cienką jedwabną koszulę nocną. – Mam pewien plan. Jeśli będziesz ich zadowalać jeszcze trochę, następnym razem będą bardziej pobłażliwi. Będą ci nieco bardziej ufać. Zaczną być nieostrożni... a potem obiecuje, że przyprowadzę do ciebie Nicky'ego.

– Kim oni są? – szepnęła, ale on zaczynał już kochać się z nią i pytanie zamarło na jej wargach.

– Cicho, moja najdroższa. Nie pytaj. Lepiej będzie, jeśli nie będziesz wiedziała.

– Najpierw myślałam, że to Rosjanie, ale to Amerykanie zajmowali się moimi informacjami na temat Sylwetki. Oni też używali moich raportów o agresji na Angolę. Czy to CIA, Ramonie?

– Może masz rację, kochanie, ale dla dobra Nicky'ego nie prowokuj ich.

– O Boże, Ramonie. Jestem taka nieszczęśliwa. Nie wierzę, by jacyś cywilizowani ludzie mogli traktować innych w ten sposób.

– Już niedługo – szepnął. – Bądź silna. Dawaj im to, czego żądają jeszcze przez krótki czas, a potem Nicky i ja będziemy z tobą.

– Kochaj mnie, Ramonie. To jedyna rzecz, która może sprawić, bym nie oszalała.

Nicholas odwiózł ją na pas startowy następnego ranka. Był niesamowicie dumny z tego, że potrafi prowadzić, a ona go chwaliła. Jose i kierowca jechali z tyłu i wtedy jeden z nich powiedział coś, czego wówczas nie rozumiała, lecz co utkwilo w jej pamięci jak brzęczenie owada.

– Pele to prawdziwe dziecko lisa, El Zorra. Na schodkach samolotu pożegnali się.

– Obiecałaś przyjechać do mnie znowu, mamó – przypomniał.

– Oczywiście, Nicky. Jaki prezent mam ci przywieźć?

– Moja piłka futbolowa jest zniszczona i uchodzi z niej powietrze. Musimy ją pompować wiele razy w ciągu meczu.

– Dostaniesz nową.

– Dziękuję ci, mamó – wyciągnął do niej dłoń, ale nie mogła się powstrzymać.

Upadła na kolana i przytuliła go do piersi.

Przez chwilę zastygł w jej ramionach, kompletnie zaskoczony, po czym wyrwał się gwałtownie. Jego twarz była purpurowa, czuł się poniżony. Spojrzał na nią, zakręcił się na pięcie i pobiegł do jeepa.

Wyglądała przez małe boczne okienko w kabinie łą, ale Nicholasa już nie było. Zobaczyła całun kurzu wciąż wiszący nad drogą wiodącą na plażę. Czuliła w duszy ogromną pustkę!

Wysiadła w Libii, gdzie samolot wylądował, by uzupełnić paliwo, i poleciała do Zurychu. Wysłała pocztówki do wszystkich członków rodziny, łącznie z Nanną, i używała swoich kart kredytowych, by udokumentować obecność w Szwajcarii. Zażądała nawet od bankierów ojca w Lozannie, by wypłacili jej dziesięć tysięcy franków i w ten sposób uśmierzyła wszelkie podejrzenia, jakie jej ojciec mógł mieć co do jej urlopu.

Zdjęcia, które zrobiła Nicholasowi, były wspaniałe. Uchwyciła wszystkie jego charakterystyczne wyrazy twarzy, nastroje i pozy. Nawet te, na których stał w

mundurze, trzymając w rękach ten straszny karabin, budziły w niej większą radość niż troskę.

Prowadziła dla Nicholasa dziennik. Była to gruba księga z kieszeniami w wewnętrznych stronach okładek; zawierała wszystkie pamiątki po Nicholasie, jakie zgromadziła w ciągu tych wszystkich lat.

Była tu kopia jego hiszpańskiego aktu urodzenia i dokumentów adopcyjnych. Wynajęła w Londynie firmę, która zajmowała się takimi sprawami, i poleciła zbadać dzieje rodziny Machado w ciągu ostatnich trzech stuleci. Kopia drzewa genealogicznego i herbu Machado znajdowały się w kieszeni przedniej okładki.

Był tu także dziecięcy bucik, który wydobyła spod jego łóżeczka w mieszkaniu w Maladze. Wkleiła każdy raport z przedszkola i kliniki dziecięcej oraz wszystkie fotografie, jakie jej przysłali. Notowała własne komentarze i opisywała swoje uczucia miłości, nadziei, rozpaczy na oddzielnych stronach.

Po powrocie do Weltevreden dodała do tych zbiorów pukiel jego włosów i zdjęcia; dołączyła także opis ich wspólnego pobytu. Zanotowała każdą rozmowę, każdą jego zabawną i celną uwagę.

Kiedy czuła się bardzo przygnębiona i nieszczęśliwa, zamykała się w swoim apartamencie, wyciągała dziennik z osobistego sejfu i napawała się każdym szczegółem.

Dawało jej to siłę, by wytrwać.

Beechcraft zrobił ostry skręt w dół, a siła grawitacji sprawiła, że Isabella poczuła, iż kręci jej się w głowie.

– Tam! – krzyknął Garry z fotela pilota po lewej stronie. – Widzisz je? U stóp wzgórza. Są trzy.

Isabella spojrzała w dół na wierzchołki drzew i nierówny teren wzdłuż krawędzi skarpy. Zwiertzałe skały przypominały powalone wieże i strzaskane mury obronne jakichś czarodziejskich zamków z bajek. Wśród nich widać było doliny i jary porośnięte gęstym lasem. Olbrzymie pnie wznosiły się w górę na ponad sto stóp, zwieńczone szerokimi gałęziami ubranymi w jesienne listowie, połączane wszelkimi odcieniami złota, miedzi i brązu. Inne drzewa nie miały już liści. Rozłożyste baobaby o korze przypominającej skórę gada wyginały się jak zwierzęta z ery dinozaurów. Tuż pod skrzydłem samolotu mignął gigantyczny afrykański hebanowiec; liście wciąż miał ciemnozielone, a jego górne gałęzie usiane były żółtymi, dojrzałymi owocami.

Stado zielonych gołębi wzbilo się w powietrze i przeleciało tak blisko, że widziała ich lśniące, żółte dzioby i maleńkie błyszczące oczy. Nagle las się skończył, a pod nimi rozciągała się teraz polana, porośnięta bladą zimową trawą. Samolot znalazł się tuż nad wysokim skalnym urwiskiem.

– Tam! Widzisz je, Bellu? – zawołał znowu Garry.

– Tak! Tak! Są wspaniałe! – odkrzyknęła.

W drugim końcu polany trzy samce słoni biegły jeden za drugim. Uszy miały szeroko rozpostarte jak trójkątne żagle arabskiego jednomasztowca. Ich grzbiety były zgarbione, tak że widziała wygięte paciorki kręgosłupa pod szarą skórą i błysk niesionych wysoko, wykrzywionych kłów.

Gdy przelecieli dwadzieścia stóp nad nimi, przewodnik stada odwrócił się i uniósł do góry długą trąbę, jakby chciał zdjąć ich z nieba. Garry zwiększył wysokość, a samolot posłusznie wzniósł się wyżej, by prześlizgnąć się bezpiecznie ponad granitowymi kolosami.

– Z tego dużego byłoby około siedemdziesięciu funtów – Garry odwrócił się w fotelu i patrząc do tyłu przez ramię oceniał wagę kłów słonia. – Czy one są na naszym obszarze, ojcze? – zapytał zmniejszając prędkość i wyrównując lot.

– Na skraju – odparł Shasa siedzący spokojnie po prawej stronie syna. To on nauczył Garry’ego latać i znał jego możliwości. – Tam jest Park Narodowy. Widać wycięty pas lasu, który oznacza granicę.

– Te kolosy kierują się właśnie tam.

Isabella pochyliła się nad fotelem ojca, a on odwrócił się i uśmiechnął do niej.

– Możesz się założyć, że dokładnie tam – potwierdził.

– To znaczy, że one wiedzą, gdzie jest obszar polowań, a gdzie ich azyl?

– Tak jak ty znasz drogę do swojej łazienki. Gdy tylko poczują się niepewnie, od razu uciekają do domu.

– Widzicie obóz? – zapytał Garry.

– Trochę na południe od tego wzgórza – wskazał przed siebie Shasa. – O, teraz widać dym. Pas do lądowania biegnie równoległe do skrawka buszu nad rzeką Jesse.

Garry znowu zwolnił, zszedł nieco niżej i przeleciał nad pasem, by sprawdzić, czy nic na nim nie stoi.

Małe stado zebra, które pasły się na rosnącej na pasie trawie, rozproszyło się, a gdy samolot się do nich zbliżył, uciekły pełnym galopem. Każda z nich pozostawiła za sobą pióropusz kurzu.

– Cholerne osły – mruknął Garry. – Zaczep o takiego, a odpadnie ci skrzydło.

Isabella zobaczyła pod sobą odkrytą ciężarówkę obok prowizorycznego rękawa do wskazywania kierunku wiatru. Spojrzała na miejsce kierowcy, czy nie zobaczy swego starszego brata, ale siedział tam jeden z czarnych szoferów. Poczuli się nieco rozczarowana. Nie widziała Seana od dwóch lat i stęskniła się za nim.

Garry wykonał ostatni nawrót i skierował się na pas startowy. Wysunął podwozie i zapaliły się trzy zielone lampki na tablicy rozdzielczej. Sprawdził parametry i podszedł do lądowania pod ostrym kątem, aby ominąć wierzchołki drzew, których mnóstwo rosło przy pasie.

„On jest cudownym pilotem – pomyślała Isabella z podziwem. – Jest prawie tak dobry jak ojciec”.

Garry przyleciał z nimi z Johannesburga firmowym odrzutowcem. Zatrzymali się w Salisbury w hotelu Monomatapa. Shasa i Garry mieli spotkanie z Ianem Smithem, premierem Rodezji. Ostatni odcinek przebyli mniejszym beechcraftem. Samolot odrzutowy wymagał odpowiedniego pasa, aby bezpiecznie wylądować, podczas gdy beechcraft mógł się zmieścić na krótkim, trawiastym pasie w Chizora, jeśli za sterami siedział doświadczony pilot.

Wylądowali miękko, Garry posadził samolot pewnie, bez poślizgów i podskoków. Maszyna zatrzęsała się i pochyliła ku surowej nawierzchni. Szarpnął za hamulec bezpieczeństwa, kiedy ściana drzew na końcu pasa zaczęła nagle się do nich przybliżać. Potem przykołował i wznosząc tumany kurzu ustawił samolot niedaleko miejsca, gdzie czekały na nich ciężarówki.

Obsługa obozu zgromadziła się wokół samolotu, gdy Garry wyłączył silniki. Shasa otworzył drzwiczki i zeskoczył ze skrzydła, by uścisnąć wszystkim ręce i powitać każdego według starszeństwa. Większość personelu zatrudnionego na safari pracowała u nich od samego początku, więc Shasa znał każdego po imieniu.

Wszyscy bardzo się ucieszyli, gdy ze skrzydła zeskoczyła Isabella, ponieważ mimo że odwiedzała Chizorę sporadycznie, była ich ulubienicą. Nazywali ją Kwezi. Poranna Gwiazda.

– Mam dla pani świeże pomidory i sałatę – poinformował Lot, główny ogrodnik. Ogród w Chizorze był nawożony odchodami bawołów i słoni, rodził owoce i warzywa, które zdobyłyby nagrody na każdym konkursie rolniczym. Wszyscy wiedzieli, że Kwezi miała słabość do sałatek.

– Rozbiłem dla pani namiot na samym końcu – powiedział Isaac, szef służby

domowej w obozie. – Dzięki temu będzie pani mogła słuchać rankami śpiewu ptaków. Szef kuchni ma dla pani specjalną herbatę. – Ziołowa herbata z gór Przylądka była kolejną słabością Isabelli.

Garry wprowadził samolot do otoczonego drutami hangaru, który chronił nocami opony przed zębami lwów i hien. Kiedy załadowano ich bagaże na ciężarówkę, Garry zasiadł za kierownicą toyoty i samochód ruszył po wyboistej drodze przez las.

W owym roku spadło dużo deszczy, więc puszcza obfitowała w zwierzynę. Piaszczysta droga była usiana śladami dzikich zwierząt. Kiedy wyjechali na szeroką polanę przed obozem, na pastwisku porośniętym srebrną zimową trawą stały spokojnie stada zebra i lśniących, czerwonobrazowych ampali. Jedną z żelaznych zasad Seana było, że nie wolno strzelać w promieniu dwóch mil od obozu. Zakaz ten nie ograniczał zbytnio myśliwych, ponieważ obszar polowań rozciągał się na przestrzeni dziesięciu tysięcy kilometrów kwadratowych.

Z obozu rozciągał się widok na polanę i znajdujący się pośrodku błotnisty wodopój. Pod koniec sezonu, kiedy woda w nim wyschnie, zwierzyna przeniesie się w inne miejsce. Wówczas Sean będzie musiał zwinąć obóz i podążyć za nią do drugiego miejsca na obozowisko na brzegu jeziora Kariba.

W lesie rozbito rząd zielonych namiotów; każdy z nich miał własny prysznic i ubikację, umieszczone na zewnątrz. Jadalnia była otoczona budynkami bez dachów, których ściany wykonano ze słomy. Płócienne krzesła rozstawiono wokół ogniska, na którym wielkie kłody paliły się dniami i nocami. Służba obozowa nosiła świeżo wykrochmalone uniformy, a Isaac, jej szef, paradował w przerzuconej przez ramię szkarłatnej szarfie.

Przenośny generator dostarczał światła i elektryczności, niezbędnej do chłodziarek i zamrażarek w otoczonej słomianymi murami spiżarni. Kucharz wyczarowywał niezwykle dania dla smakoszy. Zaprowadzono tu wszystkie udoskonalenia, które były charakterystyczne dla tak zwanych obozów Hemingwaya. Do najważniejszych z nich należały pojemniki z lodem na ladzie w barze oraz butelki trunków, ustawione w szeregach. Było pięć gatunków najlepszej jakości whisky oraz trzy nieco słabszych. Butelka chablis vaudesir chłodziła się w srebrnym wiaderku z lodem. Można też było znaleźć składniki do Pimma nr 1 i Krwawej Mary – przeznaczono je dla osób o bardziej pospolitych gustach. Ludzie, którzy mogli sobie pozwolić na takie opłaty za safari, wymagali i pilnowali, by te artykuły pierwszej potrzeby były zawsze pod ręką.

Obsługa napełniła gorącą wodą zbiorniki w prysznicach. Podczas gdy goście zmywali z siebie kurz i brud z podróży, personel rozpakował i poukładał w namiotach ich stroje na safari.

Wykapani i odświeżeni członkowie rodziny zgromadzili się przy ognisku, a Shasa spojrzął na zegarek.

– Trochę za wcześnie na drinka?

– Skądże znowu. Jesteśmy na wakacjach – zaprotestował Garry i przywołał barmana, by coś zamówić.

Isabella piła powoli chłodne białe wino. Pierwszy raz od prawie dwóch lat czuła się bezpieczna i spokojna; niespodziewanie pomyślała o Michaelu. Tylko jego jej tutaj brakowało. Oglądała pochód pięknych, dzikich zwierząt do wodopoju, słuchając ojca i Garry'ego jednym uchem.

Mówili o kliencie Seana. Był to niemiecki przemysłowiec o nazwisku Otto Heider.

– On jest o dwadzieścia lat starszy od Seana, ale przypadli sobie do gustu. Obaj chcą być najlepsi na polowaniu. Do licha, lubią podejmować razem ryzyko – powiedział Shasa. – Im bardziej niebezpieczna ekspedycja, tym bardziej Niemcowi

się podoba. Nie chce polować z nikim oprócz Seana.

– Wydział do zadań specjalnych dostarczył mi kompletne dane na jego temat – skinął głową Garry. Ten wydział był zamkniętą komórką Courtney Enterprises, której dyrektor składał raporty bezpośrednio Garry’emu. Stanowił jego prywatny system wywiadowczy. Zajmował się wszystkim, od bezpieczeństwa do wywiadu przemysłowego. – Otto Heider to gracz. Choć lista jego aktywów zajmuje cztery strony, myślę, że nie powinniśmy robić z nim żadnych wspólnych interesów. Zbyt lubi ryzykować. Według moich obliczeń przydałoby mu się przynajmniej trzy miliardy marek na inwestycje.

– Zgadza się – skinął głową Shasa. – To interesująca postać, ale nie dla nas. Czy wiecie, że on przywozi ze sobą na safari krew dla siebie na wypadek, gdyby nadepnął go słoń lub bawół wziął go na rogi?

– Nie, nie wiedziałem o tym – zdziwił się Garry i aż przechylił się na krześle.

– Świeża, dobra krew – uśmiechnął się Shasa. – Gotowa do użycia, można powiedzieć. Samoobsługowa aparatura do transfuzji.

– Co to znaczy? – zainteresowała się Bella.

– Przywozi ze sobą dwie wykwalifikowane pielęgniarki, piękne blondynki poniżej dwudziestu pięciu lat; obie mają jego grupę krwi AB Rh +. Jeśli potrzebuje krwi, może wyssać ją z którejś z nich i mieć przy tym profesjonalną opiekę medyczną. Garry parsknął śmiechem.

– Nawet jeśli nie potrzebuje krwi, są to bardzo przyteczne urządzenia na safari. Po prostu transfuzje odbywają się w odwrotnym kierunku.

– Jesteś obrzydliwy, Garry – uśmiechnęła się Isabella.

– Nie ja! To Otto jest odrażający. Myślę, że zmienię o nim zdanie. Może moglibyśmy robić razem interesy. Taka zapobiegliwość jest czymś pożądanym.

– Zapomnij o tym. Otto odlatuje jutro wczesnym rankiem ze swymi pielęgniarkami. Klient, który jest dla nas naprawdę ważny, przyleci jutro po południu. Sean odstawi Heidera do Salisbury i przywiezie następnego... – Shasa urwał i osłonił sobie dłonią oczy, wypatrując czegoś na szerokiej polanie przed borną, ogrodzeniem ze słomy, które chroniło obóz przed dzikimi zwierzętami.

– Słyszę ciężarówkę Seana. Otóż i on.

Myśliwski samochód wypadł nagle z lasu na trawiastą przestrzeń w odległości mili od nich.

– Pan Sean musi się bardzo spieszyć.

Odgłos silnika przerodził się w wycie. Wysoki słup dymu wznosił się w niebieskie, spokojne niebo. Zwierzęta przy wodopoju spłoszyły się i uciekły do lasu.

Odległość między nimi zmniejszała się szybko, mogli już rozpoznać ludzi, siedzących w otwartej toyocie. Pokrywa kabiny i plandeka były zdjęte, a przednia szyba leżała na masce. Na wysokim siedzeniu z tyłu siedziały cztery osoby. Byli to dwaj czarni tropiciele Seana w mundurach khaki i dwie białe kobiety.

„To na pewno te dwie niemieckie pielęgniarki” – pomyślała Isabella, gdyż odpowiadały opisowi: młode, ładne blondynki.

Na przednim siedzeniu dla pasażera siedział mężczyzna w średnim wieku w szarym na miarę stroju na safari. Miał okulary w złotej oprawce i opaskę z lamparciej skóry wokół runda kapelusza. Jego jowialna pewność siebie zdradzała, że to był właśnie Otto Heider, klient, o którym rozmawiali. Sean prowadził toyotę. Isabella nie mogła się powstrzymać. Zerwała się z krzesła i pobięła do bramy.

Sean miał na sobie koszulę z dwoma mosiężnymi nabojami dużego kalibru w pętlach na piersi. Rękawy były ucięte wysoko, tak że odsłaniały całe ręce, umięśnione i opalone, lśniące jak posmarowane tłuszczem. Indiańska przepaska na czole nie przytrzymała czarnych wijących się włosów, które unosiły się, kiedy pędził

samochodem.

Nacisnął hamulec tak ostro, że toyotę aż zarzuciło. Wyskoczył i skierował się w ich stronę. Miał na sobie bardzo krótkie spodnie khaki; nie nosił skarpet.

– Sean!

Isabella krzyknęła radośnie, ale on minął ją z wyrazem wściekłości na twarzy. Spojrzała za nim zmieszana.

Zignorował swego ojca tak samo jak siostrę i zatrzymał się przed młodszym bratem.

– Co ty, do diabła, wyprawiasz? – zapytał z furią w głosie, a wesoly uśmiech zniknął z twarzy Garry’ego.

– Ja też się cieszę, że cię widzę – odpowiedział spokojnym głosem, ale w jego oczach za okularami błysnęła irytacja.

Sean chwycił brata za koszulę. Jednym mocnym szarpnięciem podniósł go z płóciennego krzesła. Dowodziło to dużej siły, gdyż Garry był potężnie zbudowanym mężczyzną.

– Powiem ci coś! – wrzeszczał Sean. – Przez cztery dni starałem się znaleźć odpowiednią pozycję do oddania strzału do jedyne go porządnego samca, jakiego widziałem w tym sezonie. W najważniejszym momencie wpychasz się jak von Richthofen i psujesz wszystko.

– Słuchaj, Sean, ja nie... – Garry usiłował go ułagodzić, ale ten nawet nie słuchał.

– Ty cholerny gryzior! Ty turysto o miękkim tyłku udający twardziela! Na kim ty chcesz zrobić wrażenie?

– Sean! – Garry wysunął przed siebie obie rozłożone dłonie. – Daj spokój, bądź rozsądny. Skąd mogłem wiedzieć?

– Rozsądny? Kiedy przeganasz do diabła słońce? Kiedy spieprzyłeś polowanie mojego najlepszego klienta, najlepszą okazję na trafienie słońca w tym sezonie?

– Powiedziałem, że jest mi przykro.

– Teraz jest ci przykro, a pomyśl sobie, jak będzie ci przykro za pięć minut – powiedział Sean.

Ciągle trzymając brata za koszulę popchnął go do tyłu. Garry instynktownie stawiał opór. Sean natychmiast zwolnił ucisk, co zaskoczyło jego brata.

Sean nie podniósł prawej ręki. Jego pięść przemieściła się tylko o pięć cali, ale spadła na Garry’ego z całą siłą umięśnionego ramienia. Okulary upadły mu na ziemię, cofnął się niepewnie. Krzesło podcięło mu kolana, przechylił się przez nie i upadł ciężko na ziemię.

– Do diabła, to było niezłe – powiedział Sean, zaciskając i prostując palce, kiedy obchodził krzesło, żeby znowu go dosięgnąć.

– Sean! – Isabella doszła już do siebie po szoku. – Przestań, Sean! Daj mu spokój! – próbowała stanąć pomiędzy braćmi, ale Shasa chwycił ją za ramię i przytrzymał stanowczo.

Garry’emu udało się usiąść. Wzrok miał otepiały. Cienka strużka krwi płynęła mu z nosa. Próbował ją wciągnąć z powrotem, potem podniósł rękę i otarł górną wargę. Przynął zakrwawioną dłoń do oczu i przypatrywał się jej z niedowierzaniem.

– No, strzelcu wyborowy – powiedział Sean nad nim. – Wstawaj. Teraz coś specjalnego.

– Daj mi spokój, Sean. Proszę! – zawołała Isabella, wzburzona przemocą, krwią i tą przerażającą złością, jaką żywili do siebie dwaj ludzie, których tak bardzo kochała. – Przestań! Przestań!

– Spokój, Bellu – ojciec potrząsnął nią mocno. – Nie wtrącaj się do tego.

Wciąż siedząc na ziemi Garry otrząsnął się jak wielki bernardyn.

– No, cholerny panie prezesie – kpił z niego Sean. – Dalej, panie Biznesmenie



Roku. Zobaczmy, jaki ma pan styl, bogaczu z listy pięciuset pisma „Fortune”.

– Zostaw ich, Bellu – powtórzył ojciec i nadal nie puszczał jej ręki. – To musiało się zdarzyć. Zbierało im się przez dwadzieścia lat. Niech mają to w końcu za sobą.

Nagle Isabella zrozumiała. Wyzwiska, jakimi Sean obrzucał brata, były wyrazem zazdrości i urazów, które nagromadziły się przez całe życie.

Sean był pierworodnym, książką, najważniejszym dzieckiem. Dla niego powinny być te wszystkie honory i tytuły. Jemu przede wszystkim należały się względy i pochwały ojca, a jednak stracił to wszystko. Ukradł mu to karzeł.

– Szczył! – wołał Sean. – Okularnik!

Były to ich dziecięce zniewagi. Isabelli utkwiła w pamięci dumna wyższość starszego brata. Pamiętała, jak zimą w czasach ich dzieciństwa na Przylądku, gdy śnieg pokrywał góry Hottentots Holland, Sean wyciągał Garry’ego z łóżka o świcie, by siedział na muszli klozetowej i grzał dla niego deskę. Pamiętała setki innych przykładów poniżania i znęcania się, którymi Sean chciał udowodnić swą przewagę nad cherlakiem.

Garry podniósł się na nogi. Dwadzieścia lat poświęcił niestrudzonej pracy nad swoim słabym ciałem. Teraz klatkę miał umięśnioną jak sportowiec, a jego kończyny nabrały niemal nienaturalnych rozmiarów. Był jednak prawie cztery cale niższy od brata.

– To ostatni raz – powiedział. – Nigdy więcej się coś takiego nie powtórzy. Rozumiesz?

– Nie – pokręcił Sean głową, a za jego uśmiechem kryła się złość. – Nie rozumiem, ty szczyłu. Będziesz musiał mi to wytłumaczyć.

Niemiecki klient i jego dwie ponętne pielęgniarki wysiedli już z toyoty i poszli za Seanem do obozu. Teraz przyglądali się z zaciekawieniem.

Garry mrugał oczami jak kret, gdyż nie miał okularów, ale jego zęby zacisnęły się tak mocno, że aż nabrzmiały mu mięśnie na szyi. Sean pochylił się do przodu, wciąż uśmiechając się drwiąco i wtedy Garry rzucił się na niego.

Był szybki, jak na kogoś, kto tyle waży, szybki jak bawół albo jak indyjski krokodyl, ale Sean miał zwinność lamparta. Przykucnął i trafił brata w brzuch, tuż poniżej mostka. Przyniosło to taki efekt, jak cegła rzucona w czołg. Garry nawet nie jęknął. Zwarł tylko ramiona i znowu zaatakował. Sean kręcił się i skakał przed nim, wciąż z ubliżającym uśmiechem na ustach. Pozwalał Garry’emu zbliżyć się do siebie i kontratakował. Jego ciosy odbijały się od napiętych mięśni, jakby uderzał kijem baseballowym w oponę ciężarówki.

Niemieckie pielęgniarki piszczały z podniecenia. Obsługa obozowa przybiegła z kuchni i nad niskim ogrodzeniem obozu widać było ich głowy.

– Powstrzymaj ich, tato – błagała Isabella, ale Shasa przyglądał się synom z uwagą. Jak na razie, wszystko szło tak jak powinno.

Sean był górą. Po każdej wymianie ciosów odgarniał lśniące włosy do tyłu, rzucając szybkie spojrzenie na publiczność, zwłaszcza na zalotne pielęgniarki.

Natomiast Garry zadawał tak potężne ciosy, że Sean stale odskakiwał, by uniknąć jego pięści. Odparowywał także wszystkie ciosy Seana, starającego się trafić go w głowę. W ostatniej chwili unosił umięśnione ramiona i kontrował uderzenia brata.

Na początku wydawało się, że Garry bije na oślep. Potem Shasa zorientował się, że konsekwentnie pycha on Seana do rogu borny, chcąc go przygwoździć i tam z nim walczyć. Za każdym razem Sean wymykał się i Garry musiał zaczynać od początku. Był cierpliwy jak pasterski pies. Usiłował zmusić brata do zajęcia pozycji, która mu odpowiadała, i ze spokojem przyjmował ciosy zadawane przez Seana. Krew ciekła mu z nosa na usta i kapła z podbródka na koszulę.

Kpiący uśmiech Seana zniknął, potok jego wyzwisk także dawno wysechł. Nie

biegał już tak żwawo. Natomiast Garry ruszał się wciąż w tym samym tempie i spychał Seana do tyłu, cały czas do tyłu. Ciosy oddającego pole brata traciły impet i coraz częściej trafiały w próżnię.

Garry zablokował go, kiedy chciał zrobić obrót w prawo; nareszcie przewidział dokładnie jego ruchy. Sean wycofał się szybko do poprzedniej pozycji, ale poczuł, że dotyka plecami słomianego muru. Schylił się, by wyciągnięte ramię Garry'ego przeszło nad nim i wtedy otrzymał uderzenie.

Widzowie wstrzymali oddech, a jedna z pielęgniarek pisnęła przenikliwie. Cios Garry'ego spadł jak piorun, a siłę nadało mu dwieście funtów mięśni, kości i determinacji. Sean wykonał blok, lecz pięść przeciwnika przeszła przez tę zasłonę i trafiła go w głowę z taką siłą, że włosy mu się rozsypały jakby rozwał je ostry podmuch wiatru.

Oczy Seana cofnęły się w głąb oczodołów i przez chwilę sprawiał wrażenie ślepcy. Nogi się pod nim ugięły. Dopiero po chwili doszedł do siebie i z trudem usiłował uniknąć następnego niedźwiedziego ataku.

Garry natarł gwałtownie, wykorzystując sytuację, do której wytrwale dążył. Rozłożył szeroko ramiona, jakby na powitanie przyjaciela lub kochanki. Nagle drgnął jak biegacz słyszący dźwięk dzwonka, który oznacza ostatnie okrążenie. Oszukał ich wszystkich, łącznie z Seanem. Myśleli, że nie może poruszać się szybciej, ale nagle okazało się, iż stać go na znacznie więcej.

Byk bawołu przystępuje do śmiertelnego ataku w ten sam sposób: chodzi przed ofiarą, uspokaja ją, sprawia wrażenie, że to nie ona jest celem jego agresji. W ostatniej chwili odwraca się z zadziwiającą szybkością i wbija róg; z ciała ofiary zaczyna broczyć krew, a napastnik je zgniata.

Na wpół ogłuszony Sean nie mógł mu uciec. Ramiona Garry'ego objęły go w morderczym uścisku i siłą rozpędu obaj wpadli do jadalni. Poleciały na ziemię butelki doskonałej whisky, szlachetnych win oraz kryształowa zastawa.

Rozgnietli błyszczące odłamki stopami, przeszli przez chmurę odurzających zapachów i potoczyli się dalej.

Długi, przykryty koronkowym obrusem stół się przewrócił. Serwis Rosenthala rozprysł się na dziesięć tysięcy cennych kawałków. Kiedy wypadli z drugiej strony namiotu, zerwali podtrzymujące go liny, a płótno zwisło smętnie fałdami. Służba rozbiegła się z okrzykami ostrzeżenia, podniecenia i zachęty.

Obracali się jak w jakimś dzikim walcu. Garry trzymał brata w żelaznym uścisku. Jego ramiona drżały, widać było grę mięśni, gdy zwarli się jak pyton ze swą ofiarą.

Jedna ręka Seana była uwięziona, wolną pięścią zaś bił Garry'ego w głowę, ale nie mógł się zamachnąć i jego ciosy nie czyniły wiele szkody. Raz trafił go w usta i rozciął wargę, lecz duże białe zęby brata pozostały nietknięte. Schował tylko głowę w ramiona, zmrużył oczy, lecz nie puszczał przeciwnika.

Kiedy rzucili się do przodu i wylądowali pod borną po przeciwnej stronie placu i rozwalili ogrodzenie, rozległ się pomruk aprobaty ze strony czarnej części widowni oraz piski wielbicielek Seana.

Wciąż spleceni ze sobą powrócili z impetem na środek. Jedna z pielęgniarek nie zdążyła przed nimi uskoczyć. Przewróciła się, a spódnica się jej zawinęła, ukazując długie opalone nogi i koronkową bieliznę, co przerwałoby każde widowisko. Nikt jednak nawet na nią nie spojrział.

Za każdym obrotem Garry usiłował podnieść Seana. Starszemu z braci twarz nabrzmiała i nabiegła krwią, ponieważ miał uciśniętą klatkę piersiową i trudności z oddychaniem. Mimo to jak kot po każdej próbie spadał zawsze na nogi, aż Garry doprowadził go do ogniska. Płomienie zaczęły lizać gołe łydki Seana, przypalając mu włosy. Zawył z bólu i z trudem odsunął się nieco od ognia. Garry był jednak

nieugięty. Stękając z wysiłku zmusił go do powrotu. Miażdżony w stalowym uścisku Sean coraz bardziej osuwał się w dół, aż wreszcie jego kolana dotknęły ziemi. Garry pochylił się nad nim i zacieśnił chwyt.

Z płuc Seana wydarł się przeciągły jęk, a twarz poczerwieniała mu jeszcze bardziej. Garry ścisnął brata jeszcze mocniej, bezlitośnie jak mechaniczna stalowa prasa. Oczy Seana stały się straszliwie wylupiaсте, usta otworzyły się szeroko, a język wysunął na zewnątrz.

– Garry! Zabijesz go! – wrzasnęła Isabella, stając teraz po stronie drugiego brata, lecz on w ogóle jej nie słyszał. Po raz kolejny stęknął i natarł znowu.

Żebra Seana pękły niczym suche gałązki. Krzyknął i zwiotczał, jak na wpół opróżniona torba pszenicy. Garry puścił go i cofnął się, ciężko oddychając. Jego twarz także była czerwona i nabrzmiała z wysiłku.

Sean spróbował usiąść, ale przeszył go ostry ból w złamanych żebrach i zawył, chwytając się za pierś. Garry wygładził sobie obydwoma dłońmi włosy, ale niesforny kosmyk na czubku głowy podniósł się natychmiast.

– Dobrze – powiedział spokojnie. – Od tej pory będziesz umiał się zachować. Słyszysz mnie?

Sean ukląkł, wspierając się jedną ręką, a drugą przyciskając żebra.

– Słyszysz mnie? – Garry zapytał znowu, stając nad nim.

– Pieprz się – szepnął Sean i skrzywił się z bólu. Garry pochylił się i dźgnął kciukiem jego chorą klatkę.

– Słyszysz mnie?

– W porządku – jęknął Sean. – Słyszę cię.

– Dobrze – kiwnął głową Garry i odwrócił się do stojących w pobliżu pielęgniarek. – Fraulein – powiedział w znośnym niemieckim – myślę, że będziemy potrzebowali waszych usług.

Rzuciły się naprzód z gładaniem. Stały po obu stronach Seana, podniosły go na nogi i odprowadziły do namiotu.

Shasa puścił ramię Isabelli.

– No – mruknął – ten problem jest już chyba rozwiązany. – Spojrzał na zdemolowany namiot i dodał: – Mam nadzieję, że to nie była ostatnia butelka chivas.

Garry siedział na łóżku rozebrany do pasa, a Isabella smarowała jego siniaki maścią z pomornika, którą znalazła w apteczce. Zaognione plamy, które zostawiły pięści Seana, pokrywały całe ręce i górną część ciała jak cętki skórę żyrafy. Nos miał spuchnięty, a usta porozbijane do krwi.

– Chyba jest lepiej – stwierdziła Isabella. – Przedtem twój nos zajmował tylko pół twarzy, a teraz całą.

Garry uszczypnął się delikatnie w jego czubek.

– Zajęliśmy się panem Seanem. Teraz chyba czas, by ciebie nauczyć szacunku.

Pocałowała go w czubek głowy, gdzie odstawała kępka włosów.

– Misiu – powiedziała – wiesz co, Holly to szczęściara. Wspaniały z ciebie facet. Zarumienił się, naprawdę zarumienił się, a ona poczuła, że kocha go jeszcze bardziej. Nie był wcale śmieszny, mimo rozbitego nosa i spuchniętej górnej wargi.

Sean jęknął jeszcze raz teatralnie, a Otto Heider odrzucił do tyłu głowę i zaśmiał się głośno.

– Proszę – dolał whisky do szklanki, która stała na stoliku przy łóżku. – To dobre na ból jak chloroform. Sean wychylił następną porcję alkoholu.

– Skoczył na mnie kiedyś bawół i kopnął słoń, ale coś takiego nigdy mnie jeszcze nie spotkało! Hej, Trudi, ostrożnie. Dziewczyna pocałowała go mocno w usta.

– Bądź grzeczny – powiedziała. – Muszę cię opatrzyć. – Sepleniała po niemiecku bardzo zmysłowo i miała miękkie, czerwone usta.

– Jesteś w tym niezła – przyznał.  
Zaśmiała się dźwięcznie i kończyła opatrywanie mu klatki piersiowej, podała bandaż pod jego pachą Erice, która siedziała za Seanem na łóżku.  
– Koniec z bumsen – powiedziała ta surowo. – Na długo. – Przełożyła bandaż pod drugą pachą i wręczyła go Trudi. Otto Heider znowu się roześmiał.  
– Czy masz zamiar pójść teraz na emeryturę i zostawić mnie samego z tymi dwiema jędzami? – Otto dzielił się wszystkim z przyjaciółmi, a Sean był jego przyjacielem od dawna. We czwórkę – Otto, Trudi, Erica i Sean nie tylko polowali. To było bardzo wesołe safari. Poza wypadkiem ze słoniem, którego spłoszył Garry, bawili się wyśmienicie.  
– Ty już niedobry, ale twój brat, on silny jak byk. – Trudi popatrzyła figlarnie. – On walczyć dobrze. Ty myśleć on bumsen dobrze?  
Sean przyglądał się jej przez chwilę w zamyśleniu, po czym na jego ustach pojawił się uśmiech.  
– Garry to świętoszek, kołtun. Jestem prawie pewien, że był prawiczkim, kiedy ożenił się z tą swoją dziewczuchą o twarzy bez wyrazu. Wątpię, żeby wiedział, co należy robić, nawet gdybyście mu podstawiły niezły bumsen.  
– My pokażemy, co robić – zapewniła Trudi. – Ja i Erica, my pokażemy dobrze.  
– Co ty sądzisz, Otto? – Sean spojrzał na swego klienta. – Czy mogę pożyczyć panie na dzisiejszą noc? To nie potrwa długo. O północy będą już u ciebie w namiocie.  
Otto potrząsnął głową z zadowoleniem.  
– Przyjacielu, niesamowicie zabawny z ciebie facet. Hej, dziewczęta, jak wam się to podoba? Co myślicie? Fajny dowcip, nie?  
Sean śmiał się razem z nimi, uważając na swe połamane żebra, ale w jego oczach pojawił się mściwy błysk.  
Rozumiał doskonale, co się dziś stało. To było coś więcej niż kolejna bójka między braćmi, którą sprowokował. To był najważniejszy element rywalizacji dwóch byków o terytorium, ostateczna bitwa o to, kto będzie dominował i zajmował lepszą pozycję. Przegrał i ta porażka bolała go mocno.  
Wiedział, że nie będzie mógł już wyzwąć go na tak poważną rozprawę. Garry pobił go we wszystkim, od sali posiedzeń do walki wręcz. Zwycięstwo nad nim było już niemożliwe. Mógł teraz jedynie odjąć nieco blasku jego potędze. Chciał się zabezpieczyć na burzliwe dni, które musiały nadejść z całą pewnością.

\*

Garry miał sen. Był niezwykle wyraźny i prawdziwy. Po ogromnej łące uciekał przed nimfami wodnymi, a nogi miał jak z ołowiu. Każdy krok był ogromnym wysiłkiem, jakby brnął przez bagno gorącej melasy.  
Na drugim końcu łąki widział Holly i dzieci, najmniejsze trzymała na rękach, a pozostałe stłoczyły się wokół jej kolan, uczepione spódnicy. Holly wołała coś do niego, ale nie słyszał słów. Z jej ukochanych, dwukolorowych oczu płynęły łzy.  
Wyciągnął ku niej ręce, ale poczuł na swym ciele delikatne, ciepłe dłonie nimf, które go powstrzymywały. Próbował je z siebie strząsnąć, lecz jego wysiłek był nieprzekonujący. Z rozpaczą ujrzał, że Holly i dzieci odwracają się od niego. Żona przygarnęła je do siebie i zniknęły w lesie za łąką.  
Chciał zawołać, by poczekały, ale w myślach i uczuciach miał zamęt. Spoczywające na nim ręce ekscytowały go. Uległ więc pożądaniu. Nie chciał już uciekać. Nie chciał, by skończył się sen, ponieważ nawet śniąc zdawał sobie sprawę z tego, że to jest właśnie sen. Dał się ponieść swemu widzeniu, a ciepłe, gładkie ciała

przyculały się do niego mocno. Czuł w nozdrzach słodki zapach młodej kobiecości, któremu nie mógł się oprzeć. Słyszał śmiech, zagłuszany przez własne ciało i czuł na swoich wargach zadziwiający smak gorących ust.

Holly i dzieci odeszły; zapomniał o nich, ich obraz wymazała jego żądza. Poczuł, że całkowicie jej się oddaje.

Nagle obudził się i zdał sobie sprawę, że to nie sen. Jego łóżko pełne było ruchliwych ciał. Tłoczyły się na nim. Nie wiedział, ile rąk potraçało go, popychało, pociągało i pieściło. Jedwabiste włosy przesuwały się po jego twarzy jak morska woda. Ciepłe, mokre języki badały jego ciało. Gładkie ręce obejmowały mocno.

Jeszcze przez chwilę leżał nieruchomo, potem krzyknął i usiadł. W świetle księżyca, które wcisnęło się do namiotu, nagie ciała kobiet lśniły jak opale.

Starszy brat siedział na brzegu łóżka. Pierś miał zabandażowaną, a na twarzy malował mu się chłopięcy uśmiech.

– Zdobyłeś pierwszą nagrodę, Garry, staruszku. Łupy dla zwycięzcy. Baw się, młodzieńcze, baw!

– Ty draniu! – zawołał Garry i wyciągnął ku niemu rękę.

Sean odskoczył czym prędzej, a dziewczyny zdecydowały się wyleźć ze skotłowanego łóżka.

Garry chwycił je za ramiona i podniósł z łatwością, jakby to były dwie małe kotki. Wyszedł na zewnątrz. Piszczaly i wierzgały nogami w powietrzu.

Zobaczył, że ojciec stoi u wejścia do swego namiotu i przewiązując w pasie szlafrok.

– Słuchaj, co tu się dzieje?

– Mój kochany brat wpuścił mi do łóżka robactwo. Po prostu pozbywam się go – odpowiedział Garry.

– Szkoda – odrzekł Shasa. – Straszne marnotrawstwo. Garry ruszył dalej. Shasa podążył za nim ubawiony. Isabella w krótkiej koronkowej koszulce potknęła się w progu swego namiotu.

– Garry, co ty tam masz, do licha?

– To chyba dosyć jasne.

– Dwie, Garry? Nie jesteś zbyt zachłanny?

– Zapytaj Seana. To jego pomysł.

– Co masz zamiar z nimi zrobić? Mogę pójść z wami?

– Świetnie. Ty i ojciec zdacie sprawę Holly.

Garry poprowadził mały pochód przez łąkę i zatrzymał się u wodopoju. Noc była zimna; szron chrząścił im pod stopami. Zejście do wody było wydeptane przez zwierzynę, która ją piła.

– Proszę, to żart – piszczała Trudi, wijąc się w jego uścisku.

– To żart – potwierdziła Erica ze łzami. – Proszę puścić. – Jej gołe siedzenie świeciło w blasku księżyca, a nogami kręciła rowerek.

– Ja też żartuję sobie – rzekł Garry. – Myślę, że mój żart lepszy niż wasz.

Pierwszy rzut nieszczególnie mu się udał, tylko dwadzieścia stóp. Erica była pulchniejsza i klasyfikowała się na rzut próbny. Drugi był znacznie lepszy, prawie trzydzieści stóp, aż Trudi zapiszczała w locie. Jej głos urwał się nagle, gdy wpadła do lodowatej wody.

Obie dziewczyny wyszły prychnając i lamentując; ciała ich były poryte warstwą lśniącego, czarnego błota.

– No – powiedział Garry. – To jest właśnie dobry żart.

Sean spóźnił się na śniadanie. Zatrzymał się w wejściu do jadalni, a oczy zwężyły mu się, gdy rozejrzał się wokoło.

Służba posprzątała, co się dało. Obozowa złota rączka naprawiła w nocy

wszystkie meble. Isaac uzupełnił zniszczone części serwisu. Trudi i Erica zmyły z siebie większość błota, ale ich włosy wciąż jeszcze schły na plastikowych wałkach. Nie to jednak przyciągnęło uwagę Seana.

Spojrzał na swoje miejsce w końcu stołu. To był jego obóz i to miejsce należało do niego według tradycji i zwyczaju. Wszyscy o tym wiedzieli. Jego imię było wydrukowane na płóciennym oparciu krzesła.

Teraz siedział tam Garry. Twarz miał już mniej opuchniętą. Włosy przylegały mu do głowy, widać jeszcze nie wyschły po prysznicu. Na nosie tkwiły naprawione okulary. Był potężny i pewny siebie.

Podniósł wzrok znad talerz z myśliwskim śniadaniem, na które składała się wątroba antylopy, cebula i jajecznicza, i spojrzał na brata.

– Dzień dobry, Sean – powiedział radośnie. – Przynieś mi filiżankę kawy, skoro jesteś na nogach.

Nagle przy stole zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na Seana, czekając na jego reakcję. Grymas na twarzy Seana powoli zniknął, zastąpił go uśmiech.

– Ile kostek cukru? – zapytał podchodząc do kredensu i biorąc dzbanek z kawą z rąk Isaaca.

– Dwie wystarczą – odparł Garry. Przy stole rozległy się westchnienia ulgi. Znowu wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Sean przyniósł bratu kubek kawy, a Garry skinął głową.

– Dzięki, Sean. Usiądź – wskazał na wolne krzesło obok siebie. – Mamy kilka spraw do omówienia.

Isabella bardzo chciała usłyszeć tę rozmowę, ale dwie Niemki chichotały i paplały, flirtując i z Shasą, i z Otto. Wiedziała, że Garry ustalał plan spotkań, które odbędą się w obozie w ciągu kilku nadchodzących dni. Nazwiska gości i wszystkie dotyczące ich szczegóły byłyby ważne dla niej i dla Nicky'ego.

– A co z tą Włoszką? Była już twoją klientką. Jaka ona jest? – usłyszała pytanie Garry'ego, a Sean wzruszył ramionami.

– Elsa Pignatelli? Włoszka ze Szwajcarii. Dobrze strzela, kiedy ją na to namówisz. Nigdy nie ryzykuje, ale gdy pociąga za cyngiel, zawsze coś pada na ziemię. Nigdy nie widziałem, żeby spudłowała.

Garry zastanowił się nad tym przez chwilę i skinął głową.

– Coś jeszcze?

– Jest strasznie uparta. Chce, żeby wszystko szło po jej myśli i niczego nie można jej narzucić. Ma oczy z tyłu głowy. Próbowałem trochę poprawić rachunek. Od razu to zauważyła.

Garry kiwnął głową.

– Nie dziwi mnie to. Jest jedną z najbogatszych kobiet w Europie. Lekarstwa i chemikalia, przemysł mechaniczny, lotniczy, zbrojeniowy. Zajmuje się tym wszystkim już siedem lat, od śmierci męża. Ma nienaganną reputację.

– W zeszłym roku zaatakował nas ranny słoń w buszu. Stała nieporuszona i położyła go strzałem w głowę z odległości dwudziestu kroków. Potem odwróciła się do mnie z pretensjami. Twierdziła, że strzelałem do jej słonia. Twarda kobieta.

– Jakieś słabości? Alkohol? – zapytał Garry. Sean potrząsnął głową.

– Co wieczór pije lampkę szampana. Za każdym razem z nowej butelki dom perignon. Wypija jeden kieliszek, a resztę odsyła. Pięćdziesiąt dolarów za butelkę.

– Coś jeszcze? – Garry przyglądał mu się przez swe okulary w grubej oprawie. Sean uśmiechnął się.

– Daj spokój, Garry. To starsza pani – ma już pewnie pięćdziesiątkę.

– Właściwie ma czterdzieści dwa lata – sprzeciwił się Garry. Sean westchnął.

– OK, chcesz wiedzieć, czy bawiliśmy się w „chowanie kiełbaski”.

Zaproponowałem jej nawet. To należy do moich obowiązków. Roześmiała się tylko i powiedziała, że nie chce, by ją aresztowano za molestowanie seksualne nieletnich.

Potrząsnął głową. Sean nie lubił przyznawać się do porażek na tym polu.

– Szkoda. Musimy robić z nią interesy – zauważył Garry. – Potrzebuję każdego dźwigu, z którego mogę skorzystać.

– Przyprawdzą ją dzisiaj o piątej – obiecał Sean. – Oddam ją tobie i życzę dużo szczęścia.

Wszyscy pojechali na pas startowy, aby pożegnać Otto Heidera i jego pielęgniarki. Panował radosny nastrój. Niemki nie tylko przebaczyły Garry'emu nocną kąpiel; zdawało się również, że wzbudził zainteresowanie tak zdecydowaną odmową skorzystania z ich usług. Kręciły się przy nim, całując go, ściskając i mierzwiąc włosy, aż się zaczerwienił.

– Następnym razem znowu będziemy żartować – obiecały mu. Machały zawzięcie przez okienko, kiedy beechcraft rozpedził się na pasie i wzbił w powietrze. Odlecieli już pół mili i znajdowali się na wysokości dwustu stóp, gdy Sean wykonał ostry skręt, wrócił, i kierując się prosto na nich, przeleciał dwadzieścia stóp nad ich głowami.

Dziewczyny ciągle machały.

– Kowboj! – burknął Garry, ruszając w stronę toyoty. – Wsiadasz, Bellu?

– Pojadę z ojcem – odparła.

Wiedziała, że łatwiej będzie wyciągnąć coś z ojca niż z brata. Pobieгла do drugiej ciężarówki i usiadła obok Shasy. Byli w połowie drogi, kiedy zaryzykowała.

– A więc kim jest Elsa Pignatelli? – zapytała z miłym uśmiechem. – I dlaczego nigdy o niej nie słyszałam? Shasa był zaskoczony.

– Skąd się o niej dowiedziałas?

– Nie ufasz mi, ojczu? Jestem twoją asystentką, prawda? – sprytnie obarczyła go winą, natychmiast więc zaczął się tłumaczyć.

– Przepraszam cię, Bellu. Nie o to chodzi, że ci nie ufam. To miała być tajemnica.

– A więc z jej powodu wszyscy tu jesteśmy, tak? Shasa odpowiadał wymijająco.

– Elsa Pignatelli to zapalony myśliwy, prawdziwa Diana. Polowała z Seanem przez ostatnie trzy lata. Uwielbia tropienie kotów – lwów i lampartów. Wiesz, że Sean słynie z tego.

– Nie przyjechaliśmy tu, żeby przyglądać się, jak ona zabija koty – naciskała Isabella, a Shasa pokręcił głową i ustąpił.

– Do Pignatellich należą liczne fabryki chemikaliów – lekarstwa, nawozy rolnicze i pestycydy, tworzywa sztuczne i farby. Mają pewne patenty, którymi jesteśmy zainteresowani.

– To dlaczego Garry nie poleciał do Genewy lub Rzymu, czy gdziekolwiek ona mieszka?

– W Lozannie.

– Więc dlaczego nie pojechał do niej albo ona nie wysłała kogoś ze swoich ludzi do Johannesburga, zamiast urządzić krainę Tarzana w dżungli? Co się dokładnie za tym kryje?

Shasa zwolnił i całą uwagę skoncentrował na przekraczaniu skalistego brodu rzeczno. Nie odpowiedział jej, aż samochód o napędzie na cztery koła wdrapał się na stromy brzeg.

– Wybacz, że cię w to nie wprowadziłem. Miałem zamiar ci o tym powiedzieć. Interesujemy się nie tylko pestycydami. Wielu złych ludzi na całym świecie byłoby zainteresowanych rozmowami pomiędzy Pignatelli Industries i przewodniczącym Armscoru.

– Aha, zasłaniasz się Armscorem, więc to na pewno uzbrojenie.

Shasa spojrział na nią w zamyśleniu. Na włosach miała kolorową przepaskę,

podobną do turbanu. Twarz zaróżowiła się jej od wiatru. Była urocza i Shasa poczuł wyrzuty sumienia, że mógł jej nie dowierzać. Była częścią jego; powinien ufać jej jak sobie samemu.

– Omawiałem z tobą broń ostatniego ratunku – mruknął.

– Nie chodzi o broń jądrową? – zapytała Isabella. – Macie już bombę.

– Nie, to nie bomba atomowa – westchnął. – Obawiam się, że to coś równie ohydneho. Wiesz, że podzielam twoją niechęć do broni masowego rażenia. Ale tego typu broń ma nigdy nie być użyta. Jest skuteczna tylko dlatego, że istnieje.

– Jeśli istnieje, to wcześniej czy później jakiś szaleniec jej użyje – powiedziała stanowczo, a Shasa potrząsnął głową.

– Już to przerabialiśmy, moja droga. Ale faktem jest, że powierzono mi misję zapewnienia naszemu krajowi wszelkich możliwych środków służących do jego obrony. Nie mam prawa decydować, która broń jest do przyjęcia z moralnego punktu widzenia.

– Naprawdę potrzebujemy jeszcze jakiegoś okropieństwa? – nastawała.

– Przeciwno naszej ojczyźnie rośnie fala nienawiści. Steruje tym sprytna grupa wrogów. Wpajają całym pokoleniom młodych ludzi wszędzie na świecie, że jesteśmy potworami, które trzeba zniszczyć za wszelką cenę. Wkrótce ci młodzi ludzie przejmą władzę i uzyskają możliwość podejmowania decyzji. Pewnego dnia amerykańska marynarka może zablokować nasze porty. Możemy oczekiwać inwazji wojskowej albo, na przykład, hinduskich oddziałów, wspieranych przez Australijczyków i Kanadyjczyków i wszystkich członków Wspólnoty Brytyjskiej.

– Och, ojcze, to dosyć odległa wizja, prawda?

– Na razie tak – zgodził się Shasa. – Ale gdy byliśmy w Londynie, spotkałaś się z wpływowymi ludźmi z labourzystowskiego rządu. Rozmawiałaś z członkami amerykańskiej Partii Demokratycznej – z Teddym Kennedym, na przykład. Czy pamiętasz, co ci powiedział?

– Tak, pamiętam – powiedziała Isabella, a wspomnienie wróciło do niej z całą mocą.

– Musimy mieć absolutną pewność, że żadne państwo – nawet supermocarstwo – nie będzie bezkarnie rozpatrywać ewentualnej ingerencji w nasze wewnętrzne sprawy.

– Już mamy bombę – zauważyła.

– Broń jądrowa jest kosztowna, trudna do transportu i nie można kontrolować ani ograniczać jej skutków. Są jeszcze inne skuteczne środki zapobiegawcze.

– Czy Elsa Pignatelli ma nam udostępnić nowe środki? Dlaczego miałyby nam pomóc?

– Signora Pignatelli jest naszym sympatykiem. Jest członkiem Włoskiego Towarzystwa Przyjaciół Afryki Południowej. Jest myśliwym i ma jeszcze inne powiązania z tym kontynentem. Jej ojciec służył pod generałem de Bono, kiedy w 1935 roku dokonał inwazji na Abisynię. Jej mąż walczył na Zachodniej Pustyni pod dowództwem Rommla i został wzięty do niewoli w Benghazi. Trzy lata spędził jako jeńiec wojenny w Afryce Południowej i pokochał ją na całe życie. Te uczucia przekazał żonie. Przyjeżdża do Afryki regularnie, na polowanie lub w interesach. Ona rozumie problemy, którym stawiamy czoło, i odrzuca uproszczone rozwiązania, które chce nam narzucić reszta świata. To spotkanie organizujemy na jej prośbę.

Isabella chciała zadać jeszcze kilka pytań, ale zdała sobie sprawę z tego, że lepiej będzie, jeśli sam wyzna jej wszystko w swoim czasie.

Siedziała w milczeniu i przyglądała się rozjeżdżonej przez samochody drodze, ledwie, zauważając stado antylop, które przebiegły tuż przed pojazdem w zwinnym podskokach. Były prześliczne, lecz tak ulotne jak dym nad lasem.

– Tylko cztery osoby wiedzą o tym spotkaniu, Bellu. Signora Pignatelli nie ufała



swojemu personelowi. Oprócz Garry'ego i mnie tylko premier zna temat, na który będziemy rozmawiać w trakcie tego spotkania.

Isabella stłumiła to obrzydliwe poczucie zdrady, które tkwiło na samym dnie jej żołądka. Chciała go ostrzec, by jej nie mówił, ale pomyślała o Nickym i się nie odezwała.

– Pięć lat temu NATO zawarło kontrakty z dwoma firmami z branży chemicznej w Europie Zachodniej na wytworzenie gazu obezwładniającego do użycia w czasie działań wojennych. Jesienią ubiegłego roku oba kontrakty unieważniono, głównie z powodu nacisków socjalistycznych rządów Skandynawii i Holandii. Ale wykonano już znaczną część pracy i jedna z firm otrzymała i przetestowała gaz, który odpowiada wymaganiom, przedstawionym w kontraktach.

– Czy tą firmą było Pignatelli Chemicals? – zapytała Isabella. Kiedy Shasa skinął głową, mówiła dalej: – Jakie były kryteria, wyznaczone przez NATO?

– Broń miała być bezpieczna w przechowywaniu i transporcie. Pignatelli wyprodukowała dwie różne substancje, z których każda sama w sobie była bezpieczna. W ogromnych samochodach lub pociągach-cysternach można je przetrzymywać i przewozić bez żadnego ryzyka. Ale po połączeniu tworzą one cięższy od powietrza gaz, około jedenaście razy bardziej toksyczny niż używany do egzekucji w Ameryce.

Shasa zjechał z drogi i zatrzymał się na krawędzi pod rozłożystymi gałęziami drzew o wspaniałych strąkach, które wielkością i kształtem przypominały kiełbasę.

Ze schowka za fotelem kierowcy wyjął dwururkę Gibbs i załadował ją dwoma dużymi mosiężnymi nabojami.

– Chodźmy do basenu hipopotamów – zaproponował.

Ruszyli ścieżką ku głębokiemu zielonemu rozlewisku na rzece. Strzelbę wziął dla bezpieczeństwa, gdyż hipopotamy zabiły w Afryce więcej ludzi niż węże, lwy i bawoły razem wzięte.

Jednakże nie wyglądały groźnie, kiedy tarzały się przy brzegu, wystawiając karki jak wielkie, czarne kamienie rzeczne. Samiec rozwarł paszczę, ukazując różowe, przepastne podniebienie i rzeźbione kły, jakby z kości słoniowej, które mogłyby skosić trzcinę papirusa lub pociąć dorosłego wołu na kawałki. Zwrócił na nich swe świńskie, nabiegłe krwią oczy i przyjrzał się im niezyczliwie.

Usiedli na zwalonej kłodzie, a Shasa przyciągnął broń bliżej siebie. Po chwili zwierzę zamknęło paszczę i zanurzyło się pod wodę, tak że widać było tylko jego oczy i końcówki małych, zaokrąglonych uszu.

– Jedenaście razy bardziej szkodliwy niż gaz cyjankowy – powtórzył Shasa. – To przerażająca substancja.

– Więc dlaczego, ojczu? To jest haniebne. Po co to robić? Wzruszył ramionami.

– Żeby bronić nas samych przed nienawiścią.

Podniósł kamyk i cisnął go w hipopotama. Upadł dwadzieścia stóp przed zwierzęciem, ale hipopotam zanurzył się całkowicie. Shasa mówił dalej:

– Gaz ma kryptonim Cyndex 25 i charakteryzuje się jeszcze innymi pożądanymi właściwościami, oprócz zdolności przynoszenia szybkiej śmierci.

– Tak, to bardzo pocieszające – mruknęła Isabella. – Co to za właściwości?

– Jest bezwonny. Nie ma żadnego ostrzeżenia; śmierć przychodzi niespodziewanie. Ale można dodać mu zapach – jaki kto sobie życzy: dojrzałych jabłek, jaśminu, a nawet chanel nr 5, jeśli chcesz.

– To makabryczne, ojczu. Zupełnie nie w twoim stylu. Nie odpowiedział na przyganę.

– Jest też bardzo niestały. Przestaje być aktywny zaledwie po trzech godzinach od wymieszania. Później jest zupełnie nieszkodliwy. To niezwykle korzystne. Można

zatruc gazem armię wroga i zając zaatakowane tereny trzy godziny później.

– Urocze – szepnęła Isabella. – Nie wątpię, że premier nie zrezygnował całkowicie z pokojowych metod prowadzenia polityki. Co by było, gdyby na przykład milion Murzynów wszczął zamieszki?

Shasa westchnął.

– Lepiej o tym nie myśleć.

– Ale powinieneś być o tym pomyśleć, prawda, ojczy? Mówisz, że NATO unieważniło kontrakty. Czy tylko w Pignatelli Chemicals produkują ten cyndex 25?

– Nie. Oni wynaleźli i przetestowali gaz. Był to dwudziesty piąty prototyp, stąd oznaczenie numeryczne. Jednak po anulowaniu kontraktu zaprzestali produkcji i pozwolili, by zgromadzone zapasy uległy zniszczeniu.

Isabella spojrzała na niego z boku.

– Zniszczeniu?

– Jak już mówiłem, to bardzo niestała substancja. Ma bardzo krótki okres przechowywania – sześć miesięcy. Nowe zapasy muszą być ciągle dostarczane, by zastąpić te, które stają się bezwartościowe.

– To bardzo korzystne dla Capricorn Chemicals – zauważyła Isabella, ale Shasa zignorował tę uwagę.

– Signora Pignatelli udostępni nam plany fabryki; produkcja tego gazu jest bardzo skomplikowanym procesem.

– Kiedy rozpoczniecie? – zapytała Isabella, a Shasa się uśmiechnął.

– Wolnego, młoda damo. Nie jest nawet pewne, czy uda nam się namówić signorę Pignatelli, by sprzedała nam plany i wzór. O tym właśnie będziemy teraz rozmawiać.

– Spojrzał na zegarek. – Już prawie czas na lunch, a my mamy jeszcze przed sobą pół godziny jazdy.

## ROZDZIAŁ 5

Sean zgłosił się przez radio obozowe czterdzieści minut przed wylądowaniem, dlatego czekali już na pasie startowym, kiedy po południu beechcraft zniżył lot ku lotnisku.

Oslaniając dłonią oczy przed promieniami nisko stojącego słońca, Shasa rozpoznał pasażerkę Seana przez przednią szybę. Kobieta siedziała po prawej stronie pilota. Poczuł prąd, przebiegający mu po karku, który oznaczał nie tylko ciekawość. To zadziwiające, że on i Elsa Pignatelli nigdy się nie spotkali, chociaż pochodzili z tego samego świata – z tego ekskluzywnego świata bogactwa, stanowisk i przywilejów, który nie zna granic. Mieli dosłownie dziesiątki wspólnych przyjaciół i znajomych, a wiele razy znajdowali się o kilka minut lub kilometrów od siebie. Shasa pozostawał w dobrych stosunkach z jej mężem.

Kiedyś zjeżdżali na nartach ze słynnego Wanga w Klosters, z tej strasznej, lodowej ściany, która wisi nad wioską. Wówczas Bruno Pignatelli przeproszał za nieobecność żony, wyjaśniając, że musiała w ów weekend polecieć do Rzymu, do swej posuniętej w latach matki. Ona i Shasa musieli minąć się na lotnisku w Zurychu, podróżując w dwóch różnych kierunkach.

Innym razem, gdy Shasa był ambasadorem w Londynie, każde z nich zostało zaproszone na kolację w ambasadzie szwajcarskiej. Dowiedział się później, że siedzieliby obok siebie przy stole, ale Elsa Pignatelli była zmuszona odmówić przyjęcia zaproszenia z powodów rodzinnych.

Od tamtej pory wiele razy słyszał, jak wymieniano nazwisko Elsy Pignatelli i dyskutowano o niej szeroko na kolacjach towarzyskich i weekendowych przyjęciach; uwagi te często były złośliwe i mściwe, ale równie często pełne podziwu i zwykłej zazdrości. Widział jej zdjęcia w kolorowych pismach dla kobiet, które Centaine i Isabella prenumerowały. Courtney Industries współpracowały z zakładami Pignatellich od dwudziestu lat – dając zyski i zadowolenie obu stronom. W czasie kilku tygodni poprzedzających spotkanie Shasa przestudiował uważnie wszystkie istotne informacje na jej temat, zawarte w raporcie, który dostarczył wydział Garry'ego do zadań specjalnych.

Sean doprowadził beechcrafta na pole z czerwonej gliny i wyłączył silniki. Elsa Pignatelli wyszła na skrzydło i zeskoczyła na ziemię. Poruszała się z gracją młodej sportsmenki, a była wysoka i miała długie ręce i nogi. Shasa wiedział, że pracowała jako modelka u Yves St. Laurenta, zanim wyszła za Bruna Pignatellego.

Mimo że wydawało mu się, iż zna ją od dawna, nie był przygotowany na swoją reakcję. Prąd z karku przemieścił się na łopatki i poczuł, jak unoszą mu się włosy na ramionach, kiedy zaczęła się rozglądać. Jej wzrok prześlizgnął się po Garrym, Isabelli i służbie, po czym zatrzymał się na nim.

Miała bardzo ciemne włosy, które w świetle popołudniowego słońca przybrały niemal niebieskawy odcień. Zaczesane były do tyłu i związane w ładny, duży kok, który uwydatniał zarys czaszki, wysokie, nieco zaokrąglone czoło i wystające kości policzkowe. Mimo to jej rysy były bardzo kobiece.

– Shasa Courtney – powiedziała, podchodząc do niego swobodnym krokiem modelki. Uśmiechnęła się i zobaczył równą linię jej zębów. Wiedział, że w przyszłym roku w lipcu będzie obchodziła czterdzieste trzecie urodziny. Jednak jej skóra pod dyskretnym, utrzymanym w naturalnych kolorach makijażem była zadbana, gładka i bez zmarszczek.

– Signora Pignatelli – powiedział i ujął jej rękę. Była chłodna i silna, kości były wąskie i długie.

Uścisnęła jego dłoń krótko, lecz mocno; te ręce mogły trzymać rakieta lub wodze konia pełnej krwi.

Żałował, że dotknięcie trwało tylko chwilę, ale spojrzenie jej oczu zrekompensowało mu stratę. Świeciły brązowym blaskiem, w oprawie długich, czarnych i podwiniętych rzęs. Były to jasne i inteligentne oczy.

– Żałuję bardzo, że nie spotkaliśmy się wcześniej – powiedział Shasa niezbyt zgrabnie po włosku, a ona uśmiechnęła się i odpowiedziała nienaganną angielszczyzną, w której ledwo pobrzmiwał obcy akcent.

– Ależ spotkaliśmy się – odsłoniła w uśmiechu zadziwiająco białe zęby, ale jeden lekko skrzywiony siekacz udawał, że są to jej własne, a nie jakaś sztuczka dentysty.

– Gdzie? – Shasa był zdziwiony.

– Windsor Park. Mecz polo – bawiło ją jego zmieszanie. – Grał pan z numerem drugim w drużynie księcia Edynburga.

– Mój Boże, to było dziesięć lat temu.

– Jedenaście – powiedziała. – Nigdy nie przedstawiono nas sobie, ale rozmawialiśmy przez około trzy sekundy przy bufecie po zakończeniu meczu. Zapropozował mi pan kanapkę z wędzonym łososiem.

– Ma pani doskonałą pamięć – przyznał się do porażki. – Przyjęła pani tę kanapkę?

– Nieładnie, że pan zapomniał – zauważyła z uśmiechem i odwróciła się do pozostałych osób.

– Pan jest pewnie Garrick Courtney?

Shasa pospiesznie przedstawił jej najpierw Garry'ego, a następnie Isabellę.

Służba ładowała bagaże signory Pignatelli na jedną z ciężarówek. Walizki były ciężkie, miały mosiężne okucia na rogach i było ich bardzo dużo. Na zabieranie takiej ilości bagażu mogą sobie pozwolić tylko ludzie, którzy latają własnymi samolotami i nie są ograniczani kapryсами obsługi linii lotniczych. Wśród rzeczy gościa zwracały uwagę cztery długie futerały na broń.

– Pani pojedzie ze mną, signora! – zawołał do niej Sean, gdy wdrapał się na wysoko umieszczony fotel kierowcy w swoim myśliwskim pojeździe. Zignorowała zaproszenie i bez wahania usiadła obok Shasy, gdy ten poszedł do drugiej ciężarówki.

Isabella ruszyła za nimi, ale Garry chwycił ją za rękę i pociągnął w stronę samochodu Seana.

– Daj spokój, Bellu. Nie widzisz – mruknął. – Tam jest ciasno. Isabella drgnęła. Nie przyszło jej to do głowy: ojciec i ta wdowa! Pochyliła się na chwilę ku Garry'emu.

– Nie wiedziałam, że wśród twoich licznych talentów jest również swatanie.

\*

W porze popołudniowego drinka Isaac podał Elsie kieliszek w kształcie tulipana, napełniony dom perignon, ze świeżo otwartej butelki. Służący przyniósł go, mimo że nie został o to poproszony. Znał słabostki stałych klientów.

Gdy wszyscy siedzieli wokół ogniska, trzymając się poza zasięgiem błękitnego dymu, Sean wezwał dwóch swoich tropicieli na naradę. Ten rytuał był odprawiany głównie ze względu na klienta, gdyż wszystkie istotne kwestie omawiano wcześniej, tak by nie przeszkadzała obecność osób trzecich. Ale większość klientów, szczególnie tych, którzy byli na safari po raz pierwszy, znajdowała się pod wrażeniem potoku słów w języku suahili, które zamieniali ze sobą Sean i jego ludzie. Co więcej, włączenie w ten rytuał dawało poczucie, iż jest się częścią polowania, a nie tylko

dodatkowym bagażem.

Obaj przewodnicy, którzy pracowali dla Seana, kiedy był jeszcze praktykantem w Kenii w czasie powstania Mau Mau, mieli wrodzone zdolności aktorskie i grali wspaniale. Przycupnęli z szacunkiem po obu stronach krzesła Seana i nazywali go Bwana Mkubwa, czyli Wielki Wódz. Naśladowali zwierzęta, o których mówili, i rysowali ich ślady w kurzu pomiędzy swoimi stopami, obracali oczami i potrząsali głowami, rozrzucali ramiona i pluli w ognisko dla większego efektu.

Stanowili dziwacznie dobraną parę. Jeden był milczącym Samburu z ogoloną głową i klasycznymi rysami plemion żyjących nad Nilem; w powiększonych małżowinach nosił srebrne talary Marii Teresy. Drugi przypominał gnoma o psotnej twarzy i jasnych, paciorkowatych oczach.

Matatu był jednym z ostatnich żyjących członków leśnego plemienia Ndorobo, ludu słynącego ze stosowania magicznych ziół i znajdującego puszcę jak nikt inny. Niestety, stali się oni ofiarami postępu, który zniszczył lasy, a na nich sprowadził wszystkie dolegliwości i choroby, od alkoholizmu i gruźlicy po choroby weneryczne.

Sean nazwał go Matatu, czyli Numer Trzy, ponieważ jego plemiennego imienia nie dało się wymówić i dlatego, że był trzecim tropicielem, którego zatrudnił. Pozostali dwaj nie pracowali dłużej niż po tygodniu. Sean korzystał z usług Matatu przez ponad połowę swojego życia.

– Ngwi – powiedział teraz Murzyn, po czym przewrócił oczami, rysując wiernie na piachu ślad lamparta. Sean zapytał go o coś w dźwięcznym języku suahili, na co Matatu odpowiedział swoim świszczącym głosem, a na koniec splunął siarczyście w ogień. Sean zwrócił się do Elsy Pignatelli, żeby jej przetłumaczyć.

– Tydzień temu założyłem pięć przynęt dla lampartów, dwie na rzece, a pozostałe wzdłuż brzegu, z którego widać Park Narodowy.

Elsa skinęła głową; dobrze знаła ten teren ze swoich poprzednich wypraw.

– Trafiliśmy na jednego kilka dni temu. Stara kocica, która wyszła z parku. Zjadła przynętę, po czym odeszła, a my śledziliśmy ją aż do parku. Od tamtej pory było cicho.

Sean odwrócił się i zadał Matatu kolejne pytanie. Murzyn długo coś mówił, najwyraźniej ciesząc się, że wszyscy zwracają na niego uwagę.

– Matatu sprawdził dzisiaj przynęty, kiedy ja odbierałem panią z Salisbury. Ma pani szczęście, signora. Jakieś zwierzę dobierało się do tej na rzece. Matatu mówi, że to duży samiec. Dobrze sobie podjadł ostatniej nocy. Przynęta z antylopy wisiała przez tydzień i nawet w takim chłodziu ładnie zgniła. Jeśli przyjdzie także dzisiaj, to jutro po południu zasadzimy się tam na niego.

Rozmowa trwała cały ranek. Garry poczynił przygotowania. Wysłał Isabellę z Seanem, by sprawdzili przynęty, a potem polecił Isaacowi, by rozstawił trzy krzesła i składany stół pod drzewem dosyć daleko od obozu.

Usiedli tam we trójkę: Garry, Shasa i Elsa; w żadnym innym miejscu na ziemi nie byłiby tak pewni tego, że nikt ich nie podsłuchuje.

„To niesłychane – pomyślał Shasa – by dyskutować na tak przerażający temat w tym cichym i pięknym zakątku”.

Z drugiej strony, rozmowy nie potoczyły się tak, jak przewidywali Shasa czy Garry. Mimo że Elsa Pignatelli miała ze sobą zgrabną teczkę ze świńskiej skóry, nie otwierała jej, kiedy krążyli ostrożnie wokół najważniejszej sprawy.

Prawie od razu stało się jasne, że Elsa nie podjęła jeszcze decyzji, czy kontynuować produkcję cyndexu 25. Wręcz przeciwnie, miała poważne wątpliwości i obawy, należałoby bardzo długo ją namawiać.

– Czymś strasznym byłoby rozprzestrzenienie tego na świecie – powiedziała w pewnym momencie. – Odczułam ogromną ulgę, kiedy NATO unieważniło kontrakt i

polecilo nam doprowadzić do degradacji istniejących zasobów i zdemontować fabrykę. Nie wiem, co mnie opętało, że chciałam zbudować jeszcze jedną fabrykę i to taką, nad którą nie miałabym bezpośredniej kontroli.

Przez cały ranek Shasa i Garry starali się uśmierzyć jej niepokój. Próbowali wypracować takie rozwiązanie, które spełniałoby jej wymagania dotyczące kontroli i zawierało szczegółowe warunki, które muszą być spełnione, żeby cyndex mógł kiedykolwiek zostać użyty.

– Jeśli rozpoczęlibyście produkcję, każdy ekspert NATO, który dokonałby inspekcji fabryki i otrzymał wynik analizy gazu, od razu wiedziałby, skąd pochodzi technologia – zauważyła. – Gdyby tak się stało i odkryto by, że ślady prowadzą do Pignatelli...

Urwała w pół zdania i rozłożyła swe długie, zgrabne ręce w pełnym ekspresji włoskim geście. W trakcie dyskusji Elsa zwróciła się twarzą do Shasy. Wszystkie swoje uwagi i pytania zaczęła kierować tylko do niego.

Delikatnie, niemal niedostrzegalnie wyłączyła Garry'ego z rozmowy. Mimo prostodusznego wyglądu był on negocjatorem o wielkiej intuicji i wrażliwości. Zanim nawet oni sami się zorientowali, wyczuł prądy przebiegające między nimi. Pojął, że – należąc do tego samego pokolenia i tej samej klasy – mieli taki sam system wartości i posługiwali się kodem, którego on nie rozumiał.

Wyczuł, że Elsa Pignatelli chciała, by uspokoił ją nie on, lecz mężczyzna, do którego coś nieodparcie ją ciągnęło. Taktownie wycofał się z rozmowy i przyglądał się im, jak zakochują się w sobie, nawet o tym nie wiedząc.

Warkot silnika wracającej toyoty zaskoczył ich. Shasa spojrzał na zegarek z niedowierzaniem.

– Mój Boże, już czas na lunch, a niczego jeszcze nie ustaliliśmy.

– Mamy dwa tygodnie na rozmowy – zauważyła Elsa wstając. – Możemy spotkać się tu również jutro rano.

Kiedy wrócili we trójkę do obozu, Sean stał już przy barze i przygotowywał Pimma nr 1 w kryształowym dzbanie. Był dumny ze swego przepisu.

– Dobre wieści, signora! – zawołał. – Czy mogę panią namówić na szklaneczkę Pimma?

– Wolę wodę badoit z plasterkiem cytryny – odparła z uśmiechem. – A teraz proszę mi powiedzieć, co to za dobre wieści.

– Lampart znowu przyszedł w nocy na żer. Sądząc po śladach, musiał zjawić się wcześniej, pół godziny przed zachodem słońca. Zaczyna więc być nieostrożny i śmiały, a jest bardzo duży. Łapy ma jak śniegowe raki.

– Dziękuję panu, Sean. Zawsze znajduje pan dla mnie dobre koty, ale nigdy tak szybko. To pierwszy dzień safari.

– Proszę się zdrzemnąć po lunchu, po prostu dla uspokojenia nerwów. O trzeciej idziemy do kryjówek.

Isaac przyniósł Elsie mineralną wodę na srebrnej tacy, a potem porzosił wysokie szklanki z koktajlem.

– Za śmierć wielkiego, starego lamparta pod drzewem – wznosił toast Sean.

Zawodowych myśliwych przerażała wizja rannego lamparta, który zeskakuje z drzewa i kryje się w wysokiej trawie.

Wszyscy spełnili toast, po czym Shasa i Elsa rozpoczęli cichą, lecz pochłaniającą ich rozmowę, z której wyłączyli młodszych Courtneyów. Garry skorzystał ze sposobności, ujął brata za ramię i odprowadził go na bok.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Świetnie. Nigdy nie czułem się lepiej – odparł Sean zaskoczony tym niezwyklej objawem braterskiej troskliwości.

– Według mnie nie wyglądasz najlepiej – pokręcił głową Garry. – Wydaje mi się, że będziesz miał atak malarii, a twoje żebra...

– Co to za brednie? – zirytował się Sean. – Na moje żebra wystarczy parę tabletek kofeiny.

– Nie będziesz w stanie polować z signorą Pignatelli dziś po południu.

– Jak to nie, do diabła. Wytropiłem tego kota, jest naprawdę piękny...

– Zostaniesz dzisiaj w swoim namiocie z buteleczką tabletek chloroquiny przy łóżku, a gdyby ktoś pytał, to masz bardzo wysoką gorączkę.

– Słuchaj, strzelcu wyborowy, spieprzyłeś mi już słonia. Z lampartem ci się to nie uda.

– Ojciec będzie polował z klientką – powiedział Garry stanowczo. – A ty zostaniesz w obozie.

– Ojciec? – Sean przyglądał mu się przez chwilę, zanim na jego twarzy pojawił się uśmiech. – Bezwstydnik! Ojciec jest napalony na wdówkę, co?

– Dlaczego ty zawsze tak wulgarnie to określasz? – zapytał Garry łagodnie. – Staramy się zrobić interes z signorą Pignatelli, a ojciec musi rozwinąć łączący ich związek, by mieli do siebie zaufanie. To wszystko.

– A kiedy te dwie zgrzybiałe nimfy przepłoszą lamparta, biedny Sean będzie musiał zrobić porządek.

– Mówiłeś, że signora Pignatelli nigdy nie pudłuje, a ojciec jest tak dobrym myśliwym jak ty. Poza tym chyba nie boisz się rannego lamparta. Ty, nieustraszony Sean Courtney! Z całą pewnością nie.

Sean skrzywił się, słysząc drwinę.

– Przygotuję dla nich wszystko – zgodził się. – A odpowiadając na twoje pytanie – nie, Garry, nie boję się rannego lamparta ani niczego innego. Pamiętaj o tym.

Shasa leżał w łóżku z książką w ręku. Taki obóz był jednym z nielicznych miejsc na świecie, gdzie mógł czytać dla przyjemności, a nie z powodów politycznych czy związanych z interesami. Po raz czwarty czytał „Błękitny Nil” Alana Mooreheada i smakował każde słowo, kiedy w namiocie ukazała się głowa Garry’ego.

– Mamy mały problem, ojczu. Sean ma atak malarii. Shasa usiadł i upuścił książkę.

– Jak ciężki? – wiedział, że Sean nigdy nie zażywał środków zapobiegających. Wolał uodparniać się na chorobę i leczył się tylko wtedy, gdy zauważył jej objawy. Shasa słyszał również, że ostatnio nad Zambezi pojawiła się nowa odmiana, odporna na zwykłe sposoby leczenia, która czasem atakowała mózg.

– Muszę do niego pójść – powiedział.

– Nie martw się, chloroquine już działa. Zasnął, więc lepiej mu nie przeszkadzać.

Shasa się uspokoił, a Garry mówił szybko dalej:

– Ktoś będzie musiał pojechać dzisiaj na polowanie z signorą Pignatelli, a ty masz ode mnie więcej doświadczenia.

Kryjówka mieściła się w niższych gałęziach dzikiego hebanowca, tylko dziesięć stóp nad ziemią. Sean kazał ją tam umieścić nie po to, by zapewnić bezpieczeństwo myśliwemu, gdyż lampart może wdrapać się do łowcy, zanim ten zdąży odetchnąć, ale by zapewnić szersze pole obserwacji, od wąskiego strumienia do drzewa z przynętą.

Sean starannie wybrał drzewo, na którym została zawieszona przynęta, i Shasa pokiwał głową z uznaniem. Co najważniejsze, umieszczono ją wyżej, niż sięgał wschodni, popołudniowy wiaterek, dzięki czemu zapach myśliwego tam nie docierał. Ponadto drzewo było otoczone wysokimi nadrzeczными zaroślami, które dawałyby poczucie bezpieczeństwa zbliżającemu się lampartowi.

Pień lekko pochylał się nad rzeką, dzięki czemu kot z łatwością mógł wdrapać się na poziomą gałąź na wysokość dwudziestu stóp, z której na krótkim łańcuchu zwisała padlina antylopy. Listowie było gęste i zielone. To również zachęciłoby zwierzę do wspinaczki. Ale pozioma gałąź była odsłonięta, co ułatwiało dostrzeżenie lamparta, kiedy będzie sięgał po cuchnące mięso.

Kryjówka znajdowała się dokładnie sześćdziesiąt pięć jardów od drzewa z przynętą. Elsa Pignatelli wybrała sobie miejsce za głównym obozem, by wypróbować broń. Shasa umieścił tam cel dokładnie w odległości sześćdziesięciu pięciu jardów od niej. Oddała trzy strzały w „dziesiątkę”, a trzy dziury, które nieznacznie zachodziły na siebie, utworzyły liść koniczyny.

Kryjówkę zbudowano z pali przykrytych strzechą. Była to mała, wygodna chatka na drzewie. W środku, naprzeciwko otworów strzelniczych w słomianych ścianach, stały dwa krzesła. Matatu i naganiacz z plemienia Samburu zanieśli do domku koce, śpiwory, torbę z jedzeniem i termos gorącej kawy.

Czuwanie mogło trwać do świtu, dlatego myśliwi mieli także silną latarkę z dwunastowoltową baterią, krótkofalówkę do komunikowania się z tropicielami, a nawet nocnik z gustownym roślinnym wzorkiem, aby móc spokojnie przetrwać do rana.

Kiedy Matatu poukładał już wszystko w kryjówce, zszedł po drabinie i odbył krótką konferencję z Shasą obok toyoty.

– Chyba przyjdzie przed zmrokiem – powiedział w języku suahili. – To zuchwały diabeł, a żre jak świnia. Myślę, że dzisiaj w nocy będzie głodny i nie potrafi opanować łakomstwa.

– Jeśli nie przyjdzie, zaczekamy do rana. Nie wracaj tu, dopóki nie wezwę cię przez radio. Idź teraz w pokój, Matatu.

– Zostań w pokoju, Bwana. Módlmy się, żeby memsahib dobrze trafiła. Nie chcę, by ten łaciaty diabeł objadał się moją wątrobą.

Tropiciele zaczęli czekać, aż myśliwi wejdą do kryjówki, a potem odjechali. Mieli zatrzymać się u wylotu doliny odległej o dwie mile i czekać, aż usłyszą odgłos strzałów lub wezwanie przez radio.

Shasa i Elsa siedzieli obok siebie w kryjówce, prawie się dotykając łokciami. Śpiwory rozłożono na oparciach krzeseł tak, by można było wsunąć w nie ramiona, kiedy temperatura zacznie spadać. Na kolanach mieli pledy. Oboje nosili skórzane kurtki, które chroniły nie tylko przed chłodem, ale również – w razie takiej konieczności – przed ostrymi pazurami.

Elsa umieściła lufę swojej strzelby w otworze w ścianie, gotowa unieść kolbę do ramienia błyskawicznym, krótkim ruchem. Było to siedmiomilimetrowe magnum Remingtona, załadowane 175 gramowym pociskiem marki Nosler, który pokryłby ogniem pas ziemi długości sześćdziesięciu pięciu jardów, dzielących ich od drzewa z przynętą, z prędkością trzech tysięcy stóp na minutę. Shasa wspierał ją swoją wielką strzelbą kalibru 8 mm. Była ona przeznaczona do strzelania z dużych odległości do dzikich gęsi, a tu dokonałaby spustoszenia.

Gdy ucichło dudnienie silnika toyoty, w dolinie rzeki zapadła cisza afrykańskiego stepu. Rozlegały się w niej dziwne szepty: delikatny szum wiatru, poruszającego liśćmi nad ich głowami, trzepotanie się ptaka w poszyciu lasu wzdłuż rzeki, daleki, buczący krzyk pawiana oraz ciche, tykające dźwięki wydawane przez termyty, które przegryzały się przez suche pale, na których stały ich krzesła.

Oboje przynieśli ze sobą książki, aby zająć sobie czas do zmierzchu, ale nie sięgnęli po nie. Siedzieli tuż obok siebie i zdawali sobie doskonale sprawę z tej bliskości. Shasa czuł się tak dobrze w jej towarzystwie, jakby byli starymi, ufającymi sobie bezgranicznie przyjaciółmi. Uśmiechnął się do swoich myśli. Obrócił



ukradkiem głowę, żeby spojrzeć na Elbę, a ona przewidziała to i także uśmiechała się do niego.

Odwróciła dłoń, którą opierała na poręczy krzesła. Sięgnął po nią i był zaskoczony tym, jak delikatna i ciepła była jej skóra, a także wrażeniem, jakie zrobił na nim ten dotyk. Nie czuł się tak od lat. Siedzieli obok siebie, trzymając się za ręce jak para nastolatków na pierwszej randce i czekali na lamparta.

Wszystkie zmysły Shasy były skierowane na odbieranie najdelikatniejszych odgłosów przyrody, lecz jego umysł swobodnie wędrował po zakamarkach pamięci. Myślał o wielu rzeczach w czasie tych cichych godzin, kiedy słońce zatoczyło łuk po kopule nieba i schowało się za postrzępioną linią wzgórz. O kobietach, które znał, a było ich wiele. Nie potrafił przypomnieć sobie ile. Upływ czasu pozbawił je twarzy i imion i tylko nieliczne zapamiętał na zawsze.

Pierwszą z nich była figlarna mała prostytutka. Kiedy Centaine ich przyłapała na gorącym uczynku, wyszorowała go w wannie gorącej wody z lizolem używając karbolowego mydła, które obdarło mu ze skóry najbardziej wrażliwe części ciała. Uśmiechnął się do tego odległego wspomnienia.

Drugą, która utkwiała mu w pamięci, była Tara, matka wszystkich jego dzieci. Od samego początku byli przeciwnikami. Zawsze myślał o niej jako o swym ukochanym wrogu. Potem utracił nad nią przewagę i przez jakiś czas byli szczęśliwi. W końcu znowu zostali wrogami, prawdziwymi wrogami. Ten okres iluzorycznego szczęścia bardziej rozpałał, niż łagodził ich wzajemną nienawiść.

Po Tarze było pięćdziesiąt lub sto innych – właściwie nie miało znaczenia jak wiele. Żadna z nich nie potrafiła dać mu tego, czego szukał, ani ulżyć mu w samotności.

Ostatnio, kiedy był już w średnim wieku, wpadł w te charakterystyczną dla starzejących się mężczyzn pułapkę: zaczął szukać nieśmiertelności w ciałach młodych kobiet. Chociaż doznania fizyczne były przyjemne i silne, nie nawiązywał kontaktu duchowego i nie mógł wykrzesać z siebie tyle energii, ile żądały. Ze smutkiem pozostawił je z ich hałaśliwą, bezsensowną muzyką i poszukiwaniem czegoś, czego same nie potrafiły określić. Szedł dalej sam.

Myślał wtedy często o samotności. W ciągu lat przekonał się, że była to najbardziej wyniszczająca ze wszystkich chorób, które dotyczą człowieka. Był samotny przez większą część swego życia. Miał brata przyrodniego, ale tak naprawdę go nie znał, Centaine wychowywała go jak jedynaka.

Wśród wielu ludzi, z którymi zetknęło go życie – służących, współpracowników, znajomych i pochlebców, nawet wśród własnych dzieci – była tylko jedna osoba, z którą mógł dzielić swoje triumfy i porażki, jedyna, która stale dodawała mu otuchy, rozumiała go i kochała. Ale Centaine miała siedemdziesiąt sześć lat i szybko się starzała. Samotność zżerała mu duszę; bał się, że stanie się jeszcze bardziej dokuczliwa.

W tej chwili siedząca obok kobieta ścisnęła mu mocniej dłoń, jakby czytała w jego myślach. Odwrócił głowę i spojrzał w złote jak miód oczy; już się nie uśmiechała. Miała poważny wyraz twarzy, nie unikała jego wzroku ani nie czuła się zakłopotana. Przykre myśli go opuściły i poczuł taki spokój, jakiego rzadko doświadczał w ciągu ponad pięćdziesięciu lat swego życia.

Na zewnątrz światło słoneczne łagodniało, aż w końcu tylko delikatnie rozjaśniało afrykański zmrok. Był to czas magicznego bezruchu, w którym świat wstrzymywał oddech, a barwy lasu stawały się żywsze i bogatsze. Słońce pochyliło się jak umierający gladiator i skłoniło swą krwawą głowę nad wierzchołkami drzew. Światło odchodziło wraz z nim, zarysy drzew rozplywały się, znikwały, oddalały.

W ciemności usłyszeli ptasi głos. Sean pochylił się i wyjrzał przez otwór

strzelniczy. Zobaczył ciemnego ptaka z rodziny kuropatw, który siedział na suchej gałęzi po drugiej stronie rzeki. Potrząsał szkarłatnym łebkiem, patrzył w dół i wydawał skrzeczący dźwięk, który ostrzegał: „Uwaga! Widzę kota-mordercę”.

Elsa usłyszała jego głos, a ponieważ ona także znała dziką Afrykę, zrozumiała, co mówił. Ścisnęła krótko dłoń Shasy, po czym powoli podniosła strzelbę do ramienia. Napięcie w kryjówce było niemal wyczuwalne. Lampart pojawił się bezszelestnie jak cętkowany złoty cień.

Oboje byli doświadczonymi myśliwymi, więc żadne z nich się nie poruszyło, mrugali tylko oczami i wpatrywali się przed siebie przy gasnącym świetle dnia. Wstrzymywali oddech, a serca biły im przyspieszonym rytmem.

Zmierzch zapadał coraz bardziej, gdy lampart obchodził drzewo z przynętą. Shasa wyobrażał sobie, jak kroczy ostrożnie, podnosi łapę i zastyga, po czym stawiają z powrotem miękko, a jego żółte oczy ciągle są w ruchu, jak strzyże okrągłymi uszami z czarnymi koniuszkami, by pochwycić najłżejszy odgłos niebezpieczeństwa.

Zarysy drzewa rozmywały się, a wiszące na łańcuchu mięso antylopy stało się bezkształtną masą. Prześwitujące ponad gałęzią niebo straciło blask i zmieniło kolor na grafitowy, a mimo to lampart ciągle krążył w ciemnej gęstwinie.

Resztki światła znikwały, noc zapadła nagle, a potem znienacka lampart znalazł się na drzewie. Nie rozległ się żaden dźwięk ani ostrzeżenie. Szybkość tego ruchu była niezwykła.

Zwierzę stało na gałęzi, ale było tylko ciemniejszą plamą w ciemności i nawet kiedy Elsa przyłożyła policzek do wypolerowanej kolby z drewna orzechowego, ciemność pozostała nieprzenikniona, a cień lamparta pochłonęła noc. Shasa bardziej poczuł, niż zobaczył, że Elsa opuściła strzelbę. Wypatrywał przez otwór, ale niczego nie mógł dostrzec, więc odwrócił głowę i przysunął usta do ucha Elsy.

– Musimy poczekać do rana – szepnął ledwo dosłyszalnie, a ona dotknęła jego policzka na znak, że się zgadza.

W ciemności usłyszeli, jak uderzyły o siebie ogniwa łańcucha. Shasa wyobraził sobie, jak lampart kładzie się brzuchem na gałęzi i sięga w dół przednią łapą, by zahaczyć nią o padlinę i wciągnąć na górę, a potem trzymając ją w dwóch łapach, wachać gnijące mięso, wbijać zęby w jamę brzuszną, dosięgnąć płuc, wątroby i serca.

W ciszy usłyszeli rozdzierający dźwięk kłów, zatapiających się w miękkiej masie, trzask żeber, pęknięcie mokrej skóry, gdy drapieżnik rozpoczął żer.

Noc była długa, a Shasa nie mógł zasnąć. Jako myśliwy musiał baczenie pilnować każdego ruchu zwierzęcia. Po kilku godzinach głowa Elsy opadła na jego ramię. Ostrożnie objął ją i otuliwszy dokładnie śpiworem, trzymał blisko siebie.

Spała spokojnie, jak zmęczone dziecko, a lekki oddech ogrzewał mu policzek. Siedział bez ruchu, ponieważ nie chciał jej przeszkadzać i był szczęśliwy mimo tak niewygodnej pozycji.

Lampart jadł z przerwami, łańcuch dzwonił, a kości trzeszczały mu w szczękach. Potem następowały długie okresy ciszy, kiedy Shasa bał się, że kot odszedł, lecz po pewnym czasie dźwięki te rozległy się na nowo.

Oczywiście, mógł po prostu włączyć silną latarkę i oświetlić lamparta, by Elsa mogła do niego strzelić. Prawdopodobnie usiadłby zaskoczony, mrugając żółtymi oczami. Taki pomysł nie przyszedł mu nawet do głowy i byłby bardzo rozczarowany, gdyby jej spodobała się taka nieuczciwa taktyka.

Właściwie Shasa nie lubił polowania na koty z użyciem przynęty. On sam nigdy nie zabił zwierzęcia w takich okolicznościach. Chociaż w Rodezji było to całkowicie zgodne z prawem, jego własna etyka nigdy nie pozwoliłaby na wabienie zwierząt na z góry upatrzone pozycje, dzięki czemu stanowiły one łatwy cel dla ukrytych doświadczonych strzelców.

Każdego lwa i lamparta, którego zabił, najpierw długo tropił, często w najgęstszym poszyciu, a zwierzę zawsze było ostrzeżone i świadome jego obecności. Dlatego przeżył sto porażek i zaledwie kilkanaście zwycięstw w swojej karierze myśliwego, ale każde zwycięstwo dowodziło jego kunsztu i było wspomnieniem na całe życie.

Nie pogardzał Elszą ani innymi klientami, którzy polowali przy użyciu przynęty. Nie byli Afrykanami i w przeciwieństwie do niego spędzali na weldzie tylko kilka krótkich dni. Ten przywilej kosztował ich ogromne pieniądze, z których sporą część przeznaczano na opiekę nad gatunkami, na które polowali. Dlatego mieli prawo do zajmowania najdogodniejszych stanowisk do strzelania. Nie gniewał się na nich, po prostu on postępował inaczej.

Kiedy tak siedział przy Elsie w ciemnej kryjówce, zdał sobie nagle sprawę z tego, że dla niego polowania na koty skończyły się już na zawsze. Jak wielu myśliwych, czuł przesyt krwi. Nadal uwielbiał wszystko to, co wiązało się z polowaniem, może nawet bardziej niż kiedykolwiek przedtem, ale miał już dosyć. Zabił swego ostatniego słonia, lwa i lamparta. Na myśl o tym zrobiło mu się przyjemnie i jednocześnie smutno, ogarnęła go słodka melancholia, która doskonale łączyła się z nowym uczuciem, wywołanym przez siedzącą obok niego uroczą kobietę. Pomyślał o tym, że w przyszłości będzie znajdował przyjemność w uczestniczeniu w jej polowaniach, tak jak teraz. Z rozkoszą marzył o podróżowaniu z nią po całym świecie: do Rosji na owce Marco Polo, do Kanady na niedźwiedzie polarne, do Brazylii na cętkowane jaguary i do Tanzanii na bawoły, których poroże miało rozpiętość ponad pięćdziesięciu cali. Te rozmyślenia wypełniły mu całą noc..

Potem odezwała się para rudzików, ukryta w poszyciu nad rzeką. Ich chór brzmiał jak melodyjne błaganie „Nie rób tego! Nie rób tego!”, powtarzane wkoło, najpierw cicho, aż w końcu wzniosło się do pełnego uczucia crescendo.

Słyszając tego nieomylnego zwiastuna świtu, Shasa spojrział w górę i zobaczył najwyższe gałęzie drzewa hebanowego na tle rozjaśniającego się nieba.

Za piętnaście minut światło byłoby odpowiednie do strzelania. Dzień w Afryce rozpoczyna się szybko.

Dotknął policzka Elsy, żeby ją obudzić. Natychmiast przytuliła się do niego. Zrozumiał, że od jakiegoś czasu musiała tylko udawać, że śpi. Obudziła się tak, że nie zauważył tego. Potem leżała przy nim, smakując ich poufały kontakt tak samo jak on.

– Czy lampart jeszcze tu jest? – zapytała szeptem i poczuł przy swoim uchu jej oddech.

– Nie wiem – odpowiedział równie cicho. Minęły już dwie godziny, odkąd słyszał go po raz ostatni. Może już odszedł. – Niech pani będzie gotowa – poradził jej.

Wyprostowała się i nachyliła ku otworowi, w którym tkwiła jej strzelba.

Światło było coraz silniejsze. Poprzez listowie drzewa hebanowego ledwo było widać gałąź z przynętą. Shasa zmrużył oczy i wpatrywał się w to miejsce, aż wreszcie dostrzegł, że była pusta i poczuł rozczarowanie. Lampart odszedł.

Już miał powiedzieć o tym Elsie, lecz powstrzymał się i wpatrzył jeszcze mocniej, czując podniecenie. Zarys gałęzi był nieco wyraźniejszy, ale dziwnie zgrubiał i zniekształcony.

Po chwili dostrzegł mięso antylopy. W większości było już zżarte, ale coś jeszcze zwisało z gałęzi – długa, podobna do węży wstęga. Nie wiedział, co to jest, dopóki nie zawinęło się i poruszyło leniwie; wtedy zrozumiał.

„Ogon, ogon lamparta!” – przeszło mu przez myśl i wszystko ułożyło się jak w puzzlach.

Kot wciąż jeszcze był na gałęzi. Leżał płasko, z wyciągniętą szyją. Mordę oparł na łapie. Ilość mięsa, którą zjadł, rozleniwiła go, sprawiła, że nie chciało mu się zejść.

Poruszał tylko ogonem.

Shasa poczuł, że Elsa znieruchomiała – ona także rozpoznała kształt zwierzęcia. Wyciągnął rękę, by ją delikatnie powstrzymać. Światło było jeszcze zbyt słabe; musieli poczekać. Gdy dotknął jej ramienia, poczuł, jak bardzo była spięta. Drżała jak struny skrzypiec, których lekko dotknął smyczek.

Dzień rozpoczął się już na dobre. Kształt lamparta rysował się już bardzo wyraźnie. Jego złota skóra była usiana czarnymi rozetami. Ogon uderzał jak metronom ustawiony na najmniejszą częstotliwość. Podniósł nieco łeb i poruszył uszami. Światło błysnęło w jego żółtych oczach jak odległa błyskawica. Spojrzał w ich stronę i zamrugał oczami z królewską ociężałością. Był tak piękny, że Shasa poczuł, iż brak mu tchu w piersiach.

Nadszedł czas, by oddać strzał. Dotknął delikatnie i rozkazująco ramienia Elsy. Przyłożyła oko do teleskopowego celownika broni. Shasa przygotował się do strzału i wpatrzył w lamparta, pragnąc, by kula przeszła mu łeb i mając nadzieję, że spadnie bez życia z gałęzi.

Sekundy dłużyły się, każda zdawała się trwać wieczność. Strzał nie padał.

Lampart podniósł się i stał wyprostowany. Po chwili wyprężył się, mocno wyginając grzbiet i wpijając wysunięte pazury w korę.

– Teraz – polecił Shasa cichym głosem. – Strzelaj teraz!

Kot ziewnął. Wywiesił żółty jęzor.

„Teraz!” – Shasa próbował zmusić ją telepatycznie do oddania strzału. Nie ośmielił się powtórzyć polecenia za pomocą słów lub dotyku, obawiając się, że zdekoncentruje ją w momencie naciskania spustu.

Lampart wyprostował się i machnął ogonem nad grzbietem, potem bez żadnego ostrzeżenia zeskoczył na miękką ściółkę leśną dwadzieścia stóp poniżej gałęzi. Zrobił to tak pewnie i z taką gracją, że gdy stykał się z ziemią, nie było słyhać żadnego dźwięku. Poszycie skryło go natychmiast.

Przez prawie minutę siedzieli w całkowitej ciszy. W końcu Elsa zabezpieczyła ze szczękiem broń i odwróciła głowę.

W świetle poranka łzy lśniły jak drobne perły na jej długich rzęsach.

– Był taki piękny – szepnęła. – Nie mogłam go zabić, nie dzisiaj, nie w taki dzień.

Zrozumiał ją natychmiast. To był ich dzień, ich pierwszy wspólny dzień jako kochanków. Nie chciała go sprofanować.

– Ofiarowuję ci tego lamparta – powiedziała.

– Zbyt wielki to dla mnie zaszczyt – odpowiedział i pocałował ją. Objęli się niewinnie, prawie jak dzieci; nie było w tym żadnej namiętności. To, co było między nimi, dotyczyło raczej dusz niż ciał. Na to przyjdzie czas później, mieli przed sobą całe życie, nie należało o tym myśleć tego błogostawionego dnia.

Atak malarii w cudowny sposób minął. Sean stał przed bramą obozu i czekał zadowolony na powracających myśliwych. Renoma firmy zajmującej się organizowaniem safari zależała od tego, jakie trofea zapewniało ono swoim klientom, zwłaszcza tym najważniejszym.

Kiedy toyota zatrzymała się, zajrzał z nadzieją na tył samochodu i na jego twarzy odmalowało się rozczarowanie. Rozmawiał najpierw z Matatu, a niski tropiciel z plemienia Ndorobo pokręcił ze smutkiem głową.

– Diabeł przyszedł późno i odszedł wcześniej.

– Przykro mi, signora – powiedział Sean pomagając Elsie wysiąść z ciężarówki.

– Tak bywa na polowaniu – mruknęła. Nigdy nie widział u niej takiego filozoficznego nastawienia. Zwykle była zła i rozdrażniona, gdy poniosła porażkę, podobnie jak on.

– Pysznic czeka na panią. Gorący, jak pani lubi. Śniadanie będzie podane, gdy

tylko się pani umyje.

Kiedy Shasa i Elsa ukazali się w jadalni, wykapani i przebrani w świeżo uprane i wyprasowane ubrania khaki, reszta towarzystwa złożyła im szczerze wyrazy współczucia. Shasa ogolił się i pachniał wodą kolońską.

– Pech, ojciec. Tak mi przykro, signora – mówili chórem i dziwili się, że wyglądają na zadowolonych i że rzucili się na śniadanie z taką werwą, jakby ustrzelili największego na świecie lamparta.

– Możemy spotkać się znowu zaraz po śniadaniu – zaproponował Garry przy kawie.

– A ja jeszcze rankiem założę nowe przynęty – włączył się Sean. – Matatu twierdzi, że lampart nie wystraszył się niczego. Dziś wieczorem możemy spróbować jeszcze raz. Tym razem ja będę z panią polował, signora. Do tego potrzeba mistrza.

Zamiast natychmiast przyjąć ofertę, Elsa rzuciła spojrzenie na Shasę i spuściła skromnie oczy na filiżankę kawy.

– Cóż, właściwie – zaczął Shasa – prawdę mówiąc, myśleliśmy, to znaczy Elsa i ja, raczej signora Pignatelli i ja...

Kiedy Shasa plątał się w słowach, jego potomstwo wpatrywało się w niego z największym zdumieniem. Czy to był mistrz savoirfaire'ul Czy tak mówił ten wzór opanowania?

– Wasz ojciec obiecał pokazać mi Wodospady Wiktorii – przysłała mu z pomocą Elsa, a Shasa odetchnął z ulgą.

– Weźmiemy beechcrafta – przytaknął skwapliwie. – Signora Pignatelli nigdy nie widziała wodospadów. To chyba jest dobra okazja. Pozostali członkowie rodziny ochłonęli równie szybko co Shasa.

– To wspaniały pomysł! – zawołała Isabella z entuzjazmem. – To naprawdę niepowtarzalny widok, signora. Będzie pani zachwycona.

– To tylko godzina lotu stąd – skinął głową Garry. – Możecie zjeść lunch w hotelu „Vic Falls”, a na herbatę wróćcie do obozu.

– I będziecie mogli pójść do kryjówki lamparta o czwartej po południu – zgodził się Sean.

Elsa znowu spojrzała na Shasę, który wziął głęboki oddech.

– Właściwie moglibyśmy zostać tam dzień czy dwa. Powoli na młodych twarzach zaczęły malować się różne stopnie zrozumienia sytuacji.

– Rzeczywiście. Będziecie potrzebowali więcej czasu. – Isabella pierwsza się zorientowała. – Na pewno zechcecie pochodzić po lesie tropikalnym, popłyniecie też tratwą przez przełom poniżej wodospadów.

– Bella ma rację; będziecie potrzebowali trzech, czterech dni. Tyle tam ciekawych rzeczy do zobaczenia.

– To, mój drogi Garry, oznacza przynajmniej tydzień – powiedział przeciągając słowa Sean, a Garry i Isabella spojrzeli na niego z wściekłością.

\*

W chłodnym powietrzu, nie zanieczyszczonym jeszcze dymem palących się pod koniec zimy lasów, chmura rozpylonych kropelek nad Wodospadami Wiktorii była widoczna z odległości sześćdziesięciu mil. Wznosiła się na dwa tysiące metrów i wyglądała jak srebrna góra, błyszcząca niczym śnieżna turnia.

Shasa zmniejszył wysokość, kiedy zbliżali się do niej. Przed nimi znajdowała się wielka Zambezi, pobłyskująca w słońcu, szeroka i cicha, usiana wyspami, które porastały lasy wspaniałych palm, wystawiających swe białe pnie jak żyrafy szyje.

Potem otworzyła się pod nimi największa dolina i patrzyli z zachwytem w dół na

ogromną rzekę, szeroką na ponad milę, która spadała ze stromej krawędzi w przepaść i płynęła trzysta pięćdziesiąt stóp mieszaniną spienionej wody i chmury kropelek. Wzdłuż krawędzi przepaści ciągnęły się czarne wieże skalne, które rozbiły przelewającą się przez nie wodę. Nad tym wszystkim unosił się wilgotny pył, świecący w słońcu barwami tęczy.

Poniżej wodospadów cała ta masa wody, około trzydziestu ośmiu tysięcy stóp sześciennych na minutę, pochwycona była w potrzask skalnych urwisk i atakując wściekle przeszkodę, wpadała w wąskie gardło doliny.

Shasa skręcił ostro w prawo i ustawił samolot tak, aby Elsa mogła podziwiać widoki bez przeszkód. Obniżył lot jeszcze bardziej, aż zaczęło im grozić pochłonięcie przez wspaniały chaos skał i wody. Srebrzysty słup kropelek uderzył w kokpit, oślepiając ich na moment, zanim ponownie zerwali się do lotu ku słońcu.

Shasa wylądował na małym prywatnym lotnisku Sprayview w pobliżu wioski i pokołował na bok. Wyłączył silniki i obrócił się do Elsy. W jej oczach malował się zachwyt graniczący z uniesieniem religijnym.

– Modliłaś się właśnie w afrykańskiej katedrze – powiedział Shasa cicho. – W jedynym miejscu, które rzeczywiście zawiera w sobie cały majestat, tajemniczość i dzikość tego kontynentu.

\*

Mieli szczęście, że apartament Livingstone’a w hotelu był wolny.

Wielkością i stylem budynek ten należał do minionej epoki. Mury były grube, a pokoje ogromne, chłodne i wygodne.

Ściany apartamentu zdobiły kopie rysunków, wykonanych przez wielkiego odkrywcę, Thomasa Bainesa, który uwiecznił wodospady na swoich pracach kilka lat po tym, jak odkrył je David Livingstone. Z okna w pokoju dziennym widzieli dolinę i przerzucony przez nią most kolejowy. Stal, z której był wykonany łuk mostu, wyglądała jak delikatna koronka, a cała konstrukcja – lekka i pełna wdzięku – przypominała skrzydło lecącego orła.

Zeszli ku krawędzi doliny i ruszyli, trzymając się za ręce, przez las tropikalny, na który rozprysnięta woda spadała wiecznym deszczem nawilżającym ziemię. Roślinność była zielona i obfita. Kamienie pod ich stopami drżały, a powietrze wypełniał huk wodospadu. Ubrania im przemokły, po włosach i twarzach płynęła woda, lecz oni śmiali się z radości.

Poszli skrajem doliny w dół, jak najdalej od chmury pyłu wodnego. Silne promienie słońca wysuszyły ich włosy i ubrania prawie tak szybko, jak deszcz je zmoczył. Znaleźli żerdź na samym skraju i usiedli obok siebie, machając nogami nad przerażającą przepaścią, podczas gdy głęboko pod nimi oszalałe wody pieniały się, zmieniając w zielone wiry.

– Spójrz! – zawołał Shasa, pokazując jej lecącego nad nimi drapieżnego ptaka, który pojawił się w blasku słońca i rzucił się z rozpostartymi skrzydłami, przypominającymi ostrza noży, na stado czarnych jerzyków, które wirowało nad frontową ścianą urwiska poniżej miejsca, gdzie siedzieli.

– To jastrząb taita! – zawołał w uniesieniu Shasa. – Jeden z najrzadszych ptaków w Afryce.

Jastrząb zaatakował jednego z jerzyków w locie i zabił go natychmiast, wzbijając kupkę pierza. Potem, wciąż nie wypuszczając zdobyczy z dzioba, zwolnił i zniknął w ciemności pod ich stopami.

Tego wieczora zjedli steki z ogona krokodyla, które smakowały jak homary. Kiedy weszli na górę do swego apartamentu, oboje stali się nieśmiali i

podenerwowani. Shasa wypił koniak w pokoju dziennym. Gdy w końcu przeszedł do sypialni, Elsa leżała już, wsparta na poduszkach. Włosy opadające na koronkową koszulę nocną były grube, czarne i lśniące.

Shasa wpadł w panikę. Nie był już młody i zdarzyły mu się ostatnio jedna czy dwie sytuacje z kobietami, które nadwątlily jego pewność siebie.

Elsa uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego ramiona. Niepotrzebnie się martwił. Uczyniła z niego mężczyznę tak jak jeszcze żadna kobieta. O świcie, kiedy obudzili się w swoich objęciach, promienie słońca wpadały do pokoju przez duże okno.

Kobieta westchnęła, uśmiechnęła się z leniwym, rozmarzonym zadowoleniem i powiedziała:

– Mój mężczyzna. I pocałowała go.

Ich nielegalny miesiąc miodowy przedłużał się ciągle o następny dzień. Robili razem drobne, głupie rzeczy, na które Shasa nigdy dotąd nie miał czasu ani ochoty.

Każdego ranka wstawali późno i przez resztę przedpołudnia próżnowali w strojach kąpielowych na basenie. Czytali godzinami w zgodnym milczeniu, wyciągnięci na słońcu. W przerwach smarowali się nawzajem olejkiem do opalania, wykorzystując tę okazję, by dotykać i badać dokładnie swe ciała.

Elsa była szczupła, skórę miała gładką i opaloną. Jej mięśnie i skóra były nagrodą za nie kończące się godziny spędzone na uprawianiu aerobiku i gimnastyki oraz w salonach piękności. Najwyraźniej była dumna ze swego wyglądu. Shasa przyznał jej rację, porównując ją z innymi kobietami zażywającymi kąpiele słonecznych pod drzewami na zielonych trawnikach.

Życie i urodzenie dzieci pozostawiły na ciele Elsy niewiele śladów. Te, które były widoczne, pociągały Shasę. Była kobietą, dojrzałą i prawdziwą.

Potwierdziły to ich rozmowy. Potrafili spędzać całe godziny na dyskusjach. Toczyły się one leniwie, służyły badaniu umysłów w taki sam sposób, w jaki w podwójnym łóżku na piętrze apartamentu Livingstone'a odkrywali swe ciała. Opowiadała mu o sobie z żarliwą szczerością. Opisywała powolną, okrutną śmierć męża, którego rak zżerał za życia, a ona cierpiała, widząc to i nie mogąc mu pomóc. Mówiła o samotności, która potem nastąpiła i trwała siedem lat. Nie musiała mu wyznawać, że ma nadzieję, iż teraz ten stan minął na zawsze. Po prostu wyciągnęła rękę i dotknęła go, a on wszystko zrozumiał.

Opowiedziała mu o swoich dzieciach: o synu, który również miał na imię Bruno, i o trzech córkach. Dwie z nich już wyszły za mąż, najmłodsza studiowała w Mediolanie, Bruno junior zaś był absolwentem Harvardu i obecnie pracował dla Pignatelli Industries w Rzymie.

– Nie ma w nim tego płomienia, który miał jego ojciec – wyznała szczerze. – Nie myślę, żeby mógł kiedykolwiek zająć jego miejsce; jest dla niego o wiele za wysokie.

Sprawiła, że pomyślał o swoich synach. Mówili o zmartwieniach i rozczarowaniach, których powodem były dzieci, i o rzadkich chwilach radości, którymi czasem ich obdarzały.

Okazało się, że mają wspólne zamiłowania do koni, polowań, muzyki, sztuki, wytworów rzemiosła artystycznego, książek i teatru. Mówili wreszcie o władzy i pieniądzu i szczerze przyznali, że są od tych spraw uzależnieni.

Niczego przed sobą nie ukrywali i w pewnym momencie Elsa spojrzała na niego z powagą.

– Za wcześniej jeszcze, by mieć całkowitą pewność, ale myślę, że będzie nam razem dobrze.

– Ja również w to wierzę – stwierdził z przekonaniem. Było tak, jakby złożyli sobie przysięgę.

Tańczyli w czasie kojących, afrykańskich nocy. Przytulali się do siebie ciepłymi,

brązowymi od słońca policzkami i kołysali się w rytmie wybijanym przez bębny. Wreszcie po północy wchodzili po szerokich schodach, trzymając się za ręce, i kierowali się do swego apartamentu i do dużego, miękkiego łóżka.

– Dobry Boże! – powiedział Shasa naprawdę zaskoczony. – Mamy czwartek, czyli jesteśmy tu już cztery dni. Dzieci będą się zastanawiać, co, u licha, z nami się dzieje.

Siedzieli przy przekąsce na tarasie.

– Sądzę, że się domyślą – stwierdziła Elsa spoglądając znad owocu mango, który obierała dla niego, i uśmiechnęła się. – Nie wydaje mi się, by „dzieci” było odpowiednim określeniem dla tego twojego hałaśliwego potomstwa.

– Van Wyk przyjeżdża jutro do Chizory – zauważył Shasa.

– Wiem – westchnęła. – Nie chcę, by to się skończyło, ale musimy się z nim spotkać.

Sir Clarence Van Wyk był jedną z tych niezwykłych postaci, które pojawiają się czasami w procesie ewolucji Afryki.

Był to Afrykaner z dziada pradiada. Jego ojciec był sędzią Sądu Najwyższego Afryki Południowej, kiedy była ona jeszcze częścią Imperium Brytyjskiego, a swój dziedziczny tytuł otrzymał, gdy obywatelom RPA wolno jeszcze było go przyjmować.

Sir Clarence studiował w Eton i Sandhurst, był oficerem słynnego pułku Gwardii i dziedzicem rozległych posiadłości rodzinnych na Przylądku Dobrej Nadziei. Był również ministrem w rządzie Iana Smifha, odpowiadającym przede wszystkim za wspieranie przynoszącej ogromne straty wojny domowej w Rodezji i omijanie licznych obowiązujących sankcji, które labourzystowski rząd Wielkiej Brytanii, Stany Zjednoczone i Organizacja Narodów Zjednoczonych nałożyły na każdego, kto naruszał jednostronnie ogłoszoną niepodległość tego kraju.

Garry i Shasa zorganizowali to spotkanie, kiedy zatrzymali się w Salisbury w drodze do Chizory. Sir Clarence był zapalonym myśliwym i obiecali mu nieco rozrywki w przerwach pomiędzy dyskusjami.

Sir Clarence przyleciał do Chizory helikopterem rodezyjskich sił zbrojnych. Miał ze sobą dwóch asystentów i dwóch ochroniarzy. Taka liczba gości byłaby ciężarem dla obozu, ponieważ personel i wszelkie urządzenia były przeznaczone do obsługi znacznie mniejszej liczby osób. Sean został jednak o tym wcześniej powiadomiony i otrzymał dodatkowy sprzęt, ludzi i zapasy, które przesłano mu z Salisbury ciężarówkami.

Stojący pod drzewem stół konferencyjny został wydłużony, dostawiono do niego dodatkowe krzesła dla sir Clarence'a i osób mu towarzyszących. Isabella przyłączyła się do nich jako osobista asystentka swego ojca. Od samego początku gość nawet nie próbował ukryć swego zainteresowania jej osobą.

Sir Clarence miał prawie dwa metry wzrostu i górował nawet nad Shasą i Seanem. Był mężczyzną robiącym niezwykle wrażenie; jego akcent, znamionujący wyższe klasy Anglii, i klasyczne rysy zadawały kłam afrykanerskiemu pochodzeniu. Biznes i polityka były jego domenami, słynął również jako kobieciarz.

Pod rozłożystym drzewem mówili o marketingu i transporcie dóbr narodowych, o zamówieniach i opłatach przewozowych, które należało uiszczać.

W Rodezji nie produkowano specjalnie skomplikowanych pod względem technologii towarów, co znacznie uprościło problemy, o których dyskutowali.

W niewielkich kopalniach kwarcu zaczęto wydobywać znaczne ilości złota. Nie rozmawiali teraz o tym, ponieważ złoto było anonimowe. Nie nosiło znaku „Made in Rhodesia”, a charakteryzujący je wysoki stosunek wartości do masy sprawiał, że łatwo było je transportować i nim dysponować.



Inaczej rzecz się miała z pozostałymi ważnymi towarami, produkowanymi w tym kraju: tytoniem i rzadkimi metalami, głównie chromem. Należało je transportować w dużych ilościach ukrywając nazwę kraju, z którego pochodziły, a następnie dostarczać na rynki całego świata.

Z Rodezji bieły linie kolejowe do portów w Durbanie i Kapsztadzie w Republice Południowej Afryki. Była to zwyczajowa marszruta cennych towarów. Od lat, od czasów rządu Smitha, Courtney Enterprises kierowane przez Garry'ego Courtneya odgrywało znaczącą rolę w udzielaniu Rodezji pomocy w obchodzeniu nakładanych na nią sankcji.

Teraz zajęli się nową, ambitną strategią. Po dokładnym zbadaniu koncernu Pignatelli, Sean i sir Clarence przedłożyli Elsie Pignatelli korzystną ofertę uczestnictwa w tej ukierunkowanej przeciwko sankcjom działalności.

Pignatelli Industries było właścicielem drugiej co do wielkości po British American Tobacco Company firmy w Europie, produkującej wyroby tytoniowe. Co więcej, w posiadaniu koncernu był kontrolny pakiet akcji Winnipeg Mining z Kanady; ponadto należała do niego również huta produkująca wysokiej jakości stal oraz rafineria wanadu w południowych Włoszech w okolicach Toranto.

To dla Rodezji oznaczało zdobycie rynków zbytu na swoje towary, ale sprawa była otwarta.

Mimo że wszystko odbywało się w pozornie miłej i przyjaznej atmosferze, uczestnikami dyskusji byli sprytni i bezlitośni finansowi drapieżnicy, biorący udział w ostrym współzawodnictwie umysłów i woli. Isabella przyglądała im się z trwogą. Jej brat zachowywał się rubasznie, prawie niezgrabnie, pod swoim szczerym spojrzeniem krótkowidza i serdecznym śmiechem ukrywając zimne wyrachowanie.

Elsa Pignatelli, pewna siebie i piękna, bezwstydnie wykorzystywała swoją aparycję i urok, używała damskiego rapiera przeciwko kordom mężczyzn. Dopasowała się do nich i sprostowała im bez trudu.

Sir Clarence był pełen kurtuazji. Nie rezygnował łatwo, jak przystało gwardziście, i kazał im drogo płacić za każdy cal ziemi, z którego musiał się wycofać. Następnie kontratakował w doskonale obliczonym momencie.

Shasa usiadł z dala od nich przy końcu stołu i pozostawił obowiązek targowania się na barkach Garry'ego. Ale kiedy się odzywał, jego wypowiedzi były lapidarne i celne, często pomagały im wyjść z impasu i osiągnąć korzystny dla wszystkich kompromis.

Sumy, o jakich mówili, były oszałamiające. Sporządzając protokół, Isabella zabawiła się obliczaniem dwóch i pół procent z trzech miliardów dolarów. Tyle wynosiłby udział w łupach Courtney Enterprises tylko w ciągu najbliższych dwunastu miesięcy, wszystko to uzyskaliby bez dodatkowych inwestycji. Kiedy usłyszała sumę, na jaką się zgodzili, spojrzła na brata z szacunkiem.

W południe konferencję przerwano, aby zjeść wyszukany lunch. Sir Clarence przywiózł ze sobą helikopterem wyborną krzyżówkę wołową z Rodezji. Sean i jego szef kuchni piekli ją przez cały ranek na ruszcie nad płonącymi kawałkami węgla drzewnego, aż uzyskała złotobrazową barwę. Uczestnicy konferencji przepłukali sobie podniebienia kieliszkiem dom perignon przyglądając się, jak Sean kraje pieczone na różowe plastry, a sok spływa spod ostrza noża.

Podczas posiłku sir Clarence wykazał w próbach odseparowania Isabelli od stada i wypalenia na jej skórze swego znaku taką samą zręczność i finezję jak przy stole konferencyjnym.

Isabelli pochlebiało jego zainteresowanie i stanowiło dla niej pewną pokusę. Był to wyjątkowy mężczyzna, przewodnik stada. Władza jest cudownym afrodyzjakiem, którego działaniu nie oprze się żadna kobieta. W dodatku był taki wysoki i miał

grube, ciemne, kręcone włosy, tylko na skroniach lekko przyprószone siwizną. Podobały się jej jego oczy i bawiły opowiadane przez niego dowcipy.

Uśmiechała się, słysząc jego uwagi sir Clarence'a. Rzuciła okiem na jego stopy i stwierdziła, że nosi chyba czternasty numer obuwia. Uśmiechnęła się w zamyśleniu. Być może się myliła, ale pewna możliwość ją intrygowała.

Niemal słyszała naganę Nanny.

„Wszyscy Courtneyowie mają gorącą krew. Musisz być ostrożna, panienko, i pamiętać, że jesteś damą”.

Wiedziała, że miał żonę, ale tak dawno już męskie ciało nie przynosiło jej zadowolenia, a on był taki duży i silny. Być może, jeśli sir Clarence zachowa wymaganą klasę i wytrwałość, to wtedy, być może – tylko być może, wyłącznie być może – warto będzie dać mu szansę.

Po lunchu powrócili do rozmów. Isabelli wydawało się, że dom perignon pobudził raczej, a nie przytępił ich władze umysłowe.

O czwartej po południu Garry spojrzał na zegarek.

– Jeśli mamy zdążyć na gołębie, to proponuję odłożyć dyskusję do jutra rana.

Pojechali obydwoma ciężarówkami nad stawy, by strzelać do gołębi odlatujących stamtąd pod wieczór.

Sir Clarence postarał się zająć miejsce obok Isabelli w pierwszym samochodzie. Ale w ostatniej chwili, kiedy mieli już ruszać, zeskoczyła z ciężarówki i pobiegła do drugiego samochodu, by usiąść koło Garry'ego. Nie chciała, żeby sir C. osiągnął wszystko bez trudu. Wyczuła, że z równą przyjemnością tropił zwierzynę, jak ją zamieniał w swoje trofeum. Garry był w radosnym nastroju. Prowadząc samochód, objął ją ramieniem i przycisnął.

– Boże! Uwielbiam to! – wykrzyknął. – Uwielbiam Harolda Wilsona, Jamesa Callaghana i wszystkich tych samolubnych świętoszków ze Zgromadzenia Ogólnego NZ. Uwielbiam łamać zakazy. To takie ekscytujące i romantyczne. Czuję się jak Al Capone albo Kapitan Blood. Jo, ho! ho! i butelka rumu! Czuję się patriotą i mogę głosić poglądy polityczne, jednocześnie dostając do ręki siedemdziesiąt pięć milionów funtów we wspaniałej twardej walucie, których urząd podatkowy nigdy nie zobaczy. Cudownie. Kocham wszystkich, którzy nakładają sankcje i zakazy.

– Jesteś niepoprawny – śmiała się z niego. – Czy twój apetyt na bogactwo nigdy się nie skończy? Opanował się i cofnął rękę.

– Myślisz, że jestem chciwcem? – zapytał. – To nie o to chodzi, Bellu. Prawda jest taka, że jestem graczem, który bierze udział w wielkiej grze. Nie gram dla nagrody pieniężnej, gram dla dreszczyka emocji. Zbyt długo w życiu byłem przegrany. Teraz muszę być zwycięzcą.

– Czy tylko o to w tym chodzi? – teraz także ona spoważniała. – Ryzykujesz dobrobyt i pomyślność milionów zwykłych ludzi, by zaspokoić swoje ego.

– Kiedy ja wygram, wygrają też ci zwykli ludzie. Decydenci chcą obarczyć głodem i cierpieniem miliony zwykłych ludzi, by zrealizować swoje partykularne polityczne wizje. To, według mnie, zbrodnia przeciw ludzkości. Kiedy udaremniam ich plany, zadaję silny cios w imieniu zwykłych ludzi.

– Och, Garry, nie jesteś błędnym rycerzem, więc nie udawaj, proszę.

– Ależ tak, jestem – nie zgodził się z nią. – Jestem jednym z błędnych rycerzy kapitalizmu. Nie rozumiesz tego? Jedynym rozwiązaniem problemów Afryki Południowej jest edukacja i podniesienie poziomu życia społeczeństwa, szczególnie Murzynów, i tworzenie bogactwa. Musimy dążyć do budowy społeczeństwa opartego nie na podziałach ze względu na klasę społeczną, kastę, rasę czy wyznanie, lecz takiego, w którym na pierwszym miejscu będzie wartość człowieka, jego zdolności. Społeczeństwa, w którym każdy będzie mógł dawać z siebie tyle, ile zechce i być

wynagradzany proporcjonalnie do swojego wysiłku, czyli tak jak to jest w systemie kapitalistycznym.

– Garry, nigdy nie słyszałam, żebyś tak mówił, jak liberał.

– Nie Liberał, lecz kapitalista. Apartheid to prymitywny, feudalny ustrój. Jako kapitalista czuję do niego odrazę taką samą, a może większą, niż ci, którzy nakładają sankcje. Kapitalizm zniszczył feudalizm w średniowiecznej Europie. Kapitalizm nie może współistnieć z systemem zapewniającym dostęp do władzy i przywilejów tylko mniejszości, której członkiem zostaje się z urodzenia, z systemem, który sprzeciwia się regułom wolnego rynku. Kapitalizm zniszczy apartheid, jeśli mu się na to pozwoli. Zwolennicy sankcji gospodarczych będą zaprzeczać i powstrzymywać ten proces. Oni mają dobrą wolę, ale są w błędzie i swymi poczynaniami tylko wzmacniają apartheid, działając na korzyść przeciwników.

Patrzyła na niego zdumiona.

– Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób.

– Nędza wiedzie do represji. Łatwo jest ciemzyć biednych. Prawie niemożliwe jest uciskanie wykształconego, bogatego narodu przez dłuższy czas!

– Więc według ciebie droga do wolności wiedzie raczej przez ekonomię niż politykę?

– Właśnie tak – skinął głową Garry i wybuchnął głośnym śmiechem. – A ja dam dobry, kapitalistyczny przykład, zarabiając siedemdziesiąt pięć milionów funtów rocznie dzięki udziałowi w tym procesie.

Nacisnął hamulec i zjechał z drogi, kierując się za jadącą ku stawom toyotą, którą prowadził Sean.

Jechali przez płytkie depresje, znane w Afryce jako „pany”, które wypełniała błotnista, szara woda. Słońce grzało, czuli ostrą woń moczu słońi, których stada tutaj się kąpały i piły wodę. Pomimo temperatury i zapachu stada gołębi wolały te stawy od czystej, rwącej rzeki, odległej tylko o dwie mile. Ptaki nadleciały godzinę przed zachodem słońca stadami, które wyglądały w powietrzu jak niebiesko szary dym.

Sean ustawił strzelby na linii ich lotu w odległości pięciuset czy sześciuset metrów od wody. Nie chciał przeszkodzić im w zaspokojeniu pragnienia, zmusił je natomiast, by przeleciały pod ostrzałem. Sprawą honoru było, żeby z każdej strzelby ustrzelić najwyżej pięćdziesiąt ptaków dziennie i to wyłącznie te, które najtrudniej było dosięgnąć, które leciały szybko i wysoko.

Strzelby umieszczono parami. Nie tylko dla towarzystwa, lecz również po to, by się nawzajem pilnować i przestrzegać reguł fair play i aby ktoś mógł docenić i pochwalić każde ładne zestrzelenie pary, czy precyzyjnie oddany strzał w błękitny sznur przelatujący sto stóp nad nimi z prędkością siedemdziesięciu mil na godzinę.

Elsa zajęła miejsce z Shasą, co było zupełnie zrozumiałe. Ich okrzyki „Bello! Molto bello!” oraz „Świetny strzał! Dobra robota!”, którymi zagrzewali się nawzajem, rozlegały się wśród drzew.

Garry i Sean znaleźli się po zachodniej stronie depresji. Celowo zajęli miejsce za stertą belek, tak że ptaki musiały lecieć nad nimi wysoko, pojawiać się w ich polu widzenia i przelatywać nad wierzchołkami drzew nieoczekiwanie. Żeby je trafić, należało wykazać się błyskawicznym refleksem i instynktownie przewidywać tor ich lotu.

Sean nie trafił w jednego ptaka, strzelił dwie czy trzy stopy za nim. Garry obrócił się ze strzelbą przyłożoną do ramienia i zestrzelił uciekającego gołębia, który spadł w dół ciągnąc za sobą długi sznur piór. Spojrzał na brata wesoło przez okulary i wybuchnął śmiechem. Sean odrzucił do tyłu włosy i próbował go zignorować, ale twarz pociemniała mu z wściekłości. Isabella i sir Clarence znajdowali się po lewej stronie, na południowym krańcu doliny, poza zasięgiem wzroku reszty kompanii. Ona

używała grawerowanej złotem, dwudziestomilimetrowej broni marki Holland & Holland, którą dostała od ojca. Ale nie miała jej w ręku prawie przez rok i ten brak praktyki dał się zauważyć. Spudłowała do trzech pierwszych ptaków, potem drasnęła jednego.

– Cholera! Niech to cholera! – krzyknęła ze złością, ponieważ nie znosiła ranienia ptaków.

Sir Clarence trafił bezbłędnie parę, po czym oparł strzelbę o pień drzewa i podszedł do Isabelli.

– Czy mógłbym udzielić ci kilku wskazówek? – zapytał.

Kiedy uśmiechnęła się do niego przez ramię, zbliżył się i stanął za nią.

– Pozwalasz, by twoja prawa ręka dominowała nad strzelbą. – Objął ją ramieniem i wziął jej dłonie w swoje ogromne garście. – Pamiętaj, najważniejsza jest lewa ręka. Prawa ma tylko pociągać za spust. – Przyłożył broń do jej ramienia i dla podkreślenia swego wywodu uściśnił jej rękę. – Głowa do góry – powiedział. – Prawe i lewe oko otwarte. Patrz na ptaka, nie na strzelbę.

Czuła jego zapach, płyn po goleniu niezupełnie zabijał odór męskiego potu. Jego objęcie bardzo jej odpowiadało.

– Czy tak? – spytała.

Wygięła się lekko do tyłu uciskając go swymi twardymi, okrągłymi pośladkami, kiedy składała się do strzału.

– Doskonale – w jego głosie zabrzmiała jakaś nowa nuta. – Dokładnie tak jak trzeba.

„Dobry Boże! – Isabella używała charakterystycznych dla Nany wykrzykników. – On cały ma rozmiar czternaście”. Z trudem powstrzymała się, by nie zacząć chichotać jak pensjonarka.

Sir Clarence’owi coraz bardziej podobała się rola nauczyciela, lecz Isabella powiedziała sobie stanowczo: wystarczy, nie można go zepsuć, i delikatnie oswobodziła się z objęcia mężczyzny.

– Pozwól, że sama spróbuję – rzekła i trafiła następnego ptaka tak czysto, że nawet nie zdołał poruszyć skrzydłami.

– Masz to we krwi – mruknął, kiedy odwróciła głowę, by ukryć uśmiech z powodu tej dwuznaczności. – Z tego, co mówił mi twój brat, wnoszę, że jesteś równie dobrym jeźdźcem – mówił dalej. – Kupiłem ostatnio wspaniałego araba. Wątpię, czy znajdzie się taki drugi w Afryce. Chciałbym ci go pokazać.

– Tak? – zapytała z udawanym brakiem zainteresowania, ładując strzelbę. – Gdzie on jest?

– Na moim rancho w Rusape. Helikopter mógłby nas tam zostawić, kiedy jutro po południu będzie lecieć do Salisbury.

– Myślę, że byłoby miło. Z przyjemnością poznam twoją żonę. Słyszałam, że to niezwykła kobieta. Odparował jej natychmiast.

– Niestety, moja żona jest w tej chwili w Europie. Nie będzie jej jeszcze przynajmniej przez miesiąc. Musiałabyś wytrzymać tylko ze mną – ostatnie zdanie wypowiedział znowu ze szczególnym naciskiem i tym razem nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Będę musiała się nad tym zastanowić – rzekła. – Podejrzewam, że jest pan dosyć narowisty i że trudno pana ujarzmić.

W tym momencie jego sroga mina zniknęła i uśmiechnął się do niej.

– Nie aż tak narowisty, byś ty sobie nie poradziła, moja droga.

Zastanawiała się nad tym, jaką nagrodę otrzyma od swoich tajemniczych przełożonych za dostarczenie informacji nie tylko na temat strategii obchodzenia sankcji, ale również wszelkich danych dotyczących wojny w Rodezji. „To tylko

praca” – zapewniała samą siebie.

– Pełen limit! – zawołał Shasa do Elsy. Złamał strzelbę i położył ją w zgięciu łokcia. Zwrócił się do dwójki murzyńskich dzieci.

– Pakamisa! Podnieście je!

Popędzili po ostatnie dwa gołębie. Shasa i Elsa powędrowali z powrotem do ciężarówek zaparkowanych poza obrębem depresji. Słońce dotykało już prawie czubków drzew, a cienka warstwa chmur wisząca nad nim lśniła najjaśniejszym złotem.

„Kolor ślubnych obrączek” – pomyślał Shasa nie wiadomo dlaczego.

– Dobrze – powiedziała nagle Elsa, jakby podjęła jakąś trudną decyzję.

– Przepraszam cię – zdziwił się. – Co: dobrze?

– Ufam ci – odrzekła. – Postawię jeszcze pewne warunki, ale dam ci plany fabryki i wzór na otrzymanie cyndexu 25. Wciągnął powoli powietrze.

– Postaram się nie zawieść twego zaufania.

Po południu, kiedy siedzieli przy ognisku z dala od reszty towarzystwa, przedstawiła swoje warunki.

– Osobiście gwarantujesz mi, że cyndex może być użyty wyłącznie na wyraźne polecenie premiera lub jego następców.

Shasa spojrział na drugą stronę ogniska, aby sprawdzić, czy nikt ich nie podsłuchuje.

– Przysięgam ci to. Zdobędę pisemną zgodę premiera.

– Teraz, co się tyczy zasad umowy, cyndex nigdy nie będzie użyty przeciwko komukolwiek w Afryce Południowej – mówiła dalej Elsa z powagą. – Nigdy nie będzie użyty do rozwiązywania problemów wewnętrznych i sporów. Nie zostanie użyty do stłumienia jakiegokolwiek powstania ani w ewentualnej wojnie domowej.

– Zgadzam się.

– Może być użyty jedynie dla odparcia inwazji obcych wojsk. I to tylko wówczas, gdy zawiodą środki konwencjonalne.

– Zgadzam się.

– Jest jeszcze jeden warunek... trochę bardziej osobisty.

– Jaki?

– Przyjedziesz osobiście do Lozanny, by uzgodnić szczegóły.

– Z największą przyjemnością.

Był to ostatni ranek ich safari. Goście spakowali się już i czekali na odlot z Chizory. Ich bagaże leżały przed namiotami, by zabrała je obsługa.

Interesy załatwiono, kontrakty podpisano. Elsa Pignatelli zgodziła się wziąć udział w organizowaniu rynku dla rodezyjskich papierosów i chromu – za wspaniałe honorarium – natomiast Garry Courtney podjął się zapewnienia statków do przewozu towarów oraz fałszywych dokumentów z południowoafrykańskich portów. Jego wynagrodzenie obejmowało rozszerzenie terenu polowań oraz poważne sumy pieniężne.

Całe towarzystwo miało dostać się do Salisbury helikopterem rodezyjskich sił zbrojnych. Nawiązano z nim kontakt radiowy, gdy był jeszcze w powietrzu w odległości stu mil morskich. Powinien wylądować na polanie przed obozem już pół godziny temu. Jego spóźnienie nieco wszystkich zaniepokoiło.

Stali w małych grupkach wokół ogniska i pili ostatnią szklaneczkę Pimma nr 1. Coraz częściej spoglądali w niebo i nasłuchiwali szumu wirników helikoptera.

Sean i Bella stali obok siebie.

– Kiedy przyjedziesz do Kapsztadu? – zapytała najstarszego brata.

– Postaram się wrócić pod koniec sezonu, jeśli obiecasz, że zorganizujesz mi jakieś panie do towarzystwa.

– Czy ty kiedyś potrzebowałaś pomocy? – zapytała, a Sean uśmiechnął się i pocałował ją.  
– Nie jest ze mną tak źle jak z ojcem – zaprotestował. – Spójrz na staruszka. Słyszałem, że jedzie z wdową do Europy. Oboje spojrzeli na Elbę i Shase.  
– W ich wieku to przyprawia o mdłości – drwił Sean, a Isabella stanęła lojalnie w obronie ojca.  
– Tata jest jednym z najprzystojniejszych...  
– Daj spokój, Bellu – uściśnięła jej ramię. – Martw się o sir C. Będziesz miała szczęście, jeśli uda ci się zachować cnotę. Nie bez powodu nazywają go Cwałującym Clarencem.  
Jakby w odpowiedzi na wezwanie go po imieniu zjawił się sir Clarence i odprowadził Isabellę na bok.

– Zostawimy wszystkich w Salisbury – powiedział cicho, pochylając się nad nią – potem helikopter zabierze nas oboje na rancho. Nie musimy chyba rozpowiadać o naszej wycieczce, prawda?

– Oczywiście, że nie – zgodziła się potulnie Isabella. – Nie chcemy, żeby mój tata albo lady Van Wyk zepsuli nam niewinną przyjemność podziwiania konia.

– Właśnie – przytaknął. – Niektóre rzeczy najlepiej... – Przerwał, gdyż radio w namiocie Seana zatrzęszczało, a potem ktoś się odezwał.

Sean rzucił się w tamtą stronę. Bardziej niż ktokolwiek martwił się opóźnieniem helikoptera. Usłyszeli, jak wymieniał swój kryptonim w rozmowie z pilotem.

– Holownik, tu Wielka Stopa. Mówcie.

– Wielka Stopa. Mamy zmianę planu. Proszę poinformować ministra, że lot będzie opóźniony z powodu niecierpiącej zwłoki akcji pościgowej. Odbierzemy was za szesnaście minut. Mam dziesięciu scouts na pokładzie. Transport dla ministra będzie zorganizowany tak szybko, jak to będzie możliwe. Over.

– Przyjąłem, Holownik. Będziemy gotowi. Bez odbioru.

– Wojna jest czymś cholernie wstępnym – westchnął sir Clarence. Słyszeli każde słowo tej rozmowy. – Będziemy musieli tu czekać, aż przyślą po nas następny śmigłowiec.

– Co się stało? – dopytywała się Isabella.

– Akcja terrorystyczna – wyjaśniał sir Clarence. – Prawdopodobnie atak na jakąś białą farmę. Zawracają nasz helikopter. Pościg jest najważniejszy. Nie mogą pozwolić, by ci bandyci uciekli. Muszą utrzymywać wysokie morale farmerów.

Nie powiedział, że rodezyjskiej armii brakowało śmigłowców, tylko wzruszył ramionami.

– Wygląda na to, że los wziął się na nas.

– Może będziemy po prostu musieli przełożyć naszą wycieczkę... – przerwała, kiedy Sean wyszedł z namiotu, poprawiając na sobie mundur z kieszeniami na naboje, granaty i bukłaki z wodą. Karabin FN miał przewieszony przez ramię.

– Matatu, chodź tutaj, ty mały draniu! Mamy teraz poważną robotę. Natychmiastowy pościg! – krzyknął.

Drobny tropiciel pojawił się jak uśmiechnięty czarny ludzik na sprężynce w dziecinnej zabawce.

– Hai, Bwana – zapiszczał w języku suahili. – Upieczemy dziś wieczorem przy ognisku trochę jąder tych z ZANLA.

– Ty krwiożerczy diable. Uwielbiasz to, prawda? – Sean uśmiechnął się, sam również pełen dzikiej radości i odwrócił się do reszty zgromadzonych.

– Bardzo przepraszam, ale muszę ułatwić wam powrót do Salisbury. Matatu i ja mamy randkę. – Dojrzał wśród zgromadzonych Garry'ego i zaproponował: – Może

zawieziesz ich tam beechcraftem? Z całym tym bagażem będziesz musiał zrobić parę kursów, ale lepsze to niż siedzenie i czekanie, aż zwolni się helikopter.

Przerwał i zaczął nasłuchiwać.

– Oto i są.

Pospiesznie pożegnał się ze wszystkimi, ściskając dłonie.

– Czy zobaczymy panią jeszcze w tym sezonie, signora? Następnym razem obiecuję wielkiego lamparta...

– Przykro mi, że wygryzłem pana ze śmigłowca, sir Clarence.

– Cześć, tato. Pamiętaj, nie dokazuj... – rzucił, mrugając okiem i spoglądając na Elbę Pignatelli.

– Pa, siostrzyczko – pocałował Isabelłę, która przywarła do niego na chwilę.

– Bądź ostrożny, Sean. Proszę, uważaj, by nic ci się nie stało. Objął ją i zaśmiał się z absurdalności tego pomysłu.

– Tobie bardziej grozi ostrzelanie ze strony sir C. – zachichotał. Spojrzał w niebo, na którym helikopter był czarnym punktem wielkości owada, lecącym ponad drzewami.

Podszedł, by uścisnąć dłoń swego młodszego brata.

– Niech to diabli, Garry. Kto by chciał twojej roboty? Kiedy miałbym się nią zajmować?

Sean i Matatu stali przy bramie obozu czekając, aż śmigłowiec usiądzie.

Isabella poczuła, że serce podchodzi jej do gardła, a łzy napływają do oczu. Stanowili tak bezsensowną parę, wysoki, postawny brat, z rozwianymi włosami i muskularnymi opalonymi kończynami, a obok niego pokurczony czarny gnom. Kiedy się im przyglądała, Sean opuścił jedną rękę na ramię małego człowieczka w czułym uścisku, potwierdzającym zaufanie, którym obdarzali siebie nawzajem po przeżyciu tylu niebezpiecznych przygód i stanowiącym oznakę szczególnej więzi łączącej tych dwóch wojowniczych myśliwych.

Potem wbiegli w chmurę kurzu, wzbijaną przez kręcące się wirniki, pochyłili się i wsiedli do helikoptera.

Maszyna natychmiast podniosła się i odleciała na południowy wschód, trzymając się nisko nad wierzchołkami drzew, by nie tracić czasu na zwiększanie wysokości.

\*

W głównej kabine śmigłowca siedziało dziesięciu zwiadowców, każdy z nich był objuczony pasami z amunicją, granatami i bukłakami z wodą. Ich nagie ramiona i nogi były czarne, tylko zęby błyskały w twarzach, które albo były wysmarowane w celu lepszego ukrycia się, albo miały naturalnie ciemny odcień. Przynajmniej połowę Ballantyne Scouts stanowili lojalni Matabelowie.

Było powszechnie wiadome, że kiedy biali i czarni walczyli obok siebie, tak na siebie oddziaływali, że jedni i drudzy stawali się niezwykle waleczni. Scouts byli doborową jednostką w wojskach rodezyjskich, chociaż żołnierze z Selous Scouts, Sił Powietrznych do Zadań Specjalnych i Pułku Rodezyjskiego rozwaliliby czaszkę każdemu, kto by przy nich tak twierdził.

Sean wdrapał się do kabiny i przywitał każdego z siedzących w niej mężczyzn po imieniu. Odpowiadali mu lakonicznie, a ta oszczędność słów świadczyła o szacunku, jakim go darzyli. Wśród scouts Sean i Matatu byli już żywą legendą. Obaj wyszkolili wielu tych twardych, młodych i doświadczonych żołnierzy i przygotowali ich do walki w buszu.

Roland Ballantyne, założyciel i dowodzący oddziałem pułkownik, próbował wszystkich możliwych forteli, aby nakłonić Seana, by został jego zastępcą – jak

dotychczas bez powodzenia. Jednakże zawsze, gdy zbliżała się ciężka próba, wzywał Seana i Matatu.

Sean usiadł obok niego i zapiął pasy. Nakładając kamuflaż na twarz, krzyknął głośniejszym głosem niż szumiały wirniki:

– Witaj, Skipper. Co się dzieje?

– Wczoraj wieczorem banda terrorystów napadła na farmę produkującą tytoń niedaleko Karoi. Czatowali na farmera w bramie jego obejścia. Zastrzelili go. Żona wyszła na werandę, by go powitać. Całą noc odpierała atak, zamknięta w domu.

Dzielna kobieta. Po północy się wycofali.

– Ilu?

– Ponad dwudziestu.

– Którędy?

– Na północ ku dolinie.

– Bitwa?

– Jeszcze nie – pokręcił głową Roland.

Był pewnie parę lat starszy od Seana. Podobnie jak on w ciągu kilku lat od rozpoczęcia wojny w buszu wyrobił sobie doskonałą opinię.

– Lokalna jednostka już jest na ich tropie, ale pogodę mają kiepską, tracą siły z każdą godziną. Tamci nieźle się trzymają.

– Zrobią nam niespodziankę i ukryją się pośród miejscowej czarnej ludności na obszarze Tribal Trustu – przewidywał Sean, poprawiając brudną siatkę maskującą na swych długich do ramion włosach. – Zawieź nas do tej jednostki, Skipper.

– Lada chwila nawiążemy kontakt radiowy... – Roland przerwał, gdy mechanik pokładowy przywołał go gestem do radiostacji. – Chodźmy.

Rozpiął pas bezpieczeństwa i poprowadził Seana drżącym, podrygującym przejściem pomiędzy ławkami. Sean stanął obok Rolanda, przytrzymując się przepierzenia i wyciągając szyję, by usłyszeć głos dochodzący z metalowej puszki.

– Antylopa, tu Grot 1 – powiedział Roland do mikrofonu. – Czy trafiliście na nich?

– Grot 1, tu Antylopa. Negatywne. Rozpoznanie negatywne.

– Czy jesteście na tropie, Antylopa?

– Potwierdzam, ale pojawiło się więcej śladów. Znaczyło to, że gang terrorystów musiał się podzielić, by powstrzymać pościg.

– Bez odbioru, Antylopa. Kiedy usłyszycie nasze silniki, dajcie nam znać żółtym dymem.

– Potwierdzam, żółty dym, Grot 1.

Czterdzieści pięć minut później pilot zauważył sygnał dymny – żółty słup, wznoszący się ponad ciemnozielonym dachem lasu. Helikopter zniżył lot i skierował się ku miejscu, skąd dochodził sygnał. Ujrzeni jednostkę policji, która dotarła z pościgiem aż tutaj. Na pierwszy rzut oka widać było, że nie jest to jakaś doborowa, zaprawiona w bojach w buszu jednostka, lecz oddziały z posterunku w Karoi. Byli to rezerwiści, mieszczuchy, którzy przybyli tu na swoje comiesięczne zgrupowanie, pościg w ogóle ich nie pociągał.

Sean i Matatu podnieceni zeskoczyli na ziemię z wysokości sześciu stóp i spadli jak koty. Rozbiegli się natychmiast i ukryli, gdy śmigłowiec wzbił się w powietrze i krążył dwieście stóp nad ich głowami.

Piętnaście sekund zajęło im sprawdzenie, czy teren zajmowany przez policję był bezpieczny. Potem Sean podbiegł do ich dowódcy.

– W porządku, sierżancie – rzucił. – Bierz bukłak. Pij, facet, pij.

Mężczyzna miał czerwoną, spaloną na słońcu twarz i nadwagę. Nawet w takim



upale już się nie pocił. Na koszuli pozostały suche, nieregularne, słone plamy. Nie wiedział, jak zapobiec odwodnieniu organizmu. Jeszcze godzina, a byłoby po nim.

– Woda się skończyła – powiedział ochryplym głosem.

Sean rzucił mu cenną butelkę, a gdy pił, zapytał:

– Gdzie są ślady?

Sierżant wskazał na ziemię przed sobą, ale Matatu już znalazł odciski stóp, pozostawione przez uciekających terrorystów. Biegał wokół nich, przekrzywił głowę, by przyjrzeć się szczegółom, widocznym tylko dla bardzo wprawnego oka. Poszedł wzdłuż nich pięćdziesiąt kroków i wrócił do miejsca, gdzie stał Sean.

– Pięciu – rzucił krótko. – Jeden ranny w lewą nogę...

– Wdowa po farmerze musiała dać im niezły wycisk.

– ...ale ślad jest stary. Musimy zagrać w wiosennego zająca.

Sean skinął głową. „Wiosennym zającem” nazywali wynalezioną przez siebie technikę. Mogła przynieść efekty tylko z takim tropicielem jak Matatu. Musieli odgadnąć, dokąd kierowali się uciekinierzy, ustalić trasę marszu i jego tempo, zanim będą mogli wykonać żabi skok – albo wiosennego zająca – na ich szlak.

W tym wypadku nie było żadnych wątpliwości. Banda musiała dążyć dalej ku północy, ku Zambezi i okolicom Tribal Trustu, gdzie mogą znaleźć jedzenie, schronienie i pomoc dla rannych. W plemionach Shona i Batonka, które mieszkają wzdłuż krawędzi doliny, mieli wielu zwolenników. Tych, którzy nie chcieli współpracować, zmuszano do tego, trzymając na muszce karabinów AK 47.

W porządku, w takim razie kierują się na północ. Ale przed nimi rozciąga się puszcza, której teren był poryty skalistymi dolinami i granitowymi wzgórzami. Jeśli banda zboczyłaby tylko o kilka stopni z prawdopodobnej linii ich ucieczki, zniknęłaby bez śladu.

Sean wybiegł na otwartą polanę i dawał sygnały helikopterowi skrzyżowanymi ramionami. Śmigłowiec odpowiedział natychmiast.

– W porządku, sierżancie! – zawołał Sean. – Ruszajcie za nimi. My pójdziemy do przodu i spróbujemy wytropić bandytów. Proszę utrzymywać kontakt radiowy i pamiętać o picciu.

– Tak jest! – uśmiechnął się sierżant. To krótkie spotkanie dodało jemu i jego ludziom otuchy. On i Matatu byli legendą.

– Dajcie im popalić! – krzyknął do Seana, a ten pomachał mu, stojąc w drzwiach odlatującego helikoptera.

Sean połknął kilka tabletek kodeiny z powodu żeber, które zaczynały go boleć, i popił tykiem wody z bukłaka. Przykucnął wraz z Matatu u wejścia, przyglądając się kobiercowi drzew, leżącemu pięćset stóp pod nimi. Tylko w takich chwilach, w gorączce polowania Matatu potrafił przezwyciężyć swój lęk przed lataniem.

Teraz wychylił się tak mocno, że Sean objął go, by nie wypadł. Matatu drżał w jego uścisku, tak jak drży pies myśliwski, gdy jest na tropie ptaka.

Nagle wskazał coś przed sobą, a Sean krzyknął do mechanika:

– Skreć dziesięć stopni w lewo!

Za pomocą wewnętrznego telefonu rozkaz został przekazany do kabiny pilota.

Sean nie wiedział, dlaczego Matatu kazał im skierować się na zachód. Las pod nimi był bezkształtny i nic szczególnego nie było w nim widać. Skaliste wzgórze, które stanowiły przerwę w liściastej monotonii, znajdowały się w odległości wielu mil od nich, były rzadkie i wszystkie podobne do siebie.

Dwie minuty później Matatu znowu coś pokazał, a Sean rozkazał:

– Pięć stopni w prawo.

Śmigłowiec skreślił posłusznie. Matatu czarował na swój własny sposób. Tropił uciekinierów z wysokości pięciuset stóp, nie kierując się żadnymi znakami, ale dzięki

dziwnej intuicji, której Sean nie ufałby, gdyby nie widział jej skuteczności już setki razy.

Matatu zadrżał i odwrócił twarz ku swemu panu. Uśmiechał się dziko, a usta drżały mu z emocji. Podmuchi powietrza napełnił jego oczy łzami, które zaczęły płynąć mu po policzkach.

– W dół! – zawył i znowu wskazał przed siebie.

– W dół! – krzyknął Sean do mechanika.

Gdy helikopter zniżył lot, Sean spojrzął na Rolanda.

– Przygotować broń – polecił, a Roland dał znak swoim żołnierzom. Wstali z twardej ławki i przechylił się do przodu, jak psy myśliwskie trzymane na smyczy. Jednocześnie podnieśli broń i załadowali ją z metalicznym szczękiem, głośniejszym niż warkot wirników.

Śmigłowiec zatrzymał się i zaczął krążyć nad ziemią na wysokości sześciu stóp. Sean i Matatu wyskoczyli razem i natychmiast zrobili miejsce następnym.

Sean miał strzelbę na ramieniu, kiedy przeczesywał spojrzeniem otaczające ich zarośla. Scouts wyskoczyli sprawnie i rozproszyli się po obwodzie. Opróżniony helikopter odleciał.

Kiedy znaleźli się na pozycjach, Roland Ballantyne dał Seanowi znak zaciśniętą pięścią „Naprzód!”

Rozdzieleni Sean i Matatu wysforowali się na czoło oddziału. Scouts rozbiegli się i kryli ich. Matatu kierował się do przesmyku w kształcie szyjki od butelki, utworzonego przez strome skaliste zbocza. Wierzchołek litery V wcinął się w wyschnięte koryto rzeki. Wody deszczowe w ciągu tysiąca lat wydrążyły schody prowadzące na szczyt wzgórza, a stada słońi, które przechodziły przez tę przełęcz, starły kontury i wyrównały pochyłości.

Czy uciekająca banda zdążyła się ukryć? Czy wybrała drogę słońi, by nie wdrapywać się na postrzępiony, skalisty grzbiet?

Matatu nieznacznie poruszył palcami, dając Seanowi znak, żeby podszedł do przełęczy od wschodu. Sean był najlepszym tropicielem wśród białych ludzi. Aby zaoszczędzić cenny czas, Matatu postanowił mu zaufać i powierzyć tak drobną sprawę.

Sean ustawił się tak, by słońce padało z boku na ziemię, którą badał. Był to stary sposób tropicieli, pozwalający lepiej widzieć ślady. Całą uwagę skoncentrował na tym, co miał pod stopami, ufając, że znajdujący się w pobliżu scouts będą go osłaniać. Wszyscy byli dobrymi żołnierzami; sam ich wyszkolił.

Kiedy to zobaczył, poczuł lekki dreszcz. Znajdowało się to blisko, pod ścianą urwiska. Jeden z wydrążonych przez wodę śladów pokazujących, którądy biegła rzeka, został przesunięty. Był to otoczek przesunięty o około ćwierć cala od pozycji, którą powinien normalnie zajmować. Dotknął śladu koniuszkiem palca, tylko żeby sprawdzić. Nie zawołałby Matatu, ryzykując, że zostanie przez niego ofuknięty, o ile nie będzie miał pewności.

– Ten mały diabeł kpiłby sobie ze mnie przez tydzień, gdybym podniósł fałszywy alarm.

Otoczek był wielkości głowy i delikatnie przesunął się pod jego palcami. Tak, z całą pewnością ktoś ruszył go z miejsca. Sean zagwizdał, a Matatu zjawił się przy nim jak dżin z lampy. Sean nie musiał mu niczego pokazywać. Matatu zauważył to od razu i kiwnął głową z aprobatą.

Uciekinierzy zgrabnie starali się zmylić pościg. Poruszali się wzdłuż biegu rzeki, idąc jeden za drugim. Jak Indianie trzymali się blisko siebie na urwistym skalistym zboczu. Szli po kamieniach, by ukryć ślady, ale ten jeden nieco się przechylił pod ciężarem przechodzących ludzi.

Matatu popędził do przodu. Mniej więcej sto kroków dalej znalazł miejsce, w którym ranny terrorysta poślizgnął się i dotknął stopą miękkiego białego piasku. Ślad był niemal niewidoczny. Tylko niezwykle wprawne oko mogło dojrzeć nieznaczną różnicę koloru pomiędzy ziarenkami leżącymi na powierzchni a świeżo na nią rzuconymi.

Matatu ukląkł i badał uważnie odcisk stopy, a następnie dmuchnął ostrożnie na otaczający go piasek, żeby sprawdzić, jak był miękki. Zamyślił się rozważając czynniki, które spowodowały zmianę koloru piasku: wilgotność, kąt padania słońca, siłę wiatru i – co najważniejsze – czas, jaki upłynął, odkąd piasek został poruszony.

– Dwie godziny – powiedział głosem oznaczającym nieodwołalność jego opinii, a Sean przyjął ją bez sprzeciwu.

– Mają dwie godziny przewagi – poinformował Rolanda.

– Jak on to robi? – Roland pokręcił głową z podziwem. – Przyprowadził nas od razu do tego miejsca, a teraz podaje nam dokładny czas. Zaoszczędził dla nas osiem godzin w piętnaście minut. Jak on to robi, Sean?

– Bije mnie na głowę – przyznał Sean. – To czekoladowy cud.

– Czy może zrobić wiosennego zajęcia jeszcze raz? – dopytywał się Roland.

Nie mówił w języku suahili; Sean musiał tłumaczyć.

– Wiosenny zajęcia, Matatu?

– Ndio, Bwana – z radością skinął głową Matatu i wyprężył się dumnie, świadomy, że pułkownik go podziwia.

– Proszę zostawić czterech ludzi i rozkazać, by poszli za nami – powiedział Sean.

– Niech idą wzdłuż koryta rzeki, a jest szansa, że w końcu trafią na ślad.

Roland wydał rozkazy i czterech scouts ruszyło dalej. Sean wezwał helikopter i powoli weszli z powrotem na pokład.

Polecieli na północ. Byli w powietrzu nie dłużej niż dziesięć minut, kiedy Matatu wygiął się w uścisku Seana i zawył:

– Zawracaj! Zawracaj!

Sean przekazał polecenie i śmigłowiec zatoczył szerokie koło, a Matatu wychylił się do połowy przez drzwiczki helikoptera. Głowa kiwała mu się z boku na bok, kiedy wpatrywał się pilnie w dół; pierwszy raz nie był pewien.

– W dół! – krzyknął nagle i wskazał na długi pas ciemnozielonej roślinności, porastającej płytką depresję w kształcie nerki, która rozciągała się pod nimi.

Śmigłowiec obniżył się powoli, ostrożnie. Matatu pokazał teren na drugim końcu niecki, gdzie można by wylądować.

Pod nimi rosły gęste i kolczaste zarośla, a ziemia była usiana mrowiskami. Były to wieże z czerwonej, twardej jak beton gliny; sięgały człowiekowi do ramienia i przypominały cmentarne nagrobki; lądowanie pomiędzy nimi byłoby trudne i niebezpieczne.

„Ten mały diabeł tym razem nieźle nas wyprowadził – pomyślał gorzko Sean. – Dlaczego musiał wybrać takie miejsce?”

Śmigłowiec zawisł w powietrzu, a Sean odwrócił głowę i krzyknął do Rolanda:

– Przygotuj broń! – po czym skoczył za Matatu. Wylądowali obok siebie i pobiegli naprzód, by ukryć się za jednym z mrowisk.

Nie odwrócił głowy, żeby zobaczyć, jak inni scouts wyskakują ze śmigłowca. Obserwował splecione zarośla, które miał przed sobą. Rzucił badawczy wzrok na boki, trzymając broń w pogotowiu, a palec na spuście. Istniała jedna możliwość na milion, że jakiś terrorysta znajdował się w promieniu pięciu mil od miejsca lądowania, ale sposób, w jaki powinni zachowywać się podczas takich akcji, mieli już we krwi.

– Nikogo tu nie ma – uspokajał sam siebie. Nagle stało się coś zaskakującego, nieprawdopodobnego: otworzono do nich ogień.

Z lewej strony odezwał się kałasznikow. Ostry, charakterystyczny szczęk kanonady rozległ się nad ich głowami. Kurz i odłamki gliny z mrowiska pryskały dookoła. Sean zareagował natychmiast. Przeturlał się kawałek i przyłożył do ramienia broń. Kiedy zaczął strzelać, kątem oka jak kamerą zarejestrował obraz śmierci.

Scouts, który jako ostatni wyskakiwał ze śmigłowca, został postrzelony. Kiedy dotknął nogami ziemi, dostał serię w brzuch. Zgiął się wpół i cofnął trzy kroki. Kule, wylatujące przez plecy, zmasakrowały jego ciało. Wypruły mu połowę wnętrzości, które bezkształtną różową masą bluznęły w powietrze. Potem upadł i zniknął w gęstwinie.

Sean natychmiast odpowiedział ogniem. Zrozumiał: Matatu rzucił ich prosto na terrorystów. Mały diabeł tym razem był cholernie dobry, za dobry. Trafili prosto na ich głowy.

Ocecił sytuację. Najwyraźniej banda została zaskoczona. Nie byli w stanie przygotować się do obrony ani zastawić pułapki. Prawdopodobnie usłyszeli warkot zbliżającego się helikoptera, a w kilka sekund później scouts zaczęli lądować pomiędzy nimi.

„Niespodzianka” – pomyślał Sean i strzelił do znajdujących się trzydzieści kroków przed nim krzaków, którymi poruszały błyszczące lufy AK 47.

Z doświadczenia wiedział, że partyzanci z plemienia Shona byli wyśmienitymi żołnierzami, dzielnymi i oddanymi walce. Jednakże mieli dwa słabe punkty: po pierwsze, nie najlepiej strzelali, wierzyli, że wystarczy strzelać dużo, by często trafiać, a po drugie, tracili głowę, gdy zostali zaskoczeni. Sean wiedział, że jeszcze przez chwilę ukryci w zaroślach terroryści będą zdeorganizowani.

„Załatwię ich” – pomyślał i sięgnął po granat fosforowy. Zerwał zawleczkę i krzyknął do Rolanda:

– Dalej, Roland! Uderzmy całą linią i zgnieemy tych drani, zanim się pozbierają.

Rolandowi najwidoczniej taka sama myśl wpadła do głowy.

– Bierzcie ich, chłopcy! Całą linią do ataku! – zawołał.

Sean zerwał się na nogi, jednocześnie rzucając granat, który poleciał po łuku i spadł trzydzieści jardów przed nim. Cierniste krzaki wybuchły oślepiająco białą chmurą dymu. Wokoło rozsypały się płonące i promieniujące fosforem odłamki.

Sean pobiegł naprzód, czując tuż za sobą niską, ciemną postać. Matatu był jego cieniem. Przed nimi wybuchały kolejne granaty. Zarośla młóciły ciągłe wybuchy i smagały je serie z automatycznej broni terrorystów.

Banda rozpierchła się przed nimi. Jeden z uciekinierów wynurzył się dziesięć kroków przed Seanem; był to nastolatek w obszarpanych džinsach i miękkiej czapce. Płonące kulki fosforu przyłgnęły mu do górnej części ciała. Skwierczały i paliły się, zostawiając na jego ramionach i torsie dymiące czarne plamy. Rozszedł się zapach opiekanego na rożnie mięsa.

Sean strzelił do niego, ale trafił za nisko. Chłopak dostał w lewe biodro i przewrócił się na ziemię. Kałasznikow upadł obok, a on przekreślił się na wznak i uniósł ręce powyżej twarzy.

– Nie, Mambo! – wrzasnął po angielsku. – Jestem chrześcijaninem – na miłość boską, oszczędź mnie!

– Matatu – rzucił Sean, nie rozglądając się i nie szukając go. – Kufa!

Przeskoczył nad okaleczonym partyzantem. Jego magazynek był już do połowy opróżniony i nie mógł sobie pozwolić nawet na pojedynczą serię. Matatu wyjął nóż. Codziennie spędzał kilka godzin na ostrzeniu go. Gdyby Sean był dowódcą, wyznaczyłby Matatu do przeprowadzania przesłuchań. Mógł poderżnąć temu chłopcu gardło. Takie mięso armatnie nie przyda się im na nic, a opieka medyczna jest bardzo kosztowna.

Zwiadowcy przeczesali las w niecałe dwie minuty. To nie była żadna walka, przypominało to raczej ujadanie pekińczyków przed pyskami dzikich psów. Zwiadowcy zaatakowali, pokręcili się i wrócili.

– Oczyszczyć teren – rozkazał Roland Ballantyne. Stał w odległości około dwudziestu jardów od Seana. Muszka jego strzelby wycelowana była w niebo; rozgrzana lufa sprawiała, że powietrze wokół niej falowało.

– Dobra robota, Sean. Ten twój mały diabeł jest wspaniały – spojrzał na tropiciela.

Matatu podnosił się znad zwłok trafionego w biodro partyzanta. Podciął mu gardło jednym ruchem, aż do ucha, aby dosięgnąć tętnicy szyjnej.

Wytarł ostrze noża o udo i wrócił pospiesznie na swoje miejsce u boku Seana, ale uśmiechnął się z wdzięcznością do Rolanda. Obaj wciąż byli podnieceni krwią i walką.

Między nimi leżał jeszcze jeden terrorysta. Na jego ubraniu i ciele wciąż tlił się fosfor, a mundur był poplamiony krwią z ran postrzałowych. Roland Ballantyne przeszedł koło niego, ledwie rzuciwszy okiem.

Ranny przekreślił się nagle. Pod strzaskaną piersią ukrywał pistolet Tokarewa. Resztkami sił uniósł broń; był tak blisko Rolanda, że mógł dotknąć go lufą.

– Roland! – wrzasnął Sean ostrzegawczo i mimo że ten zareagował natychmiast, nie miał szans. Kula trafiłaby go w kręgosłup z odległości trzech stóp.

Sean nie zwlekał i wystrzelił z biodra, celując instynktownie. Trafił terrorystę w twarz. Jego głowa rozprysnęła się jak przejrzały arbuz uderzony drągiem. Padł na wznak, a pistolet wysunął mu się z bezwładnych palców.

Roland Ballantyne wyprostował się powoli i przez długą chwilę przyglądał się zwłokom. Nogi mężczyzny kopały powietrze i drżały w konwulsjach. Roland myślał o własnej śmiertelności, męce umierania, która odzwierciedlała się w wybałuszonych oczach terrorysty.

Oderwał od niego wzrok i spojrzał na Seana.

– Jestem ci winien jednego – rzekł krótko. – Możesz go dostać, kiedy zechcesz. – Po czym odwrócił się i wydał rozkazy swoim ludziom, by zebrali zabitych. W krążącym nad nimi helikopterze znajdowały się zielone plastikowe torby na ciała.

\*

Mieli wrażenie, że Le Morne Brabant, góra z czarnej lawy wulkanicznej wznosi się tuż nad nimi, mimo że znajdowali się na łodzi w odległości czterech mil.

Prądy oceaniczne, które opływały wysuniętą część wyspy Mauritius, przyczyniały się do niezwykłego rozwoju flory i fauny morskiej. A amatorzy dużych ryb na całym świecie nazywali takie miejsca „gorącymi punktami”. Podobne warunki występowały na przykład za pasmem Wielkiej Rify Koralowej, w Cabo San Lucas na Półwyspie Kalifornijskim czy też po zawietrznej stronie wyspy Nowa Szkocja. Wszędzie tam ogromne ławice drobniejszych ryb przyciągały uwagę oceanicznych drapieżników – olbrzymich marlinów i ryb z rodziny tuńczyków, a wędkarze z całego świata zjeżdżali się, by próbować swoich sił i umiejętności w konfrontacji z tymi śliskimi potworami.

Shasa upierał się, by zawsze wynajmować tę samą łódź i tę samą załogę. Każda łódka wytwarzała w wodzie inne wibracje, na które wpływ miał silnik, śmigło i sama skorupa; była to tak charakterystyczna dla nich cecha jak odciski palców dla człowieka. Te wibracje albo przyciągają, albo odpychają ryby. „Le Bonheur” przynosiła im szczęście, a jej kapitan miał oczy jak polujący na ryby głuptak. Potrafił wypatrzeć pojedynczego ptaka, który nurkował na horyzoncie, i zauważał z odległości mili podobną do sierpa płetwę grzbietową przepływającego szybko marlina, a nawet

był w stanie ocenić jego wagę z dokładnością do dziesięciu kilogramów.

Jednakże tego dnia im się nie wiodło. Od prawie dwóch godzin nie złapali ani jednej przynęty na wabiki umocowane do rogów salingu.

Wszędzie, gdzie spojrzeli, widzieli całe ławice przynęt. Ocean Indyjski zdawał się od nich pęcznieć. Tworzyły na powierzchni ciemne plamy jak cienie chmur, a ogromne stada ptaków morskich krążyły nad nimi, skrzecząc i nurkując. Co chwila z głębin wyskakiwały grupy ryb, które zataczały lśniące parabole w jasnym, tropikalnym słońcu.

Wystraszył je potwór żyjący w głębinach, który krążył poniżej ich ławic. Był to jeden z tych szalonych dni, które zbyt rzadko zdarzają się w życiu rybaka, kiedy po prostu jest za dużo ryb. Żarłoczne drapieżniki goniły ławice tak szybko, że ryby nie mogły chwycić przynęty. Całą swą energię koncentrowały na unikaniu głodnych potworów. Ignorowały wabiki z piór długości palca, którymi próbowała ich znęcić załoga „Le Bonheur”.

– Potrzebna nam jest jedna, jedyna przynęta – jęczał Shasa. – W taki dzień to stuprocentowa gwarancja, że dostaniemy marlina.

Stojąca obok niego Elsa Pignatelli przechyliła się przez poręcz na mostku. Czerwone bikini odsłaniało opaloną skórę, gładką jak bochenek chleba na miodzie świeżo wyjęty z pieca.

– Spójrz! – krzyknęła, a Shasa zdążył się obrócić, by zobaczyć marlina, który wynurzył się przy burcie ich statku. Rozbił ławicę małych ryb, po czym siłą rozpędu wyleciał wysoko w górę. Widać było oczy wielkości piłek tenisowych i szczękę długą i grubą jak kij do baseballa. Lecąc w powietrzu kręcił łbem na wszystkie strony. Podekscytowanie polowaniem sprawiło, że zmienił kolor niczym kameleon i płonął pasami elektryzującego błękitu i koloru lila, a błękitne tropikalne niebo wydawało się przy nim blade.

– Olbrzym! – zawołał Shasa widząc, że ta ryba może przekroczyć zaczarowaną granicę tysiaca funtów.

Marlin wpadł z powrotem do wody, uderzając w nią bokiem i wydając odgłos podobny do huk armaty.

– Przynętę! – krzyknął Shasa, marszcząc czoło jak bohater szekspirowskiej tragedii. – Królestwo za przynętę!

Pozostałe pół tuzina łodzi z floty z Black River, które widzieli rozrzucone po całym morzu aż po horyzont, przeżywało te same męki. Przez radio słyszeli okrzyki ich kapitanów. Nikt nie miał przynęty, a tuż obok jeden marlin chciał popełnić samobójstwo.

– Jak ja mogę ci pomóc? – dopytywała się Elsa. – Czy chcesz, żebym użyła swojej magii i wyrzekła czarodziejskie zaklęcie?

– Nie jestem pewien, czy to byłoby całkowicie zgodne z etyką – uśmiechnął się do niej. – Ale jestem gotów spróbować wszystkiego. Rzucaj urok, moja kochana czarownico!

Otworzyła torebkę i wyjęła z niej szminkę.

– Tomcio Paluch, Thomas a Becket, Rumpelstiltskin! – zaintonowała poważnie i narysowała purpurowy hieroglif na jego nagiej klatce, który miał wyraźnie falliczny kształt. – Okpiwam cię! Ogrywam cię! Zdobywam cię! Zdobywam cię!

– O tak. Uwielbiam to – roześmiał się głośno Shasa. – Naprawdę mogę się złapać na taką magię.

– Musisz w to wierzyć – ostrzegła go – bo inaczej nie będzie działać.

– Wierzę – odpowiedział żarliwie Shasa. – Jeszcze jak wierzę w zdobywanie ciebie!

Na pokładzie pod nimi jeden z członków załogi zawył nagle i usłyszeli metaliczne

brzęczenie koła zapadkowego wędki.

Śmiech Shasy urwał się natychmiast. Przez chwilę spojrzął na nią ze zdumieniem i podziwem.

– Niech mnie licho! Ty naprawdę jesteś czarownicą – mruknął i zbiegł na pokład, gdzie chłopak należący do załogi przyciskał do piersi trzepoczącą się niebieską rybę. Miała spiczasty pysk i ostro zakończone płetwy ogonowe. Dolną część ciała pokrywały poprzeczne czarne pasy. Shasa zauważył z ulgą ślad po haczyku w miejscu, gdzie łączyły się szczęki. Skrzela nie były uszkodzone.

Wyjął mały haczyk i polecił chłopcu:

– Obróć ją!

Chłopiec wykonał polecenie, a ryba od razu się uspokoiła. Trzymając zdobycz głową do dołu, zdeorientował ją.

Shasa rozłożył swoje przyrządy jak chirurg. Wybrał długi haczyk i założył go ostrożnie w oczodół ryby. Tępe stalowe ostrze przesunęło gałkę oczną na bok, nie uszkodzając jej. Wsunął igłę w otwór w kości czaszki. Końcówka wyszła w tym samym miejscu w drugim oczodole. Ryba leżała spokojnie. Shasa przywiązał do stalowego haczyka końcówkę studwudziestofuntowej linki i delikatnie przeciągnął ją przez ranę. Puścił go i sięgnął po hak na marliny. Kilkoma wprawnymi ruchami umocował go pomiędzy oczami ryby, która wciąż żyła i nie była wcale okaleczona. Widziała tak samo jak przedtem.

Shasa cofnął się i skinął na chłopca. Ukłął na górnej części burty i ostrożnie opuścił rybę do wody. Uciekła natychmiast, ciągnąc za sobą mocną linę i po chwili zniknęła.

Shasa stał obok przyrządów rybackich. Grube wędzisko było mocno przytwierdzone. Szpula została wykonana z galwanizowanego stopu aluminium, mimo to była ciężka, ważyła ponad pięć kilogramów, gdyż nakręcony był na nią więcej niż kilometr linki, która odwijala się teraz z cichym szumem. Shasa poprawił ją lekkim dotknięciem palców.

Pozawiazywał na lince co pięćdziesiąt jardów pętle z jedwabnej nici. Zaczekał, aż odwinie sto jardów i podniósł lewarek blokady.

Chłopak już opuszczał linę jednego z dwudziestostopowych salingów, które sterczały jak cienkie anteny po obu stronach kadłuba.

– Nie – powstrzymał go Shasa. – Ja to zrobię.

Był to bardziej precyzyjny sposób mierzenia głębokości, na jakiej znajdowała się przynęta, i długości linki, którą należało wciągnąć z powrotem na pokład. Ale wymagał cierpliwości i doświadczenia.

Shasa ściągnął sto stóp linki, zwinął ją i rzucił na pokład. Następnie usiadł na rufie i zawołał do kapitana:

– Allez!

Ten podniósł dźwignię i śmigła zaczęły się obracać. Silnik zaterkotał na niskich obrotach i „Le Bonheur” ruszyła. Powoli łódź zwiększyła prędkość. Shasa poczuł, że linka mocniej się naprężyła. Czuł ciężar ryby, znajdującej się na jej drugim końcu. Przynęta zaczęła płynąć za statkiem jak pies na smyczy. Shasa ocenił głębokość zanurzenia ryby na podstawie kąta, pod jakim linka wchodziła do wody. Po słabych ruchach jej ogona i sporadycznych szarpnięciach, kiedy próbowała skrócić lub zejść niżej, mógł się zorientować, w jakim była stanie.

Po kilku minutach ramię Shasy zdrętwiało i zaczęło go boleć, ale starał się tego nie zauważać. Odwrócił się do stojącej na mostku Elsy i zwołał:

– Może tak rzuciłabyś jeszcze trochę tych czarów „Okpiwam cię! Ogrywam cię!”?

– To działa tylko raz – pokręciła głową. – Odtąd musisz radzić sobie sam.

Łódź płynęła powoli, leniwie pokonując fale, a kiedy Shasa wydał rozkaz, zaczęła się obracać szerokim łukiem ku północy.

Gdy zrobili już pół obrotu, linka w ręku Shasy zwiotczała. Szybko podniósł się ze swojego miejsca.

– Co się dzieje?! – natychmiast zawołała z góry Elsa.

– Pewnie nic – mruknął, ale cały skupił się na lince.

Znowu naprężyła się, lecz ryba poruszała się teraz inaczej. Czuł jej szaleńczą obronę. Nurkowała, próbowała skrócić, ale posuwająca się powoli łódź ciągnęła ją za sobą bezlitośnie.

– Uwaga – ostrzegł Shasa załogę.

– Co się dzieje? – znowu zapytała Elsa.

– Coś przstraszyło przynętę – odpowiedział.

Wyobrażał sobie, jak przerażona musi być mała rybka, która zauważyła gigantyczny cień, zataczający wokół niej koła w otchłani oceanu. Marlina dziwiło zachowanie przynęty. Na jego widok powinna była natychmiast uciec. Drapieżnik opływał ją ostrożnie, ale wkrótce apetyt musiał wziąć górę nad ostrożnością. Shasa czekał minutę, potem drugą; ukucnął i zamarł bez ruchu.

Nagle linka wypadła mu z dłoni, ale przez chwilę czuł ciężar i siłę olbrzyma, który uderzył przynętę szerokim, tęnym brzgiem szczęki.

– Atakuje! – zawył Shasa, unosząc ręce nad głowę. – Zatrzymać silniki!

Kapitan posłusznie wykonał rozkaz i łódź zakiwała się bezwładnie na wodzie. Shasa podniósł linkę i trzymał ją najostrożniej, jak potrafił. Była luźna, żadnych oznak życia. Przynęta zginęła od razu od potężnego uderzenia.

Wiedział wyraźnie, co działo się w tajemniczych głębinach. Marlin zabił i znowu krążył. Mógłby stracić ochotę albo się przstraszyć, gdyby zobaczył dziwne ruchy swej zdobyczy. Najważniejsze było, żeby linka nawet nie drgnęła, bo mogłoby to spłoszyć drapieżnika.

Sekundy płynęły jak melasa – ciężkie i rozciągliwe.

– Robi jeszcze jedno kółko. – Shasa próbował dodawać sobie otuchy. Wciąż nic się nie działo.

– Jest parti – ogłosił ze smutkiem kapitan. – Il a refuse.

– Kopnę cię w dupę, jeśli tego mi życzysz – powiedział Shasa do niego ze złością.

– Cholera, on wcale nie jest „parti”. Będzie robił następne okrążenie.

Shasa znowu poczuł szarpnięcie linką i krzyknął z ulgą.

– Le void! Jest! Elsa klasnęła w dłonie.

– Jedz, rybko. Powąchaj, jakie dobre mięsko. Zjedz je – prosiła. Shasa popuścił lekko linkę. Wyobrażał sobie, jak marlin bierze w swój rogaty dziób rybę i obraca ją łbem do przodu, by połknąć w całości. „Nie pozwól, żeby poczuł haczyk” – modlił się szeptem. Dzięki pętli na lince ostre zakończenie haczyka powinno leżeć płasko przy głowie przynęty, kiedy znikająca w szeroko otwartej paszczy. Gdyby jednak pętla przekręciła się lub zwiśla... Shasa nie chciał o tym myśleć.

Po chwili wszystko się uspokoiło. Żyłka ponownie się naprężyła i zaczęła odplýwać powoli, lecz zdecydowanie.

– Połknął go! – zawołał z radością Shasa i pozwolił, by linka przesuwała mu się przez palce; zwój po zwoju rozwijał się i linka znikająca za burtą.

Shasa rzucił się do obrotowego krzesła i usiadł na nim szybko. Przymocował linkę do kółek na lśniącym bębnie. Utworzyła ona pas, przypominający hamak, który opinał dolną część pleców i pośladki Shasy i był połączony bezpośrednio ze szpulą.

Tylko laik mógłby twierdzić, że rybak jest przypięty do krzesła jak pilot myśliwca, i że to daje mu przewagę. Utrzymuje się on na krześle jedynie dzięki swej sile i poczuciu równowagi. Gdyby popełnił błąd, ryba, ważąca ponad tysiąc funtów i



szybka jak silnik spalinowy, mogłaby bez trudu wyciągnąć go wraz z wędziskiem przez burtę i zafundować mu wycieczkę na głębokość pięciuset sążni.

Kiedy Shasa usiadł i zwolnił hamulec, linka na bębnie się skończyła, a wędzisko wygięło się w dół, jakby z podziwu dla brutalnej siły ryby.

Shasa zaparł się nogami.

– Allez! – wrzasnął do kapitana Martina. – Naprzód!

Silnik zaryczał, gdy Martin odkręcił zawór i gęsta chmura czarnego dymu buchnęła z rury. Łódź skoczyła do przodu, prując dziobem falę.

Żaden mężczyzna nie ma tyle siły, by wbić ostrze haka w twardą jak żelazo paszczę marlina. Shasa próbował wykorzystywać siłę i prędkość łodzi, aby to zrobić. Bęben warczał, ocierając się o swe hamulce, a linka w wodzie wyglądała jak rozedrgany biały pasek.

– Arretezvous! – Shasa stwierdził, że haczyk siedział już mocno. – Dość! – krzyknął, a Martin zakręcił zawór.

Zatrzymali się i dryfowali po wodzie. Wędzisko wygięło się, jakby linka była przymocowana do dna oceanu, ale bęben pozostał nieruchomy, blokował go hamulec.

Nagle ryba potrząsnęła łbem z taką siłą, że wędzisko zatrzęszczało i wygięło się jak gałązka na wietrze.

– Oto i on! – wrzasnął Shasa.

Zwierzę było zupełnie zaskoczone, kiedy linka zaczęła je ciągnąć. Wreszcie ryba zorientowała się, że dzieje się coś złego i zaczęła uciekać. Po raz kolejny linka rozwijała się ze szpuli, tym razem z tak zawrotną prędkością, że Shasa aż uniósł się w krześle jak dżokej okładający konia. Tarcie spowodowało, że smar w łożyskach stopił się i zagotował.

Przechylając się do tyłu całym ciężarem ciała, Shasa uważał, aby nie dotknąć ręką huczącego bębna. Linka była teraz równie niebezpieczna co ostrze topora rzeźnika. Bez trudu oderwałaby palec lub rozcięła ciało do kości.

Ryba uciekała tak, jakby nic jej nie powstrzymywało. Rozwinęło się trzysta jardów linki, potem czterysta, a wreszcie za burtą znalazło się ponad pół kilometra linki.

– To cholerny Chińczyk, który wraca do domu do taty! – wrzasnął Shasa. – Nie ma zamiaru się zatrzymać!

Nagle ocean został rozdarty na dwie części przez wysoką białą falę i pojawiła się ogromna ryba. Woda spływała z niej jak z kadłuba wynurzającej się łodzi podwodnej. Była tak wielka, że miało się wrażenie, iż porusza się w zwolnionym tempie. Ukazała się cała, i chociaż dzieliło ich pięćset jardów, wydawało się, że zaślania połowę nieba.

– Qu Uest grand! – krzyknął Martin. – Je n ai jamais vu un autre comme ga!

Shasa wiedział, że była to prawda – nigdy nie widział ryby, która mogłaby się z nią równać. Przecięła powietrze jak daleka błyskawica. Potem skierowała się z powrotem ku powierzchni oceanu. Jej potężne cielsko z hukiem zanurzyło się w wodzie, wywołując wysoką falę. Wszyscy byli wstrząśnięci tym widokiem.

Mimo że Shasa przycisnął hamulec prawie do końca, zwierzę nadal ciągnęło linkę, jakby nic jej nie blokowało.

– Tournezvous! Zawracaj! – w głosie Shasy słychać było panikę, kiedy wrzeszczał na kapitana. – Zawracaj i ścigaj go!

Martin obrócił łódź tak szybko, że aż przechyliła się niebezpiecznie, i ruszyli w pogoń za rybą. „Le Bonheur” pędziła pod wiatr i pod prąd, a fale uderzały w nią z impetem. Kiedy wznosiła się na ich grzbiety, prawie sunęła w powietrzu, a potem spadała, uderzając z hukiem o wodę.

Siedzącym na krześle Shasą miotało bezlitośnie na wszystkie strony. Przytrzymał się poręczy i zapierał nogami, a jego plecy nie dotykały oparcia.

Wędzisko było napięte do granic możliwości. Chociaż łódź pędziła całą parą, ciągle traciła dystans. Marlin był od nich szybszy o dziesięć węzłów. Shasa patrzył bezradnie, jak ubywa linki na bębnie.

– Uwaga! – krzyknęła z mostka Elsa. – On zawrócił! Była tak podekscytowana, że mówiła po włosku. Shasa używał tego języka dostatecznie długo, żeby zrozumieć jej ostrzeżenie.

– Stop! Arretez! – wrzasnął na kapitana.

Nie wiadomo z jakiego powodu marlin nagle zawrócił i płynął teraz w ich kierunku. Nie można było jeszcze tego wywnioskować, obserwując ruch linki w wodzie. Ryba zatoczyła półmilowe koło, co groziło katastrofą. Naciągnięta linka mogła pęknąć jak nitka, Elsa zauważyła tę zmianę kierunku w ostatniej chwili.

Shasa musiał wyciągnąć linkę, nim marlin przepłynie pod łodzią. Nawijał ją na bęben nogami, utrzymując szybkie, jednostajne tempo; wychylał się, aby pochwycić następny kawałek linki, cofał, by mieć luz i dwoma szybkimi ruchami zakładał ją na szpulę. Pochylał się i prostował, łapiąc powietrze za każdym razem; nogi i ręce pracowały jednocześnie, a mokra linka nawijała się na bęben. Ryba przepłynęła pod statkiem. Linka zaczęła się naprężać.

Shasa pracował w szalonym tempie, robiąc tych kilka ostatnich ruchów.

„Teraz się obróć! – mruknął. Pot spływający mu po nagiej klatce mieszał się z wzorkiem, który Elsa narysowała szminką, i plamił pas spodenek. – Obróć się szybko! Szybko!”

Ryba rwała w drugą stronę, a kapitan zmienił położenie łodzi, jak tylko linka znowu się naprężyła. Wędzisko odczuwało cały ciężar zwierzęcia i wyginało się jak smagana wiatrem wierzba.

Shasa podniósł się z krzesła i rozstawił szeroko nogi. Zwolnił hamulec i bęben trzeszcząc zaczął się obracać z prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę. Z rozpaczą patrzył, jak te cenne stopy linki, które wywalczył z takim trudem, szybko znikają za burta.

– Gonić go! – rzucił i „Le Bonheur” ruszyła za rybą.

Była to wyśmienita praca zespołowa. Pojedynczy człowiek nie mógłby bez pomocy innych pokonać takiego przeciwnika. Manewrowanie łodzią było niezwykle trudne: każdy zakręt, zwrot i przyspieszenie musiało być wykonane szybko i dokładnie. Elsa informowała ludzi pracujących poniżej, na pokładzie o ruchach marlina kilka cennych sekund wcześniej, niż zobaczyli sami.

Ryba szarpała się już od godziny. Cały czas linka była mocno napięta, a Shasa wykorzystując swój ciężar jako przeciwwagę, ciągnął wędzisko i zawzięcie kręcił bębniem. Widział, jak robi się coraz cieńszy, kiedy ryba zaatakowała po raz kolejny.

Jeden z marynarzy wylał mu na ramiona wiadro morskiej wody, by go ochłodzić. Sól rozjątrzyła rany, które powstały wskutek tarcia nylonowej linki o plecy, a sącząca się krew poplamiła spodenki na bladoróżowy kolor. Za każdym ruchem ryby linka wpijała się głębiej w ciało.

Druga godzina była także trudna. Ryba nie wykazywała żadnych oznak zmęczenia, z Shasy zaś pot lał się strumieniami, a włosy miał mokre, jakby stał pod prysznicem. Rany na ciele krwawiły obficie. Gwałtowne ruchy łodzi rzucały nim na krzesła, powodując bolesne obijanie się udami o poręcze, tak że nogi miał całe w sińcach. Elsa zeszła do niego z mostka i usiłowała wcisnąć poduszkę pomiędzy linkę a jego poranione ciało. Podała mu tabletki i pomogła popić je dwoma puszkami cocacoli.

– Wy tłumacz mi – uśmiechnął się, a w jego jedynym oku widać było mękę. – Po kiego diabła ja to robię?

– Dlatego że jesteś szalonym macho. Poza tym, są pewne rzeczy, które

mężczyzna powinien robić – otarła mu pot z twarzy i pocałowała go mocno z czułą dumą.

Podczas trzeciej godziny Shasa nabrał nowych sił. Było to niezwykle uczucie. Ból w ranach ustąpił, skurcze w rękach i nogach skończyły się, poczuł się lekki i niewyciężony. Nogi przestały się pod nim trząść i pewnie stał na pokładzie.

– W porządku, rybko – powiedział łagodnie. – Wyszalałaś się już. Teraz moja kolej.

Przechylił się do tyłu, ciągnąc za sobą wędzisko i poczuł, że ryba się poddaje.

Wprawdzie napór na kiju niewiele się zmienił, odczuł tylko lekkie drzenie, ale tam w głębinach marlin poruszył się gwałtownie.

– Tak, rybko – szepnął Shasa, podniesiony na duchu. – Teraz ciebie też boli, prawda?

Znowu zaparł się silnymi już nogami i cztery razy nawinął linkę na bęben. Wiedział, że tym razem się nie rozwinie. Nareszcie miał tę rybę.

Gdy kończyła się czwarta godzina, marlin nie wykonywał już gwałtownych skoków. Walczył zawzięcie, zataczał powolne, niespieszne koła trzysta stóp pod dryfującą łodzią. Przechylił się na bok, opierając się całą siłą wędce i lince. Miał prawie cztery stopy wysokości i ważył trzy czwarte tony. Wielki półksiężyc jego ogona odgarniał wodę w równym rytmie, a olbrzymie oczy świeciły jak opale w półmroku. Liliowe i lazuruowe fale obmywały jego ciało jak arktyczna zorza polarna. Pływał wciąż wkoło jednostajnym ruchem.

Shasa przysiadł na krześle i zgarbił się nad wędziskiem. Cała euforia wywołana odzyskaniem sił minęła. Zginał i prostował nogi ostrożnie, jakby i był chory na artretyzm, a każdy mięsień i nerw krzyczał w proteście.

Ryba i człowiek ustalili pewną powtarzalną kolejność ruchów w tej ostatniej części walki. Płynąc po okręgu marlin nieco się oddalał, wówczas mężczyzna całą siłą swych mięśni starał się go przytrzymać. Potem ryba znowu wpływała pod statek i przez kilka minut naprężenie linki się zmniejszało, a wędzisko prostowało.

Shasa nawinął linkę dwa razy i znowu zaparł się, kiedy marlin wychynał po drugiej stronie. Przy każdym okrążeniu Shasa zdobywał po kilka stóp linki, ale płacił za to potem i bólem. Wiedział, że zbliża się do kresu swej wytrzymałości. Pomyślał, jak wiele ryzykuje, zmuszając swe ciało do takiego wysiłku. Czuł, że serce wali mu jak oszalałe, a kręgosłup piecze żywym ogniem. Wkrótce coś musi w nim pęknąć. Ciągnął jednak ze wszystkich sił, które mu jeszcze pozostały, i znowu poczuł, że ryba się poddaje.

– Proszę – szepnął. – Zabijasz nas obu. No przestań, proszę.

W końcu ryba zrezygnowała, przekreśliła się jak nasączony wodą pień drzewa i poddała się sile wędziska. Wypłynęła, śliska i ciężka tak blisko rufy statku, że wydawało się, iż koniec wędki dotknie jej ogromnego, lśniącego oka.

Stała na ogonie, a szpic wycelowała w niebo. Pokręciła łbem jak spaniel, który wychodzi na łąd i wytrząsa wodę z uszu. Ciężka stalowa linka zakołysała się ze świstem wokół niej, wędzisko zaś wiło się na boki.

Shasa był bezradny w obliczu takiej siły. Nie mógł jej kontrolować. Z rozpaczą zauważył, że obłuzowany haczyk poruszył się w otwartej paszczy marlina.

– Przestań! – sapnął i spróbował przewrócić rybę na bok. Poczuł, że haczyk znów się przesunął, zanim zaczepił się ponownie. Ryba odkreśliła łeb i Shasa dostrzegł haczyk, który się ledwo trzymał na samym brzegu czarnego pyska. Jeszcze jeden ruch łbem i wyleci w powietrze na rozhuśtanej stalowej lince.

Shasa podniósł się i zebrał resztki sił. Pociągnął rybę do siebie, aż się przewróciła i wpadła z powrotem do wody, pokrywając ją pianą.

– Lina! – ryknął na chłopaka z załogi. – Łap linę!

Podczas wszystkich czterech godzin walki nikt oprócz rybaka nie mógł dotykać wędziska lub linki, by pomóc w schwytaniu zwierzęcia. Takie były zasady przyjęte przez Międzynarodowy Związek Sportu Wędkarskiego.

Kiedy ryba leżała już pokonana na powierzchni, załoga mogła chwycić stalową linę o długości trzydziestu stóp, przyczepioną do tej, która na końcu miała haczyk, i przytrzymać rybę, gdy harpun będzie się wbijał w jej ciało.

– Lina! – błagał Shasa, gdy chłopak w grubych skórzanych rękawicach wychylił się za burtę, by ją chwycić.

Marlin tarzał się po powierzchni i rzucał jak kłoda na falach.

– Jeszcze raz! – krzyknął Shasa.

Podniósł się i przywiązał do wędziska. Ciągnął mocno i pewnie, cały czas z taką samą siłą. Haczyk trzymał się tylko na czubku, lecz jego wąs jeszcze nie odpadł – najmniejszy obrót czy drzenie zerwałoby go.

Drugi marynarz stał z harpunem w ręku. Jeśli ten potężny hak z nierdzewnej stali, przymocowany do końca długiego drąga, trafiłby w bok ryby, walka byłaby zakończona.

Gdy lina znalazła się zaledwie sześć cali od dłoni w skórzanej rękawiczce, marlin ostatnim wysiłkiem machnął płetwą. Koniec wędziska skłonił się nieco, jakby chyląc czoło przed niespożytą energią ryby, i haczyk wyskoczył.

Wędzisko się wyprostowało, a haczyk błysnął w powietrzu i uderzył w burtę statku. Shasa upadł gwałtownie na krzesło. Zaledwie czterdzieści stóp od nich marlin leżał na powierzchni wody, pokazując grzbiet i płetwę grzbietową. Był wolny, ale zbyt wyczerpany, by odpłynąć, tylko ogon wykonywał konwulsyjne, spazmatyczne ruchy.

Wszyscy przyglądali mu się, aż wreszcie Martin się opamiętał. Wrzucił wsteczny bieg i natarł łodzią na rybę.

– On l'aura! Będziemy go mieli! – krzyknął do człowieka z harpunem, gdy ryba uderzyła w rufę.

Marynarz rzucił się na tył statku i podniósł ramię z błyszczącym hakiem, by wbić go w odsłonięty garb.

Shasa spadł z krzesła, a nogi zaplątały mu się w linę. W ostatniej chwili jednak zdążył złapać marynarza za ramię i powstrzymać go od rzutu.

– Nie – zacharczał. – Nie. Wyrwał mu harpun z ręki i rzucił na pokład.

Zawiedziona załoga patrzyła na to ze zdumieniem. Napracowali się prawie tak samo jak Shasa.

Nic nie szkodzi. Później im wyjaśni, że zabicie zwierzęcia w ten sposób byłoby niezgodne z regułami. W chwili gdy marlin pozbył się haka, zawody się zakończyły. Zwyciężyła ryba. Pozbawienie jej teraz życia byłoby śmiertelną obrazą etyki tego sportu.

Nogi Shasy nie mogły już udźwignąć ciężaru ciała. Przewrócił się na pokład. Ryba wciąż leżała nieruchomo na powierzchni tuż za rufą. Wyciągnął rękę i dotknął ogromnej płetwy grzbietowej. Jej krawędź była ostra jak miecz.

– Dobra robota – wyszeptał; oczy piekły go od soli i potu. – To była niezła walka. Jesteś górą, rybko.

Poklepał płetwę, jakby to było ciało pięknej kobiety. Jego dotyk pobudził marlina. Uderzenia ogona stawały się coraz silniejsze i częstsze, a płaty skrzelowe otwierały się i zamykały jak miechy kowalskie. Ryba powoli ruszyła.

Płynęli za nią prawie pół mili. Marlin sunął tuż pod powierzchnią, tak że jego płetwa sterczała ponad lustrem wody. Shasa i Elsa stali przy poręczy, trzymając się za ręce i w milczeniu patrzyli, jak zwierzę odzyskuje siły.

Ogon bił coraz szybciej, marlin poruszał się coraz pewniej. Wielka płetwa

stopniowo zanurzała się w wodzie i wkrótce zobaczyli, jak długi cień ryby znika w głębinie. Światło odbiło się od niej po raz ostatni jak w lustrze i merlin odplynął.

W czasie długiej drogi z powrotem do portu Shasa i Elsa siedzieli bardzo blisko siebie. Patrzyli, jak wyspa pojawia się przed nimi i uśmiechali się do siebie łagodnie.

Kiedy „Le Bonheur” dopłynęła do portu, inne łodzie były już przycumowane do brzegu. Na pomoście przed lokalem klubu wisiały dwa martwe marliny. Żaden z nich nie był nawet w połowie tak duży jak ten, którego stracił Shasa. Wokół nich zgromadził się niewielki tłum, który podziwiał trofea. Szczęśliwi rybacy pozowali z wędkami. Ich nazwiska i wagę ryb wypisano kredą na tablicy zwycięzców. Hinduski fotograf z Port Louis przykucnął przy trójnogu i utrwał chwilę triumfu.

– Nie chciałbyś, żeby twoja ryba też tu wisiała? – zapytała cicho Elsa, kiedy zatrzymali się, żeby przyjrzeć się zdobyczom.

– Jakże piękny jest żywy marlin – mruknął Shasa – a jaki brzydki się staje, gdy go zabiją. – Pokręcił głową. – Moja ryba zasługuje na coś lepszego niż to.

– Ty również – powiedziała i poprowadziła go do klubowego baru. Poruszał się z trudem jak bardzo stary człowiek, ale siniaki były powodem jakiejś dziwnej, masochistycznej dumy.

Zamówiła dla niego rum Green Island i sok z limony.

– To powinno dodać ci sił, byś zdołał dotrzeć do domu, staruszkule – dokuczała mu przymilnie.

Domem tym był Maison des Alizes, Dom Pasatów. Była to rezydencja na plantacji, zbudowana sto lat temu przez jednego z francuskich potentatów cukrowych. Zatrudnieni przez Shasę architekci odbudowali go i przywrócili mu dawny wygląd.

Pośród dwudziestu akrów ogrodów wyglądał jak tort weselny. Dawny właściciel zaczął gromadzić rośliny tropikalne, a Shasa w ciągu wielu lat znacznie powiększył kolekcję. Jego dumą były lilie wodne Royal Victoria, których szerokie, wywinięte liście unosiły się i lśniły na powierzchni stawów rybnych jak olbrzymie tace, a kwiaty miały rozmiary głowy człowieka.

Maison des Alizes znajdował się poniżej masywu Le Morne Brabant, zaledwie dwadzieścia minut drogi z lokalu klubowego w porcie na Black River. Głównie z tego powodu Shasa zakupił tę posiadłość. Mówił o niej jako o swojej rybackiej chacie. Kiedy wjechali pod rozłożysty baldachim drzew, Shasa zauważył:

– Cóż, wygląda na to, że reszta towarzystwa dotarła bez problemów.

Wzdłuż podjazdu, naprzeciwko głównej bramy posiadłości, stało kilka samochodów. Pilot Elsy przywiózł z Zurychu jej prywatnym odrzutowcem dwóch inżynierów. Byli to dyrektorzy do spraw technicznych w Pignatelli Chemicals, którzy opracowali metodę uzyskiwania eyndexu 25 i zaprojektowali fabrykę do jego produkcji. Shasa spotkał się z Wernerem Stolzem, dyrektorem oddziału w Niemczech, podczas trudnych wstępnych rozmów w Europie. Nie trwały długo i zakończyły się pomyślnie, dzięki umiejętnej pieczy, którą sprawowała Elsa.

Na konferencję tę przybyli również dyrektorzy do spraw technicznych i inżynierowie z Capricorn Chemical Industries z Johannesburga. Przedsiębiorstwo to należało do Courtney Industrial Holdings. Kierowane przez Garry'ego Capricorn było największym producentem nawozów rolniczych i pestycydów w Afryce.

Główna fabryka tej firmy znajdowała się w pobliżu miasta Germiston, w przemysłowym trójkącie Transwalu. Miała ona ściśle chroniony wydział, – w którym produkowano wysoko toksyczne pestycydy. Miejsca było dosyć, by podwoić liczbę urzędów. Fabryka cyndexu ruszy bez hałasu i publicznych dyskusji.

Przedstawiciele Pignatelli i Capricorn spotkali się, by przedyskutować plany i dane dotyczące nowej fabryki. Z oczywistych powodów nie wskazane byłoby odbycie

takiego spotkania na terenie Afryki Południowej. W rzeczywistości Elsa nalegała, by nikt z jej pracowników nie odwiedzał nigdy zakładów ani nie miał nic wspólnego z przedsięwzięciem, które wywodziło się od Pignatelli Chemicals. Wyspa Mauritius była doskonałym punktem zbornym. Shasa posiadał Maison des Alizes od przeszło dziesięciu lat i wraz z rodziną oraz gośćmi często odwiedzał ten dom. Ich obecność nie budziła więc specjalnego zainteresowania, a ponieważ Shasa pozostawał w doskonałych stosunkach z rządem i z większością wpływowych osób na wyspie, Courtneyów traktowano tu jako uprzywilejowanych gości.

Bruno Pignatelli, zanim zachorował, także był zapalonym wędkarzem i regularnie odwiedzał Mauritius, dlatego Elbę znano na wyspie i szanowano. Nikt nie miał zamiaru wścibiać nosa w jej sprawy czy prowadzić niezręcznego dochodzenia, by odkryć, dlaczego znalazła się w Maison des Alizes z zespołem swoich inżynierów i konsultantów.

Shasa i Elsa zachowywali pozory do tego stopnia, że zajęli oddzielne, choć połączone, apartamenty na ostatnim piętrze Maison des Alizes. Rodzina uważała tę ich gierkę za niezwykle zabawną. Wszyscy czekali na nich na trawniku przy stawach rybnych, kiedy przyszli na popołudniowe koktajle.

Elsa wykapała Shasę i nasmarowała jego siniaki i zadrapania, wyglądał więc świeżo i elegancko, tylko nieznacznie kulał, kiedy schodzili razem po frontowych schodach. Miał na sobie nowy, kremowy, tropikalny garnitur z jedwabiu i świeżą przepaskę na oku. Ona była ubrana w długą suknię z powiewnego szyfonu, a we włosy wpięła gałązkę uroczynu czerwonego.

– Spójrzcie na tych figlarzy. Czy naprawdę wierzycie, że oni są tylko świetnymi kumplami? – dopytywał się Garry mrugając okiem.

Isabella i Holly nie mogły ukryć rozbawienia. Nawet Centaine zasłoniła twarz japońskim wachlarzem i odwróciła się do jednego z inżynierów.

Isabella miała wiele powodów, aby przybyć do Maison des Alizes, mimo że trwały obrady senatu. Wchodziła w skład zarządu Capricorn Chemicals. Od wycieczki do Chizory, kiedy to po raz pierwszy usłyszała o planach dotyczących cyndexu, Isabella nagle zainteresowała się CCI. Wybrano ją do stałej komisji senackiej do spraw rolnictwa, a później wystarczyło tylko kilka słów Garry'ego, by została jednym z dyrektorów CCI. Raptem stała się aktywnym i cennym członkiem zarządu i nie opuściła ani jednego posiedzenia rady. Szczególnie zajęła się planami cyndexu, więc nie dziwiło nikogo, że Garry zaprosił ją na to spotkanie.

Garry skorzystał także z możliwości sprowadzenia tu Holly i dzieci na niezaplanowane wakacje. Chociaż przewidywał, że będzie zajęty rozmowami, liczył na to, że każdego dnia uda mu się spędzić trochę czasu z rodziną. Holly skarżyła się ostatnio, że rzadko go widują, a dzieci rosły tak szybko, że swoje dzieciństwo przeżywały właściwie bez ojca. Ponieważ Centaine Courtney-Malcomess nie opuszczała żadnej okazji, by zobaczyć się ze swoimi prawnuczętami, postanowiła zabrać się z minilearem, który odlatywał z prywatnego lotniska Lanseria na obrzeżach Johannesburga.

Rodzina i jej bagaże zajęły tyle miejsca w samolocie, że inni członkowie rady Capricornu musieli polecieć samolotem linii komercyjnej.

Dom Pasatów pękał w szwach. Wszystkie łóżka były zajęte, a do pokoju dzieciennego wstawiono dwa dodatkowe. Centaine wynajęła obsługę z „La Pirogue”, pięciogwiazdkowego hotelu nadmorskiego, aby zajęła się „najeżdźcami”. Wysłała samolot do Johannesburga po takie artykuły pierwszej potrzeby, jak kawior Imperial i wino Krug oraz świeże owoce i jedzenie dla dzieci, których nie można było zdobyć na wyspie.

Wino łało się obficie, gdy Shasa i Elsa przyłączyli się do towarzystwa. Nastąpiła

radosna wymiana pocałunków i uścisków dłoni, poklepywania po plecach i szczęśliwych okrzyków na powitanie.

Elsa została przedstawiona Centaine poprzedniego wieczoru, kiedy starsza pani przybyła do rezydencji. Mimo że Centaine była zmęczona po długiej podróży samolotem, obie panie natychmiast przypadły sobie do gustu. Matka Shasy spojrzała na nią z ukosa, jak czyniła zawsze, kiedy koncentrowała się na czymś, a po chwili twarz jej złagodniała, uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

– Shasa mówił mi o pani wiele dobrego, ale podejrzewam, że to dopiero połowa – powiedziała po włosku, a Elsa uśmiechnęła się z powodu komplementu, a także dlatego, że Centaine zwróciła się do niej w jej języku.

– Nie wiedziałam, że mówi pani po włosku, signora Courtney-Malcomess.

– Wielu rzeczy jeszcze musimy się o sobie dowiedzieć – kiwnęła głową Centaine.

– Czekam na to z niecierpliwością – odpowiedziała Elsa.

Odkryły w sobie pokrewne dusze i teraz Elsa podeszła bez wahania do Centaine i pocałowała ją w policzek.

„No – pomyślała Centaine biorąc ją pod rękę z zadowoleniem – długo trwało, zanim Shasa ją znalazł, ale warto było czekać”.

Dzieci Garry’ego biegały wśród gości, a ich piski i pokrzykiwania nieco zakłócały atmosferę zgromadzenia.

– Muszę przyznać – zauważył Shasa, przyglądając się wnuczkom – że z każdym dniem stają się coraz bardziej podobny do Henryka VIII – małe dzieci lubię tylko w teorii.

– O ile sobie przypominam, w ich wieku byłeś równie nieznośny. – Centaine pospiesznie wstawiła się za swoimi ulubieńcami, ale w tym momencie rozległ się szczególnie przeraźliwy pisk, na który Shasa aż się skrzywił.

– Już za coś takiego powiesiłabyś mnie na gwoździu. Mamo, zaczynasz być wpatrzona w swoje prawnuczęta jak w obraz.

– Szybko będą miały tego dosyć – uśmiechnęła się do nich z czułością.

– Nie wcześniej niż ja, zapewniam cię – mruknął i podszedł do Isabelli paplającej z inżynierami z Pignatelli.

Isabella postanowiła być miłą dla dyrektora z Niemiec. Czuła się dziwnie, jakby była aktorką w filmie Franca Zefirellego. Wspaniały dom, dziwaczne kształty drzew i roślin tropikalnych, ogromne liście lilii wodnych na powierzchni stawów i ławice różnobarwnych ozdobnych ryb, które w nich pływały – wszystko to składało się na tę fantastyczną wizję jak ze snu. Śmiech, rozmowy w różnych językach oraz krzyki dzieci były nie na miejscu, jeśli pamiętało się o właściwym celu tego spotkania.

Tutaj Nana wiodła prym niczym królowa matka, a Holly i Elsa Pignatelli obnosiły swe kosztowne szyfony i jedwabie, których wartość równała się rocznym zarobkom robotnika. Gdzieś daleko jej mały Nicholas był ubrany w mundur i bawił się tą ohydą bronią, mając do towarzystwa żołnierzy i terrorystów.

Ona flirtowała tu z łysiejącym mężczyzną w średnim wieku, który choć wyglądał jak sprzedawca w sklepie spożywczym albo barman, naprawdę był dostawcą śmierci w jednej z jej najbardziej przerażających postaci. Uśmiechała się do swego brata-misia i obejmowała ukochanego ojca, jednocześnie konspirując i zdradzając ich obu, a na dodatek swoją ojczyznę. Odgrywała tutaj piękną, zadbaną, inteligentną, szczęśliwą młodą kobietę, w pełni panującą nad swoim losem i swoim światem. Była jednak straszliwie rozbita, cierpiąca i opuszczona. Czuła się pionkiem w grze potężnych, ciemnych sił, której nie rozumiała.

„Po jednym dniu – przestrzegła samą siebie. – Po jednym kroku”.

Następnym krokiem były plany cyndexu 25.

Może to właśnie będzie ten ostatni wysiłek, o którym mówił jej Ramon. Kiedy da

im plany cyndexu, wówczas może będą mogli uciec z tej sieci – ona, Ramon i Nicholas. Może wtedy ten koszmar się skończy.

Konferencja rozpoczęła się następnego ranka w jadalni w Maison des Alizes. Uczestnicy jej siedzieli pod obracającym się wachlarzem wentylatora przy długim orzechowym stole, przy którym mieściło się trzydzieści osób, i mówili o śmierci. Omawiali jej działanie i strukturę chemiczną. Rozwodzili się nad opakowaniem i kontrolą jakości oraz opłacalności śmierci, jakby mówili o produkcji chipsów ziemniaczanych albo kremu do twarzy.

Isabella zmuszała się, by nie reagować na to, co słyszała przy stole. Nauczyła się zawsze doceniać spostrzegawczość swego brata Garry'ego. Jego oczom, ukrytym za okularami w rogowej oprawce i wyrazem jowialności, niewiele umykało. Wiedziała, że zauważyłby u niej każdy objaw przerażenia czy sprzeciwu. Na tym prawdopodobnie skończyłby się jej udział w całym przedsięwzięciu.

Technicy z Pignatelli przygotowali dossier. Kopie były włożone do nie opatrzonych podpisami, ładnych teczek ze świńskiej skóry, które umieszczono na stole przed każdym z dyskutantów. Informacje były wyczerpujące, omawiano każdy problem związany z produkcją, przechowywaniem i używaniem gazu.

Wemer Stolz, dyrektor do spraw technicznych, wyjaśnił wszystko szczegółowo. Jedna okropność odsłaniała następną, a Werner opisywał je swoją świszczącą, urywaną angielszczyzną z niemieckim akcentem. Isabella z największym trudem zachowywała zimną krew starając się, aby jej twarz pozostała obojętna, i wyrażała zainteresowanie wyłącznie interesami, które tu robili.

– Cyndex 25 to nietrwały gaz, składający się z organofosforowego związku grupy kwasów alkilofosforowofluorkowych. Gazy o takim składzie znane są jako czynniki G, a należą do nich sarin i soman. Jednakże cyndex 25 charakteryzuje się pewnymi pożądanymi cechami, które odróżniają go od innych gazów paraliżujących.

Kiedy je wymieniał, Isabella poczuła się wstrząśnięta faktem, że użył w tym kontekście słowa „pożądany”, ale skinęła w zamyśleniu głową i dalej wpatrywała się w leżące przed nią materiały.

– Cyndex 25 ma rzadko spotykaną i agresywną kombinację właściwości – kontynuował Werner Stolz. – Są to: duża toksyczność, szybkość działania zarówno podskórnego, jak również na płuca i błonę śluzową człowieka. Inną zaletą jest wysoka efektywność. Z powodu podwójnej struktury chemicznej łatwo jest go produkować, przechowywać i posługiwać się nim. Kiedy połączy się dwa czynniki, które składają się na cyndex, gaz staje się niezwykle niestabilny i ma wyjątkowo krótki okres działania. Dzięki temu łatwiej jest kontrolować go podczas stosowania. Po usunięciu za jego pomocą ludności teren można szybko objąć kontrolą.

Rozpromienił się dobrotliwie.

– Chciałbym teraz omówić dokładniej każdą z tych właściwości. Zacznijmy od toksyczności. Cyndex, wchłaniany przez płuca bądź w postaci pary, bądź aerozolu, ma dawkowanie LD 50 – uśmiechnął się przepraszająco – co oznacza, że zabije pięćdziesiąt procent populacji umiarkowanie aktywnych młodych mężczyzn w dwie minuty, a sto procent tej populacji – w dziesięć minut. Szybkość ta nie jest dużo większa niż sarinu, ale w wypadku cyndexu występuje silniejsze działanie podskórne. Jest on dużo łatwiej wchłaniany przez skórę, oczy, nos, gardło i układ pokarmowy niż sarin. Jeden mikrolitr cyndexu – a chcę przypomnieć, że jest to milionowa część litra – w zetknięciu ze skórą powoduje paraliż po dwóch minutach, a śmierć po piętnastu minutach. Jest więc w przybliżeniu czterokrotnie bardziej skuteczny niż sarin. Mimo że dożylny zastrzyk atropiny, zrobiony w ciągu trzydziestu pierwszych sekund, może powstrzymać proces i zmniejszyć nasilenie niektórych objawów, nie powstrzyma jednak załamania się układu oddechowego i w konsekwencji śmierci przez uduszenie.



Przejdę później do omówienia konkretnych objawów działania tego związku, ale teraz proponuję, abyśmy zajęli się kosztami produkcji. Proszę otworzyć materiały na stronie dwunastej.

Wykonali polecenie posłusznie, jak uczniowie, a Werner Stolz mówił dalej:

– U dołu strony widzą państwo, iż w chwili obecnej koszt fabryki wyniesie w granicach dwudziestu milionów dolarów amerykańskich, a koszty produkcji osiągną wielkość, przedstawiając sumarycznie, dwudziestu dolarów za kilogram.

Isabella zastanawiała się, słuchając tych przerażających szczegółów, dlaczego drażnią ją takie określenia, jak „sumarycznie” czy „w chwili obecnej”.

„Chciałabym, żeby mówił zwyczajną angielszczyzną” – pomyślała, jakby dzięki temu te fakty mogły być łatwiejsze do strawienia. Werner tymczasem kontynuował:

– Mówiąc obrazowo, należałoby stwierdzić, że cała fabryka będzie kosztować tyle co jeden myśliwiec odrzutowy Harrier z British Aerospace oraz że koszty wyprodukowania takiej ilości cyndexu, która wystarczyłaby do obrony kraju przez dwanaście miesięcy, byłyby równe zakupowi pięćdziesięciu rakiet Sidewinder typu powietrze-powietrze...

– To jest oferta, której po prostu nie możemy odrzucić – zaśmiał się Garry, a Isabella poczuła do niego nienawiść, która ją zaskoczyła.

Jak on może żartować z czegoś takiego? Nie odważyła się spojrzeć w jego stronę. Mógłby odczytać jej myśli. Werner skinął głową i uśmiechnął się aprobująco.

– Oczywiście, cyndex nie wymaga żadnych specjalnych urządzeń do transportu. Do tego celu łatwo można adaptować samoloty używane do prac rolniczych. Gaz ten można również umieszczać w głowicach rakiet. Idealna do tego celu byłaby rakietka dalekiego zasięgu G-5 Howitzer, którą obecnie opracowuje Armscor.

W południe zrobili przerwę, aby popływać w basenie i zjeść lunch na tarasie. Rozmowy koncentrowały się głównie na niedawnym pobycie Elsy i Shasy na festiwalu w Salzburgu, podczas którego Herbert von Karajan dyrygował Orkiestrą Filharmonii Berlińskiej. Po skończeniu posiłku wrócili do jadalni, by wysłuchać opisu objawów zatrucia cyndexem 25.

– Mimo że gaz ten nigdy nie był testowany na ludziach, ustaliliśmy, że objawy działania umiarkowanej dawki cyndexu nie będą różniły się zasadniczo od innych gazów paralizujących, zawierających czynnik G – oświadczył Werner. – Najpierw wystąpi ucisk w klatce piersiowej i trudności z oddychaniem, następnie pojawi się obfity wyciek z nosa oraz palący, piekący ból oczu i zmętnienie wzroku.

Isabella poczuła, że ją samą oczy zaczynają piec i przetarła je ukradkiem.

– Kiedy intensywność tych objawów będzie stopniowo wzrastać, nastąpi ślinienie się i pojawi się piana na ustach, pocenie się, drżenie, nudności i odbijanie się, uczucie zgagi i skurcze brzucha, które wkrótce przerodzą się w gwałtowne wymioty i ostrą biegunkę. Potem nastąpi niekontrolowane oddawanie moczu i krwawienie błony śluzowej oczu, nosa, ust i genitaliów. Drgawki, zawroty głowy oraz skurcze mięśni zakończą się paraliżem i konwulsjami.

Bezpośrednią przyczyną zgonu będzie jednak załamanie się układu oddechowego. Cyndex zawdzięcza swoją niezwykle toksyczną łatwość, z jaką penetruje centralny układ nerwowy.

Gdy Werner skończył, wszyscy siedzieli przez minutę w milczeniu, oszołomieni. Potem Garry zapytał cicho:

– Jeśli cyndexu nigdy nie testowano na ludziach, to w jaki sposób przewidujecie, że wystąpią właśnie takie objawy?

– Początkowo korzystaliśmy z danych o skutkach wywoływanych przez inne tego typu gazy, w szczególności sarin – powiedział Werner Stolz, po raz pierwszy wyglądający na zakłopotanego. – Następnie gaz został przetestowany na

prymitywnych małpach człekokształtnych. – Odchrząknął. – Do testów laboratoryjnych używano szympanów.

Wiele trudu kosztowało Isabelle powstrzymanie się od okazania odrazy albo wściekłości. Nie była jednak w stanie opanować przerażenia, kiedy dyrektor dodał:

– Okazało się jednak, że szympany są bardzo drogimi zwierzętami laboratoryjnymi. Mamy szczęście, że możemy rozporządzać niemal nieograniczoną liczbą tanich i absolutnie satysfakcjonujących zwierząt w rodzaju *Papio ursinus*, pawianów czakma, które żyją w Afryce Południowej i nadal licznie tu występują.

– Nie będziemy chyba przeprowadzać testów na żywych zwierzętach? – głos Isabelli zabrzmiał przenikliwie nawet w jej uszach i natychmiast pożałowała swego wybuchu; próbowała odzyskać równowagę. – To znaczy, czy to jest konieczne?

Wszyscy się jej przyglądali, a ona zarumieniła się wściekła na siebie, że wykazała się takim brakiem opanowania. Garry przerwał milczenie.

Mówił beztrzesko, ale za soczewkami jego okularów krył się stalowy błysk.

– Pawian nie jest moim ulubionym zwierzęciem. Widziałem, jak w Camdeboo zabijały małe owce, aby zjeść mleko, które zsiadło się w ich żołądkach. Nana może ci opowiedzieć o zniszczeniach, jakie poczyniły w jej różach i ogródku warzywnym. Jestem pewien, że wszyscy podzielamy twój wstręt i niechęć do zadawania niepotrzebnego cierpienia wszelkim żywym istotom – przerwał na chwilę – jednakże w tym wypadku rzecz dotyczy obronności naszego kraju, bezpieczeństwa jego obywateli, a także wielu milionów dolarów, które będą musieli wyłożyć Courtneyowie.

Spojrzał na Shasę, który skinął aprobowująco głową.

– Krótko mówiąc, obawiam się, że odpowiedź brzmi: tak. Musimy przeprowadzić testy. Lepiej, żeby zginęły jakieś zwierzęta niż nasi rodacy. Nie jest to przyjemna myśl, ale testy są niezbędne. Przykro mi, Bellu. Jeśli to cię gorszy, nie musisz brać już udziału w pracach nad tym projektem. Możesz zrezygnować ze swojego miejsca w radzie Capricornu i nie będziemy więcej o tym rozmawiać. Zrozumiemy i uszanujemy twoje uczucia.

– Nie – potrzęsnęła głową. – Wiem, że to konieczne. Przepraszam, że poruszyłam ten temat. – Zdała sobie sprawę z tego, jak niewiele brakowało, by zawiodła Nicholasa i Ramona. Ich bezpieczeństwo i wolność warte były każdej ceny, którą kazano by jej zapłacić. Zmusiła się do uśmiechu i beztrzeskiego tonu:

– Nie pozbędziecie się mnie tak łatwo. Zatrzymam swoje miejsce, dziękuję bardzo. – Całą uwagę skierowała ponownie na Wernera Stolza.

Twarz Isabelli przybrała wyraz uprzejmego zainteresowania, a dłonie spoczywały spokojnie na kolanach.

„To jest jedyny plan, o którym Czerwona Róża będzie donosić bez żadnych skrępułów” – obiecała sobie.

Isabella wysłała paczkę trzy dni po powrocie do Kapsztadu.

W ciągu lat pomiędzy nią a siłami, które ją kontrolowały, wytworzył się pewien rutynowy sposób postępowania. Kiedy chciała przekazać jakieś informacje, wysłała telegram do Londynu, który podpisywała swoim pseudonimem, i zwykle w ciągu dwudziestu czterech godzin otrzymywała instrukcje wyjaśniające, w jaki sposób ma te informacje przekazać. Zawsze odbywało się to w ten sam sposób. Podawano jej czas i miejsce, w którym miała zaparkować swoje porsche. Był to miejski parking, czasami promenada w starym forcie albo kino samochodowe, lub też jeden z wielkich supermarketów na przedmieściach.

Meldunek wkładała do koperty, którą umieszczała pod siedzeniem kierowcy, i nie zamykała drzwi samochodu. Kiedy wracała jakieś pół godziny później, koperty już nie było. Jeśli oni mieli dla niej jakąś wiadomość czy instrukcje, postępowali w ten

sam sposób, a po powrocie do samochodu, pod siedzeniem kierowcy znajdowała kopertę z wypisanymi na maszynie poleceniami.

Po konferencji w Maison des Alizes Garry osobiście zebrał wszystkie oprawione w skórę teczki z dossier i dopilnował, by ich zawartość została zniszczona. Zależało mu na tym, aby żadne dane dotyczące planów cyndexu nie wpadły w niepowołane ręce. Isabella zapisała sobie podczas dyskusji parę szczegółów, ale te notatki również jej odebrał.

– Nie ufasz mi, Misiu? – obróciła to w żart, ale mimo że się uśmiechnął, pozostał niewzruszony.

– Nie ufam nawet sobie – powiedział i wyciągnął rękę po jej notatnik. – Jeśli chcesz zapamiętać jakieś szczegóły, to przyjdź do mnie, Bellu, ale niczego nie zapisuj... mówię ci, niczego.

Była na tyle rozsądna, że nie spierała się z nim.

Mimo że nie dysponowała żadnymi notatkami, jedynym słabym punktem raportu, który wysłała, był skład chemiczny cyndexu 25. Wiedziała, że jest to organofosforat z grupy G gazów paraliżujących, ale nie mogła sobie przypomnieć dokładnej atomowej struktury części składowych czy kolejności faz produkcji. Podała im jednak proponowaną lokalizację fabryki oraz tymczasowy plan prac budowlanych. Przewidywano, że produkcja rozpocznie się w ciągu siedmiu miesięcy.

Na tym etapie jedynym składnikiem, który trzeba importować, był prekursor fosforanu – i znowu nie miała pewności co do dokładnego składu chemicznego tego czynnika. Ale poinformowała ich, że powodem, dla którego ten katalizator nie mógł być wytworzony w Afryce Południowej – przynajmniej na razie – było to, iż nieosiągalny był tu odpowiedni gatunek stali nierdzewnej na urządzenie, w którym należało go wymieszać. W związku z tym państwowe huty miały rozpocząć produkcję takiej właśnie stali i w ciągu osiemnastu miesięcy wyprodukować wystarczającą jej ilość. Wówczas cyndex byłby w stu procentach południowoafrykańskim produktem. Do tego czasu natomiast prekursor miał być dostarczany przez jedną z najważniejszych firm koncernu Pignatelli, która miała swą siedzibę w Tajpej, gdzie składowano już zapasy wystarczające na pierwszy rok pracy fabryki Capricornu.

Oprócz problemu z dostawą odpowiedniej stali była jeszcze jedna trudność, którą przewidziano na konferencji: znalezienie wykwalifikowanych techników do pracy w fabryce. Pignatelli Chemicals odmówiło dostarczenia jakiegokolwiek personelu, pracownicy mieli więc pochodzić z Wielkiej Brytanii lub Izraela. Na konferencji położono nacisk na dokładne sprawdzenie wszystkich zatrudnianych obcokrajowców.

Pozostała część raportu Isabelli obejmowała transport, przechowywanie i stosowanie gazu w czasie działań wojennych. Jako środki transportu mogłyby służyć – po odpowiedniej adaptacji – zarówno helikoptery Puma, jak również myśliwce odrzutowe Impala, należące do sił zbrojnych Afryki Południowej. Co więcej, natychmiast miały się rozpocząć prace nad zaprojektowaniem i testowaniem pocisku do działa G5, który miał być oznaczony „155 mm CW (Chemical Warfare) ERFB Cargo”. Mieścił on jedenaście kilogramów cyndexu 25 i mógł być wystrzelony na odległość trzydziestu pięciu kilometrów. Obroty pocisku podczas lotu sprawiłyby, że zawory w głowicy otwierałyby się odśrodkowo i oba składniki gazu łączyłyby się przed uderzeniem w cel.

W pełni zdawała sobie sprawę z tego, jak ważne były to informacje, ośmieliła się więc dopisać ostatnią linijkę w swoim raporcie, który liczył dwadzieścia sześć stron: Czerwona Róża prosi o jak najszybszy kontakt.

Z niepokojem oczekiwała odpowiedzi, lecz bez skutku. Gdy czas mijał, a odpowiedź nie nadchodziła, zrozumiała, że karano ją za zuchwałość i na początku się buntowała. Ale kiedy tygodnie przeradzały się już w miesiące, zaczęła się naprawdę

martwić. Pod koniec drugiego miesiąca wysłała nędzne przeprosiny: Czerwona Róża bardzo przeprasza za przedstawienie natarczywej prośby o kontakt. Żadna niesubordynacja nie była zamierzona. Oczekuje dalszych rozkazów.

Uplłynął jeszcze miesiąc, nim nadeszły te rozkazy. Polecono jej użyć wszelkich możliwych środków, aby wejść w skład zespołu Capricorn Chemicals, który pojedzie do Londynu i Izraela w celu przeprowadzenia rozmów i naboru pracowników do fabryki cyndexu.

Isabella nie bardzo wiedziała, w jaki sposób ma wytłumaczyć Garry'emu, dlaczego chce zostać członkiem tego zespołu. Co mogła mu powiedzieć, by nie wzbudzić podejrzeń? Łamała sobie nad tym głowę przez kilka tygodni, do następnego zebrania zarządu CCI, a w czasie spotkania wszystko nagle poukładało się samo z łatwością, która ją zadziwiła.

Temat rekrutacji pojawił się w trakcie rozmów, chociaż nie było go w porządku dnia, a Isabella skorzystała ze sposobności i przedstawiła swoje poglądy na ten temat, wygłaszając zaimprovizowane, lecz jasne i wyważone przemówienie.

Kiedy skończyła, zauważyła, że zrobiła na Garrym duże wrażenie; powiedział nie do końca żartobliwym tonem:

– A może powinniśmy tobie powierzyć to zadanie, doktor Courtney? Wzruszyła ramionami, żeby nie okazać, jak jej na tym zależy.

– Dlaczego nie? Przy okazji mogłabym wyskoczyć na jakieś zakupy, przydałoby mi się kilka nowych sukienek.

– Typowa kobieta – westchnął Garry, ale po sześciu tygodniach znów znalazła się w mieszkaniu na Cadogan Square. Oboje przeprowadzali wstępne rozmowy z kandydatami w jadalni.

Pierwszej nocy po jej przyjeździe do Londynu odebrała anonimowy telefon. Nie rozpoznała głosu. Informacja była bardzo prosta.

– Czerwona Różo, jutro będziesz rozmawiać z Benjaminem Africą. Ma zostać wybrany.

To nazwisko nic jej nie mówiło, więc zajrzała do akt. Ze zdumieniem stwierdziła, że Benjamin Africa urodził się w Kapsztadzie. Był to jego najmocniejszy punkt, bo pomimo że ukończył inżynierię chemiczną na Uniwersytecie w Leeds, był zdecydowanie zbyt młody – miał tylko dwadzieścia cztery lata. Dopiero od dwóch lat pracował jako doradca naukowy w jednej z fabryk koło Liverpoolu, które należały do Imperial Chemical Industries.

Isabella zdawała sobie sprawę, że za pensje, którą oferują, znajdą setki chętnych o podobnych lub lepszych kwalifikacjach. Nie mogła więc go umieścić na żadnym z wyższych stanowisk. Ale pozostawały jeszcze dwa miejsca dla młodszego personelu.

Benjamin Africa był trzecią osobą, z którą miała rozmawiać tego ranka. Kiedy wszedł do jadalni w mieszkaniu na Cadogan Square o godzinie jedenastej, Isabella zamarła z przerażenia.

Benjamin Africa był Koloredem, ale nie to tak ją przeraziło. Człowiek ten był jej bratem przyrodnym, którego znała jako Bena Game, nieślubnym synem jej matki i słynnego terrorysty, czarnego rewolucjonisty, Mosesa Gamy.

Przeżyła tak wielki wstrząs, że nie mogła wydobyć głosu. Czuła w głowie natłok niespokojnych, bezładnych myśli. Imienia tego człowieka, jak również jego matki nigdy nie wymieniano w Weltevreden – po tylu latach skandal i związana z nim tragedia wciąż kładły się cieniem na życie rodziny. W jaki sposób mogłaby zapewnić Benjaminowi pracę w jednym z przedsiębiorstw Courtneyów? Nana dostanie przepukliny, ojciec zaś wpadnie w złość. A jeszcze Garry...

Na szczęście dla Isabelli dyrektor do spraw zatrudnienia CCI również miał niezadowoloną Mine, chodziło jedynie o kolor skóry Benjamin. W czasie długiego,

ciężkiego milczenia, które zapadło po wejściu kandydata do pokoju, Isabella zapanowała nad sobą. Benjamin nie okazał w żaden sposób, że ją zna, więc postanowiła tak samo się zachowywać.

Nagle dyrektor CCI zerwał się z krzesła i pragnąc zatuszować swą pierwszą reakcję, wyciągnął dłoń do Benjaminą.

– Jestem David Meekin, szef do spraw zatrudnienia w CCI. Miło mi pana poznać, młody człowieku – mówił z entuzjazmem, przysuwając mu krzesło. – Dokładnie przestudiowaliśmy pana referencje i życiorys. Imponujące, robią duże wrażenie.

Poprosił Benjaminą, aby usiadł i poczęstował go papierosem.

– To jest doktor Courtney, która jest dyrektorem CCI – przedstawił Isabelle.

Mężczyzna uniósł się nieco i lekko pochylił.

– Bardzo mi miło.

Isabella nie ufała sobie na tyle, by się odezwać. Skinęła głową i całą uwagę skoncentrowała na podaniu Benjaminą, a Meekin rozpoczął rozmowę.

Zadawał rutynowe pytania dotyczące pracy Benjaminą w ICI i powodów, dla których ubiegał się o to stanowisko, ale najwyraźniej się do tego nie przykładał, po prostu chciał to mieć już za sobą. Tymczasem Isabella przygotowywała swoje plany. Skoro nic jej nie powiedziało nazwisko Africa to było mało prawdopodobne, by ktoś inny w domu je rozpoznał. O ile wiedziała, nikt w rodzinie, z wyjątkiem Michaela, nigdy nie widział Benjaminą. Nie było również powodu, by kiedykolwiek mogło do tego dojść. Zajmowałby on niskie stanowisko w jednej z setki firm w mieście odległym od Weltevreden o tysiąc mil. Oczywiście, mogła liczyć na to, że Michael udzieli jej i Benowi wsparcia.

David Meekin nie miał już więcej pytań i spojrzał na Isabelle.

– Widzę, że urodził się pan w Kapsztadzie, panie Africa – odezwała się po raz pierwszy. – Czy nadał ma pan obywatelstwo RPA. Nie naturalizował się pan w Wielkiej Brytanii?

– Nie, doktor Courtney – potrząsnął przecząco głową Ben. – Wciąż jestem obywatelem Afryki Południowej. Mam paszport wydany przez South Africa House w Londynie.

– Dobrze. Proszę powiedzieć nam nieco o swojej rodzinie. Czy ciągle mieszka w Kapsztadzie?

– Ojciec i matka byli nauczycielami. Zginęli w wypadku samochodowym w 1969 roku.

– Bardzo mi przykro – rzuciła okiem na akta. Prawdopodobnie Tara, ich matka, chciała ukryć istnienie Bena przez spreparowanie jego aktu urodzenia. Można to z łatwością sprawdzić. Znowu spojrzała na swego brata.

– Mam nadzieję, że wybaczy mi pan następne pytanie, choć może zabrzmieć dość impertynencko. Capricom Chemicals to kontrahent Armscoru i wszyscy jego pracownicy są sprawdzani przez południowoafrykańskie służby specjalne. Najlepiej byłoby, gdyby powiedział nam pan teraz, czy należy pan lub kiedykolwiek należał do jakiejś organizacji politycznej.

Ben uśmiechnął się nieznacznie. Był naprawdę przystojnym młodym mężczyzną. Dzięki jakiemuś szczęśliwemu zbiegowi okoliczności odziedziczył najlepsze cechy obu ras swoich przodków.

– Chce pani wiedzieć, czy jestem członkiem Afrykańskiego Kongresu Narodowego? – zapytał, a usta Isabelli ściągnęły się ze złości.

– Albo jakiejś innej radykalnej organizacji politycznej – rzekła oschle.

– Nie interesuje mnie polityka, doktor Courtney. Jestem naukowcem i inżynierem. Należę do Związku Inżynierów i do żadnej innej organizacji.

A więc nie był zainteresowany polityką? Przypomniała sobie ostrą dyskusję, w

którą wdali się podczas ich ostatniego spotkania – kiedy to było? Prawie osiem lat temu, stwierdziła ze zdumieniem. Oczywiście, instrukcje, które otrzymała Czerwona Róża, zadawały kłam jego zaprzeczeniom. Musi być ostrożna.

– Proszę wybaczyć osobisty charakter następnego pytania, ale pana szczere odpowiedzi mogą nam później zaoszczędzić wielu kłopotów. Musi pan zdawać sobie sprawę z sytuacji rasowej, jaka panuje w Afryce Południowej. Jako osoba kolorowa zostanie pan pozbawiony praw wyborczych, co więcej, będzie pan musiał podporządkować się przepisom prawnym i polityce nazywanej apartheidem, która – łagodnie mówiąc – ogranicza wiele praw, uważanych tu, w Londynie, za coś normalnego.

– Tak, wiem, co to jest apartheid – oświadczył Ben.

– Więc dlaczego chce pan zrezygnować ze wszystkiego, co ma tutaj, i pragnie powrócić do kraju, w którym będzie traktowany jak obywatel drugiej kategorii i gdzie perspektywy awansu ograniczy kolor pańskiej skóry?

– Jestem Afrykaninem, doktor Courtney. Chcę wrócić do domu. Myślę, że mogę przysłużyć się mojemu krajowi i mojemu narodowi. Uważam, że będę mógł porządnie żyć w kraju, w którym się urodziłem.

Przyglądali się sobie przez długą chwilę, aż w końcu Isabella powiedziała łagodnie:

– Nie znajduję niczego złego w tych sentymentach, panie Africa. Dziękuję za przybycie na tę rozmowę. Mamy pana adres i numer telefonu. Skontaktujemy się, gdy zostaną podjęte decyzje.

Kiedy Ben wyszedł, oboje milczeli przez chwilę. Isabella wstała i podeszła do okna. Spoglądając w dół na plac zobaczyła, jak Benjamin wyszedł z budynku głównym wejściem. Zapinając płaszcz spojrzął do góry i dostrzegł ją w oknie na drugim piętrze. Podniósł jedną rękę w geście pożegnania, po czym ruszył ku Pont Street i skręcił za róg.

– Cóż – powiedział David Meekin – tego możemy wykreślić z listy.

– Z jakiego powodu? – zapytała Isabella.

Meekin był zaskoczony. Myślał, że ona zgodzi się bez sprzeciwu.

– Kwalifikacje, doświadczenie...

– Kolor skóry? – zasugerowała.

– To również – kiwnął głową. – W Capricornie mógłby objąć stanowisko, na którym wydawałby polecenia białym pracownikom. Może byłby zwierzchnikiem białych kobiet. Pojawiłyby się problemy.

– W innych firmach należących do naszej rodziny jest przynajmniej tuzin kolorowych dyrektorów – zauważyła Isabella.

– Tak, wiem o tym – zgodził się Meekin pospiesznie – ale są szefami Murzynów, nie białych.

– Mój ojciec i mój brat bardzo chętnie promują Murzynów i Kolorodów na kierownicze stanowiska. Szczególnie mój brat uważa, że jedynie zapewnienie dobrobytu i możliwości sprawowania odpowiedzialnych funkcji dla wszystkich grup naszego społeczeństwa jest receptą na długofalowy pokój i harmonię w naszym kraju.

– Zgadzam się z tym w stu procentach.

– Uważam, że pan Africa to niezwykle człowiek. Zgadzam się, jest dosyć młody i brakuje mu doświadczenia, aby objąć któreś z wysokich stanowisk, ale...

Meekin natychmiast zmienił taktykę.

– Proponuję wpisać go na listę kandydatów na asystenta technicznego dyrektora.

– Popieram tę propozycję z całego serca.

Isabella obdarzyła go swym najśłodszym uśmiechem, któremu najtrudniej było się oprzeć. Nie pomyliła się w swojej ocenie. David Meekin bardzo ściśle trzymał się

pewnych zasad, ale nie znaczyło to, że nie można czegoś u niego wynegocjować.

Wywiad z ostatnim kandydatem zakończyli o czwartej po południu. Gdy tylko Meekin udał się do hotelu „Berkeley”, Isabella zatelefonowała do matki.

– Hotel „Lord Kitchener”, dzień dobry – poznała jej głos.

– Cześć, Taro. Mówi Isabella – i dodała dla podkreślenia: – Isabella Courtney, twoja córka.

– Bellu, moje dziecko. Tyle czasu. To już chyba osiem lat. Myślałam, że zapomniałaś o swojej starej mamie.

Zawsze sprawiała, że Isabella czuła się winna i teraz także wymyśliła sobie niezdarną wymówkę.

– Przepraszam, Taro. Życie płynie tak szybko. Jakoś nie mam na nic czasu...

– Tak, Mickey mówi mi o twoich sukcesach. Jesteś teraz panią doktor Courtney i senatorem – potok słów Tary płynął bez przerwy. – Bellu, jak możesz wiązać się z tą bandą rasistowskich bigotów, którzy nazywają siebie Partią Narodową? W cywilizowanym społeczeństwie John Vorster już dawno zostałby zesłany na galery.

– Taro, czy jest tam Ben? – przerwała jej Isabella.

– Wiedziałam, że to, iż moja córka chce ze mną porozmawiać, jest zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe – w jej głosie było słycać cierpienie, które musiała znosić od dawna. – Zawołam go.

– Halo, Bellu – odezwał się niemal natychmiast.

– Musimy porozmawiać – powiedziała.

– Gdzie? – zapytał.

– Hatchards.

– Księgarnia na Picadilly? OK. Kiedy?

– Jutro o dziesiątej rano.

Ben był w dziale afrykańskiej literatury pięknej, kartkował powieść Nadine Gordimer. Stała obok niego i wyjęła z półki jakąś książkę na chybił trafił.

– Ben, nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi.

– Złożyłem podanie o pracę, Bellu. Po prostu – uśmiechnął się.

– I nie chcę rozumieć – dodała szybko. – Tylko powiedz mi, czy naprawdę masz autentyczne dokumenty na nazwisko Africa?

– Tara zgłosiła moje urodziny podając nazwisko pewnej pary Kolorodów, jej przyjaciół. Nigdy nie wyszła za mojego ojca. Oczywiście, ich związek był nielegalny. Mogła zostać aresztowana za to, że kochała Mosesa Gamę i za to, że mnie urodziła. – Jego ton był beztroski, a na ustach pojawił się nawet uśmiech. Szukała jakiegoś śladu goryczy lub złości, ale niczego nie znalazła. – Oficjalnie nazywam się Benjamin Africa. Mam akt urodzenia i południowoafrykański paszport na to nazwisko.

– Muszę cię ostrzec, Ben. Courtneyowie czują wielką gorycz i nienawiść. Twego ojca uznano za winnego zabójstwa drugiego męża Nany, to znaczy męża Centaine Courtney-Malcomess.

– Tak, wiem.

– Ty i ja nigdy nie będziemy mogli przyznać się do siebie w Afryce Południowej.

– Rozumiem.

– Gdyby Nana, gdyby moja babka albo ojciec kiedykolwiek dowiedzieli się o tobie... no, nie wiem, jakie mogłyby być tego konsekwencje.

– Ja im tego nie powiem.

– Jeśliby to zależało ode mnie, nigdy... – przerwała i zniżyła głos. – Ben, bądź ostrożny. Nie mieliśmy szansy, by się do siebie zbliżyć, dzieli nas przepaść, mimo to jesteś moim bratem. Nie chcę, żeby cokolwiek złego ci się stało.

– Dziękuję ci, Bellu – wciąż uśmiechał się beztrosko; wiedziała, że nigdy nie

przebija się przez zasłonę. Mówiła dalej nie podnosząc głosu.

– Powiadomię Michaela, że wyruszasz do Afryki. Proszę, uwierz mi, że ci pomogę, jak tylko będę mogła. Gdybyś mnie potrzebował, daj znać Michaelowi. Nie powinniśmy się kontaktować, kiedy przyjedziesz do kraju.

Impulsywnie objęła go i przytuliła.

– Och, Ben, Ben. Na jakim strasznym świecie żyjemy. Jesteśmy bratem i siostrą, a jednak... To okrutne i nieludzkie, nienawidzę tego.

– Może będziemy mogli pomóc zmienić ten świat – on również ją uściskał.

– Jest wiele rzeczy, o których nigdy nie będę mogła ci powiedzieć, Ben. Te siły są poza naszym zasięgiem. Jeśli spróbujemy się im opierać, zmiążdżą nas. Są dla nas zbyt potężni.

– A jednak niektórzy z nas muszą próbować.

– O Boże, Ben. Przerażasz mnie, kiedy tak mówisz.

– Do widzenia, Bellu – powiedział ze smutkiem. – Myślę, że moglibyśmy być dla siebie dobrzy... gdyby tylko los zrzucił inaczej. – Włożył powieść Gordimer z powrotem na półkę i wyszedł na Picadilly nie odwracając się do niej.

W ciągu lat stało się tradycją, że kiedy Isabella była w Johannesburgu, zatrzymywała się u Garry'ego i Holly.

Zanim Holly porzuciła karierę zawodową, aby zostać żoną i matką na pełnym etacie, była jednym z najlepszych architektów w kraju. Jej projekty zdobywały międzynarodowe nagrody. Gdy rozpoczynali budowę swojego domu, Garry, który nigdy nie był skąpy, dał jej wolną rękę w sprawie wydatków i zachęcał, aby zaprojektowała swoje ostatnie arcydzieło. Udało jej się pogodzić obfitość i przestrzeń z takim smakiem i inwencją, że ich siedziba stała się ulubionym schronieniem Isabelli. Woląta to miejsce nawet od Weltevreden.

Rodzina jadła śniadanie jak zwykle na sztucznej wyspie na środku miniaturowego jeziora. W taki poranek, kiedy słońce złoćło ziemię, dach pagody zsunięto za pomocą elektrycznie napędzanego urządzenia. Po brzegu jeziora spacerowały flamingi, wędrownie ptaki, które zatrzymywał tu ten skrawek wody lśniący niczym klejnot.

Starsze dzieci były ubrane w mundurki i gotowe do odbycia codziennej pokuty. Isabella karmiła najmłodszą latorośl, swoją roczną chrześniaczkę i obie były z tego niezmiernie zadowolone. Rozbudziło to jej udręczony instynkt macierzyński.

Garry w koszuli z krótkimi rękawami, na której widać było szerokie, kolorowe szelki, zajął swe miejsce przy stole i zapalił pierwsze cygaro tego dnia.

– Kto mówił, że jestem zbyt wrażliwa? – Isabella zapytała go ostro, wkładając łyżeczkę z kawałkiem jajka do ust bratanicy i wycierając z jej brody to, co nie zmieściło się w buzi.

– Tu w ogóle nie chodzi o nadwrażliwość – zaprotestował Garry zbyt głośno. – Mam dziś rano pięć spotkań, a po południu bal w celach charytatywnych, który wydaje Holly. Pozwól mi chwilę wytchnąć, Bellu.

– Mógłbyś odwołać któreś z tych spotkań – zauważyła Isabella. – Albo nawet wszystkie.

– Posłuchaj, kochanie ty moje. Będzie tu taki tłum polityków i generałów, że niczego do rozkładu dnia nie uda mi się wcisnąć.

– Nie wyjeżdżaj do mnie z tymi irlandzkimi odzywkami, na Boga. Masz pietra i oboje o tym wiemy.

Garry zaśmiał się głośno, co było typowym dla niego unikiem i zwrócił się do Holly.

– O której musimy być tutaj dziś wieczorem, skarbie? Ale Holly wzięła stronę



Isabelli.

– Dlaczego mieszasz Bellę w tak paskudną sprawę? – dopytywała się.

– Niczego takiego nie robię. – Garry nieprzekonywająco udawał oburzenie. – To wyłącznie jej decyzja.

Spojrzał na zegarek i zaryczał groźnie na dzieci:

– Małe potworki, spóźnicie się do szkoły. Uciekać mi stąd!

Nie okazały najmniejszego przestrochu, kiedy ustawiły się w kolejce, aby go pocałować na pożegnanie, po czym pobiegły, stukając butami po moście jak oddział kawalerii.

– Na mnie też już czas.

Bella wytarła usta swojej chrześniaczki i wstała, ale Garry ją zatrzymał.

– Bellu, przepraszam cię. Wiem, złośliwie żartowałem, że sobie nie poradzisz.

Jesteś twarda jak żaden mężczyzna, którego znam. Nie musisz tego udowadniać.

– A więc przyznajesz, że stchórzyłeś? – zapytała.

– No dobra – poddał się. – Do diabła, nie chcę na to patrzeć. Ty też nie musisz.

– Jestem dyrektorem Capricornu – powiedziała i sięgnęła po torebkę i aktówkę. –

Do zobaczenia o ósmej.

Gdy wsiadała do porsche, poczuła się nagle winna. Prawdziwym powodem jej uporu, by być świadkiem testowania cyndexu 25, nie było poczucie obowiązku ani chęć pokazania, jak bardzo była nieustępliwa.

W ostatnim komunikacie, jaki otrzymała Czerwona Róża, obiecano jej spotkanie z Nickym, jak tylko poinformuje ich, że testy zostały pomyślnie przeprowadzone.

Jazda nową autostradą do Germiston zajęła jej niewiele ponad godzinę. Fabrykę dla Capricorn Chemicals zaprojektowała Holly, jej gust i rękę można było rozpoznać na pierwszy rzut oka. Nie wyglądało to na fabrykę. Założono trawniki, wokół rosły drzewa, a teren tak pomysłowo zagospodarowano, że najbrzydsze fragmenty zostały ukryte. Budynki były porzucane na powierzchni setek akrów.

Figurka przedstawiająca stojącego dęba kozła – logo Capricornu – górowała nad główną bramą. Isabella nacisnęła przycisk i brama się rozsunęła. Umundurowani strażnicy zasalutowali, gdy przejeżdżała obok nich.

Wszystkie miejsca dla gości na parkingu za głównym budynkiem administracyjnym były zajęte. Stały tu głównie czarne limuzyny z tablicami rejestracyjnymi wskazującymi, że należą do ministrów lub z wojskowymi chorągiewkami, powiewającymi na błotnikach.

Wjechała na górę windą do gabinetu dyrektora. Zgromadzenie było niewielkie, prawie jak rodzina. Wśród dwudziestu paru osób była jedyną kobietą. Politycy i urzędnicy państwowi nosili ciemne garnitury, a wojskowi mieli na sobie mundury. Przybyli tu wszyscy najważniejsi przedstawiciele administracji państwowej, łącznie z tajną policją i wszystkimi generałami.

Znała ponad połowę gości, między innymi ministra i dwóch wiceministrów. Wystawiono stół z przekąskami i alkoholem, ale nikt nie pił niczego mocniejszego niż kawa. Rozmowy prowadzono wyłącznie w afrikaans i po raz kolejny uderzyła ją różnica pomiędzy tymi dwoma białymi rasami. Anglicy byli pochłonięci luksusami i dobrami materialnymi, finansami i handlem. Afrykanerzy żyli w świecie władzy politycznej i wojskowej. Zebrała się tu część najbardziej wpływowych ludzi w kraju. Chociaż przy z Courtneyach byli biedakami, ich wpływy polityczne obejmowały całe społeczeństwo. W porównaniu z nimi Courtneyowie prawie się nie liczyli. W zamkniętych kręgach władzy, nieco na sowiecką modłę, dominowali wojskowi, którzy tworzyli swoją własną kastę i których siłę musiał respektować nawet prezydent.

Skierowała się w stronę najważniejszych gości, po drodze wymieniając

pozdrowienia, uściski dłoni i uśmiechy. W tym patriarchalnym społeczeństwie wyrobiła sobie niezwykłą pozycję. Przyjmowali ją niemal tak, jakby była im równa.

„Jestem jakby honorowym mężczyzną” – pomyślała i uściśnęła dłoń ministrowi obrony, po czym zwróciła się do jego zastępcy z odpowiednim uśmiechem na twarzy.

– Dzień dobry, generale De La Rey – powitała go czystą, potoczną odmianą afrykańską. Lothar De La Rey był pierwszą wielką namiętnością w jej życiu. Romans trwał sześć miesięcy, dopóki nie porzucił jej, by ożenić się z Afrykanerką z holenderskiego Kościoła protestanckiego. Gdyby tego nie zrobił, nie byłby teraz wiceministrem, a mówiono, że perspektywy jego politycznej przyszłości są nieograniczone.

– Dzień dobry, doktor Courtney – pozdrowił ją równie uprzejmie, ale nie mógł patrzeć jej prosto w oczy. Objął tylko szybkim spojrzeniem całą postać.

„No dalej, kochasiu – pomyślała wiedząc, że nigdy w życiu nie wyglądała tak atrakcyjnie jak obecnie. – Cierp, a potem wróć do swojej grubej farmerki”.

Mimo że wciąż żywiła do niego urazę, musiała przyznać, że on również wyglądał dobrze. Wielu Afrykanerów przybiera na wadze, gdy kończą się czasy ich gry w rugby. Lothar był tak samo szczupły i przystojny jak dziesięć lat temu.

„Pewnie jest gotowy na małą przygodę – pomyślała – a z pewnością miałby coś ciekawego do opowiedzenia na dobranoc. Z rozkoszą zemściłabym się na tobie” – rzekła do siebie. Zastanawiała się już nad tym, by zniszczyć jego karierę. Z przyjemnością umieściłaby go na liście informatorów Czerwonej Róży. Potem zupełnie nieoczekiwanie pomyślała o Ramonie, o jej Ramonie i zainteresowanie osobą Lothara osłabło.

„Tylko w ramach obowiązków” – zdecydowała, i w tej właśnie chwili spojrzął na nią naczelny dyrektor Capricornu.

Wygłosiła krótką mowę powitalną i przeprosiła za nieobecność prezesa. Następnie zaprosiła ich do sali projekcyjnej na pokaz.

Capricorn przygotował film wideo bardzo profesjonalnie. Włączono do niego komputerowe symulacje i impresje artystyczne na temat produkcji i zastosowania cyndexu 25 w czasie walki. Podczas projekcji Isabella rozejrzała się po zaciemnionym pokoju. Widziała, jak wojskowi ekscytowali się nową bronią. Patrzyli na ekran w pełnym skupieniu, a kiedy taśma się skończyła, rozgorzała wśród nich zażarta dyskusja.

Kiedy wstał Paul Searle, izraelski dyrektor techniczny, którego zaangażowała w Tel-Awiiwie, i poprosił o komentarz, zasypano go gradem pytań. Isabella zauważyła, że do tej pory Ben się nie pokazał. Jego brązowa twarz ukrywała się gdzieś w ciemnym kącie pokoju. W końcu jeden z generałów zadał pytanie, którego tak się obawiała.

– Czy ten gaz był kiedykolwiek wypróbowany na ludziach? Jeśli tak, to czy moglibyśmy poznać szczegóły?

– Może generał dostarczy nam nadwyżki kubańskich jeńców z Angoli? – zaproponował dyrektor, a wojskowi roześmiali się, rozbawieni tym czarnym dowcipem.

– Mówiąc poważnie, generale, odpowiedź na pana pytanie brzmi: nie. Środek ten był jednak szczegółowo badany w laboratoriach na innych kontynentach. Osiągnięto bardzo dobre rezultaty. Prawdę mówiąc, przygotowaliśmy dzisiaj dla państwa pierwszy test w naszym kraju.

Wydział pestycydów i środków trujących Capricorn Chemicals znajdował się w odległości pół mili od budynku administracji. Towarzystwo udało się tam kolumną samochodów, na której czele jechał czarny cadillac ministra. Isabella siedziała za nim i pokazywała mu najciekawsze elementy fabryki.

– W tym oddziale dokonuje się proces wzbogacania uranu. Widzi pan, że zaaranżowaliśmy to w ten sposób, by wyglądał na przedłużenie rafinerii...

Minister obrony miał reputację człowieka bardzo wybuchowego. Ale ona nigdy nie miała z nim problemów, szanowała go za jego oddanie i polityczną wnikliwość. Ucieli sobie przyjacielską pogawędkę w czasie tej krótkiej podróży. Zatrzymali się przed wejściem do wydziału pestycydów i środków toksycznych.

Była to oddzielna grupa budynków w obrębie całego kompleksu odgradzona siatką wysoką na dwanaście stóp. Wisiały na niej tabliczki ostrzegawcze z trupimi czaszkami oraz napisami w trzech językach: „Niebezpieczeństwo! Gevaar! Ingozi!”

Strażnicy przy bramie trzymali na smyczach rottweilery. Fabryka była ukryta wśród drzew. Budynek był długi i niski, ściany pokryto naturalnymi kamieniami, a we wszystkich oknach, które wychodziły na zewnątrz, były lustrzane szyby. Kolejne straże stały przy wejściu, nawet ministra poproszono, by przeszedł przez elektroniczny skaner.

Izraelski dyrektor poprowadził ich przez szereg wyłożonych dywanami korytarzy, które były oddzielone od siebie stalowymi, ognio- i gazoodpornymi drzwiami. W końcu weszli do nowej sekcji cyndexu. Budynek był tak nowy, że jeszcze pachniał świeżym cementem. Zebrali się wszyscy w małej poczekalni przed wejściem. Kiedy drzwi zatrzasnęły się za nimi, odezwał się dyrektor.

– W tej części budynku są stosowane szczególne środki bezpieczeństwa. Proszę zwrócić uwagę na wentylację – wskazał ręką na ściany. – Skład powietrza w budynku znajduje się pod stałą kontrolą. Gdyby, co jest bardzo mało prawdopodobne, pojawiła się jakaś nieszczelność, powietrze zostanie wypompowane i wymienione w ciągu dziesięciu sekund. – Jeszcze przez kilka minut rozwodził się nad systemem bezpieczeństwa w budynku. – Ale dla jeszcze większego bezpieczeństwa państwa, proszę o włożenie skafandrów ochronnych przed wejściem do głównej części fabryki.

Dla mężczyzn i kobiet były oddzielne przebieralnie. Koloredka pomogła rozebrać się Isabelli do bielizny i powiesiła jej zakiet w jednej z szafek. Następnie Bella włożyła jednoczęściowy biały kombinezon ochronny, który dla niej przygotowano. Włożyła buty i rękawiczki z tworzywa sztucznego, a asystentka pokazała jej, jak należy nakładać hełm i podłączać do niego skompresowane powietrze. Kask ten miał czystą plastikową szybę, a butla powietrza mieściła się w gustownym pakunku, przyczepionym do jego tylnej części. Wbudowano również słuchawki, które pozwalały prowadzić normalną rozmowę.

Isabella wróciła do poczekalni i dołączyła do reszty towarzystwa.

– Panie i panowie, czy wszyscy są gotowi? – spytał dyrektor, po czym odwrócił się do drzwi, które znajdowały się w przeciwniejszej ścianie. Otworzyły się i goście wkroczyli do następnego pomieszczenia, gdzie powitało ich czterech techników. Isabella zauważyła, że goście nosili białe skafandry, technicy mieli żółte ubrania, a dyrektor czerwone, co ułatwiało identyfikację.

Jeden z ubranych na żółto pracowników poprowadził ich przez następny krótki korytarz. Kiedy szli, znalazł się koło Isabelli.

– Witam pana, panie Africa – powiedziała. – Jak się panu podoba praca dla Capricornu?

Nie widziała go od ich ostatniego spotkania w Londynie.

– Jest bardzo ciekawa, dziękuję pani.

Tyle słów zdążyli ze sobą zamienić, zanim weszli do sali, w której miał się odbyć test, ale Lothar De La Rey obserwował ją. Gdy siadali w rzędzie obitych skórą foteli, zajął miejsce obok niej i zapytał:

– Wie is die kaffir? Kim jest ten czarnuch?

– Nazywa się Africa. Jest magistrem inżynierii chemicznej.

- Skąd go znasz? – dopytywał się Lothar.
- Byłam w komisji selekcyjnej, która go zatrudniła.
- Oczywiście był sprawdzony?
- Naturalnie. Sprawdzał go twój wydział – dorzuciła.
- Skinął głową i oboje skierowali uwagę z powrotem na dyrektora.
- To są kabiny do testów.

W końcu pomieszczenia znajdowały się cztery okna, przez które widać było cztery salki; każda z nich była wielkości budki telefonicznej – albo raczej toalety, to było lepsze porównanie, zdecydowała Isabella.

– Okna są wykonane z podwójnych zbrojonych szyb – zauważył dyrektor. – Proszę zwrócić uwagę na monitory umieszczone nad każdym z nich. – Wskazał ręką na elektroniczne okienka, w których na zielonym tle były wyświetlane podstawowe informacje o warunkach niezbędnych do życia.

Przez okna można było zobaczyć cztery podobne do ludzi postacie, które przywiązano do krzeseł. W pierwszej chwili Isabella pomyślała, że to dzieci.

– Zwierzęta doświadczalne to pawiany z gatunku *Papio ursinus* – ciągnął dyrektor. – Mogą wydawać się państwu nie znane, ponieważ ogolono je, aby bardziej przypominały ludzi. Proszę zobaczyć, że Numer Pierwszy jest prawie w ogóle nie zabezpieczony.

Nagie, ogolone i przypięte do krzesła ciało wyglądało bezbronne. Dziecięca pieluska, która stanowiła całe jego ubranie, była jeszcze bardziej wzruszająca.

– Ubranie Numeru Drugiego przypomina wojskowy mundur. Ten pawian był odziany w miniaturowy mundur, ale ramiona i głowę miał odsłonięte.

– Numer Trzeci ma zasłonięte całe ciało, z wyjątkiem oczu, ust i nosa. Zwierzę miało nałożone rękawiczki i miękki plastikowy kaptur, z którego wystawała mu tylko twarz.

– Numer Czwarty jest wyposażony w kompletny skafander ochronny, taki sam jak te, które państwo otrzymali. Będą ich używały nasze oddziały w trakcie transportowania i stosowania cyndexu 25. – Przerwał na chwilę. – Mogę dodać jeszcze, że Numery Pierwszy, Drugi i Trzeci zostały odurzone specjalnymi środkami. Zobaczycie państwo objawy działania testowanego związku, ale odzwierciedlają one jedynie reakcje centralnego systemu nerwowego i nie należy sądzić, iż wskazują one rzeczywisty stopień cierpienia, jakiego doświadcza zwierzę, które podlega badaniu.

Isabella poczuła, jak naprężają się jej mięśnie brzucha i mimo że oddychała przefiltrowanym powietrzem, poczuła w piersiach ucisk.

– Cyndex 25 jest pozbawiony koloru i smaku. Jednakże ze względów bezpieczeństwa dodaliśmy do gazu zapach migdałów. Nie pojawi się mgiełka ani nic, co wskazywałoby na jego użycie, wykaże to tylko nasza aparatura pomiarowa. Informacja na ekranie będzie oznaczała ilość cząsteczek gazu na sto tysięcy cząsteczek powietrza. – Przerwał i odchrząknął. – A teraz, panowie – i pani – jeśli jesteście gotowi, przejdziemy do demonstracji.

Minister skinął ukrytą w hełmie głową, a dyrektor rzucił krótki rozkaz do mikrofonu, który stał na jego biurku. Isabella wyobraziła sobie, jak Ben, albo jakiś inny technik, manipuluje teraz przyciskami w pomieszczeniu na tyłach.

Przez kilka sekund nic się nie wydarzyło. Na ekranach było widać regularne zapisy pracy serc i płuc czterech pawianów.

Potem urządzenie zarejestrowało koncentrowanie się cyndexu 25 w powietrzu i wskaźnik przesunął się z 0 na 5 – pięć cząsteczek gazu paralizującego na sto tysięcy cząsteczek powietrza.

W ciągu sekundy obrazy na ekranach zaczęły się zmieniać – z wyjątkiem monitora rejestrującego reakcję organizmu małpy, która była ubrana w skafander

ochronny. Szybkość pracy serca u trzech pozostałych znacznie się zwiększyła, oddech stał się krótki i głęboki. Zmiany zachodziły najszybciej na tym ekranie, który wisiał nad pierwszą kabiną.

Isabella z przerażeniem przyglądała się nagiej małpie. Widziała, jak drżały jej powieki, a po ogolonej twarzy płynęły łzy. Otwartymi ustami chwyciła powietrze, jej język obracał się w jamie ustnej, po czym wysunął się na zewnątrz. Strugi srebrnej śliny kapały jej na pierś.

– Piętnaście sekund – odezwał się dyrektor. – Numer Jeden jest już nieprzytomny. Numer Czwarty bez zmian. Numery Drugi i Trzeci notują umiarkowanie ostre objawy.

Nagi pawian zaczął wić się, próbował zrzucić z siebie krępujące go pasy. Isabella poczuła, że serce podeszło jej do gardła i po chwili się uspokoiło.

Nagle pawian otworzył szeroko pysk i zawył. Piskliwy okrzyk bólu dotarł do nich nawet poprzez podwójne okna. Podrażnił napięte nerwy Isabelli. Zaciśnięta pięści i poczuła zimny pot na całym ciele. Siedzący obok niej Lothar De La Rey poruszył się, a pozostali mężczyźni instynktownie okazali swoje niezadowolenie i odrazę. Byli to żołnierze i politycy, uodpornieni na okropności i cierpienie, a mimo to szurali nogami, zaciskali dłonie w rękawiczkach lub pochylali i odwracali głowy.

Wszystkie trzy zwierzęta szarpały się i kopały, kręciły łbami i wyginały kręgosłupy w spazmach bólu. Ich języki i otwarte szeroko pyski zmieniły barwę na purpurową, a rozbiegane gałki oczne pokryły się czerwoną siateczką. Zaczęły wymiotować. Pieluszka, którą nosił pierwszy z pawianów, była nasiąknięta moczem i kałem.

Isabella z trudem zwalczyła ogarniającą ją falę nudności. Chciało jej się krzyczeć, biec, ukryć przed tym horrorem.

– Minuta pięć sekund. Wszelkie oznaki życia Numeru Pierwszego ustały.

Wzruszające, podobne do dziecięcego ciało zwisało na pasach. Jego wstrząsająca nagość była czymś anormalnym i niemoralnym.

– Dwie minuty piętnaście sekund. Funkcje życiowe Numeru Drugiego ustały. Trzy minuty osiem sekund. Funkcje życiowe Numeru Trzeciego ustały. Proszę zauważyć, że w Numerze Czwartym nie zaszły żadne zmiany. Skafander zapewnił całkowite bezpieczeństwo.

Isabella wstała.

– Przepraszam – burknęła.

Postanowiła sobie, że wytrwa dłużej niż wszyscy mężczyźni na sali. W tej chwili zapomniała o swoim przyrzeczeniu. Popędziła korytarzem i wpadła do damskiej przebieralni. Zerwała z głowy hełm i upadła na kolana przy muszli klozetowej. Dławiła się i łkała, a przerażenie, żal i poczucie winy zatkało jej gardło gęstym, gorzkokwaśnym strumieniem, który bluznął z ust.

\*

Po tym przeżyciu Isabella nie mogła zmusić się do powrotu na szczęśliwe łono rodziny Garry'ego i Holly.

Wyszła z fabryki Capricornu bez pożegnania z ministrem, Lotharem ani kimkolwiek. Jechała, nie zwracając uwagi na otoczenie. Prowadziła szybko, za szybko, porsche pędziło niemal z maksymalną prędkością. Pragnęła pozbyć się uczucia wstydu, lecz próba ta się nie powiodła. Po godzinie jazdy zawróciła do Johannesburga i zwolniła.

Benzyna prawie się już kończyła, więc zatrzymała się na pierwszej stacji, jaką napotkała. Kiedy pracownik napełniał bak jej samochodu, zdała sobie sprawę z tego,

że się zgubiła i nie miała pojęcia, gdzie jest. To nie było miasto, w którym mieszkała. Wiedziała jedynie, że znajduje się w sieci dróg i labiryncie przedmieść, które otaczają ogromny przemysłowy kompleks miasta Johannesburg.

Zapytała pracownika stacji benzynowej o najkrótszą drogę do Sandton.

Kiedy jej wyjaśnił, zrozumiała, że przywiodła ją tu podświadomość. Była o jakieś dwie lub trzy mile od domu Michaela. Kilka lat wcześniej kupił on niewielką posiadłość wielkości pięćdziesięciu akrów, na której stał rozwalający się ze starości budynek. Było stąd wystarczająco blisko do redakcji „Golden City Mail”. Michael postanowił własnoręcznie wyremontować dom. Posadził także około stu drzew owocowych, głównie ku uciechu ptaków, szarańczy i mszyc; trzymał również stadko kurczaków, które łąziły po kuchni i zanieczyszczały ją.

– No cóż, to także ich dom – wyjaśnił Michael, kiedy zwróciła mu na to uwagę. – Jedno gówienie czy dwa nikomu nie zrobią krzywdy.

Mimo że Michael początkowo planował zamienić ptaki w nie kończącą się serię poulet roti oraz coa au vin, nigdy nie potrafił zmusić się do urznięcia choć jednego łąba. Niektóre ptaki zdechły już ze starości.

„Michael! – Isabella poczuła, że nastrój jej się poprawia i spojrzała na zegarek. Minała szósta. Powinien już być w domu. – Michael jest właśnie tą osobą, której teraz potrzebuję”.

Jadąc przez mizerną plantację drzew kauczukowych, która wyznaczała granicę posiadłości Michaela, zobaczyła przed domem volkswagena kombi. Stary valiant jej brata nareszcie odszedł. Uśmiechnęła się, przypominając sobie opowiadanie Michaela o tym, jak jego samochodowi zdarzyło się krótkie spięcie na drodze w godzinach szczytu i jak starodawny wehikuł sprawił samemu sobie pogrzeb wikingów i spowodował pięciomilowy korek swych żałobników. Zauważyła, że używane kombi było w niewiele lepszym stanie.

Połowa pokrytego blachą dachu była świeżo pomalowana błyszczącą jasnoniebieską farbą, natomiast drugą ozdabiała czerwona rdza. Zapala wystarczyło mu tylko na połowę zadania.

Michael uporządkował również pas startowy biegnący wzdłuż granicy jego gospodarstwa i zarejestrował go jako prywatne lotnisko. Swoją starą samolot Cessna Centurion trzymał w hangarze na końcu sadu owocowego. Budynek był wykonany z blachy falistej, którą Michael kupił tanio na złomowisku. Powstała z tego budowla będąca doskonałym świadectwem jego gustu.

Znalazła go w hangarze, gdzie naprawiał coś w podwoziu niebiesko-białego samolotu. Pociągnęła go za nogawkę kombinezonu. Wyczołgał się z wyrazem zdziwienia i radości na twarzy. Nie widzieli się prawie przez rok.

Pocałował ją i wyjął butelkę wina ze starej, zardzewiałej lodówki, która stała w kącie, po czym napełnił dwie szklanki. Dopiero wtedy zorientowała się, że był niespokojny. Często spoglądał na zegarek i co rusz podchodził do drzwi hangaru. Poczuli się dotknięta i rozczarowana.

– Czekasz na kogoś – powiedziała. – Przepraszam, Mickey. Powinnam była najpierw zatelefonować. Mam nadzieję, że nie popsulałam ci szyków.

– Nie, oczywiście, że nie. Absolutnie – zapewnił ją, ale podniósł się ochoczo i z wyraźną ulgą. – Ale... cóż, prawdę mówiąc... – zawiesił głos, po czym ponownie spojrzał ponad jej głowę na drzwi.

„Jeden z jego kochanków – pomyślała z goryczą. – Martwi się, że poznam jego najnowszego ulubieńca”. Poczuli się urażona tym, że nie ma dla niej czasu, kiedy tak bardzo go potrzebuje. Pożegnała się z nim krótko.

Wracając obserwowała brata w lusterku. Był taki samotny i bezbronny, że cała jej złość wyparowała.

„Biedny Mickey – pomyślała. – Jesteś równie zagubiony i nieszczęśliwy jak ja”.

Zatrzymała porsche przy wjeździe do posiadłości, a potem skierowała się na wschód, ku Sandton. Z przeciwka nadjechał jakiś pojazd. Była to dziwaczna, szara ciężarówka. Kiedy się zrównali, rzuciła okiem na kierowcę i natychmiast się wyprostowała. Samochód prowadził Ben. Nie zauważył jej, pochłonięty rozmową z siedzącym obok Murzynem. Pasażer miał skórę znacznie ciemniejszą od Bena, pochodził z plemienia Zulu albo Xhosa; jego twarz miała zdumiewający wyraz, jakby coś go nurtowało. Nie była to twarz, którą można szybko zapamiętać.

Zwolniła i przyglądała się odjeżdżającemu samochodowi w lusterku. Nagle włączyły się światła pozycyjne ciężarówki, a światła mijania z jednej strony zaczęły migać. Samochód skręcił w drogę wiodącą do domu Michaela i zniknął wśród drzew.

„A więc to jest ta tajemnica – pomyślała Isabella i nacisnęła pedał gazu. – Nie rozumiem jednak, dlaczego Michael nie chciał, żebym zobaczyła Bena. Wie, że to ja załatwiłam mu pracę w Capricomie. – Zastanawiała się nad tym jeszcze przez chwilę. – Na pewno chodzi o człowieka, który jechał z Benem. Tę twarz trzeba zapamiętać. Ciekawe, kto to jest?”!

Była już prawie ósma, słońce już dawno zaszło, kiedy zatrzymała się przed domem Garry’ego w Sandton.

– Do diabła – powitał ją, gdy weszła do pokoju dziennego. – Gdzie ty się podziewałaś? Wiesz, która godzina? – zarówno Garry, jak i Holly byli w strojach wieczorowych. Nieczęsto widziała, by Garry się złościł.

– O mój Boże! Bal! Przepraszam.

Garry spojrzał na jej twarz i od razu się uspokoił.

– Biedna Bella. Wyglądasz, jakbyś miała dzisiaj wyjątkowo parszywy dzień. Zaczekamy, aż się przebierzesz.

– Nie, nie – zaprotestowała. – Idźcie, dogonię was.

Ten wieczór był dla Isabelli koszmarem. Holly wyznaczyła jej do towarzystwa profesora uniwersytetu, straszliwego nudziarza. Ponieważ ona była senatorem, cały czas chciał rozmawiać o polityce.

– Nie wydaje się panu, że mam tego dosyć? – zapytała cierpko, a on nadał się z powodu tej ostrej przygany.

Wyszła wcześniej. Przez resztę nocy męczyły ją koszmary. Śniła jej się ogolona małpa w mundurze, którą przywiązano do białego krzesła.

W trakcie snu torturowane stworzenie zamieniło się w jej małego Nicky’ego w mundurku. Tarzała się na łóżku, spocona i przerażona. W końcu przebudziła się cała drżąca.

Nie mogła zaryzykować i zasnąć znowu, bała się wizji, które mogły ją ponownie nawiedzić. Siedziała na krześle i czytała, aż świt zaznaczył kontury okna. Przygotowała sobie kąpiel, ale zanim zdążyła wejść do wanny, usłyszała, że ktoś puka do jej drzwi. Kiedy je otworzyła, w progu stanął Garry w jedwabnym szlafroku. Włosy miał zmierzwiłone, a oczy zaczerwienione i zapuchnięte od snu.

– Właśnie telefonował do mnie ojciec – powiedział.

– O tej porze? Czy coś się stało? Czy to coś z Naną?

– Chce, żebyśmy oboje natychmiast polecieli do Weltevreden.

– Oboje?

– Tak. Ty i ja. Natychmiast.

– Po co, u licha?

– Tego nie powiedział. Jedynie, że to sprawa życia i śmierci. Patrzyła na niego niczego nie rozumiejąc.

– O co może chodzić?

– Jak szybko będziesz gotowa? Za pół godziny?

– Tak, oczywiście.  
– Powiadomię lotnisko w Lanseria, aby nasz lear był gotowy do lotu, a piloci na miejscach – spojrzął na zegarek. – Możemy być w Kapsztadzie przed dziesiątą.

Kiedy wylądowali w Kapsztadzie na lotnisku imienia D. F. Malana, szofer Klonkie już na nich czekał. Zawiózł ich prosto do Weltevreden.

Shasa i Centaine czekali na nich w zbrojowni. Zgodnie z rodzinną tradycją w tym pomieszczeniu wałkowano najbardziej skomplikowane i nieprzyjemne tematy, zarówno w przenośni, jak i dosłownie. To właśnie tutaj, przy tym wielkim skórzanym fotelu Shasa wymierzał karę cielesną swoim trzem synom. Wezwania do zbrojowni nigdy nie przyjmowano lekko i Isabella poczuła pewną obawę, kiedy wchodziła do niej z Garrym.

Nana i Shasa stali obok siebie za starym biurkiem, a ich twarze były tak ponure, że Isabella zatrzymała się jak wryta, a idący z tyłu Garry wpadł na nią. Prawie tego nie poczuła.

– O co chodzi? – zapytała z przestachem i zobaczyła Nanny. Stara piastunka stała przed kamiennym kominkiem. Widać było, że płakała. Jej twarz aż spuchła, a oczy miała mocno zaczerwienione. W dłoni ścisnęła nasiąkniętą łzami chusteczkę.

– Och, miss Bellu – załkała. – Przepraszam cię, dziecino. Musiałam to zrobić, dla twego dobra...

– O czym ty, u licha, mówisz, Nanny? – Isabella ruszyła ku niej, żeby ją pocieszyć... i znowu się zatrzymała.

Ogarnęło ją przerażające przeczucie nadchodzącej katastrofy, kiedy zobaczyła, co leżało na biurku przed Naną i Shasą.

– Coś ty zrobiła, Nanny? – szepnęła, odrętwiała z rozpacz. – Zniszczyłaś nas.

Na biurku leżał oprawiony w skórę dziennik. Nanny wdarła się do jej sejfu.

– Zniszczyłaś mnie i moje dziecko. Och, Nanny, jak mogłaś nam to zrobić?

Dziennik był otwarty na stronie, na której leżał kosmyk włosów Nicky'ego. Obok znajdował się jego zasznurowany bucik i świadectwo urodzenia.

– Och, ty głupia, stara, wścibska kobieto – gniew wezbrał w Isabelli. – Nigdy się nie dowiesz, ile zła uczyniłaś. Zabiłaś mojego Nicky'ego. Nigdy ci tego nie wybaczę, nigdy.

Nanny zawyła z rozpacz, potem zakryła usta mokrą chusteczką i wybiegła.

– Zrobiła to, ponieważ cię kocha, Bellu – rzekł Shasa surowo. – Zrobiła to, co ty powinnaś zrobić osiem lat temu.

– To nie jej sprawa. To nie ma nic wspólnego z żadnym z was. Niczego nie rozumiecie. Jeśli się do tego wtrącicie, narazicie Nicky'ego i Ramona na ogromne niebezpieczeństwo.

Podbiegła do biurka, chwyciła dziennik i przycisnęła go do piersi.

– To jest moje. Nie macie prawa...

– Co tu się dzieje? – Garry stanął obok Isabelli. – Posłuchaj, Bellu. Jeśli masz kłopoty, to dotyczy nas wszystkich. Jesteśmy rodziną. Musimy trzymać się razem.

– Tak, Bellu, Garry ma racje. Musimy trzymać się razem.

– Gdybyś przyszła z tym do nas od razu... – przerwała Centaine i usiadła przy biurku. – Oskarżenia nic tu nie pomogą. Musimy to wyjaśnić. My wszyscy. Usiądź, Bellu. Wielu rzeczy możemy się domyślać. Musisz nam powiedzieć resztę. Powiedz nam o Nickym i Ramonie. Powiedz nam wszystko.

Isabella zachwiała się ogłuszona i rozdarta cierpieniem. Garry objął ją silnym ramieniem.

– W porządku, Bellu. Teraz wszyscy jesteśmy z tobą. Kim jest Nicky? Kim jest Ramon?



– Nicky to mój syn. Ramon jest jego ojcem – powiedziała cicho i wtuliła twarz w jego przynoszącą ulgę pierś.

Pozwolili jej się wyplakać, po czym Centaine podniosła słuchawkę telefonu.

– Zadzwoń po doktora Saundersa. Zrobi jej zastrzyk uspokajający. Isabella obróciła się ku niej.

– Nie, Nano. Niczego nie potrzebuję. Nic mi nie będzie. Dajcie mi minutę.

Centaine odłożyła słuchawkę na widełki, a Garry zaprowadził Isabellę do obitego skórą fotela i usiadł obok. Shasa podszedł, zajął miejsce po drugiej stronie i objął ją objęli.

– No dobrze – powiedziała w końcu Centaine. – Wystarczy. Później będziesz mogła płakać. Teraz mamy coś do zrobienia.

Isabella wyprostowała się, a Shasa wyjął z kieszonki na piersiach chusteczkę i podał ją córce.

– Powiedz nam teraz, co się stało – rozkazała Centaine. Isabella wzięła głęboki wdech.

– Poznałam Ramona na koncercie Rolling Stonesów w Hyde Parku, kiedy tata i ja mieszkaliśmy w Londynie – wyszeptała. Gdy mówiła dalej, jej głos zaczął brzmieć coraz pewniej. Opowiadała przez prawie pół godziny. Powiedziała, dlaczego ona i Ramon nie mogli się pobrać i jak pojechali do Hiszpanii, aby Nicky mógł tam się urodzić.

– Miałam zamiar przywieźć go do Weltevreden. Ramon i ja chcieliśmy wziąć ślub, jak tylko on będzie wolny.

Opowiedziała, w jaki sposób Ramon i Nicky zostali porwani. Powiedziała im o torturach w wodzie, którym poddano Nicky’ego i które musiała oglądać, oraz o koszmarze jej życia od tamtej pory.

– Czego chcieli od ciebie ci tajemniczy ludzie? Jaką cenę musiałaś zapłacić za bezpieczeństwo Ramona i Nicky’ego? Co musiałaś im dać w zamian za możliwość odwiedzania Nicky’ego? – Shasa dopytywał się szorstko.

Centaine stuknęła głośno w podłogę swoją laską.

– To nie jest w tej chwili ważne. Tym zajmiemy się później.

– Nie – potrząsnęła głową Bella. – Mogę odpowiedzieć. Niczego ode mnie nie chcieli. Chyba zmuszali Ramona, aby wykonywał dla nich pewne zadania. Nagradzali go, pozwalając mi widywać ich obu, Ramona i Nicholasa.

– Kłamiesz, Bellu – stwierdził ojciec ostrym tonem. – Ramon Machado wykorzystuje cię. Jesteś zmuszana do pracy dla niego i jego przełożonych.

– Nie – zaprotestowała Isabella, przerażona tym, że tak łatwo przejrzeni jej kłamstwa. – Ramon jest równie bezsilny jak ja. Grożą nam i szantażują...

– Przestań, Bellu – przerwał jej Shasa. – To ciebie zmuszają do zapłacenia tej ceny. Nicholas jest zakładnikiem. Ramon jest złym władcą marionetek, który pociąga za sznurki.

Zapłakała z udreki.

– Nie! Mylicie się! Ramon jest...

– Powiem ci, kim jest Ramon de Santiago y Machado. Tak, dostarczyłaś nam jego drzewo genealogiczne, pełne nazwisko i datę urodzenia. – Powiedział Shasa, a Isabella ścisnęła mocno swój dziennik. – Wiesz, że mam przyjaciół w Izraelu. Jeden z nich jest szefem Mossadu. Zatelefonowałem do niego. Sprawdził nazwisko Ramona. Nasze służby specjalne również mają akta Ramona de Santiago y Machado. W ciągu trzech dni, odkąd Nanny przyniosła nam ten dziennik, udało mi się ustalić kilka interesujących faktów na temat twojego Ramona – zerwał się z kanapy i podszedł do biurka. Otworzył jedną z szuflad i wrócił zgrabną teczką, którą rzucił na stół przed nią. Posypały się wycinki prasowe, zdjęcia, dokumenty i stosy wydruków

komputerowych.

– Otrzymaliśmy to tej nocy w torbie dyplomatycznej z Tel-Awiwu. Niel wzywałem cię, dopóki tego nie przestudiowałem. To była bardzo interesująca lektura. – Shasa wyjął jedną fotografię z pliku. – Zwycięski wjazd do Hawany Fidela Castro w styczniu 1959 roku. Che Guevara i Ramon siedzą w drugim jeepie. – Wyjął następną błyszczącą, czarnobiałą odbitkę. – Kongo, rok 1965. Brygada Patrice’a Lumumby. Ramon jest drugim białym od lewej strony. Te zwłoki to straceni rebelianci Simby. – Wziął kolejne. – Ramon ze swoim kuzynem Fidelem Castro po Zatoce Świń. Najprawdopodobniej Ramon zebrał informacje wywiadowcze przed lądowaniem. – Przerzucił paczkę fotografii. – To zdjęcie jest dosyć nowe. Pułkownik generał Ramon de Santiago y Machado, szef sekcji afrykańskiej czwartego departamentu KGB otrzymuje Order Lenina z rąk generalnego sekretarza Breżniewa. Przystojnie wygląda w tym mundurze, prawda, Bellu? Spójrz na te wszystkie medale.

Odwróciła się od zdjęcia, jakby ojciec trzymał w dłoni czarną mambę.

Garry wychylił się i wziął fotografię do ręki.

– Czy to jest Ramon? – zapytał ją, trzymając odbitkę przed jej twarzą. Opuściła oczy i nie odpowiedziała.

– Daj spokój, Bellu. Musisz nam powiedzieć. Czy to jest twój Ramon? Nadal odmawiała odpowiedzi. Shasa postanowił ją do tego zmusić.

– To starannie opracowany podstęp. Prawdopodobnie wybrał cię na ofiarę. Prawie na pewno to on przygotował porwanie i tortury twojego syna. Od tamtej pory manipulował tobą. Czy wiedziałaś, że jego pseudonim brzmi El Zorro Dorado? Castro chyba sam wybrał to imię, Złoty Lis.

Isabella nagle podniosła głowę. Przypomniała sobie uwagę zrobioną przez jednego ze spadochroniarzy, która w swoim czasie tak ją zdziwiła. „Pele to naprawdę syn lisa, El Zorra”. W jakiś sposób ten właśnie szczegół skłonił ją do tego, by stawić czoło prawdzie.

– El Zorro... tak. – Twarz jej stężała. W oczach pojawiła się pierwsza iskra nienawiści. Instynktownie spojrzała na babkę.

– Co zrobimy, Nano? – zapytała.

– No cóż, najpierw musimy uratować Nicholasa – powiedziała stanowczo.

– Nie wiesz, o czym mówisz, Nano – sprzeciwił się Garry. Wyglądał na oszołomionego.

– Ja zawsze wiem, co mówię – odparła Centaine Courmey-Malcomess. – Ty będziesz za to odpowiedzialny. Ta sprawa ma pierwszeństwo. Dostaniesz wszystko, czego będziesz potrzebował. Koszty nie mają znaczenia. Sprowadź dziecko. Tylko to się liczy. Czy jasno się wyrażam, młody człowieku?

Umysł Garry’ego zaczynał pojmywać całą sytuację. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Tak, Nano, wyrażasz się nad wyraz jasno.

Garry przekształcił zbrojownię w swoją siedzibę główną.

Mógł wybrać któreś z tuzina lepiej wyposażonych pomieszczeń w jednym z centrów konferencyjnych. Ale żadne z nich nie miało bezpiecznej, domowej atmosfery tego pokoju, który od dawna był częścią ich życia. Nikt nie kwestionował jego wyboru.

– Ta sprawa jest zastrzeżona dla rodziny. Nie włączamy do niej nikogo z zewnątrz, o ile to nie będzie konieczne – ostrzegł ich.

Po obu stronach biurka ustawił dwie tablice na sztalugach. Na jednej z nich wisiała powiększona mapa Afryki, druga na razie była prawie pusta, przypiął do niej tylko fotografię.

Zdjęcie to Isabella zrobiła Nicholasowi na plaży. Ubrany był w strój kąpielowy,

włosy miał zmierzwiłone przez słoną wodę i wiatr i śmiał się do aparatu.

– To ma mi przypominać, o co walczyliśmy – powiedział Garry. – Chcę, żeby ta twarz utkwiła nam w pamięci. Tak jak mówiła Nana: od tej chwili tylko to się liczy. Ta twarz. To dziecko.

Zmarszczył brwi, spoglądając na zdjęcie.

– No, mały Nicky, gdzie jesteś?

Obrócił się do Isabelli, która siedziała przy biurku, i położył przed nią ciężki tom zatytułowany „Wszystkie samoloty świata”.

– OK, Bella. Przypuśćmy, że z Lusaki do tej bazy, w której zobaczyłaś się z Nickym, poleciałaś rosyjskim samolotem. Dowiedzmy się, jakiego był typu.

Otworzył książkę i zaczął przewracać w niej kartki.

– To ten – powiedziała i zastukała palcem w jedną z ilustracji.

– Jesteś pewna? – dopytywał się, przechylony nad jej ramieniem.

– Iliuszyn Il 76. W raportach NATO nosi nazwę Candid – przeczytał na głos. – Prawdopodobna prędkość przelotowa wynosi siedemset pięćdziesiąt, osiemset kilometrów na godzinę. – Zanotował to sobie szybko. – OK, twierdzisz, że kurs wynosił trzysta stopni, a lot trwał dwie godziny pięćdziesiąt sześć minut. Wiemy, że byliście na wybrzeżu atlantyckim. Zaznaczmy to.

Podszedł do mapy i wziął do ręki cyrkiel i kątomierz.

– Garry – szepnęła z niepokojem Isabella. – to, że Nicky był tam w zeszłym roku, nie znaczy, że nadal tam będzie, prawda?

– Oczywiście, że nie – odpowiedział, nie odwracając się od mapy. – Ale z tego, co nam powiedziałaś, wynika, że Nicky zadomowił się w tym obozie. Chodził do szkoły i był tam na tyle długo, że zawarł przyjaźnie, a nawet wyrobił sobie reputację świetnego piłkarza. Nazywali go Pele? – Odwrócił się do niej i błysnął ku niej okularami. – Od izraelskiego i południowoafrykańskiego wywiadu wiemy, że twój przyjaciel El Zorro ciągle prowadzi działania w Angoli. Zaledwie czternaście dni temu agent CIA wytropił go w Luandzie. A musimy przecież od czegoś zacząć. Dopóki nie będziemy pewni, że Nicholasa tam nie ma, będziemy uważali, że przebywa właśnie w tym miejscu. – Odszedł od mapy. – No proszę – mruknął. – Wypadło, że jest to gdzieś na północ od Luandy, a na południe od granicy z Zairem. Na tym obszarze jest pięć, nie – sześć ujść rzek, każda w odległości setek mil od innych. Wiatr mógł spowodować odchylenie kursu o dziesięć stopni w którąś stronę.

Podszedł do biurka i podniósł kartkę z bloku, na której Isabella narysowała z pamięci mapę pasa startowego i ujścia rzeki. Przyglądał się jej z powątpiewaniem, po czym potrząsnął głową.

– To mogła być każda z sześciu rzek oznaczonych na mapie – przyjrzał się jej uważnie. – Są to Tabi, Ambriz, Catacanha, Chicamba, Mabubas, Quicabo. Czy któraś z tych nazw coś ci mówi, Bellu?

Isabella pokręciła głową.

– Nicky nazywał bazę Tercio.

– To prawdopodobnie kryptonim – powiedział Garry i powiesił szkic obok zdjęcia na drugiej tablicy. – Jakies komentarze? – Spojrzał na Centaine i Shase. – Co o tym sądzisz, ojcze?

– To miejsce znajduje się około tysiąca kilometrów od granicy z Namibią, najbliższym przyjaznym nam terytorium. Możemy zapomnieć o jakichkolwiek próbach dotarcia do Nicky’ego ładem.

– Helikoptery? – zapytała Centaine, a mężczyźni równocześnie potrząsnęli głowami.

– Poza zasięgiem bez tankowania – powiedział Garry, a Shasa zgodził się z nim.

– Lecielibyśmy nad strefą objętą walkami. Według najświeższych danych

Kubańczycy ustawili solidny łańcuch radarów wzdłuż granicy Namibii, dysponują przynajmniej eskadrą MiGów 23, która znajduje się niedaleko granicy w Lubango.

– Czy nie moglibyśmy użyć do tego leara? – nalegała Centaine, a oni obaj się roześmiali.

– Nie prześcigniemy MiGów, Nano – powiedział Garry. – Poza tym, oni są od nas lepiej uzbrojeni.

– No tak, ale możemy ich okrążyć, polecieć nad Atlantycką i wrócić na nich od tyłu. Wiem, że myśliwce nie mogą latać zbyt daleko, a lear może dolecieć do Mauritiusa.

Przestali się śmiać i spojrzeli po sobie.

– Myślisz, że zrobiłaby majątek, gdyby była głupia? – zapytał Garry, po czym zwrócił się do babki.

– Przypuśćmy, że dostaniemy się tam learem, ale co dalej? Nie możemy wylądować ani wystartować – ten samolot wymaga pasa o długości tysiąca metrów. Z tego, co mówi Bella, wynika, że jest tam krótki pas i baza szkoleniowa partyzantów, chroniona przez spadochroniarzy z Afryki Południowej lub, co bardziej prawdopodobne, z Kuby. Nie wydadzą nam Nicky’ego bez oporu.

– Tak, spodziewam się, że będziemy musieli walczyć – skinęła głową Centaine. – A więc czas wezwać Seana.

– Seana? – mruknął Shasa. – Oczywiście!

– Nano, kocham cię – powiedziała Isabella i podniosła słuchawkę. – Międzynarodową, chcę zamówić błyskawiczną rozmowę z koszarami Ballantyne’a w Bulawayo w Rodezji.

Połączenie uzyskano po dwóch godzinach, a w tym czasie Garry zatelefonował na lotnisko i rozmawiał ze swoimi pilotami. Lear leciał już do Bulawayo, kiedy zgłosił się Sean.

Garry powiedział:

– Pozwól mi z nim mówić – i odebrał Isabelli telefon. Kłócili się przez minutę, po czym Garry burknął:

– Nie sprzeczasz się ze mną, Sean. W ciągu godziny lear przyleci po ciebie do Bulawayo. Pakuj do niego swoją dupę, i to szybko. Zatelefonuję do generała Wallsa albo do lana Smitha, jeśli to będzie potrzebne. Potrzebujemy cię tu. Rodzina cię potrzebuje.

Odłożył słuchawkę i spojrzął na Centaine.

– Przepraszam cię, Nano.

– Już słyszałam to wyrażenie – mruknęła. – Czasami mocniejsze słowo może zdziałać cuda.

\*

Major Sean Courtney z Ballantyne Scouts stał przed prowizorycznym planem sytuacji w zbrojowni w Weltevreden i przyglądał się zdjęciu swojego siostrzeńca. Dopiero trzy miesiące wcześniej otrzymał awans na majora i został zastępcą dowódcy scouts. Roland Ballantyne wreszcie nakłonił go do przeniesienia się do kwater pułku.

– Widać, że to chłopak Belli. Podobny do niej. Paskudny mały bachor – uśmiechnął się do niej. – Nic dziwnego, że go ukryła.

Isabella pokazała mu język. Przywrócił jej nadzieję. Był silny, miał kwalifikacje do wypełnienia tego zadania i wyglądał na twardego faceta. Tak bardzo wierzył w swoją siłę i nieśmiertelność, że ona również musiała w to uwierzyć.

– Kiedy pozwolą ci go znowu zobaczyć? – zapytał, a ona zastanowiła się przez chwilę. Nie mogła powiedzieć mu, że obiecali jej spotkanie z dzieckiem, jak tylko

skończą się testy cyndexu 25. Oznaczałoby to przyznanie się wobec nich wszystkich, że była zdrajczynią.

– Myślę, że to nastąpi wkrótce. Nie widziałam Nicky’ego prawie rok. To musi być już niedługo. To raczej kwestia dni niż tygodni.

– Nie pojedziesz – wtrącił się Garry. – Nie oddamy cię znowu w ich szpony.

– Och, zamknij się, Garry – parsknął Sean. – To jasne, że ona musi pojechać. Jak, do diabła, dowiemy się, gdzie go trzymają, jeśli nie pojedzie?

– Myślałem... – zaczął Garry, a jego twarz poczerwieniała ze złości.

– OK, koleś. Zawrzyjmy umowę. Ja zajmuję się samą operacją, a ty odpowiadasz za logistykę i sprzęt. Co ty na to?

– Świetnie! – włączyła się Centaine. – Tak właśnie zrobimy. Dalej, Sean. Powiedz nam, jak zamierzasz go uwolnić.

– W ogólnych zarysach tak to wygląda. Szczegóły opracujemy później. Przede wszystkim musimy zdać sobie sprawę z tego, że to będzie ofensywna operacja. Możemy być pewni, jak sto diabłów, że napotkamy silny opór. Będą usiłowali nas zabić – my musimy zabić ich pierwsi. Nie będziemy mogli się tam wahać. Jeśli chcemy Nicky’ego, musimy o niego walczyć. Ale jeśli nam się nie powiedzie, może nas spotkać polityczna burza, w kraju i za granicą. Mogą nas oskarżyć o wszystko, od terroryzmu do morderstwa. Czy jesteśmy na to przygotowani?

Rozejrzał się po zwróconych w jego stronę twarzach. Wszyscy skinęli głowami bez wahania.

– To dobrze. A teraz konkrety. Zakładamy, że Nicky jest przetrzymywany w nadmorskiej bazie w północnej Angoli. Bella wchodzi tak samo jak ostatnim razem. Kiedy będzie już z Nickim, wezwie nas.

– W jaki sposób? – zapytał Garry.

– To już twój problem. Masz na swoje skinienie Courtney Communications. Każ im przygotować jakieś miniaturowe radio albo nawet przekaźnik. Jak tylko Isabella znajdzie się na miejscu, uruchomi go i da nam znać.

– OK – zgodził się Garry. – Mamy takie elektroniczne indykatory pozycji, które są używane do oznaczania w powietrznych pomiarach geologicznych. Powinno nam się udać przystosować jeden z nich. Jak Bella to przemyci?

– To również twój problem – odparł Sean. – Przejdźmy dalej. Tak więc Bella jest w docelowej strefie. Daje nam znać. Wchodzimy...

– W jaki sposób? – znowu zapytał Garry.

– Jest tylko jedna droga: przez morze. – Sean przejechał ręką po mapie od Atlantyku po koniec kontynentu afrykańskiego.

– Mamy fabrykę produkującą konserwy rybne w Zatoce Walvis. To jeden z tych twoich nowych, dalekomorskich trawlerów, Garry, które wysyłasz do Yeema Seamount. Robią prawie trzydzieści węzłów, a tu będzie miał odległość czterech tysięcy mil.

– Do diabła, tak. – Garry się rozpromienił. – „Lancer” właśnie przeszedł gruntowny remont w dokach w Kapsztadzie. W tej chwili jest w rejsie i wraca do Walvis Bay. Polecę im, by tam czekali z pełnymi zbiornikami paliwa, gotowi do natychmiastowego wypłynięcia w morze. Van Der Berg, kapitan, to pierwszej klasy marynarz.

– Każ im wyładować sieci i inny ciężki sprzęt, którego nie będziemy potrzebowali – dodał Sean.

– Dobrze. Zajmę się również ubezpieczeniem na wypadek wojny oraz wysokiego ryzyka. Wiem, jak obchodzisz się ze sprzętem. – Garry zaczął się irtować. – Do diabła, w zeszłym roku zniszczyłeś cztery kłazowniki.

– Dość już tych swarów! – przerwała im Centaine. – Powiedz nam, Sean. Masz

zamiar wpłynąć „Lancerem” do tej rzeki?

– Nie, Nano. Użyjemy łodzi desantowych, pontonów z silnikami na zewnątrz.

Czy znacie kogoś w bazie marynarki w Simonstown?

– Ja znam ministra obrony – odezwała się Isabella. – I admirała Keytera.

– Świetnie – skinął Sean. – Jeśli uda ci się zdobyć łodzie, to spróbuj, one czy nie zdołasz uzyskać pozwolenia na rekrutacje mniej więcej dwunastu osób załogi, ochotników zainteresowanych ponadprogramową zabawą. Ci morscy komandosi są niezłymi żołnierzami, będą się zabijać o udział w takiej rozróbie. Podkreślaj, że chcemy zaatakować bazę szkoleniową ANC i że nieźle się im przysłużymy.

– Ja też znam ministra. Pójdę z Bellą do niego – zgodziła się Centaine. – Gwarantuję wam, że dostaniemy taki sprzęt, jakiego będziemy potrzebowali. Daj mi listę, Sean.

– Przygotuję ją do jutra rana.

– A co z uzbrojeniem i ludźmi?

– Scouts – rzekł Sean. – Lepsi nie będą potrzebni, sam ich wyszkoliłem. Będę potrzebował około dwudziestu. Dokładnie wiem, kto mi się przyda. Natychmiast porozmawiam z Rolandem Ballantynem. W Rodezji jest teraz dosyć spokojnie, deszczowa pora roku. Na pewno się zgodzi. Może będę musiał złamać mu nogę, ale dostanę ich. Muszą odbyć przeszkolenie na łodziach, lecz pod koniec przyszłego tygodnia będą gotowi. – Spojrzał na Isabelle. – Wszystko zależy od ciebie, Bellu. Jesteś naszym psem myśliwskim. Zaprowadź nas do nich, dziewczyno.

## ROZDZIAŁ 6

Jedenaście dni po wysłaniu potwierdzenia, że Capricorn Chemicals pomyślnie zakończył testy cyndexu 25, Isabella otrzymała pozwolenie i instrukcje dotyczące wizyty u Nicholasa. Nakazano jej udać się do Londynu samolotem South African Airlines, który miał międzylądowanie w Kinszasie nad rzeką Kongo; tam właśnie polecono jej wsiąść. Ktoś miał ją odebrać na lotnisku.

– Wygląda to nieźle. – Sean był rozradowany, kiedy pokazywał palcem na mapie. – Tu jest Kinszasa. Jakież trzy czy cztery kilometry od przewidywanego celu. Chcą cię odebrać przy drzwiach, zamiast stosować okrężną trasę przez Nairobi i Lusakę, tak jak ostatnim razem. – Spojrzał na nią. – A więc masz polecieć w przyszły piątek? Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, będziesz na miejscu w sobotę, w najgorszym razie w niedzielę. Odpłyniemy z Walvis Bay, jak tylko tam dotrę. Chłopcy skończyli szkolenie, a sprzęt załadowano już na pokład „Lancera”. Prawie od tygodnia siedzą i nic nie robią. Ucieszą się, kiedy wyruszymy.

Studiował mapę, a potem wyciągnął kalkulator.

– Zajmiemy pozycję w odległości stu mil morskich od ujścia rzeki Kongo w poniedziałek dwunastego. Odpowiada ci to, Garry? Garry wstał i podszedł do mapy.

– Będę czekał z learem na lotnisku w Windhoek – o, tutaj. Zrobię pierwszy rekonesans w poniedziałek dwunastego. Będę musiał przelecieć nad morzem przynajmniej pięćset mil, zanim będę mógł zawrócić. Na tyle oceniamy zasięg kubańskiej sieci radarowej w południowej Angoli. Pięćset mil to znacznie więcej niż wynosi zasięg MiGów z eskadry w Lubango. – Dotknął na mapie miejsca, w którym znajdowała się baza Kubańczyków. – W porządku, a potem pojawię się nad wybrzeżem na wysokości ujścia Konga – tutaj – i polecę na południe, aż wychwycę sygnał przekaźnika Belli.

– Zaczekaj – przerwał mu Shasa. – Na jakiej zasadzie to działa?

– Chłopcy z Courtney Chemicals zrobili kawał cholernie dobrej roboty w tak krótkim czasie. – Otworzył teczkę. – Oto i on.

– Pompka do roweru? – zapytał Shasa.

– Zdaje się, że Nicky jest gwiazdą piłkarską. Poprosił Bellę, żeby przywiozła mu nową piłkę i skarżył się, że często musieli pompować starą. Pompka to normalny dodatek do piłki. Nie powinna wzbudzić żadnych podejrzeń. Działa prawidłowo. – Nacisnął kilka razy rączkę pompki, powietrze wyleciało z sykiem.

– Przekażnik jest umieszczony w rączce. Jego bateria będzie działać przez trzydzieści dni. Uruchamia się go po prostu przekręcając rączkę w ten sposób. – Pokazał im. – Ma on jedną wadę. Musieliśmy zmniejszyć rozmiary przekaźnika, aby zmieścił się w rączce, przez co jego sygnał jest słabszy. Ma zasięg poniżej dwunastu kilometrów, nawet przy tak czułej antenie, jaką umieściliśmy w learze. Będę musiał znaleźć się dostatecznie blisko, by odebrać sygnał.

– A co z kubańskimi myśliwcami z północy? – zapytał Shasa z niepokojem.

– Według wywiadu RPA najbliższa eskadra znajduje się w Saurimo. Zrobię jeden krótki wypad wzdłuż wybrzeża. Jak tylko odbiorę sygnał Belli, zawrócę ku morzu. Rozpracowałem to na papierze; nawet gdyby kubańskie radary mnie wykryły, kiedy będę wkraczał na angolską przestrzeń powietrzną, i natychmiast wysłały na mnie odrzutowce z Saurimo, powinienem zdążyć zawrócić i uciec, zanim mnie dopadną.

– A co z SAMami? – dopytywał się dalej Shasa.

– Wywiad donosi, że wszystkie kubańskie pułki SAM znajdują się na południu.

– A jeśli wywiad się myli?

– Daj spokój, ojczy! Sean ryzykuje dużo bardziej niż ja.

– Ale takie sprawy to dla Seana chleb powszedni, poza tym on nie ma żony i stadka dzieci.

– Chcemy wydostać Nicky’ego, czy nie? – Garry odwrócił się do ojca plecami, kończąc rozmowę. – Dobrze, na czym to stanąłem? Aha, odbieram sygnał Isabelli. Zwracam się ku morzu i nawiązuję kontakt radiowy z „Lancerem”, który będzie stał w pobliżu ujścia rzeki Kongo. Przekażę im, gdzie znajduje się baza i wrócę do domu.

– Wydaje mi się – powiedział Shasa nonszalancko przeciągając słowa – że polecę z tobą, Garry!

– Daj spokój, ojczu, przeszedłeś już Bitwę o Anglię. Weź też pod uwagę swój wiek.

– Nauczyłem cię latać, mój chłopczu, i wciąż codziennie mogę robić wokół ciebie pętle.

Garry spojrział na Nanę, szukając wsparcia. Jej twarz była jak kamień. Wyrzucił ręce w powietrze i uśmiechnął się.

– Witaj na pokładzie, kapitanie – zgodził się.

\*

– Żegnaj, Nano. – Isabella objęła starszą panią z nagłą, rozpaczliwą siłą. – Módl się za nas.

– Tylko przyprowadź mi tu mojego prawnuka, panienko. On i ja mamy wiele do nadrobienia.

Isabella odwróciła się do ojca.

– Kocham cię, tato.

– Nie tak bardzo, jak ja ciebie.

– Byłam taka głupia, że ci nie zaufałam. Powinnam była przyjść do ciebie od razu na początku. – Załkała. – Zrobiłam straszne rzeczy, tato. Rzeczy, o których jeszcze ci nie powiedziałam. Nie wiem, czy kiedykolwiek będziesz mógł mi je wybaczyć.

– Moja dziewczynka – powiedział ochryplym głosem. – Moja niezwykła, jedyna dziewczynka. Wróć do mnie i przywieź ze sobą swoje dziecko.

Pocałowała go i mocno objęła. Potem obróciła się i niemal pobiegła przez wejście dla pasażerów odlatujących za granicę na Jan Smuts Airport.

Centaine i Shasa długo stali i patrzyli za nią. Nad ich głowami ogłaszano już odlot jej samolotu.

– Po raz ostatni proszeni są wszyscy pasażerowie odlatujący samolotem South African Airlines, lot numer 516 do Kinszasy i Londynu.

Centaine odwróciła się i wzięła Shasę pod rękę. Opierała się ciężko na swojej lasce. Noga zawsze bardziej ją bolała, kiedy była czymś zmartwiona albo przemęczona.

Szofer zaparkował samochód przed głównym wejściem, mimo że jeden z policjantów kazał mu przejechać nieco dalej. Shasa pomógł usiąść Centaine na tylnym siedzeniu i obszedł samochód, by zająć miejsce obok.

– Jest coś, o czym jeszcze nie mówiliśmy. – Centaine wzięła go za rękę.

– Tak – zgodził się Shasa. – Wiem, o co zapytasz. Co wydusili z Belli? Jaką cenę musiała zapłacić?

– Pracowała dla nich od lat, odkąd urodziło się dziecko. To jasne.

– Nie chcę o tym myśleć – westchnął Shasa. – Ale wiem, że będziemy musieli stawić temu czoło, wcześniej czy później. Ten drań, który ją w to wpakował, jest generałem KGB, a więc wiemy, kim są jej przełożeni.

– Shasa... – Centaine zawahała się, lecz po chwili jej głos zabrzmiał pewnie. – Czy pamiętasz skandal, związany ze Sylwetką?



– Nigdy o nim nie zapomnę.  
– Był przeciek... zdrajca. – Centaine naciskała nieubłaganie.  
– Bella nic o tym nie wiedziała. Byłem ostrożny i trzymałem ją z dala od całej sprawy – powiedział Shasa stanowczo.  
– Czy pamiętasz tego izraelskiego naukowca, który przyjechał do Smoczej Fontanny? Jak on się nazywał... Aaron jakiś tam? Bella miała z nim mały romans. Mówiłeś, że jej nazwisko było zapisane w rejestrze w Pelindabie. Spędziła z nim noc.  
– Mamo, czy ty myślisz, że... – Shasa przerwał. – Boże, czy zdajesz sobie sprawę z tego, do jakich informacji ona miała dostęp przez te wszystkie lata? Jako senator i jako moja asystentka? Większość najtajniejszych planów Armscoru przeszła przez jej ręce!  
– Także plany związane z cyndexem – skinęła głową Centaine. – Była obecna przy testach zaledwie kilka tygodni temu. Dlaczego pozwolili jej zobaczyć się z Nicholasem właśnie teraz? Czy przekazała im jakieś istotne informacje, jak myślisz?  
Przez dłuższy czas jechali w milczeniu, wreszcie Shasa zapytał cicho:  
– Gdzie zaczyna się lojalność wobec rodziny i wobec jednego z naszych dzieci, a gdzie lojalność wobec ojczyzny i poczucie patriotycznego obowiązku?  
– Myślę, że ty i ja będziemy musieli wkrótce postawić sobie to pytanie – westchnęła. – Ale najpierw załatwmy tę sprawę.

\*

„Lancer” był przycumowany do mola niedaleko fabryki konserw Courtneyów w Wams Bay. Miał dwieście pięćdziesiąt stóp długości; był to trawler, lecz kształt miał opływowy, jak nowoczesne krążowniki. Został tak zbudowany, aby mógł pracować na dowolnym terenie połowów na każdym oceanie – aby mógł szybko tam dotrzeć i pozostać na miejscu przez wiele miesięcy, po czym równie szybko wrócić do portu.

Sean stał na molu i oglądał statek. Nie podobał mu się jego jasnożółty kolor; za bardzo się rzucał w oczy. Z drugiej strony, pochylnia na rufie umożliwiała łatwe wodowanie i windowanie łodzi. W każdym razie za późno już było na zmianę koloru, zdecydował. Połowa scouts stała przy poręczy statku i kiedy tylko rozpoznali go, zaintonowali chórem „Dlaczego urodził się tak piękny?”

Sean pogroził im palcem.

„Ani odrobiny cholernego szacunku – stwierdził i pobiegł po trapie. Powitali go z radością i otoczyli tłumnie, aby uściskać jego dłoń. Część ich entuzjazmu wynikała ze znudzenia; dla tych świetnie wyszkolonych wojowników tydzień bezczynności był czymś nieznośnym.

Wszyscy byli ubrani jak rybacy – w zniszczone, wyblakłe dzinsy, obszarpane wełniane swetry oraz rozmaite czapki i kominiarki.

Starszy sierżant Esau Gondele był czystej krwi Matabelem, starym towarzyszem z wielu desperackich potyczek i walk. Zasalutował Seanowi i uśmiechnął się, gdy ten uderzył go w ramię.

– Zrzuciłeś mundur, Esau. Nie przejmuj się, brachu.

Dwunastu z dwudziestu scouts, których wybrał Sean, byli Matabelami, pozostali to biali Rodezjczycy – wychowywani w buszu synowie hodowców zwierząt, strażników leśnej zwierzyny albo górników.

Wśród scouts nikt nie zwracał uwagi na kolor skóry. Esau Gondele powiedział kiedyś do Seana:

– Najlepsze lekarstwo na rasizm, to jak ktoś do ciebie strzela. Nieważne, jaki kolor ma dupa, która cię ratuje – czarna czy biała, masz ochotę jak diabli ucałować ją.

Sean martwił się o komandosów morskich z Simonstown, którzy zajmowali się

pontonami. Wszyscy byli twardymi, białymi Afrykanerami. Mogły być kłopoty z ich przystosowaniem się do wielorasowego zespołu.

– Jak sobie radzisz z pajakami skalnymi? – zwrócił się do Esau Gondele, używając pejoratywnego slangowego określenia dla Afrykanerów.

– Niektórzy z nich są już moimi kumplami, ale wciąż nie chciałbym, żeby któryś z nich ożenił się z moją siostrą – zaśmiał się. – Nie, poważnie, Sean, są w porządku. Znają się na rzeczy. Powiedziałem im, że nie muszą nazywać mnie Baasie i w lot chwycili dowcip.

– OK, starszy sierżancie. Wyruszamy w nocy. Mało prawdopodobne, żeby ktoś się tu nami zainteresował. Ale nie możemy ryzykować. Ty i ja sprawdzimy sprzęt, zanim odcumujemy, a potem spotkamy się z chłopcami.

Kajuty załogi były małe, a warunki spartańskie. Scouts i sześciu komandosów sfłoczyło się w mesie, posiadali na stole i na kojach. Po kilku minutach w powietrzu wisiała chmura dymu tytoniowego, a „Lancer” podnosił się i opadał, unoszony przez zimne, zielone wody prądu Benguela.

Wszyscy scouts, których wybrał Sean, byli wypróbowanymi marynarzami, odbywającymi patrole na wzburzonym jeziorze Kariba. Nie posłano po Matatu z powodu mai de was. Mały Ndorobo zwymiotowałby do tej pory wszystkie wnętrzności. Sean czuł się dziwnie, jadąc na wyprawę bez Matatu przy boku, to było tak, jakby ktoś wybrał się w podróż bez medalika ze świętym Krzysztofem. Matatu był jego talizmanem, przynoszącym szczęście. Odpędził od siebie tę myśl i rozejrzał się po zatłoczonej mesie.

– Czy wszyscy widzą? – Sean przymocował mapy do ścianki. Rozległ się pomruk potwierdzenia.

– Kierujemy się tu – wskazał na mapie. – Celem misji jest odbicie dwójki więźniów, kobiety i dziecka.

Usłyszał jęki i prychnięcie, co oznaczało, że jego żołnierze są rozczarowani. Sean uśmiechnął się.

– OK, nie panikujcie. Będzie kupa okazji, żeby sobie postrzelać. Karabiny cały czas będą w użyciu, panowie, środek sezonu.

Pomruki zamieniły się w ironiczne wiwaty, Sean zaczekał, aż się uciszą.

– To jest szkicowy plan terenu, na którym znajdują się nasze cele. Jak widzicie, jest bardzo ogólny, ale daje pojęcie o tym, czego możemy tam oczekiwać. Sądzę, że więźniowie są przetrzymywani w tych zabudowaniach, koło plaży. Prawdopodobnie w tej chatce. Ja poprowadzę oddział ratunkowy. Popłyniemy tam trzema łodziami.

Zobaczył, że Esau klęczy na koi, ściśnięty z obu stron przez komandosów. Wszyscy trzej palili jednego papierosa, przekazując sobie peta z ręki do ręki.

„Jaka jest teraz wartość apartheidu!” – uśmiechnął się do siebie i mówił dalej:

– Jeśli gdzieś mogą się zdarzyć poważne kłopoty, to najprędzej wzdłuż rzeki, na drodze z obozu terrorystów w pobliżu pasa startowego, tu i tu. Starszy sierżant Gondele poprowadzi rzeką oddział wspierający w trzech następnych łodziach i urządzi zasadzkę na drodze, żeby nikt z tamtych nie mógł się przedrzeć. Będziecie musieli wytrzymać tutaj przez trzydzieści minut od momentu, gdy usłyszycie pierwszy strzał. Dzięki temu będziemy mieć czas na odbicie jeńców. Potem wycofacie się w dół rzeki i jak najszybciej dotrzecie na „Lancera”. To proste, ale trzeba to zrobić szybko. Nie zostaniemy tam ani sekundy dłużej, niż będzie to konieczne, ale jeśli przy okazji załatwicie kilku tych drani, nikt nie będzie się skarżył. W porządku, teraz przejdziemy do szczegółów, a rano przećwiczymy wodowanie łodzi i wciąganie ich z powrotem na wzburzonej wodzie. Będziemy to robić codziennie, a także odbywać ćwiczenia z bronią i sprawdzać sprzęt – nie zostanie wam zbyt dużo czasu na listy do domu. Łądujemy na plaży w nocy we wtorek trzynastego. Zapamiętajcie tę datę.

Zapiszcie ją sobie.

Samolot South African Airlines wylądował w Kinszasie podczas tropikalnej ulewy. Isabella przemokła w kilka sekund, zanim wsiadła do autobusu.

Zgodnie z obietnicą ktoś na nią czekał, gdy przeszła przez stanowiska urzędu celnego i imigracyjnego. Był to przystojny młody pilot w mundurze khaki bez żadnych dystynkcji. Kiedy powitał ją po hiszpańsku, rozpoznała kubański akcent, ponieważ wiedziała już, na co ma zwracać uwagę.

Nalegał, by mógł ponieść jej walizkę i pudło z prezentami dla Nicky'ego i flirtował z nią bezczelnie w rozklekotanej taksówce, która zawiozła ich z głównego lotniska na prywatną i czarterową jej część.

Kiedy tam dotarli, deszcz przestał już padać. Mimo że ciężkie chmury wciąż jeszcze pokrywały niebo, powietrze było duszne i parne. Włożył jej bagaż do tylnej przegrody w małym, jednosilnikowym samolocie. Nie wiedziała, jakiego był typu. Nie miał żadnych oznaczeń oprócz tajemniczych cyfr i cały był pomalowany na biało.

– Czy polecimy w taką pogodę? – zapytała go. – Czy to nie jest niebezpieczne?

– Ach, señora, jeśli pani umrze, to umrze w moich ramionach. Cóż za wspaniałe odejście!

Jak tylko wznieśli się w powietrze, położył rękę na jej udzie, chcąc, by zwróciła uwagę na krajobrazy, które mijali.

– Trzymaj ręce na drążku i patrz na drogę – podniosła jego dłoń i odepchnęła. Błysnął zębami i oczami i zaśmiał się, jakby ją zdobył.

Nie mogła długo się złościć. Każda minuta lotu w tym kierunku była potwierdzeniem: zabierano ją do bazy, w której ostatnim razem widziała się z Nickym. Dwie godziny później rozpoznała pod warstwą chmur przed nimi szarą płaszczyznę Atlantyku. Pilot skręcił na południe i leciał wzdłuż plaży, a Isabella wyprostowała się na siedzeniu i ożywiła. Poznała zakola rzeki i jej ujście. Pilot obniżył lot i podszedł do lądowania na czerwonym, glinianym pasie.

„Nicky – pomyślała. – Już niedługo, moje dziecko. Niedługo znowu będziemy wolni”.

Zobaczyła go, kiedy ich samolot kołował. Stał na przednim siedzeniu jeepa. Był wyższy przynajmniej o dwa cale, a jego nogi wydawały się niezgrabne i za długie w stosunku do ciała. Włosy miał dłuższe, niż pamiętała, wysunęły mu się spod czapki; ale oczy były wciąż takie same. Cudowna, czysta zieleń, która lśniła nawet z takiej odległości. Gdy tylko rozpoznał ją za szybą, zaczął machać obiema rękami nad głową, a zęby błyszcząły mu w opalonej, pięknej twarzy.

Oprócz niego w jeepie siedzieli również kierowca i Jose, kubański spadochroniarz. Uśmiechnęli się również, kiedy wysiadła z samolotu.

Nicky wyskoczył z samochodu i pobiegł do niej. Przez chwilę myślała, że padnie jej w ramiona, ale opanował się i tylko wyciągnął rękę.

– Witaj, mamó. Cieszę się, że znowu cię widzę. Myślała, że zadławi się siłą swej miłości.

– Cześć, Nicky – powiedziała zachrypniętym głosem. – Tak urosłeś, że ledwo cię poznałam. Stajesz się mężczyzną.

To właśnie powinna była powiedzieć. Włożył kciuki za pas i zawołał władcym tonem do kierowcy:

– Zabierz bagaż mojej matki!

– W tej chwili, generale Pele – zsalutował mu żartem Jose i zwrócił się do Isabelli. – Dzień dobry, senora. Czekaliśmy na pani wizytę.

„Jestem teraz ulubioną ciocią dla każdego” – pomyślała cynicznie.

Z pudła z prezentami wyjęła dwa kartony marlboro i dała je obu mężczyznom, a

jej popularność wzrosła stokrotnie. W Angoli zachodnie papierosy były twardą walutą.

Nicholas prowadził, a ona rozmawiała szczęśliwa i chwaliła wszystko, co robił i osiągnął, odkąd widzieli się po raz ostatni, jednocześnie obserwując okolicę znacznie dokładniej niż poprzednio. Zorientowała się, że popełniła poważne błędy na mapie, którą naszkicowała dla Seana. Baza szkoleniowa powiększyła się od jej ostatniej wizyty. Musiało tu być obecnie kilka tysięcy żołnierzy, zobaczyła również coś w rodzaju artylerii pod siatką kryjącą. Wyglądało to na działa przeciwlotnicze o długich lufach. Dalej spostrzegła ciężarówki z antenami radarów w kształcie talerzy, skierowanymi w niebo i pomyślała, że nad nimi będą przelatywać ojciec i Garry. Nie miała jak ich ostrzec o tych zmianach.

Kiedy dotarli do zabudowań na plaży, Isabella sprawdziła odległość na prędkościomierzu. Z lotniska na plażę było tylko trzy i pół kilometra, znacznie mniej, niż przewidywała. Zastanawiała się, na ile mogło to być groźne dla ekipy ratunkowej. Posiłki mogłyby nadejść znacznie szybciej, niż zaplanował Sean.

Jose zaniósł jej bagaż do budki strażnika. Czekały na nią te same dwie kobiety, które spotkała ostatnim razem. Jednakże były dla niej bardziej przyjazne i zachowywały się mniej oficjalnie.

– Przywiozłam wam prezenty – powitała je i wręczyła im po flakonie perfum, które wybrała raczej ze względu na wielkość niż na subtelny zapach. Były zachwycone i pokropiły się tak obficie, że w pokoju trudno było oddychać. Minęło kilka minut, zanim zabrały się do przeszukiwania jej bagażu.

Tym razem nie zastanawiały się nad aparatem fotograficznym, choć zatrzymały się dłużej przy kosmetykach. Isabella zachęciła je, by wypróbowały szminkę, na co zgodziły się bardzo chętnie i podziwiała efekty w jej lusterku. Atmosfera bardziej przypominała spotkanie starych znajomych niż obszukiwanie.

Kiedy wzięły się w końcu za pudło z prezentami dla Nicholasa, najwyraźniej nie przykładały się już do swych obowiązków. Jedna z nich wyjęła nie napompowaną piłkę nożną.

– Ach, Pele będzie zachwycony! – zawołała, a potem Isabellę przeszły ciarki, kiedy sięgnęła po pompkę.

– Do piłki – wyjaśniła.

– Si, wiem, do pompowania powietrza – kobieta poruszyła kilka razy rączką i wrzuciła pompkę z powrotem do pudełka.

– Przepraszam, że sprawiamy pani kłopoty, sehma. Spełniamy tylko nasze obowiązki.

– Oczywiście. Rozumiem – zgodziła się Isabella.

– Zostanie pani z nami dwa tygodnie. To dobrze. Pele bardzo cieszył się na pani przyjazd. To dobry chłopak. Wszyscy bardzo go lubią. Wszyscy są z niego bardzo dumni.

Pomogła Isabelli zanieść walizki do tego samego domku, w którym mieszkała poprzednio.

Nicholas siedział na jej łóżku już przebrany w strój kąpielowy.

– Choć, mam, pójdziemy się kąpać. Płyniemy do rafy – prześcignę cię.

Pływał jak wydra, z trudem za nim nadążała.

Wieczorem, kiedy byli sami w chatce, dała mu prezenty. Chociaż najbardziej trafiła z piłką, podobały mu się również książki i ubrania. Przywiozła mu kilka par przewiewnych spodenek i koszulki, z których był zachwycony. Dała mu również magnetofon Sony i pudełko kaset. Najbardziej podobały mu się Creedence Clearwater Revival oraz Beatlesi.

– Umiesz tańczyć rock and roila? – zapytała. – Pokażę ci. – Włączyła kasetę

Johnny'ego Hallidaya.

Wirowali po całej chatce, piszcząc z radości, aż Adra wezwała ich na obiad. Adra była milcząca i obojętna jak zawsze. Isabella ignorowała ją i skupiała całą uwagę na Nicholasie. Nazbierała dla niego mnóstwo dowcipów o słoniach.

– Skąd wiadomo, że słoń był w lodówce? Widać jego ślady na maśle. Ten szczególnie mu się podobał. On z kolei opowiedział jej kawał, który usłyszał od Jose. Zaniemówiła z wrażenia.

– Czy wiesz, co to znaczy? – zapytała, drżąc nerwowo.

– Oczywiście – odpowiedział. – Jedna z dużych dziewczyn w szkole pokazała mi.

– Isabella pomyślała, że rozsądniej będzie porzucić ten temat.

Odprowadziły go do łóżka, a Adra poszła z nią do jej chatki. Isabella szepnęła:

– Gdzie jest Ramon, markiz? Czy on jest tutaj? Adra rozejrzała się ostrożnie, zanim odpowiedziała.

– Nie. Wkrótce się zjawi. Myślę, że jutro albo pojutrze. Mówił, że przyjdzie do pani. Kazał pani powiedzieć, że panią kocha.

Kiedy została sama w domku, zaczęła drżeć na myśl o tym, że znowu spotka Ramona – teraz, gdy wiedziała, kim jest. Wątpiła, czy będzie w stanie zachowywać się naturalnie. Przeraziła się, gdy pomyślała o kochaniu się z nim. Z pewnością wyczułby zmianę, jaka zaszła w jej uczuciach do niego. Mógłby zabrać stąd Nicholas a albo uwięzić ją.

– Boże, proszę, pozwól, by Sean dotarł do mnie pierwszy. Nie dopuść go, dopóki nie przybędzie Sean.

Nie spała tej nocy, bojąc się, że Ramon nagle wynurzy się z ciemności i będzie musiała wziąć go do łóżka.

Tak samo jak poprzednio, następne dwa dni Nicholas i ona spędzili na pływaniu, łowieniu ryb i zabawach na plaży z Dwudziestym Szóstym. Szczeniak wyrósł na kościstego psa o skośnych ślepiach, długim ogonie i miękkich uszach, które Nicholas uwielbiał. Spał razem z nim w łóżku; Isabella nie miała władzy, by mu tego zakazać, mimo że długie nogi Nicholas a były pokryte śladami ukąszeń pcheł.

W poniedziałek w nocy, kiedy przyglądała się, jak Nicky szykuje się do snu, sięgnęła machinalnie ręką i zdjęła pompkę z półki nad łóżkiem, na której naczelnie miejsce zajmowała nowa piłka. Przekręciła rączkę i usłyszała słabe szcęknięcie, gdy przekładnik się włączył. Odłożyła ją na miejsce, zanim Nicholas wrócił z łazienki. Pachniał miętową pastą do zębów, którą przywiozła mu z Kapsztadu.

Kiedy pochyliła się nad łóżkiem, żeby poprawić moskitierę, nieoczekiwanie wyciągnął ręce i objął ją za szyję.

– Kocham cię, mamó – szepnął nieśmiało i pocałował ją.

Jego usta były miękkie, wilgotne i ciepłe, miały smak pasty do zębów. Myślała, że serce jej pęknie z miłości do niego. Nicholas szybko zawstydził się tego objawu uczuć i przekręcił się na bok, naciągnął prześcieradło po samą szyję, zamknął oczy i zaczął ostentacyjnie chrapać.

– Śpij spokojnie, Nicky. Ja też cię kocham... całym sercem – szepnęła.

Kiedy wracała do swojego domku, zagrzmiało i nocne niebo rozdarła błyskawica. Gdy podniosła głowę, ciężka kropla ciepłego deszczu spadła jej na czoło.

W kabinie pilota leara panował spokój. Znajdowali się na wysokości czterdziestu tysięcy stóp, a więc zbliżali się do pułapu samolotu i nie mogli wznieść się wyżej nie zmniejszając prędkości i nie narażając się na uszkodzenia.

– Przed nami wybrzeże wroga – powiedział cicho Shasa, a Garry zachichotał.

– Daj spokój, ojczu. Takie rzeczy mówi się tylko w filmach o drugiej wojnie światowej.

Znajdowali się ponad warstwą chmur, w czarownym świecie srebrzystej poświaty księżycowej. Chmura pod nimi świeciła jak alpejski szczyt, pokryty śniegiem.

– Jesteśmy o sto mil morskich od ujścia rzeki Kongo. – Shasa sprawdził ich pozycję na ekranie systemu nawigacyjnego. – Powinniśmy być prawie dokładnie nad „Lancerem”.

– Lepiej się do nich odezwać – zaproponował Garry, a Shasa włączył radio.

– Halo, Kaczor Donald. Tu Zaczarowany Smok. Odczytujecie?

– Halo, Smoku. Tu Kaczor. Odczytujemy: dziesięć dziesięć – odpowiedzieli natychmiast, a Shasa uśmiechnął się z ulgą, gdy rozpoznał głos swego najstarszego syna.

– Sean trzyma rękę na pulsie – mruknął i nadawał dalej: – Nie rozłączaj się, Kaczorze. Lecimy do Disneylandu.

– Miłej podróży. Over.

Shasa obrócił się na fotelu dla drugiego pilota i spojrzał do tyłu na kabinę dla pasażerów. Dwaj technicy z Courtney Communications przykucnęli przy sprzęcie. Dziesięć dni zajęło im montowanie specjalistycznych urządzeń elektronicznych. Były tu także takie cacka, które nie przeszły jeszcze do końca kontroli Armscoru i których nie dostarczono armii. Nie wbudowano tego sprzętu, lecz przymocowano pasami i śrubami do podłogi. Twarze techników przypominały oblicza czarownic – zielonkawy kolor nadawało im światło bijące z ekranu, w który się wpatrywali. Olbrzymie słuchawki zniekształcały ich głowy.

Shasa przeszedł na komunikację wewnętrzną.

– Jak idzie, Len?

Główny inżynier spojrzał na niego.

– Nie rejestrujemy radaru. Tylko zwykłe fale radiowe z Luandy, Kinszasy i Brazzaville. Żadnych sygnałów z miejsca przeznaczenia.

– Kontynuować – polecił Shasa i odwrócił się. Wiedział, że nowe urządzenia do wychwytywania fal radiowych sprawdzało zakresy. Powinno wykryć wszelkie sygnały z baz wojskowych w Luandzie i Saurimo. Antena, przymocowana u dołu samolotu, ostrzegłaby ich, jeśli wykryliby wrogi radar. Len, specjalista od łączności, został wybrany ze względu na swoją znajomość hiszpańskiego. Mógł kontrolować komunikację radiową Kubańczyków.

– OK, Garry. – Shasa dotknął jego ramienia. – Jesteśmy nad ujściem Kongo. Bierzemy teraz kurs sto siedemdziesiąt pięć.

– Kurs sto siedemdziesiąt pięć.

Garry zawrócił leara i skręcili na wschód, by polecieć wzdłuż brzegu.

Z powodu jakiegoś kaprysu pogody i wiatru głęboka dziura otworzyła się w chmurach pod nimi. Księżyc natomiast znajdował się dokładnie nad nimi, pozostawało dwa dni do pełni, a jego światło przedarło się przez otwór i czterdzieści tysięcy stóp poniżej zobaczyli platynowe migotanie wody i ciemne zarysy afrykańskiego brzegu.

– Za cztery minuty ujście rzeki Ambriz – ostrzegł Shasa.

– Rozpoczęliśmy poszukiwanie sygnału z miejsca docelowego – potwierdził przez słuchawki Len.

– Ambriz przed nami – powiedział Shasa.

– Żadnego sygnału nie dostrzeżono.

– Ujście Catacanhy za sześć minut – rzekł Shasa.

Nie przypuszczał, aby ta baza mieściła się nad rzeką Ambriz. Był to zewnętrzny pas ich obszaru poszukiwań. Spojrzał przed siebie i skrzywił się. Dokładnie naprzeciwko nich wznosiła się ku stratosferze ogromna, groźna, czarna chmura. Oceniał jej wysokość na sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt tysięcy stóp – więcej niż

wynosił pułap leara.

– Jak ci się podoba ten Charlie Bravo? – zapytał, a Garry pokręcił głową i spojrzał na ekran radaru, wskazującego warunki pogodowe. Ogromna, tropikalna burza z piorunami pokazała się na monitorze jako upiorny, wściekły, szkarłatny rak.

– Dziewięćdziesiąt sześć mil przed nami – i to prawdziwe Lulu. Wygląda na to, że siedzi nad jedną z naszych rzek, nad Chicambą.

– Jeśli to prawda, to burza zmiecie wszelkie sygnały, jakie wyśle przekaźnik Isabelli.

– I tak nie uda nam się przez nią przelecieć – mruknął Garry.

– Przed nami Catacanha, Len. Czy odbierasz coś?

– Nic, panie Courtney. – Po chwili jego głos się zmienił. – Chwileczkę! O cholera! Ktoś nakierował na nas promienie radaru.

– Garry! – Shasa dotknął jego ramienia. – Mają nas na radarze.

– Przełącz się na pasmo międzynarodowe – powiedział Garry. – I nasłuchuj. Siedzieli nieruchomo, przysłuchując się odgłosom wielkiej, roz hukanej burzy. Nagle w głośniku zasyczało i odezwał się czysty głos.

– Do nie zidentyfikowanego samolotu. Mówi kontrola z Luandy. Jesteście w strefie zastrzeżonej. Zidentyfikujcie się natychmiast. Powtarzam, jesteście w strefie zastrzeżonej.

– Kontrola w Luandzie, tu lot BA 051 British Airways. Mamy uszkodzony silnik. Prosimy o podanie pozycji. – Shasa zaczął grać na zwłokę. Każda sekunda, którą zyskał, była na wagę złota. Prosił ich o pozwolenie na lądowanie w Luandzie i udawał, że nie odbiera lub nie rozumie ich odmownych odpowiedzi i rozkazów natychmiastowego opuszczenia krajowej przestrzeni powietrznej.

– Nie nabrali się na to, panie Courtney – ostrzegł ich Len, kiedy sprawdził wojskowe częstotliwości. – Wysłali przeciwko nam eskadrę MiGów z Saurimo. Nakierowują ich na nas.

– Za ile dotrzemy nad ujście Chicamby? – zapytał Garry.

– Czternaście minut – rzucił krótko Shasa.

– No proszę, proszę! – uśmiechnął się Garry. – Lecimy prosto na te MiGi.

Nadlatują z prędkością dwóch machów. Będzie niezła zabawa. Kierowali się szybko na południe, ku światłu księżyca.

– Panie Courtney, mamy coraz więcej fal radarów. Chyba złapały nas radary MiGów.

– Dziękuję, Len. Do Chicamby została jedna minuta trzydzieści sekund.

– Panie Courtney – w głosie Lena słychać było piskliwy ton. – Dowódca MiGów melduje, że zobaczył cel. Mają nas. Fale radaru są coraz silniejsze. Dowódca rozkazuje im przygotować się do użycia broni.

– Chyba mówisz, że nie mogą nas złapać – stwierdził spokojnie Shasa. – Myślałem, że jesteśmy poza ich zasięgiem.

– Do diabła, tato, każdy może się pomylić.

– Panie Courtney! – głos Lena zmienił się w pisk. – Słyszę sygnał z obszaru docelowego, słaby i przerywany. Około sześciu kilometrów. Prosto przed nami!

– Jesteś pewien, Len?

– To na pewno nasz przekaźnik!

– Ujście Chicamby. Bella jest nad Chicambą! – wrzasnął Shasa. – Wynośmy się stąd do diabła!

– Panie Courtney, MiGi przygotowały uzbrojenie i atakują. Fale są bardzo silne i ciągle się wzmacniają.

– Trzymajcie się! – zawołał Garry. – Łapcie kapelusze. – Skręcił przez skrzydło i zaczął pikować.

– Co ty, do diabła, robisz! – krzyknął Shasa, wciśnięty w fotel siłą ciężenia. – Zawracaj i uciekaj na morze.

– Rozerwą nas, zanim zrobimy miłą – zaprotestował Garry i pikował dalej.

– Chryste, Garry, odpadną nam skrzydła.

Wskazówka prędkościomierza przesuwiała się szybko ku barierze bezpieczeństwa.

– Wybieraj, ojczu. Albo my oderwiemy jej skrzydła, albo MiGi dadzą nam w dupę.

– Panie Courtney, dowódca MiGów zarządził przygotowanie rakiet do odpalenia – z trudem wykrztusił Leon.

– Co masz zamiar zrobić, Garry? – Shasa chwycił go za ramię.

– Wleczę tam – odparł Garry i wskazał na wysoką, oblaną światłem księżycą chmurę.

Niebo przed nimi przesłaniała ta właśnie masa wzburzonych kłębow. Jej obrzeża gotowały się i kipiały od silnych wiatrów i prądów powietrza, które szalały we wnętrzu. Błyskawice rozświetlały chmurę i płonęły głęboko w niej.

– Jesteś szalony – szepnął Shasa.

– Żaden MiG nie polecą za nami – powiedział Garry. – Żaden pocisk nie trafi do celu wśród takich wyładowań elektrycznych.

– Panie Courtney, MiG dowódcy wystrzelił raketę – i jeszcze jedną. Lecą dwie rakiety...

– Módl się za nas grzeszników – rzekł Garry i trzymał leara dalej w locie pikującym; wskazówka prędkościomierza przekroczyła barierę bezpieczeństwa.

– I o to chodzi – uwaga Shasy trafiła w sedno.

Kiedy to mówił, coś uderzyło w kadłub leara. Samolot przekreślił się na grzbiet, gałka na pulpicie zaczęła się kręcić jak zabawkowy bąk i wlecieli w chmurę.

Natychmiast stracili widoczność, a szara, gęsta chmura wchłonęła ich jak wilgotna wata. Pasy bezpieczeństwa napięły się, kiedy uderzyła w nich burza. Chwycała ich w swe szpony i smagała.

Lear przewracał się i wirował jak suchy liść na wietrze. Przyrządy na panelu kontrolnym kręciły się i przewracały, wysokościomierz skakał w górę i w dół, kiedy wpadli w próżnię, a potem trafili na szalony prąd powietrza, który porwał ich dwa tysiące stóp do góry i rzucał nimi na wszystkie strony.

Nagle chmurę rozświetliła od wewnątrz błyskawica. Oślepiła ich, zahuczała w głowach i wydusiła z silników leara śmiertelne wycie. Błękitne ogniki tańczyły na metalowym poszyciu, jakby maszyna płonęła. Trafili w jeszcze jedną dziurę z siłą, która wbiła ich w fotele i wygięła kręgosłupy. Potem wyniosło ich do góry i znowu rzuciło w dół. Cały kadłub skrzypiał i jęczał, kiedy burza usiłowała rozerwać go na strzępy.

Garry był bezradny. Wiedział, że ma jedynie chronić stery i naciskać z całej siły na panel kontrolny. Lear walczył o życie. Szepem dodawał mu otuchy i trzymał drążek sterowy najdelikatniej, jak potrafił, próbując wyprowadzić samolot z grożącej śmiercią spirali.

– Odwagi, kochanie – szeptał. – No, dalej, kochanie. Musi ci się udać.

Shasa wpiął się rękami w oparcia fotela i utkwiał wzrok w wysokościomierzu. Zeszli już na piętnaście tysięcy stóp i wciąż spadali. Wszystkie pozostałe przyrządy oszalały. Chwiały się i szarpały.

Skupił całą swą uwagę na wysokościomierzu. Wskazówka opadała nierównymi skokami. Dziesięć tysięcy, siedem, cztery tysiące. Siła burzy wzmożła się; głowy rzucało im do przodu i do tyłu, co groziło złamaniem kręgosłupa. Pasy na ramionach wpijały się boleśnie w ciało.

Coś w kadłubie pękło z trzaskiem. Shasa zignorował to i próbował skoncentrować



się na wysokościomierzu. Widział niewyraźnie z powodu skoków, jakie wykonywał lear.

Dwa tysiące stóp, tysiąc – zero. Powinni byli uderzyć w ziemię.

Raptem lear się uspokoił. Garry nacisnął dźwignię, który zadziałał. Wskaźnik kierunku lotu ustabilizował się i zbliżał do pozycji pionowej, gdy lear wyrównał lot i wypadł z chmury.

Zmiana była zaskakująca. Zamiast huku burzy usłyszeli cichy szum silników. Światło księżyca wlewało się do kabiny. Shasa westchnął.

Znajdowali się niemal na powierzchni morza, zbliżając się ku niemu bardziej jak latająca ryba niż jak ptak. Gdyby obniżyli lot jeszcze o sto stóp, pochłoniętyby ich fale Atlantyku.

– Świetnie wymierzone, mój synu – powiedział Shasa zachrypniętym głosem i spróbował się uśmiechnąć, ale jego przepaska na oko obluzowała się i zwisała poniżej ucha. Poprawił ją drżącymi palcami.

– No, nawigatorze – uśmiechnął się Garry z przymusem – podaj mi kurs.

– Nowy kurs dwieście sześćdziesiąt stopni. Jak sobie radzi?

– Jak lekki wietrzyk.

Garry delikatnie zmienił kurs. Lear łagodnie obrócił się i popędził ku Atlantykowski, zostawiając za sobą ciemną masę kontynentu.

– Len – powiedział Shasa i odwrócił się do wnętrza kabiny. Twarze techników były blade i spocone ze strachu. – Jak tam MiGi?

Len patrzył na niego osłupiałymi oczami i próbował oswoić się z szokującą myślą, że wciąż żyje.

– Weź się w garść, człowieku – mruknął Shasa i Len pochylił się szybko nad monitorem.

– Tak, nadal je widzimy. Dowódca melduje o zniszczeniu celu, kończy im się paliwo i wracają do bazy.

– Żegnaj, Fidel. Dzięki Bogu, parszywy z ciebie strzelec – mruknął Garry i leciał nisko nad powierzchnią, gdzie panowało takie zamieszanie, że radary na brzegu nie mogły ich wykryć. – Gdzie jest „Lancer”?

– Powinien być wprost przed nami. Shasa uruchomił mikrofon.

– Kaczor Donald, tu Zaczarowany Smok.

– Mów, Smoku.

– To Chicamba. Powtarzam: Chicamba. Macie to? Over.

– Roger. Chicamba. Powtarzam: Chicamba. Mieliście jakieś kłopoty? Słyszeliśmy coś na południowy wschód stąd. Over.

– Nic wielkiego. Niedzielny piknik. Teraz wy odwiedźcie Disneyland.

– Jesteśmy w drodze, Smoku.

– Połamania nóg, Kaczorze. Skończyłem.

Było już wpół do szóstej we wtorek, kiedy Garry posadził leara na pasie lotniska w Windhoek. Wysiedli z trudem i stanęli całą grupą przy schodach. Garry podszedł do jednego z silników, który trzeszczał, chłodząc się.

– Ojciec! – zawołał. – Zobacz to.

Shasa przyjrzał się obcemu elementowi, który spłonął w metalowej konstrukcji kadłuba pod głowicą silnika turbo Garretta. Miał jaskrawożółty kolor. Była to rura w kształcie strzały, z długą śmigłą, która wystawała na sześć stóp z rozerwanego poszycia leara.

– Co to jest, do diabła? – zapytał Shasa.

– To, panie Courtney – powiedział Len, który podszedł do nich – to jest sowiecki ATOLL, rakietka typu powietrze-powietrze, która nie eksplodowała.

– No cóż, Garry – mruknął Shasa. – Fidel nie był jednak takim parszywym

strzelcem.

– Niech będzie błogosławiona sowiecka jakość – rzekł Garry. – Może jest trochę za wcześnie, ale co byś powiedział na lampkę szampana, tato?

– Wspaniały pomysł – odpowiedział Shasa.

– Rzeka Chicamba – stojąc ramię w ramię Sean i Esau Gondele pochylili się nad mapą. – A więc to tu.

Sean położył palec na maleńkim, nic nie znaczącym punkcie na obrzeżu kontynentu.

– Trochę na południe od Catacanhy – spojrzał na kapitana trawlera. Van Der Berg miał sylwetkę zapaśnika sumo – był niski, ciężki, o skórze opalonej i wysuszonej przez słońce i wiatr.

– Co wiesz na jej temat, Van? – zapytał.

– Nigdy nie byłem w pobliżu – wzruszył ramionami kapitan. – Jeszcze jedna pieprzona rzeczka. Ale dopłynę tak blisko, jak będziecie chcieli.

– Milę przed rafą zupełnie wystarczy.

– Załatwione – obiecał Van. – Kiedy?

– Chcę, żebyśmy jutro przez cały dzień trzymali się za horyzontem, a po zmroku zawieziesz nas o drugiej.

Dla scouts najważniejszą godziną była zawsze druga po północy. Wtedy właśnie nieprzyjaciel był najsłabszy, zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym.

O pierwszej nad ranem Sean zrobił ostatnią odprawę w mesie załogi „Lancera”. Każdego obejrzał z osobna. Wszyscy byli ubrani w błękitne swetry i dzinsy rybaków oraz czarne obuwie bojowe z płótna na gumowych podeszwach. Na głowach mieli robione ręcznie czarne wełniane czapki. Także twarze i ręce wszyscy mieli czarne – albo był to ich naturalny kolor, albo kamuflaż. Jedyną częścią munduru, której się nie pozbyli, były pasy z nabojami, dostarczone przez południowoafrykańskie siły zbrojne. Pochodziły one z kubańskiego sprzętu, zdobytego na południu Angoli. Ich uzbrojenie stanowiły sowieckie karabiny AKM, pistolety Tokarewa oraz bułgarskie granaty M 75. Trzech ludzi z oddziału Esau Gondele miało nieść ręczne granatniki. Częścią umowy z wojskiem RPA było, że żadne ślady do nich nie doprowadzą.

Pojedynczo podchodzili do stołu i oddawali wszystkie rzeczy osobiste, sygnety, blaszane identyfikatory, książeczki czekowe, portfele, zegarki i wszystko, co mogłoby służyć ich rozpoznaniu. Esau Gondele zapieczętował to wszystko w oddzielnych kopertach i wydał każdemu taki sam wodoszczelny, czarny zegarek elektroniczny.

Tymczasem kapitan ogłosił przez megafon:

– Znajdujemy się w odległości siedmiu mil morskich od ujścia rzeki. Spód przechodzi przez mielizny bez problemów. Będziecie na miejscu kilka minut przed czasem.

– Świetnie – powiedział Sean i zwrócił się do otaczającego go pierścienia czarnych twarzy.

– Bardzo dobrze, panowie, wiecie, czego szukamy. A oto kilka luźnych uwag, którymi mogą się zająć wasze mózdzki. Po pierwsze, jeśli macie zamiar kogoś skosić, uważajcie, żeby to nie była kobieta albo dziecko. To moja siostra. – Pozwolił, aby przetrawili tę informację. – Myśl numer dwa. Mapy, które wam pokazałem, są średnio zgodne z rzeczywistością. Nie polegajcie na nich. Myśl numer trzy. Nie zostawajcie na plaży, kiedy będziemy odpływać. Chicamba to nie miejsce na spędzenie urlopu. Jedzenie i warunki są zgniłe. – Wziął swój karabin z koi. – A więc, moje dzieci, do roboty.

„Lancer” szukał drogi po omacku, wspomagany radarem i sondą. Wszystkie światła były wyłączone, silniki pracowały na minimalnych obrotach, tak że statkiem

trudno było manewrować. W ciemności przed nimi Sean widział, jak błyszczące fale od czasu do czasu rozbijają się o rafę. Na brzegu nie było żadnych świateł. Łąd pochłonęła noc. Niebo nad nimi było szczelnie zasłonięte chmurami, które nie przepuszczały ani jednego promienia księżyca lub gwiazd.

Van Der Berg wyprostował się nad radarem.

– Jeszcze mila – powiedział cicho. – Głębokość wynosi sześć sążni, są mielizny. – Spojrzał na ciemną sylwetkę sternika. – Wyłączyć silniki.

Drżenie silników, które czuli pod stopami, ustało. „Lancer” dryfował jak kłoda.

– Dzięki, Van – rzekł Sean. – Przywiozę ci ładny prezent. – Zbiegł lekkim krokiem na główny pokład. Czekali na rufie, każdy oddział stał w swoim pontonie. Sean poczuł w powietrzu zapach piżma i skrzywił się. Nie lubił tego, ale użycie „bomu” przed walką stało się wśród scouts tradycją.

„To stary afrykański zwyczaj – pocieszał się. – Ci szaleni wojownicy Mahdiego palili to, zanim pokonali starego Kitchenera w Chartumie”.

– Starszy sierżancie, palenie skończone – rzucił przez zęby i usłyszał, jak szurają, gasząc pety z konopii indyjskich. Sean rozumiał, że ten zapach przytępniał ich strach i wzmacniał tę nierozważną brawurę, która również była częścią tradycji scouts, ale sam nigdy tego nie palił. Rozkoszował się uczuciem strachu; pulsowało w jego krwi i biło w skroniach. Nigdy nie był bardziej ożywiony niż w takiej chwili, kiedy szedł do walki, stawiał czoło śmiertelnemu niebezpieczeństwu. Nie chciał kalać tego czystego płomienia strachu.

Jedna po drugiej wypełnione ludźmi i sprzętem miękkie łupiny ześlizgnęły się po pochylni i plusnęły delikatnie w wodę. Przewoźnicy uruchomili silniki toyoty, które zaczęły cicho szumieć. Nawet w tak spokojną i bezwietrzną noc ten dźwięk nie mógł nieść się daleko.

Łodzie ustawiły się jedna za drugą jak czarny wąż; między sobą pozostawiali odległość równą długości jednej łupiny. Sean płynął w pierwszym pontonie z trzema najlepszymi ze swoich ludzi. Przewoźnik trzymał na rufie ukrytą latarkę punktową, która wskazywała drogę następnym łodziom. Bezgłośnie kierowali się w stronę łądu.

Sean stał na rufie. Na szyi zawiesił sobie rzemień z luminescencyjnym kompasem, ale polegał na innym urządzeniu, które miało mu pomóc dotrzeć do łądu. Była to duża plastikowa lornetka Zeissa.

W obiektywie widział zielone fale i rozpoznał ciemny punkt w ciągłej linii, który oznaczał ujście rzeki. Dotknął ramienia przewoźnika, aby zmienić kierunek. Następna fala uniosła ich i popchnęła, przesuwając się obok ich skorupy, a potem usłyszeli jej chrapliwy szmer, gdy wpływali przez przesmyk na spokojniejsze wody laguny.

Przez lornetkę zobaczył włochate czubki palm, których sylwetki rysowały się pomiędzy chmurami a gardzielą tworzoną przez ujście Chicamby. Błysnął latarką i łódź Esau Gondele podpłynęła do niego.

– To tu – pochylił się i szepnął wielkiemu Matabelowi do ucha, wskazując na ujście rzeki.

– Widzę – stwierdził Esau spoglądając przez lornetkę.

– Rozwalcie im łby!

Trzy łodzie wyruszyły razem, a Sean patrzył, jak znikają na rzece i zlewają się z niejasnymi zarysami łądu.

Odezwał się szeptem do przewoźnika i łódź skierowała się równoległe do brzegu. Kiedy płynęli wzdłuż laguny, Sean obserwował plażę przez lornetkę. Gdy byli o pół mili od ujścia, zauważył w mrocznym gąszczu palm kwadratowe kontury chatki, a potem następnej.

– To odpowiada opisowi Belli – zdecydował.

Płynęli do brzegu. Teraz spostrzegł nad najbliższą chatką połysk metalu. Była to

wysoka antena, przypominająca choinkę oraz talerz satelitarnego centrum łączności.

– To tu.

Piach zazgrzytał cicho pod kilem pontonu i wyskoczyli do ciepłej wody, która sięgała im do kolan. Sean poprowadził ich na brzeg. Piasek na plaży był tak biały, że Sean widział małe kraby, które uciekały przed nimi. Pobiegli do lasu palm i ukryli się poza zasięgiem przyływu.

Przez chwilę Sean sprawdzał położenie. Według opisu Isabelli właśnie w centrum komunikacyjnym powitano ją i zrewidowano. Powiedziała mu, że pracowały tu dwie lub trzy kobiety. W dodatku naliczyła około dwudziestu spadochroniarzy, którzy byli skoszarowani w barakach za ogrodzeniem z drutu.

Bramę zamykano zawsze o zachodzie słońca. Ostrzegła go o tym. Zawsze wystawiano tu strażę, których zadaniem było patrolowanie ogrodzenia. Strażnik zmieniał się co cztery godziny.

– Nadchodzi – mruknął Sean, kiedy zobaczył wartownika, idącego wzdłuż drutów kolczastych.

Opuścił lornetkę i szepnął do żołnierza, który leżał obok niego:

– Dwadzieścia kroków przed nami, Porky. Po lewej stronie.

– Mam go.

Porky Soaves był Rodezyjczykiem portugalskiego pochodzenia, specjalizował się w strzelaniu z procy. Potrafił trafić gołębia w skrzydło z odległości pięćdziesięciu metrów. Z dziesięciu metrów mógł trafić człowieka stalową kulą prosto w czaszkę.

Wysunął się do przodu jak nocna żmija. Kiedy kubański strażnik zrównał się z nim, ukląkł na jedno kolano i wziął zamach jak łucznik. Podwójna, chirurgiczna guma procy świsnęła, a strażnik upadł bez słowa na miękki biały piasek.

– Ruszaj! – rzekł Sean cicho i drugi żołnierz pobiegł naprzód z ciężkim sekatorem. Rozległ się chrzęst przecinanych drutów. Sean pobiegł do otworu.

Klepał po ramieniu każdego prześlizgującego się przez dziurę w ogrodzeniu żołnierza i pokazywał mu jego cel. Dwóch wysłał do głównej bramy, aby schwytali strażników, dwóm kazał zlikwidować centrum łączności, a reszta miała zająć koszary w końcu zabudowań i zdjąć strzegących je strażników.

Jeśli Isabellę umieszczono w tym samym miejscu co poprzednim razem, to powinna być w pierwszym domku na prawo od centrum. Nicky ze swoją kubańską niańką powinien zajmować drugi. Isabella nazywała ją Adra. Według Seana Adra należała do nich. Trzeba było się nią zająć. Chciał ją zdjąć przy pierwszej sposobności.

Sean pobiegł do chat, ale zanim do nich dotarł, usłyszał krzyk kobiety, dobiegający z centrum komunikacyjnego. Ostre, histeryczne wrzaski podrażniły napięte nerwy Seana. Hałasy uciał krótki szcęk automatu.

„Zaczęło się” – pomyślał Sean.

Noc eksplodowała strzelaniną, ogniem i śmiertelną gorączką bitewną Isabella spała niewiele, obudziła się przed północą na dźwięk silników samolotu, który przelatywał wysoko nad jej głową. Odrzuciła moskitierę i wybiegła z chatki.

Wiatr, spowodowany przez ogromną burzę, która zbliżała się od południa, huczał wśród liści palm; zatrzepotała nocna koszula i uderzyła ją po nagich nogach.

Odgłos silników odrzutowca narastał, lecz potem przycichł, zduszony przez wiatr i chmurę. Miała nadzieję, że któryś z tych samolotów to lear z jej ojcem i Garrym.

„Czy odebraliście sygnał? – zastanawiała się, wpatrując się w ciemne niebo. – Słyszysz mnie, tato? Czy wiesz, że tu jestem?”

Niczego nie zobaczyła, nawet światła pojedynczej gwiazdy. Odgłos silników oddalił się, słyszała tylko szum wiatru oraz huk i trzask, oznajmiający początek burzy.

Znowu zaczął padać deszcz, pobiegła więc do domku. Wytarła włosy i stopy i stanęła przy oknie, patrząc na plażę.

– Boże, proszę. Pozwól im dowiedzieć się, że tu jestem. Pomóż Seanowi nas znaleźć.

Podczas śniadania Nicholas powiedział:

– Nie miałem jeszcze okazji wypróbować mojej nowej piłki.

– Ależ gramy nią codziennie, Nicky.

– No tak, ale... to znaczy, z dobrymi zawodnikami – wyjaśnił i natychmiast zrozumiał, że popełnił nietakt. – Ty jesteś dobrym zawodnikiem, jak na dziewczynę. Myślę, że byłabyś świetnym bramkarzem, gdybyś jeszcze trochę poćwiczyła. Ale, mam, chciałbym zagrać z kilkoma kolegami ze szkoły.

– Nie wiem, czy twoi koledzy mogą tu przyjść – mówiąc to Isabella spojrzała na Adrę.

Kobieta nie podniosła głowy znad pieca.

– Zapytaj Jose – rzekła. – Może będą mogli.

Po południu Jose i Nicholas przyjechali jeepem, wypełnionym małymi czarnymi chłopcami. Mecz na plaży był głośny i zacięty. Trzy razy Isabella i Jose musieli rozdzielać szturchających się i kopiących zawodników. Po każdej walce grę kontynuowano, jakby nic się nie stało.

Isabelle wybrano na bramkarza w drużynie Synów Rewolucji. Ale kiedy puściła pięć goli, Nicholas, kapitan drużyny, powiedział taktownie:

– Myślę, że jesteś zmęczona, mam, i że chciałybyś już odpocząć.

I zdjęto ją z boiska.

Synowie Rewolucji pokonali Tygrysy Angoli 26:5. Isabella czuła się winna za te pięć bramek. Po końcowym gwizdku wyjęła dwukilogramową torbę cukierków i czekoladek z torby z prezentami. Kapitan i obie drużyny natychmiast wybaczyli jej brak waleczności.

Podczas obiadu Nicholas rozgadał się. Isabella usiłowała być równie naturalna, ale jej oczy ciągle spoglądały za okno na plażę. Jeśli Sean miał przybyć, to tylko tej nocy. Zauważyła, że Adra przygląda się jej z uwagą. Jeszcze raz spróbowała włączyć się do rozmowy z Nicholasem, ale teraz myślała o Adrze.

„Czy mogliby zabrać ją ze sobą? – zastanawiała się. – Czy zechciałyby pojechać?” Adra była tak skryta i tajemniczą osobą, że Bella nigdy nie potrafiła odgadnąć, co ona naprawdę czuje, oprócz tego, że kochała Nicky’ego. Tylko to wiedziała o niej na pewno.

„Czy mogę zaufać jej na tyle, by ostrzec ją przed akcją? – pytała samą siebie. – Czy powinnam dać jej wybór, czy chce zostać, czy lecieć z nimi? Stawiając sprawę uczciwie: czy powinnam odebrać jej Nicky’ego po tylu latach, które mu poświęciła?”

Z pewnością złamałabym tym jej serce, ale czy mogę zaufać jej na tyle, by powiedzieć o wszystkim? Czy mogę ryzykować naszą wolność, moją i Nicholasa, a także brata i tych dzielnych młodych ludzi, którzy podjęli się zadania oswobodzenia mnie?”

Kilka razy w czasie posiłku już miała zacząć z nią rozmawiać, ale za każdym razem płoszyła się w ostatniej chwili.

Kiedy kładła Nicky’ego do łóżka, przysunął swą twarz do jej, a ona pocałowała go w naturalnym odruchu. Obejmował ją przez chwilę.

– Czy znowu musisz wyjechać, mam? – zapytał. – Pojechałbyś ze mną, gdybyś mógł? – odpowiedziała pytaniem.

– I zostawił tatę i Adrę? – umilkł.

Pierwszy raz powiedział jej coś o Ramonie; bardzo ją to zaniepokoiło. Czy w jego głosie zauważyła szacunek, czy strach? Nie miała pewności. Pod wpływem nagłego

impulsu zaczęła:

– Nicky, dziś w nocy... gdyby cokolwiek się stało, nie bój się.

– Co ma się stać? – usiadł z nagłym zainteresowaniem.

– Nie wiem, pewnie nic – odparła. Wyglądał na rozczarowanego i położył się z powrotem na poduszce.

– Dobranoc, Nicky – szepnęła.

Adra czekała na nią w mroku pomiędzy domkami. To była okazja, na którą czekała Isabella.

– Adra – powiedziała szeptem. – Muszę z tobą porozmawiać. Dziś w nocy... – przerwała.

– Dziś w nocy? – powtórzyła Adra, a gdy Bella wahała się, ona mówiła dalej: – Tak, on przyjdzie dziś w nocy. Mówi, żeby na niego czekać. Nie mógł przyjść wcześniej, ale dzisiaj przyjdzie do pani.

Isabella poczuła, że panika zaczyna w niej dominować nad rozsądkiem.

– Och, Boże, jesteś pewna? – opanowała się. – To cudownie. Tak długo czekałam.

Pozbyła się wszelkich myśli o powiadomieniu Adry. Jak mogła teraz stanąć przed Ramonem, gdy wiedziała, że naprawdę był tak okrutnym, złym potworem? Jak mogła pozwolić mu się dotknąć i nie drżeć przy tym?

– Muszę już iść – szepnęła Adra i zniknęła w ciemności, pozostawiając ją sam na sam z jej strachem. Chciała włożyć pod koszulę dzinsy i sweter, by być gotowa, gdy przybędzie Sean, ale teraz nie ośmieliła się tego zrobić.

Tak długo leżała sama pod moskitierą, że zaczęła mieć nadzieję, iż Sean dotrze do niej przed Ramonem albo przynajmniej uratuje ją świt.

Nagle zdała sobie sprawę, że jest już w jej chatce. Poczuła go, zanim usłyszała. Słaby, lecz charakterystyczny zapach jego ciała zawsze łatwo ją podniecał. Nozdrza i wszystkie nerwy w jej ciele zeszytywniały. Oddech uwiązał jej w krtani.

Usłyszała odgłos jego stóp na podłodze, a potem jego dotyk na łóżku.

– Ramon – oddech wyrwał się jej nagle.

– Tak, to ja – jego głos uderzył w nią jak cios w twarz.

Poczuła, że odsuwa moskitierę i znieruchomiała. Jego palce przesuwają się po jej twarzy, myślała, że wyrwie jej się głośny krzyk. Nie wiedziała, jak ma się zachowywać, co ma do niego mówić. „Zorientuje się” – pomyślała.

Zrozumiała, że wpadła w popłoch. Nie ośmieliła się poruszyć ani odezwać.

– Bellu? – powiedział i usłyszała pierwszą nutę podejrzania w jego głosie.

Pod wpływem nagłego natchnienia wyciągnęła ręce i objęła go.

– Nic nie mów – szepnęła żarliwie. – Nie mogę już dłużej czekać... nic nie mów. Weź mnie.

Wiedziała, że gra przekonywająco. W tych odległych, szczęśliwych czasach często tak było – wybuchało nagłe, gwałtowne pożądanie, nie znoszące ani chwili zwłoki.

Usiadła i zaczęła zdzierać z niego ubranie. „Muszę powstrzymać go od mówienia, od zadawania pytań – pomyślała z rozpaczą. – Muszę się uspokoić i zapewnić go, że nic się nie zmieniło”.

Ciągle była przerażona, jego zapach wypełniał jej głowę; pozwoliła, by uniósł jej koszulę i by gładkie, nagie ciało wślizgnęło się na łóżko obok niej.

– Bellu – szepnął ochryplym głosem. – Zbyt mocno i zbyt długo cię pragnąłem.

Jego usta znalazły się na jej wargach. Miała wrażenie, że wysysa z niej życie, tak jakby wypijał sok z dojrzałej pomarańczy.

Wstydząc się tej perwersji i zdrady swego ciała, poddała się dzikiej namiętności. Kochała się z lśniącym i pięknym zwierzęciem, czymś nieludzkim, okrutnym i

nieskończenie niebezpiecznym. Strach mieszał się z żądzą, co pobudzało ją i podniecało. Czowała się jak to biedne stworzenie na arenie w Granadzie, którego tragiczna walka i przedłużające się umieranie tak bardzo ją poruszały dawno temu, kiedy jej miłość była świeża i nowa.

Gdy wreszcie oboje mieli dość, położył się na niej, jakby nie żył. Nie mogła się poruszyć; wina i jego ciężar groziły jej uduszeniem. Nienawidziła siebie prawie tak samo jak jego.

– Jeszcze nigdy tak nie było – szepnął. – Nigdy taka dla mnie nie byłaś.

Nie ufała sobie na tyle, by mu odpowiedzieć. Nie wiedziała, co wyszłoby z jej ust, gdyby raz zaczęła mówić. Zdała sobie sprawę, że znajdowała się na krawędzi destrukcyjnego szaleństwa – a mimo to, gdy dotykał delikatnie najintymniejszych części jej ciała, jej uda rozszerzały się i czuła, jak jej ciało topnieje, a kości miękną.

Zaczął mówić do niej cicho. Powiedział, że ją kocha. Mówił o przyszłości, gdy będą we trójkę bezpieczni i szczęśliwi w pewnym, nie znanym nikomu miejscu. Jego kłamstwa były piękne; wywoływały w jej umyśle cudowne wizje. Chociaż wiedziała, że są fałszywe, rozpaczliwie pragnęła w nie uwierzyć.

Kiedy wreszcie usnął z twarzą wciśniętą pomiędzy jej nagie piersi, gładziła pukle jego włosów z zalem i tęsknotą za rzeczami, o których wiedziała, że nigdy nie istniały. Jej zmartwienie było tak wielkie, że wyparło ze świadomości wszelkie inne myśli. Nagle noc rozerwał nagły, przerażający krzyk kobiety oraz odgłos strzałów.

Poczuła, że Ramon obudził się i czym prędzej wyskoczył z łóżka, nagi i zwinny jak dziki kot. Usłyszała metaliczny trzask rewolweru, kiedy wyjął go z kabury, która leżała na podłodze koło łóżka. Noc rozświetlały płomienie i wybuchy. Jego sylwetka rysowała się w świetle padającym przez okno. Trzymał rewolwer na wysokości oczu, wycelowany w sufit i gotowy do natychmiastowego użycia.

Potem usłyszała ukochany głos Seana, który ją wzywał w ciemnościach za oknem:

– Bellu, gdzie jesteś?

Zobaczyła, jak ciemna postać Ramona rzuciła się ku oknu, a rewolwer zalśnił w świetle wybuchającego granatu, kiedy Złoty Lis składał się do strzału.

– Uważaj, Sean! – wrzasnęła. – Człowiek z bronią!

Ramon strzelił dwukrotnie, za każdym razem z innego miejsca. Żaden strzał mu nie odpowiedział. Zrozumiała, że Sean nie będzie strzelał, bojąc się, że może trafić ją lub Nicky'ego.

Sturlała się z łóżka i upadła na podłogę na ręce i nogi. Poczołgała się jak szalona ku drzwiom. Chciała dostać się do Nicky'ego, musiała dostać się do Nicky'ego.

Kiedy była w połowie drogi, poczuła, że muskularne ramię Ramona chwyciło ją od tyłu za szyję i zmusiło do powstania. Resztką tchu krzyknęła:

– Sean! Ma mnie!

– Suka! – syknął jej do ucha Ramon. – Zdradliwa suka. – Podniósł głos. – Zabiję ją! – wrzasnął. – Rozwalę jej łeb!

Pociągnął ją do drzwi i zmusił do zejścia z dwóch schodków.

– Ruszaj się, suko – rzucił przez zęby. – Idź. Wiem, kim jest Sean. Nie strzeli, jeśli będziesz moją tarczą. Ruszaj!

Ucisk na szyi dusił ją. Nie mogła się opierać. Pobiegł z nią do chatki Nicky'ego. Centrum łączności stało w płomieniach. Iskry z jego słomianego dachu strzelały wysoko w niebo. Było jasno jak na scenie. Wężowate cienie palmowych pni wiły się po bladym piasku na plaży.

Wpadli do domku Nicky'ego. Adra i dziecko przycupnęli na środku podłogi. Opiekunka zakrywała chłopca swoim ciałem.

– Ojczy! – pisnął Nicky.

– Podejdz tu z Adrą – rzucił do niego Ramon. – Trzymaj się blisko niej. Idź za mną.

Wyszli z domu zwartą grupą i skierowali się w stronę parkingu. Ramon prowadził Isabellę przed sobą; w wolnej dłoni trzymał rewolwer, który przyłożył do jej głowy.

– Rozwalę jej łeb! – zawołał ku tańczącym ceniom. – Nie zbliżajcie się!

– Proszę, ojczu, nie rób nic złego mamie – zawodził Nicky.

– Cicho bądź, chłopcze! – Ramon warknął do niego; potem znowu podniósł głos.

– Odwołaj swoje psy, Sean! Chyba że chcesz, żeby twoja siostra i jej syn zginęli.

Po chwili wśród cieni rozległ się bas Seana:

– Wstrzymać ogień, scouts! Wycofać się!

Ramon prowadził swoją grupę do jednego z jeepów. Isabella dławiała się z braku powietrza, muszka rewolweru wciskała się tak mocno w ucho, że delikatna skóra pękła i po jej szyi płynęła strużka krwi.

– Proszę, to boli – szepnęła Isabella z trudem.

– Nie krzywdź mamy! – krzyknął Nicholas i wyrwał się Adrze. Podbiegł do Isabelli, a Adra przez chwilę stała sama, narażona na strzał.

W ciemności przed nimi rozbłysnął żółty płomień i pojedyncza kula świsnęła przez dwadzieścia jardów otwartej przestrzeni.

Połowa głowy Adry rozprysła się i popłynęła ciekła, czerwona maź. Upadła na plecy z szeroko rozwartymi ramionami.

– Adra! – wrzasnął Nicky, ale zanim do niej podbiegł, Ramon chwycił go w pasie.

– Nie, zostaw Adrę – rzucił. – Trzymaj się blisko mnie, Nicky.

Stali we trójkę na środku jasno oświetlonego placu. W zasięgu wzroku nie było widać żadnej innej żywej istoty. Przy murze płonącego budynku leżały zwłoki jednej z kubańskich łączniczek, a przy bramie znajdowali się dwaj martwi spadochroniarze.

Ramon rzucił rozkaz po hiszpańsku do tych ze swoich żołnierzy, którzy jeszcze żyli, ale wiedział, że czyni to na próżno. Znał wartość swoich przeciwników. Rozpoznał imię brata od razu, gdy Isabella go zawołała. Rozkazy, które Sean wydawał swoim żołnierzom, potwierdziły jego przypuszczenia. Spodziewał się, że wszyscy jego ludzie nie żyli. Prawdopodobnie zginęli podczas tej pierwszej strzelaniny.

To słynni Ballantyne Scouts, był tego pewien, ale nie pojmował, jak tu trafili. Wiedział tylko, że Isabelli udało się w jakiś sposób wezwać ich. Siedzieli tu w ciemnościach i byli gotowi strzelić w ten sam sposób, w jaki zabili Adrę: szybko i precyzyjnie, jeśli tylko dałby im najmniejszą szansę.

Po jego stronie był tylko czas. Wiedział, że Raleigh Tabaka usłyszał strzały i wyruszył na odsiecz z lotniska ze swoimi partyzantami. Powinni tu być za kilka minut. Wycofywał się ku pierwszemu z trzech jeepów.

Sean obserwował ich przez celownik AKMu. Leżał przy pniu jednej z palm, kontury jego głowy przesłaniała sucha gałąź palmy. Z takiej odległości – czterdziestu jardów – jego nastawiony na pojedyncze strzały karabin trafiłby w okrąg o średnicy dwóch cali. Wycelował pomiędzy nos a łuk brwiowy i trafił Adrę w lewe oko. Kula odcięła pół głowy.

Taka dokładność nie pozwalała na podjęcie ryzyka i oddanie strzału do Ramona. Facet był dobry. Zasłaniał się dokładnie dwójkiem zakładników, kucając i manewrując jak bokser, aby Sean nie mógł wycelować w jego głowę.

Nagość siostry w żółtym świetle dekoncentrowała i szokowała Seana. Jej piersi były bardzo blade i delikatne, a czarny trójkąt wyraźnie widoczny na podbrzuszu. Wiedział, że jego scouts również ją widzą.

Sposób, w jaki Ramon Machado osłaniał nią swe nagie ciało, pomimo stresu doprowadzał Seana do szału, co mogło mu utrudnić właściwą ocenę sytuacji. Kusilo



go, by zaryzykować strzał. Wystarczyłoby tylko nieznaczny ruch jego palca na spuście, ale Ramon ukrył głowę za ramieniem Isabelli, gdy dotarli do samochodu.

El Zorro wślizgnął się na siedzenie kierowcy i pociągnął za sobą Bellę i dziecko. Silnik zawył, a spod tylnych kół trysnęły ziarenka piasku, gdy ruszył szybko ku bramie. Sean puścił serię w koło i zobaczył, jak kula wykrzesła iskry z obracającej się stalowej piasty. Jeep wjechał na bramę i wyrwał jeden słup. Przejechał nierówno przez stertę wraków, ciągnąc za sobą płataninę drutów kolczastych i słupów, jakby to były sanki.

Sean poderwał się i popędził do drugiego jeepa. Czterech jego scouts rzuciło się w tę samą stronę. Wdrapywali się na tył samochodu, gdy Sean uruchamiał silnik. Zawrócił samochód szerokim kołem i ruszył całym gazem przez zniszczoną bramę. Podskoczyli, przejeżdżając przez zniekształconą konstrukcję i ruszyli z wyjącem silnikiem w pościg za Ramonem i jego zakładnikami.

Jeśli mapa Isabelli była prawidłowa, ta droga powinna prowadzić wzdłuż rzeki ku lotnisku i ku zasadzce Esau.

Esau zmiecie z powierzchni ziemi wszystko, co pojawi się na drodze. Rakiet RPG7 zamieni Bellę i jej syna w siekane mięso.

Sean nacisnął rączkę i rozległ się przeciągły, zawodzący sygnał. Miał nadzieję, że Esau Gondele zrozumie ostrzeżenie i wstrzyma ogień, ale zdawał sobie sprawę, że to tylko pobożne życzenie. Po wypaleniu „bomu” scouts chętnie i szybko będą naciskać na spusty. Musi ich dogonić. Napał na pedał gazu do oporu i wjechał w białą ścianę kurzu, którą pozostawił po sobie na wąskiej drodze samochód jadący przed nim. Droga skręciła raptownie w prawo i na chwilę wypadł z niej, zjeżdżając na pobocze. Jeep przechylił się, a przednie koła wjechały w zarośla, zanim Sean zawrócił na drogę.

Tymczasem kierunek wiatru zmienił się i chmura kurzu się rozwiała. Pięćdziesiąt jardów przed sobą zobaczył tylne światła uciekającego samochodu i oświetlił go pełną mocą swoich reflektorów.

Ramon Machado siedział za kierownicą i prowadził jedną ręką. Drugą otoczył ramiona Isabelli i trzymał ją w niewygodnej pozycji. Jej głowa była obrócona i Sean widział ciemne oczy siostry, teraz pełne bólu i przerażenia. Krzyczała coś do niego, ale słowa zwiewał gdzieś wiatr.

Nicky wczepił się w oparcie fotela Isabelli. Miał na sobie białą koszulkę i spodenki. On również oglądał się na goniącego ich jeepa i nawet w tak dramatycznym momencie Sean dostrzegł jego uderzające podobieństwo do matki.

Wściekłość na człowieka, który im zagrażał, dodawała mu odwagi.

Zorientował się, że tamten samochód był przechylony na jedną stronę. Jego kula rozerwała tylną oponę. Długie strzępy czarnej gumy łuszczyły się z obracającego się koła. Płatanina drutu kolczastego i pogiętych rur z konstrukcji bramy ciągnęła się za uszkodzonym pojazdem jak kotwica, wzbijając w powietrze chmurę piachu i kurzu i zmniejszając jego prędkość.

Zbliżał się do nich coraz wyraźniej. Droga przez plażę już się skończyła i prowadziła teraz wzdłuż stromego brzegu rzeki. Drzewa wylaniały się w światłach reflektorów ścigających się samochodów, a pomiędzy ich pniami posepnie migotała woda.

Ramon obejrzał się przez ramię i zobaczył, że drugi jeep znajdował się zaledwie trzy stopy za nim. Pochylił głowę i puścił Isabelle. Chwycił rewolwer leżący na kolanach i obrócił się, by wycelować w Seana. Odległość pomiędzy nimi wynosiła mniej niż dwanaście stóp, ale obydwa samochody podskakiwały i skręcały na nierównej drodze. Kula trafiła w ramę przedniej szyby i odbiła się rykoszetem gdzieś w ciemności.

Jeden ze scouts przyłożył karabin do ramienia i chciał strzelać, ale Sean podbił mu lufę.

– Wstrzymać ogień! – krzyknął i wjechał w tył pierwszego pojazdu.

Siłą uderzenia ich głowy wykonały nagły ruch do przodu, a Nicky wyleciał z tylnego siedzenia i machał nogami w powietrzu, usiłując odzyskać równowagę.

– Skacz! – wrzasnął Sean na Isabellę, ale zanim zdążyła zareagować, Ramon znowu ją chwycił i przyciągnął do siebie.

Sean jeszcze raz uderzył w jadący przed nim samochód. Wgniół się w jego tył i zepchnął go do połowy z drogi.

Ramon jedną ręką starał się utrzymać wóz na szosie. Tylną część zarzucało na wszystkie strony. Kurz spod kół unosił się w postaci chmury i na wpół oślepił Courtneya. Isabella krzyczała, a Nicky wygramolił się i przykucnął na fotelu za nią. Twarz pobladła mu z przerażenia. Na następnym zakręcie prowadzący jeep wypadł z drogi. Ramon rozpaczliwie usiłował nad nim zapanować, a Sean spostrzegłszy szansę jeszcze się zbliżył. Przez chwilę jechali łeb w łeb, jak dwa konie z zaprzęgu.

Ramon Machado i Sean Courtney znajdowali się w odległości sześciu stóp od siebie. Patrzyli sobie w oczy, a nienawiść rozbłysnęła między nimi jak wyładowania elektryczne. Było to pierwotne uczucie, atawistyczny odruch dwóch przewodników stada, którzy spotkali się i zrozumieli, że jeden z nich musi zginąć.

Sean szarpnął gwałtownie kierownicą i skręcił w stronę El Zorra, spychając przednie koła jego pojazdu z szosy. Pień palmy zarysował karoserię na całej długości samochodu. Ramon skręcił w drugą stronę i również najechał na wóz przeciwnika.

Potem ponownie puścił Isabellę, chwycił rewolwer z kolan i wymierzył w Seana. Twarz Ramona wykrzywiła wściekłość i nienawiść.

Isabella rzuciła się w jego stronę i chwyciła za kierownicę. Gdy Ramon strzelał, szarpnęła nią z całej siły. Pocisk trafił w noc, a samochód wpadł w niebezpieczny poślizg i stoczył się do rzeki.

W ostatniej chwili przed jego zniknięciem Sean zobaczył, że Isabella i Ramon polecili głową do przodu na przednią szybę, a niewielka postać Nicky'ego została wyrzucona wysoko w ciemność. Gdy tylko chwycił dźwignie skrzyni biegów, włączył wsteczny i wycofał samochód do miejsca, w którym zniknął drugi pojazd.

Kurz wciąż wisiał w powietrzu, a ziemia na samym skraju była rozjeżdżona kołami rozpędzonego samochodu. Sean wyskoczył i pobiegł na brzeg. Jeep wpadł do rzeki tuż poniżej jego stóp. Reflektory wciąż świeciły się pod powierzchnią jak dwa zatopione księżycy. Samochód przewrócił się na dach, a koła obracały się w powietrzu, wzbijając białą pianę. Skulone ciało Nicky'ego leżało w wodzie przy samym brzegu. Courtney zbiegł nad rzekę. Ślizgał się i zsuwał w dół, utrzymując równowagę jak kot, i całym pędem rzucił się do wody i zanurkował. Dotarł do zatopionego wraku i wpłynął pod niego. Powietrze ze zbiornika na paliwo utrzymywało pojazd tuż nad zamulonym dnem i Sean wślizgnął się przez ten otwór.

Coś jasnego wyłoniło się przed nim, wyciągnął rękę i dotknął nagiego ciała. Szybko przesunął po nim dłonią i natrafił na duże, gładkie piersi. Chwycił garść długich włosów i wyciągnął Isabellę spod samochodu.

Wypląnął z nią na powierzchnię i z ulgą zobaczył, że zakrztusiła się, chwyciła otwartymi ustami powietrze i słabo biła rękami wodę. Doholował ją do brzegu. Jeden ze scouts okazał tyle przytomności umysłu, że podjechał jepeem do krawędzi wody, aby światła reflektorów oświetlały im drogę.

Naga, ociekająca wodą Isabella poczołgała się do miejsca, w którym leżał Nicky, i objęła go ramionami. Zaczęła wierzczać i kopać.

– Mój ojciec – płakał. – Mi padre!

Stojąc po kolana w wodzie Sean usiłował dojrzeć coś pod wodą, która zalała

silnik i zablokowała go; a reflektory wciąż świeciły się pod powierzchnią.

Szybko zważył na szali potrzebę pośpiechu i pragnienie, by odnaleźć Ramona. Wiedział, że posiłki muszą być w drodze z obozu partyzantów. Mieli tylko minuty przewagi. Właśnie odwracał się, by pomóc Isabelli wydostać się wraz z dzieckiem na brzeg, gdy zobaczył jakiś ruch w wodzie. Przemknął cień, jakby pomiędzy nim a światłami zatopionego samochodu przepłynął rekin.

„Drań” – pomyślał.

– Dajcie mi mój karabin! – zawołał do swoich ludzi na brzegu.

Jeden z nich ześlizgnął się z nasypu. Zanim dotarł do Seana i podał mu AKM, coś zawirowało w mętnej wodzie. Daleko na rzece, gdzie prawie nie docierało już światło, wynurzyła się głowa Ramona.

– Dostań go! – ryknął Sean. – Rozwał drania!

Mokre włosy spadały Ramonowi na oczy, woda spływała mu po twarzy, a otwartymi ustami łapał powietrze. Jeden z żołnierzy oddał do niego krótką serię i kule wzbily fontannę wody wokół głowy Ramona. El Zorro znowu wziął głęboki oddech i zanurzył się. Przez chwilę nad wodę wystawały jego gołe stopy, które wierzgały w powietrzu, a potem zniknęły.

– Drań! Drań! – kłął Sean i chwycił karabin z rąk żołnierza, który do niego podszedł. Oddał długą, wściekłą serię w wodę w miejscu, w którym zniknął Machado.

Opanował się i czekał, aż znowu pojawi się głowa Ramona. Nad rzeką rosły ciemne, powykęcane drzewa, za którymi Ramon mógł się skryć; tam gdzie nie docierało światło, padające z reflektorów, panowała na wodzie nieprzenikniona ciemność.

Minęła jeszcze jedna minuta i Sean wiedział już, że go stracił. Musi pozwolić mu odejść. Zdusił w sobie wściekłość i nienawiść i obrócił się ku Isabelli. Była mokra i umazana błotem. Krawędź przedniej szyby skaleczyła ją w czoło i mała strużka krwi zmieszanej z wodą z rzeki płynęła po jej twarzy.

Sean wyjął swój przemoczony sweter i pomógł Isabelli go włożyć.

Ubierając się, zmęczonym głosem zapytała go:

– Co się stało z Ramonem?

– Zwiął, drań – odparł Sean i pomógł jej wstać. – Szkoda czasu. Już nas tu nie ma.

Nicky wyrwał się swojej matce i pobiegł na brzeg rzeki.

– Mój ojciec... nie zostawię mojego ojca. Sean chwycił go za ramię.

– Chodź, Nicky.

Nicholas odwrócił się i zatopił białe zęby w nadgarstku swego wuja.

– Ty mała świnię – walnął go otwartą dłonią w bok głowy, prawie przewracając go na ziemię. – Koniec z twoimi matadorskimi sztuczkami, koleś.

Podniósł go wijącego i wierzgającego i włożył sobie pod pachę.

– Nie pójdę. Chcę zostać z mi padre.

Sean złapał Isabellę za rękę i wciągnął ją na brzeg. Wokół jeepa zebrali się ludzie, których z początku nie poznał. Puścił dłoń Belli i podniósł AKM.

– Spokojnie, Sean – powiedział Esau, zbliżając się do nich.

– Skąd się tu wzięliście?

– Prawie wpadliście w naszą zasadzkę – powiedział mu Esau. – Jeszcze chwila, a dostalibyście rakieta w bok. Wróciliśmy – pokazał na drogę.

– Gdzie są wasze łodzie?

– Dwieście jardów stąd w górę rzeki.

– Odeślij ludzi, popłyniemy z wami. – Przerwał i podniósł głowę.

– Zgaście te światła – rzucił Esau Gondele do jednego ze swoich ludzi. Nachylił się do jeepa i uderzył w przełącznik. Reflektory się wyłączyły.

Stali w mroku i nasłuchiwali.

– Ciężarówka jada szybko od strony lotniska. – W ciszy wszyscy słyszeli je wyraźnie.

– Więcej łotrów – zgodził się Esau.

– Zaprowadźcie nas do łodzi – rozkazał Sean. – Tout de suite – i im głośniejszym, tym piękniej.

Pobiegli całą gromadą, trzymając się drogi. Kiedy przebyli sto jardów, Esau Gondale zagwizdał przeciągle dwa razy; był to jeden z sygnałów rozpoznawczych Seana. Gwizd został powtórzony w ciemnościach przed nimi, a Sean potknął się o pień drzewa, który przyciągnęli na drogę, aby blokował przejazd.

– Chodźcie! – zawołał z szosy Esau. – Tędy!

Zauważyli, że za drzewami przed nimi poruszają się światła reflektorów. Od strony lotniska pędził w ich stronę konwój pojazdów.

Nicholas wciąż wierzgał i wił się w uścisku Seana, a Isabella rozpaczliwie starała się go uspokoić.

– Wszystko będzie dobrze, Nicky, kochanie. Ci ludzie to nasi przyjaciele. Zabierają nas do domu, tam będziemy bezpieczni.

– Tu jest mój dom. Ja chcę do mego ojca. Oni zabili Adrę. Nienawidzę ich! Nienawidzę ciebie! Nienawidzę ich! – krzyczał po hiszpańsku. Sean potrząsnął nim gwałtownie.

– Jeśli piśniesz jeszcze raz, kochasiu, zdmuchnę ci tę małą główkę.

– Tędy – poprowadził ich Esau Gondale. Przeszli pięćdziesiąt jardów i dotarli do rzeki w miejscu, gdzie przycumowali łodzi.

Courtney obejrzał się i zobaczył, że samochody z głośnym warkotem zbliżały się do zakrętu, ale ich ukrywało zakole rzeki. Przy świetle dostrzegł, iż wszystkie ciężarówka są wypełnione uzbrojonymi ludźmi.

Sean wciągnął Isabellę do najbliższego pontonu, gdyż zaplątała się w mokry sweter.

– Ciężki bachor – mruknął i wrzucił Nicky'ego do łodzi. Popęłnił błąd. Chłopak odbił się jak gumowa piłka i gdy Sean usiłował go schwytać, kucnął pod jego ramieniem i skoczył na brzeg.

– Ty mały diable! – Sean obrócił się i rzucił się za nim.

– Moje dziecko! – krzyknęła Isabella i wyskoczyła z łodzi. Przebrnęła przez błoto i popędziła za uciekającą dwójką.

Biegł w stronę zbliżającego się konwoju. Niczym zając kucnął i uskakiwał przed Seanem. Był dwadzieścia stóp od drogi, kiedy Courtney rzucił się i złapał go za kostkę. W kilka sekund później Isabella potknęła się o nich i runęła na miękką, piaszczystą ziemię.

Reflektory samochodów prześlizgnęły się po nich, ale byli ukryci za kępą niskich krzaków, więc ludzie w kabinie pierwszej ciężarówka nie mogli ich zobaczyć. Nicky znowu wrzasnął i próbował się odczołgać, ale Sean przygwoździł go do ziemi i zakrył mu usta dłonią.

Ciężarówka zahamowała, gdy napotkały zwałone pnie. Pierwszy samochód zatrzymał się zaledwie dwadzieścia stóp od nich.

Ciągle zakrywając Nicky'ego swoim ciałem, Sean wyciągnął rękę i przycisnął głowę Isabelli do ziemi. Biała twarz lśni jak lustro.

Z ciężarówka wypadł jeden żołnierz i pobiegł obejrzeć barykadę, po czym odwrócił się i rozkazał coś głośnym krzykiem. Tuzin umundurowanych partyzantów wyskoczyło z samochodu i chwyciło leżące pnie.

Gdy oczyścili drogę, reflektory oświetliły twarz oficera, który nimi dowodził. Isabella podniosła głowę i przyjrzała się jego rysom. Poznała go natychmiast. Nie była

to twarz, którą można szybko zapomnieć. Kiedy widziała go ostatnio, jechał ciężarówką, którą prowadził jej brat przyrodni, Ben Africa. Kierowali się wówczas do posiadłości Michaela Courtneya. Był chyba najprzystojniejszym Murzynem, jakiego widziała, wysoki, dostojny i dziki jak jastrząb.

Odwrócił głowę i przez chwilę wydawało się, że patrzy jej prosto w oczy. Gdy tylko uprzątnięto drogę, skoczył w stronę ciężarówki i wdrapał się do kabiny. Trzasnął drzwiami i samochód ruszył.

Konwój sunął za nim. Kiedy Minęła ich ostatnia para świateł, Sean wziął Nicky'ego pod pachę, pomógł Isabelli się podnieść i ruszyli nad rzekę.

Courtney trzymał chłopca mocno za kark i siedział w łodzi na czele flotylli, która płynęła szybko w dół rzeki. Żar palących się domów oświetlał chmury; poprzez warkot silników słyszeli krzyki i odgłosy wystrzałów z broni automatycznej.

– Do czego oni strzelają? – zapytała Isabella, przytulając się do Seana, żeby się ogrzać.

– Pewnie do cieni... albo do siebie nawzajem – zaśmiał się cicho. Nie ma to jak nerwowy gość z karabinem w ręku atakujący płomienie.

Fala odpływu pociągnęła ich za sobą przez ujście rzeki do laguny. Esau zauważył przez lornetkę ślad innej flotylli pontonów, która również kierowała się ku morzu. Połączyły się w przesmyku pomiędzy rafami i gęsiego popłynęły na otwarte morze.

W oddali ukazał się odległy o pół mili, pomalowany na jasnożółty kolor „Lancer”.

Gdy wciągnięto ostatni ponton, trawler włączył silniki i ruszył ku Atlantykowi.

Sean zwrócił się do Esau Gondele.

– Jak wygląda rachunek od rzeźnika, starszy sierżancie Gondele?

– Straciliśmy jednego człowieka, majorze Courtney – odpowiedział równie oficjalnie. – Jeremiasza Masogę. Zabraliśmy go ze sobą.

Scouts zawsze odnajdywali swoich poległych towarzyszy broni.

Sean poczuł ten znany mu ból; jeszcze jeden dobry żołnierz odszedł. Jeremiasz miał dziewiętnaście lat. Sean postanowił już dać mu drugą belkę. Żałował teraz, że nie zrobił tego przed akcją. Nigdy nie można nadrobić tego, co jesteśmy winni zmarłym.

– Trzech rannych; żaden na tyle poważnie, by musiał opuścić dzisiejszy ubaw.

– Umieść Jeremiasza w chłodni – polecił. – Zaopiekujemy się nim, jak tylko dotrzemy do Kapsztadu. Będzie miał wojskowy pogrzeb ze wszystkimi honorami.

Gdy byli jeszcze o dwieście mil morskich od Table Bay, Centaine Courtney wysłała helikopter, aby zabrał Seana, Isabellę i Nicky'ego. Starsza pani nie mogła się już doczekać spotkania ze swoim prawnikiem.

Ramon przyłgnął do korzeni jednego z drzew, aby nie porwała go odpływająca fala, która cofała się przez ujście rzeki. Ostre skorupy żyjątek rzecznych, które pokryły pień, pokaleczyły jego dłoń, ale prawie nie czuł bólu. Wypatrywał czegoś po drugiej stronie rzeki.

Płomienie, które ogarnęły budynki, odbijały się na powierzchni wody w kształcie złotych monet.

Łodzie przepłynęły w odległości zaledwie pięćdziesięciu stóp od miejsca, w którym siedział skulony w błocie i szlamie. Ich silniki pracowały cicho; wyglądały jak trzy hipopotamy, płynące z falą ku ujściu i otwartemu morzu... ale wydawało mu się, że jedna z postaci w pierwszym pontonie była mniejsza od pozostałych i miała na sobie jasną koszulkę.

Dopiero w tym momencie, kiedy tracił syna, zdał sobie sprawę z tego, że był jeszcze ojcem. Pierwszy raz w życiu przyznał się, że kogoś kocha i że jest uzależniony od tej miłości. Kochał swojego syna i tracił go. Jęknął z bólu.

Wściekłość zawrzała w nim i wyparła wszystkie inne uczucia. Była to wyniszczająca złość, skierowana przeciwko wszystkim tym, którzy mu go odebrali. Wpatrywał się w pustą ciemność, która pochłonięła jego syna, a żądza zemsty przenikała go do głębi. Chciał wyładować tę furie, krzycząc do nich. Chciał besztać tę kobietę, chciał kłać i wyrzucać z siebie zawiedzione nadzieje, ale się opanował. On nie postępuje w ten sposób. Musi być teraz zimny i twardy, jakby był ze stali.

Pierwszą myślą, jaka pojawiła się w jego głowie, była ta, że stracił kontrolę nad Czerwoną Różą. Nie miała już żadnej wartości ani dla niego, ani dla sprawy. Teraz była ofiarą. Wiedział, jak zniszczyć ją i tych wszystkich, którzy ją otaczali. Broń była gotowa, wystarczyło tylko wyjąć ją z pochwy.

Puścił się drzewa i pozwolił, by fala zaniósła go do zakola rzeki; przepłynął swobodnie na drugą stronę. Dno podnosiło się pod nim łagodnie, po chwili więc dotknął piasku i z trudem wyszedł na brzeg.

Raleigh Tabaka czekał na niego obok pogorzelska centrum komunikacyjnego. Ramon ubrał się pospiesznie w pożyczone spodnie i marynarkę; jego włosy wciąż były wilgotne i matowe od mułu rzecznoego.

Dym ze spalonych budynków zasłonił lekką mgiełką pierwszy szary promień świtu. Ludzie Tabaki wyszukiwali zwłoki i układali je w rzędzie pod palmami. Ich ciała stężały w pozycjach, w jakich zastała ich śmierć. Było to groteskowe widowisko.

Spadochroniarz Jose jedną dłoń trzymał na twarzy, jakby ochraniał oczy. Jego pierś rozszarpał szrapnel. Ramiona Adry były rozciągnięte, jakby wisiała na krzyżu, brakowało jej połowy głowy. Ramon spojrział na nią bez specjalnego zainteresowania, jak patrzył na zużyte ubranie, z którego nie miał już żadnego pożytku.

– Ilu? – zapytał Raleigha Tabakę.

– Dwudziestu sześciu – odparł. – Wszyscy. Nikt nie przeżył. Ktokolwiek to był, sumiennie wykonał robotę. Kim oni byli? Domyślcie się?

– Tak – skinął Ramon. – Więcej niż „domyślam się”. – I zanim Raleigh zdążył się odezwać, powiedział mu: – Przejmuję sprawę cyndexu. Osobiście.

– Towarzyszu generale – zaprotestował Tabaka – to od samego początku była moja operacja. Ja kontrolowałem obu braci.

– Tak – zgodził się z nim Ramon, ale był nieprzejednany. – Spisaliście się bardzo dobrze. Otrzymacie nagrodę, na jaką zasługujecie. Ale ja przejmuję dowodzenie nad operacją. Udam się na południe, jak tylko dostanę samolot. Proszę mi towarzyszyć.

\*

– To jeszcze nie koniec, Bellu – rzekł z powagą Shasa. – Nie możemy udawać, że nic więcej się nie wydarzyło. Nie chciałem utrudniać akcji, rozważając mroczne zakamarki całej tej przerażającej sprawy. Ale teraz Nicholas jest bezpieczny w Weltevreden i musimy się tym zająć. Wielu ludzi, w tym członkowie naszej rodziny, ryzykowali swoje życie dla ciebie i Nicholasa. Jeden wspaniały, młody człowiek, obcokrajowiec, żołnierz z oddziału Seana stracił życie, aby ciebie uratować. Teraz jesteś nam winna prawdę.

Ponownie zgromadzili się w zbrojowni, a Isabella stała przed sądem rodzinnym.

Babka siedziała wyprostowana przy kominku. Jej dłoń, spoczywająca na białej rączce laski, pokryta była niebieskimi żyłkami i blada jak pergamin. Włosy, które kiedyś były niesfornym gąszczem, wyglądały teraz jak srebrny czepek o niebieskim odcieniu. Jej twarz była surowa.

– Chcemy, żebyś nam wszystko powiedziała, Isabellu. Nie wyjdziemy z tego pokoju, dopóki nie poznamy szczegółów.

– Nano, tak mi wstyd. Nie miałam wyboru.

– Nie prosiłam o to, byś się usprawiedliwiła i upokarzała, panienko. Chcę, abyś mówiła prawdę.

– Musisz zrozumieć, Bellu. Wiemy, że uczyniłaś ogromne szkody interesowi narodowemu, rodzinie, sobie. Teraz masz obowiązek przedstawić i powstrzymać to zło. – Shasa stał przed kominkiem z rękami założonymi pod połamany swego blezera. Mówił spokojnym głosem. – Chcemy ci pomóc, ale najpierw musimy poznać prawdę.

Isabella spojrzała na niego spłoszona.

– Czy mogę mówić tylko z tobą i Naną? – obejrzała się na swoich braci. Garry bujał się na fotelu pod oknem z kciukami wciśniętymi w jaskrawe bryczesy. Obracał w ustach nie zapalone cygaro. Sean siedział na parapecie ze spuszczone nogami. Opalone, muskularne ramiona założył sobie na piersi.

– Nie – powiedziała twardo Centaine. – Chłopcy ryzykowali życie dla ciebie i Nicky’ego. Jeśli wpakowałaś siebie i rodzinę jeszcze w jakieś kłopoty, to oni cię z nich wyciągną. Nie, tak łatwo się nie wywiniesz. Zastępują na to, by usłyszeć wszystko, co masz nam do powiedzenia. Niczego nie pomijaj, słyszysz?

Isabella powoli opuściła głowę i ukryła twarz w dłoniach.

– Dali mi pseudonim Czerwona Róża.

– Mów głośniej, dziewczyno. Nie mamroc pod nosem. – Centaine uderzyła laską w podłogę między nogami, a Isabella drgnęła i uniosła głowę.

– Zrobiłam wszystko, co mi kazali – powiedziała, patrząc starszej pani w oczy. – Kiedy Nicky był jeszcze niemowlęciem, miał nieco ponad miesiąc, nakręcili film i pokazali mi go. Prawie utopili moje dziecko. Trzymali go za stopy i zanurzali... – przerwała i wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. – Ostrzegli mnie, że na następnym filmie będą odcinać mu części ciała i przysyłać je do mnie – palce rąk, nóg, ramiona, nogi, a potem... – zająknęła się na tym słowie. – A potem głowę.

Wszyscy milczeli przerażeni, aż odezwała się Nana.

– Mów dalej.

– Powiedzieli mi, że bym pracowała dla taty. Muszę wkroczyć się do pracy w Armscorze. – Shasa drgnął, a Isabella wyłamywała sobie palce. – Przepraszam cię, tato. Kazali mi zająć się polityką, ubiegać się o miejsce w parlamencie, używać koneksji rodzinnych.

– Powinnaś była podejrzewać, że coś się kryje za twoim nagłym zainteresowaniem polityką – rzekła gorzko Centaine.

– Przepraszam, Nano.

– Przestań ciągle przepraszać – prychnęła. – To niczego nowego nie wnosi, a cholernie irytuje. Jedź dalej, dziecko.

– Przez jakiś czas niczego ode mnie nie żądali – przez prawie dwa lata. Potem zaczęły napływać rozkazy. Pierwszy dotyczył systemu radarowego Siemens.

Shasa odchrząknął i miał zamiar się odezwać, ale opanował się i sięgnął po chusteczkę do kieszonki w blezerze.

– Potem chcieli coraz więcej i więcej.

– Projekt Sylwetka? – zapytał Shasa, a kiedy skinęła głową, spojrzał na Centaine. – Miałaś rację, mamó – spojrzał znowu na swoją córkę. – Będziesz musiała to wszystko napisać. O wszystkim, co kiedykolwiek im przekazałaś. Chcę listę – daty, dokumenty, spotkania; wszystko. Musimy wiedzieć, co jest skompromitowane.

– Tato... – Bella zaczęła, ale przez chwilę nie mogła mówić dalej.

– Wyrzuć to z siebie, panienko – rozkazała Centaine.

– Cyndex 25 – powiedziała Isabella.

– O Boże! Nie! – szepnął Shasa.

– Dlatego teraz pozwolili mi się zobaczyć z Nickym – za dane o cyndeksie i za Bena.

– Bena? – Shasa wyprostował się w fotelu. – Kto to jest Ben?

– Ben Gama – powiedziała chrapliwie Centaine. – Czarny bękart Tary, syn Mosesa Gamy. Człowieka, który zabił mojego Blaine’a, człowieka, który okrył hańbą tę rodzinę. – Spojrzała na Isabelle, oczekując jej potaknięcia.

– Tak, Nano, mój brat przyrodni Ben. – Obejrzała się na swoich braci. – Także wasz brat przyrodni, tylko on nie nazywa się teraz Ben Gama, ale Benjamin Africa.

– Skąd ja znam to nazwisko? – zapytał Garry.

– Ponieważ on dla ciebie pracuje – odpowiedziała. – Kazali mi załatwić dla niego pracę. Przyjechał do Capricornu, kiedy byłam w Londynie. Pracuje w Capricorn Chemicals jako technik laboratoryjny w oddziale środków toksycznych.

– W fabryce cyndexu? – zapytał z niedowierzaniem Shasa. – Chyba go tam nie umieściłaś?

– Tak, ojczec, zrobiłam to – znowu miała zamiar przeprosić, ale spojrzała na twarz swojej babki.

Garry zerwał się z fotela i podszedł szybko do biurka. Chwycił telefon i powiedział do pracownika z łączności w Weltevreden:

– Poproszę z Capricorn Chemicals... macie numer, prawda? Chcę natychmiast rozmawiać z dyrektorem... to pilne, bardzo pilne. Proszę oddzwonić, jak tylko będzie na linii.

Odłożył słuchawkę.

– Będziemy go mieli, zaraz wezwiemy Bena na rozmowę. Jeśli umieścili go w fabryce, musieli mieć ku temu dobre, a raczej nikczemne powody.

– On jest jednym z nich – wybuchła Centaine. Nikt nie słyszał jeszcze takiej goryczy w jej głosie i nie widział takiej wściekłości na jej twarzy. Wpatrywali się w nią z przerażeniem. – Jest jednym z rewolucjonistów, niszczycieli. Ten czarny szatan, jego ojciec i Tara przez tyle lat tak zatruli mu duszę, że stał się jednym z nich. Spraw, Boże, żebyśmy mogli zapobiec tym strasznym rzeczom, które przygotowują.

Wszyscy byli przytłoczeni wizją, która się przed nimi roztoczyła.

Telefon przerwał ciszę i Garry chwycił słuchawkę.

– Dyrektor Capricornu jest na linii.

– Dobrze. Proszę go połączyć. Halo, Paul. Dzięki Bogu, że cię złapałem. Zaczekaj chwilę. – Nacisnął konferencyjny przycisk przy telefonie, aby wszyscy mogli słyszeć ich rozmowę.

– Posłuchaj, Paul. W oddziale środków toksycznych masz nowego pracownika. W fabryce pestycydów. Nazywa się Benjamin Africa.

– Tak, panie Courtney. Nie znam go osobiście, ale nazwisko kojarzę. Chwileczkę, zaraz dostanę wydruk komputerowy na jego temat. Tak, jest. Benjamin Africa. Pracuje dla nas od kwietnia.

– OK, Paul. Chcę, żeby został aresztowany i przetrzymany przez strażników. Nie wolno mu się absolutnie z nikim kontaktować, rozumiesz? Żadnych telefonów. Żadnych adwokatów. Żadnej prasy. Nic.

– Czy możemy to zrobić, panie Courtney?

– Mogę robić wszystko, na co mam ochotę, Paul. Pamiętaj o tym. Wydaj rozkaz, by go aresztowano. Zaczekam, aż to zrobisz.

– To potrwa dwie sekundy – zgodził się dyrektor. Usłyszeli, jak rozmawia z ochroną przez telefon wewnętrzny.

– W porządku, panie Courtney. Poszli już po Africę.

– A teraz posłuchaj, Paul. Jak bardzo zaawansowany jest program rozwoju fabryki? Czy rozpoczęliście już dostawy dla armii?

– Jeszcze nie, panie Courtney. Pierwszy transport ma odejść w przyszły wtorek. Dział zaopatrzenia wysyła własne ciężarówki.



– W porządku, Paul. Jakie zapasy macie w tej chwili?  
– Sprawdzę na komputerze – głos Paula zaczynał zdradzać, że jest poruszony. – W tej chwili w pięciokilowych kanistrach artylerii mamy sześćset trzydzieści pięć ze wzorem A i tyle samo ze wzorem B, a w butlach cylindrycznych mamy po dwadzieścia sześć każdego wzoru. Lotnictwo odbierze je pod koniec przyszłego tygodnia...

Garry przerwał mu.

– Paul, chcę mieć dokładne dane o każdym kanistrze i cylindrze. Każ swoim specjalistom z magazynu natychmiast sprawdzić numery seryjne i porównać ze spisem inwentaryzacyjnym. I chcę, żeby to było zrobione za godzinę.

– Czy coś się stało, panie Courtney?

– Powiem ci, kiedy podasz mi te dane. Będę czekał pod tym numerem. Połącz się ze mną tak szybko, jak będziesz mógł albo, do cholery, jeszcze szybciej.

Kiedy odwiesił słuchawkę, Sean zapytał:

– Za ile możemy dostać się do Capricornu?

– Lear nie może lecieć. DNA żąda gruntownego przeglądu konstrukcji nowego świadectwa zdolności do lotu po tym ostatnim uderzeniu rakiety.

– Jak szybko, Garry? – nalegał Sean. Jego brat zastanowił się przez chwilę.

– Queen air lata bardzo wolno, ale i tak będzie szybciej, niż gdybyśmy czekali na normalne połączenie z Johannesburgiem. Przynajmniej będziemy mogli wylądować bezpośrednio na lotnisku Capricornu. Jeśli wyruszymy za godzinę, powinniśmy tam być wczesnym popołudniem.

– Czy nie powinniśmy zawiadomić policji? – zapytał Shasa, a Centaine zastukała niecierpliwie laską.

– Żadnej policji. Na razie nie... a może w ogóle, jeśli sobie poradzimy. Łapcie bękartą Tary i wytluczcie z niego prawdę, jeśli będziecie musieli, ale trzeba starać się zachować to w rodzinie. – Przerwała, gdy zadzwonił telefon.

Garry podniósł słuchawkę i nic nie mówił przez kilka sekund. Potem rzekł:

– Rozumiem. Dziękuję, Paul. Za chwilę odlatuję. Powinienem być na lotnisku o pierwszej po południu.

Odłożył telefon i spojrzał po ich zaniepokojonych twarzach.

– Nasz brązowy ptaszek uciekł. Benjamin Africa nie pokazał się w fabryce od czterech dni. Nikt niczego o nim nie słyszał. Nikt nie wie, gdzie on jest.

– A co z zapasami cyndexu? – zapytał Shasa.

– Sprawdzają je. Będą mieli wyniki, kiedy wylądujemy w Capricornie. Ojciec i Nana będą musieli zostać w Weltevreden, żeby utrzymać łączność z tej strony. Jeśli będziecie chcieli przekazać nam jakąś informację na pokład samolotu, zatelefonujcie do informacji na lotnisku imienia Jana Smutsa i każcie im przestać ją dalej. – Spojrzał na swojego brata. – Sean poleci ze mną. Mogę potrzebować muskułów.

Sean podszedł powoli do Shasy i wyciągnął rękę.

– Poproszę klucze od sejfu z bronią, ojcze.

Shasa wręczył mu je. Sean otworzył zamek w ciężkich stalowych drzwiach. Wszedł do sejfu i przez chwilę oglądał stojak z rewolwerami i pistoletami, aż w końcu wybrał rewolwer 357 magnum Smith & Wesson. Sięgnął na półkę i zdjął paczkę amunicji, po czym wsadził broń za pasek dzinsów.

– Lepiej ja też coś wezmę – stwierdził Garry i także wszedł do sejfu.

– Garry! – zawołała za nim Isabella. – Poleć z tobą i Seanem.

– Nie ma mowy, kochanie moje – nawet się nie obejrzał na nią i wybrał dziewięćmilimetrowe parabellum Heckler & Koch. – Nic więcej nie możesz już zrobić.

– Owszem, mogę. Nie wiecie, jak wygląda Ben. Mogę go rozpoznać... i jest coś

jeszcze, o czym wam nie powiedziałam.

– Tak?

– Wyjaśnię w samolocie.

\*

Garry naprowadził dwusilnikowego beechcrafta na kierunek północny i obrócił się, by przywołać Isabelle, która siedziała w kabinie dla pasażerów. Odpięła pasy i przeszła do kabiny pilota. Pochyliła się nad fotelem Garry'ego.

– No dobra, Bellu. Słuchamy. Co jeszcze możesz nam powiedzieć? Spojrzała na Seana, który siedział na fotelu drugiego pilota.

– Czy pamiętasz tę noc nad Chicambą, kiedy Nicky próbował uciec, a ty i ja pobiegliśmy, by go złapać?

Sean skinął głową, a ona mówiła dalej:

– Czy pamiętasz tego oficera partyzantów, który jechał w pierwszej ciężarówce, tego, który nadzorował uprzątnięcie drogi? No więc, przyjrzałam mu się dobrze i wiem, że widziałam go wcześniej. Byłam tego absolutnie pewna, ale nie układało mi się to w żadną całość aż do teraz.

– Kiedy i gdzie go widziałaś?

– Był z Benem... jechali do farmy Michaela w Firgrove.

– Do Michaela? – włączył się Garry. – Naszego Michaela?

– Tak – potwierdziła. – Do Michaela Courtneya.

– Myślisz, że Michael jest z nimi związany?

– A wy tak nie uważacie? W przeciwnym wypadku co on by robił z tym terrorystą z ANC... i z Benem? Zamilkli, a Bella mówiła dalej:

– Garry, najwyraźniej podejrzewasz, że Ben ukradł ze dwa cylindry cyndexu. Jeśli on ma coś wspólnego z terrorystami, to jak myślisz, w jaki sposób go użyją? Może zechcą rozpylić go z samolotu?

– Tak, to jest najbardziej prawdopodobne.

– Michael ma samolot w Firgrove.

– O cholera – szepnął Garry. – To nie może być prawda. Nie Mickey... tylko nie Mickey.

– Michael wydaje tę swoją czerwoną szmatę od lat – zauważył ponuro Sean. – I nieźle zdążył się zbratać z tymi ludźmi. Nikt mu nie odpowiedział. Garry poprosił:

– Bellu, podaj nam po coli.

Isabella poszła do lodówki i wyjęła dwie puszki.

– Rand Easter Show zaczęło występy dziś rano – powiedział Sean.

– A to, do diabła, co ma z tym wspólnego? – zdziwił się Garry.

– Nic – stwierdził ze złością Sean. – Rand Easter Show to największe, najmodniejsze pokazy w tym kraju. Pół miliona ludzi w jednym miejscu. Wszyscy przemysłowcy pokazują swoje produkty, farmerzy, biznesmeni... każdy cholerny druciarz, krawiec i inny rzemieślnik tam będzie. Uroczyste otwarcie odbędzie się dziś wieczorem o ósmej, pokazy sztucznych ogni, pokazy wojsk, wyścigi samochodowe, pokazy skoków. Premier wygłosi przemówienie, będą grube ryby w ciemnych garniturach z goździkami w klapach. Do diabła, jasne, że to nic nie znaczy.

– Przetaną się wygłupiać, Sean – zazgrzytał zębami Garry.

– Masz zupełną rację. – Sean ciągle się uśmiechał. – To znaczy, ci z ANC to w gruncie rzeczy porządni goście. Tylko dlatego, że ustawili kilka samochodów pułapek i zakładali ludziom na szyje płonące opony, nie możemy twierdzić, że nie mają pięknych dusz. Do diabła, nie oceniamy ich zbyt surowo. Rosyjska bomba odłamkowa w zatłoczonym supermarkecie – to się zdarza, ale nie śniłoby im się

nawet, żeby rozpylić cyndex 25 nad Rand Easter Show, prawda?

– Nie – potrząsnął głową Garry. – Mówię tylko, że Ben i Mickey to nasi bracia. Oni nie mogliby, nie... – głos uwiązł mu w gardle, potem powiedział ze złością: – Cholera, żebyśmy chociaż mieli leara, już bylibyśmy na miejscu.

Radio zaszumiało, więc Garry nałożył słuchawki.

– Charlie Sierra Promień X, tu lotnisko Jana Smutsa. Mam dla was komunikat z Capricornu. Możecie zapisywać?

– Słuchamy.

– Komunikat brzmi: Zapasy i wszystkie numery seryjne zgadzają się. Koniec komunikatu.

– Dzięki Bogu! – odetchnął Garry.

– Każ im sprawdzić, co jest w cylindrach – zaproponował Sean spokojnie, a Garry zmienił się na twarzy.

– Informacja, proszę o przekazanie komunikatu dla Capricornu. Komunikat brzmi: Pobrać próbki ze wszystkich cylindrów. Koniec komunikatu.

Garry zdjął słuchawki.

– Tak bym chciał, żeby to nie była prawda – powiedział. – Ale masz rację, Sean. Oni nie są idiotami. Bez problemu mogli oznakować kilka pustych cylindrów fałszywymi numerami i zamienić je w magazynie.

– Jak długo jeszcze?

Garry sprawdził na przyrządach.

– Jeszcze godzina. Dzięki Bogu, mamy pomyślny wiatr. Sean obejrzał się na siostrę.

– Zrób mi wielką przysługę, kochanie. Jeśli następnym razem będziesz miała ochotę na jakiegoś zakałę, to postaraj się, żeby to był trochę mniejszy bandyta – na przykład Kuba Rozpruwacz.

Lotnisko Capricornu było oznaczone gigantyczną kwarcową rzeźbą przedstawiającą białego kozła. Na brązowym tle weldu widać go było wyraźnie z odległości pięciu mil. Samolot osiadł delikatnie i pokołował do hangaru, przed którym stały cztery pojazdy i grupa pracowników Capricornu na czele z Paulem.

Gdy Garry i Sean wyskoczyli z samolotu i obrócili się, by pomóc Isabelli, podbiegł do nich Paul.

– Panie Courtney, miał pan rację. Dwa kontenery zawierają tylko dwutlenek węgla. Ktoś je podmienił. Gdzieś tu jest dziesięć kilo cyndexu 25! Patrzyli na niego przerażeni. Dziesięć kilogramów zmiotłoby całą armię.

– Czas już wezwać policję. Muszą złapać Bena Africę. Czy mamy jego adres? – zapytał Sean.

– Już kogoś wysłałem – włączył się Paul. – Właścicielka domu, w którym mieszka, mówi, że nie widziała go od kilku dni. Nie jadł i nie spał u siebie.

– Firgrove – cicho powiedziała Isabella.

– Dobra – rzucił krótko Garry. – Sean, zabieraj się stąd natychmiast. Weź ze sobą Isabellę, pokaże ci drogę i rozpozna Bena, jeśli przypadkiem na niego wpadniecie. Ja zajmę się tym wszystkim stąd. Będę w sali konferencyjnej. Zatelefonujcie do mnie, jak tylko dotrzecie do Firgrove. Zdobędę dla was posiłki policyjne i poruszę tu niebo i ziemię. Musimy zdobyć te brakujące kanistry.

Sean zwrócił się do Paula.

– Potrzebuję samochodu – i to szybkiego.

– Proszę wziąć mój – wskazał na nowe BMW, stojące obok hangaru. – Bak jest pełen. Tu są kluczyki.

– Chodź, Bellu, idziemy – pobiegli do samochodu.

– Nie pozwól, żeby cię zatrzymała policja na drodze, rajdowcu – ostrzegła go

Bella, gdy rozpędzał się na autostradzie. – Powinniśmy byli wysłać gliny do Firgrove, zanim wyruszyliśmy z Kapsztadu. Boże, już trzecia.

– Nie mogliśmy nic zrobić, dopóki nie mieliśmy pewności, że ktoś podprowadził kilka zbiorników cyndexu – zauważył Sean. Pochylił się i włączył radio. Bella spojrzała na niego pytająco.

– Wiadomości o trzeciej – wyjaśnił i ustawił Radio Highveld. Podano to jako trzecią informację.

– Od rana rekordowe tłumy odwiedzają Rand Easter Show. Dziś dzień otwarcia. Rzecznik komitetu organizacyjnego powiedział, że do południa na placu znalazło się już ponad dwieście tysięcy gości.

Wyłączył radio i uderzył zaciśniętą pięścią w tablicę rozdzielczą BMW.

– Michael! – krzyknął. – Tacy wrażliwi społecznicy zawsze okazują się zdolni do największego draństwa. Ilu niewinnych ludzi torturowano i zamordowano w imię Boga, pokoju i braterstwa?

Znowu uderzył w tablicę, a Bella dotknęła jego ramienia.

– Zwolnij, Sean. Skręcamy w najbliższy zjazd po prawej. – Przytrzymała się drzwiczek, kiedy samochód wszedł w zakręt.

– Daleko jeszcze?

– Parę mil.

Sean odrzucił połę płaszcza i wyciągnął smith & wessona zza pasa. Kciukiem przekreślił bębenek.

– Co masz zamiar z tym zrobić? – zapytała nerwowo Isabella. – Ben i Mickey...

– Ben i Mickey mają sympatycznych przyjaciół – powiedział i wsunął rewolwer za pasek.

– To tu – wskazała przed siebie. – To jest brama farmy Michaela.

Sean zwolnił i zjechał na zakurzoną dróżkę. Jechał wolno przez plantację, dopóki nie mignęły im z przodu zabudowania. Wtedy zatrzymał BMW i ustawił go w poprzek drogi.

– Po co to robisz?

– Pójdę tam pieszo – powiedział jej. – Nie ma sensu ogłaszać, że się zbliżam.

– Ale dlaczego zaparkowałeś w poprzek drogi?

– Żeby nikt nie mógł wyjechać stąd zbyt szybko – wyjął kluczyki ze stacyjki i wyskoczył z wozu. – Zaczekaj tutaj. Nie, nie w samochodzie. Schowaj się tam między drzewami i nie wystawiaj głowy, dopóki cię nie zawołam, słyszysz?

– Tak, Sean.

– I nie trzaskaj drzwiami – dodał, gdy wysiadała. – A teraz powiedz mi, gdzie Mickey trzyma samolot?

– Za domem, na końcu sadu – pokazała mu. – Stąd nie widać, ale na pewno trafisz. To pokryta przerdzewiałą blachą szopa, ledwo stoi.

– Typowy Mickey – mruknął Sean. – Pamiętaj, co ci mówiłem. Trzymaj się od tego z dala.

Pobiegł. Szedł bokiem obok drogi, cały czas z jednej strony miał sad i kurnik, a z drugiej budynku. Był zaledwie o kilkaset jardów od werandy domu Michaela. Kurczaki gdały i dziobały ziemię wokół jego stóp, kiedy kucnął pod murem i rzucił badawcze spojrzenie na budynek. Drzwi wejściowe i wszystkie okna były szeroko otwarte, ale nie było ani śladu mieszkańców.

Sean z łatwością przeskoczył przez mur i wślizgnął się przez otwarte drzwi.

W pokoju dziennym i w kuchni nikogo nie było, chociaż w zlewie leżał stos brudnych naczyń i szklanek. Obszedł trzy sypialnie, w każdej ostatnio ktoś spał. Łóżka były nie zaścienione, na podłodze leżały porzucane części męskiej garderoby, a w łazienkach i pod lustrami pełno było męskich przyborów toaletowych.

Sean podniósł koszulę i odwinął kołnierzyk. Wewnątrz była przyszyta plakietka z napisem: „B – Africa”.

Rzucił koszulę i cicho podbiegł do kuchennych drzwi. Były otwarte do sadu, w którym rosły mizerne, zniszczone przez owady drzewa owocowe. Za nimi wznosił się pokryty rdzą dach dużej szopy, a na krótkim maszcie smutny rękaw obwisł jak zużyta prezerwatywa.

Sean popędził do sadu, kryjąc się pomiędzy drzewami, aż dotarł do ściany stodoły. Rozpłaszczył się na niej i przystawił ucho do cienkiej, przeżartej rdzą płyty. Usłyszał przez nią pomruki rozmawiających ludzi, zbyt niewyraźne, aby mógł zrozumieć słowa. Dotknął rewolweru przy pasie, sprawdził, czy kolba dobrze leżała, by dało się ją szybko wyciągnąć. Przesuwał się wzdłuż tylnej ściany szopy ku zielonym, drewnianym drzwiom. Zanim do nich doszedł, otworzyły się i wyszło przez nie dwóch mężczyźn.

Ben Africa był prawdziwą złotą rączką i odczuwał z tego powodu dumę. Klęczał na fotelu pilota w centurionie, samolocie typu Cessna i przykręcał ostatnie śruby, które umocowały podwójne cylindry do pokładu przed siedzeniem drugiego pilota.

Obracał śruby ostrożnie, aby nie uszkodzić kabli, które biegły pod podłogą. Oczywiście, mógł zostawić cylindry, aby leżały luzem pod nogami, ale obrażałoby to jego zmysł praktyczny. Zawsze istniało niebezpieczeństwo wystąpienia drgań podczas lotu, które mogłyby uszkodzić zawór lub rurki. Tak umieścił butle, aby w czasie lotu zarówno pilot, jak i pasażer mogli bez trudu sięgnąć do rączki zaworu. Butla, która zawierała składnik A, była pomalowana w czarnobiałą kratkę i miała trzy czerwone pasy na środku. Składnik B znajdował się w purpurowym cylindrze z pojedynczym czarnym pasem. Każda butla miała swój numer seryjny.

Ben musiał użyć wszystkich swoich umiejętności, aby nadać dwóm zwykłym cylindrom z tlenem, używanym w szpitalach, taki właśnie wygląd. Numery wyrył ręcznie. Butle były dostatecznie małe, by bez trudu mógł je przesznuć do i z fabryki w specjalnie uszytych kieszeniach płaszcza. Przemycenie ich przez straż przy głównej bramie wymagało wynalazczości i niezwyklego sprytu.

Butle były połączone za pomocą rurki w kształcie litery T, wykonanej z nierdzewnej stali, umieszczonej przy szyjkach. Ben wykonał te części na starej tokarce, która stała z tyłu hangaru. Aby gaz w cylindrach zaczął działać, należało odkręcić kurki, a potem przekręcić do połowy ruchomą rączkę rurki, dzięki czemu składniki mogły się wymieszać i uaktywnić. Stąd gaz paralizujący przepływał pod ciśnieniem do giętkiego, zbrojonego szlauchu, który ciągnął się pomiędzy fotelami do bagażnika z tyłu.

Ben wywiercił trzycentymetrowe otwory przez podłogę kokpitu i zewnętrzne poszycie centuriona. Końcówka szlauchu wystawała przez nie na dziesięć centymetrów. Umocował wąż, a wąski otwór, przez który przechodził on na zewnątrz, zalepił szpachlówką, która wyschła szybko i była twarda jak stal.

Gaz rozpryskiwałby się daleko za fotelami i płynąłby do tyłu, nie zagrażając osobom siedzącym w samolocie. Jednakże dla bezpieczeństwa mieli nosić kombinezony i oddychać tlenem z butli, kiedy gaz byłby rozpylany.

Kombinezony wisiały na ścianie, gotowe do włożenia w ciągu kilku minut. Były to długie skafandry, których straż pożarna używała w czasie akcji w kopalniach złota.

Ben drugi raz dokręcił kluczem każde z połączeń węża i złącza na rurce, aby upewnić się, że nie ma żadnych przecieków. W końcu mruknął z zadowoleniem i wycofał się przez drzwi kabiny. Wytarł ręce bawełnianą szmatą i podszedł do warsztatu przy ścianie.

Dwaj pozostali mężczyźni pochylali się nad ławką i studiowali mapę. Ben podszedł do Michaela Courtney'a i czule objął go za ramiona.

– Wszystko gotowe, Mickey – powiedział tym swoim bezsensownym, londyńskim akcentem.

Potem całą swą uwagę skoncentrował na Ramonie Machado. Ben uwielbiał tego człowieka. Kiedy był sam na sam z Michaeliem, często mówił do niego z żarliwością akolity, dyskutującego o wszechmocy papieża. Michael, z drugiej strony, wiedział o tym, jak odrażająca była ich misja i przez wiele miesięcy walczył, aby przekonać samego siebie, iż było to coś, co musiało być zrobione, jeśli walka miała zakończyć się sukcesem.

Ramon zdawał się wyczuwać tę przedłużającą się niechęć i zwrócił się do niego.

– Zatelefonuj do meteo i zapytaj o ostateczną wersję prognozy pogody na dzisiejszy wieczór.

Michael podniósł telefon, leżący na ławce, wykręcił numer informacji o pogodzie na lotnisku imienia Jana Smutsa i wysłuchał nagranej na taśmę informacji.

– Wiatr nadal wieje kursem dwustu dziewięćdziesięciu stopni z prędkością pięciu węzłów – powtórzył. – Żadnej zmiany od rana. Pogoda jest stabilna. Ciśnienie atmosferyczne na tym samym poziomie.

– Bardzo dobrze.

Ramon czerwonym flamastrem zaznaczył na mapie lotniczej w dużej skali teren, na którym odbywała się wystawa. Następnie wykreślił kierunek wiatru.

– OK, masz nadlecieć z tej strony, stąd jest około mili do celu. Staraj się utrzymać tysiąc stóp nad ziemią. Otwórz zawory, gdy będziesz przelatywał nad zbiornikami na wodę. Są jasno oświetlone ze względu na przelatujące tamtędy samoloty.

– Tak – rzekł Michael. – Wczoraj tamtędy leciałem. Stadion zostanie zalany wodą, odbędą się pokazy laserów – nie ma mowy, żebym nie trafił, – Dobra robota, towarzyszu. – Ramon obdarzył go jednym z tych swoich uśmiechów, którym nikt nie potrafił się oprzeć. – Świetnie się przygotowałeś.

Michael spuścił wzrok, a Ben zauważył:

– Słyszałem w wiadomościach, że do południa na placu znalazło się ponad dwieście tysięcy gości. Będzie ich jakieś pół miliona, kiedy Vorster rozpocznie przemówienie. Zadamy dziś wspianiały cios w imię wolności.

– Przemówienie Vorstera ma zacząć się o siódmej po południu. – Ramon wziął do ręki jeden z prospektów reklamowych, wydanych przez komitet organizacyjny. Czytał uważnie program otwarcia. – Ale może opóźnić się kilka minut. Musimy na to pozwolić. Będzie mówił prawdopodobnie od czterdziestu minut do godziny. Pokazy wojsk rozpoczną się o ósmej. O której wystartujesz?

– Jeśli wystartujemy o osiemnastej czterdziści pięć, lot będzie trwał około czterdziestu ośmiu minut. Wczoraj to zmierzyłem. Powinienem znaleźć się nad celem trzydzieści trzy minuty po siódmej – stwierdził Michael.

– Tak będzie w sam raz – zgodził się Ramon. – Vorster na pewno będzie jeszcze przemawiał. Przeleć nad nimi dwa razy. Tysiąc stóp nad ziemią, milę pod wiatr. Potem skreślisz na zachód i polecisz prosto w kierunku granicy z Botswaną. Jak przewidujesz, ile czasu będziesz leciał na spotkanie z Raleighem Tabaką?

– Trzy godziny piętnaście minut – odpowiedział. – Będę tam mniej więcej o jedenastej w nocy. Do tego czasu resztki gazu przestaną być aktywne.

– Raleigh oświetli pas światłami. Jak tylko wylądujesz, usuń cały sprzęt i podpal samolot. Dalej Raleigh ma cię przerzucić do Zambii i do bazy w Tercio.

Ramon przyglądał się ich twarzom.

– To wszystko. Wiem, że omawialiśmy to już dziesięć razy, ale czy macie jakieś pytania?

Bracia potrząsnęli głowami, a Ramon uśmiechnął się krzywo. Mieli różny kolor skóry i inne włosy, ale byli do siebie bardzo podobni.

„Rewolucja nie zaszłaby daleko bez takiego posłuszeństwa i ślepej wiary – pomyślał El Zorro i poczuł rzadką u niego zazdrość z powodu tak nieskomplikowanej ufności. – Niech wierzą, że ten jeden czyn zmieni świat i wprowadzi powszechny socjalizm oraz braterską miłość”. Ramon wiedział, że nic nie jest tak proste.

Zazdrościł im tego, ale zastanawiał się, czy będą mieli dość sił, aby zaakceptować realność rzezi połowy miliona ludzi oraz czerwony terror, który musi nastąpić po pomyślnym szturmie rewolucji. Wzniosła wiara w ostateczną słuszość ich akcji mogłaby pozwolić im odkręcić zawory niewinnie wyglądających stalowych butli, ale jak zniosą widok pięciuset tysięcy ciał, poskręcanych i zwalonych na przerażających stosach? Tego nie był pewien.

Tylko ludzie ze stali mogli przetrwać. Ci dwaj do nich nie należeli. Czerwony terror zażądałby ich, tak jak wszystkich cherlawych. Po tej nocy będą mniej użyteczni. Oni są jednorazowego użytku.

Delikatnie dotknął ramienia Michaela. Wiedział, że Michael lubił, gdy dotykał go inny mężczyzna. Ten dotyk był podobny do pieczyoty.

– Wspaniale się spisałeś. Teraz musisz coś zjeść i się przespać. Opuszczę cię, zanim odleczysz. Pozdrawiam was obu.

Podeszli do drzwi z tyłu szopy, ale zanim je otworzyli, Michael się zatrzymał.

– Chcę zobaczyć, jak Ben zamocował butle, muszę wszystko jeszcze raz sprawdzić – rzekł niepewnie. – Chcę mieć absolutną pewność.

– Masz prawo wymagać, aby wszystko było w doskonałym porządku, towarzyszu – zgodził się Ramon. – Tymczasem zrobimy ci coś do jedzenia.

Patrzyli, jak wspina się do kokpitu centuriona i zaczyna sprawdzać przyrządy.

Ramon otworzył małe drzwi w tylnej ścianie hangaru i gdy wyszli na zewnątrz, zobaczyli, że przy ścianie po lewej stronie czai się przykucnięty Sean.

Dzieliło ich sześć stóp i rozpoznali się natychmiast. Sean sięgnął pod płaszcz i wyciągnął swoje magnum. Dwa ruchy, niezbędne do uruchomienia spustu, opóźniły strzał o ułamek sekundy, który wystarczył Ramonowi, by chwycić Bena za ramię i zasłonić się nim. Muszkę ogarnął płomień, widoczny nawet przy dziennym świetle i kula Seana dosięgła Bena.

Pocisk z tęym czubkiem trafił w koniuszek łokcia i rozerwał go, po czym przeorał ramię i bok. Kula trafiła w ostatnie żebro i rozprysnęła się. Odłamki dostały się do płuc, inne przeszły przez wnętrzości. Fragment miedzianej łuski utkwił pomiędzy kręgami i uszkodził rdzeń kręgowy.

Siła uderzenia odrzuciła Bena na bok, zostawiając na eternicie ślady krwi. Ramon Machado ukrył się za hangarem, zanim Sean opuścił broń, którą wystrzał podbił do góry. Kopnięciem zatrasnął za sobą drzwi i wyjął pistolet z kabury pod pachą.

Oddał dwa szybkie strzały przez cienką ściankę. Celował tam, gdzie według niego powinien stać Sean. Courtney przewidział to, rzucił się na ziemię i przeturlał dwa razy. Na podstawie huku wystrzału i kąta, pod jakim padł pocisk, odgadł pozycję swego przeciwnika. Chwycił rewolwer w obie ręce, a ciężka kula przebiła ścianę z eternitu i przeleciała o stopę od głowy Ramona.

El Zorro przykucnął za kotłem i krzyknął do Michaela, który zasiadł za sterami:

– Ruszaj!

Michael zastygł z przerażenia na fotelu pilota, ale na rozkaz Ramona włączył obydwa główne przełączniki i zapłon, po czym przekręcił kluczyk. Włączył przepustnicę, a silnik zawył ochoczo i maszyna drgnęła.

– Wyjeżdżaj stąd! – wrzasnął Ramon i oddał na oślep jeszcze dwa strzały przez ściankę.

Centurion ruszył ku otwartej bramie hangaru, powoli nabierając prędkości.

Ramon pobiegł za nim, ukrył się pod skrzydłem i otworzył szarpnięciem drzwi do

kabiny pasażerów.

– Gdzie jest Ben?! – krzyknął Michael.

– Z Benem już koniec – odpowiedział Ramon. – Jedź.

– Co to znaczy „koniec”? – Michael odwrócił się do niego i zamknął przepustnicę. – Nie możemy go zostawić.

– Ben nie żyje, człowieku! – Ramon chwycił jego rękę, leżącą na przepustnicy. – Ben został zastrzelony. Koniec z nim. Musimy się stąd wynosić.

– Ben...

– Wyjeżdżaj stąd.

Michael znowu otworzył przepustnicę i samolot wyjechał na drogę. Twarz wykrzywił mu ból.

– Ben – szepnął i pozwolił, by centurion rozpędził się, aż zaczął rolować po pasie. Kiedy dojechali do końca, pociągnął za hamulec, obrócił samolot i ustawił go na pasie pod wiatr.

– Silnik jest zimny – powiedział. – Nie zdążył się rozgrzać.

– Musi się rozgrzać – odrzekł Ramon. – Zaraz zbierze się tu policja. Są na naszym tropie; jakoś musieli się dowiedzieć.

– A Ben?

– Zapomnij o Benie – zniecierpliwiał się Ramon. – Lećmy wreszcie.

– Dokąd – do Botswany? – Michael ciągle był niezdecydowany.

– Tak – odpowiedział mu El Zorro. – Ale najpierw skończymy tę operację.

Lecimy na imprezę.

– Ale... ale mówiłeś, że policja jest na naszym tropie – protestował Courtney.

– Jak mogą nas powstrzymać? Godzinę zajmie im uruchamianie oddziałów... no ruszaj, facet, ruszaj!

Michael włączył przepustnicę, a wskazówka na liczniku obrotów silnika wychyliła się do końca. Centurion skoczył naprzód.

Kiedy samolot zaczął nabierać prędkości, zobaczyli sylwetkę człowieka, który wybiegł zza hangaru. Michael rozpoznał swego brata.

– Sean! – wykrzyknął.

– Jedź dalej – rozkazał Ramon.

Sean uklęknął na jedno kolano na skraju pasa i kiedy centurion zbliżył się do niego, wyrzucił przed siebie ramiona jak na gangsterskim filmie i oddał trzy strzały. Za każdym razem pistolet podrywał się do góry.

Ostatnia kula trafiła w przednią szybę i obaj mężczyźni schylili się instynktownie. Pozostawiła po sobie srebrną pajęczynę na osłonie z pleksiglasu, a Michael obrócił centuriona; przelecieli nisko nad płotem i wzbili się w niebo.

Na wysokości dwustu stóp nie rozgrzany motor zakrztusił się i dopiero po chwili zaczął równo pracować.

– Lecimy na imprezę – powtórzył Ramon. – Nie dostaniemy już Vorstera, ale to nadal niezły cel. Jest ich jeszcze dwieście tysięcy.

Michael wbił się na wysokość tysiąca stóp, wyrównał lot i poleciał wytyczonym kursem.

\*

Sean opróżnił magazynek, kiedy centurion przelatywał nad nim. Nie zauważył jednak, żeby jego kule trafiły w cel, a samolot schował podwozie i bez szwanku wzniósł się w powietrze.

Sean zerwał się i popędził do hangaru. Zobaczył, że telefon stoi na warsztacie. Dzięki Bogu!



Podbiegł do stołu i chwycił za słuchawkę.  
Kiedy wykręcał numer Capricornu, zauważył pod ręką rozłożoną mapę i prospekt Rand Easter Show. Teren, na którym odbywała się impreza, zakreślony był czerwonym flamastrem, a szeroka strzałka oznaczała kierunek i prędkość wiatru.  
Operator w centrali odpowiedział dopiero po trzecim sygnale.  
– Capricorn Chemicals, dzień dobry. W czym mogę pomóc?  
– Proszę mnie połączyć z panem Garrym Courtneyem w sali konferencyjnej. Jestem jego bratem. To bardzo pilne.  
– On oczekuje pana telefonu. Już łączę.  
Czekając Sean rozejrzał się po hangarze. Zobaczył skafandry wiszące na ścianie obok drzwi.  
– To ty, Sean? – w głosie Garry’ego słychać było napięcie.  
– Tak, to ja. Jestem w Firgrove. Jest tak źle, jak się obawialiśmy. Michael, Ben i Lis. Celem jest show.  
– Powstrzymałeś ich, Sean?  
– Nie. Michael i Lis są w powietrzu. Wystartowali dwie minuty temu. Prawie na pewno lecą na tę imprezę.  
– Jesteś pewien, Sean?  
– Oczywiście, że jestem pewien, jak cholera. W hangarze Mickey ma mapę. To miejsce jest zakreślone, a nawet oznaczyli siłę i kierunek wiatru. Na ścianie wiszą dwa kombinezony ochronne – nie zdążyli ich włożyć.  
– Ostrzegę policję i wojsko.  
– Nie bądź idiotą, Garry. Żeby wysłać myśliwiec albo helikopter, będą musieli dostać rozkaz szefa sztabu i ministra. Nie zdążą do końca świata. Tymczasem zginie dwieście tysięcy ludzi.  
– Co zrobimy, Sean? – wreszcie organizator ustąpił człowiekowi czynu.  
– Weź queen air – powiedział mu Sean. – Jest szybszy, większy i ma większą moc niż ten mały centurion. Musisz przeciąć im drogę i zmusić do lądowania, zanim dotrą na miejsce.  
– Opisz tego centuriona – rzekł żywo Garry.  
– Niebieski od góry, biały od spodu. Ma oznakowanie ZS – RRW, Romeo Romeo Whisky. Wiesz, gdzie jest Firgrove i znasz ich kurs.  
– Już jestem w drodze – w słuchawce coś trzasnęło i połączenie się skończyło.  
Sean podniósł smith & wessona z ławki, na której go położył, i wysypał łuski z komór. Wyjął z kieszeni pudełko amunicji i załadował szybko. Podbiegł do drzwi i trzymając rewolwer w dłoni otworzył je kopniakiem. Natychmiast przykucnął i wycelował.  
Ben pociągnął swe sparalizowane nogi zaledwie kilka jardów, zanim upadł. Leżał skulony pod jednym z drzew brzoskwiniowych. Krwawił obficie; jasna krew z tętnic pokrywała jego koszulę i górę spodni. Ramię wisiało na strzępie wyrwanego mięsa. Roztrzaskana kość wystawała z rany.  
Sean wyprostował się i powoli opuścił kurek. Wyszedł przed szopę, stanął i przyglądał się Benowi.  
Żył jeszcze. Obrócił z bólem oczy, aby spojrzeć na Seana. Były brązowe jak palony cukier i malowała się w nich straszliwa męka.  
– Uciekli, prawda? – szepnął. – Uda im się. Nie możesz ich powstrzymać. Przyszłość należy do nas.  
Isabella wybiegła z sadu. Zobaczyła Sena i skrzyła ku niemu.  
– Powiedziałem ci, żebyś trzymała się od tego z daleka! – ryknął na nią. – Dlaczego nigdy nie robisz tego, co ci się każe?  
Zobaczyła, że Ben leży u jego stóp i zatrzymała się w miejscu.

– To Ben. O Boże, co ty mu zrobiłeś?

Pobiegła ku nim i upadła na kolana przy bezwładnie leżącym cielem.

Ostrożnie podniosła głowę Bena i położyła ją sobie na kolanach, ale ten ruch powiększył ranę w jego płucu i mężczyzna zaczął kasłać. Trochę krwi wydostało mu się z ust i pociekło po brodzie.

– Boże, Sean. Zabiłeś go! – zaszlochała Isabella.

– Mam nadzieję – powiedział cicho. – Z całego serca tego właśnie bym sobie życzył.

– Sean, to twój brat.

– Nie – rzekł Sean. – On nie jest moim bratem. To tylko kupa gówna.

Włączając silniki queen air Garry Courtney dokonywał szybkich obliczeń.

Z Capricomu było o sześćdziesiąt mil bliżej do terenu, na którym odbywał się show, niż z Firgrove, a w dodatku jego samolot był o siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt węzłów szybszy od centuriona. Minęło siedem minut od telefonu Seana, dziewięć minut, odkąd Michael odleciał.

Każda sekunda była na wagę złota. Nie miał odwagi odgadywać, gdzie należałoby przeciąć drogę centurionowi. Miał tylko jedno wyjście. Musi polecieć bezpośrednio na zagrożony teren, potem zawrócić i skierować się dokładnie w przeciwną do kursu Michaela stronę. Wszystko rozstrzygnie spotkanie twarzą w twarz.

Kiedy włączył przepustnicę i ustawił samolot na pasie, zauważył z pewnym zdziwieniem, że ciągle ma w ustach nie dopalone cygaro. W pośpiechu zapomniał o nim. Gdy dwusilnikowa maszyna wzbijała się w powietrze, zaciągnął się nim głęboko. Był to najlepszy gatunek z Hawany, uśmiechnął się ironicznie. Aromatyczny dym ukoił nieco jego nerwy.

„Nie jestem w tym tak dobry jak Sean – powiedział do siebie. – Gorączkowy dzień na giełdzie albo cholernie skomplikowane przejmowanie przedsiębiorstwa – proszę bardzo”. Przełączył samolot na ręczne sterowanie i wycisnął z niego jeszcze piętnaście węzłów.

Dostrzegł show z odległości prawie siedmiu mil. Kokon olbrzymich balonów unosił się nad placem, jakby to były kolorowe wieloryby. Wielkie parkingi były zalane słońcem, które odbijało się w tysiącach samochodów.

Wziął kurs prosto na Firgrove i przechylił się do przodu w fotelu, wyglądając przez przednią szybę i pykając z cygara. W jego głowie nadal trwały obliczenia czasu, prędkości i odległości.

„Jeśli się z nimi spotkam, to za jakieś pięć, sześć minut...” – przerwał, kiedy zobaczył promień światła, odbijający się od czegoś, co znajdowało się w dole przed nim. Wcisnął okulary w rogowej oprawie głębiej na nos, po raz kolejny wściekając się na swą krótkowzroczność, i niespokojnie popatrzył w dół, aby znowu to odnaleźć.

Zostawił za sobą osiedla mieszkalne i leciał teraz nad otwartą przestrzenią, upstrzoną gdzieś wioskami i pociętą drogami. Kratki pól i plantacji drzew przeszkadzały mu, setki razy go myliły. Szukał wściekle, pobieżnie przelatując wzrokiem po niebie i koncentrując się na ziemi. Przypuszczał, że centurion będzie leciał znacznie niżej niż on.

Najpierw zobaczył cień. Poruszał się lekko i skakał jak konik polny. Chwilę później ujrzał mały niebieski samolot. Znajdował się tysiąc stóp pod nim i dwie mile przed nim. Niebezpiecznie przechylił queen air i zaczął pikować, aby spotkać się z drugim samolotem.

Zbliżali się do siebie z prędkością prawie pięciuset węzłów. Zanim Garry osiągnął tę samą wysokość co Michael, centurion przeleciał pod nim jak niebieski błysk.

Garry wykonał maksymalny skręt przez skrzydło i popędził za samolotem brata. Dzięki większej prędkości queen air i pikowaniu wyprzedził mniejszy samolot.

Lepiej.

– Będziemy tam za dziesięć minut – stwierdził Michael – przygotuj się już.

El Zorro schylił się i sięgnął do jaskrawo pomalowanych cylindrów, które były przykręcone do podłogi u jego stóp. Ostrożnie odpiął zaczepty na szyjkach. Poczul, że ciśnienie zmienia się w zaworze rurki w kształcie litery T.

Teraz wystarczyło tylko przekręcić dźwignię zaworu o pół obrotu w lewo, aby wymieszany i aktywny gaz z sykiem wydobył się przez długi wąż i zaczął rozpylać się z wylotu w dolnej części centuriona.

Ramon wyprostował się i spojrzał na siedzącego obok Michaela. – Wszystko gotowe... – zaczął i przerwał, patrząc w osłupieniu w boczne okienko za głową pilota.

Olbrzymi srebrny kadłub wypełniał całe okno. Jakiś samolot leciał równo z nimi, a jego pilot przyglądał się im. Był to ogromny mężczyzna o twarzy dziecka w ciemnych, rogowych okularach i z kawałkiem cygara w kąci ust.

– Garry! – wykrzyknął z przerażeniem Michael. Garry uniósł prawą rękę i skierował kciuk do dołu w jednoznaczny geście.

Michael instynktownie skręcił w dół, samolot poszedł jak kamień. Wyrównał lot tuż nad wierzchołkami drzew.

Spojrzał w lusterko i zobaczył okrągły srebrny nos queen air sto jardów za swoim ogonem, a dystans między nimi gwałtownie się zmniejszał. Poderwał centuriona w bok i do góry, ale kiedy wyrównał lot, srebrna maszyna wyłoniła się za nim. Garry zawsze był lepszym pilotem niż on, a queen air była szybsza od jego samolotu.

– Nie mogę mu uciec.

– Leć prosto do celu – rozkazał szorstko Ramon. – On nic nie może zrobić.

Michael miał nadzieję, że Ramon porzuci teraz operację, i niechętnie powrócił na swój kurs. Leciał dwieście jardów nad wierzchołkami najwyższych drzew. Garry był ciągle tuż przy nim. Końcówki ich skrzydeł były o jard od siebie.

Garry jeszcze raz gestem pokazał im, by lądowali. Zamiast tego Michael chwycił mikrofon swego radia, wiedząc, że Garry ma odbiornik ustawiony na 118,7 MHz.

– Przepraszam, Garry! – zawołał. – Muszę to zrobić. Przepraszam. Głos drugiego Courtney'a rozległ się w głośniku radia.

– Ląduj natychmiast, Mickey. Jeszcze nie jest za późno. Możemy ci pomóc się z tego wydostać. Nie bądź idiotą.

Michael gwałtownie potrząsnął głową i wskazał przed siebie. Twarz Garry'ego stężała. Cofnął się i zanim Michael zdążył zareagować, najechał z boku i uderzył końcem skrzydła pod ogon centuriona. Natychmiast zawrócił i podbił ogon mniejszego samolotu, tak że wychylił się mocno do przodu i zanurkował prawie pionowo w dół.

Centurion leciał zbyt nisko i pikował zbyt ostro, aby Michael zdążył go opanować, zanim uderzył w górne gałęzie wysokiego drzewa kauczukowego. Michael wyrzucił w górę ręce, kiedy zobaczył, co się zbliża, a sucha gałąź wbiła się przez przednią szybę, którą osłabiła kula Seana. Trafiła Michaela w nasadę szyi, przebiła mu klatkę piersiową i wyszła pomiędzy łopatkami. Jej koniec sterczał mu z gardła jak lanca.

Centurion dalej spadał z hukiem i trzaskiem pomiędzy drzewa. Najpierw oderwało się jedno skrzydło, potem drugie, przez co samolot znacznie zwolnił, potem zsunął się po koronach drzew i upadł na ziemię, podskakując i ślizgając się, wreszcie spoczął na skraju pola kukurydzy.

Ramon Machado z trudem wyprostował się na fotelu, zaskoczony tym, że jeszcze żyje. Spojrzał na Michaela. Jego usta były szeroko otwarte, zastygłe w niemym wrzasku; postrzępiona gałąź sterczała mu z gardła, a fontanna krwi obryzgała resztki przedniej szyby.

Ramon odpiął pas bezpieczeństwa i spróbował się podnieść. Stwierdził, że jest unieruchomiony i spojrzał w dół. Miał złamaną lewą nogę. Była zaklinowana pomiędzy siedzeniem a cylindrami z gazem. Spodnie rozerwały się aż do kolan, a stalowa rączka zaworu weszła mu głęboko w tyłek.

Kiedy się jej przyglądał, zdał sobie sprawę, że gaz ulatnia się powoli z cichym syczeniem. Jego noga otworzyła zawór. Cyndex 25 tryskał przez wąż i dostawał się przez dziurę w kadłubie.

Ramon chwycił za rączkę drzwi i naparł na nie z całej siły. Były solidnie zatrzasknięte. Wsunął obie ręce pod kolano chorej nogi i pociągnął, starając się ją uwolnić. Spodnie rozdarły się dalej i usłyszał, jak końce strzaskanych kości trą o siebie, ale noga tkwiła bez ruchu jak w pułapce na niedźwiedzie. Nagle poczuł zapach migdałów; nozdrza zaczęły go palić i piec. Srebrny śluz zaczął wydostawać się z obu dziurek jego nosa i płynął po ustach i brodzie. Oczy zamieniły się w płonące węgle, a wzrok zaszedł mu mgłą.

Kiedy tak leżał w ciemności, rozpoczęła się męka. Wkrótce przeszła jego wyobrażenia o bólu. Zaczął krzyczeć. Wrzeszczał bez przerwy, siedząc w kałuży swego moczu i fekalii, aż obydwa płuca rozpadły się i nie mógł już wydobyć głosu.

Centaine Courtney-Malcomess siedziała na zwałonym pniu na skraju lasu i przyglądała się zabawie psa i dziecka.

Szczeniak pochodził z ostatniego miotu Dandy Lass; potem musiała uśpić wspaniałą sukę. Odziedziczył po swej matce wszystko co najlepsze. Na pewno też będzie championem, Centaine nie miała co do tego wątpliwości. Nicky bawił się z nim starą jedwabną pończochą, wypchaną pierzem perliczki. Uczył się tak szybko jak szczeniak. Zdawało się, że dobrze radził sobie z psami i końmi.

„Ma to we krwi – pomyślała Centaine z zadowoleniem. – To prawdziwy Courtney, mimo innego nazwiska i fantastycznego hiszpańskiego tytułu”. Teraz jej myśli powędrowały ku innym Courtneyom.

Następnego dnia Shasa i Elsa mieli pobrać się w małym kościółku dla niewolników, który Centaine tak pięknie wyremontowała. Będzie to jedno z najwspanialszych wesel, jakie odbyły się na Przylądku Dobrej Nadziei w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Goście mieli przybyć z Anglii, Europy, Izraela i Ameryki.

Kilka lat wcześniej Centaine sama chciałaby zaplanować wszystko i nadzorować przygotowania do wesela. Teraz zgodziła się zostawić to Belli i Elsie Pignatelli.

„Niech same sobie z tym poradzą – powiedziała do siebie. – Ja mam ręce zajęte różami, psami i Nickym”.

Pomyślała o Belli. Jej wnuczka okazała skruczę i poprawiła się, ale Centaine uważała, że to za mało. Długo zastanawiała się sama i z Shasą, zanim zgodziła się ochronić dziewczynę przed konsekwencjami jej zdrady i słusznego gniewu prawa.

„Mimo to miała pokutę do odbycia” – wytłumaczyła swoją pobłażliwość. Isabella poświęci resztę życia naprawianiu szkód. Każdemu członkowi rodziny należały się jej usługi do końca życia, jak również całemu narodowi, mieszkającemu w tym cudownym kraju, który ona zdradziła. „Dopilnuję, by spłaciła swe długi” – pomyślała i zajęła się obserwowaniem, jak szczeniak odnajduje zabawkę, którą Nicky ukrył w szuwarach nad strumieniem. Pies merdał swym długim, jedwabistym ogonem jak zwycięską banderą, kiedy przyniósł ją swemu panu.

W końcu chłopiec i pies usiedli u jej stóp, a Nicky objął opalonym ramieniem szyję szczeniaka i przytulił go.

- Czy zdecydowałeś już, jak go nazwiesz? – zapytała Centaine. Przez prawie dwa lata walczyła z oporem swego wnuka, ale teraz czuła, że wreszcie wkradła się w jego łaski i wyparła z jego pamięci wspomnienia poprzedniego życia.

– Tak, Nano. Chcę, żeby wabił się Dwudziesty Szósty.

– To bardzo niezwykle imię. Dlaczego je wybrałaś?

– Miałem kiedyś psa... nazywał się Dwudziesty Szósty. Wspomnienia dotyczące tamtych wydarzeń prawie się rozmyły.

– No cóż, to doskonały powód... i imię też jest dobre, Dwudziesty Szósty z Weltevreden.

– Tak! Tak! – Nicky objął psa za szyję. – Centaine spojrzała na niego z czułością. Ciągle był to jeszcze dzieciak któremu różne rzeczy przychodziły do głowy, ale miał w sobie krew zwycięzców.

„Potrzebujemy czasu – pomyślała. – Potrzebujemy jeszcze trochę czasu”.

– Opowiedzieć ci coś, Nicholasie? – zapytała.

Znała najcudowniejsze opowieści rodzinne, o polowaniach na lwy, o wojnach z Burami, Zulusami i Niemcami, o zaginionych diamentach, o samolotach myśliwskich i tysiącach innych, które przejmowały dreszczem małego chłopca.

Tym razem opowiedziała mu o wraku statku i rozbitkach. Mówiła mu o podróży przez okrutną pustynię, w której jedynymi kompanami były chochliki – a on siedł z nimi po zaczarowanym królestwie.

W końcu spojrzała na zegarek i powiedziała:

– Wystarczy na dzisiaj, młody paniczku Nicholasie. Twi będzie się zastanawiać, co też nam się przydarzyło.

Nicholas poderwał się z ziemi i pomógł jej wstać z pnia, po czym skierowali się ku dużemu domowi, a szczeniak skakał wokół nich.

Szli powoli, ponieważ Nanę bolała noga. Nicky wziął ją za rękę, aby pomóc jej przejść przez nierówności.